

WINSTON GRAHAM

POLDARK

Fala gniewu

WINSTON GRAHAM

POLDARK
Fala gniewu

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1798-1799

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

[Okładka](#)

Strona tytułowa

[Strona redakcyjna](#)

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Tytuł oryginału: *THE ANGRY TIDE*

Redakcja: Beata Kołodziejska

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka / Aureusart

Zdjęcie na okładce: © Andy & Michelle Kerry / Trevillion Images

Korekta: Igor Mazur

Redaktor prowadzący: Anna Brzezińska

Copyright © Winston Graham 1977. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-467-4

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

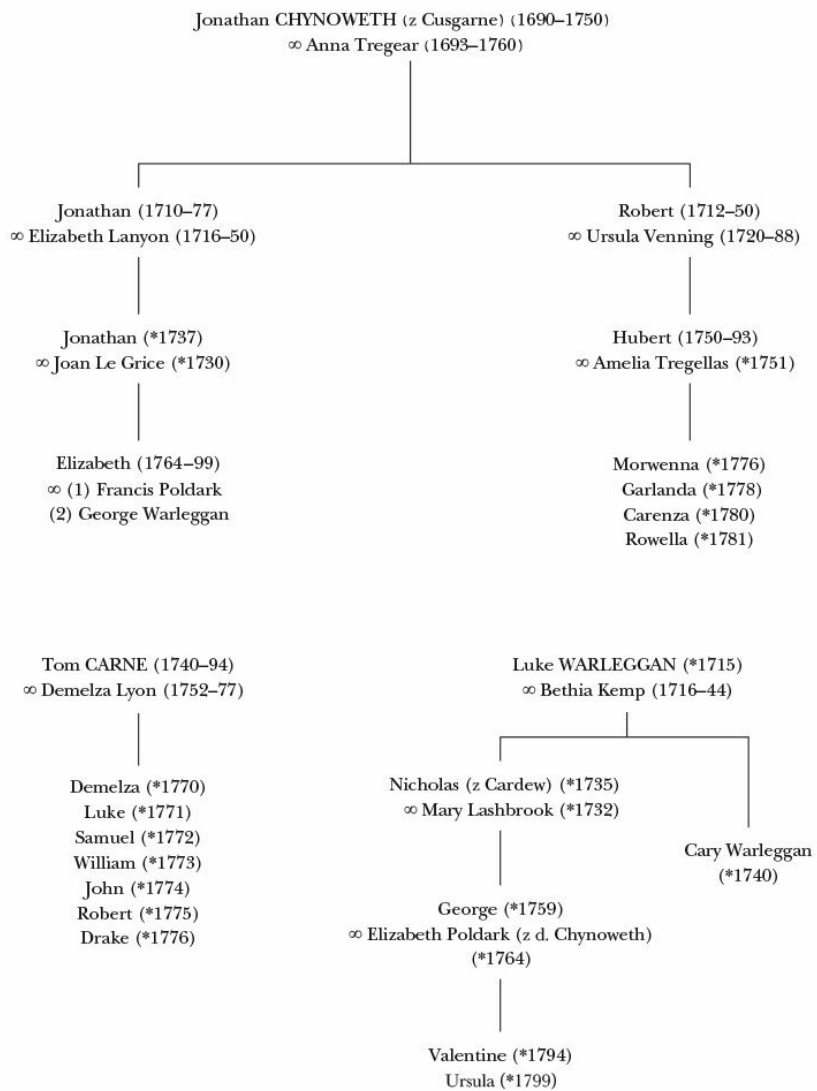
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

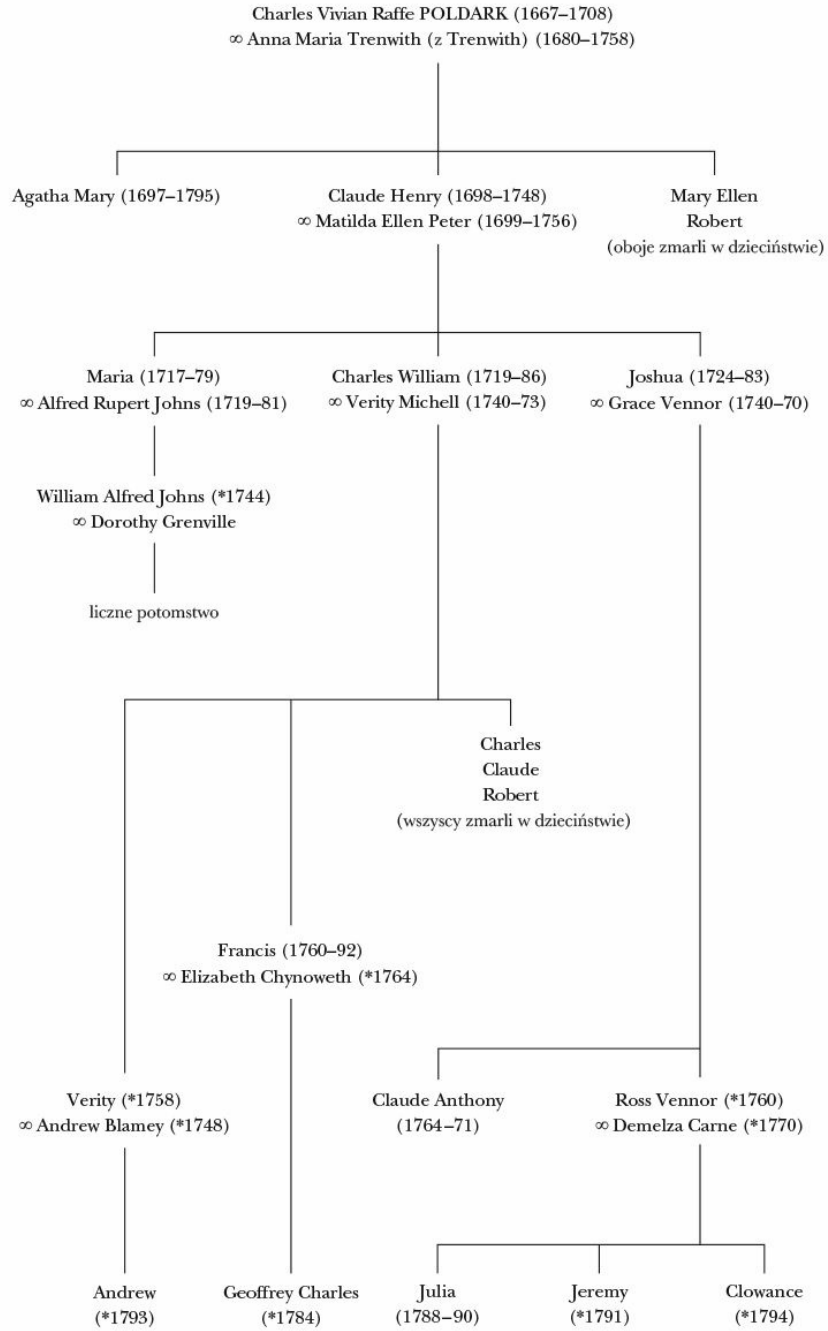
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Jean





KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

I

Było wietrznie. Białe popołudniowe niebo pokrywały strzępiaste chmury, a na gościńcu, który w ciągu ostatniej godziny stał się wyjątkowo wyboisty i pełen tumanów kurzu, leżały zwiędłe liście, szeleszcząc w podmuchach wiatru.

W dyliżansie jechało pięć osób: chudy, wyglądający na kancelistę mężczyzna o szczurzej twarzy, ubrany w wyświechtany surdut, jego jeszcze chudsza żona, nastoletnia córka i dwóch innych pasażerów. Pierwszym z nich był wysoki, kościsty, dumny dżentelmen zbliżający się do czterdziestki, a drugim tęgi duchowny, młodszy o kilka lat. Wysoki mężczyzna miał na sobie brązowy aksamitny żakiet z mosiężnymi guzikami, w większości rozpiętymi, a poza tym czystą koszulę, podniszczoną żółtą kamizelkę, ciasne płowożółte spodnie i buty do konnej jazdy. Duchowny, choć nosił koloratkę, wyglądał jak dandys. Ubrany był w zielony jedwabny surdut, jedwabną kamizelkę, czerwone pończochy i czarne trzewiki ze sprzączkami.

Kancelista i jego żona, trochę onieśmieleni towarzystwem ważnych osób, wśród których przyszło im podróżować, szeptali do siebie niekiedy, a tymczasem dyliżans podskakiwał z trzaskiem na wybojach. Chociaż w tej chwili panowała cisza, wcześniej zamieniono kilka zdań i pasażerowie wiedzieli nieco o sobie. Wysokim mężczyzną był kapitan Poldark, od niedawna sławny w całej Kornwalii, poseł do Izby Gmin z Truro, duchownym zaś Osborne Whitworth, proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty w Truro

i tytularny proboszcz kościoła Świętego Sawle na północnym wybrzeżu hrabstwa.

Przez chwilę rozmawiano, lecz w końcu zapadło niezbyt przyjazne milczenie – wymiana zdań od początku wydawała się nerwowa. Kapitan Poldark wsiadł do dylizansu w St Blazey, a pastor Whitworth nieco później, w St Austell.

– Ach, Poldark, więc już pan wraca! – rzucił duchowny. – Cóż, spodziewam się, że pobyt w domowych pieleszach sprawi panu przyjemność. Jak się panu podobał Westminster? Pitt, Fox i cała ta zgraja. Mój wuj twierdzi, że w stolicy wszyscy bez przerwy plotkują.

– Zależy kto – odparł Poldark. – Zawsze tak jest.

– Ha! Święte słowa. To samo mówił mój kuzyn George po powrocie z Londynu. Zadał mu pan ciężki cios, pozbawiając go mandatu posła. Rok w Izbie Gmin sprawił, że jego ambicje znacznie wzrosły. Przez pewien czas chodził z nosem spuszczone na kwintę.

Kapitan Poldark nie odpowiedział. Dylizans pachniał stęchlizną i nieświeżymi oddechami. Pastor nieelegancko rozluźnił ciasne spodnie.

– Niech pan pamięta, że George Warleggan potrafi pilnować swoich interesów. Nie wątpię, że przed końcem roku jeszcze pan o nim usłyszy.

– Będę czekał z zainteresowaniem – odrzekł Poldark, unosząc wydatny nos.

– Anglia potrzebuje wszystkich ludzi zdolnych do działania – ciągnął Whitworth. – Teraz bardziej niż kiedykolwiek, mój panie. Powszechnie niezadowolenie w kraju, kluby jakobińskie, bunty marynarzy wywieszających czerwone flagi, fala bankructw, a do tego powstanie w Irlandii. Wie pan, czy już je stłumiono?

– Jeszcze nie.

– Haniebne okrucieństwa katolików zasługują na surową karę. Słyszy się historie o ekscesach, które dorównują największym potwornościom rewolucji

francuskiej.

– Okrucieństwa są stosownie karane, a przynajmniej spotykają się z odwetem. Nigdy nie wiadomo, kto zaczyna: pojawia się ciąg zdarzeń, które nie mają końca.

Pastor Whitworth wyrzął przez okno na zielony krajobraz.

– Oczywiście wiem, że pański Pitt jest zwolennikiem emancypacji katolików. Na szczęście są niewielkie szanse, by to przeszło w parlamencie.

– Moim zdaniem ma pan rację, ale nie zgadzam się z poglądem, że to szczęście. Czy nie wyznajemy tego samego Boga?

Pastor Whitworth również uniósł nos – różniący się kształtem od nosa kapitana Poldarka – zirytowany bezczelnością człowieka ośmielającego się kwestionować poglądy duchownego w kwestiach religijnych. Rozmowa zamarła na jakiś czas. Jednak młody pastor nie zniechęcał się drobnymi afrontami. Kiedy dyliżans zatrzymał się na pięć minut, a woźnica i kilku pasażerów podróżujących na dachu usuwało z drogi złamany konar, powiedział:

– Spędziłem dwa dni u Carlyonów. Zna ich pan?

– Ze słyszenia.

– Tregrehan to bardzo wygodna i przestronna rezydencja. Moi rodzice przyjaźnili się z Carlyonami, a ja podtrzymuję znajomość. Mają doskonałego kucharza, prawdziwy skarb.

Kapitan Poldark spojrział na wydęty brzuch Whitwortha, lecz się nie odezwał.

– Wiosenne mięciutkie jagnię... oczywiście ze szparagami i pieczonym cielęcym sercem. Do tego zwykłe dania. Na Boga, sam nie wiem, czy gotowana cielęcina w słodkim sosie własnego przepisu, z rozmarynem i szałwią, nie była jeszcze lepsza. Nieustannie powtarzam żonie, że nie chodzi o składniki, tylko o sposób przyrządzenia.

– Mam nadzieję, że pańska żona cieszy się dobrym zdrowiem. – Był to przynajmniej wspólny temat.

– Stale jest przygnębiona. Doktor Behenna uważa, że cierpi na zaburzenia śledziony. Za to mój syn jest w świetnej formie, co bardzo mnie cieszy. Jeszcze nigdy nie widziałem silniejszego dwulatka. Nawet nie skończył dwóch lat. Dorodny, piękny malec... – Whitworth się podrapał. – Zupełnie inny niż to biedne, słabowite stworzenie, które urodziło się Enysom. Chude, wątłe, z dużą głową. Powiadają, że przez cały dzień z ust tego dziecka cieknie ślina... Przysięgam, że w tym dyliżansie jest mnóstwo pcheł. Mam delikatną skórę, bardzo wrażliwą na pchły, i po każdym ugryzieniu pojawia się ślad wielkości gwinei.

– Powinien pan wypróbować puder fumigacyjny doktora Leacha, sir – rzekł kancelista, ośmielając się zabrać głos. – Jest używany przez najszlachetniejsze rody.

Whitworth spiorunował wzrokiem urzędnika.

– Dziękuję za radę, sir. Słyszałem o tym pudrze.

Dyliżans podskakiwał na wybojach.

II

Ross pomyślał: moje życie to ciąg powtórzeń.

Wiele lat temu – zapomniałem, jak dawno temu – jechałem z Bristolu takim samym dyliżansem, wracając z wojny w Ameryce. Byłem młodym oficerem z blizną na twarzy, kulałem i miałem podobnych kompanów. Kancelistę z żoną, choć towarzyszyło im niemowlę, a nie chuda, dziobata pannica. W dyliżansie był również duchowny. Halse – w tej chwili starzec – którego nie znosiłem prawie tak samo jak Whitwortha. Sprzeczaliśmy się i złościliśmy na siebie. Była zupełnie inna pora roku, październik, choć dziś na drodze leżą liście

zerwane przez wczorajszą burzę, jakby już zaczęła się jesień. Główna różnica polega chyba na tym, że wtedy po powrocie do domu przeżyłem szok, widząc skalę swojej nędzy. Teraz jestem zamożnym człowiekiem. Przeżyłem jeszcze większy wstrząs, gdy odkryłem, że dziewczyna, którą kocham, zamierza poślubić mojego brata stryjecznego. Teraz mam żonę... Cóż, tak, żonę...

Wtedy byłem młody i pełen niezwykłej energii. W tej chwili skończyłem trzydzieści osiem lat i nie jestem już taki młody. I chyba nie taki odporny.

Wydaje się, że całe moje życie biegnie podobnymi drogami, tak jak teraz. Dwa razy pod wpływem impulsu wdarłem się do więzień i uwolniłem skazańców. Najpierw w Anglii, za co wściekle atakowali mnie członkowie mojej własnej klasy, a później we Francji, za co chwalono mnie i podziwiano. Nie licząc kilku przypadkowych przygód, kochałem w życiu dwie kobiety i obie mnie zdradziły. Założyłem dwie kopalnie. Mam dwoje dzieci. Można wyliczać bez końca.

Może wrażenie, że życie się powtarza, jest naturalnym skutkiem starzenia się, pomyślał. Może doświadcza go każdy, kto przeżył wystarczająco dużo lat? Rzeczywiście, większość ludzi prowadzi nudne, nieciekawe życie, więc powinienem się uważać za szczęściarza, bo moje jest takie urozmaicone.

Ale tak naprawdę nie o to chodzi. Osłabiasz siłę własnej argumentacji...

– Słucham? – Whitworth o coś go zapytał. – O nie, Izba Gmin zbierze się dopiero za sześć lub siedem tygodni.

– Więc wraca pan wcześniej?

– Interesy – odparł Ross. – Długo byłem poza domem.

– Ach tak, interesy... – Pastor ze zrozumieniem przyjął słowa Rossa. – Tak przy okazji, skoro zna pan dobrze wicehrabiego Falmouth... – Umilkł, lecz Poldark ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził. – ...teraz, gdy musi pan dobrze znać wicehrabiego Falmouth, ponieważ jest pan posłem z kontrolowanego przez niego okręgu wyborczego, może mógłby go pan poprosić

o wyświadczenie mi przysługi. Staram się o beneficjum w Luxulyan i chociaż nie on o tym decyduje, z pewnością jest w przyjaznych stosunkach z patronem okręgu wyborczego. Gdyby wymienić jego nazwisko w liście, miałyby to duże znaczenie.

– Przykro mi słyszeć, że opuszcza pan Truro – rzekł zjadliwie Ross.

– Och, bynajmniej – zapewnił go Ossie Whitworth. – Niedawno zmarły proboszcz Luxulyan rzadko odwiedzał swoją parafię. Chciałbym zwiększyć własne skromne dochody, które, jak pan rozumie, ledwo wystarczają na codzienne życie i utrzymanie żony oraz powiększającej się rodziny. Dochody duchownych zupełnie nie odpowiadają potrzebom. Człowiek Kościoła musi mieć co najmniej dwa beneficja, by przeżyć. Niestety, taka jest prawda.

– Ma pan w tej chwili dochody z dwóch parafii – zauważył Ross. – Przed dwoma laty został pan tytularnym proboszczem Sawle, tuż obok Nampary.

– Tak, lecz wpływy z Sawle są żałośnie skromne. Prawie wszystko pochłaniają wydatki. Luxulyan to bogatsza parafia, a właściciele ziemscy i dżentelmeni są znacznie hojniejsi. Południowe wybrzeże zawsze było zamożniejsze od północnego.

Z dachu dylizansu dobiegły okrzyki protestujących pasażerów, ponieważ zaprzęg przejeżdżał pod niskimi drzewami. Jedna z gałęzi otarła się o boczne okno. Kancelista i jego żona wymienili spojrzenia, ponieważ pastor bez żenady prowadził przy nich rozmowę o swoich sprawach finansowych, jakby w ogóle nie istnieli. Jednak wydawało się, że kapitan Poldark nie ma ochoty dyskutować na ten temat. Kancelista mimo woli pomyślał, że wielebny Whitworth mógłby przedstawić swoją prośbę taktowniej.

Ossie wyrzwał przez okno.

– Ach, dzięki Bogu, jestem prawie w domu. Od tych podskoków robi się człowiekowi niedobrze. Tylko raz płynąłem statkiem, ale przysięgam, że czułem się podobnie. Mam nadzieję, że ten łotr Harry będzie czekał, by wziąć

moją torbę. Tak, widzę go. – Uniósł laskę i głośno zastukał w dach dyliżansu.

Pojazd stanął. Koła zaskrzypiały w miękkiej ziemi, rozległ się brzęk żelaznych prętów i skrzyp skórzanej uprzęży. Woźnica zeskoczył, otworzył drzwi i zdjął kapelusz w nadziei na napiwek.

Ossie nie śpieszył się, by wysiąść. Podrapał się i zaczął zapinać surdut.

– Niech pan pamięta, mógłbym kiedyś wyświadczyć panu przysługę, Poldark. Może pan tego nie wiedzieć, ale mój wuj Conan Godolphin to bliski przyjaciel księcia Walii. Przyjaciel na dworze królewskim może czasem bardzo pomóc posłowi do Izby Gmin. Zwłaszcza posłowi z zapadłej prowincji, bez tytułu szlacheckiego i koneksji, takiemu jak pan. Wuj Conan zna rodziny wszystkich wybitnych wigów i wielu wpływowych arystokratów, więc można by liczyć na *quid pro quo*.

– Rzeczywiście – odrzekł po chwili Ross. – *Quid pro quo*, co?

– Tak. Właśnie to proponuję.

– Nie jestem pewien, co pan naprawdę proponuje.

– Och, niech pan da spokój, Poldark. Wyraziłem się jasno.

– Jest pan tytularnym proboszczem Sawle, z czym nie wiążą się żadne obowiązki – odparł Ross. – Natomiast Odgers ciężko pracuje. Po otrzymaniu beneficjum podniósł pan jego wynagrodzenie z czterdziestu do czterdziestu pięciu funtów rocznie.

– Tak, to prawda. Był to z mojej strony hojny gest zgodny z duchem czasu. Odgers uprawia ogród i nie ma prawie żadnych wydatków. Trudno zgadnąć, co robi z pieniędzmi.

– Mogę pana zapewnić, że żyje bardzo skromnie. Uprawia warzywa, które sprzedaje na miejscowym targu. Jego żona oszczędza na wszystkim, ceruje, przerabia ubrania starszych dzieci dla młodszych, nie stać ich na naukę ani porządną odzież, jaką powinny mieć dzieci duchownego. Powiedział pan, że trudno jest się panu utrzymać. Dostając czterdzieści pięć funtów rocznie,

Odgers żyje prawie tak samo jak podkuwacz koni albo kowal.

– Mogę tylko powiedzieć, że z pewnością źle prowadzi swoje sprawy! Od dawna uważam, że jest niekompetentny.

Ross spojrział chłodno na rozmówcę.

– *Quid pro quo* byłoby możliwe, Whitworth, gdyby podniósł pan wynagrodzenie Odgersa do stu funtów rocznie. Nie potrzebuję pomocy pana wuja, ale w takim przypadku byłbym skłonny porozmawiać z lordem Falmouth w pańskiej sprawie.

– Sto funtów rocznie?! – Wydawało się, że Whitworth puchnie, co zdarzało się, gdy ogarniała go złość. Jest to charakterystyczna cecha niektórych zwierząt i ptaków, lecz Ossie również ją miał. – Zdaje pan sobie sprawę, że całkowite dochody z Sawle to zaledwie dwieście funtów?! Jak może pan oczekiwać, że będę sprawował funkcję proboszcza, skoro mam płacić połowę niedouczonego klerykowi?!

– Odgers wykonuje całą pracę – odparł Ross.

Ossie Whitworth chwycił swój kapelusz. Jego służący Harry zdjął już walizę i czekał z głupawym uśmiechem obok woźnicy.

– To tylko supozycje ignorantów.

– To moje supozycje, ponieważ mieszkam w pobliżu pańskiego kościoła.

– Na Boga, życzę panu miłego popołudnia, kapitanie Poldark.

Wysiadł z dylizansu, otrzepał wolną ręką klapy surduta, jakby nie tylko chciał się pozbyć dokuczliwych pcheł, ale również odrzucił absurdalną propozycję. Nie zajrzał z powrotem do dylizansu, nie dał napiwku woźnicy i ruszył wąską drogą w stronę plebanii kościoła Świętej Małgorzaty, gdzie czekała nieprzychylna mu żona. Z tyłu szedł wysoki, krzywonogi Harry, usiłował nadążyć za szybko idącym panem. Między pochylonymi drzewami lśniła rzeka.

Woźnica wdrapał się na kozioł, strzelił z bata, po czym dylizans zaskrzypiał

i ruszył. Został mu do przebycia ostatni, półtorakilometrowy odcinek drogi do Truro.

III

Demelza Poldark zaprosiła Rosinę Hoblyn na herbatę. Odkąd doktor Enys nastawił zwichnięte kolano Rosiny, dziewczyna prawie nie utykała. Mimo to w dalszym ciągu pozostawała niezamężna po nieudanych zaręczynach z Charliem Kempthorne'em. Miała dwadzieścia pięć lat, była urocza i sympatyczna. Jej młodsza siostra Parthesia poślubiła parobka i urodziła dziecko. Rosina, zawsze cicha i spokojna (być może z powodu uszkodzenia kolana we wczesnym dzieciństwie), mieszkała z matką i ojcem, od czasu do czasu dorabiając jako szwaczka.

Demelza lepiej poznała ją zaledwie kilka miesięcy wcześniej i polubiła, toteż zlecała jej różne prace. Rosina okazała się miłą i pracowitą. Szyła czepki i kapelusze dla dzieci i przynosiła je z Sawle, by sprawdzić, czy się podobają i pasują. W czasie wizyty w Namparze wypija herbatę, a Demelza zamówiła u niej słomkowy kapelusz dla siebie. Później, w jasnym wieczornym słońcu, odprowadziła Rosinę w stronę wioski, wszędzie zauważając ślady wczorajszej burzy.

Zatrzymała się przy Wheal Maiden i pożegnała dziewczynę, lecz nie wróciła natychmiast do dworu. Zamiast tego obserwowała zmniejszającą się postać Rosiny, która szła przez posępne wrzosowisko w stronę kościoła w Sawle. Pomyślała, że szkoda tej miłej kobiety, ładnej, pracowitej, o zaskakująco dobrym guście i manierach, biorąc pod uwagę, kto jest jej ojcem – stale zagniewany Jacka. Demelza doskonale rozumiała sytuację Rosiny, choć w porównaniu z ojcem Demelzy Jacka wydawał się łagodnym, rozsądnym mężczyzną. Miały ze sobą wiele wspólnego: nie przypominały

rodziców, w jakiś sposób ich przerosły; ich myśli i uczucia nie pasowały do środowiska, w którym przyszły na świat.

Bóg jeden wie, czy owe cechy ujawniłyby się w Demelzie, gdyby nie przypadkowe spotkanie z Rossem na jarmarku w Redruth przed wielu laty. Gdyby nie to spotkanie, jak potoczyłoby się jej życie? Harowałyby od świtu do nocy, terroryzowana przez ojca, zajęta opieką nad młodszymi braćmi, dla których stała się matką w wieku czternastu lat. Ojciec może w końcu i tak zostałby metodystą, a Demelza zdołałaby znaleźć dla siebie jakieś miejsce w ubogim, wypełnionym morderczą pracą świecie górników. Ale nie miałyby nic porównywalnego z tym, co zdobyła po poślubieniu Rossa – choć nie była już pewna, czy w dalszym ciągu może liczyć na miłość męża.

Przynajmniej ich status materialny się nie zmienił: widziała to wokół siebie. Gospodarstwo (można je również nazwać posiadłością) zaspokajające wiele potrzeb życiowych; kopalnia pozwalająca na zakup reszty niezbędnych rzeczy i luksusowych artykułów; dwór (można tak nazwać dom w Namparze), którego skrzydło (miał tylko jedno skrzydło) niedawno powiększono i odremontowano. Czworko służących bez szemrania wykonywało polecenia Demelzy i ze wszystkimi instynktownie nawiązała relacje oparte na przyjaźni i szacunku. Miała dwoje wspaniałych, pięknych dzieci, mieszkała w pięknej okolicy, w głębi doliny w pobliżu nadmorskich klifów. Niedawno skończyła dwadzieścia osiem lat – nie była jeszcze stara, gruba, wychudzona, pomarszczona. Nie miała na brzuchu rozstępów po ciążach. Jak dotychczas straciła tylko dwa zęby trzonowe, a przednie były białe, ponieważ codziennie przecierała je korzeniem prawoślazu. Obracała się w najlepszym towarzystwie Kornwalii, wśród ziemian, lecz i arystokratów, którzy traktowali ją jak kogoś równego sobie – przynajmniej tak się zachowywali. Obcowała też z górnikami i rybakami, a ci również ją akceptowali.

Miała również Rossa, tak sądziła. Ale był daleko. Zbyt długo przebywał

poza domem. Właśnie to psuło szczęście Demelzy, tkwiło w sercu jak cierń.

Próbując na razie o tym zapomnieć, usiadła na granitowym bloku pozostawionym przez metodystów po rozbiórce zabudowań starej kopalni Wheal Maiden. Znów popatrzyła za odchodzącą Rosiną, której postać stała się tak maleńka, że prawie niewidoczna. Po wczorajszej burzy niebo było olśniewająco czyste, przed nadejściem zmroku zaczęły odpływać nawet nieliczne ciemne chmury widoczne na południu, nad kościołem w Sawle. To zrozumiałe, że ludzie widzą podobieństwo między sobą a pogodą, że przypisują wichrom i burzom ludzkie cechy. Wczoraj pogoda wpadła we wściekłość, miotła przekleństwa, kłóciła się ze wszystkimi, ciskała talerzami, a teraz się uspokoiła, atak złości minął, wydawała się znużona i spokojna. Trudno uwierzyć, że to ta sama osoba.

Kłopot z Rosiną polega na tym, że jest kimś pomiędzy, stwierdziła Demelza. Ma zręczne palce i ubiera się skromnie, lecz gustownie. Nauczyła się nawet czytać i pisać, ale te umiejętności i drobne oznaki pragnienia awansu społecznego postawiły ją ponad zwykłymi górnikami czy rybakami o prostych manierach i prymitywnym stosunku do życia. Prawdopodobnie czują się przy niej onieśmieleni, uważają się za gorszych, a ona za lepszą. Znajduje się w trudnej sytuacji, bo nie spotyka ludzi z innej sfery.

Obaj młodszy bracia Demelzy przeżyli nieszczęśliwą miłość. Starszy, Samuel, zakochał się z wzajemnością w hałaśliwej, wesołej, żywotnej Emmie Tregirls, jednak podzieliła ich religia. Emma nie znosiła jego żarliwego zaangażowania w ruch metodystyczny, który stanowił treść życia Sama, a jako uczciwa młoda kobieta nie chciała udawać. Dlatego wyjechała i została pokojówką w Tehidy kilkanaście kilometrów dalej. Wydawało się, że pod pewnymi względami Rosina byłaby dla Samuela znacznie lepszą kandydatką na żonę od Emmy. Należało go tylko do tego przekonać.

Ludzi nigdy nie da się poszufladkować. Kiedy Demelza spostrzegła, że

doszło do całkowitego impasu, sama zasugerowała, by Emma wyjechała i spotkała się z Samuelem dopiero po roku. Emma dostała nową pracę dzięki Demelzie. Byłoby niezręcznie szukać Samuelowi żony przed upływem roku.

Pozostawał Drake, najmłodszy brat. Był w znacznie gorszej sytuacji, ponieważ zakochał się w kuzynce Elizabeth Warleggan, Morwennie Chynoweth, która poślubiła wielebny Osborne'a Whitwortha, proboszcza kościoła Świętej Małgorzaty w Truro, i miała w tej chwili dwuletniego syna. Drake popadł w przygnębienie, ale ponieważ sytuacja z Morwenną wydawała się beznadziejna, znacznie łatwiej można by go z kimś wyswatać. Morwenna odeszła na zawsze. Sakrament małżeństwa jest nierozzerwalny i nawet jeśli czuje się nieszczęśliwa jako żona proboszcza, nigdy od niego nie odejdzie i nie zamieszka z Drakiem wbrew prawom i zasadom obowiązującym w Anglii.

Drake znajdował się w beznadziejnej sytuacji i wiedział o tym od prawie trzech lat, które przeżył w stanie melancholii, nawet nie spoglądając na inne kobiety. Dwa lata wcześniej Ross kupił mu niewielkie gospodarstwo i kuźnię odległą o półtora kilometra od St Ann's, więc Drake był w tej chwili szanowanym rzemieślnikiem i jedną z najlepszych partii w okolicy. Mimo to nawet nie spojrzął na żadną dziewczynę, przynajmniej nie tak, jak to zwykle robią młodzi mężczyźni. Był martwy emocjonalnie i psychicznie, skazany na jałowe starokawalerstwo; nieustannie myślał o młodej kobiecie, którą na zawsze stracił. Co więcej, nikt nie mógł być absolutnie przekonany, że gdyby małżeństwo doszło do skutku, okazałoby się udane. Morwenna była zamkniętą w sobie, nieśmiałą, starannie wykształconą dziewczyną, córką dziekana Kościoła anglikańskiego. Między nią a Drakiem istniała jeszcze większa różnica społeczna niż między Rosiną a okolicznymi górnikami. Czy mogłaby zostać żoną kowala, gotować posiłki, pracować, szorować podłogi? Z pewnością szybko by jej się to znudziło.

Co prawda Drake miał dopiero dwadzieścia dwa lata – w tym wieku trzy lata to bardzo krótki okres – ale Demelza nie ufała pustce, bo wydawało się, że niesie ona ze sobą ryzyko; że Drake może się stać melancholikiem. Był zawsze bardzo miły, lecz okropnie brakowało jej jego poprzedniej wesołości. Kiedyś wręcz tryskał humorem. Ze wszystkich braci najbardziej przypominał Demelzę, umiał znajdować przyjemność w drobnych rzeczach.

Odgrywanie roli swatki mogło być ryzykowne i prawdopodobnie bezużyteczne. Nikt nie jest w stanie wykrzesać iskry, gdy kamień jest wilgotny. Niedawno Demelza usłyszała skomplikowany zwrot i kiedy zrozumiała jego znaczenie, bardzo jej się spodobał. Sprzyjające okoliczności. Nie należy robić niczego konkretnego ani oczywistego. Niczego, co mogłoby się komuś nie spodobać. Wystarczyło zaaranżować sytuację, by pojawiły się sprzyjające okoliczności. Później trzeba czekać i obserwować, czy pojawią się jakies rezultaty.

Demelza była prawdopodobnie jedyną osobą, która mogła stworzyć sprzyjające okoliczności. Powinna się zastanowić, jak zrobić to najskuteczniej.

Ze wschodu wiał lekki wietrzyk. Wstała, by iść do domu. Przez wrzosowisko jechał samotny jeździec. Odwróciła się i ruszyła w stronę Nampary, pocieszona myślą o tym, co mogłaby zrobić. Wiele lat wcześniej ściągnęła na siebie kłopoty, aranżując spotkania między Verity, siostrą stryjeczną Rossa, a kapitanem statku pocztowego z Falmouth, człowiekiem o złej reputacji. Doprawdy, powinna być ostrożniejsza i nie wtrącać się w cudze sprawy. Ale czy w końcu nie postąpiła słusznie? Verity jest teraz żoną kapitana marynarki i do tego małżeństwo okazało się szczęśliwe. Czy można było liczyć na lepszy rezultat?

Przystanąła, uniosła spódnicę i popatrzyła na zgięcie kolana, gdzie ją zaswędziało. Okazało się, że to mrówka, która zboczyła z kamiennego murku

i zapuściła się w niedozwolone rejony. Demelza strzepnęła ją palcem i opuściła spódnicę. Jednak nie poszła dalej. Dziwne uczucie w żołądku. Kto mógłby jechać konno o zmroku w dolinie Nampary? Czy wygląd jeźdźca nie wydaje się znajomy? Och, nonsens, Ross napisałby list. Przysłałby jakąś wiadomość. Gimlett wyjechałby mu na spotkanie do Truro. Sesja parlamentu jeszcze się nie skończyła. To na pewno jeden z Treneglosów. Albo sąsiad zaproszony przez Rossa i Demelzę. Tą drogą można dotrzeć do kilku miejsc. Do przysiółka Mellin, Nampary i dworu Mongoose, to wszystko. Dalej, na północnym wschodzie, rozciągają się wydmy.

Ruszyła w stronę grzbietu wzgórza. Stała przed kaplicą, osłaniając oczy, choć światło świeciło za jej plecami. Postać wyraźnie się zbliżyła. Nie widziała konia, ale poznała jeźdźca.

Z rozwianymi włosami zbiegała ze wzgórza na spotkanie, potykając się na nierównej drodze.

Rozdział drugi

I

Na kilka godzin przed przybyciem do domu drugiego znużonego pasażera dyliżansu pierwszy dotarł do celu swojej podróży, plebanii kościoła Świętej Małgorzaty w Truro, lecz nie wybiegła mu na spotkanie długonoga, stęskniona młoda kobieta.

Nie czuł zawodu, bo nie spodziewał się radosnego powitania. Szczególnie ze strony żony, która, niestety, postradała zmysły.

Była to udręka dla wielebnego Osborne'a Whitwortha, jego krzyż. Bardzo wczesnie stracił pierwszą żonę, darzącą go szczerym uczuciem, uroczą, choć nieodpowiedzialną, po czym szybko znów się ożenił, by zapewnić dwóm osieroconym córeczkom matkę. Pragnął mieć towarzyszkę życia, młodą kobietę, która dbałaby o dom, wspierała w dobrych i złych chwilach, a ponadto pomogła uniknąć grzechu cudzołóstwa i połączyła się z nim cieleśnie zgodnie z przykazaniami Kościoła. Poza tym powinna począć i urodzić Osiemu następne dzieci – zwłaszcza syna – w bojaźni Boga i dla chwały Jego Świętego Imienia. Podejmując tę decyzję, w naturalny sposób poszukiwał panny z odpowiednimi koneksjami i posagiem.

Kierując się rozsądkiem, miłością Boga, odpowiedzialnością i zmysłem praktycznym, wybrał Morwennę Chynoweth. Wysoka, nieśmiała osiemnastolatka o śniadej cerze, niezbyt ładna według zwyczajowych standardów, lecz obdarzona idealnym, pięknym ciałem. Urodziła się w dobrej

rodzinie: była córką nieżyjącego już dziekana z Bodmin; była również kuzynką żony George'a Warleggana. Warlegganowie nie pochodzili z dobrej rodziny, choć bardzo się starali za takich uchodzić... lecz byli niezwykle bogaci i nieustannie pomnażali majątek. Po dłuższych targach George obiecał ufundować posag, czyniąc małżeństwo realnym. Było oczywiste, że zdaje sobie sprawę z korzyści, jakie przyniesie mu koligacja z rodziną tak wybitną jak Whitworthowie, krewni Godolphinów.

W ten sposób zaaranżowano małżeństwo, które doszło do skutku, a zastrzeżenia Morwenny zlekceważono. Uznano, że dziewczyna w tym wieku nie może być pewna swojej decyzji. Kobieta pozbawiona perspektyw powinna traktować taki związek jako początek nowego życia. Nikt przy zdrowych zmysłach nie może odrzucić takiej propozycji. Ossie był całkowicie pewny, że jego męskie walory sprawią, iż narzeczona będzie go adorować. Naturalnie nie miało to większego znaczenia, ponieważ pożądanie i zaspokojenie fizyczne to cechy męskie, a kobieta powinna być zadowolona, że poświęca się jej odpowiednią uwagę, i nie oczekiwać szczególnej przyjemności.

Na początku małżeństwa Ossie nie zauważył żadnych ostrzegawczych sygnałów. Morwenna oddawała mu się pięć razy w tygodniu i nie zwrócił uwagi na to, że czasem wyraz jej twarzy był daleki od miłego. Później urodziła dziecko, do tego syna, zdrowego, pełnego energii, silnego, łakomego noworodka, którego Osborne natychmiast uznał za swojego potomka i dziedzica duchowego. Jednak ciężko przeżyła poród i w tym okresie ujawniły się pierwsze oznaki obłąkania. Jej lekka awersja do aktu prokreacji zmieniła się we wściekły opór i zachęcana radami nieznośnego szarlatana, doktora Dwighta Enysa, odmawiała mężowi jego słusznych praw.

Najgorsze przyszło później. Namówiła Ossiego, by zatrudnił jej najmłodszą siostrę Rowellę, która zamieszkała w domu, by opiekować się dziećmi. W przystępie błyskawicznie narastającego szaleństwa Morwenna wyobraziła

sobie, że doszło do romansu między Rowellą a Osborne'em. Pewnego wieczoru zaczęła na niego krzyczeć – z dzikim spojrzeniem, z włosami zwisającymi niczym wodorosty – że nigdy – uwaga, nigdy! – nie pozwoli mu się dotknąć. Kiedy zamierzał zignorować rozkaz wariatki, wrzasnęła, że jeśli weźmie ją wbrew jej woli, to następnego dnia – uwaga, następnego dnia! – zabije, zamorduje, uśmierci własne dziecko, Johna Conana Osborne'a Whitwortha.

Był to wyjątkowo ciężki krzyż, na który nie zasługuje żaden mężczyzna, i pastor Whitworth poważnie się zastanawiał, jakie kroki podjąć, by się od niego uwolnić. Bogaty człowiek – naprawdę bogaty człowiek bez zobowiązań religijnych – niewątpliwie z łatwością znalazłby sposób. Jednak Osborne był duchownym. Ludzie sądzą, że człowiek Kościoła powinien dzielnie znosić nieszczęścia: gdyby koledzy duchowni uznali, że przedwcześnie lub egoistycznie kazał – hm – zamknąć żonę w zakładzie dla obłąkanych, nie pomogłoby mu to w karierze. Wkrótce powinien pojechać do Exeter, otworzyć serce przed biskupem i wysondować, czy potrafi go przeciągnąć na swoją stronę. Byłby to znaczący krok naprzód, lecz powinien postępować ostrożnie. Ten idiota Behenna nie chce pomóc i twierdzi, że pani Whitworth cierpi tylko na okresowe napady melancholii.

Ossie w milczeniu podązał na ciężkich nogach za służącym i dotarł prawie do brzegu rzeki, gdzie wśród błota i drzew stał stary kościół z plebanią. Kiedy wszedł do salonu na parterze, zobaczył Morwennę siedzącą w promieniach słońca przy oknie z robótką.

Dziewczyna wstała na jego widok.

– Osborne. Przybyłeś trochę wcześniej, niż się spodziewałam. Napijesz się herbaty?

– Dylizans odjechał wcześniej. – Podeszedł do gzymsu kominka, gdzie leżały trzy listy, które przyniesiono na plebanię pod jego nieobecność. – Gdzie John?

– W ogrodzie z Sarah i Anne.

– Nie powinnaś zostawiać go bez opieki. Rzeka jest niebezpieczna.

– Nie jest pozbawiony opieki. Towarzyszy im Lottie.

(Lottie była dziewczyną zatrudnioną na miejsce wyuzdanej siostry Morwenny, która poślubiła w niesławie tamtejszego bibliotekarza o nazwisku Solway i nazywała się teraz Rowella Solway. Lottie miała dziobatą twarz, była niezdarna, lecz wszystko było lepsze niż bezczelna, zdemoralizowana istota, która wcześniej zajmowała się synem Whitwortha).

Ossie wyjął zegarek.

– Domyślam się, że jadłaś już obiad – rzekł ponuro. – Jest coś do jedzenia? Założę się, że nic.

– Mamy kurczę i ozór. Poza tym kawałek giczy baraniej, zapiekanki i trochę szarlotki.

– Wszystko źle przyrządzone i całkowicie pozbawione smaku, wiem – rzucił Ossie. – Dopiero po spożyciu kilku posiłków w wielkich rezydencjach człowiek zdaje sobie sprawę, jakie prymitywne jedzenie musi jadać we własnym domu.

Morwenna spojrzała na męża.

– Czy w Tregrehan coś poszło niedobrze?

– Słucham? Naturalnie, że wszystko poszło dobrze! Dlaczego miałabyś podejrzewać, że coś poszło niedobrze? – Ossie obejrzał listy. Poznał po sztywnym charakterze pisma, że jeden z nich przysłał Nat Pearce, stary dureń cierpiący na podagrę, który niewątpliwie zaprasza go na wista. Drugi, napisany przez jednego z administratorów parafii, prawdopodobnie zawierał jakąś małosłowną skargę. Na trzecim nazwisko i adres napisano ładnym charakterem, a lakowa pieczęć nie miała żadnych oznaczeń. Ossie spojrzał na list i napotkał wzrok żony. W ostatnim czasie stała się wyjątkowo niechlujna, miała rozczochrane włosy, a suknia wyglądała, jakby w niej spała. Kolejne

oznaki narastającego obłądu. Naprawdę musi wyrzucić presję na Behennę. Nie był zupełnie pewien, czy rzeczywiście wierzy w groźbę zabicia Johna, gdyby skorzystał ze swoich praw małżeńskich, ale... ale... nie ośmielił się uznać tego za blef. Jeśli jednak Morwenna będzie dalej się staczać i zacznie mieć urojenia – na przykład dzikie fantazje, że miał jakieś stosunki z jej odrażającą siostrą – może uznać, że napastował ją wbrew jej woli. Czy John będzie wtedy bezpieczny?

– Miałeś męczącą podróż? – spytała Morwenna, zmuszając się do okazania troski, której nie czuła. Ponadto chciała wy badać, dlaczego Ossie jest w wyjątkowo złym humorze.

– Męczącą? Tak, rzeczywiście była męcząca. – Ossie przypomniał sobie o pchłach i odruchowo się podrapał. – Dyliżanse są koszmarnie, roi się w nich od pcheł, rybików i stonóg. Nigdy nie wykadzają ich dymem ani nawet nie trzepią siedzeń. Następnym razem wynajmę karete... Jechał ze mną ten zuchwały drobny ziemianin, Poldark.

– Poldark? Masz na myśli Rossa Poldarka?

– Kogóż innego? Jest tylko jeden Poldark, prawda? Niechaj Bogu będą dzięki. Arogancki i bezczelny jak zawsze.

– Przypuszczam, że wracał z Londynu, z Izby Gmin.

– Naturalnie wraca zbyt wcześnie. George nie zaniedbywał swoich obowiązków w taki sposób, gdy był parlamentarzystą. Niewątpliwie Poldark ma kłopoty z kopalnią lub coś w tym rodzaju. – Whitworth złamał pieczęć trzeciego listu.

– Mówił o tym?

– O czym? – Ossie wpatrywał się w list.

– O tym, że ma kłopoty z kopalnią.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie bezpośrednio. – Doskonale znał ten charakter pisma. Równie schludny i precyzyjny jak pismo pana Pearce'a, lecz

nie tak ozdobny. Mimo woli zabiło mu serce.

Drogi Pastorze!

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan, iż piszę po tak długiej przerwie, lecz mam nadzieję – w istocie rzeczy modłę się o to co wieczór – że upływ dwóch lat złagodził niechęć, jaką niegdyś Pan do mnie żywił. (Zapewniam jednak, że ja zawsze odczuwałam wobec Pana i siostry jedynie wdzięczność za miłą gościnę pod Waszym dachem i za okazaną mi dobroć i troskę).

Wiele razy usiłowałam się spotkać z Morwenną, lecz nigdy nie chciała mnie przyjąć. Pewnego dnia, gdy spróbowałam odezwać się do niej na ulicy, spojrzała na mnie chłodno i odeszła. Sądząc na tej podstawie, nie przypuszczam, że będę kiedyś mile widzianym gościem w Pańskim domu lub Pańskim kościele. Rozumiem również, że zawarcie przeze mnie małżeństwa z człowiekiem o znacznie niższym statusie to dodatkowa przeszkoda na drodze do pojednania. Mieszkamy jednak w tym samym mieście, musimy się czasem widywać, chciałabym więc, by wzajemna wrogość dobiegła końca. (Moja kuzynka Elizabeth Warleggan przyjmuje mnie od czasu do czasu i gdybyśmy kiedyś przypadkiem się u niej spotkali, uniknęlibyśmy zażenowania, jeśli moglibyśmy się powitać bez oczywistego chłodu lub niesmaku). Jeżeli ma Pan wpływ na Morwennę, proszę, by spróbował Pan ją do tego przekonać.

Pastorze, minęły już dwa lata, odkąd opuściłam Pański dom, by poślubić Arthura. Przez nieuwagę zabrałam wówczas wraz z własnymi kilka Pańskich księzek. To dwa tomy rozpraw Latimera i zbiór kazań Jeremy'ego Taylora. Często chciałam je zwrócić, lecz nie wiedziałam, jak to zrobić, by nie wydać się natrętną. Jeśli zapukam do drzwi Pańskiego domu, wiem, że nie zostanę wpuszczona. Gdyby napisał mi Pan kilka słów, mogłabym zostawić książki Arthurowi w bibliotece albo, skoro często przebywa Pan w mieście i mijają moje drzwi na Calenick Street numer siedemnaście, czy mógłby Pan po nie wstąpić? Po południu jestem zwykle w domu i uznałabym to za wyjątkową łaskę z Pańskiej strony, a także znak przebaczenia.

Pozostaję, Pastorze, Pańską pełną szacunku szwagierką i służką

Rowella Solway

– Co powiedziałaś? – warknął.

– Nie wspomniałeś, czy chciałbyś zjeść posiłek od razu, czy wolisz czekać do kolacji – odparła Morwenna.

Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby miał przed sobą Rowellę. Co za impertynencja, co za bezczelność, co za tupet! Rowella zachowywała się

skandalicznie, była równie obłąkana jak jej starsza siostra. Ośmieliła się napisać taki list! Zdeprawowana, wyuzdana istota, całkowicie stracona dla Boga. Fizycznie odrażająca. Była równie apetyczna jak glista pełzająca pod kamieniem, wąż, którego należy rozgnieść podeszwą buta. Ośmieliła się do niego napisać!

– Źle się czujesz? – spytała Morwenna. – Może dostałeś letniej febry.

– Nonsens! – Odwrócił się z wysiłkiem, podszedł do lustra i poprawił halsztuk. Dłonie drżały mu z wściekłości. – Powiedz Harry’emu, że zjem od razu.

II

W wielkiej rezydencji Warlegganów w Truro obiad spożywano nieco później. W istocie niedawno się skończył i Elizabeth, smukła jak królowa elfów, wstała od stołu, zostawiając dwóch dżentelmenów nad porto.

W posiłku uczestniczyły trzy osoby. Rozmowa, którą przez cały ten czas prowadzono, była konwencjonalna i uprzejma, a starannie dobrane menu miało zaimponować gościowi. Elizabeth, obdarzona głęboko zakorzenionym wyczuciem dobrego smaku, delikatnie zwróciła mężowi uwagę, że ponieważ nie jest to uroczysty obiad z udziałem wielu gości, wydaje się zbyt wystawny, zbyt ostentacyjny. Lecz George zignorował jej ostrzeżenia. Koniecznie chciał zrobić wrażenie na nowym przyjacielu, gdyż była to jego pierwsza wizyta u Warlegganów. Pragnął, by gość podziwiał bogactwo, smak, epikureizm gospodarza. Jeśli ktoś pochodzi ze starego rodu o kilkusetletniej tradycji, może sobie pozwolić na byle jaki posiłek w jadalni wypełnionej starymi gratami. Wielu ludzi o statusie społecznym wyższym od George’a tak jadało – Hugh Bodrugan, John Trevaunance, Horace Treneglos – on zaś gardził nimi z tego powodu. Postanowił jeść inaczej, przestrzegać innych standardów niż sąsiedzi,

i skoro przyjmował ważnego gościa, chciał pokazać, co można kupić za pieniądze.

Tak czy inaczej, gość znał Warleggana i jego pochodzenie. Ostentacja nie mogła go oszukać. Trudno udawać w mieście i hrabstwie, gdzie prowadzi się rozległe interesy. Tyle że przyjaźń mogła przynieść ogromne korzyści i gościa należało uhonorować już w czasie pierwszej wizyty.

Elizabeth ustąpiła.

Kilka dni wcześniej gość obchodził czterdzieste urodziny. Był dość wysokim mężczyzną z siwiejącymi włosami zaczesanymi za uszy. Pulchna, dobrodusznna twarz, małe oczka, które wydawały się jednocześnie wyrafinowane i chciwe. Christopher Hawkins z Trewithen, prawnik, poseł do Izby Gmin, niegdyś główny szeryf Kornwalii. Członek Royal Society, baronet, kawaler i specjalista od handlu mandatami parlamentarnymi.

Po wyjściu Elizabeth służący nalał pierwszy kieliszek portu okruczowego. Zapadła chwila ciszy, gdy dwaj mężczyźni z uznaniem smakowali trunku.

– Cieszę się, że nadarzyła się sposobność, by odwiedził pan nasz dom – powiedział George. – Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby zechciał pan przenocować.

– Jestem zobowiązany, ale mam do domu zaledwie dwie godziny drogi, a rano chciałbym się zająć pewnymi sprawami – odparł Hawkins. – Cudowne porto, panie Warleggan.

– Dziękuję. – George powstrzymał się od podania ceny butelki. – Mam jednak nadzieję, że innym razem będzie pan w stanie tak zaaranżować swoje sprawy, by spędzić z nami dzień lub dwa, albo w Cardew, gdzie mieszka mój ojciec, albo w Trenwith na północnym wybrzeżu Kornwalii.

– Dawny dwór Poldarków...

– Tak. A wcześniej Trenwithów...

Hawkins wypił kolejny łyk.

– Bardzo dawno, z pewnością. Ostatnia dziedziczka rodu Trenwithów

poślubiła jednego z Poldarków przeszło sto lat temu, prawda?

– Tak mi się zdaje – odparł krótko George.

– Tak, dwory czasem przechodzą z rąk do rąk. To nic nadzwyczajnego. Jeden z Boscawenów ożenił się z Joan de Tregothnan i zamieszkał w jej dworze. Killgrew poślubił pannę Arwenack. Zaraz, zaraz, przecież jest jeszcze jeden Poldark, prawda?

– Geoffrey Charles. Tak. Uczy się w Harrow.

– Syn Francisa, owszem. Nie wspominając o Rossie Poldarku, który mieszka kilka kilometrów na wschód od pańskiego majątku. On także ma syna.

George uważnie przyjrzał się gościowi, próbując odgadnąć, czy Hawkins wspomniał o Rossie Poldarku ze złośliwości, czy przez nieuwagę. Ale z twarzy sir Christophera niełatwo było coś wyczytać.

– Po osiągnięciu pełnoletności Geoffrey Charles z natury rzeczy odziedziczy Trenwith – stwierdził George. – Choć nie będzie miał odpowiednich dochodów, by utrzymać posiadłość. Kiedy mój ojciec... Jeśli coś się stanie z moim ojcem, przeprowadzę się z Elizabeth do Cardew. Tamtejszy dwór jest znacznie większy i trochę przypomina pański. Otaczają go piękne drzewa, znajduje się na południowym wybrzeżu.

– Nie wiedziałem, że zna pan mój dom.

– Tylko z opowiadań.

– Należy to zmienić – rzekł uprzejmie Hawkins.

– Dziękuję. – George doszedł do wniosku, że nazwisko Rossa Poldarka mogło się pojawić w rozmowie z jeszcze innego powodu, i postanowił to wykorzystać. – Oczywiście szczególnie zazdroszczę panu pewnej rzeczy, sir Christopherze.

Hawkins uniósł brwi.

– Doprawdy? Zaskakuje mnie pan. Sądziłem, że ma pan wszystko, czego może pragnąć rozsądny człowiek.

- Czasem człowiek traci rozsądek, jeśli kiedyś coś miał, a później stracił.
- Słucham? Ach...

George kiwnął wielką głową.

- Jak pan wie, przeszło rok byłem posłem do Izby Gmin.

Znów pojawił się służący, lecz Warleggan odprawił go skinieniem dłoni i sam nalał drugą kolejkę porto. Dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu przy zastawionym stole, na którym w przyćmionym świetle wpadającym przez okno lśniło srebro i szkło. Chociaż byli w podobnym wieku, bardzo się od siebie różnili – wyglądem, strojem, zachowaniem i budową ciała. Wiek nie odgrywał żadnej roli. Hawkins, pulchny, przebiegły, wyrafinowany, cyniczny, szpakowaty, robił wrażenie światowego dżentelmena, który doskonale zna ciemne strony ludzkiej natury i podstępny stosowane przez ludzi. Czuło się, że nikt go niczym nie zaskoczy. Natomiast George, mimo otaczającego go splendoru, wydawał się ciężki, nieco nieokrzesany. Bładożółty jedwabny halsztuk nie pasował do byczego karku. Pod doskonale skrojonym aksamitnym surdudem widać było potężne mięśnie ramion i pleców. Czyste, starannie utrzymane dłonie, choć niezbyt wielkie, były na tyle szerokie, że sugerowały doświadczenie w pracy fizycznej. (Nigdy nie pracował rękami). George, tak jak Hawkins, nie nosił peruki, lecz nie miał nawet śladu siwizny, a jego włosy były krótko ostrzyżone.

- Wszedł pan do parlamentu z Truro pod skrzydłami Francisa Basseta, lorda de Dunstanville'a. Kiedy Basset załagodził swój spór z lordem Falmouth, stracił pan mandat na rzecz Poldarka, przegrywając jednym głosem. To normalna sytuacja. Po sześciu miesiącach trudno znaleźć nowe miejsce w parlamencie. Ale jeśli tak bardzo panu na tym zależy, czy Basset nie ma panu nic do zaoferowania?

- Basset nie ma nic do zaoferowania.
- Doszło między panami do nieporozumień?

– Sir Christopherze, w naszym hrabstwie nie można utrzymać niczego w tajemnicy. Jest pan osobą publiczną, ma pan wiele źródeł informacji, toteż na pewno pan wie, że lord de Dunstanville przestał być moim patronem. Utrzymujemy kurtuazyjne relacje, lecz nasza współpraca, przynajmniej na gruncie parlamentarnym, dobiegła końca.

– Wolno spytać dlaczego?

– Pojawiła się rozbieżność opinii w pewnych kwestiach. Mogę spytać, czy zawsze podziela pan poglądy Francisa Basseta?

Hawkins blado się uśmiechnął.

– Prawie nigdy... ale skoro stracił pan patronat de Dunstanville'a i jest pan, jak sobie wyobrażam, choćby tymczasowo, wrogiem lorda Falmouth, ma pan niewielki wybór.

– Nie w hrabstwie, które wybiera czterdziestu czterech posłów.

Sir Christopher wyciągnął nogi. Mimo że jedli obiad na pierwszym piętrze rezydencji, turkot wozów na kocich łbach utrudniał niekiedy rozmowę.

– Jak pan wie, panie Warleggan, kontroluję trzy mandaty, ale wszystkie są obsadzone.

– Byłbym wdzięczny za pana radę.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, sir Christopherze, że jestem bogatym człowiekiem i lubię korzystać ze swojego bogactwa. Wie pan, co powiedział lord de Dunstanville w czasie niedawnego uroczystego obiadu w swoim dworze?

– Źródło jest wiarygodne?

– Powtórzył mi to jeden z gości. De Dunstanville powiedział: „Dziadek George'a Warleggana był kowalem, pracował w kuźni w Hayle i nie miał nawet szylinga. George Warleggan dzięki pracowitości i szczęściu zgromadził fortunę wartą dwieście tysięcy funtów”.

Hawkins uważnie spojrział na gospodarza zmrużonymi oczyma, lecz się nie odezwał. George uniósł wzrok i popatrzył na sir Christophera.

– W tym stwierdzeniu jest tylko jedna nieprawdziwa informacja. Kuźnia mojego dziadka nie znajdowała się w Hayle.

Hawkins skinął głową.

– Cóż, można panu pogratulować fortuny, prawda? Francis Basset na pewno myśli to samo. Nawet człowiek tak zamożny jak on nie może sobie pozwolić na pogardę wobec bogactwa innych.

– Możliwe. – George pochylił się do przodu i znów napełnił kieliszki. – Ponieważ mam pieniądze i chciałbym je wykorzystać, byłbym panu bardzo wdzięczny za radę, jak znowu wejść do Izby Gmin. – Urwał. – Oczywiście mógłbym się odwzajemnić na wiele sposobów...

Na górze płakało dziecko. (Valentine, jakby dręczony przez zmyły od najmłodszych lat, często miewał koszmarny sny).

– Gdyby zwrócił się pan do mnie przed wrześniowymi wyborami, nietrudno byłoby mi odpowiedzieć na pańskie pytanie, panie Warleggan. Rząd zwykle sprzedaje mandaty za trzy do czterech tysięcy funtów.

– Byłem wtedy posłem z Truro.

– Tak, tak, rozumiem. Ale w tej chwili...

– Nie jestem zainteresowany kupnem mandatu, tylko okręgu wyborczego. Nie chcę być chłopcem na posyłki swojego patrona. Sam chciałbym być patronem.

– To byłoby znacznie kosztowniejsze. I naturalnie nie jest to proste przedsięwzięcie. Trzeba brać pod uwagę elektorów.

– Ach, elektorów... Nie we wszystkich okręgach wyborczych. Które pan kontroluje, sir Christopherze?

– Mam wpływy w Grampound i St Michael. Prawa wyborcze przysługują mieszkańcom, którzy muszą sięgnąć do kieszeni.

– To znaczy?

– Płacą podatek na ubogich.

– Ilu ich jest w każdym z okręgów?

– Oficjalnie po pięćdziesięciu, ale w praktyce mniej.

– W jaki sposób patron wpływa na elektorów, jeśli nie jest to zbyt obcesowe sformułowanie?

– Jest właścicielem nieruchomości, w których mieszkają – odparł sucho sir Christopher.

– Ach...

– Trzeba jednak zachować ostrożność, panie Warleggan. W razie jawnego przekupstwa wybory bywają często unieważniane przez parlament, a poseł, uznany za winnego, i jego patron mogą trafić do więzienia.

George obracał monety w kieszonce na zegarek.

– Niewątpliwie zapozna mnie pan z subtelnościami tej procedury. Gdybym mógł się panu zrewanżować, udzielając pomocy w sprawach związanych z bankowością, odlewnictwem, górnictwem lub żeglugą, proszę dać mi znać. Byłaby to dla mnie wielka przyjemność.

Hawkins popatrzył na czerwone porto.

– Okoliczności zawsze się zmieniają: czasem może pojawić się okazja zdobycia pakietu kontrolnego. To kwestia szczęścia, zdolności przewidywania i okazji. Ale przede wszystkim pieniędzy. Otwierają one wiele drzwi.

– Mam pieniądze – odpowiedział George. – Wykorzystam je zgodnie z pańskimi radami.

Rozdział trzeci

I

Do domu przybył drugi znużony podróżny. Zsiadł z konia i poszedł z żoną do dworu. Zapadał zmrok, który po chwili pochłonął cały świat niczym przypływ morza zalewający plażę. Dzieci niedawno położyły się spać i Ross nie chciał ich budzić – rankiem zamierzał zrobić im niespodziankę. Spojrzał na śpiących Jeremy’ego i Clowance, a żona zapewniła go, że są zdrowi. Zeszli na dół, po czym zaczęła się krzątania: słychać było tupot stóp, brzęk noży i talerzy, gdy podawano do stołu. Zasiedli do kolacji.

W czasie posiłku rozmawiali swobodnie o codziennych sprawach. Jinny Scoble urodziła drugą córkę, której nadała imię Betty. Jack Cobbledick skaleczył stopę o bronę i leży w łóżku. Normalną koleją rzeczy należało się pozbyć dwóch świń, Przypływu i Odpływu, ale ich miejsca zajęły dwie następne, z pierwszego miotu Przypływu. Otrzymały te same imiona i dzieci już się z tym pogodziły. W zeszłym tygodniu Jud Paynter tak się upił, że wpadł do wykopanego przez siebie grobu i trzeba było go wyciągać. Ezekiel Scawen obchodził osiemdziesiąte czwarte urodziny i twierdził, że od sześćdziesięciu lat nie ma ani jednego zęba; Danielowie upiekli mu ciasto. Tholly Tregirls wdał się w szarpaninę z celnikami, ale uciekł i nie został rozpoznany. W zeszłym tygodniu napisała Verity, podobno w Falmouth panuje epidemia odry.

– Co dolega dziecku Caroline i Dwighta? – spytał Ross, który więcej jadł,

a mniej mówił.

– Sarah? O co ci chodzi?

– Tak ma na imię? Oczywiście, teraz sobie przypominam, pisałeś o tym. Jest niedorozwinięta umysłowo?

– Nie, Ross, nie! Nie ma żadnych podstaw do takich przypuszczeń! Ale Caroline miała ciężki poród i dziewczynka jest malutka. Ciągłe jest drobna i dość słaba. Dlaczego przypuszczasz...?

– Niebezpieczny osioł w szatach duchownego, Osborne Whitworth, powiedział dzisiaj coś takiego w dyliżansie z St Austell. Zasugerował, że dziecko jest niedorozwinięte i że przez cały dzień z ust cieknie mu ślina.

– Wszystkim dzieciom z ust cieknie ślina, Ross, podobnie jak staruszkom. Moim zdaniem Sarah nie różni się od innych noworodków. Na pewno powiedział to złośliwie.

– Dzięki Bogu, że to nieprawda. Są szczęśliwi w małżeństwie?

Demelza uniosła brwi.

– A mogliby nie być?

– Cóż, chwilami się o to obawiam. Całkowicie się od siebie różnią, pod każdym względem.

– Kochają się, Ross.

– Tak. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

Później Jane Gimlett przyszła posprzątać ze stołu po kolacji, a Ross i Demelza przeszli do dawnego salonu, który wyglądał i pachniał tak samo jak w dzieciństwie Rossa. Zauważył nową tapicerkę fotela i dwie nowe wazy z dzwonkami, tulipanami, pszonakami. W latach, gdy Demelza przestała być służącą, a stała się przyjaciółką, następnie żoną Rossa, pierwszą oznaką zmiany w ich relacjach było pojawienie się w pokoju kwiatów. Bardzo wyraźnie pamiętał, jak po ich pierwszej wspólnej nocy Namparę odwiedziła Elizabeth i w środku rozmowy pojawiła się Demelza – z gołymi nogami,

brzydko ubrana, rozczochrana, z bukietem dzwonek w ręce. Ofiarowała je Elizabeth, a ta prawdopodobnie coś wyczuła i odmówiła. Powiedziała, że zwiędną w drodze do domu. Po jej odejściu Demelza usiadła u stóp Rossa. Instynktowny ruch, jakby chciała potwierdzić, że należy do niej.

Cóż... od tamtej pory życie się zmieniło. Demelza również.

Z trudem zapalił fajkę od niewielkiego ognia płonącego w kominku. Zaciągnął się i usiadł wygodnie w fotelu.

– Schudłaś – powiedział.

– Naprawdę? Może trochę.

– Martwisz się śmiercią Hugh?

Spojrzała w ogień.

– Nie, Ross. Może martwię się trochę o swojego męża.

– Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

– Powinieneś, skoro o tym myślisz.

– W takim razie nie powinienem o tym myśleć.

– Może czasem nie da się tego uniknąć. Jednak mam nadzieję, że w Londynie nie myślałeś o tym, że się zamartwiam.

– Nie... Nie.

– Mówisz bez przekonania.

– Nie. Od września zeszłego roku ciągle mam wrażenie, że trudno walczyć z cieniem.

Płomień świecy zadygotał w podmuchu od strony otwartego okna.

– Nie musisz z nikim walczyć, Ross.

Spojrzał na fajkę.

– Współzawodniczyć.

– Nie współzawodniczyć. Na jakiś czas... Hugh stał się częścią mojego życia. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego go polubiłam, choć wcześniej kochałam tylko ciebie. Ale to skończone. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Bo nie żyje?

– To skończone, Ross. – Zamrugła, jakby chciała rozproszyć łzy. – Skończone.

– Tak...

– Mimo wszystko... – Wstała, jej ciemne oczy lśniły, i poszła poprawić ogień.

– Tak?

– To nie była dobra myśl.

– Ale powiedz ją, tak jak ja to zrobiłem.

– Czy to na tym polega różnica między kobietą a mężczyzną, Ross? Przez całe nasze życie musiałam walczyć nie z cieniem, tylko z ideałem – z Elizabeth. Zawsze musiałam z nią współzawodniczyć.

– Nie przez całe życie. Ale może masz rację. Co wolno kogutowi, to i kurze...

– Nie, nie, nie, nie, nie! Uważasz, że zakochałam się w Hugh, by się zemścić?! Pewnie sam w to nie wierzysz! Chodzi mi o coś innego. Ponieważ to się zdarzyło, musisz współzawodniczyć ze wspomnieniem. Ja współzawodniczyłam z inną kobietą w trakcie całego naszego małżeństwa. To nie powód, by niszczyć wszystko, co ciągle mamy.

Fajka Rossa się zapchała. Położył ją na gzymsie kominka i wstał. Po powrocie wydawał się nieco wyższy.

– Czy powinniśmy niszczyć wszystko, co ciągle mamy? Nie. Podjęliśmy taką decyzję we wrześniu zeszłego roku. Ale zabawa w posła do parlamentu, w której biorę udział, pojawiła się w szczęśliwym momencie. Rozstaliśmy się, mieliśmy czas na przemyślenia, na uporządkowanie swoich spraw, całego naszego życia.

Demelza zaczerpnęła tchu.

– I do jakiego wniosku doszedłeś?

– A ty?

– Ja podjęłam decyzję we wrześniu. Dla mnie nic się nie zmieniło. Nie mogło się zmienić.

– Cóż, jeśli chodzi o mnie – odparł Ross – jeśli chodzi o mnie, spotkałem w Londynie wiele pięknych kobiet.

– Nie wątpię.

– Uważam, że w Londynie mieszkają najpiękniejsze kobiety na świecie.

– To dość prawdopodobne.

– Co robiłaś, gdy mnie nie było?

– Co robiłam? – Demelza popatrzyła na Rossa, oburzona zmianą tematu. – Oczywiście zajmowałam się twoją kopalnią i twoimi sprawami, wychowywałam twoje dzieci na porządnym ludzi! Zajmowałam się przyziemnymi sprawami, gospodarstwem! Czekałam na twoje listy i odpowiadałam na nie! Żyłam tak jak zawsze, tylko bez ciebie! Właśnie to robiłam!

– Jak często Hugh Bodrugan próbował się wkraść do twojego łóżka w czasie mojej nieobecności?

Demelza się rozpląkała. Ruszyła w stronę drzwi.

– Zostaw mnie! Zostaw mnie samą! – zawołała, gdy zastąpił jej drogę.

Trzymał ją za przedramiona. Wyglądała, jakby chciała mu plunąć w twarz.

– Żartowałem – powiedział.

– Kiepski żart!

– Wiem. Nie możemy już nawet żartować, zbyt wiele bólu jest między nami. Mój Boże, jeszcze tak niedawno każda nasza sprzeczka kończyła się śmiechem. Straciliśmy tę umiejętność.

– Tak, straciliśmy – odparła.

Trzymał Demelzę jeszcze przez chwilę, po czym się pochylił, by ją pocałować. Odwróciła głowę, więc dotknął wargami tylko włosów.

- Zostaw mnie – szepnęła. – Jesteś obcym człowiekiem. Już cię nie znam.
- To, że ze sobą walczymy, może znaczyć, że ciągle mamy coś do stracenia
- rzekł.
- Małżeństwo bez uczucia, bez zaufania, którego oboje nadużyliśmy. Czy to ma sens?
- Nie pytałaś, jak korzystałem z czasu w Londynie, jakie kobiety miałem.
- Otarła oczy dłonią.
- Może nie mam do tego prawa.
- Cóż, mimo wszystko w dalszym ciągu jesteś moją żoną. A ponieważ nią jesteś, więc ci powiem. W pierwszych miesiącach dwa razy zaprosiłem kobiety do swojej kwatery, ale przestały mi się podobać, jeszcze zanim się rozebrały, i odprowadziłem je. Wyszły, miotając wyzwiska. Jedna powiedziała, że jestem impotentem, a druga nazwała mnie pedryłem.
- Co to znaczy?
- Nieważne.
- Mogę sprawdzić w słowniku.
- Tego nie ma w słowniku.
- Domyślam się.
- Zapadło milczenie. Ross puścił ręce Demelzy, lecz w dalszym ciągu zastępował jej drogę.
- To były ładacznice – odezwała się.
- Tak. Ale wysokiej klasy. Bardzo drogie.
- A prawdziwe damy, piękne damy?
- Były... w obiegu. Jednak żadna nie przypadła mi do smaku.
- Smakowałeś je?
- Tylko wzrokiem. I raczej z daleka.
- Żyłeś jak mnich.
- Tylko dlatego, że jesteś piękniejsza od nich wszystkich.

– Och, Ross, naprawdę cię nienawidzę! – rzekła słabym głosem. – Nienawidzę cię, kiedy mnie okłamujesz! Powiedz, czy chcesz, żebym znowu była twoją żoną. To wystarczy. Tylko nie kłam.

– Gdybym kłamał, mogłabyś to brać za prawdę, ale ty nie wierzysz w prawdę, co?

Wzruszyła ramionami, nic nie mówiąc.

– Och, gdyby chodziło o galerię obrazów, trzech na pięciu mężczyzn prawdopodobnie wybrałoby to samo malowidło co ja – odpowiedział. – Nie chodzi o wygląd, tylko o to, co się pod nim kryje. O to, by, mimo że się kogoś dobrze zna, chcieć go znów poznać, o całkowite oddanie, jedyną w swoim rodzaju iskrę, która rozpala płomień między dwojgiem ludzi... Kto wie, czy ich ogrzeje, czy spali? – Urwał i spojrzał na Demelzę, marszcząc brwi. – Kiedy wracałem do domu, nie miałem pojęcia, co się stanie. W tej chwili nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek będziemy jeszcze się razem śmiać – tak jak dawniej. Chcę cię, chcę, lecz w dalszym ciągu jest we mnie gniew i zazdrość. Trudno się ich pozbyć. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Nie mogę obiecać, że jutro będzie między nami to albo tamto. Jestem pewien, że ty też nie. Masz rację, mówiąc, że jestem obcym człowiekiem. Ale takim, który zna każdy centymetr twojej skóry. Musimy od tego zacząć, w jakimś sensie zacząć na nowo.

II

Nazajutrz Ross wstał o czwartej rano. Oddech Demelzy był regularny jak tykanie metronomu. Ross wyszedł z sypialni i ruszył w dół po schodach. Na dworze budził się dzień, lecz w domu w dalszym ciągu panował półmrok. Czaił się w kątach, jakby zamierzał podstawić człowiekowi nogę.

Ross wyszedł z domu, stanął w cieniu bzu i słuchał sennego ćwierkania

zięb i wróbli. Gdzieś przy drodze głośno śpiewał w głogach kos, ale wokół domu ptaki budziły się wolno. Powietrze było czyste i rześkie. Ross wdychał je jak eter. Później okrążył dwór. Na tyłach rozległo się muczenie krowy i chrupkanie świni. Przeszedł przez furtkę w murku i podążył na plażę. Na początku kroczył po sypkim piasku, lecz chwilę później stąpał po twardej powierzchni, z której cofnęła się woda.

Odpyw dopiero się zaczął. Fale były niskie, choć gwałtowne, i na linii przyboju unosiły się nad nimi chmury pyłu wodnego. Zrzucił szlafrok i pantofle ranne i wszedł do wody. Morze było jak skalpel chirurga, lodowate i ostre; była wprawdzie połowa maja, ale zmarzł do szpiku kości, nim trochę się rozgrzał. Pływał pięć minut, a potem wyszedł z wody – zdyszany i zaczerwieniony. Miał wrażenie, że urodził się na nowo. Okręcił się szlafrokiem, gdy nad wydmami pojawiły się pierwsze promienie słońca, ozłacając szczyt komina w Namparze.

Był w nastroju do wspomnień. Na dzień przed poznaniem Demelzy też pływał po nocy spędzonej z ładacnicą Margaret po balu w Truro. Poszedł się wykapać, by zmyć z siebie miazmaty nocy. Nie tym razem. „Żadnej rozrzutności ducha, w trwonieniu bezwstydnym”¹. Banalne wydarzenie, na miłość boską: znów sypiał z żoną. Dobry temat na rubaszny dialog w jednej z modnych sztuk teatralnych w Londynie.

Lecz nie stało się to, czego się spodziewał. Czego powinien się spodziewać? Mimo odważnych słów, które wypowiedział wcześniej, może braku zaangażowania ze swojej strony? Albo, co prawdopodobniejsze, przyływu złości, gdy odzyskał prawo do czegoś, co od dawna stało się niedostępne i co prawie utracił. Skończyło się na czułościach. W jakiś sposób zwyciężyły wyśmiewane emocje i przekształciły wszystko w łagodność. Musi o tym pamiętać niezależnie od tego, co się stanie dziś albo jutro, gdyby nawet ujawniły się skrepowanie, niechęć, złość albo pretensje. Wiedział, że Demelza

również będzie pamiętać. Gdyby można było tylko zapomnieć o widmach przeszłości...

Kiedy wrócił do domu, wszyscy jeszcze spali, chociaż Gimlettowie i reszta służących wkrótce powinni wstać. Dzieci i Demelza wstawali później. Ross się ubrał i znowu wyszedł. Świeciło słońce, lecz z zachodu nadpływały ławice obłoków przypominające rzędy maszerujących górników w czasie zamieszek. Poszedł do Wheal Grace. Maszyna parowa nieustrudzenie pracowała, wypompowując wodę stale zbierającą się na poziomie odpływowym kopalni. Szczękały koła zębate kruszące rudę. Ross zamierzał pogawędzić z jednym z braci Curnowów, który w tej chwili miał dyżur w maszynowni; jednak w ostatniej chwili zmienił plany i ruszył w stronę wioski Grambler. Rozpierała go energia, czuł uniesienie, którego ostatnio rzadko doznawał. Wybrzeże Kornwalii całkowicie różniło się od hałaśliwych, brudnych ulic Londynu. Może kontrast ten był niezbędny, by docenić piękno rodzinnych stron.

Henshawe, nadsztygar Wheal Grace, mieszkał na końcu ubogiej wioski z nieregularnie rozsianymi chatami. Zgodnie z przewidywaniami Rossa już wstał.

– Ach, kapitan Ross! Nie miałem pojęcia, że tak szybko pan wróci. Idzie pan do kopalni, prawda? Pójdę z panem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Może najpierw napije się pan herbaty?

Wyszli dopiero przed szóstą i dotarli do kopalni w czasie zmiany szychty. Górnicy znający Rossa zebrali się wokół niego, paplali, żartowali, zadawali pytania i opowiadali miejscowe plotki. Mimo to zauważył oznaki rezerwy, których wcześniej nie było. Kornwalijczycy są z natury ludźmi niezależnymi, nieprzyzwyczajonymi do unizonego odnoszenia się do ziemian, jak to mają w zwyczaju mieszkańcy środkowej Anglii, a ponadto wielu z nich przyjaźniło się z Rossem w dzieciństwie. Joshua, ojciec Rossa, w odróżnieniu od Charlesa, pozwalał synowi bawić się z miejscowymi wieśniakami, toteż jako

chłopcy łowili razem ryby, uprawiali zapasy, organizowali pikniki, bawili się na wydmach, a później żeglowali do Francji, skąd szmuglowali brandy i rum. Nawet wtedy, gdy w wieku dwudziestu czterech lat Ross wrócił z Ameryki jako utykający weteran wojenny z blizną na twarzy, miał dobre relacje z mieszkańcami okolicy, którzy zdawali sobie sprawę z różnicy statusu, lecz w dużej mierze ją ignorowali. Teraz coś się zmieniło i Ross rozumiał przyczynę. Przyjmując propozycję wicehrabiego Falmouth i zostając jednym z posłów do Izby Gmin z Truro, stał się ważną osobistością. Nie był zwykłym sędzią pokoju, który uczestniczy w rozprawach sądowych w sprawach drobnych wykroczeń – został członkiem parlamentu, a parlament uchwała prawa obowiązujące w całym kraju. Kornwalijscy wieśniacy uważali zapewne, że wiele z tych praw jest niepotrzebnych, gdyż liczą się tylko prawa boskie.

Nie jadł jeszcze śniadania i był głodny, ale wydawało się, że powinien wziąć kask i świecę, zejść do kopalni i obejrzeć nowe wyrobiska. To powinno przywrócić dawną koleżeńską atmosferę. Poza tym Henshawe nie przekazał najlepszych wiadomości i Ross chciał zobaczyć wszystko na własne oczy.

Jednak na razie musiał zaczekać. Do kopalni schodzili górnicy, kierowali się w dół po drabinach na głębokość sześćdziesięciu metrów, gdzie mieli spędzić osiem godzin. Ross czekał na Henshawe'a, gdy usłyszał czyjeś lekkie kroki i się odwrócił. Była to Demelza z Jeremym i Clowance.

– Przeprowadziłam panu dwoje przyjaciół, kapitanie Poldark – powiedziała, po czym dzieci rzuciły mu się na szyję.

III

– Nie wiedziałam, czy ci mówić, czy nie – rzekła Demelza. – Nadsztygar Henshawe przyszedł i wszystko mi powiedział, ale ponieważ nie pisze zbyt

dobrze, pomyślałam, że przekażę ci jego słowa.

Zbliżała się pora obiadu. Siedzieli na starym murku koło furtki, spoglądając na plażę Hendrawna. Dzień był zimny i Demelza narzuciła na ramiona pelerynę. Dzieci zeszły na plażę, były daleko, na skraju wody. Pilnowała ich Betsy Maria.

– Moim zdaniem nie jest tak źle, jak przypuszcza Henshawe. To prawda, że południowa żyła – ta, którą znaleźliśmy na początku i która była źródłem naszego bogactwa – niespodziewanie stała się cienka. Wszystkich to zdziwiło, bo zaczyna się na wielkiej głębokości i nie było powodów do przypuszczeń, że jej grubość się zmieni. Okazało się inaczej. Jakość rudy również się pogorszyła. Ale jeśli będziemy staranni, mamy jeszcze pracę na cały rok, nawet gdybyśmy nie znaleźli odgałęzień. Jednak północną żyłę – wręcz pokład – dopiero zaczynamy eksploatować. Tak się przynajmniej zdaje. Ponieważ w przypadku pierwszej żyły się pomyliliśmy, należy się wstrzymać z osądem drugiej. Z pewnością jest tam dość rudy na kilka lat pracy. Przedsiębiorca górniczy nie może mieć nadziei na nic więcej.

– W takim razie może nie powinnam ściągać cię do domu.

– Nie wróciłem tylko z powodu kopalni. Byłem zmęczony Londynem. Nie masz pojęcia, Demelzo, bo sama tego nie przeżyłaś, ale ten nieustanny hałas, ruch, smród, krzyki, gwar, brak powietrza są nie do zniesienia. Jeden dzień, nawet pół dnia tutaj sprawia, że czuję się nowym człowiekiem.

– Cieszę się.

Był nów i trwał odpływ, więc plażę pokrywały łachy twardego piasku, a dalej widać było białą plamę przyboju. Betsy Maria i dwoje dzieci byli małutkimi figurkami niemożliwymi do rozpoznania.

– Już dawno nie rozmawiałeś ze mną tak jak wczoraj wieczorem i dziś rano – powiedziała Demelza. – Może to wpływ mów, które wygłaszałeś w parlamencie.

– Mów, cha, cha...

– Opowiedz mi o Londynie. Jak wygląda? Miałeś wygodną kwaterę? Nie pisałeś tego, by mnie oszukać?

– Nie, pokoje były dobre. Pani Parkins to wdowa po krawcu. George Street odchodzi od Strandu w pobliżu Adelphi Buildings i jest dość cicha w porównaniu z głównymi ulicami. Płaciłem osiemnaście szylingów tygodniowo – wspominałem o tym? – a w pokojach były dywany i meble. Jadłem głównie w gospodach i podobnych miejscach. Lecz pani Parkins przyrządzała mi posiłki, gdy o to prosiłem. To dość daleko od Westminsteru, ale zawsze są promy, którymi można przepłynąć rzekę.

– Jak wygląda parlament?

– To hybryda, połączenie świątyni i areny do szczucia niedźwiedzi. Do sali obrad wchodzi się przez Westminster Hall, piękny, wysoki budynek, jednak sama sala obrad przypomina kościół w Sawle, choć ławki są zwrócone do siebie, a nie w stronę ołtarza. Czasami jest straszliwy tłok, czasami jest pusto. Obrady zwykle zaczynają się o trzeciej i mogą trwać do północy. Ale omawiane kwestie w większości dotyczą problemów lokalnych i dziwne, że nie można ich załatwić na miejscu. Na przykład ktoś zgłasza ustawę o budowie nowej drogi w wiosce Deptford. Druga dotyczy podziału parafii Świętego Jakuba w Bristolu i budowy kościoła. Następna melioracji nisko położonych gruntów w jakiejś parafii w East Riding w Yorkshire. Często zadawałem sobie pytanie, co robię w tym miejscu i czym powinienem się zajmować oprócz pilnowania interesów parafii w Sawle?

Demelza zerknęła z ukosa na męża.

– Z pewnością są też ważne sprawy?

– Były ważne debaty, tak. Pitt wprowadził podatek dochodowy, by przeciwdziałać, jak to nazwał, haniebnym malwersacjom i skandalicznym oszustwom. Ma wynosić dwa szylingi od funta w przypadku dochodów

powyżej dwustu funtów. Pitt liczy, że podatek przyniesie dziesięć milionów funtów i umożliwi finansowanie wojny. Przemawiał nieznośnie długo.

– Głosowałaś za tym?

– Nie. Uważałem to za zbyt wielkie naruszenie prywatności.

– A debata o niewolnictwie?

– Co masz na myśli?

– W kwietniu Wilberforce zgłosił wniosek, prawda?

– Odrzucono go niewielką liczbą głosów. Osiemdziesiąt siedem do osiemdziesięciu trzech.

– Przemawiałaś w tej sprawie?

Ross odwrócił się i popatrzył na żonę.

– Kto ci o tym powiedział?

– Myślę, że powinniśmy iść po dzieci – stwierdziła Demelza, osłaniając oczy. – Inaczej spóźnią się na obiad.

– Prawie nie zabierałem głosu. Było to krótkie wystąpienie, trwało zaledwie pięć minut. Nie przypadło do gustu obu stronom sporu.

– Czytałam coś innego.

– Nie pisali o tym w „Sherborne Mercury”.

– Nie, w innej gazecie.

– Jakiej?

– Nie znam tytułu. Unwin Trevaunance wyciął artykuł, wysłał sir Johnowi, a ten mi go przekazał.

Ross wstał.

– Mam zawołać dzieci?

– Nie, wiatr wieje w naszą stronę. Chodźmy do nich.

Ruszyli po szorstkiej trawie i kamieniach, po czym zeszli na plażę.

– Dlaczego twoja mowa nie została dobrze przyjęta, Ross? Przeczytałam ją. Wyraża twoje poglądy. Miałam wrażenie, że słyszę twój głos.

– W lutym dwa razy spotkałem się z Wilberforce’em – powiedział Ross. – To miły, serdeczny, religijny człowiek, ale o dziwnie ciasnych poglądach. Znasz przysłowie, które brzmi: „Zmieniając świat, zacznij od siebie”. Cóż, on tak nie uważa. Wręcz przeciwnie. Należy zacząć od zagranicy. Wpada w gniew, gdy mówi o warunkach, w jakich żyją niewolnicy, i o statkach, które ich transportują, jednak nie przejmuje się losem własnych rodaków. On sam i wielu jego zwolenników popierają ustawy o polowaniach. Wilberforce popiera działania Pitta, by ograniczyć swobodę wypowiedzi, i chciałby utrzymać dochody biedoty na niskim poziomie. Tamtego dnia nie miałem przygotowanej mowy – ciągnął Ross, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na morze. – Wstałem i poprosiłem o głos, co było szaleństwem. Musisz wiedzieć, że kiedy jeden z posłów kończy przemawiać, zwykle wstaje kilku innych i przewodniczący izby może udzielić głosu, komu chce. Może wybrał mnie dlatego, że byłem nowym członkiem parlamentu. Bardzo dziwnie się czułem. To niezwykle doświadczenie. Człowiek ma wrażenie, że jest uczestnikiem nabożeństwa, który wstaje i przemawia, podczas gdy reszta ludzi rozsiadła się na ławkach i plotkuje. Dryfowałem w morzu twarzy, kapeluszy, wysokich butów, zgarbionych ramion...

– Mów dalej...

– Mówię dalej, tak jak tamtego dnia. Muszę przyznać, że się nie jękałem ani nie zaciąłem, ponieważ paradoksalnie poczułem się zirytowany własną tremą. A zatem wstałem i – oczywiście – poparłem ustawę Wilberforce’a. Podobnie jak Canning. Podobnie jak Pitt. Podobnie jak każdy człowiek mający choć odrobinę serca. Argumenty przeciwników były obrzydliwie pokrętne.

– Powiedziałaś to.

– Powiedziałem. Ale po trzech lub czterech minutach przemowy zapragnąłem potrząsnąć tymi wszystkimi ludźmi, każdym z osobna, by zrozumieli, że zło istnieje bezpośrednio wokół nich. Powiedziałem, że nie

chodzi o to... Zresztą czytałaś tekst przemówienia.

– Mów dalej.

– Nie przemawiałem jako chrześcijanin: wszyscy członkowie Izby Gmin niewątpliwie uważają się za chrześcijan – może zwłaszcza przeciwnicy ustawy, ponieważ Towarzystwo Krzewienia Ewangelii jest właścicielem niewolników na wyspie Barbados. Oświadczyłem, że przemawiam wyłącznie jako świadek nieludzkiego traktowania jednych ludzi przez innych. Przejawia się to w najbardziej odrażający sposób w handlu niewolnikami, lecz istnieje także, w równie złej formie, wokół wszystkich osób zasiadających w parlamencie. W Anglii jest sto sześćdziesiąt przestępstw, za które można trafić na szubienicę, lecz prawa wprowadzone w ciągu ostatnich dwudziestu lat sprawiają, że wielu ludzi nie może przeżyć, nie popełniając przestępstw – jeśli za przestępstwo uznać nakarmienie siebie i swojej głodującej rodziny. Istoty ludzkie, o czarnym lub białym kolorze skóry, są kupowane i sprzedawane jako niewolnicy. To pożałowania godne i trudne do zniesienia, lecz Wysoka Izba powinna wiedzieć, że w Anglii powstaje nowy rodzaj niewolnictwa. Na przykład w fabrykach na północy kraju umierają z przepracowania setki zatrudnionych tam dzieci, a ich pozbawieni zajęcia rodzice usiłują żyć za skromne wynagrodzenie przynoszone przez te dzieci do domów. Czy Wysoka Izba zdaje sobie z tego sprawę?

– Brzmi lepiej, niż napisano w gazecie – zauważyła Demelza. – Co było potem?

– Słusznie przywołano mnie do porządku, bo odszedłem od tematu debaty, po czym szybko usiadłem. Od tamtej pory nie rozmawiałem z Wilberforce'em, ale kilka razy pozdrowił mnie chłodnym skinieniem głowy, więc przypuszczam, że moje wystąpienie nie spotkało się z jego aprobatą.

Szli dalej. Dzieci zauważyły, że zbliżają się rodzice, i pobiegły w ich stronę.

– A lord Falmouth? Często go widzisz?

– Raz jadłem obiad u niego w domu, byliśmy też w kawiarni Wooda w Covent Garden, gdzie dwa lub trzy razy do roku spotykają się emigranci. Nazywają to miejsce „klubem Kornwalijszczyków”. Myślę, że działamy sobie trochę na nerwy, ale nie próbowałem wpływać na moje zachowanie w parlamencie, ponieważ wspieram Pitta w większości najważniejszych kwestii.

Dzieci zaczęły się ścigać. Jeremy wyprzedził Clowance biegnącą na grubych krótkich nóżkach i wydawało się, że dziewczynka za chwilę się rozpłacze.

– Wróciłeś do domu na całe lato, Ross?

– Na całe lato. I mam nadzieję, że przygotowałaś coś dobrego na obiad. Po ostatniej nocy jestem głodny jak wilk. A do tego to ranne powietrze...

1. Por. William Szekspir, *Sonet 129*, przeł. Jerzy S. Sito, w: William Szekspir, *Sonety*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975, s. 147 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)

Rozdział czwarty

I

Kiedy zakończyły się prześladowania prowadzone przez Tankarda na polecenie George'a Warleggana, Drake'owi Carne'owi zaczęło się dobrze powodzić. Ludzie potrzebowali kowala nawet w czasie wojny, nawet w czasie niedostatku i kryzysu, zwłaszcza takiego kowala, który potrafi sklecić dobre koło do wozu. Przejmując zrujnowany warsztat, Drake miał jedną przewagę: nie musiał walczyć z konkurencją. „Pally” Jewell pracował w tym miejscu od czterdziestu lat i Drake po prostu go zastąpił.

Ludzie kwaśno zauważali, że metodystom powodzi się lepiej niż innym. Przyczyna była prosta. Po szczerym nawróceniu przestawali uprawiać hazard, uganiać się za dziewczętami i, w większości, pić, toteż spędzali czas tylko na spotkaniach religijnych i pracy. Wesley uważał, że dobra doczesne mają drugorzędne znaczenie, lecz nigdy nie zabraniał swoim zwolennikom pomnażania majątku, jeśli robili to w pobożny, skromny i uczciwy sposób. To również spotkało Drake'a, szybciej niż w przypadku innych, bo po utracie Morwenny nie miał żony ani rodziny. Pracował od świtu do zmierzchu, często przy świecy. Oprócz kuźni posiadał dwa i pół hektara ziemi, którą uprawiał, a zebraną paszę sprzedawał okolicznym dworom. (Naturalnie nie dworowi w Trenwith). Hodował kury, kozy i kilka gęsi. Kiedy z jakiegoś powodu miał mniej klientów, wytwarzał łopaty, szufle i drabiny, które kupowały kopalnie. Niedawno zaangażował dwóch pomocników, braci bliźniaków Trewinnardów.

Wpłacał pieniądze do banku, nie dlatego, że oszczędzał na jakiś cel, ale ponieważ musiał je gdzieś trzymać.

Samuel, brat Drake'a, w dalszym ciągu przychodził w każdy wtorek i w każdą sobotę. Rozmawiali przez pewien czas i odmawiali modlitwy. Drake przestał uczestniczyć w spotkaniach metodystów, choć pozostał członkiem zgromadzenia. Nie wrócił do niego, mimo że Samuel co wieczór się o to modlił. Samuel, którego przekonania religijne sprawiły, że nie zdobył Emmy Tregirls, w dalszym ciągu odznaczał się niezwykłą gorliwością i nie widział powodu, by wyzbyć się przekonania, że boska miłość rządzi duszami ludzi wierzących w Chrystusa. Chętnie i z radością poślubiłby Emmę, nawet gdyby się nie nawróciła. Natomiast Emma, choć kochała Samuela, nie mogła się pogodzić z myślą, że powinna się nawrócić.

Pewnego dnia Drake otrzymał bilecik od Demelzy, która pytała, czy mógłby poświęcić kilka godzin na instalację nowej tylnej płyty paleniska, którą kupiła do kominka w bibliotece. Pisała:

W tym miesiącu nie widziałam Cię ani razu. Byliśmy bardzo zajęci sianokosami. Burza zniszczyła jedno pole, ale resztę siana już zebraliśmy i na szczęście stogi wytrzymały. Ross wrócił z Londynu. Jest błydy, jakby mieszkał w lochu, ale zdrowy. Stał się już znany w Izbie Gmin, choć temu przeczy. Czy masz czas, by zjeść z nami obiad? Uczestniczyłoby w nim cztery osoby, które znasz.

*Twoja kochająca siostra
Demelza*

Przed kuźnią czekał chłopiec – był to Benjy Carter, obecnie trzynastoletni, z blizną na twarzy, choć nie na tym policzku co Ross, którego imię otrzymał na drugie – i Drake powiedział mu, że przyjedzie w przyszłą środę około czwartej. Tego dnia, pozostawiwszy gospodarstwo pod opieką Jacka Trewinnarda, poszedł do Nampary i zainstalował płytę paleniska.

Była to prosta robota i pomyślał, że zrobiłby to każdy rzemieślnik. Po zainstalowaniu płyty wypił z siostrą herbatę w starym salonie, który mimo

remontu i rozbudowy pozostał ośrodkiem życia w domu. Demelza wyglądała bardzo dobrze i wyjątkowo ładnie – w regularnych odstępach rozkwitała jak kwiat pojawiający się co roku. Dzieci przez jakiś czas rozmawiały z Drakiem, a później odeszły. Ross w dalszym ciągu przebywał w kopalni.

– Masz dwoje pięknych dzieci, siostró – powiedział Drake.

– Pędraki – odparła Demelza.

– Słucham?

– Pędraki. Tak je nazywa Jud.

Drake się uśmiechnął.

– Mają lepsze dzieciństwo od nas.

– Ojciec jest inny.

– I matka.

– Nigdy nie znałeś matki, prawda?

– Nie pamiętam jej. Ty... ty byłaś zawsze matką dla nas wszystkich.

– Umarła, jak miałam osiem lat. Później ją zastąpiłam. Dziecko nie myśli, nie porównuje, nie dziwi się. Kiedy dorasta, wszystko się zmienia. Później często się zastanawiałam, dlaczego wyszła za ojca. Była sierotą – moim zdaniem nieślubnym dzieckiem – i wychowała ją ciotka w swoim gospodarstwie. Kiedy byłam mała, usypiała mnie opowieściami o kaczkach, kurach i gęsiach. Była ładna. Przynajmniej tak mi się wydaje. Dopiero bieda i harówka przy dzieciach odebrały jej urodę. Ojciec zawsze wracał do domu pijany i bez grosza.

– Ojciec zawsze był przystojny, prawda?

– Trudno powiedzieć. Po starych ludziach nie widać urody. Czy doktor Choake był kiedyś przystojny? Albo Tholly Tregirls? Albo Jud?

Drake się roześmiał.

– Muszę iść, siostró. Dziękuję za herbatę. Jeremy pójdzie niedługo do szkoły?

Demelza zmarszczyła brwi.

– Próbuję go nauczyć tego, co wiem, potem może mieć przez pewien czas prywatnego nauczyciela. Nigdy nie będę go zatrzymywać w Namparze, jeśli będzie miał ochotę wyjechać, ale to nieludzkie zmuszać chłopca do opuszczenia domu w wieku siedmiu lub ośmiu lat. Ross pojechał do szkoły dopiero po śmierci matki, gdy miał dziesięć lat.

– Oczywiście – odparł Drake. – A Geoffreya Charlesa wysłano do Harrow, kiedy skończył jedenaście lat.

Był to tak przykry temat, że przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

– Oto i Ross.

Przez pewien czas prowadzono przyjemną rozmowę. Ross nie miał ochoty na świeżą herbatę i wypił filiżankę tej, która już wystygła, po czym poprosił Drake'a, by przyszedł któregoś ranka do kopalni. Otrzymał niedawno ładunek narzędzi, śrub, gwoździ i drutu z Bristolu i podejrzewał, że towary są kiepskiej jakości, lecz nie był dostatecznie pewien, by złożyć reklamację.

Drake powiedział, że przyjdzie w przyszły poniedziałek o siódmej, i ruszył w stronę drzwi, gdy Demelza rzekła:

– Zdaje się, że Rosina Hoblyn właśnie wychodzi. Znasz ją, Drake? Pochodzi z Sawle i mieszka z rodzicami. Pracuje dla mnie jako szwaczka i modystka.

Drake się zawahał.

– Chyba gdzieś ją widziałem.

– Dałam jej stołek. Ten stary, wiesz, Ross, stał dawniej w sypialni, gdzie było łoże skrzyniowe. Przyda jej się w domu, ale trochę kuleje i musi go daleko nieść. – Demelza podeszła do drzwi i zawołała: – Rosino!

– Tak, pani. – Dziewczyna zbliżyła się do drzwi z igłą w ręce. Zrobiła zdziwioną minę na widok dwóch mężczyzn.

– Jesteś gotowa do wyjścia? Pewnie już skończyłaś.

– O tak. Jeszcze poprawiłam ściegi w kilku miejscach i czekałam, by pani je obejrzała, czy wszystko w porządku.

– Znasz mojego brata Drake’a Carne’a? Idzie w twoją stronę, mieszka w St Ann’s, więc wcale nie będzie musiał nadkładać drogi. Zaniesie twój stołek.

– Och, pani, dam sobie radę – odpowiedziała Rosina. – Nie jest ciężki, jestem przyzwyczajona do noszenia wody i innych rzeczy.

– Drake idzie w twoją stronę i właśnie zamierza wyjść – odparła Demelza.

– Nie masz nic przeciwko temu, Drake?

Młody człowiek pokręcił głową.

– Więc idź po swój czepek.

Dziewczyna zniknęła, lecz zaraz wróciła, niosąc koszyk z przyborami do szycia i stołek. Wręczyła go Drake’owi, który go wziął, po czym ruszyli drogą. Przeszli przez skrzypiący drewniany mostek i podążyli w górę doliny ścieżką, przy której rósł głóg. Ross i Demelza spoglądali za nimi.

– To twój następny eksperyment matrymonialny? – spytał Ross.

Demelza zmrużyła oczy.

– Ciągłe trochę kuleje mimo starań Dwigtha. Miła dziewczyna.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś tak otwarcie próbował kojarzyć dwoje młodych ludzi.

– O nie, wcale nie o to chodziło! Nie sądzę... Ale skoro oboje znaleźli się tutaj w tej samej chwili...

– Na twoje zaproszenie.

– Ross, Drake potrzebuje żony. Nie chcę, by zmarnował młodość, rozczarowany i samotny. Chcę, żeby znowu był radosny jak dawniej. To mój ulubiony brat.

Ross nalał sobie drugą filiżankę herbaty wraz z fusami z dna imbryka.

– Coś w tym jest, masz rację. Ale uważaj: swatki często parzą sobie palce.

– Nic więcej nie zrobię. Po prostu... dopilnuję, żeby się czasem spotkali.

To wszystko.

Ross wypił herbatę.

– Czy kiedy widzisz Drake’a, wspomina o Geoffreju Charlesie?

– Dziś o nim wspomniał. Dlaczego pytasz?

– Gdy Geoffrey Charles wróci latem do domu, będzie zupełnie innym człowiekiem. W Londynie zabrałem go na spacer, nie wspominałem ci o tym, prawda? Zabrałem go do ogrodów Vauxhall. Wydawało się to właściwe.

– George nie będzie zadowolony.

– Mam w nosie George’a. Słuchaliśmy muzyki, unikaliśmy ladacznicy i wypiliśmy w ogrodzie po kieliszku wina. Potem poszliśmy do rotundy i podziwialiśmy posągi. Odprowadziłem go do domu o siódmej. Zmienił się. Bardzo wydorósł. Mówi, że w następnym semestrze jego służącym będzie lord Aberconway.

– Cóż, wszyscy chłopcy dorastają. Dzieje się to zupełnie nagle. Nic nie można na to poradzić. Przykro mi, jeśli nie jest to zmiana na lepsze.

– Nie mówię, że stał się niemiły. Wręcz przeciwnie! Jest bardzo dobrym kompanem. Chodzi o to, że lata spędzone w Harrow zmieniły go w młodego światowca. Wiesz, co czułem, gdy szedł obok mnie? Że jego ojciec znowu się narodził. Oczywiście znałem Francisa od wczesnego dzieciństwa, choć najlepiej pamiętam go jako nastolatka. Geoffrey Charles to skóra zdarta z ojca. Lubiałem Francisa – prawie zawsze – a teraz lubię Geoffreya Charlesa. Jest dowcipny, żywy, może trochę nieprzewidywalny, ale to dobry kompan.

– Nie dla Drake’a.

– Moim zdaniem powoli zapomną o swojej przyjaźni.

II

Kiedy Drake i Rosina szli drogą, a potem przez wrzosowisko w stronę wioski

Grambler, panowało między nimi niezręczne milczenie. Rosina miała na sobie żółty czepek i spłowiała, lecz czystą muslinową sukienkę z białymi falbankami, spod których regularnie ukazywały się czarne trzewiki, gdy kroczyła obok wysokiego młodego mężczyzny. Na płaskiej drodze prawie nie dawało się zauważyć, że kuleje. Drake niósł stołek na ramieniu i usiłował dostosować swoje tempo do tempa Rosiny. Był ubrany w barchanowe spodnie, grubą koszulę rozpiętą pod szyją i zieloną chustę.

Milczenie trwało tak długo, że Drake w końcu zmusił się, by je przerwać.

– Idę za szybko?

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Powiedz słowo, a zwolnię.

Rozmowa na pewien czas zamarła. Wreszcie, oblizawszy kilka razy wargi, Rosina rzekła:

– Chodzę do Nampany raz w tygodniu. Pani Poldark jest wygodniej, gdy nie musi mi przysyłać rzeczy, tylko sama przychodzi. Zajmuję się cerowaniem i łataniem ubrań.

– Nigdy nie widziałem, żeby moja siostra dużo szyła – powiedział Drake.

– Tak. Mówi, że brak jej zręczności do igły. Ale ma dobre pomysły. Kiedy jestem w Namparze, często przychodzi jej coś do głowy, a ja szyję to, czego chce.

– Kto cię uczył?

– Najczęściej uczyłam się sama. – Rosina wyjęła kosmyk włosów z kącika ust. – Długo nie mogłam chodzić, więc chciałam się czymś zająć. Potem pożyczyłam książkę od pani Odgers.

– Umiesz czytać?

– Tak. Matka przynosiła z Trenwith pranie zawinięte w gazety. Ale nie czytam dobrze.

– Ja nauczyłem się czytać i pisać, gdy skończyłem osiemnaście lat. Uczyła

mnie siostra.

– Ta siostra?

– Mam tylko jedną siostrę. I pięciu braci.

– Samuel to twój brat, prawda? Kaznodzieja. Często go widuję. To bardzo dobry człowiek.

– Jesteś metodystką?

– Nie. Po prostu chodzę co niedziela do kościoła.

Dotarli do skraju wioski Grambler. Oboje wiedzieli, że jeśli raz przejdą razem przez osadę w drodze do Sawle, wszyscy będą plotkować, że Drake Carne wreszcie się do kogoś zaleca i że jego wybranką jest Rosina Hoblyn.

– Posłuchaj, dam już sobie radę – powiedziała dziewczyna. – Naprawdę. Stołek nie jest ciężki.

Drake się zawahał. Szarpały nim podmuchy wiatru.

– Nie, pomogę ci. Chyba że bardzo nie chcesz.

– Jeśli ty chcesz, to ja też – odparła Rosina.

III

Wielebny Osborne Whitworth był tak zaabsorbowany swoimi prywatnymi sprawami, że otworzył list Nathaniela Pearce'a dopiero dwa dni po powrocie do domu. W ostatnim czasie Ossie wymyślał różnego rodzaju wymówki, by odrzucać zaproszenia Pearce'a na wista, ponieważ w wyznaczonym dniu notariusz często dostawał ataku podagry i odwoływał spotkanie, a jeśli już grał, był zbyt roztargniony, by wychodzić w kolor wistru partnera. Ossie znosił to przez pewien czas, gdyż chciał zawrzeć znajomość z bogatymi klientami Pearce'a, ale teraz doszedł do wniosku, że zna już wszystkich – nawiązał z nimi bliskie relacje i nie potrzebował pośrednika. Kiedy jednak w końcu przeczytał list, okazało się, że nie jest to wcale zaproszenie na wista. Pearce

był chory i chciał się pilnie zobaczyć.

Ossie odczekał dwa dni, a później, gdy wybierał się do Truro w innej sprawie, zatrzymał się przed drzwiami z drewnianą tabliczką z napisem: „Nat. G. Pearce. Notariusz i pełnomocnik sądowy”. Kiedy wspinał się po drewnianych schodach, tak stoczonych przez korniki, że wyglądały, jakby miały lada chwila się zawalić, prowadzony przez niechlujną kobietę, która wpuściła go do domu, zmarszczył nos z powodu zapachu stęchlizny wypełniającego budynek. Jeszcze wyraźniej czuć ją było w sypialni. Whitworth, przyzwyczajony do okazjonalnych, niemiłych wizyt u chorych parafian, nie miał wrażliwego nosa, lecz odczuwał wyjątkowy dyskomfort.

Notariusz i pełnomocnik sądowy siedział w łóżku wsparty na poduszkach w koszuli nocnej i szlafmocy. Jego tusta twarz z wieloma podbródkami miała kolor owoców morwy tuż przed dojrzaniem. W kominku płonął węgiel, a okno było szczelnie zamknięte.

– Ach, pastor Whitworth. Myślałem, że pan o mnie zapomniał. Proszę się rozgościć, chłopcze. Na pewno jest panu przykro, że widzi mnie pan w tym stanie. Mnie również jest przykro. Wszystkim jest przykro. Moja córka co wieczór płacze i odmawia modlitwy przy moim łóżku. Słucham? Co pan powiedział? Proszę mówić wyraźnie. Podagra osłabiła mi słuch.

– Nawał spraw parafialnych! – krzyknął Ossie. Nie chciał usiąść w fotelu i stanął zwrócony plecami do ognia. – Mam mnóstwo zajęć, za dwa dni będą Zielone Świątki i muszę pilnować kościoła w Sawle. W czym mógłbym panu pomóc?

– Posiada pan pewną szczególną cechę, drogi chłopcze – powiedział Pearce. – Zawsze doskonale słyszę pańskie słowa, nawet gdy nie podnosi pan głosu. Prawda? Jest pan duchownym, człowiekiem przyzwyczajonym do wygłaszania kazań. Cóż... – Kilkakrotnie mrugnął przekrwionymi oczyma. – Czy to nie Thomas Nash napisał w wierszu: „Chory jestem, porzucam

wszystko”?¹. Jestem chory, pastorze Whitworth, i doktor Behenna ma niewątpliwie rację, gdy pesymistycznie ocenia moje szanse na wyzdrowienie. Skończyłem sześćdziesiąt sześć lat, mój chłopcze, choć mam wrażenie, że nie minęło wiele od czasu, kiedy byłem w pańskim wieku. Niechaj Bóg się nade mną zmiłuje! Życie przypomina karuzelę na jarmarku: człowiek kręci się w kółko, cieszy się każdą chwilą, a później muzyka cichnie...

Ossie zarzucił poły surduta na przedramiona. Zauważył, że Pearce jest poruszony. Miał na rzęsach łzy, które spadały na prześcieradło. Stary dureń najwyraźniej litował się nad sobą.

– Podagra? To drobnostka. Wspomniał pan kiedyś, że cierpi na nią od dwudziestu lat. Krótki post i niebawem wstanie pan z łóżka. Przestrzegał pan Wielkiego Postu, rezygnując z przyjemności? Proszę mi powiedzieć.

– Podagra? – odparł Pearce. – Wspomniał pan o podagrze, pastorze? Ach, przez pół życia choruję na podagrę, ale teraz dotarła do serca. Czasem, w nocy – drzę na myśl o tych chwilach – robię się coraz sztywniejszy i mam tylko nadzieję, że uda mi się znowu odetchnąć. Któregoś dnia, mój chłopcze, w końcu mi się to nie uda.

– Chciałbym panu pomóc – odrzekł chłodno Ossie. – Przykro mi, że jest pan ciężko chory.

Pearce przypomniał sobie o zasadach dobrego wychowania.

– Może kieliszek madery? Karafka stoi na stole. Nawet arystokraci chwalili moją maderę. Proszę sobie nalać, dobrze?

Whitworth skorzystał z zaproszenia.

– Niestety – ciągnął notariusz – Behenna twierdzi, że nie mogę pić przed zachodem słońca. Bóg jeden wie, co to za różnica... Skoro już mówimy o Bogu, pastorze Whitworth, chciałbym panu przypomnieć, że jestem mieszkańcem pańskiej parafii. Parafia kościoła Świętej Małgorzaty obejmuje ten zakątek Truro, choć cała reszta należy do kościoła Matki Boskiej. Tak czy

inaczej, nie zniósłbym pociechy duchowej ze strony skwaśniałego doktora Halse'a.

Ossie po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego go wezwano. Udzielanie wsparcia duchowego chorym i konającym to jeden z najmniej przyjemnych obowiązków kapłana, ale gdy nie miał wyboru, starał się z niego wywiązywać. Ponieważ miał dobrą pamięć, najczęściej cytował Biblię. Proboszcz nie może zrobić nic lepszego – wydawało się to oczywiste. Jednak Pearce był wykształconym człowiekiem i z pewnością nie zadowolony się pierwszym lepszym cytatem.

W końcu Whitworth krzyknął:

– W chwili cierpienia Hiob powiedział: „Co miemasz: umarły człowiek znowu żyć będzie? po wszystkie dni, których teraz żołądję, czekam, aż przyjdzie odmienienie moje. Zawołasz mię, a ja odpowiem tobie: dziełowi rąk twoich podasz prawicę”².

Zapadła cisza.

– Sądzę, że kieliszek madery bardzo by mi pomógł, mój chłopcze – powiedział Pearce.

Ossie napełnił kieliszek. Pearce wypił.

– Jest pan pastorem, chłopcze – ciągnął notariusz. – Kapłanem. Namaścił pana biskup. Więc powinien pan wiedzieć. Kto inny mógłby wiedzieć? Prawda? Prawda? Co pan powiedział?

– Nic – odparł Ossie.

– Przypuszczam, że każdy odpowiedziałby na to pytanie w ten sposób. Tak czy inaczej, jestem zainteresowany odpowiedzią. Wierzy pan w to, czego pan naucza, pastorze? Wierzy pan w życie pozagrobowe? Moja córka wierzy. O tak. Jest metodystką i uważa, że przede wszystkim należy pokutować na tym świecie, za co otrzyma się nagrodę po śmierci. To fundamentalna nauka Biblii, prawda? Niezależnie od wyznania. Pokuta gwarantuje życie wieczne.

Ossie dalej cytował Pismo Święte:

– „A ja zawsze z tobą: ująłeś mię w prawą rękę moją. A według woli twojej prowadziłeś mię, i przyjąłeś mię z chwałą. Bo cóż ja mam w niebie? Albo czegom chciałem na ziemi oprócz ciebie? Ustało ciało moje i serce moje: Boże, serca mego, i części moja, Boże, na wieki” ³.

– Zniżył pan głos – rzekł Nat Pearce, notariusz i pełnomocnik sądowy. – To niezwykle, mój chłopcze, bo pański głos jest wyjątkowo donośny. Ale nie przypuszczam, że to, co pan powiedział, ma związek z moim pytaniem. Coś panu świta, ale niedokładnie! Chętnie okazałbym skruchę za grzechy, gdybym wierzył, że ma to jakiś sens. W ciągu ostatnich kilku lat trochę psociłem. Przyczyną był nacisk okoliczności.

Ossie podszedł z ociąganiem do fotela i usiadł na nim.

– Święty Jakub powiedział: „Błogosławiony mąż, który zdzierza pokusę; bo gdy będzie doświadczony, weźmie koronę żywota” ⁴.

– Co? Tak, bardzo słusznie. – Pearce uniósł opuchniętą dłoń koloru owocu morwy i podrapał się po piersi. – Jednak niezupełnie zdzierzałem pokusy, mój chłopcze. Ulegałem im i właśnie na tym polega problem, prawda? Nie czuję spokoju ducha i nie mam ochoty stawać w obliczu Stwórcy z wyrzutami sumienia. Jestem bardzo zaniepokojony. Wierzy pan w istnienie Stwórcy, co? Wierzy pan w opowieści o ogniu piekielnym i wiecznym potępieniu? Na mą duszę, sam nie wiem, co o tym myśleć...

– Bóg jest wieczny – rzekł Ossie. – Bóg jest wszechobecny. Bóg to najwyższy sędzia. Nie można od niego uciec. Jeśli znajdzie się pan w najniższym kręgu piekła, Bóg również tam będzie. Nie można się uwolnić od Boga. Czy trapią pana teraz grzechy młodości?

– Młodości? Czyjej młodości? Mojej? Nie, nie. Czy wtedy grzeszyłem? Może. Jeśli tak, zapomniałem o tym. Zapomniałem, jakie popełniłem grzechy. Nie, chłopcze, trapią mnie grzechy starości. Popełnione w ciągu ostatnich

dziesięciu lat.

Ossie wyjął chusteczkę i przyłożył ją do ust.

– Jakie grzechy ma pan na myśli, panie Pearce? Obżarstwo? Lenistwo? Lubieżność? Zdaje się, że raz zauważyłem, jak oszukuje pan w czasie gry w wista.

Pearce trzymał dłoń za uchem.

– Słucham? Och, tamto... Gdyby tylko chodziło o wista, mój chłopcze... Gdyby tylko o wista...

– Więc proszę powiedzieć. Nie mam całego dnia.

Pearce zakasłał, usiłując oczyścić gardło z flegmy.

– Od czasu do czasu, mój chłopcze, oddawałem się drobnym spekulacjom. Wydawało się to dość nieszkodliwe. Można było zarabiać pieniądze w Indiach, we Włoszech, inwestować w rozwijające się gałęzie przemysłu. Prowincjonalny prawnik ma niewielkie możliwości zdobycia majątku, choć zajmuje się tym przez całe życie. Niestety, moje niewielkie spekulacje w większości zakończyły się fiaskiem. Główną przyczyną była wojna. Francuzi zdobyli Włochy i Madras. Niektóre angielskie firmy zbankrutowały z powodu braku rynków zbytu, cała Europa okazała się dla nich zamknięta. Straciłem pieniądze zamiast je zarobić. Słucha mnie pan? Straciłem pieniądze zamiast zarobić.

– Więc jest pan mniej zamożny – odparł Ossie, który nigdy nie był zbyt domyślny. – Czy to jakiś problem?

– Niestety, muszę panu powiedzieć, mój chłopcze, że część pieniędzy, którymi spekulowałem... nie należała do mnie – powiedział Pearce.

IV

Pół godziny później wielebny pastor Whitworth, pogardliwie pocieszywszy

chorego i skruszonego przyjaciela, poszedł do stajni gospody Pod Czerwonym Lwem po swojego konia. Kiedy dotarł na miejsce, poczuł potrzebę pokrzepienia się czymś mocniejszym przed jazdą do domu. Skinieniem dłoni odprawił stajennego i ruszył ponurym korytarzem prowadzącym do jednej z sal, po czym zamówił pół kwarty porteru. Przez okna złożone z małych szybek oprawionych w ołów wpadało tak niewiele światła, że dopiero po chwili rozpoznał mężczyznę siedzącego przy sąsiednim stole.

Natychmiast wstał i podszedł do niego.

– Mogę się przysiąc, doktorze Behenna?

– Naturalnie, pastorze. Jestem do pańskich usług.

Behenna, apodyktyczny, tęgi, dobrze ubrany mężczyzna w wieku czterdziestu dwóch lat, był najważniejszym lekarzem w Truro. Wielu prostych ludzi zdrząłoby na widok tych dwóch mężczyzn siedzących razem, ponieważ obaj sprawowali pieczę nad ludzkim ciałem i duszą. Behenny obawiano się nawet bardziej, bo jego diagnozy i sądy miały natychmiastowy skutek. Ogień piekielny wydawał się odleglejszy.

Behenna również pił porter i przez kilka minut dwaj mężczyźni rozmawiali na luźne tematy. Nie byli przyzwyczajeni do mówienia cichymi głosami; przy sąsiednim stole, w zasięgu słuchu, siedziało dwóch handlarzy zbożem. Behenna pomstował na aptekarzy działających w Truro. Uważał, że nie mają żadnych kwalifikacji, a przepisują leki na wszelkie możliwe choroby.

– Proszę na to spojrzeć – rzekł, rozkładając na stole arkusz papieru. – Właśnie w ten sposób się anonsują, pastorze. „Nalewka nasercowa i pigułki analeptyczne doktora Rymera”, „Lecznicza woda jarzynowa Robertsa na skrofuły, trąd, wypryski, wysypkę i wszelkie choroby skórne”, „Krople doktora Smytha na słabowite siły witalne w blaszanych lub szklanych fiolkach różnych rozmiarów”. Jakże nisko upadliśmy, pastorze Whitworth, że lekarze z Truro muszą tolerować takich szarlatanów i oszustów?!

– Rzeczywiście – rzekł Ossie, obojętnie dotykając arkusza. – Rzeczywiście.

Handlarze zbożem zbierali się do odejścia.

– To dobry temat na kazanie – ciągnął doktor Behenna, wycierając kroplę porteru z gorsu surduta z brązowego aksamitu. – Powinni zostać zdecydowanie potępieni przez Kościół. Obecna sytuacja to skandal.

– Rzeczywiście – powtórzył Whitworth. – Myślę, że mógłbym wygłosić kazanie na ten temat. Nie w czasie Zielonych Świątek, bo byłoby to niestosowne, lecz może za kilka tygodni.

– Byłby to bardzo szlachetny czyn z pańskiej strony, pastorze, ponieważ wielu prostych ludzi – większość prostych ludzi – odznacza się ogromną łatwowiernością. Niewielu potrafi dostrzec różnicę między doświadczonym lekarzem, który poświęcił całe życie na badanie chorób, a ignoranckim szarlatanem sprzedającym flaszkę barwionej wody i nazywającym ją eliksirem życia.

– Tak się składa – rzekł Ossie, gdy handlarze zbożem wyszli i nikt inny nie wszedł do sali – tak się składa, że chciałbym zasięgnąć pana rady w innej sprawie, o której wcześniej wspomniałem, lecz nie udzielił mi pan pozytywnej odpowiedzi.

Lekarz powąchał złotą gałkę laski. Pastor Whitworth zmienił temat, nie pozwalając mu dokończyć ostatniego zdania, a doktor Behenna nie był przyzwyczajony do takich zachowań swoich rozmówców.

– Jakiej sprawie?

– Chodzi o moją żonę – odparł Ossie.

W głównej sali panował gwar, lecz Whitworth i Behenna znajdowali się w mniejszym, cichym pomieszczeniu. Światło było dziwnie przyćmione: wpadało przez nierówne, wyblakłe szybki w oknie, nadając tajemniczy wygląd stołowi, ławie, krzesłom, kuflom, kieliszkom, rękom, ubraniom i twarzom

ludzi.

– Znowu zachorowała?

– Moim zdaniem jest zdrowa pod względem fizycznym, doktorze, lecz nie umysłowym. Zauważyłem, że jej stan wyraźnie się pogorszył.

– W jaki sposób, sir? Pod jakim względem?

– Okresowo cierpi na głęboką melancholię, do nikogo się nie odzywa, nawet do dzieci. Później ogarnia ją dzikie podniecenie, a ja drzę na myśl, co mogłaby zrobić. Zauważyłem, że straciła część władz umysłowych.

– Doprawdy? Ostatnio badałem ją niespełna miesiąc temu. Muszę wkrótce ją odwiedzić.

Ossie wypił duży łyk porteru.

– Zna pan problemy, z którymi mam do czynienia jako duchowny pełniący odpowiedzialne funkcje. Pamięta pan, o czym mówiłem w czasie Bożego Narodzenia. Nie widzę możliwości, by obecna sytuacja trwała dłużej. – Otarł usta dużą płócienną chustką.

– Wiem, pastorze. Ale musi pan wziąć pod uwagę to, co panu wtedy powiedziałem. Nawet gdyby zdołał pan umieścić panią Whitworth w zakładzie dla obłąkanych, nie ma żadnych szans na wyleczenie. Pensjonariusze są czasem skuwani łańcuchami. Kiedy odmawiają przyjmowania pokarmu, są karmieni siłą – i często umierają wskutek zadławienia. Moim zdaniem pana żona długo by nie pożyła.

Ossie zastanawiał się nad tą perspektywą, która wydawała mu się miła.

– Kościół przyjmuje, że szaleństwo to kara dla grzeszników, rodzaj opętania – rzekł. – Nie zagraża ono dobremu mężczyźnie ani dobrej kobiecie. Pamięta pan, jak Chrystus wypędzał złe duchy?

Doktor Behenna zakasłał.

– Szaleństwo może mieć różne nasilenie. Wahałbym się przyjąć, że pani Whitworth jest opętana przez złego ducha.

– Nie widzę innej możliwości, doprawdy nie widzę... Jednak od Bożego Narodzenia zastanawiam się nad innym rozwiązaniem – ciągnął Ossie. – Byłoby to coś w rodzaju kompromisu. W Kornwalii jest kilka prywatnych zakładów dla obłąkanych, gdzie przebywają lżej chorzy. Kontaktowałem się z jednym z nich, w St Neot. Zgoda sądu nie jest potrzebna. Pani Whitworth zostałaby tam umieszczona z woli rodziny i żyła w komfortowych warunkach. Karmiłyby ją i obsługiwały osoby mające odpowiednie kwalifikacje do wykonywania takich obowiązków. Nie musiałaby uczestniczyć w męczącym życiu plebanii. Miałaby stałą opiekę medyczną, której w oczywisty sposób potrzebuje.

Behenna spojrział na swojego towarzysza.

– Nie sądzę, by w takich zakładach panowały... hm... naprawdę dobre warunki. Ale rzeczywiście istnieją takie miejsca. Naturalnie musiałby pan za to płacić.

Ossie skinął głową.

– Wziąłbym na siebie ten ciężar.

– Straciłby pan towarzyszkę życia, pastorze Whitworth. Chociaż rozumiem problemy, z jakimi pan się zmagasz...

– Wielkie problemy. Jestem mężczyzną i mam naturalne potrzeby mężczyzny. Nie jest dobrze, gdy mężczyzna nie może dać ujścia swojej energii. Właśnie w takiej sytuacji się znalazłem. Jako lekarz powinien pan wiedzieć, jak bardzo szkodzi to zdrowiu i samopoczuciu.

– Możliwe...

– „Możliwe” to zbyt łagodne określenie, doktorze. To zagrożenie dla równowagi fizycznej i psychicznej...

– Można bronić takiego poglądu. Chciałem powiedzieć, że, jak rozumiem, pani Whitworth prawidłowo wypełnia większość swoich obowiązków domowych. Gdyby umieścić ją w zakładzie, przestałaby się nimi zajmować.

Nie mógłby pan ponownie zawrzeć małżeństwa.

– Naturalnie, że nie. Węzeł małżeński jest święty i nierozzerwalny. Nie, nie... Byłbym zmuszony do zaangażowania gospodyni.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Behenna opuścił głowę i wypił łyk piwa.

– Gospodyni...

– Tak. Czemu nie? Rozumiem, że pan również zatrudnia gospodynię.

Doktor odstawił kufel. Zastanawiał się, w jaki sposób Whitworth dowiedział się o jego sytuacji domowej. Oczywiście w niewielkim mieście trudno utrzymać w tajemnicy prywatne sprawy.

– Cóż, owszem.

Przez drzwi usiłowało przejść dwóch pijanych mężczyzn trzymających się pod rękę. Bezskutecznie. Cofnęli się po krótkiej szarpaninie i kłótni, spłoszeni wzrokiem duchownego siedzącego przy jednym ze stolików.

Behenna wzruszył ramionami.

– Cóż, drogi pastorze, kimże jestem, by z panem dyskutować? Jako mąż pani Whitworth może pan ją umieścić w zakładzie dla obłąkanych, jeśli taka jest pana wola. Nie sądzę, by ktoś mógł mieć jakieś obiekcje. Zdaje się, że matka pana żony żyje? Jednak pańskie prawa mają pierwszeństwo...

Ossie zmarszczył brwi.

– Doktorze Behenna, jestem duchownym i moja sytuacja jest dość delikatna. Delikatniejsza niż zwykłego członka świeckiego społeczeństwa. Nie obchodzi mnie kwestia uzyskania zgody rodziny żony, lecz chciałbym otrzymać sankcję biskupa. A jeśli nie sankcję, to przynajmniej wyraz aprobaty. Jeżeli umieszczę żonę w zakładzie dla obłąkanych – zgadzam się, że to poważny krok, gdyż mogłaby tam przebywać do końca życia – nie chciałbym, by biskupa poinformowano, że zrobiłem to z własnej inicjatywy. Opinia doktora opiekującego się moją żoną miałaby ogromną wartość i znaczenie. Właśnie

dlatego o nią proszę.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Eklezjastyk – ciągnął Osborne i dopił piwo. – Zdaje się, rozdział trzydziesty ósmy, werset pierwszy i następne. Nigdy nie wykorzystywałem cytatów z apokryfów jako podstawy kazań, ale jestem pewien, że nikt nie miałby nic przeciwko temu. „Czci lekarza dla potrzeby, abowiem go Najwyższy stworzył”⁵. Coś w tym rodzaju. Doskonale pasuje do sytuacji. W tym kontekście podkreślenie różnic między dobrym a złym lekarzem byłoby bardzo odpowiednie, nie sądzi pan?

Doktor Behenna dotknął jednego z mosiężnych guzików surduta.

– Pana żona nigdy nie stosowała wobec nikogo przemocy, prawda?

– Wielokrotnie groziła, że zabije mojego syna. Mówiłem panu o tym. Czy to nie wystarczy?

– To z pewnością bardzo niepokojąca oznaka, choć takie groźby mogą być częstą gadaniną.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł Ossie. – Czy muszę czekać na popełnienie ohydnej zbrodni? Zabicie niewinnego, bezbronno go dziecka? Nie mam ani chwili spokoju.

Behenna dopił porter.

– Rozumiem, co pan czuje, pastorze Whitworth. Przyjadę i porozmawiam z pana żoną. Czy wtorek byłby odpowiednim dniem?

1. Thomas Nash, *Ostatnia wola i testament lata*, przeł. Aleksander Mierzejewski, w: *Poeci języka angielskiego*, t. I, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969, s. 386. [\[wróć\]](#)
2. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Księgi Job, XIV, 14–15, s. 504. [\[wróć\]](#)
3. *Ibid.*, Księgi Psalmów, LXXII, 23–26, s. 559. [\[wróć\]](#)
4. *Ibid.*, List św. Jakuba, I, 12, s. 252. [\[wróć\]](#)
5. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, przeł. Jakub Wujek, Eklezjastyk, XXXVIII, 1 (cytat z księgi pominiętej w wydaniach Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego,

przytoczony na podstawie edycji z 1599 roku według strony internetowej <http://www.madel.jezuici.pl/biblia/Syr.html>). [\[wróć\]](#)

Rozdział piąty

I

W tym tygodniu do Kornwalii dotarły nowiny o ataku na Bruges. Donoszono, że w mieście całkowicie zniszczono wszystkie śluzy, opróżniono z wody basen portowy i kanał, wysadzono budynki, zatopiono barki desantowe. Osłabiona Anglia, kryjąca się za kanałem La Manche jak za fosą, w dalszym ciągu potrafiła skutecznie atakować. Młody duchowny, Sydney Smith, ogłosił, że jego zdaniem wojna między Anglią a Francją nie jest tymczasowym sporem, lecz wyrazem wrodzonej antypatii między rasami, podobnie jak w przypadku łasicy i szczura. Nie podał, który naród to łasica, a który szczur.

W lutym dyrektoriat nakazał generałowi Bonapartemu przeprowadzić inspekcję floty wojennej w nadziei, że może ją poprowadzić przeciwko Anglii, ale Bonaparte wiedział o zeszłorocznej klęsce Hoche'a i zdawał sobie sprawę, jaki los spotkał połączone floty Hiszpanii i Holandii, gdy rok wcześniej natknęły się na flotę brytyjską, toteż odrzucił tę propozycję jako zbyt ryzykowną. Zamiast tego udał się znowu na południe: nikt w Anglii nie wiedział dokąd. Ale tuż przed wyjazdem Rossa z Londynu nadeszły wiadomości, że generał Bonaparte jest w Marsylii, gdzie zbiera flotę i armię.

Do Anglii dotarł tajny raport: z Marsylii wypłynęła wielka flota z Bonapartem na pokładzie jednego z okrętów. Flota składała się ze stu osiemdziesięciu jednostek i transportowała tysiąc armat, siedemset koni i siedemnaście tysięcy najlepszych francuskich żołnierzy. Tak się złożyło, że

dowódcą brytyjskiej floty wysłanej zeszłej jesieni na Morze Śródziemne był niedawno mianowany i niedawno uszlachcony admirał Nelson. Obawy przed inwazją osiągnęły wtedy apogeum i śmiała, wręcz nierozważną decyzję o wysłaniu floty na Morze Śródziemne podjął lord Spencer z admiralicji wbrew sprzeciwom admirałów. Mogło się to teraz okazać szczęśliwym posunięciem, przy założeniu, że obie floty spotkają się gdzieś na Morzu Śródziemnym. Do admirała Nelsona wysłano fregatę z wiadomością o ruchach nieprzyjaciela.

Informacja ta złagodziła część obaw przed inwazją na Kornwalię, lecz ich nie rozproszyła. Hoche w dalszym ciągu przebywał gdzieś w pobliżu, a Francja miała dość sił, by zorganizować dwie ekspedycje w tym samym czasie. Ross pojechał z Londynu do hrabstw Sussex i Kent, by obserwować przygotowania do odparcia inwazji. W razie desantu Francuzów zamierzano natychmiast zastosować drastyczne środki: ewakuować lub zniszczyć wszystko, co mogliby zdobyć. Ross miał wrażenie, że w Kornwalii nie podjęto wystarczających przygotowań do takich działań, i postanowił przedstawić swoją opinię dowódcom miejscowych oddziałów ochotniczych.

W czerwcu odbyła się inna narada – w rodzinie Warlegganów. Nicholas, ojciec George'a, od pewnego czasu chorował i coraz częściej przebywał w swojej wiejskiej rezydencji. W rezultacie George przejął niemal całkowitą kontrolę nad interesami Warlegganów. Stryj Cary zarządzał majątkiem i zajmował się bieżącymi sprawami administracyjnymi, lecz to George podejmował strategiczne decyzje.

Był szary, ciepły, wilgotny dzień. Truro, położone wśród rozlewisk rzeki i często zasnute mgłą, było w taką pogodę wyjątkowo nieprzyjemne. Nicholas pokuśtykał do głównego kantoru banku i podjął próbę odzyskania kontroli, którą utracił rok wcześniej. George zrelacjonował ostatnie wydarzenia, a Cary, spocony pod mycką, podawał szczegóły i kwoty, jeśli Nicholas był

nimi zainteresowany.

W końcu Nicholas popatrzył na leżącą przed nim wielką księgę rachunkową i powiedział:

– Ostatnio dokonywałeś dużych wypłat na własne potrzeby, George. Osiemnaście tysięcy funtów w ciągu trzech tygodni. Można wiedzieć, co to za przedsięwzięcie handlowe?

George się uśmiechnął.

– Nie tyle przedsięwzięcie handlowe, ojciec, ile inwestycja w moją przyszłość.

Cary ciasniej okręcił się wyświechtanym surdudem.

– Bardzo wątpliwa inwestycja, Nicholasie. Doprawdy, bardzo wątpliwa. Inwestycja w promowanie własnej osoby, jeśli można to tak nazwać.

George spojrział beznamiętnie na stryja, jakby był on obcym człowiekiem.

– Kupowałem nieruchomości, ojciec. W St Michael. Kilka domów. Kilka farm. Stacja pocztowa.

– Rudera – rzekł Cary. – Prawie w ruinie.

– Niezupełnie.

– Ale ta ogromna suma...

– W zeszłym roku z powodu głupiej, podstępnej umowy między tak zwanymi arystokratami straciłem mandat posła do Izby Gmin – przerwał George. – Dobrze o tym wiesz, drogi ojciec, ponieważ walczyłeś do końca u mego boku. Pozwolono, żeby nasz przyjaciel Poldark odebrał mi mandat. Cóż... stało się. Nie możemy pozbawić go mandatu, chyba że każemy go zastrzelić na gościńcu. Nie widzę powodu, by tracić na dłuższy czas miejsce w parlamencie. Dobrze się czułem w roli posła. Mandat można kupić. Zamierzam to zrobić.

– Nie chcesz kupić mandatu – odparł Cary. – Zamierzasz zdobyć okręg wyborczy. Mandat można kupić za dwa lub trzy tysiące funtów. Próba zakupu

okręgu wyborczego będzie kosztować pięć albo dziesięć razy więcej.

– Zgadza się – rzekł George. – Ale kto ma mandat na sprzedaż tuż po wyborach? Życie jest krótkie, nie zamierzam czekać. Jeśli zdobędę okręg wyborczy, będę miał pełną kontrolę. Pojawi się możliwość wyświadczenia przysług: probostwa, nominacje w służbie celnej, lukratywne kontrakty. Posiadałbym wpływy i władzę zupełnie nowego rodzaju.

– St Michael to kosztowna inwestycja, prawda? – zauważył Nicholas. – O ile wiem, to bardzo trudny okręg wyborczy, i do tego drogi. Zakup nieruchomości to nie koniec wydatków, George, to dopiero początek. Elektorzy tworzą koterie i sprzedają głosy temu, kto oferuje najwięcej.

– Jestem bogatym człowiekiem – powiedział George. – Stać mnie na to, by sprawić sobie przyjemność. Barwell, który zbił fortunę w Indiach, również jest gotów płacić za swoje kaprysy. Moja fortuna powstała w hrabstwie, w którym się urodziłem, i zamierzam reprezentować to hrabstwo w Izbie Gmin. Trudno coś więcej dodać, drogi ojczy, trudno coś więcej dodać.

– To prawda – rzekł Nicholas, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na rachunki. – Ani przez chwilę nie zamierzam kwestionować twojego prawa do takiego wydawania pieniędzy, na jakie masz ochotę. W istocie rzeczy popieram twój plan powrotu do parlamentu. Dopóki zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństw...

– Tak sędzę. Sir Christopher Hawkins jasno je przedstawił.

– Sprzedaje ci swoje nieruchomości?

– Częściowo. W innych przypadkach negocjuje warunki sprzedaży.

– Znasz satyryczny wierszyk o Hawkinsie i jego rezydencji? – spytał Cary.

– Przed rokiem wszyscy go powtarzali.

Park, gdzie nie wejdzie ni zwierzę, ni ptak.

Wielka piwnica, lecz piwa w niej brak.

Pałac, gdzie życie ponury ma smak.

Christopher Hawkins tu mieszka, o tak!

Cary zachichotał.

– Mimo to powinniśmy dbać o przyjacielskie stosunki z Hawkinsem – zauważył Nicholas. – Pokłóciliśmy się z Boscawenami – obawiam się, że nieodwołalnie – a nasze relacje z Bassetem znacznie się pogorszyły, toteż Hawkins jest niezbędny jako wpływowy sojusznik.

– Biorę to sobie do serca – rzekł George.

Dalszą rozmowę przerwał atak kaszlu Nicholasa. Cary spoglądał na brata okiem koguta gotowego do walki.

– Próbowalesz pić wywar ze ślimaków? – spytał. – Kiedy rok temu w zimie chorowałem na influencję i strasznie kasłałem, miał uśmierający efekt. Pomogło mi także wcieranie kamfory za uszami.

George przyniósł ojcu nieco wina, a ten wypił łyk.

– Na moją duszę – odezwał się Nicholas. – Przez całe życie nie miałem kłopotów z płucami. Problemy zaczęły się dopiero po przyjeździe do Trenwith, gdy urodził się Valentine. Przeziębilem się od przeciągów w sypialni, gdzie mnie umieściłeś, i szczerze wierzę, że ta stara wiedźma Agatha Poldark rzuciła na mnie urok, który nie chce ustąpić.

– Agatha rzuciła zły urok na nas wszystkich – odparł kwaśno George. – Nawet na Valentine’a. Jeśli urodzi się nam kolejne dziecko, zadbam, by przyszło na świat albo tutaj, albo w Cardew.

Nicholas otarł oczy dużą czerwoną chustką.

– Znosi się na to?

– Nie to miałem na myśli.

– Tak czy inaczej, chłopcze, jedno dziecko to za mało, by zapewnić ciągłość rodu. Lepiej byłoby mieć dwoje.

– Ja wystarczyłem – odparł krótko George.

– Skoro już mówimy o spadkach – odezwał się Cary, gładząc gęsie pióro. –

Chyba obaj wiecie, że stan zdrowia Nata Pearce'a się pogorszył i że lekarz daje mu zaledwie kilka tygodni życia?

Nicholas pokręcił głową i westchnął.

– Stary Nat... Jest zaledwie trzy lata starszy ode mnie. Poznałem go, gdy miałem jakieś dwadzieścia lat. Jego ojciec też był prawnikiem, ale szybko zmarł i Nat przejął praktykę w bardzo młodym wieku. – Otarł usta i znów zakasłał. – Oczywiście obracał się wtedy w znacznie lepszym towarzystwie niż ja. To dawne czasy. Nie mieliśmy jeszcze majątku. A nie minęło nawet czterdzieści lat.

– Wszystko całkowicie się zmieniło – rzekł Cary. – Teraz Nathaniel Pearce należy do mnie.

– Nie tylko do ciebie – odparł George. – Pearce ma wszędzie długi.

Cary podłubał w nosie i uważnie obejrzał to, co zdołał wydobyć.

– Jeśli potrafisz wydawać pieniądze na zrujnowane nieruchomości po to, by umieścić po swoim nazwisku dwie literki, ja też mogę czasem zrobić coś ekstrawaganckiego, bratanku. Uważam, że wiem więcej o tym mieście i jego mieszkańcach niż jakikolwiek żyjący człowiek, i doskonale znam interesy Pearce'a. I mogę ci powiedzieć, że po śmierci Pearce'a niektórzy mieszkańcy Truro bardzo się zdziwią, gdy wyjdą na jaw niektóre jego sprawy.

George zmrużył oczy.

– Nie wspominałeś mi o tym. Chcesz powiedzieć, że wykorzystywał powierzone mu pieniądze do własnych celów?

– Właśnie to mam na myśli.

– Skąd wiesz? Mówił ci o tym? Uczestniczą w tym Boscawenowie?

– Niestety, podejrzewam, że nie. Albo w bardzo niewielkim zakresie. Curgenven, ich zarządca, zbyt dokładnie pilnuje wszystkich transakcji pod względem prawnym i handlowym. Ale są inni.

– Mógłbyś ich wymienić?

– Chodzi o fundusz powierniczy Aukettów. Po śmierci Jacqueline Aukett pozostało troje jej niepełnoletnich wnuków i Pearce miał zarządzać funduszem powierniczym. Jest także fundusz rodziny Trevanionów. I jeszcze jeden, związany z młynami pozostawionymi w spadku przez Noakesa Peta...

Zapadła cisza. Oddech Nicholasa świszcział jak czajnik z gotującą się wodą.

– Stryju Cary, czy specjalnie dobrałeś nazwiska tych ludzi? – spytał George. – Czy to przypadek, że wszyscy korzystają z usług banku Pascoe?

– Nie, nie przypadek – odparł Cary. – Bank Pascoe albo sam Pascoe gwarantują aktywa tych funduszy.

Nicholas zamknął księgę rachunkową i zaczął w nią bębnić grubymi palcami.

– Z pewnością nie sugerujesz, Cary, że może się to okazać groźne dla samego banku Pascoe?

– Ani nie sugeruję, ani sugeruję. To zależy od innych nacisków, które można by wyrzucić w odpowiednim czasie. Nie zapominaj, że mam w kieszeni zięcia Pascoe.

– Wiem, że w dalszym ciągu korzysta z naszych usług, ale nie znam szczegółów – zauważył George.

– Wkrótce po ślubie z córką bankiera powiedział mi, że zastanawia się nad zmianą banku, gdy spłaci długi wobec nas z posagu żony. Wyperswadowałem mu to. Przekonałem, by pozostał u nas, wykorzystując jego próżność i chciwość.

– Mogło to być dość łatwe – zauważył George. – Mimo to podaj nam szczegóły.

– St John Peter nie chce mieć zobowiązań wobec teścia, którym pogardza jako zwykłym bankierem, więc zaproponowałem prolongatę naszych weksli przy bardzo niskim oprocentowaniu. Powiedziałem, że zależy nam ze

względów prestiżowych, by pozostał naszym klientem. Niektórzy głupcy są tak próżni, że uwierzą we wszystko. Wskazałem, że posag jego żony w banku Pascoe jest oprocentowany dwa punkty procentowe wyżej niż kredyt u nas. Oznacza to, że zyska na dalszej współpracy z nami, a poza tym ani żona, ani teść nie poznają skali jego długów.

– Zgodził się na to?

– Jest tym, kim jest, więc dlaczego miałby się nie zgodzić? Ponieważ prowadzi rozrzutny tryb życia, jest nam winien coraz więcej pieniędzy.

– Myślisz perspektywicznie, Cary – powiedział George. – Na pewno od wielu lat planujesz zniszczenie banku Pascoe.

Nicholas Warleggan zastanawiał się nad uwagą syna.

– Pearce nie obraca na tyle dużymi pieniędzmi, by zachwiać bankiem Pascoe. Pascoe przetrwał kryzys w dziewięćdziesiątym szóstym roku, kiedy wszyscy mieliśmy kłopoty. Przed kilku laty można było go doprowadzić do plajty, ale teraz musi mieć duże rezerwy.

– Żaden bank nie ma dużych rezerw, ojczcie – odparł George. – Nawet my, gdyby kazano nam wyłożyć karty na stół. Wszystko zależy od tego, jakie asy trzyma w rękawie Cary.

– Pascoe, Tresize, Annery i Spry – mruknął pogardliwie Cary, po czym obciągnął surdut, jakby źle się w nim czuł. – Oto ich rezerwy. St Aubyn Tresize ma dobre nazwisko – może – a poza tym ziemię i kilka nabrzeży w Hayle, lecz brak mu prawdziwych zasobów finansowych. Frank Annery to notariusz z koneksjami. Spry jest kwakrem, sympatycznym jak większość członków tego wyznania. Ale sympatyczni ludzie nie lubią zimnych wiatrów.

Na zewnątrz głośno stukotały podkowy i rozlegały się krzyki masztalerzy. Do stajni gospody Pod Walecznym Kogutem prowadzono kawalkadę koni po codziennym treningu.

– Ile jest nam winien St John Peter?

– Około tysiąca dwustu funtów.

– Na co ten dureń przepuszcza pieniądze? – spytał George.

– Przeważnie na polowania. Jest głównym łowczym w Rame, a życie na tej stopie wymaga sporych wydatków. Poza tym poznał w St Austell kilka kobiet o wyrafinowanych gustach, których zaspokojenie jest kosztowne.

Zapadła cisza.

– Pewna ciekawostka – odezwał się Cary. – Ross Poldark ma spory depozyt w banku Pascoe. W zeszłym miesiącu przeszło cztery tysiące funtów. Celujemy do jednego ptaka, a przy okazji możemy ustrzelić drugiego.

– Zastanawiam się, skąd to wszystko wiesz, bracie.

Lekki ruch kącików ust Cary'ego przypominał uśmiech.

– Pascoe zatrudnia urzędnika o nazwisku Kingsley. Otrzymuje niskie wynagrodzenie i teraz może sobie pozwolić na drobne luksusy, na które poprzednio nie było go stać.

– Zastanawiam się, do czego to wszystko prowadzi, jaki jest sens tych ciągłych kłótni – ciągnął Nicholas. – Jesteśmy teraz zbyt potężni, prowadzimy zbyt szerokie interesy, by marnować czas i pieniądze na załatwianie dawnych porachunków. Postępujesz słusznie, George, próbując znowu uzyskać miejsce w parlamencie. Myślisz o przyszłości, przygotowujesz następne posunięcia. Poseł do Izby Gmin ma wiele okazji do dobrych interesów. Ale bank Pascoe? Ross Poldark? Czy zasługują na tyle zachodu z waszej strony?

Cary zamierzał odpowiedzieć, lecz pierwszy odezwał się George:

– Wiem, że jesteś najbardziej wspaniałomyślny z nas wszystkich, ojczu, i budzi to mój podziw. Ja również czasem umiem być wspaniałomyślny, lecz najchętniej wobec przyjaciół. Jestem trochę zaskoczony twoją postawą, ponieważ lord Falmouth potraktował cię lekceważąco i udało mu się wepchnąć do parlamentu kapitana Poldarka zamiast twojego ukochanego syna.

Nicholas skinął głową i sięgnął po laskę.

– To prawda. Ale lorda Falmouth poniosły emocje. Kiedy człowiek jest chory tak jak ja tej zimy, patrzy na wszystko inaczej, z innej perspektywy. –

Wstał ciężko z fotela. – Nieważne. To tylko moje spostrzeżenie. Pójdę poszukać matki. Oczywiście jeśli wróciła z zakupów.

II

Żona Nicholasa Warleggana jeszcze nie wróciła z zakupów, które robiła w towarzystwie żony George'a Warleggana.

Stosunki Elizabeth z teściową były kruche i niezbyt łatwe, ponieważ Mary Warleggan nigdy nie nabrała ogłady towarzyskiej i w dalszym ciągu była prostą wiejską kobietą jak w chwili małżeństwa przed czterdziestu laty. W owym czasie, jako jedyna żyjąca córka dość zamożnego młynarza, popełniła megalomanię, poślubiając Nicholasa Warleggana, syna starego Luke'a Warleggana, miejscowego kowala. Nicholas – którego nigdy w życiu nie nazywano Nickiem i który stanowczo się temu sprzeciwiał – był rzutki, przedsiębiorczy i miał wielkie aspiracje. Wkrótce pożyczył pieniądze pod zastaw młyna i gospodarstwa, a po śmierci teścia szybko sprzedał majątek. Wyprowadził się z żoną i małym synem z Idless i założył odlewnię nad strumieniem Carnon. Sprowadzał surówkę z Pentyrch i Dowlais w pobliżu Cardiff, kute żelazo i sztaby żelaza z Bristolu. Wytwarzał z nich narzędzia i artykuły potrzebne kopalniom i gospodarstwom rolnym: śruby, gwoździe, tarcze szlifierskie, ruszty, drut, minie, ołowiane bloki, garnki, kociołki i miednice. Angażował się w nowe przedsięwzięcia, produkował koła zębate do kruszenia rudy cyny, odlewał brąz z miejscowej cyny i miedzi, a w końcu zaczął budować kompletne maszyny parowe dla kopalni. Nauczył się zatrudniać zdolnych pomocników, którym płacił dobre pensje, ale którzy nie mieli udziału w zyskach – i potrafił ich skłonić do efektywnej pracy. Nicholas

prowadził w hrabstwie coraz szersze interesy, a ponieważ udzielał kopalniom pożyczek, siłą rzeczy stał się bankierem. Kantor otwarty w Truro był wkrótce głównym ośrodkiem jego działalności, a Cary, który zarządzał odlewnią, został sprowadzony do miasta, by nadzorować operacje finansowe, po czym odkrył swoje prawdziwe powołanie.

Takie były początki fortuny Warlegganów. Syn Nicholasa odziedziczył po ojcu energię i wyrobił w sobie instynkt do dobrych interesów. Znacznie powiększył majątek rodziny i z czasem, w dojrzałym wieku, Mary Lashbrook, córka drobnego młynarza, została panią wielkiej rezydencji kilkanaście kilometrów od Truro – z portykami, trzydziestoma sypialniami i dwustoma hektarami łąk i lasów. Tym bardziej zawstydzające było to, że jej syn postanowił poślubić zubożałą wdowę pochodzącą z jednego z najstarszych rodów Kornwalii. (I rzeczywiście, dwa lata wcześniej w czasie obiadu w Trenwith, na który na szczęście nie zaproszono Nicholasa i Mary Warlegganów, zdarzyło się coś strasznego. Na przyjęcie zaproszono wielkiego sir Francisa Basseta – tak się wówczas nazywał – oraz kilku przedstawicieli najwyższej arystokracji. W czasie rozmowy Basset niedbale napomknął, że jego przodkowie przybyli do Anglii wraz z Wilhelmem Zdobywcą, po czym stary, niezdarny Jonathan Chynoweth natychmiast wymamrotał: „Mój drogi panie, nie ma się pan czym szcycić. Genealogia mojego rodu sięga dwustu lat przed podbojem normąńskim. My, Kornwalijszczy, uważamy Normanów za uzurpatorów”).

Trudno się zatem dziwić, że dwie panie Warleggan miały ze sobą niewiele wspólnego. Gdyby Mary rzeczywiście wierzyła, że Elizabeth szczerze podziwia George'a, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale Elizabeth była zbyt chłodna, zbyt pełna rezerwy, zbyt patrycjuszowska, by rozmawiać z teściową o sprawach, które mogłyby ją interesować. Nie można z nią było dyskutować o zdrowiu George'a, o tym, czy nie jest przepracowany albo czy jego humory

wskazują, że powinien zażywać lekarstwa na kamice. Głównym wspólnym tematem był Valentine, tyle że Elizabeth wychowywała syna zgodnie z najnowszymi zasadami i nie podobały jej się przesady, które uważała za przestarzałe.

Mary nie sądziła, że Elizabeth brakuje dobrej woli. Na przykład tego popołudnia Elizabeth mogłaby wymyślić jakąś wymówkę i teściowa poszłaby sama do pani Trelask. Zamiast tego wybrały się razem. Było mgliste, wilgotne popołudnie, potykały się i ślizgały na kocich łbach, podtrzymywały suknie rękami, mijaly prostych ludzi, którzy czasem je poznawali – kobiety dygały, a mężczyźni unosili dłonie do czapek. U pani Trelask Elizabeth nie tylko pomogła Mary wybrać jedną z dwóch jedwabnych tkanin, ale też sama zamówiła kapelusz.

– Nigdy nie poznała mama mojej kuzynki, prawda? Rowella poślubiła pana Solwaya, bibliotekarza. Mieszka przy sąsiedniej ulicy. Może wpadłybyśmy do niej i poprosiły, by poczęstowała nas herbatą.

Poszły. Mary Warleggan wiedziała, że Rowella popełniła mezalians, i w duchu podziwiała Elizabeth za to, że się tego nie wstydzi. Dotarły do drzwi. Był to jeden z sześciu niewielkich domów znajdujących się w małej uliczce, nędznych, krytych strzechami wymagającymi naprawy. Okna były wypaczone, a mury pokrywał grzyb. Nagle w drzwiach pojawił się barczysty, modnie ubrany młody mężczyzna o pulchnej twarzy, w którym trudno było rozpoznać duchownego.

– Ach, Osborne! – odezwała się Elizabeth. – Rowella jest w domu? Postanowiliśmy ją odwiedzić.

Rozdział szósty

I

Ross kilka razy spotkał się z Dwightem i Caroline. Podziwiał małą Sarah, która rzeczywiście była mała, lecz inteligentna i wrażliwa. Caroline twierdziła, że natura spletała jej figła. Wysoka matka urodziła karzełka. Dwight ripostował, że w wieku czterech miesięcy Caroline z pewnością była równie drobna, ale nie tak dobroduszna, o co mógłby się założyć.

– Myli się pan, doktorze Enys – odpowiadała Caroline. – Mój charakter zmienił się na gorsze dopiero po ślubie.

Mimo to, choć żartowała z siebie i dziecka, wydawała się szczęśliwą matką i spędzała dużo czasu z córką, zaniedbując „konie i inne ważniejsze sprawy”, jak to określała.

Dwight nie czuł się zbyt dobrze, jednak bezlitośnie zmuszał się do kontynuowania praktyki lekarskiej. Niekiedy wydawał się zdrowy, lecz przygnębiony – Ross poruszył ten temat, gdy tylko mogli porozmawiać sam na sam.

– Caroline też to zauważyła – odpowiedział Dwight. – Oskarża mnie, że jestem urodzonym pesymistą, co nie jest prawdą. Myślę, że w moim zawodzie trzeba zawsze przewidywać najgorsze ewentualności, by im zapobiec. Jeśli wiem, że dziecko chorujące na odrę może dostać zapalenia płuc, co często się zdarza, i umrzeć z tego powodu, czy należy mnie uznać za pesymistę, skoro lecę dziecko w taki sposób, by tego uniknąć?

Wracali z Truro, przypadkiem spotkawszy się pół kilometra od miasta. Dwight sprawdzał postępy budowy nowego szpitala dla górników wznoszonego w pobliżu Truro, a Ross wracał do Nampary po wieczerzy z przyjacielem, bankierem Harrisem Pascoe, z którym jak zwykle rozmawiał o problemach świata.

– Sytuacja finansowa Anglii się poprawiła – mówił Pascoe. – A przynajmniej finanse rządu są lepsze niż rok temu. Wielkie dary arystokracji i firm handlowych na prowadzenie wojny! Książę Marlborough: pięć tysięcy funtów. Londyn: dziesięć tysięcy funtów. Trzy domy handlowe z Manchesteru – zaledwie trzy! – zebrały trzydzieści pięć tysięcy! Zbiórki publiczne dały jak dotąd pół miliona. Ułatwia to zadanie Pittowi.

– Kiedy ostatnio przemawiał w Izbie Gmin, wyglądał na chorego.

– Zdaje się, że nie udał mu się romans. Miał nadzieję poślubić pannę Eden, lecz nic z tego nie wyszło. Niektórzy twierdzą, że nie ośmielał się oświadczyć z powodu braku pieniędzy. Cóż... czasem moralność zbyt dużo kosztuje. Człowiek, który od tylu lat pełni funkcję premiera...

– Irlandia sprawia straszliwe kłopoty – rzekł Ross. – Co za historia! Represje, powstania, spiski, zdrady. Nie ma temu końca.

– A tymczasem zastanawiam się, dokąd podążył generał Bonaparte.

– Pewnie na wschód.

– Tylko gdzie? Do Egiptu?

– Możliwe. Prawdopodobnie myśli o Indiach.

– Ross, żałujesz, że postanowiłeś reprezentować Truro?

Ross zmarszczył brwi.

– Nie żałuję. Jeszcze nie. Ale... jestem niespokojny.

– Czy kiedykolwiek byłeś spokojny?

– Cóż... ludzkość ma ogromne potrzeby, a proces ich zaspokajania jest bardzo powolny. Oczywiście mam na myśli fundamentalne potrzeby – nawet

teraz, gdy Anglia walczy o przetrwanie. Myślę, Harris, że kończy się epoka, kiedy narody walczyły ze sobą bez udziału większości społeczeństwa. Obecnie, zwłaszcza od czasów Carnota, w wojnie uczestniczą wszyscy. Z Francją walczy cała Anglia, wszyscy mieszkańcy kraju, każdy z nas, więc nawet nędzarze nie powinni czuć, że są zapomniani i lekceważeni. Stanowią taką samą część Anglii jak arystokracja i właściciele wielkich domów handlowych.

Harris przyglądał się kolorowi wina w swoim kieliszku.

– Pochodzi z Francji – powiedział. – Niegdyś uważaliśmy ich za naród nieoświeconych papistów. Teraz za rewolucyjnych ateistów. W głębi duszy zastanawiam się, czym się różnią od nas. Udało ci się dziś rano zdobyć w Truro trochę srebrnego bilonu?

– Nie. Ani jednej monety.

– Ludzie gromadzą srebro. Czasem niewiele z tego rozumiem. Widziałeś hiszpańskie dolary ze zdobycznych galeonów z głową króla Anglii, wybite przez naszą mennicę? Niedawno pojawiły się w obiegu.

– Chciano mi nimi płacić, lecz ich nie przyjąłem.

– Niesłusznie. Te monety są legalnym środkiem płatniczym. Każda jest warta cztery szylingi i dziewięć pensów. Podejrzewam, że ludzie szybko zaczną je chomikować, podobnie jak resztę srebra. Przypuszczasz, że bogactwa twojej kopalni znikną równie szybko, jak się pojawiły?

Ross się uśmiechnął.

– Widzę, że jesteś dobrze poinformowany. Będziemy bogaci jeszcze przez rok albo dwa, może dłużej. Północna żyła jest zasobna i prawie nieeksploatowana. Kazałem także ponownie drążyć chodniki w stronę Wheal Maiden.

– Masz w tej chwili duży depozyt w naszym banku, Ross: blisko cztery tysiące funtów. Zastanawiałeś się nad zainwestowaniem części w obligacje

państwowe? W zeszłym tygodniu znów były po siedemdziesiąt jeden od sta.

– Dobrze się czuję, gdy stale mam do dyspozycji całą kwotę. Szukam czegoś ciekawego, w co mógłbym zainwestować pieniądze, jak zakład szkatlicowy Blewetta w Looe albo huta Daniella. Im szerszy zakres interesów, tym bardziej jestem zabezpieczony przed kapryśkami Wheal Grace.

– Teraz, gdy zostałeś posłem do Izby Gmin, twoje nazwisko nabrało dużego znaczenia. Och, nie krzyw się, to prawda, nawet jeśli ci na tym nie zależy. Ludzie będą chcieli dodać twoje nazwisko do nazw swoich przedsiębiorstw.

– Będę jak bogata panna na wydaniu, która może przebierać w adoratorach... Mówmy poważnie, Harrisie. Mój kuzyn nie sprawia kłopotów?

– Kuzyn? St John Peter? – Pascoe wzruszył ramionami. – Zdradza moją córkę.

– Młody dureń. Mam ochotę rozbić mu głowę. Co zrobić z takimi ludźmi?

– Może zaczekać, aż staną się starymi durniami? Joan mówi bardzo niewiele, ale słyszę plotki.

– Ciągle trzyma pieniądze w banku Warlegganów?

– Tak. Prawie nie ruszył posagu Joan. Musi mieć z nimi jakąś specjalną umowę. Nie wiem, na czym polega.

Ross prychnął z niezadowoleniem.

– Szkoda, że nie mam na niego żadnego wpływu. Rozsądek nigdy nie był jego mocną stroną. Zastanawiam się, czy nie porozmawiać z jego ojcem.

– Moim zdaniem nic by to nie dało. St John zawsze wyraża się o ojcu wyjątkowo pogardliwie.

Ross znów prychnął. Zapadło milczenie.

– Skoro mówimy o Warlegganach...

– A mówimy?

– Poniekąd. Na szczęście jeszcze nie spotkałem George'a. Przypuszczam,

że jest w Truro?

– O tak. Są wszyscy trzej. Zdaje się, że George załatwia sobie mandat w Izbie Gmin.

– Do licha... Z pomocą Basseta?

– Nie, nie. George kupił od sir Christophera Hawkinsa nieruchomości w St Michael. Nie znam szczegółów, lecz rozumiem, że chodzi o dużą liczbę wynajmowanych domów.

– Może uzyskać wpływy w okręgu wyborczym, ale są przecież aktualni posłowie...

– Tak, niejaki Wilbraham i kapitan Howell. Warleggan niewątpliwie ma nadzieję, że namówi jednego z nich do rezygnacji. Nie jest to niemożliwe, jeśli dobrze zapłaci.

Ross wyciągnął nogi.

– Muszę iść, Harris. Dlaczego nigdy nas nie odwiedzasz? To taka sama odległość w obie strony.

– Muszę tu być prawie codziennie – odparł Pascoe. – Żaden z moich wspólników nie zajmuje się bieżącymi sprawami. Jak wiesz, miałem nadzieję, że pomoże mi mąż Joan, ale, jak również wiesz, uważa bankierów za lichwiarzy i nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

Zeszli na dół. Z powodu dnia targowego w banku było wielu klientów. Pascoe otworzył boczne drzwi.

– Czy George nie mógłby znaleźć tańszego sposobu zdobycia mandatu? – spytał Ross. Pochylił głowę i wyszedł na dwór.

– O tak. Ale na pewno ma nadzieję, że w końcu zdobędzie kontrolę nad obydwoma mandatami w St Michael. Później, kto wie, mógłby sięgnąć dalej. Dysponując głosami kilku posłów, mógłby zaproponować targ rządowi. Pitt prowadzi nienaganne życie prywatne, lecz bez wahania kupuje poparcie polityczne.

– Nie mów nic więcej – poprosił Ross. – Mam delikatny żołądek.

II

Ross spotkał Dwighta i pojechali razem do domu. Wiał wiatr, od czasu do czasu pojawiały się fale mgły. Słońce zasłoniły niekończące się ławice chmur płynące z południowego zachodu. Demelzę zawsze ciekawiło, skąd się biorą. Zastanawiała się, czy za widnokregiem znajduje się ogromna machina produkująca chmury.

Pogoda była męcząca, więc może nic dziwnego, że Dwight wydawał się bardziej milkliwy niż zwykle, bardziej zamknięty w sobie. Ross nie miał nic przeciwko temu. Po śmierdzącym Londynie rozkoszował się rześkim powietrzem Kornwalii. Wolałby, żeby świeciło słońce, bo wysuszyłoby siano. Suchy wiatr nie pozwoliłby ziemniakom zgnić, ale Ross nie był w nastroju do narzekania.

– Między tobą a Demelzą wszystko dobrze? – spytał po chwili Dwight.

– Słucham? Dlaczego miałoby być inaczej?

– Jestem twoim najbliższym przyjacielem, Ross, a poza tym twoim lekarzem. Ośmieliłem się zadać to pytanie, bo wiem, że w zeszłym roku przeżyliście kilka trudnych chwil. Nie chcę się wtrącać do twoich prywatnych spraw.

Ross ściągnął wodze.

– Jeśli mówiąc o trudnych chwilach, masz na myśli zauroczenie Demelzy porucznikiem Armitage'em, to przyznaję, że były one rzeczywiście trudne. Co począć z młodym, odważnym człowiekiem, pod wieloma względami zasługującym na podziw, lecz chorym – jak się okazało, śmiertelnie chorym – który próbuje przyprawić ci rogi? Nie wiem, czy mu się udało, czy nie. I co począć z żoną, której lojalność wydawała się bezwarunkowa, a następnie

zaczęła przypominać młode drzewo pochylone pod naporem wichury?

– Och... Nie jestem pewien, czy...

– Może wiesz więcej ode mnie? Caroline to jedyna powiernica Demelzy.

Dwight się uśmiechnął i mocniej nasunął kapelusz na głowę.

– Wszyscy jesteśmy bliskimi przyjaciółmi, Ross. To dość niezwykła relacja. Czasem myślę, że znasz Caroline lepiej ode mnie. Czy przypuszczasz, że Caroline powiedziała mi o zwierzeniach Demelzy?

Ross skinął głową.

– Musisz się pogodzić z tym, że zazdrośni mężczyźni są podejrzliwi, Dwight.

– Armitage nie żyje. Wszystko się skończyło, niezależnie od tego, czy było ważne, czy nieważne. Nic już się nie zdarzy. Trzymaj to, co masz, Ross. Szczęściarz z ciebie. Przede wszystkim zapomnij. Jeśli zaczniesz rozpamiętywać...

– Wiesz, że chociaż wielu ludzi uważa nas za idealną parę, mój związek z Demelzą zawsze był burzliwy. W ciągu jedenastu lat przeżyliśmy wiele trudnych chwil, większość może z mojego powodu. Teraz musimy przetrwać coś, co spowodowała Demelza.

– Co zawsze jest trudniejsze.

– Paść ofiarą grzechu, niż samemu grzeszyć? Naturalnie. Kiedy mówimy o tym w ten sposób, czuję się zawstydzony. Ale uczucia nie zawsze są racjonalne. Uczucia rodzą się w głębi serca – aby je okiełznać, potrzeba żelaznej woli, panowania nad językiem, oczami, myślami...

Znajdowali się blisko rozstajów dróg. Dwight miał skręcić w stronę pochyłości, gdzie stał młyn Johna Jonasa. Dalej wznosiły się cztery chaty i komin nieczynnej kopalni przypominający palec wcelowany w niebo, a za zabudowaniami półtorakilometrowe wrzosowisko ciągnące się aż do bramy Killewarren. Ross powinien podążać prosto do rozwidlenia w Bergus, minąć

wioskę Grambler i zjechać w dolinę Nampary.

– Rozmawiamy o moich problemach, Dwight, a nie zajęliśmy się twoimi – rzekł.

– Dlaczego to mówisz?

– Nazwałeś mnie szczęściarzem. Przyznaję, że to prawda, ale wyczuwam, że masz na myśli coś bardziej konkretnego.

– Och, chodziło mi o to, że wydajesz się szczęściarzem w porównaniu z większością moich pacjentów, bogatych czy biednych. To nieszczęśliwi ludzie i dochodzę do wniosku, że zdrowie to najważniejsza rzecz w życiu. Bez tego – nic.

– Cóż, twoi pacjenci prawdopodobnie wzywają cię dlatego, że są chorzy. Przyznaję, że spotykam w okolicy również zdrowych ludzi. Oczywiście zdrowie to podstawowa sprawa. Człowiek zaczyna je cenić dopiero wtedy, gdy coś mu dolega. Ma to przyczyny osobiste, prawda? Wspomniałeś, że źle się czujesz. W twojej duszy jest coś mrocznego, Dwight.

Zatrzymali konie na rozstajach. Sheridan Rossa był niespokojny i nie mógł się doczekać powrotu do domu.

– Może powinniśmy kiedyś o tym porozmawiać – stwierdził Dwight.

– Nie mam żadnych umówionych spotkań. Zsiądźmy na chwilę. Czy mógłbym ci jakoś pomóc?

– Nie... – Dwight poklepał konia po szyi. – Nie ma potrzeby zsiadać. Mogę to powiedzieć w dwóch słowach, jeśli cię to interesuje. Sarah umrze.

Ross wytrzeszczył oczy.

– Co takiego?!

– Zauważyłeś, że ma nieco sine wargi? Nie jest to bardzo widoczne, ale ja to spostrzegłem jako lekarz i ojciec. Przyszła na świat z wrodzoną wadą serca. Szmery. Może nawet perforacja, nie wiem. Nie można mieć pewności.

– Mój Boże! – zawołał Ross. – Mój Boże, mój Boże...

Dwight zmrużył oczy i popatrzył na bezbarwne niebo.

– Widuję setki dzieci przychodzących na świat w nędzy i brudzie. Porody często odbierają niezręczne babki, które kaleczą matki, odgryzają pępowiny zębami, a potem dają noworodkom kropelkę ginu, by nie płakały. A jednak w pierwszych miesiącach życia, niezależnie od tego, co się zdarzy później, prawie wszystkie te dzieci są całkowicie zdrowe. Dlatego to paradoks, że dziewczynka z bogatej rodziny, leczona przez własnego ojca i mająca wspaniałe warunki, urodziła się chora i nie ma żadnego sposobu, by ją wyleczyć.

Dwight rzadko wygłaszał tak długie przemowy. Mówił szybko i Ross się domyślił, że w ciągu ostatnich miesięcy przyjaciel myśli o tym w dzień i w nocy.

– Nie wiem, co powiedzieć, Dwight. Przypuszczam... Caroline nie wie?

– Nie. Nie potrafię jej powiedzieć. Zastanawiam się, jak to zrobić. Muszę jej to przekazać jak najłagodniej, może nawet na piśmie. Sytuacja jest koszmarna. Wszystko potoczy się swoją koleją.

Ross mocno ściągnął wodze, by uspokoić Sheridana. Koń potrząsnął łbem i z jego chrap spadła piana.

– Nie mów Demelzie – ciągnął Dwight. – Nie chodzi o to, że powiedziałaaby Caroline. Można by to wyczytać z jej twarzy.

– Dwight, to najgorsza rzecz, jaka nas spotkała – nas czworo – od śmierci Julii. Ale wybacz: moja wiedza na temat medycyny sprowadza się do kilku podstawowych faktów. Jesteś zupełnie pewien?

– Tak, niestety. W życiu nic nie jest pewne, jednak tu nie ma żadnych wątpliwości. Widziałem kilka takich przypadków, większość w czasie studiów w Londynie. Chorobę łatwo rozpoznać. Należy przyłożyć ucho do piersi dziecka. Normalne bicie serca to ciche „bum, bum”. Serce Sarah wydaje lekkie syki: „tss, tss”.

– Pojadę z tobą kawałek, Dwight.

– Jeśli chcesz. Ale nie do Killewarren, bo Caroline będzie się zastanawiać, dlaczego nie wszedłeś. A w tej chwili zdradziłby cię wyraz twarzy.

Ross otarł nos rękawicą do konnej jazdy i ruszyli powoli w stronę młyna Jonasa. Sheridan nie miał ochoty oddalać się od domu.

– Sarah wydaje się ciekawa, żywa, pod każdym względem zdrowa – rzekł po chwili Ross. – Nie ma żadnych innych objawów?

– Jeszcze nie. Mogą się nigdy nie pojawić. To po prostu kwestia oczekiwania na pierwszą infekcję, Ross. Czy nastąpi w tym roku, czy w przyszłym, serce Sarah jej nie wytrzyma.

Rozdział siódmy

I

W lipcu Drake'a Carne'a odwiedziło dwóch gości, jeden zwykły i spodziewany, drugi niezwykły i niespodziewany. Pierwszym był brat Samuel, którego wybrał Bóg – Samuel przyjmował to z absolutną pokorą – by prowadzić zbłąkane dusze w stronę bram raj. Wielokrotnie spływała na niego łaska i czuł w sercu ogromną wdzięczność. Był pokornym świadkiem chwały Boga, nigdy nie pragnął otrzymać więcej, niż mógł ofiarować innym. Pracował na akord w kopalni Wheal Grace, każdą wolną chwilę spędzał na spotkaniach modlitewnych i lekturze Biblii z braćmi metodystami albo w praktyczny sposób pomagał ubogim i chorym mieszkańcom wioski Grambler i Sawle. Był w tej okolicy obcy, dotarł tu z Illuggan przeszło cztery lata temu, toteż z początku traktowano go nieufnie, a ludzie, którzy nie należeli do ruchu metodystycznego, okazywali mu niechęć. Ale dobre uczynki sprawiły, że zyskał powszechną sympatię, choć nigdy nie pił w szynkach z miejscowymi.

Samuel odwiedzał brata dwa razy w tygodniu, lecz ponieważ miał coraz więcej obowiązków, odwiedziny stawały się coraz krótsze. Dwukrotnie odrzucił propozycję Drake'a, by zostać współnikiem kuźni. Mówił, że jego powołaniem jest co innego.

W ten wtorek Samuel został dłużej niż zwykle i pomagał Drake'owi umocować dyszel wozu. Kiedy prawie skończyli, powiedział:

– Cieszę się, bracie, gdy słyszę, że znowu zaprzyjaźniłeś się z młodą

kobietą.

– Podnieś wóz jeszcze raz i trzymaj nieruchomo, a ja wbiję następny gwóźdź – odparł Drake. – Masz na myśli Rosinę Hoblyn? Widziałem ją tylko trzy razy, przypadkowo, z jednym wyjątkiem. To przesada mówić, że się z nią zaprzyjaźniłem.

– Cóż... nie jest moim zadaniem mówić ci, co masz robić, Drake, choć byłoby mi przyjemnie, gdybyś się ożenił z odpowiednią młodą kobietą. Samotne życie nie jest normalne. Czułem wielki żal, że nie wróciłeś do zgromadzenia, ale wiem również, że w ciągu ostatnich trzech lat bardzo cierpiałeś. Byłbym szczęśliwy, gdybyś zrobił pierwszy krok, by wrócić do równowagi.

Drake wstał i spojrzał ze zmrużonymi oczami na wóz.

– Jest prosty czy krzywy, bracie?

– Prosty.

– Z tej strony? Myślisz, że z tej strony też?

– Tak... Drake, jesteś ciągle młody, a już masz w ręku dobry fach. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu wstajesz skoro świt, późno chodzisz spać i cały czas pracujesz. Nie szukasz bogactwa, nie leży to w twojej naturze, ale stopniowo stajesz się zamożnym człowiekiem. Po co to wszystko, bracie? Zadaję to pytanie samemu sobie i muszę zapytać o to samo ciebie. Po co to wszystko?

– Nigdy nie zadaję sobie tego pytania – odparł Drake.

– Jeszcze nie. Ciężko cię zraniono, jednak z czasem nawet najgorsze rany się goją.

– Naprawdę?

– Przepraszam, bracie, że mówię o delikatnych sprawach, ale powinieneś wiedzieć, że robię to z miłości i sympatii. Przychodzi czas, kiedy należy się rozejrzeć po świecie i spełnić swój obowiązek. Nie to, co się chce, tylko to,

co powinno się zrobić. Pomoc innym to najlepsza droga do zbawienia. Skoro teraz... skoro teraz, dzięki modlitwie, jesteś przekonany, że masz chrześcijański obowiązek wyrzec się stanu kawalerskiego i wziąć sobie żonę, uważam, że niewiele młodych kobiet nadaje się do tego lepiej od Rosiny Hoblyn.

– Tak uważasz? – odezwał się Drake.

Samuel spojrzał na brata. Choć Drake w dalszym ciągu był szczupły, lata pracy w kuźni sprawiły, że nabrał ogromnej siły fizycznej. Nie wydawał się szczególnie umięśniony: jego mięśnie można było dostrzec tylko w czasie pracy, tak jak w tej chwili. Uniósł koniec wozu, postawił go na niskim koźle i zaczął wybijać czop mocujący koło.

– Myślisz, że byłbym dobrym mężem dla Rosiny, skoro jej nie kocham? – spytał.

– Miłość może przyjść, bracie. Jeśli będziecie kochać i czcić Chrystusa, miłość musi się pojawić. Gdyby dobry Bóg pobłogosławił wasze małżeństwo potomstwem, twoja dusza rozkwitłaby jak kwiat i osiągnąłbyś ostateczne spełnienie.

– A Morwenna? – spytał Drake.

Zapadło milczenie. Żaden z braci nigdy nie wymieniał tego imienia. Ciszę przerwało uderzenie młota i czop spadł na ziemię. Drake przystąpił do zdejmowania koła.

– Morwenna jest mężatką – odparł Samuel.

– Wiem o tym aż za dobrze.

– Jest żoną proboszcza i ma dziecko...

– I żyje w piekle.

– Nie możesz tego wiedzieć, Drake.

– Wiem. Radzisz mi, bracie, żebym odnalazł niebo i zostawił ją w piekle?

– Nie możesz nic zrobić. Martwisz się czymś, czego nie można zmienić,

Drake. Niszczysz sobie życie, smucisz się, smucisz, smucisz...

– Och, czasem zapominam – odparł Drake. Postawił koło na ziemi i westchnął. – Wstydzę się, jak często zapominam. Żaden ból, żadna żałoba nie trwa wiecznie. Gdybym jednak wziął inną kobietę... Wstydziłbym się jeszcze bardziej i nie byłoby to uczciwe wobec Rosiny. Nigdy nie pokochałbym nikogo innego całym sercem.

– Może z czasem byś pokochał.

– Co mam jej teraz powiedzieć? Że chcę ją poślubić, bo tak mi jest wygodnie, bo potrzebuję kobiety, która prowadziłaby mi dom i rodziła moje dzieci? To mam powiedzieć?

Samuel pochylił się, by zawiązać sznurowadło.

– Może nie powinienem o tym mówić. Nie należało pytać. Ale martwię się o ciebie, bracie. Chcę, żebyś ujrział światło, przestał czuć gorycz. Jeśli taka będzie wola Boga, masz przed sobą długie życie.

Drake dotknął ramienia brata.

– Zostaw mnie na razie, Samie. Skoro mam przed sobą długie życie, daj mi jeszcze trochę czasu.

Był to jeden z nielicznych pogodnych dni w drugim miesiącu deszczowego lata. Ze wzgórza zjeżdżał wozem Pally Rogers z posiwiąłą brodą wyblakłą od słońca i wiatru. Mijając braci, pozdrowił ich uniesioną dłonią.

– Wygląda na to, że wielu ludzi nie ma takich problemów jak ja – powiedział Drake. – A ty, Samie? Troszczysz się o mnie, a co z twoim nieszczęściem?

– Moim?

– Co z Emmą Tregirls? Odeszła od Choake'ów i przeniosła się do Tehidy, wiele kilometrów stąd. Czy nie masz podobnych problemów?

Samuel skinął głową.

– Tak, bracie. Nasze serca dręczy ten sam ból, lecz mnie pomaga łaska

Ducha Świętego. Modlę się o Emmę każdego wieczoru. Modlę się, by przejrzała na oczy i zrozumiała, że tkwi w okowach grzechu. Gdyby uzyskała łaskę, radowałbym się podwójnie: że kolejna dusza zrozumiała sens krwawej ofiary Jezusa i że taka wspaniała kobieta, uzdrowiona na chwałę Boga, została moją żoną. Nic by nas nie rozdzieliło, bylibyśmy jednym ciałem i poznalibyśmy idealną miłość, cielesną i duchową.

Tym razem to Drake spojrział na brata. Stał przed nim wysoki, jasnowłosy mężczyzna o pobrużdżonej, lecz młodzieńczej twarzy, o dobrych, przenikliwych oczach i nieco niezgrabnych ruchach. Drake pomyślał, że Samuel czasem mówi zbyt gładko, jakby wygłaszał kazanie. Wiedział jednak, że brat przemawia z głębi serca. Łatwość formułowania myśli była skutkiem nieustannego nauczania Biblii na spotkaniach modlitewnych.

– Jesteś zadowolony? Cieszysz się, że Emma odeszła?

– Mam wiarę – odparł Samuel.

– Wiarę, że wróci?

Przez twarz Sama przemknął cień.

– Nie kazałem jej odejść. Odeszła i nie mogłem jej powstrzymać. I tak bym ją poślubił, ale się nie zgodziła. Powiedziała, że nie ma łaski i że nie znajdzie zbawienia. Wierzę, że Jezus uporządkuje moje życie – i jej życie – zgodnie ze swoją wolą.

Na dziedziniec wbiegł Jack Trewinnard, trzymając w jednej ręce wiadro, a w drugiej motykę. Kiedy zauważył, że Drake ma gościa, pośpiesznie otarł rękawem nos i wyszedł przez stajnię.

– Bracie, moim zdaniem można przedstawiać argumenty i za jednym, i za drugim. Wiem, że Demelza myśli o Rosinie to samo co ty, bo to ona sprawiła, żeśmy się poznali. Rosina jest dobrą dziewczyną, przyznaję, czystą, schludną i ładną. Byłaby bardzo dobrą żoną. Czuję do niej sympatię. Ma... dobre serce. Podoba mi się. Ale... trzeba z tym poczekać. Jest za wcześnie. Jeśli coś ma

z tego wyniknąć, jest jeszcze za wcześnie. Musisz mi pozwolić prowadzić własne życie, Samie. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

II

Drugi, niespodziewany gość odwiedził Drake'a Carne'a pod koniec lipca. Drake poszedł do Sawle po kosz ryb i zostawił w kuźni młodych braci Trewinnardów. Z początku nie poznał ani rasowego siwka, ani wysokiego młodego człowieka gawędzącego z pomocnikami z warsztatu. Młodzieniec się odwrócił, zauważył Drake'a i krzyknął. Był to Geoffrey Charles Poldark, który niedawno wrócił do domu z Harrow.

Rok wcześniej w ogóle się nie spotkali. Elizabeth i George uzgodnili, że Geoffrey Charles powinien spędzić wakacje letnie w Norfolk, a w czasie świąt Bożego Narodzenia pogoda była tak paskudna, że Warlegganowie nie przyjechali do Trenwith. W tym czasie ujmujący, kapryśny, impulsywny chłopiec pod wpływem szkoły i alchemii dojrzewania zmienił się w bladego, starannie ubranego, nonszalanckiego młodego człowieka.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Geoffrey Charles oparł ręce na barkach Drake'a i spojrzał na niego pytająco.

– Na Boga, wyglądasz tak samo jak wtedy, gdy wyjeżdżałem! Mam wrażenie, że nie było mnie tylko przez chwilę. Co to za łobuziaki? Następni twoi bracia? – Geoffrey Charles mówił podobnie jak dawniej. Przeszedł już mutację, choć czasem głos łamał mu się jeszcze na wyższych dźwiękach.

– Bardzo się zmieniłeś, Geoffreyu Charlesie. Ledwo cię poznałem. Wróciłeś na dłużej, prawda? Cieszę się, że cię widzę po tak długiej przerwie!

– Przyjechaliliśmy wczoraj wieczorem, matka i ja. Wuj George męczy się z umową zakupu jakichś domów i zamierza wrócić dopiero w przyszłym tygodniu. Dobrze ci się powodzi? Do licha, widzę, że tak!

Rozmawiali przez chwilę. Drake stał, a Geoffrey Charles siedział na niskim murku, leniwie ruszając zgrabną nogą i kołysząc eleganckim trzewikiem. Młodzi mężczyźni czuli się zmieszani jak nigdy wcześniej. Przed dwoma laty entuzjastkowali się podobnymi rzeczami, a teraz należeli do innych światów.

– Co się stało z twoją brwią, Drake? – spytał po chwili Geoffrey Charles. – Wygląda jak grecka dzeta leżąca na boku... Czy to pamiątka po pojedynku zapaśniczym z Tomem Harrym?

– Nie, walczył z nim mój brat Samuel – odparł Drake.

– Co, ten metodysta? A więc uprawia zapasy? Szkoda, że tego nie widziałem. Chciałbym, żeby ktoś wreszcie utarł nosa Tomowi Harry'emu.

– Samuel przegrał.

– Naprawdę? Ty też przegrałeś?

– W pewnym sensie. Napadło mnie trzech mężczyzn.

– Trzech? Służących z Trenwith?

– Trudno mieć pewność.

Geoffrey Charles popatrzył na przyjaciela i przestał kołysać nogą.

– Powiedz mi, Drake. Jestem twoim przyjacielem.

– Nie chcę cię w to wplątywać.

– Wiem... już raz mnie wplątałeś. To wystarczy. Cóż... czasem wystarczy mrugnięcie okiem, jak mówią. Na razie nie mam jeszcze dość władzy, Drake. Służący z Trenwith nie kulą się ze strachu, słysząc moje kroki. Może potrafię sprawić, że życie Harry'ego będzie czasem odrobinę mniej przyjemne. Mam taką nadzieję. Będzie to mój niewielki wkład na rzecz idei przyjaźni.

– Sprawa została już dawno zakończona – odparł Drake. – Od wielu dni ich nie widziałem. Trzeba o tym zapomnieć. Porozmawiajmy o innych rzeczach. Twojej szkole... Twoich nowych przyjaciółach...

– Moja szkoła... – Geoffrey Charles ziewnął. – To dość przyzwoite miejsce, gdy się przyzwyczaiłem. Nie muszę już usługiwać starszym uczniom.

Nie ma wiele pracy; wystarczy nauczyć się trochę łaciny i greki. W pierwszym roku moim opiekunem był nauczyciel o nazwisku Harvey, miłośnik brandy i chłosty. „Proszę podejść i spuścić spodnie!” – ryczał. Bardzo się z nim męczyłem, ale teraz opiekuje się mną wesoły czterdziestokilkuletni belfer, który w ogóle się mną nie interesuje, dopóki nie zawracam mu głowy. Kiedy wrócę, przydzielą mi młodszego ucznia jako służącego.

Drake wziął kosz z rybami, do którego zlatywały się muchy, i zaniósł go do domu. Gdy wrócił, Geoffrey Charles w dalszym ciągu siedział na murku. Strzepywał niewidzialny pyłek z kurtki do jazdy konnej z zielonego aksamitu.

– W następnym semestrze znajdę sobie kochankę – powiedział, nie unosząc wzroku.

Drake wytrzeszczył oczy.

– Słucham?

Geoffrey Charles zauważył wyraz twarzy Drake’a i wybuchnął skrzekliwym śmiechem.

– Wiesz, co mam na myśli?

– Nie jestem pewien.

– Kochankę. Kobietę. Dziewczynę. Najwyższy czas.

– Miałem nadzieję, że nie o to ci chodzi – odpowiedział martwo Drake.

– Dlaczego nie? To część życia. Podobno dość przyjemna. Miałeś kiedyś kobietę, Drake?

– Nie.

Geoffrey Charles zsunął się z murku i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Bardzo cię przepraszam. Obawiam się, że delikatność nie wchodzi w zakres naszego programu nauczania... Co do mnie... Cóż, może nie w następnym semestrze, ale mam nadzieję, że niebawem. Rozejrzę się. Sporo starszych kolegów ma *amours*. W naszej rodzinie istnieje tradycja, że trzeba wcześniej przejść chrzest bojowy... Widzę, że cię uraziłem.

– Nie jestem stróżem brata mego ¹.

– Dobrze powiedziane, na Boga! Teraz znowu musimy zmienić temat, co? Tylko na jaki? Słyszałem, że wuj Ross pozbawił George’a miejsca w parlamencie, a ojczym na pewno nigdy im tego nie wybaczy.

– Im?

– Wujowi Rossowi i ciotce Demelzie.

– Co ma z tym wspólnego Demelza?

– Cóż, po prostu raz podsłuchałem, jak ojczym gadał na ten temat. Do jego tępej głowy dotarło, że porozumienie między lordem Falmouth a lordem de Dunstanville’em zostało zawarte dzięki pośrednictwu ciotki Demelzy. Nie wyobrażam sobie, jak to zrobiła. Nie miałem pojęcia, że zna kogoś z nich!

– Odwiedzali w zeszłym roku Namparę, ale nie wierzę, by Demelza mogła wpłynąć na takie wielkie osobistości.

– Ha... Wuj George wierzy w to, w co chce wierzyć. Tak czy inaczej, jutro przed jego przyjazdem udam się do Nampary, aby zobaczyć się z rodziną wuja Rossa. Prawie nie znam swoich młodszych kuzynów. A może należy ich nazywać kuzynami drugiego stopnia?

Drake od pewnego czasu zastanawiał się nad zadaniem ważnego pytania i wreszcie nie wytrzymał.

– A Morwenna? Widziałeś ją?

– Przelotnie. Po Londynie Truro to prowincjonalne miasteczko i starałem się przekonać matkę do wyjazdu nad morze, choć nie było to łatwe. Morwenna jest zdrowa. Wyglądała lepiej niż poprzednim razem. Była zajęta przyjmowaniem jakiegoś wiejskiego dziekana zaproszonego przez pastora Whitwortha.

Zapadło milczenie. Drake przygryzł wargi.

– A chłopiec... chłopiec jest zdrowy?

– O tak. Prawdziwy potwór. Będzie tak wielki jak ojciec. W ogóle nie wie,

co to dyscyplina. Pastor Whitworth traktuje wszystkich bardzo surowo, ale syn może robić wszystko, co chce, i podejrzewam, że wkrótce będzie rządził całym domem. – Geoffrey Charles ponownie strzepnął pyłek z kurtki. – Chciałem porozmawiać z Morwenną sam na sam, lecz okazało się to niemożliwe. Przykro mi.

– Nie... Może dobrze się stało. – Drake popatrzył na uniesione brwi młodego Poldarka. – Czy jest sens przedłużać coś, co dawno się skończyło? Morwenna ma własne życie, jest zajęta, o czym dobrze wiem. Prowadzi dom, jest mężatką, żoną proboszcza, matką. Przywoływanie starych wspomnień przyniesie tylko smutek. Nie byłaby ci wdzięczna i nie wolno mi cię do tego namawiać. Ja też mam swoje życie i muszę o nim myśleć. Co było, minęło, Geoffreyu, choć mam prawo czuć gorycz.

Geoffrey Charles obserwował jednego z Trewinnardów pchającego taczkę wypełnioną chrustem na podpałkę.

– Jak ich odróżniasz?

– Jack ma bliznę na rękę, a jego brat na kolanie.

– Więc gdyby obaj wystawili głowy nad murek, nie dałoby się ich rozpoznać?

– To i tak bez znaczenia. Nawet jeśli wołam jednego, przybiegają obaj.

– Drake, cieszę się z tego, co powiedziałaś o Morwennie. Teraz, gdy jestem trochę starszy, rozumiem, że byliście wtedy... bardzo sobą zauroczeni, zwłaszcza w czasie tamtej długiej, mrocznej zimy. Pamiętasz pierwiosnki, które przynosiłaś? Ale to minęło. Tamte czasy to przeszłość. Dobrze postępujesz, patrząc na to w ten sposób.

Drake skinął głową.

– Znow mówimy o przykrych sprawach. Opowiedz mi o sobie i Londynie. Jak długo zostaniesz w Trenwith?

– Chyba do połowy września. Więc będziemy się częściej widywali.

– Nie jestem taki jak twoi koledzy ze szkoły, Geoffreyu. Nie potrafię rozmawiać o kobietach tak jak ty. Może wyrosłeś z mego świata? Przychodzi mi to czasem do głowy. Poza tym jestem metodystą, choć znacznie mniej gorliwym niż Samuel. Pracuję w kuźni, jestem kowalem próbującym zarobić na życie. A ty jesteś młodym dżentelmenem, przyszłym dziedzicem Trenwith, uczysz się w szkole, odwiedzasz Londyn, a potem na pewno pojedziesz na studia do Oksfordu albo Cambridge. Poznasz wielu arystokratów i młodych ludzi z wyższych sfer. Nie należę do tego świata i nigdy nie będę należał.

Geoffrey Charles kiwnął głową.

– Zgadzam się. Do licha, zgadzam się z każdym twoim słowem. Mój koń się niepokoi, więc muszę jechać. Masz rację, Drake. Na Boga, masz rację! Ale, Drake, mam nadzieję, że przez całe życie będę należał do dwóch światów: pierwszy to świat elegancji i mody, jeśli mnie przyjmie i – na Boga! – jeśli będzie mnie stać na życie w tym świecie. To świat dandysów, elegantów, zuchwałych dziewcząt, chętnych dziewcząt, trochę picia, hazardu, miłości... Lecz także, także, na Boga, jestem związany z tym przeklętym majątkiem, w którym kilkaset lat temu moi przodkowie zbudowali dwór w Trenwith, a częściami tego świata są St Ann's, wioska Grambler, zrujnowany kościół w Sawle, gderający Jud Paynter, kaznodzieja Samuel Carne, jednoręki Tholly Tregirls, Beth Nanfan, córka Char Nanfan, o oczach jak łania, i wielu innych ludzi. Jednak spośród nich wszystkich tylko od jednej osoby żądam przyjaźni i zaufania: od kowala Carne'a z kuźni Pally'ego w dolinie poniżej St Ann's. Oto moje słowa. Możesz przyjąć moją przyjaźń lub ją odrzucić. Co ty na to?

Wskoczył na murek i dosiadł siwka. Ujął wodze, ale stał przez chwilę, by zobaczyć, jakie wrażenie wywarła na Drake'u jego długa przemowa. Drake milczał, lecz uniósł dłoń i młodzieńcy uścisnęli sobie ręce. Później Geoffrey Charles zaśmiał się głośno i odjechał w górę doliny.

III

Mniej więcej w tym samym czasie Dwight otrzymał list. Napisał go Daniel Behenna i Dwight spoglądał z zaskoczeniem na papier. Chociaż rzadko ze sobą konkurowali – na prośbę żony – Dwight ograniczył swoją praktykę do wiejskich okolic wokół Killewarren, bowiem dwaj lekarze mieli zupełnie inne podejście do medycyny i odnosili się do siebie z lodowatym chłodem. List brzmiał:

Sir!

Niewątpliwie pamięta Pan, że przed dwoma laty przez jakiś czas leczył Pan moją pacjentkę, panią Morwennę Whitworth, żonę proboszcza kościoła Świętej Małgorzaty w Truro. W owym czasie cierpiała na negatywne skutki długiego, ciężkiego porodu. Później, jak Pan pamięta, pastor Whitworth zrezygnował z Pana usług i znów się do mnie zwrócił.

Pani Whitworth zachorowała, lecz tym razem zdaje się cierpieć na poważną nierównowagę umysłową, a Pana opinia na ten temat byłaby dla mnie cenna. Niewielu lekarzy rozumie czynniki atmosferyczne, kosmiczne i telluryczne, które wpływają na ludzki umysł. Pragnę wskazać, że gdybyśmy skonsultowali się w sprawie objawów, które pojawiły się u tej nieszczęsnej kobiety, może wynik kuracji byłby szczęśliwszy, niż wydaje się to obecnie możliwe.

*Mam zaszczyt pozostawać Pańskim uniżonym sługą
Daniel Behenna*

Dwight uznał list za nieco dziwny. Nie pasował do Behenny – chyba że jego normalny styl korespondencji polegał na pisaniu listów niezgodnych z własnym charakterem. Wydawał się mało konkretny – Behenna nigdy tak się nie zachowywał – i z pozoru, może tylko z pozoru, stanowił prośbę o pomoc.

Dwight odpisał:

Sir!

Miałem zaszczyt otrzymać Pański list z osiemnastego tego miesiąca. Z przyjemnością zbadam pacjentkę w celu konsultacji i chętnie przedyskutuję z Panem jej stan zarówno przed badaniem, jak i po nim. Muszę jednak postawić jeden warunek: chciałbym zbadać panią

Whitworth na osobności.

Gdyby był Pan w stanie wyrazić na to zgodę, proszę łaskawie wyznaczyć stosowną datę i godzinę, ja zaś postaram się przybyć punktualnie.

*Pański uniżony sługa
Dwight Enys*

Pojechał do Truro w następną środę i spotkał się z Behenną w gabinecie proboszcza. Przez dziesięć minut relacjonowano mu podstawowe fakty, po czym zaprowadzono go do salonu na piętrze, w którym czekała pani Whitworth.

Powitała go jak drogiego, dawno niewidzianego przyjaciela, do oczu napłynęły jej łzy. Ujęła jego dłonie, uśmiechnęła się promiennie, jak czasem się zdarzało, i wskazała fotel, na którym miał siedzieć w trakcie rozmowy.

Rozmawiali przez czterdzieści minut. W pewnej chwili Morwenna wybuchnęła płaczem, lecz szybko się opanowała. Przeprosila, wytarła nos i spojrzała na Dwighta, czekając na następne pytanie. Jeszcze nigdy nie widział jej tak wytrąconej z równowagi – chwilami rozglądała się po pokoju dzikim wzrokiem. Jednak odpowiedziała na wszystkie pytania, nawet podchwytliwe, szybko i bez wahań. Kiedy Dwight nie miał nic do dodania, zbadał Morwennę, zmierzył tętno, osłuchał serce z przodu i z tyłu, zajrzał do oczu, obmacał stopy, popatrzył na paznokcie u rąk, obejrzał skórę głowy oraz żyły i ścięgna na szyi i karku. Później z poważną miną uściśnił jej rękę obiema dłońmi, wziął torbę i wyszedł.

W salonie na parterze czekał doktor Behenna wraz z pastorem. Wielebny Whitworth czuł się wyjątkowo nieprzyjemnie. Od początku nie znosił Dwighta Enysa, a jego antypatia wzrosła, gdy młody lekarz zaczął leczyć Morwennę. Ossie poczuł wielką ulgę, kiedy z przyczyn zdrowotnych Enys przestał się zajmować pacjentami w Truro, daleko od swojego domu. Whitworth miał nadzieję, że więcej go nie zobaczy, a już z pewnością nie w swoim domu, wyrażającego opinię na temat zdrowia Morwenny. Sugestia Behenny bardzo

zirytowała Ossiego, który ze złości nie wygłosił jeszcze kazania na cześć sztuki lekarskiej. Behenna badał Morwennę trzykrotnie, lecz nie sformułował ostatecznej diagnozy. Doskonale rozumiał ciężar gatunkowy skarg Whitwortha, przyznawał, że pani Whitworth jest wyjątkowo wytrącona z równowagi, jednak oświadczył, że bez opinii drugiego lekarza nie jest w stanie napisać listu, o który pastor prosi.

Osborne uważał to za nonsens. Życzenie człowieka zadufanego w sobie i nazwisko lekarza, który miał przeprowadzić konsultację, budziły w nim taki niesmak, że o mało nie zrezygnował z całego przedsięwzięcia. Trwał w swoim zamiarze tylko z powodu głębokiego przekonania, że postępuje słusznie i sprawiedliwie.

Doszło do następującej sceny. Dwaj lekarze i małżonek stali z poważnymi minami na parterze plebanii i dyskutowali o stanie umysłowym wysokiej, ciemnowłosej dziewczyny przebywającej na piętrze.

– Doktorze Behenna, pastorze Whitworth, ponieważ jesteśmy razem, przyjmuję, że chcieliby panowie, bym przedstawił swoją opinię – rzekł Dwight. – Zbadałem panią Whitworth i odbyłem z nią rozmowę. Wolałbym, żeby trwała dłużej, lecz sądzę, że nie zmieniłoby to mojej oceny. Pana żona, pastorze, jest bardzo nerwowa, wytrącona z równowagi i pełna lęku. Wyraźnie widać, że od dłuższego czasu żyje w wielkim napięciu, i nie potrafię wykluczyć, że w przyszłości może się stać niezrównoważona emocjonalnie. Jednak w tej chwili wydaje mi się całkowicie zdrowa na umyśle. Próbowałem dostrzec objawy halucynacji, katalepsji, *folie circulaire*, ciężkiej melancholii, manii prześladowczej, niezdolności do koncentracji lub innych oznak utraty zmysłów. Niczego nie znalazłem.

W pokoju słychać było tylko ciężki oddech Ossiego.

– To wszystko, co ma pan do powiedzenia?

– Nie, nie wszystko. Moim zdaniem pod względem fizycznym pani

Whitworth jest w lepszym stanie niż dwa lata temu. Fizycznym, podkreślam. Ale jasno widać, pastorze, że pańska żona cierpi na nerwicę i wymaga delikatnego traktowania. Może zawsze będzie cierpieć na nerwicę... Nie potrafię powiedzieć. Jednak niewątpliwie potrzebuje... troski, łagodności, serdeczności.

– Sugeruje pan, że jest ich pozbawiona?

– Niczego nie sugeruję. Poprawa stanu fizycznego wskazuje, że pańskie dwuletnie starania nie poszły na marne.

Doktor Behenna wyjął chustkę i wydmuchał nos.

– A groźby zamordowania naszego syna? – spytał Ossie.

Dwight spojrzał na ogród, gdzie nad rzeką rosły pochylone drzewa.

– Czy kiedykolwiek próbowała zrobić mu krzywdę?

– Czy zaprzeczyła, że wysuwała takie groźby?

– Nie...

– No właśnie! – rzucił Ossie.

– Rozumiem pański dylemat, pastorze, i współczuję panu. Nie sądzi pan, że realizacja tych gróźb jest mało prawdopodobna?

– Skąd mam wiedzieć?! Samo wysuwanie takich gróźb to dla mnie dostateczny dowód, że Morwenna jest niespełna rozumu, że jest złą kobietą! Chciałbym panu przypomnieć, tak jak przypominałem doktorowi Behennie, że Kościół uważa szaleństwo za karę zesłaną przez Boga na grzeszników. Chrystus wypędzał nieczyste duchy i karmił je. Dobrzy ludzie są odporni na opętanie.

– Nie jestem w stanie dyskutować z panem o teologii, pastorze – rzekł Dwight. – Chciałbym jednak przypomnieć, że niedawno teoria ta została podważona przez chorobę króla. Zaburzenia psychiczne przybrały taką siłę, że należało go umieścić w kaftanie bezpieczeństwa. Rozumiem, że w tej chwili szczęśliwie wyzdrowiał. Moim zdaniem opinia, że szaleństwo króla zostało

wywołane przez jego zło, mogłaby być uznana za coś w rodzaju obrazy majestatu.

Ossie milczał. Puchł w oczach.

Behenna zorientował się, jego przyszłość jako lekarza rodziny Whitworthów może być zagrożona.

– Doktorze Enys, jak pan niewątpliwie wie, w tej chwili problem polega na tym, że pani Whitworth nie chce wypełniać swoich obowiązków małżeńskich i wypowiada owe groźby, gdy pastor Whitworth pragnie skorzystać z przysługujących mu przywilejów. Pani Whitworth nie ma żadnych podstaw prawnych ani moralnych, by podejmować takie działania. Są małżeństwem związanym sakramentem Kościoła. Żaden człowiek nie ma prawa ich rozłączyć. Żona nie może odmawiać mężowi tego, co obiecała mu w chwili zawarcia ślubu.

Ossie oblizwał wargi.

– No właśnie!

Dwight zerknął na duchownego. Nie było to miłe spojrzenie.

– Używa pan uczonych wyrazów, nerwica i różne takie – odezwał się Whitworth. – Myśli pan, że ja nie mam nerwicy? To, co się dzieje, jest wbrew woli Boga!

– Muszę podzielić pański pogląd, pastorze – wtrącił Behenna.

– Nie zaprzeczam, że problem jest poważny, doktorze – odpowiedział Dwight. – Nie próbuję go umniejszać. Czy powinniśmy rozwiązać ten problem za pomocą sztuki lekarskiej? Pastor Whitworth pyta, czy możemy napisać list potwierdzający jego opinię, że żona jest *non compos mentis* i że może zostać umieszczona w zakładzie dla obłąkanych. Moja odpowiedź jest zdecydowanie negatywna i jestem pewien, że pan również tak uważa. Chociaż pani Whitworth jest bardzo nerwowa, wydaje się równie zdrowa psychicznie jak większość kobiet, które codziennie odwiedzam – i znacznie sympatyczniejsza.

Wypowiadanie się na temat jej szczęścia lub nieszczęścia w małżeństwie leży poza zakresem naszych kompetencji jako lekarzy – dzięki Bogu, ponieważ widuję dużo nieszczęśliwych małżeństw. Pastorze – zwrócił się do Ossiego – nie mogę panu pomóc. Nawet gdybym mógł, nie podjąłbym się tego zadania. Może należą do innej szkoły, ale moim zdaniem jeśli mąż nie potrafi zjednać sobie żony dobrocią, zrozumieniem, drobnymi gestami i oznakami miłości, nie powinien oczekiwać od niej posłuszeństwa w łóżku. Jeśli uważa pan inaczej, nie podejmuję się z panem dyskutować. Sam pan musi rozstrzygnąć ten dylemat. – Wziął torbę i pożegnał skinieniem głowy Whitwortha oraz Behennę. – Widzę, że mój koń się niecierpliwi. Nie będę dłużej go męczył.

Wyszedł. Doktor Behenna opuścił plebanię pięć minut później. Pastor Whitworth nigdy nie wygłosił kazania na cześć lekarzy, ich cnót i umiejętności.

IV

Tymczasem w basenie Morza Śródziemnego swoje działania prowadziło dwóch mężczyzn. Mieszkańcy Kornwalii nic o tym nie wiedzieli, lecz mężczyźni ci byli znacznie ważniejsi niż Rossowie Poldarkowie czy nawet lordowie de Dunstanville'owie, należący do miejscowego świata. Jeden z nich, francuski generał, wylądował ze swoimi wojskami w Aleksandrii, zdobył miasto, rozgromił mameluków i był teraz panem Kairu. Niski mężczyzna w źle skrojonym, zaniedbanym mundurze, z włosami opadającymi na czoło, jakby niedawno wyrwano go ze snu. Wydatny, kościsty nos, groźne usta, przeszywające spojrzenie i żółtawa cera często pokryta wypryskami. Mówił po francusku z wyraźnym korsykańskim akcentem. Żołnierze go uwielbiali i poszliby za nim na koniec świata. Drugim mężczyzną był angielski admirał, kruchy i chorowity. Jego proste piaskowe włosy siwiały, cztery lata wcześniej stracił oko, a przed rokiem rękę, toteż w tej chwili jedzenie kroił

mu ordynans. Kiedy był zdenerwowany albo zły, często machał kikutem ramienia. Po wielu pomyłkach i nieszczęśliwych wypadkach po raz drugi przybył w okolice Aleksandrii i obserwował maszty floty francuskiej przy ujściu Nilu, na redzie w pobliżu wyspy w zatoce o nazwie Abukir. Prości marynarze go uwielbiali i popłynęliby za nim na koniec świata. Ci dwaj mężczyźni, a przynajmniej część sił pozostających pod ich rozkazami, mieli wkrótce stoczyć bitwę. Od jej wyniku zależała przyszłość większości Europy, Afryki Północnej i Azji.

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit., Genesis IV, 9, s. 8.* [\[wróć\]](#)

Rozdział ósmy

I

Wielebny Osborne Whitworth wyjątkowo często podkreślał w kazaniach konieczność samokrytycznej oceny własnych działań, choć w ogóle nie stosował tej zasady w życiu. Król Karol II powiedział kiedyś: „Odpowiadam za to, co mówię, a ministrowie za to, co robię”. Ossie zgodziłby się z tym zdaniem, ponieważ jego postęпки nieustannie przeczyły wygłaszanym poglądom.

Mimo to nawet on musiał poświęcić trochę czasu, by usprawiedliwić ponowne nawiązanie intymnych kontaktów z Rowellą Solway. Była nieskończenie wyuzdana, nikczemnie go oszukała, wyłudziła od niego ogromną kwotę i zniszczyła jego relacje z żoną, które wcześniej układały się harmonijnie. Usidliła go w typowo kobiecy sposób, gdy nie mógł zaspokajać własnych potrzeb cielesnych, ponieważ żona urodziła syna i chorowała. Rowella zwabiła go do swojej sypialni i zdjęła przed nim gorset, rozpustnie się obnażając, a później, opanowany przez namiętność, wpadł w pułapkę. Skłoniła go szantażem, by kontynuował ten haniebny związek; groziła, że ujawni wszystko siostrze – a później, znacznie później, nikczemnie udawała, że jest brzemienna, i zmusiła go, tak, zmusiła swojego szwagra i proboszcza, by zapłacił ogromną kwotę, by mogła poślubić nędznego bibliotekarza wychowanego w rynsztoku. Ossie wcale nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że przez cały czas utrzymywała z nim występne stosunki cielesne.

Gdyby w chwili jej ślubu Ossie był katolikiem, chętnie rzuciłby na nią klątwę. Jako protestant należący do nurtu Kościoła anglikańskiego zbliżonego do katolicyzmu miał ochotę wysłać Rowellę do najniższego kręgu piekła. Chociaż prowadził siedzący tryb życia i nie lubił się przemęczać, w przypadku Rowelli z radością osobiście dokładałby dREW do ognia.

Trwało to wiele miesięcy, ale oziębłość Morwenny, konieczność poszukiwania pocieszenia gdzie indziej – w niewielkim mieście było to trudne zadanie, gdyż mogłoby wywołać plotki – rzadkie okazje, gdy można zaspokoić własne potrzeby, i fakt, że często kończyło się to rozczarowaniem, sprawiły, że znów zainteresował się ladacznicą, która go kusiła, a potem usidliła. Na początku Ossie marzył, by spotkały ją straszliwe kary – wyobrażał sobie, że zachorowała na okropną chorobę, że wypadły jej zęby i zgnił nos, że pokąsał ją wściekły pies, że biega ulicami z pianą na ustach, a następnie kona w mękach w zabłoconym rynsztoku. Wyobrażał sobie, że za uszami tworzą jej się wrzody albo trafia ją piorun, paralizując połowę ciała, że... Niestety, potem snuł fantazje na temat kar, które sam mógłby jej wymierzyć: związać ją i chłostać, powiesić za ręce i wbijać szpilki... Tego rodzaju fantazje były niewłaściwe, ponieważ później pojawiały się inne, w których odgrywał coraz aktywniejszą rolę.

Nagle przypadkowo ją spotkał i tym razem, zamiast spuścić wzrok, zarumienić się i jak najszybciej odejść z furkotem sukni, spojrzała mu w oczy i lekko się uśmiechnęła. Później, gdy z rzadka się spotykali, znów uśmiechała się do niego nieśmiało, jakby coś mu wybaczała – właśnie, wybaczała! W jej uśmiechach kilkakrotnie pojawił się cień prowokacji. Kiedy po miesiącu, wróciwszy z Tregrehan, Ossie zastał w domu list Rowelli, postanowił odebrać książki, zapominając o poprzedniej niechęci i ostrożności.

Rowella zachowywała się wzorowo. Przyniosła książki, które czekały zapakowane na parapecie okna. Z niepokojem spytała o Morwennę i syna

pastora. Opowiedziała Ossiemu o własnym życiu i pragnieniu dokonania nowego przekładu rozpraw Seneki, o ambicjach Arthura Solwaya, by powiększyć i ulepszyć bibliotekę miejską, o rozpaczliwym braku pieniędzy. Oczywiście miała na myśli fundusze na rozwój biblioteki. Pastor Whitworth na pewno zauważył, że żyją bardzo skromnie. Roczne wynagrodzenie bibliotekarza niedawno wzrosło z piętnastu do szesnastu funtów, lecz i tak Arthur Solway każdego wieczoru pracuje w domu, przepisując listy dla notariusza – z wyjątkiem czwartków, gdy spędza wieczór z rodzicami. Oczywiście bez hojnego daru pastora i dochodów z zainwestowanych pieniędzy w ogóle nie mogliby się utrzymać. Rowella oznajmiła, że co wieczór modli się za Ossiego. Codziennie, jak podkreśliła, po czym spojrzała na swój długi nos, robiąc zezą, a jej dolna warga zadrżała, co w subtelny sposób sprawiło, że uwaga o charakterze religijnym nabrała dwuznaczności.

Ossie zauważył, że głęboko oddycha, i szybko wyszedł. Zdążył jednak obiecać przyprowadzić Morwennę na podwieczorek w następnym czwartek. Jeśli nie zechce mu towarzyszyć, przyjdzie sam. Przyszedł sam i rozmowa miała bardzo konwencjonalny charakter, gdy nagle Rowella zawołała:

– Och, uwierają mnie buty!

Ossie delikatnie zdjął jej trzewiki, przyciskając obcasy do podłogi. Tak się złożyło, że nie nosiła pończoch. Delikatnie masował palce nóg, które przypominały małe zwierzątka prężące grzbiety. Patrzył na palce Rowelli jak wygłodzony żarłok na ulubioną potrawę, po czym zasugerował, że może znowu przyjść w przyszłym tygodniu, lecz tym razem wieczorem.

Tak się zaczęło. Rowella nie była grzeczną dziewczynką jak Morwenna i w odróżnieniu od matki nie uważała, że główny cel życia kobiety to zdobycie szacunku w swoim środowisku. Odziedziczyła po ojcu wybitną inteligencję, lecz nie wiarę w Boga, a w głębi duszy miała wiele wspólnego z dziadkiem, Trelawnym Tregellasem, który nigdy nie był w stanie oprzeć się pokusie

spekulacji i nieustannie bankrutował – częściej niż jakikolwiek inny przedsiębiorca jego czasów. Dziadek Tregellas przez całe życie uprawiał hazard, narażając się na ruinę, a ryzyko niezwykle go pociągało. Jego wnuczka Rowella, jako kobieta, nauczyła się szukać ryzyka innego rodzaju.

Proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty narażał się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Mimo to przekonał samego siebie, że warto. Przede wszystkim to tylko środek tymczasowy. Miał nadzieję, że wkrótce umieści żonę w zakładzie dla obłąkanych, a następnie znajdzie odpowiednią gospodynię, która zajmie się dziećmi i nie będzie miała nic przeciwko temu, by zadbać również o potrzeby pana domu. Rowella stałaby się wtedy zbędna.

Kiedy jednak nie udało się uzyskać zgody lekarzy, by umieścić Morwennę tam, gdzie powinna się znaleźć, ponownie przemyślał całą sytuację i zaczął snuć nowe plany. Skoro jest skazany na życie z oziębłą żoną, musi ona ponieść konsekwencje. Co prawda Ossie wzbudza w niej szaloną niechęć, ale w dalszym ciągu ma piękne ciało i prędzej czy później musi mu się oddać. Poszukiwał odpowiedniej niani dla Johna Conana Osborne’a Whitwortha. Skoro nie mógł zatrudnić gospodyni, zamierzał zaangażować opiekunkę. Doszedł do wniosku, że wygląd nie ma znaczenia. Powinna być silna, a poza tym całkowicie godna zaufania, oddana chłopcu do tego stopnia, by nie odstępować go ani w dzień, ani w nocy. Kiedy znajdzie odpowiednią kobietę, której bezgranicznie zaufa, sprawdzi błąd Morwenny. Nie była to nieprzyjemna myśl.

Rowella to środek tymczasowy – odnowienie dawnej aberracji – lecz mimo wszystko mniej niebezpieczny niż zapuszczanie się między chaty na nabrzeżu, gdzie mieszkały ladacznice z Truro. Ossie był duchownym i odwiedziny u dawnej parafianki, a do tego szwagierki, nie mogły budzić żadnych podejrzeń. Byłoby znacznie gorzej, gdyby przyłapano go na wychodzeniu spomiędzy okropnych, zrujnowanych chat na nabrzeżu. Poza tym

istniało ryzyko choroby. Ponadto Rowella wydawała się nieskończenie bardziej ekscytująca. Chętnie by ją udusił, ale myślał o niej dniami i nocami. Gdyby tym razem zaszła w ciążę, nie istniała groźba, że ktoś przypisze mu ojcostwo.

Naturalnie okazało się to bardziej kosztowne – poważny mankament – choć Rowella nie wysuwała przesadnych żądań. Arthur Solway był zachwycony, gdy proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty przekazał mu dwadzieścia funtów „na zakup książek”. Ossie spostrzegł również, że Rowella ma kilka par nowych butów. Kazała sobie uszyć dwie nowe koszule nocne sięgające do kostek, dość ładne, z miękkiego wełnianego materiału przypominającego tygrysią skórę. Arthur cieszył się swoją młodą żoną w łóżku i poza nim, lecz miał ograniczone możliwości korzystania z tych przyjemności zarówno z powodów fizycznych, jak i psychicznych. Ponieważ znała się na kwestiach finansowych znacznie lepiej od niego, pogodził się z tym, że stać ich na drobne ekstrawagancje.

Raz w tygodniu, w każdy czwartek, pastor Whitworth odwiedzał Nathaniela Pearce’a, który, choć mówiono, że umiera, uparcie trzymał się życia i nie zdradzał swoich sekretów. Morwenna była zdziwiona, że mąż poświęca tyle uwagi staremu człowiekowi, ale Ossie wyjaśnił jej, że chociaż stary notariusz jest przykuty do łóżka, mogą grać w triomphe, a czasem w pikietę. W istocie przybywał do Pearce’a tuż przed zachodem słońca i wychodził, gdy się ściemniło. Szedł zaledwie trzy minuty, a ulice wybrukowane kocimi łbami były prawie puste. Zerkał w prawo i w lewo, cicho pukał do drzwi, które otwierała szczupła dłoń, uważając, by nie skrzypiały. Arthur Solway zawsze siedział u rodziców do dziesiątej, a Rowella pilnowała, by gość wychodził przed dziewiątą piętnaście.

W Wheal Grace przystosowano się do nowej sytuacji. W kolejnych dniach rozliczeń sztygarzy rezygnowali z mniej zyskowych wyrobisk w południowej żyłce i zawierali umowy na eksploatację północnej żyły. Pracownicy akordowi, jak Samuel Carne i Peter Hoskin, przez rok zajmowali się stemplowaniem tuneli i pracami pomocniczymi, po czym znów zajęli się kopaniem szybów i chodników do starych wyrobisk Wheal Maiden. Nikogo nie zwolniono, pracy wystarczało dla wszystkich, ale Ross był zadowolony, że nie rozpoczął nowych robót, gdy w przyływie entuzjazmu pojawiła się taka pokusa, zwłaszcza że mimo wojny wartość cyny nie wzrosła tak bardzo, jak oczekiwano.

Spędził lato z Demelzą i dziećmi. Czasem śmiali się radośnie jak dawniej, choć zdarzały się także przykre momenty – nagle dochodziło do nieporozumień, które świadczyły, że gdzieś ciągle czai się niebezpieczeństwo. Mimo to nigdy nie złościli się na siebie z powodu drobnostek. Ross zastanawiał się czasami, czy istniało kiedykolwiek małżeństwo, które mniej działa sobie na nerwy. Mogli toczyć ze sobą otwartą wojnę, lecz nigdy sobie nie dogryzali.

Gdy nadszedł wrzesień, Ross zaczął z niesmakiem myśleć o powrocie do Londynu. Oczywiście nie miał obowiązku regularnego uczestnictwa w obradach Izby Gmin. Większość posłów, z wyjątkiem nominowanych przez rząd, często opuszczała stolicę i odwiedzała parlament niczym klub. Dyskutowali z przyjaciółmi o polityce krajowej i od czasu do czasu głosowali w sprawach, które ich osobiście dotyczyły. Ale większość z nich mieszkała znacznie bliżej Londynu niż Ross. Trzy czwarte posłów z Kornwalii w ogóle nie pochodziło z tego rejonu. Przynajmniej dwóch przechwalało się, że nigdy nie było w Kornwalii. Jeśli ktoś mieszkał w Twickenham, Guildford albo Tunbridge Wells, łatwo mu było wpadać na dzień do stolicy, po czym nazajutrz wracać do domu. Ross musiał odbywać ciężką pięciodniową podróż w jedną

stronę, co było kosztowne i ogromnie męczące. Falmouth, de Dunstanville i inni arystokraci ich kalibru, posiadający domy w Londynie, przenosili się wraz z rodzinami do miasta na część roku. Ross nie mógł zabrać Demelzy i dzieci do umeblowanych pokoi – a nawet gdyby dałoby się to zaaranżować, nie chciał tego robić. Nie miał też ochoty prosić Demelzy, by zostawiła dzieci w Namparze.

W sierpniu przygotowali dwie baryłki mocnego piwa, a Jeremy, zwykle skłonny do psot, chcąc sprawić przyjemność nowym przyjaciołom, Przyptywowi i Odpływowi, nakarmił je odpadami z dna beczek. Kiedy Demelza wyszła na dwór, obie świnię leżały na dziedzińcu, kompletnie pijane, a Jeremy zalewał się łzami, myśląc, że je zabił. Zwierzęta spały przez resztę dnia – dwie różowe, włochate, pochrapujące góry mięsa, których nie dawało się obudzić. Nazajutrz rano Namparę odwiedził sir Hugh Bodrugan. Miał nadzieję, że Ross jest w kopalni, zamierzał obejrzeć swoje cudowne berkszyry i sprawdzić, czy nie uda się kilka razy uszczyplnąć Demelzy we wrażliwe miejsca.

Wszystko potoczyło się inaczej. Bodrugan zastał Demelzę w domu, z pozoru samą, lecz wyjątkowo zręcznie unikała jego awansów. Zaprowadziła go przez dom do kuchni, gdzie nigdy wcześniej nie był i gdzie przyglądały mu się bojaźliwie dwie młode służące oraz starsza kobieta. Przeszli przez spiżarnię i znaleźli się na tylnym dziedzińcu. Zobaczyli Rossa, który siedział na baryłce i śmiał się na całe gardło, a tymczasem Gimlett usiłował obudzić świnię. Najpierw stawiał Odpływ na przednie nogi i próbował unieść tylne. W tym momencie Odpływ krzyżował przednie nogi jak dandys na balu, po czym potężne cielsko powoli opadało na słomę i kocie łby. Przyptyw był w lepszej formie i mógł stać na czterech nogach, lecz nie potrafił skoordynować ruchów i kołysał się jak na łodzi w czasie sztormu. Od czasu do czasu uderzał zadem w ścianę i prawie się przewracał. Poruszał ryjem, a raz

straszliwie ziewnął.

– Na Boga! – zawołał sir Hugh. – Mają wartogłowie! To przypadłość koni i jeszcze nie słyszałem, żeby zachorowała na nią świnia! Pani Demelzo, niegdyś uleczyła pani swoimi zaklęciami mojego cennego rumaka. Tym razem musi pani wypowiedzieć zaklęcie nad berkszyrami, bo inaczej zdechną przed zmrokiem!

– Niczego pan nie czuje? – spytał Ross, który uznał pojawienie się Bodrugana za szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Naturalnie, że czuję, sir! Niech pan znajdzie gospodarstwo, gdzie nie śmierdzi! Mam dobry nos. Zwierzęta stale brudzą, a menażeria Connie, proszę mi wierzyć, śmierdzi jak wychodek, gdy otwiera się rano drzwi!

– Ale czy śmierdzi jak szynk?

Sir Hugh zmarszczył krzaczaste brwi.

– Nie, nie jak szynk... Niech mnie diabli, dobrały się do piwa?

– Mój syn postanowił sprawić im przyjemność.

– Do licha, gdzie mogę usiąść? – Bodrugan rozejrzał się ciężkim wzrokiem po dziedzińcu i znalazł drugą baryłkę. Umieścił na niej tęgi zad i ryknął śmiechem. Demelza znała Bodrugana od wielu lat, lecz jeszcze nigdy nie słyszała, by śmiał się z całego serca. (Może nie mógł tego robić, gdy ogarniała go pożądlivość, jak zawsze, kiedy ją spotykał). Był to straszliwy dźwięk, połączenie ryku lwa i osła. W oknie kuchni ukazało się kilka przerażonych kobiecych twarzy, a pracujący przy stodole Jack Cobbledick uniósł masywną głowę. Nawet Przyptyw się zdziwił. Stał przez moment, kołysząc się na nogach, i spoglądał na niezwykłą włochatą istotę wydającą przeraźliwe dźwięki, po czym odwrócił się, poruszając ogonkiem, i zniknął w najciemniejszym kącie chlewu.

Po chwili sir Hugh Bodrugan wrócił niepewnym krokiem do salonu, poprosiwszy Demelzę, by wzięła go pod rękę. Nie miał ochoty na słabą

maderę, przyjął natomiast kieliszek brandy i rozłożył się w najlepszym fotelu. Wyciągnął krótkie, grube nogi, a po policzku od czasu do czasu spływała mu łza.

Ku jego rozczarowaniu wkrótce pojawił się Ross i mimo aluzji nie miał ochoty iść do kopalni. Sir Hugh, próbując robić dobrą minę do złej gry, wyraził zadowolenie, że Ross nie chciał mu sprzedać udziałów w Wheal Grace, ponieważ, jak słyszał, może zostać zamknięta w ciągu najbliższego roku. Ross odpowiedział, że zdaje sobie sprawę z zamiłowania sir Hugh do ryzyka: czy chciałby się założyć o tysiąc gwinei, że Wheal Grace będzie ciągle działać na początku nowego stulecia? Sir Hugh nigdy nie wiedział, co myśleć o Rossie – nie dawało się przewidzieć, co zrobi, zupełnie nie można było na nim polegać i z pewnością miał domieszkę złej krwi. Bodrugan wypił jednym haustem brandy i wyciągnął kieliszek, by Ross znów go napełnił.

– Nie, sir. Mógłbym stracić w ten sposób więcej, niż zarobić na inwestycji w kopalni. – To niepodważalne stwierdzenie przekonało sir Hugh, że ostatnie słowo należy do niego, po czym zmienił temat. – Sytuacja wojenna chyba się poprawiła, co? Francja znowu jest na skraju wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Szalony car Paweł staje się antyfrancuski. Podobno zaczniemy z nim negocjacje przed Bożym Narodzeniem. A rebelia w Irlandii została krwawo stłumiona.

– I nie żyje Hoche – zauważył Ross.

– Kto?

– Hoche, generał Hoche. Miał trzydzieści jeden lat. Był równie utalentowany jak Bonaparte. Oznacza to, że niebezpieczeństwo inwazji na Anglię znacznie się zmniejszyło.

– A co z Bonapartem? Jakiego figła zamierza nam spłatać?

– Ostatni meldunek kuriera, który przybył drogą lądową z Konstantynopola, mówi, że w lipcu wylądował w Egipcie, zajął Aleksandrię i ruszył w stronę

Kairu.

Sir Hugh podrapał się pod peruką.

– Wy, młodzi, macie dobre informacje, prawda? A teraz, oczywiście, jest pan posłem do Izby Gmin... Co pan tam robi? Głędzi, jak podejrzewam. Pompatyczna gadanina. Wygłaszanie wzniosłych frazesów. Gdyby wydobywał pan w swojej kopalni nie rudę, tylko frazesy, Poldark, mógłby pan zaopatrzyć cały Westminster: korzystano by z nich w razie potrzeby! Sir Horatio Nelson mógłby zabierać je na okręty i ładować do czternastofuntówek! – Hugh Bodrugan zaniósł się cichym śmiechem. Do tego objawu wesołości Demelza była bardziej przyzwyczajona. – Mam dla pana trochę miejscowych plotek. Czy został pan zaproszony na przyjęcie do Warlegganów, które ma się odbyć w Trenwith pod koniec miesiąca?

– Uważa pan, że zostaniemy zaproszeni? – spytał Ross.

Hugh znów się zaśmiał.

– Nie. Wyobrażam sobie, że nie, sir, wiedząc, jak stoją sprawy. Wszyscy mówią, że będzie to wielka impreza. Wielu mieszkańców hrabstwa – Trevaunance'owie, Treneglosowie, Teague'owie, Choake'owie, Devoranowie, Hawkinsowie, ale także kilka dziwnych postaci ze środkowej Anglii, podobno posłów. George'owi Warlegganowi brakuje wychowania, lecz nadrabia przedsiębiorczością. Słyszałem, że wkrótce sam także wejdzie do Izby Gmin. Lepiej, że to on niż ja. Nie mam ochoty siedzieć w hałaśliwej sali, słuchając ludzi plotących głupstwa. To równie niemiłe jak siedzenie w wychodku!

– Dobrze pan to określił – odparł Ross. – Rozumiem, że nie jedzie pan do Trenwith?

– Ja? Nie jadę? Ach, do licha, nie mam ochoty się pudrować i stroić jak modny elegant, ale Connie koniecznie chce tam być. Na Boga, podejrzewam, że skoro Connie chce jechać, ja też pojedę! – Sir Hugh Bodrugan zatrzęsł się

od śmiechu.

– Bawi to pana? – spytał Ross.

– Nie, pomyślałem o świniach. Kiedy następnym razem zorganizujemy małe przyjęcie – choć teraz zdarzają się bardzo rzadko – mam ochotę wypróbować tę miksturę na dwóch własnych warchlakach. Będzie to świetne źródło rozrywki.

III

W Kornwalii noce rzadko bywają ciepłe, lecz w ostatnim tygodniu sierpnia na morzu i na lądzie zapanowała ładna pogoda i ustały wiatry. Wracając po południu z wioski Grambler, Ross spotkał Paula Daniela i spytał:

– Kiedy wybierasz się na ryby, Paul?

– Dziś wieczorem, sir. Jest dobra pogoda i szansa na złowienie czegoś przy brzegu.

– A później króliki?

– Chyba tak.

– Uważaj, żebyś nie wszedł na ziemie Treneglosa. Teraz, gdy majątkiem zarządza John Treneglos, bardziej pilnują terenu.

– Chodzimy przy brzegu morza, sir. Najczęściej. – Paul Daniel spojrzał czujnie na Rossa, który się uśmiechnął.

– Ilu was idzie dziś wieczorem?

– Och... tuzin albo więcej. Zacky Martin, Henry Curnow, Jud Paynter, Bone, Tregirls, Ellery, Hoblyn. Zna pan wszystkich.

– Jud? Nie jest za stary?

– Nie za stary, by trzymać koniec liny. Poza tym nie brak mu sprytu.

Ross spojrzał na niebo.

– Przyjęlibyście jeszcze jednego ochotnika?

– To znaczy pana, sir? Tak, to byłoby miłe. Jak w dawnych czasach.

– Kiedy zaczynacie?

– Chyba około jedenastej. Curnow kończy pracę w kopalni dopiero o dziesiątej, a odpływ zaczyna się o północy.

– Przyjdę.

W Kornwalii ryby od wieków były cennym uzupełnieniem diety i łowiono je sieciami lub linkami. Zajmowano się tym nie tylko w małych portach i zatoczkach, gdzie żyli zawodowi rybacy, ale również na długich piaszczystych plażach, często ciągnących się kilometrami. W pobliżu tych plaż, stale zalewanych w czasie przypluwów, morze nie rozbijało się o skały ani klify. Przy brzegu znajdowały się liczne płycizny, gdzie żyły ryby morskie: makrele, flądry, okonie, raje, nawet kurki, które można było łowić sieciami lub zmyślnymi konstrukcjami złożonymi z linek i haczyków.

Ross często łowił ryby w ten sposób jako chłopiec, zachęcany przez ojca, Tholly'ego Tregirlsa i w mniejszym stopniu przez Juda Payntera. Wchodził do wody o każdej porze roku – zarówno w porze żniw, gdy mężczyźni pracowali na plaży w łagodnym blasku księżyca, jak i w czasie lutowych mrozów, kiedy w nagą skórę uderzał grad i śnieg z deszczem.

Jeśli łowiono na linkę, na plażę znoszono w czasie odpływu długą linę z pięćdziesięcioma haczykami z umocowaną przynętą, a po kilku godzinach, po przypluwie, linę wyciągano i sprawdzano, co się złapało. Połów siecią był bardziej skomplikowany. Na plażę znoszono drobną, lekką sieć z cienkiego sznurka, a nawet bawełnianych nici, z korkowymi pływakami przywiązanyymi do górnej krawędzi, by unosila się na wodzie. Dolną część obciążano ołowianymi ciężarkami o wadze trzydziestu gramów każdy, by unosila się nad dnem. Jeden z mężczyzn wypływał w morze, holując sieć na linie, a drugi stał na brzegu i trzymał koniec liny. Jeśli sieć była ciężka, zajmowało się tym czterech mężczyzn. Znalazłszy się w odległości trzystu lub czterystu metrów od

brzegu, płynący mężczyźni skręcali i podążali równolegle do plaży, trzymając linę w rękach lub obwiązując się nią w pasie, po czym znów kierowali się w stronę brzegu, tak że sieć przybierała kształt półkola. Po wyjściu na brzeg wciągali sieć w nadziei, że coś złapali, i zwykle okazywało się to prawdą. Sieć zawsze wyciągano w trakcie odpływu, częściowo dlatego, że łowiono wtedy więcej ryb, a częściowo dlatego, że fale były mniejsze.

Kiedy Ross dołączył tej nocy do wieśniaków, łowiono ryby na linkę i na plaży znajdowała się nie jedna, lecz cztery grupy ludzi. Jako chłopiec zastanawiał się często, co kieruje rybakami – czasem przez cztery lub pięć pogodnych dni trwali w bezczynności, po czym nagle ruszali na brzeg i spędzali noc na plaży. Nigdy nie spotkał nikogo, kto potrafiłby wytłumaczyć motywy ich decyzji – rządził nimi zbiorowy instynkt.

Tym razem najbliższa sieć znajdowała się tuż pod obecnie opuszczoną kopalnią Wheal Leisure na terenie posiadłości Treneglosa, a przy ujściu dawnego kanału odpływowego zapalono światło. Płonęło ono w starej baryłce po piwie, którą wiele lat wcześniej napełniono parafiną. W środku umieszczono kawałek liny nasączonej roztworem saletry. Od czasu do czasu uzupełniano wosk i zmieniano linę pełniącą funkcję knota, ale stara baryłka wydawała się wieczna. Po zapaleniu przypominała wielką świecę, źródło nie tylko światła, lecz również ciepła, i zawsze siedziało wokół niej kilku rybaków, popijając rum. Spożywanie trunków było nieodłączną częścią połowów.

Nad wydiami wschodził blady księżyc w pierwszej kwadrze, przypominający przepołowioną fałszywą monetę jednopensową. Kiedy Ross zszedł na plażę, w pobliżu baryłki kucąco trzech mężczyzn, jeden pił z butelki. Jak łatwo się domyślić, był to Jud Paynter. Miał na sobie brązowe, połatane sztruksowe spodnie, postrzępione owijacze, ciężkie buty, koszulę, bluzę i stary filcowy kapelusz. Nakrył ramiona workiem i wyglądał, jakby czuwał na

cmentarzu w grudniową noc, a nie łowił ryby we wrześniu.

– Ach, Jud – odezwał się Ross. – Pracowity jak zwykle, co? Kogo pochowałeś w tym tygodniu?

Jud nie zareagował na nagłe pojawienie się dawnego pracodawcy, który wyszedł z mroku, i w dalszym ciągu rytmicznie poruszał jabłkiem Adama. Po chwili odjął butelkę od ust, otarł je wierzchem dłoni i oblizał flaszkę, by mieć pewność, że nie stracił ani kropli trunku.

– Ach, kapitan Ross. Lubi pan żartować, co? Prudie gada, że kapitan Ross zawsze lubi żartować. Tak właśnie gada.

– Jak się miewa Prudie?

– Ach, boli jo ząb i jest zła jak osa. Siedzi w kącie i czepia się wszystkiego, co robie, jakby była to moja wina. Dlatego wole dać dyla z chaty. Inaczej pół nocy bym nie spał!

– Ale widzę, że potrafisz też niezłe sobie golnąć?

– Cóż, kapitanie, to moja jedyna przyjemność. Gin i sztach tytoniu. Jestem stary, to szczerza prawda. Robota grabarza to straszna harówka. Gorsza niż sadzenie kartofli. Gorsza niż kopanie cyny! To naprzeciw naturze, że musze chować zmarłych. To nieuczciwe!

Ross otworzył torbę.

– Przyniosłem dla ciebie dwie flaszki rumu. Tylko nie wypij wszystkiego sam.

Jud wyszczerzył dwa zęby. Wyglądało to jak złośliwy grymas, lecz przy odrobinie dobrej woli można by go uznać za uśmiech.

– Bedzie ładna zabawa w wielkim dworze, kapitanie. Widział pan ich, co? Ogromne karoce! Wiele luda! Starzy w perukach, na dobrych koniach! A biedota z wioski Grambler stoi przy drodze, gapi sie na to wszystko z wytrzeszczonymi gałami! Wszystko skończy sie jutro wieczorem, tak myślę. Idzie pan tam, kapitanie?

– Nie – odpowiedział Ross.

– Ano, ano... – rzekł Jud, zerkając przebiegle na Poldarka. – To hańba, co zrobił ten Warleggan. A co zrobił? Powiem panu. Wszędzie płoty. Wszędzie gajowi. To przeciw prawom Boga. Bóg powiedział, że nie wolno przenosić znaku granicznego sąsiada! To nie po chrześcijańsku!

– Gdzie jest Paul?

– Tu, sir, już idzie – powiedział Ellery, który grzecznie wstał z kucek po nadejściu Rossa.

Plażą szli w ich stronę Paul Daniel i jego najstarszy syn Mark, znany powszechnie jako „Młody Mark” dla odróżnienia od wciąż opłakiwanego stryja, oraz Jacka Hoblyn, ojciec Rosiny. Młody Mark był nagi i ociekał wodą.

– Dzień dobry, sir. Dzień dobry, sir. Dzień dobry, sir – powiedzieli, gdy się zbliżyli, a Paul dodał: – Rzuciliśmy sieci tylko raz. Kiepski połów, ale woda jeszcze opadnie. Zacky i Henry opróżniają sieć i sortują ryby.

– Nie wzięliście większej sieci? – spytał Ross.

– Doszliśmy do wniosku, że następnym razem. I tak jest za ciężka dla Młodego Marka, więc sam chcę ją wyciągnąć.

– Jak się wiedzie pozostałym?

Paul spojrzał na plażę, gdzie widać było grupki ciemnych postaci poruszające się w żółtawym świetle księżyca rozproszonym we mgle.

– Chyba jeszcze nie wyciągnęli sieci. Zacky mówi, że pod koniec połowu będzie więcej ryb.

W chwili najwyższego przypływu na morzu pojawiła się fala przyboju, ale teraz zmieniła się w cienką linię przypominającą smugę farby po pociągnięciu pędzlem.

– Sam ją wyciągnę – powiedział Ross. – Jud potrzyma koniec liny.

Mężczyźni zawahali się na moment. Jacka pociągnął nosem i potarł go pięścią.

- Myślę, że lepiej będzie we dwóch, sir. Mokra sieć jest strasznie ciężka.
- Kiedy pływałem dwadzieścia lat temu, wyciągałem wiele takich sieci.
- Nie, sir, ale...

Ross zerknął na mężczyzn.

- Myślicie, że jestem taki sflaczały i brzuchaty, że nie dam sobie rady?

Jacka zrobił groźną minę i splunął.

- Był pan na morzu w tym roku, prawda, sir? – spytał Paul.

– Cały ten Londyn – mruknął Jacka. – Zdaje się, że w Londynie nie ma morza, co?

Jud wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać jakąś śmierdzącą mieszanką własnej roboty.

– Nie, kapitanie, niech się pan zastanowi. Skończy się pańskie dobre życie. Jeszcze nie pora przymierzać się do całunu. Niech pan idzie na spacer po plaży i da spokój z pływaniami.

Ross uśmiechnął się w półmroku. Chociaż pozostali wieśniacy rzeczywiście troszczyli się o jego zdrowie, Jud przejmował się tylko tym, że jeśli Ross weźmie się do pracy, on sam będzie musiał stać na granicy wody, z nogami obmywanymi przez fale, obwiązany w pasie liną, a gdy Ross dotrze do plaży, on będzie musiał wyciągnąć sieć. Gdyby Ross nie uczestniczył w połowie, Judowi prawdopodobnie pozwolono by siedzieć obok baryłki oświetlającej plażę i spokojnie pić.

– Jestem głęboko wzruszony waszą troską o moje zdrowie – rzekł Ross. – Wiecie, że jestem zaledwie trzy lub cztery lata młodszy od Paula, a on obecnie ledwo trzyma się na nogach i może uprawiać zapasy tylko z własnym cieniem. Prowadzę leniwe, wygodne życie, bo cały czas mieszkam w Londynie, rozmawiam z pięknymi kobietami w salonach bogaczy. Dlatego rozumiem waszą troskę i chętnie bym dziś nie pływał, ale przecież nie mogę zawieść Juda.

Rozległy się śmiechy, które stopniowo przybrały na sile. Wygłaszając swoje poprzednie zdania, Ross zdał sobie sprawę, że jego sarkazm i krągłe zwroty, którymi się posługuje, nie pasują do publiczności: w jakiś sposób rzeczywiście się zmienił. Dlatego poczuł ulgę, że wieśniacy w końcu zareagowali śmiechem na jego żart.

Zaczął się rozbierać.

– Chodź, chłopcze – rzekł Jacka Hoblyn, chwytając ramię Juda. – Odstaw tę flaszkę. Ciągle tu będzie za pół godziny.

Jud protestował, lecz postawiono go na nogi. Nadal protestował, więc pozwolono mu wsunąć słomkę do ognia i zapalić starą glinianą fajkę. Następnie nałożył kapelusz głęboko na głowę i począpał za Rossem i Paulem Danielem, który koniecznie chciał zanieść sieć do wody.

Zatrzymali się na brzegu, patrzyli na szumiące morze i mężczyźni stojących na plaży i zastanawiali się, gdzie najlepiej zarzucić sieć. Czasami dobre miejsca znajdowały się w rejonie płycizn, które można było rozpoznać po ruchu niewielkich fal. Po chwili kazano Judowi stanąć na mokrym piasku i obwiązano go w pasie liną, by nie wyrwało mu jej z dłoni nagłe szarpnięcie. Ross zdjął koszulę i oddał ją Paynterowi, zarzucił sieć na plecy i wszedł nagi do morza.

Woda była zimna, lecz orzeźwiająca, czuł na ciele deszcz drobnych kropelek wyrzucanych w górę przez niewielkie spienione fale. Zanurzał się coraz głębiej – woda sięgała do kolan, ud, piersi. Wreszcie stracił grunt pod nogami.

Kiedy zaczął płynąć, zastanawiał się, dlaczego nie robił tego wcześniej. Nie tylko z powodu wyjazdu do Londynu: od wielu lat nie łowił ryb w ten sposób. Różniło się to od zwyczajnych kąpiei w ciągu dnia, spacerów z dziećmi po plaży, galopowania konno z Demelzą. Połów ryb miał w sobie coś zdecydowanie męskiego, zdecydowanie przyziemnego – jeśli określenie to

jest odpowiednie. Ross zajmował się czymś całkowicie praktycznym, plebejskim, robił to samo co wieśniacy uprawiający ziemię, przeszukujący plaże, prowadzący ciężkie, proste życie. Podobnie jak ojciec i w odróżnieniu od Francisa i Charlesa, zawsze miał coś wspólnego z tym światem. Był on częścią jego życia, tak jak wrodzona ogłada Poldarków. Małżeństwo z córką górnika nie stworzyło tego związku, lecz go scementowało.

Płynąc, zrzucił sieć z ramienia i wypuścił z rąk linę. Położył się na chwilę na plecach, by złapać oddech. Później rozejrzał się, by ocenić, jak daleko jest od brzegu. Czuwający Jud przypominał samotny słup na środku polany. Paul odszedł do miejsca, gdzie powinien wrócić na brzeg Ross. Znajdowało się ono niespełna dwieście metrów dalej. Morze było dość spokojne, wznosiło się i opadało, w stronę brzegu biegingy niewielkie fale. Wystarczy sto metrów i sieć powinna się rozciągnąć.

Ross się obrócił, by popłynąć równoległe do brzegu, i nagle poczuł, że porywa go potężny nurt płynący w przeciwną stronę. Zrozumiał, że wpadł w bystrz.

Bystrz to silny prąd, który pojawia się od czasu do czasu u wybrzeży Kornwalii w trakcie odpływu. Powstaje w miejscach, gdzie piaszczyste dno jest pochyłe, i porywa każdego, kto znajdzie się w zasięgu jego działania. Człowiek, który nie zna miejscowych warunków, zwykle ponosi śmierć, ponieważ próbuje płynąć w stronę brzegu, traci siły, przegrywa walkę i tonie. Dla osoby znającej wybrzeże bystrz nie jest niebezpieczny – wystarczy, że pływak daje mu się nieść, a kiedy siła prądu osłabnie, będzie mógł kierować się w stronę plaży i dotrzeć do niej tam, gdzie to możliwe.

Kiedy bystrz porwał i próbował go znieść na pełne morze Ross wyraźnie przypomniał sobie wydarzenie z pewnego marca, gdy miał szesnaście lub siedemnaście lat. Stał na plaży z ojcem i kilkoma wieśniakami. Była chłodna, wietrzna noc. Wypłynął z siecią równie daleko. Nagle pochwycił go

wyjatkowo silny bystrz. Ross jak zwykle puścił sieć i dał się nieść. W końcu wyszedł na plażę trzy kilometry dalej. Musiał wracać nago w lodowatym wietrze, który obsypywał mu ciało piaskiem. Kiedy w końcu dotarł na miejsce, ojciec stał przy płonącej baryłce i patrzył na dwóch mężczyzn sortujących ryby z jednej z sieci. Powiedział tylko: „Cóż, chłopcze, długo cię nie było”.

Właściwym sposobem postępowania – tak naprawdę jedynym – było odrzucenie sieci, danie Judowi znaku (naturalnie jeśli jeszcze patrzył w stronę morza), a następnie płynięcie z prądem tak długo, na ile to możliwe. Jednak Ross bardzo dobrze się czuł, nie był zmarznięty, a poza tym zirytowała go troska Paula Daniela i innych wieśniaków, którzy mówili, że życie w Londynie go rozmiękczyło. Mógłby się upierać, że porwał go bystrz, lecz kilku ludzi na pewno by powiedziało, że kapitan Poldark ma krótki oddech i puścił sieć przy pierwszej lepszej okazji.

Dlatego postanowił płynąć pod prąd i nie puścić sieci. Nie zmierzał w stronę brzegu, tylko próbował zrealizować pierwotny plan i doprowadzić sieć do miejsca, gdzie powinien czekać Paul Daniel.

Szybko się zorientował, że w ogóle nie posuwa się do przodu. Płynął z wysiłkiem równoległe do plaży, ale wciąż znajdował się w tym samym miejscu. Lina boleśnie wpijała mu się w bark. Fale wydawały się większe i nie mógł unieść głowy, by spojrzeć na mężczyzn na plaży. Prąd znosił go na otwarte morze. W ogóle nie panował nad swoimi ruchami. To, kiedy dotrze do brzegu, zależało od siły prądu, który mógł go nieść bardzo daleko. Jednak uparcie nie chciał puścić sieci. Wydawało mu się, że jeśli Jud trzyma koniec liny, dryfowanie musi się wreszcie skończyć.

Po mniej więcej dziesięciu minutach zaczął marznąć. Nie było to nic wielkiego, lecz zdał sobie sprawę, że w wieku trzydziestu ośmiu lat organizm ochładza się szybciej niż w wieku lat osiemnastu. Wcześniej stopniowo poluzował linę, więc ciężar sieci się zmniejszył, ale i tak był zbyt wielki. Ross

nie czuł niepokoju. Przez całe życie mieszkał nad morzem i miał z nim stały kontakt, nie uważał go więc za wroga. Naturalnie szanował jego kaprysy, lecz wiedział, jak sobie z nimi radzić. A przynajmniej tak sądził.

Przez kilka minut leżał na plecach, podziwiając księżyc. Jego tarcza lekko przybladła, kiedy wznosił się nad wydmami. Przełamana półpensówka przestała mieć barwę miedzi i stała się pomarańczowa, później cytrynowa, a po kolejnej półgodzinie nie miała żadnej wyraźnej barwy. W świetle lśniły drobne fale, woda iskrzyła się i migotała, wokół tańczyły cienie. Rossowi było bardzo zimno. Demelza leżała w łóżku. Spała, podobnie dwoje jego pięknych dzieci. Nampara drzemała w spokojnej dolinie pod długim polem. Gdyby uniósł głowę, prawdopodobnie mógłby zobaczyć kominy dworu. „Sir, zanim odpowiem na argumenty na rzecz wniosku, przedstawione przez czcigodnego posła ze Stockbridge, proszę, by urzędnik przeczytał petycję Wysokiej Izby do Jego Królewskiej Wysokości, o której to petycji mój czcigodny przedmówca wspomniał, lecz jej nie przeczytał...”. Ross Poldark, dżentelmen, poseł do Izby Gmin. Jakże śmiałyby się ojciec! Szanowany obywatel! Mój drogi Rossie! O czym możesz myśleć? Ojciec Rossa, po młodości spędzonej na dzikich hulankach, poślubił dziewczynę, którą naprawdę kochał, po czym po krótkim małżeństwie Grace Poldark opuściła ten świat, a Joshua powrócił do dawnych zwyczajów.

Lecz Ross nie stracił żony, miał dwoje pięknych dzieci, jego kopalnia względnie prosperowała, więc choć nie szukał ludzkiego szacunku, nie mógł z niego całkowicie szydzić. „Panie przewodniczący, sir, czcigodny poseł z Ilchester zasugerował, że chrześcijaństwo może aprobować niewolnictwo. Chciałbym poinformować czcigodnego posła...”.

Nagle znalazł się w nieruchomej wodzie. W samą porę, bo drżał z zimna. Bardzo dziwne – nieczęsto się zdarza, by ktoś wydostał się z bystrza, próbując z nim walczyć. Ross popłynął z triumfem w stronę brzegu, w dalszym ciągu

trzymając sieć. Choć plaża nie była daleko, płynął bardzo długo. Posuwał się ciężko naprzód, czuł, jak ogarnia go coraz większy chłód, aż niespodziewanie dotknął kolanem piasku. Wstał, czując na sobie przełamujące się fale. Potknął się i o mało nie upadł, później dotarł na płytsze miejsce i wziął się w garść. Nie wolno dygotać. Jak gdyby nigdy nic, ruszył w stronę dwóch czekających na niego mężczyzn. Zauważył, że jeden to Paul Daniel, a drugi Jim Ellery. Wyglądali dziwnie, kulili się jak przy ataku kolki. Kiedy się zbliżył, próbowali wstać, Paul, z twarzą wykrzywioną niepokojem, wziął od niego linę.

– Odwalił pan kawał dobrej roboty, sir – powiedział słabym głosem. – Porwał pana bystrz, prawda? Tak podejrzewałem. Ale nie puścił pan sieci! Dla Juda bystrz był za silny. Nie zdążył zdjąć liny... Wciągnęło go do morza!

Ross popatrzył na morze, które teraz wydawało się przyjazne. Jud nie był daleko, lecz mimo to musiał płynąć. Miał na głowie kapelusz, w ustach trzymał fajkę i unosiły się wokół niego kłęby dymu. Przywodził na myśl potwora morskiego, który wynurzył się z głębin i zionie ogniem. Widać było, że w dalszym ciągu próbuje rozwiązać sznur wokół pasa.

Nie powinien tego robić, bo prąd mógł go znieść na pełne morze.

Paul Daniel splunął kilka razy w mrok rozjaśniony księżycowym światłem.

– Sir, jeśli delikatnie pociągniemy za linę, może tym razem nie złowimy ryb, ale, o ile taka będzie wola Boga, uratujemy Juda Payntera przed śmiercią w morskiej topieli!

Rozdział dziewiąty

I

Pomysł zorganizowania wielkiego balu w Trenwith wysunął George, nie Elizabeth. Był to jeden z najpiękniejszych dworów w hrabstwie, z trzema lub czterema wyjątkowo eleganckimi salami recepcyjnymi, lecz brakowało w nim ładnych sypialni. Łącznie było ich piętnaście, nie licząc pomieszczeń dla służby. Najlepsze pokoje zajmowali George i Elizabeth, a trochę gorsze jej rodzice. Pozostałe, wyłożone ciemną boazerią, miały niewielkie okna i panował w nich półmrok; niektóre, o dziwnych kształtach, były dość duszne.

Trenwith nadawało się idealnie na popołudniowe przyjęcie albo wspaniały obiad, ale nie na bal z noclegiem. Posiadłość znajdowała się na uboczu i niewielu przyjaciół z sąsiedztwa mogło przyjechać i wyjechać tego samego dnia; pozostałych należało przenocować i musieli się pogodzić z niewygodami. Nie przeszkadzały one Anglikom w epoce Tudorów – nawet najgorsze łóżko było łóżkiem, a reszta nie miała znaczenia. Jednak ludzie żyjący dwieście pięćdziesiąt lat później, w okresie panowania króla Jerzego, spodziewali się większych wygód.

Elizabeth martwiła się tym znacznie bardziej niż George. Była panią domu, odpowiadała za komfort gości, powinna sprawić, by dobrze się czuli. Części z nich nawet nie znała, gdyż byli to przyjaciele George'a poznani w Londynie. Czterech miało przybyć wprost ze stolicy: długa podróż wiążąca się z wielkimi kłopotami i wydatkami. (Kornwalijszczyk rzadko myśleli

o podróżach do środkowej Anglii, a londyńczycy rzadko odwiedzali zachodnie wybrzeże kraju). Mieli zostać w Trenwith przez kilka dni, a następnie pojechać gdzieś indziej. Brakowało nie tylko sypialni, lecz również służących.

George nie chciał jednak zorganizować przyjęcia w innym miejscu. Rezydencja w Truro jeszcze bardziej się nie nadawała, a nie miał ochoty zapraszać gości do Cardew, jak proponowała Elizabeth. George, podobnie jak wielu ludzi, którzy awansowali społecznie i mieli duże ambicje, wstydził się trochę swoich rodziców. W Trenwith musiał się pogodzić z irytującą obecnością rodziców Elizabeth, ale przynajmniej nie ulegało wątpliwości, z jakiej sfery pochodzą. Rzucali się w oczy jak srebrne łyżeczki wśród cyny i można było ich pokazać arystokratycznym gościom.

W czwartek wydawano uroczysty obiad. Na niewielkiej, ciasnej galerii minstreli miała grać orkiestra, jednak nie planowano tańców w sieni na dole. Kiedy w tysiąc pięćset dziewiątym roku Geoffrey de Trenwith zakończył budowę dworu, w sieni umocowano na stałe jedne z najdłuższych i największych dębowych stołów na świecie. Aby je usunąć, należałoby zerwać kamienną posadzkę i pociąć meble na kawałki – inny sposób nie wchodził w rachubę.

We wtorek i w środę przybyli goście z daleka. W czwartek dopisała na szczęście ładna pogoda, toteż rankiem mogli spacerować po posiadłości. Około południa przybyli miejscowi ziemianie. Stary sir John Trevaunance, już prawie sześćdziesięcioletni, ciągle kawaler, oraz Unwin Trevaunance, poseł do Izby Gmin z Bodmin, któremu chronicznie brakowało gotówki i który żył skromnie za pieniądze niechętnie wypłacane mu przez brata. Hugh Bodrugan – wysztafirowany, jak to określał – z młodą, stale przeklinającą macochą i niechlujnym bratankiem Robertem, który był ich spadkobiercą, ale nie miał pojęcia, czy odziedziczy cokolwiek oprócz skrawka ziemi i zrujnowanego dworu. Lord Devoran, przyjaciel Rossa, i jego silnie

zbudowana bratanica Betty o grubych nogach, która natychmiast zaczęła się rozglądać, czy w pobliżu jest jakiś przystojny młody człowiek, chętny do spędzenia z nią nocy. Doktor Choake, który obecnie poruszał się z coraz większym trudem i czuł się dobrze tylko w siodle, oraz jego głupiutka, sepleniąca żona Polly. Nosiła perukę, by ukryć siwiznę, i szeptano, że ma romans z masztalerzem.

Sir Christopher Hawkins, cyniczny, milczący i dystyngowany, przybył sam. Krążyły o nim różne plotki, lecz nikt nie miał dowodów na ich potwierdzenie. Po chwili zjawili się John i Ruth Treneglosowie. John miał jakieś kłopoty z oczami i nieustannie je mrużył jak w jaskrawym słońcu. Ruth, która zaledwie przekroczyła trzydziestkę, zaczęła już tyć – może wskutek licznych ciąż. Przez ostatnich dziesięć lat obdarzyła męża gromadką dzieci. Mimo że w zeszłym roku jej matka, pani Teague, przeniosła się na łono Abrahama, zaproszono wszystkie cztery siostry Ruth – były niezamężne i prawdopodobnie miały takie pozostać, skazane na wspólne życie w domu matki, w miarę upływu lat coraz bardziej zgorzkniałe i bez perspektyw. Zaproszono pastora Osborne'a Whitwortha i doktora Dwighta Enysa wraz z małżonkami. Dwight nie miał ochoty jechać, ale kiedy Caroline zauważyła, że odrzucenie zaproszenia od tak bliskiego sąsiada byłoby afrontem, zaproponował, by je przyjęli – później zawsze można powiedzieć, że został wezwany do pacjenta, który nagle zachorował.

– Jestem mężatką, mój drogi – powiedziała Caroline. – Wszyscy o tym wiedzą. To jedna z okazji, gdy możesz, praktycznie bez żadnego wysiłku, zachować się jak pełen uwagi mąż. Wystarczy włożyć strój wizytowy. Poza tym... będzie tam Unwin. – W końcu Dwight pojechał.

Z tej grupy gości należało przenocować Devoranów, Whitworthów i sir Christophera Hawkinsa. Z Londynu przyjechały cztery osoby: John Robinson, państwo Hantonowie i kapitan Monk Adderley.

Robinson wyglądał na siedemdziesiąt kilka lat i po przebyciu ostatniego etapu podróży był tak zmęczony, że natychmiast udał się na spoczynek. Pojawił się już po rozpoczęciu przyjęcia. George wyjaśnił, że Robinson jest od lat bliskim współpracownikiem Pitta, aranżuje wybór wskazanych posłów, oblicza zyski i straty, uzgadnia z patronami okręgów, które mandaty powinny przypaść zwolennikom premiera. Nie zajmował się tym w czasie ostatnich wyborów ze względu na zaawansowany wiek, lecz w dalszym ciągu był wpływowym człowiekiem. Wiedział absolutnie wszystko o mechanizmach działania Izby Gmin. W Westminsterze jego skuteczność w negocjacjach była wręcz przysłowiowa i pojawił się nawet zwrot: „Załatwić coś szybciej, niż powiedzieć: Jack Robinson”, którego od niedawna zaczęto używać w całej Anglii.

Państwo Hantonowie nie mieli związków z parlamentem. Elizabeth podejrzewała, że genealogia pana Hantona jest równie imponująca jak rodowód George'a. Jednak Hanton był ważnym udziałowcem Kompanii Wschodnioindyjskiej, przed dwoma laty wrócił z Bengalu, kupił dużą posiadłość w hrabstwie Surrey, inwestował w domy bankowe i fabryki w środkowej Anglii. Hanton z trudem ukrywał swoje pochodzenie, podobnie jak Warlegganowie. To, że zaproszono go na przyjęcie z udziałem arystokracji, powinno mu schlebiać i pozwolić zdobyć jego przyjaźń, która mogła być dla George'a równie cenna jak przyjaźń Jacka Robinsona – choć w innej sferze.

Czwarty gość z tego grona, kapitan Monk Adderley, był najbardziej zaskakujący, bo z początku Elizabeth nie rozumiała, jaką korzyść może odnieść George z tej znajomości. Adderley miał dwadzieścia osiem lat, był szczupły i wyprostowany. Miał łagodne i uprzejme usposobienie, lecz straszliwą reputację. Służył przez osiem lat w wojsku, głównie w Indiach i Chinach, gdzie podobno uczestniczył w kilku pojedynkach i zabił dwóch kolegów oficerów. Zwolniono go z armii, gdy odniósł ciężką ranę w kolejnym

pojedyнку. Kula strzaskała mu część kości czaszki. W czasie trepanacji zastąpiono ją srebrną płytką. Niektórzy uważali, że Adderley jest niespełna rozumu, choć jego nienaganne zachowanie w towarzystwie wcale na to nie wskazywało. W ciągu ostatnich kilku lat był posłem do Izby Gmin z Bishop's Castle, jednego ze skorumpowanych okręgów wyborczych w Shropshire. Rzadko odwiedzał parlament, był znany ze zdecydowanych poglądów antykatolickich i antyfrancuskich.

Kiedy ktoś patrzył na Monka Adderleya, mógł się dziwić. Jego ojciec był bogatym kupcem z Bristolu, niemającym żadnych pretensji do klas wyższych. Podobno Monk w całym swoim życiu nie chciał uczestniczyć tylko w jednym pojedyнку: wkrótce po swoich dwudziestych pierwszych urodzinach do tego stopnia rozwścieczył własnego ojca, że ten go wyzwiał. Monk odmówił. Jako przyczynę podał, że ojciec nie jest dżentelmenem.

George Warleggan i Monk Adderley? Elizabeth, do której Monk umizgał się z żarliwą uprzejmością, zaczęła się nad tym zastanawiać. Łatwo było się domyślić, dlaczego Adderley może być użyteczny dla George'a – wszyscy wiedzieli, że młody poseł tkwi po uszy w długach. Druga zaleta stała się jasna z upływem czasu. Niezależnie od pochodzenia Adderley był bez zastrzeżeń akceptowany w towarzystwie. Zachowywał się jak urodzony arystokrata. Pił, uprawiał hazard, uwodził kobiety w wielkim stylu. Należał do najlepszych klubów i wszędzie uważano go za ważną osobę. Czy George mógłby mieć lepszego przyjaciela, gdyby chciał wrócić do Londynu?

Być może chodziło o to, że przeciwieństwa się przyciągają. Adderley miał w sobie dziwny urok, który mógł budzić podziw, a zarazem pogardę George'a. Wojskowa postawa, zniewieściałe maniery, przeciąganie samogłosek, lekceważący stosunek do pieniędzy, ironia – wszystko połączone ze złą reputacją.

Obiad rozpoczął się o trzeciej i trwał do szóstej. Mimo niedostatków

spowodowanych wojną i apeli o oszczędzanie żywności niczego nie brakowało. Goście jedli i pili przy wielkich stołach Geoffreya de Trenwith. Po wyjściu dam mężczyźni pili porto, rozmawiali, dyskutowali i żartowali. Na galerii grała orkiestra. Cicho, by nie zagłuszać rozmowy. O ósmej podano herbatę i wielu gości przeszło do salonu zimowego, aby grać w kadryla, wista lub w to, na co mieli ochotę. Damy spacerowały po ogrodach i podziwiałały staw krajobrazowy, który już dawno oczyszczono z hałaśliwych ropuch. Geoffrey Charles, ubrany w najlepszy surdut, stał obok Dwighta Enysa, który nigdy nie przepadał za kartami, i rozmawiał z nim jako jedynym uczestnikiem przyjęcia budzącym jego zainteresowanie – celowo rubaszne uwagi Geoffreya Charlesa wywoływały w młodym lekarzu lekkie zmieszanie.

Kiedy zapadł zmrok, grupki gawędzących gości wróciły do dworu. Zapalono dziesiątki świec i w podzielonych kolumnami oknach z epoki Tudorów rozbłysło drżące światło, które padało na trawniki, krzewy i staw. Orkiestra grała głośniej i niektórzy goście próbowali tańczyć w sieni pomimo stojących tam stołów. Elizabeth, dopilnowawszy, by rodzice bezpiecznie trafili do łóżek – kolejna spoczywająca na niej odpowiedzialność – zeszła po schodach, uświadamiając sobie, że najgorsza część dnia minęła. W kuchni niewątpliwie panował chaos, lecz nikt o tym nie wiedział. O jedenastej zamierzano podać lekką kolację: gotowane ptactwo na zimno, boczek, ozór, pieczoną giczą baranią, również na zimno, poza tym nadziewane babeczki, syllabuby, maderę i lekkie wina. Nie powinno być z tym kłopotów. Kiedy goście wchodzili do dworu, postanowiła wyjść na chwilę przed dom, by trochę odpocząć w samotności.

Najlepszym miejscem do spaceru był długi trawnik poniżej ładnego salonu na parterze. Elizabeth wiedziała, że tego dnia skoszono i zagrabiono trawę, więc rosa nie zmoczy jej pantofelków. Murawę oświetlało okno wykuszowe w salonie. Potrzebowała pięciu minut, by odetchnąć świeżym wieczornym

powietrzem, a potem mogła wrócić do dworu. Przede wszystkim chciała być przez chwilę sama.

Jej relacje z George'em jeszcze nigdy nie były tak serdeczne. Horror ostatnich dwóch lat, groźba rozpadu małżeństwa w związku z podejrzeniami co do ojcostwa Valentine'a odszedł w przeszłość. Nikt nigdy nie wiedział na pewno, co George naprawdę myśli, ale jego stosunek do syna się zmienił. Znow się nim interesował i okazywał mu serdeczność, na tyle, na ile był zdolny. Jeśli chodzi o Elizabeth, zachowywał się równie zaborczo jak zawsze, lecz miała wrażenie, że ponownie okazuje jej zaufanie. W Truro nie śledzono już każdego jej kroku, a George wydawał się nie przejmować natrętnymi zalotami Monka Adderleya.

Była szczęśliwa z powrotu Geoffreya Charlesa, zaszokowana zblazowaniem tak młodego człowieka, jednak oczarowana jego manierami i elegancją. W dalszym ciągu widywał się z Drakiem, ale nie dochodziło już do sporów między nim a ojczymem. Życie już od dawna nie było takie dobre.

Pochyliła się, by spojrzeć na dużego motyla, który trzepotał skrzydłami obok kępy białych jastrunów, i nagle ktoś poruszył się w cieniu. Cofnęła się nerwowo.

– Dobry wieczór, Elizabeth – powiedział Ross.

– Mój Boże! – zawołała.

– Ani Bóg, ani diabeł. Po prostu intruz, który miał pecha i dał się przyłapać.

– Co tu robisz?

Wzruszył ramionami.

– Wdzieram się na teren cudzej posiadłości.

– Po co?

– Cóż... jak wiesz, to w pewnym sensie mój dom rodzinny. Mam do niego sentyment. Urodził się tu mój ojciec, w dzieciństwie i młodości stale tu

przychodziłem. W tej chwili można mnie nazwać głową rodu Poldarków. Przyszło mi do głowy, zwykły kaprys, by się przekonać, cóż to za przyjęcie, na które nie zostaliśmy zaproszeni.

– Oszalałeś! – odparła z przerażeniem. – Przychodzisz tu, ryzykujesz tak wiele!

– Myślę... myślę, Elizabeth, że w ciągu jedenastu miesięcy zasiadania w parlamencie zachowywałem się bardzo sztucznie. Przystosowałem się do otoczenia. Wydało mi się, że dla dobra własnej duszy nie powinienem tak ściśle przestrzegać przyjętych reguł.

– Ale jeśli ktoś cię zobaczy... Odejdź, na litość boską!

– Nie... Myślę, że dziś wieczorem jestem bezpieczny. George nie zaryzykowałby skandalu w obecności swoich ważnych gości. Ja również nie mam ochoty na próbę sił.

Ktoś postawił świecę za oknem na parterze i na twarz Rossa padło światło, ukazując zarys kości, bliznę, ciężkie powieki.

– Nie próbowałem z nikim rozmawiać – kontynuował Ross – ale kiedy wyszłaś, nie mogłem się oprzeć, by się do ciebie nie odezwać.

– Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem – odpowiedziała, nieco uspokojona.

– Jest tu Geoffrey Charles?

– Tak. Był przed chwilą w ogrodzie. Ale proszę, nie próbuj z nim dziś wieczorem rozmawiać.

– Nie mam takiego zamiaru. Widziałem go w Londynie.

– Tak, wspominał o tym. Sprawilo mu to wielką przyjemność. – Elizabeth dotknęła palcami szala. – Na pewno wydał ci się bardzo światowy, Ross. *Blasé*. Jak na tak młodego chłopca.

– To nic nie znaczy. Francis był taki sam. Wyróżnie z tego.

– Twoim zdaniem przypomina Francisa?

Ross się zawahał, zastanawiając się nad taktowną odpowiedzią.

– W pozytywny sposób.

Z otwartego okna dobiegł wybuch śmiechu i ktoś przeszedł przed świecami.

– Jak Valentine? – spytał Ross.

– Jest zdrowy. Teraz odejdz, proszę.

– A ty i George? Muszę o to spytać.

– Nie masz prawa...

– Po naszej rozmowie dwa lata temu...

– Nie dążyłam do niej. To się nie powinno zdarzyć.

– Ale się zdarzyło.

– Więc zapomnij o tym – powiedziała. – Proszę, zapomnij.

– Chętnie. Jeśli mi powiesz, jak to zrobić. Od tamtej pory cały czas się tym dręcę.

Zawahała się.

– To skończone. Było, minęło.

– Bardzo się cieszę. Ze względu na wszystkich. Te podejrzania...

– Pojawią się znowu, jeśli będzie powód. Na przykład to, że tu przychodzisz...

– Pani, czy ten dżentelmen się pani narzuca? – Cichy głos, nieco afektowany, lecz wcale nie zniewieściały.

Z cienia wyszedł mężczyzna. Wysoki, blady człowiek z krótko ostrzyżonymi włosami byłego żołnierza, wąskimi, uśmiechniętymi ustami i bladobłękitnymi oczyma, które w mdłym świetle wydawały się niemal oczami ślepeca. Nosił surdut z kremowej satyny z czerwonymi guzikami i czerwony halsztuk. Trudno było odgadnąć, czy cokolwiek usłyszał.

– Och! – westchnęła Elizabeth, umilkła i przełknęła ślinę. – Nie, wcale nie. Bynajmniej.

– Dlaczego uważa pan to za prawdopodobne? – spytał Ross.

– Sir, nie mam przyjemności pana znać – szepnął przybysz.

– Ka... kapitan Ross Poldark, mój powinowaty – rzekła Elizabeth. – Kapitan Monk Adderley.

– Do pańskich usług, sir. Przyznaję, że kiedy zauważyłem pana rozmawiającego z panią Warleggan, wziąłem pana za obszarpanego trubadura, który przyszedł śpiewać pod oknami w ten piękny wieczór i został odprawiony bez odpowiedniego *pourboire*.

– Kiepsko śpiewam – odparł Ross. – I przyjmuję *pourboires* z jeszcze mniejszą ochotą.

– Szkoda. Zawsze przyjmuję to, co oferuje kobieta. Dla zasady.

– Chodźmy, powinniśmy wejść do środka – rzekła Elizabeth do Adderleya.

– Damy będą za panem tęsknić. – Kiedy się nie poruszył, ujęła go za ramię.

– Proszę zaczekać – odparł Adderley. – Słyszałem już nazwisko Poldark. Nie zasiada pan w Izbie Gmin?

– Zasiadam – odrzekł Ross.

– Nowy poseł?

– To prawda. Nie przypominam sobie, że bym tam pana spotkał.

– To mało prawdopodobne. Rzadko się pojawiaam w Westminsterze. – Monk Adderley roześmiał się cicho: melodyjny, lecz nieco zmanierowany dźwięk. – Ci starcy są wyjątkowo męczący. Biorą siebie poważnie, co jest chyba największą wadą dżentelmena.

– Prawie największą – zgodził się Ross. – Dobrej nocy, Elizabeth.

– Dobrej nocy.

– Wspominano pańskie nazwisko w jakimś kontekście – rzekł Adderley. – Coś nieistotnego. Nie pamiętam dokładnie. Nawiasem mówiąc, należę do lorda Crofta. A pan?

– Nie należę do nikogo – odparł Ross.

– Cóż, do licha, mój drogi, przecież zdobył pan mandat w czyimś okręgu?!

Kornwalijskie okręgi wyborcze są zgniłe jak kosz zepsutych jajek.

– Mój okręg kontroluje lord Falmouth – powiedział Ross.

– Ach, rozumiem. I nie jest pan jednym z jego jajek, co? Właśnie o to mi chodzi. Niech pan odwiedzi mnie kiedyś w Londynie. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszkam. Zagramy w kości.

– Dziękuję – odparł Ross. – Będę na to czekał z niecierpliwością.

Kiedy się odwrócił, nie usłyszał słów wypowiedzianych przez Monka Adderleya do Elizabeth, lecz miał wrażenie, że zabrzmiało w nich szyderstwo.

II

Ross wrócił do domu i zastał Demelzę czekającą na niego w salonie, choć udawała, że przegląda sukienki Clowance. Miała na sobie wciętą w tali suknię z granatowego lnianego płótna, przepasaną jaśniejszą szarfą. Rozpuściła włosy, a ponieważ przycięła je kilka dni wcześniej, ledwo sięgały do ramion.

– Siedzisz do późna – zauważył Ross.

– Clowance wyrasta ze wszystkich ubrań. Jeśli nie będziemy uważać, stanie się prawdziwą grubaską.

– Zaczekaj jeszcze dwa lata, aż zaczniesz rosnać w górę. Będzie tak chuda jak Jeremy. – Zdjął halsztuk i mrużąc oczy, spojrzał na siebie w lustrze.

– Znowu łowiłeś ryby, Ross?

– Można to tak nazwać. W mętnej wodzie.

Wstążka przy jednej z sukienek Clowance była wystrzępiona. Demelza dotknęła jej palcami.

– Poszedłeś się spotkać z Elizabeth?

– Niezupełnie. Poszedłem popatrzeć na swój dawny dom rodzinny i zobaczyć, jakich gości przyjmują Warlegganowie, że wywołuje to tyle plotek.

Naturalnie nie wchodziłem do środka.

– To było ryzykowne, Ross.

– Niespecjalnie. Dobrze znam sekretne przejścia. Badałem razem z Francisem płytkie tunele wykopane i porzucone jeszcze przed panowaniem królowej Anny.

– Ale... – Demelza się zawahała. – Rok temu byś tego nie zrobił.

Popatrzył na nią.

– Nie... nie... Odkąd George zamieszkał w Trenwith, miałem z nim kilka starć, lecz nigdy ich nie prowokowałem. Do ostatniej awantury doszło po aresztowaniu Drake'a. Oczywiście potem były zeszłoroczne wybory... – Skinął powoli głową. – Chociaż masz rację, gdy sugerujesz, że wcześniej chciałem uniknąć okazji do konfliktów. Myślałem, że na świecie jest miejsce dla nas obu. W dalszym ciągu tak uważam. Idąc tam dziś w nocy, nie chciałem prowokować awantury. Jak powiedziałem, miałem po prostu ochotę zobaczyć...

– I zobaczyłeś?

– Trochę. Spostrzegłem Elizabeth spacerującą samotnie po ogrodzie i zamieniłem z nią kilka słów. Nie była zbyt zadowolona ze spotkania ze mną, co zrozumiałe. Jej małżeństwo z George'em wreszcie się unormowało. Tak mówi, ale nie wyjaśnia dlaczego. Można tylko spekulować i mam nadzieję, że tak już zostanie. Wyraźnie widać, że jej na tym zależy. Nie chce prowokować zazdrości męża, choćby bezzasadnej. Gdyby zauważono mnie na terenie posiadłości Warleggana w trakcie rozmowy z jego żoną, łatwo mogłoby to odgrzać całą tę aferę.

– A ty, Ross?

Wzruszył ramionami z lekkim zniecierpliwieniem.

– Już ci mówiłem, tłumaczyłem wiele razy. Nie ma nic nowego do dodania.

Demelza zwinęła suknię. Przez chwilę stała z kolanem opartym na fotelu

i uniesioną stopą.

– Kiedy zamieniliśmy kilka słów, pojawił się jakiś mężczyzna – powiedział Ross. – Nie pamiętam imienia, którym nazwała go Elizabeth, ale zjeżyły mi się włosy na głowie.

Demelza podeszła do męża.

– Nie powinieneś robić takich rzeczy, Ross. Och, w tej chwili nie mam na myśli Elizabeth. Chodzi o to, że wyraża się w tym wrogość, rzucaś wyzwanie Warlegganowi. Kilka lat temu powiedziałeś, że mamy wszystko, czego nam potrzeba. Powiedziałeś – doskonale pamiętam – żyjmy i dajmy innym żyć... Czy robisz to dlatego, że później cię zawiodłam?

Pogłodził ją po dłoni.

– Może zawiedliśmy się nawzajem, przynajmniej trochę, ale nie wyolbrzymiaj tego, co się stało, nie nadawaj temu ogromnej wagi. Była to chwila nierozsądku, jeśli zgadzasz się, by tak to nazwać. Musimy się pogodzić z faktem – wiemy to oboje od bardzo dawna – że nie zawsze jestem rozsądnym człowiekiem.

Demelza westchnęła. Nie potrafiła znaleźć właściwej odpowiedzi.

– Podobno zeszłej nocy o mało nie utopiłeś Juda. Zdaje się, że znów postąpiłeś nierozsądnie.

– Judowi nawet nie zamokła fajka. Zawsze pływał jak ryba. Ale powinnaś słyszeć, jak klął, gdy wyciągnęliśmy go z wody. Strząsnął w wodzie buty i je zgubił. To właśnie najbardziej go rozwścieczyło. Stał z gołymi stopami, ociekał wodą, lała się nawet z runda kapelusza, i pienił się z wściekłości!

– Dam mu parę twoich starych butów – powiedziała Demelza.

– Co gorsza, nadali mu dziś nowy przydomek – ciągnął Ross. – Nazywają go Jud Sardynka. Boję się, że szlag go trafi z wściekłości.

– Nie lubi dzieciaków – rzekła Demelza. – Przezywają go z bezpiecznej odległości. Dużo czasu minęło, nim przestały go pytać o archanioła Gabriela.

– Coś mi się przypomniało – odezwał się Ross. – Późnym wieczorem Jacka Hoblyn odbył ze mną poważną rozmowę. Pytał, czy wiem, jakie są intencje mojego szwagra wobec jego córki.

– I co odpowiedziałeś?

– Że nie mam pojęcia. Drake spotkał się z Rosiną chyba ze cztery razy, ale Jacka uważa, że jeśli twój brat nie ma poważnych zamiarów, nie powinien zniechęcać innych kawalerów.

– Nie ma żadnych innych kawalerów! Jeśli Jacka nie będzie ostrożny, wszystko zepsuje! Drake'a nie należy do niczego zmuszać. Nie wolno się śpieszyć.

– Cóż, pora spać. Jest bardzo późno. – Ross zgasił świecę przy oknie. Otworzył je, by wypuścić ćmę, po czym znowu zamknął.

Demelza zgasła dwie pozostałe świece, wzięła czwartą i stała, czekając na niego przy uchylonych drzwiach. Pełgający płomień oświetlał jej ciemne oczy i bladą, zamyśloną twarz, fotel z aksamitnym obiciem w kwiaty, do połowy opróżniony kieliszek wina, stojącą obok czarną butelkę. Jak należało się spodziewać, rozmowa szybko zmieniła tonację z poważnej na luźną. Często pomagało im to we wzajemnych relacjach, lecz teraz nie okazało się korzystne.

– Ross... – odezwała się Demelza.

– Co takiego? – Zbliżył się do drzwi i objął ją ramieniem.

Wyszli. Wspięli się po schodach, z pozoru w najlepszej komitywie. Mimo to Demelza czuła lekki ból.

– Później cię zawiodłam – powiedziała.

– Może zawiedliśmy siebie nawzajem – odrzekł, nie beztróska, lecz prawie mimochodem, jakby była to oczywistość dotycząca ich małżeństwa.

Może to prawda? Może Ross ma rację? Ale nie powinien mówić tego w ten sposób.

Nie powinien mówić tego w ten sposób.

Rozdział dziesiąty

I

Poniedziałek ósmego października był dla Samuela Carne'a normalnym dniem. Wstał skoro świt, pół godziny modlił się na klęczkach, a później, gdy się rozwidniło, pracował przez pewien czas w ogrodzie. Potem zjadł skromne śniadanie i ruszył do Wheal Grace, niosąc narzędzia w worku na plecach, a w kieszeni bluzy posiłek złożony z chleba, sera i kawałka gotowanego boczku.

Zszedł do kopalni z Peterem Hoskinem. Dotarli do poziomu czterdziestu sążni, a następnie podążyli błotnistymi chodnikami, mijając wielkie komory, w których kapała woda, aż znaleźli się w starym tunelu, gdzie pracowali dwa lata wcześniej. Teraz, gdy południowa żyła stała się niebezpiecznie cienka, Ross, Henshawe i Zacky Martin postanowili znów podjąć próbę przebicia się do starych wyrobisk Wheal Maiden. Brali pod uwagę niebezpieczeństwo, że Wheal Grace zaleje woda ze starej kopalni, ale Wheal Maiden zawsze była wyjątkowo sucha, gdyż leżała na wzgórzu. Poza tym liczne tunele odpływowe w dalszym ciągu odprowadzały wodę do strumienia Mellingey. Przed powstaniem Wheal Grace na wzgórzu rozpoczęto budowę innej kopalni, po czym zasypano szyby Wheal Maiden płoną skałą wydobytą podczas robót. Ross powiedział, że Samuel powinien wreszcie kopać w górę, jak przystoi człowiekowi religijnemu. Może wreszcie przebije się przez podłogę swojej nowej kaplicy?

Górnicy byli w dobrych nastrojach, gdyż niedawno odkryto kilka skupisk dobrej rudy w pobliżu krańca Wheal Grace, gdzie pracowali Samuel i Peter. Zanim doszli do swojego wyrobiska, spotkali dwie pary górników, Ellery'ego i Thomasa, oraz młodszych, Aarona Nanfana i Sida Bottrella, eksploatujących niewielkie żyły. Kiedy dotarli na miejsce, musieli usunąć dużo skał, ponieważ wczoraj, przed zakończeniem szychty, odpalili ładunek wybuchowy. Zdjęli koszule, położyli je na większych głazach i wzięli się do pracy.

Peter Hoskin był z natury bardzo gadatliwy. Mówił do Samuela, gdy przyjaciel mógł go usłyszeć, a czasem również wtedy, kiedy nie mógł. Samuel nie miał nic przeciwko temu, ale dziś nie słuchał. Myślał o Emmie Tregirls. Rok wcześniej Demelza załatwiła jej pracę pokojówki w Tehidy. Ponad rok wcześniej. Samuel zgodził się na roczne rozstanie, bo nie miał wyboru. Ale rok już minął. Czy powinien do niej napisać, jeśli nie otrzyma żadnej wiadomości? Lecz Emma nie potrafiła pisać, a Samuel czuł niesmak na myśl, że jakaś służąca będzie sylabizować jego list miłosny. Pomyślał, że mógłby pójść do Tehidy i poprosić o spotkanie. Urodził się w pobliżu Tehidy i doskonale znał okolicę, lecz był to dwór wielkich arystokratów i nie można było po prostu podejść do frontowych drzwi i pociągnąć za sznur dzwonka.

Doszedł do wniosku, że odwiedzi dwór, korzystając z bocznego wejścia. W przyszłym tygodniu poprosi o wolny dzień i zajrzy do macochy oraz braci. Może przekona Petera Hoskina, by złożył wizytę swojej rodzinie? Kiedyś już wybrali się razem w sprawach związanych z rodziną Petera, smutnych sprawach.

Ranek minął jak z bicza trząsał, a pod koniec szychty Peter zauważył kolejne żyłki rudy prawie nad ich głowami. Zawołano czterech pozostałych górników, by je obejrzel, i zgodzono się, że nazajutrz trzeba zaprosić Zacky'ego Martina i spytać, czy jego zdaniem warto kuć strop chodnika. Później wszyscy poszli do chłodnego kąta, mijając taczki, oskardy, młoty i baryłkę prochu

strzelniczego, i zjedli razem posiłek.

Śmiali się i hałasowali, bo byli wesołymi ludźmi, a dwaj młodzi mężczyźni lubili słuchać własnych głosów. Ich śmiechy odbijały się echem od ścian komory siedemdziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi. Żaden z towarzyszy Samuela nie był metodystą, lecz mimo to darzyli go sympatią. Kiedy chciał, potrafił być dobrym kompanem, a od czasu do czasu dawało się go namówić, by naśladował głosy innych ludzi, co dobrze mu wychodziło. Górnicy cieszyli się jak dzieci i chcieli, by stale to robił. Nie miało znaczenia, czy w zeszłym tygodniu naśladował doktora Choake'a, czy Juda Payntera – miał to zrobić znowu.

Tego dnia było dużo śmiechu, zwłaszcza gdy opowiadano o wyprawie Juda na ryby i późniejszych komentarzach Prudie. Potem górnicy trochę się uspokoili i plotkowali o wielkim przyjęciu wydanym przez Warlegganów: o tym, co jedzono i jakie pito trunki. W organizacji pomagała Char Nanfan oraz inne kobiety, więc wieśniacy mieli dokładne informacje. Następnie Ellery opowiadał o buldogu Tholly'ego Tregirlsa, ale nadeszła pora wracać do pracy.

Godzinę później Samuel kuł oskardem dość miękką skałę i okazało się, że ostrze jest wilgotne. Na początku myślał, że to jeden ze zwykłych wycieków wody, które czasem się zdarzały. Pochylił się i świeca na jego kasku oświetliła miejsce uderzone oskardem. Do tunelu tryskał strumyczek wody.

– Peter! – zawołał. – Chodź tutaj! Popatrz!

Peter oddalał się od przodku, pchając przed sobą taczkę, lecz zdenerwowany ton głosu Samuela sprawił, że postawił ją i wrócił do towarzysza. Spojrzał na ścianę.

– Wielki Boże! – zawołał.

Po kilku sekundach strumyczek tryskającej wody stał się dwa razy większy.

– Nie, lepiej wracaj. Ostrzeż ludzi. Uciekaj stąd!

– Myślisz...

– Szybko! Pośpiesz się! Wyprowadź ludzi na powierzchnię!

Woda tryskała teraz jak z cienkiej rurki na odległość metra od ściany. Otwór z każdą chwilą się powiększał. Wydawało się, że znaleźli Wheal Maiden, która wcale nie była sucha.

Znajdowali się na poziomie czterdziestu sążni i zamierzali się przebić do najniższych chodników Wheal Maiden. Jeśli te wyrobiska nie były suche, mogła się w nich zebrać ogromna ilość wody, wypełniając szyby i chodniki prawie do powierzchni ziemi. Teraz znalazła ujście.

Nie zatrzymując się, by wziąć koszulę lub narzędzia, popędził w stronę pozostałych górników. Na ścianach chodnika kołysały się cienie. Ścigał go strumień wody, który po chwili otoczył mu kostki. Zaledwie sto metrów od miejsca, gdzie pracował z Hoskinem, znajdowała się podziemna sztolnia prowadząca na niższy poziom. Eksploatowano tam dwie bogate żyły, a pięćdziesiąt metrów dalej był pierwszy szyb wentylacyjny z drewnianą drabiną, którą można było się wspiąć na poziom dwudziestu sążni.

Samuel zastał górników w komorze, w której wydobywali rudę.

– Wychodźcie! – zawołał. – Ostrzeżcie ludzi na górze!

Schodził na niższy poziom, krzycząc. Kiedy znalazł się w połowie drogi, zalała go woda, aż uderzył w bok drabiny. Oszołomiony, nie mogąc złapać tchu, z trudem pokonał jeszcze kilka szczebli i znalazł się na niższym poziomie. Spadająca woda ryczała jak grom. Szyb był o trzy sążnie niżej niż następne poziomy, więc Samuel znalazł się w suchym chodniku. Jednak z góry spadały tak ogromne masy wody, że za dwie lub trzy minuty musiały zatopić dno szybu.

Biegł wąskim, ciemnym korytarzem, wymacując drogę rękoma. Zgubił kask i świecę; miał wrażenie, że minęło kilka minut, nim potknął się o taczkę i dotarł do opuszczonych wyrobisk, a potem do wielkiej komory, gdzie w miejscu pracy górników widać było punkciki światła. Przypominały

robaczki świętojańskie, żółte, nie zielone. Kiedy wszedł do komory, rozległ się huk i wypełniła ją gryząca woń prochu – mężczyźni odpalili ładunek wybuchowy.

Krzyczał najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Miał głos wyćwiczony podczas spotkań modlitewnych, ale w czasie żadnego przemówienia w wielkich amfiteatrach nie wydał z siebie tak donośnego krzyku. Górnicy przerwali pracę. Ci, którzy stali najbliżej, odłożyli narzędzia i ruszyli w jego stronę.

Chociaż na powierzchni ludzie nie zawsze akceptowali to, co mówił Samuel, górnicy błyskawicznie zorientowali się, o co chodzi. Niebezpieczeństwa to stała część ich życia, a najbardziej obawiają się pożarów, zawałów i zatopienia kopalni. Samuel mówił o wodzie. Po kilku sekundach rzucili narzędzia na ziemię i pobiegli wąskim tunelem, którym przyszedł – była to jedyna droga ucieczki. Samuel ruszył w przeciwną stronę, ostrzegając krzykiem znajdujących się najdalej. Oni również szybko przybiegli, nie było potrzeby ich przekonywać. Samuel mijał ich po kolei, ostrzegając przed nadciągającym potopem, przed niebezpieczną, głęboką sztolnią, która z pewnością jest teraz zalana. W tej chwili próba wyjścia drogą, którą przyszedł, równałaby się samobójstwu. Górnicy powinni przepłynąć zalaną sztolnię do północnego chodnika po drugiej stronie, znajdującego się na nieco wyższym poziomie, a następnie iść w górę do głównego szybu. Gdyby do niego dotarli, prawdopodobnie byłoby bezpieczni – choć jeden z nich powinien ostrzec górników w północnej komorze.

Ciemne wyrobiska wkrótce opustoszały. Samuel się rozejrzył – nikt nie został pod ziemią – po czym ruszył za ostatnim płomykiem świecy. Po kilkunastu metrach otoczyła go spieniona woda sięgająca do pasa, później do pach: górnicy przeciskający się wąskim tunelem podnosili jej poziom. Coraz trudniej było złapać oddech, pod sufitem tworzyły się bąble powietrza. Najniebezpieczniejszym miejscem była sztolnia, gdyż mogło ją przepływać co

najwyżej dwóch ludzi jednocześnie. Kiedy Samuel do niej dotarł, wpadł na jednego z górników, który czekał na swoją kolej. Na skraju sztolni zgromadziło się ich kilkunastu. Woda spadająca z góry niosła teraz kamienie, fragmenty desek i inne porwane śmieci. Przepłynięcie przez wodospad, bez żadnej pewności, że chodnik po drugiej stronie pozwoli się wydostać z pułapki, wymagało zimnej krwi i determinacji. Jeden z mężczyzn stchórzył i zaczął się wspinać po drabinie w sztolni. Pokonał kilka metrów, po czym runął z wielkim pluskiem do wody, o mało nie trafiając jednego z płynących górników. Zniknął pod powierzchnią.

– „Pan oświecenie moje, i zbawienie moje!” – zawołał Samuel, przekrzykując huk wodospadu. – „Kogóż się będę bał? Pan obrońca żywota mego, kogóż się będę lękał?” ¹

Zostało pięciu ludzi, później czterech, trzech, dwóch. Wchodzili jeden po drugim do wody i płynęli pod powierzchnią, by nie uderzał w nich wodospad. Wreszcie przysza kolej na Sama.

„Pan oświecenie moje!” – powtórzył w duchu, nabrał powietrza w płuca i zanurzył głowę pod wodę, która sięgała mu już do ramion. Uderzenia w plecy świadczyły, że znajduje się pod wodospadem. Musiał przepłynąć niewielką odległość, wystarczyło dziesięć ruchów rąk, ale po drugiej stronie ktoś kopnął go w twarz. Czy górnicy utknęli w tunelu, czy tunel znajdował się niżej, a nie wyżej? Może się topią, wierzgając nogami? Samuel czuł, jak wali mu serce; z trudem łapał oddech. Ktoś uderzył go piętą w pierś i odepchnął. Ostrożnie wrócił na skraj chodnika, uniósł głowę, z ulgą odetchnął – wodospad znajdował się teraz po drugiej stronie sztolni. W wodzie pływał na brzuchu mężczyzna, jego twarz znajdowała się pod powierzchnią. Samuel chwycił go za włosy i pociągnął w stronę miejsca, gdzie powinien się znajdować wlot chodnika, ale panowała zupełna ciemność i nie miał pewności, gdzie się znajduje.

Nagle usłyszał czyjś głos. Popłynął w jego stronę.

– Sam, to ty? Gdzie jest Bill?

Natrafiał stopą na krawędź chodnika, ktoś chwycił go za rękę i pociągnął, w dalszym ciągu trzymał za włosy nieprzytomnego mężczyznę. Z przodu dobiegały krzyki. Samuel wstał, uderzając głową w strop tunelu, wokół wirowała woda. Jego nozdrza znajdowały się tuż nad nią. Trzymał czyjąś rękę.

Ręka zaczęła go ciągnąć. Górnicy utworzyli łańcuch. Chodnik musiał się lekko wznosić, jednak wznosił się również poziom wody i posuwanie się do przodu nie poprawiało sytuacji. Ktoś idący z przodu musiał się potknąć, bo Samuel usłyszał zduszony okrzyk, plusk i szamotaninę. Po chwili znów ruszyli naprzód.

Samuel natrafiał na próg w dnie chodnika. Miał wysokość około trzydziestu centymetrów, ale na szczęście strop także znajdował się wyżej, więc Samuel zdołał precyzyjnie przycisnąć głowę i ramiona. Daleko z przodu w kompletnej ciemności pojawił się ledwo widoczny blask: może przybył im na ratunek któryś z górników eksploatujących północną żyłę.

– Możesz mi pomóc?! – krzyknął Samuel do mężczyzny idącego przed nim.
– Bill, nie jestem pewien, czy tak się nazywa, jest w złym stanie!

Podnieśli nieprzytomnego górnika, podtrzymując mu głowę, by znajdowała się nad powierzchnią wody. Był to prawdopodobnie Bill Thomas, lecz Samuel nie mógłby tego przysiąc. Nawet nie wiedział, kto mu pomaga. Umieścili kolegę na plecach Samuela i ruszyli naprzód, krok po kroku. W miejscach, gdzie tunel się obniżał, woda czasem była głębsza i Samuel musiał zanurzać twarz, by nieprzytomny górnik nie ocierał głową o strop.

Światło się zbliżało. Nie oznaczało, że są bezpieczni, ale przynajmniej coś widzieli.

Samuel zapomniał, że długie prace wydobywcze zakończono w niewielkiej odległości od głównego szybu. Teraz zauważył po drugiej stronie rozkołysane

płomyki świec i zrozumiał, że znów będzie musiał płynąć. Zanurzył się w wodzie wraz ze swoim towarzyszem – był to Jim Thomas, brat Billa – i zaczął płynąć, holując nieprzytomnego mężczyznę. Po przeciwnej stronie czekał Zacky Martin, który zszedł pod ziemię po ogłoszeniu alarmu, i kilku innych górników stłoczonych w ciasnym tunelu. Wyciągnęli z wody Samuela i Jima, wzięli na ręce Billa.

Teraz było lepiej – najgorsze mieli za sobą. Dzielili się wiadomościami: Kogo brakuje? Jak głęboka jest woda w okolicy południowej żyły? W rejonie żyły północnej woda miała przeszło sto dwadzieścia centymetrów, ale wszyscy górnicy się uratowali. Tylko dwóch ludzi kopało głębiej – jeden w jakiś sposób się wydostał, wspinając się szybem jak małpa, a drugiego porwała woda, lecz istniała szansa, że wyjdzie jedną ze starych sztolni położonych dalej na północy. Kto został w rejonie południowej żyły?

– Nikt – odpowiedział Samuel. – Jeśli nawet, nie ma żadnych szans. Powinniśmy wyjść na powierzchnię – rzekł z goryczą Zacky. – Niczego więcej nie zrobimy.

Kolejny chodnik. Teraz woda sięgała tylko do pasa, można było liczyć na pomoc innych górników. Samuel źle się czuł i zdał sobie sprawę, że jest cały posiniaczony. Światło, które widział, nie było żółte. Rozproszone, słabe światło nie padało bezpośrednio z góry, tylko sączyło się przez pochyły szyb, który kilkanaście razy zmieniał kierunek. Znajdowały się tam również drewniane platformy. Był dzień i górnicy widzący światło mogli liczyć na to, że będą bezpieczni. Wystarczyło wspiąć się po drabinach jakieś siedemdziesiąt metrów.

II

Ross był w domu, gdy przybiegło jedno z dzieci Martinów i bezładnie

opowiedziało o katastrofie. Cisnął pióro na stół i popędził pod górę w stronę kopalni. Demelza, choć zajęta dwójkiem dzieci, wypytała chłopca dokładniej. Zostawiła Jeremy'ego i Clowance pod opieką Jane Gimlett, wydawszy jej surowe polecenie, że nie wolno im za nią iść, a następnie pobiegła za Rossem.

Kiedy dotarła do kopalni, Ross schodził już głównym szybem. W odróżnieniu od poprzedniej katastrofy, gdy nastąpił zawał, tym razem na powierzchni nie rozległ się żaden huk, który zaalarmowałby pracujących tam ludzi. Jako pierwszy o katastrofie doniósł młody Sid Bottrell, który wyskoczył z szybu i powiedział, co się stało. Robotami podziemnymi kierował Zacky Martin: próbował powstrzymać napływ wody i ograniczyć liczbę ofiar. Po Rossa posłano dopiero wtedy, gdy starszy z braci Curnowów poprosił o instrukcje w sprawie pompy.

Zacky, wychodzący na powierzchnię, spotkał się z Rossem na poziomie dwudziestu sążni.

– Nie ma sensu iść na dół, kapitanie. Wszyscy wychodzą. Kazałem ludziom opuścić wyrobiska w obu głównych żyłach. Zostało kilku na poziomie trzydziestu sążni, ale nic im nie grozi.

– Są ofiary? – spytał Ross. – Ktoś się utopił?

– Trudno powiedzieć, ale na pewno niewielu albo nikt. Alarm wszczęto w samą porę.

– Niech diabli porwą Wheal Maiden! – zaklął Ross. – Nie powinniśmy nigdy kopać w jej kierunku!

– Kto mógł przewidzieć? Kopalnie to kapryśne twory. Wheal Maiden zawsze uchodziła za suchą. Pana ojciec nieustannie to powtarzał. Po zamknięciu Wheal Grace mawiał do mnie: „Szkoda, że nie możemy znowu kopać w Wheal Maiden. Zawsze była sucha jak dziewica”. Przepraszam, sir, ale to jego własne słowa.

– Gdzie się wdarła woda? Gdzie pracowali Samuel Carne i Hoskin? Są

bezpieczni?

– Hoskin jest na powierzchni. Samuel pod ziemią, ale wychodzi. Podobno to on przedarł się przez wodę na niższy poziom, by sztygarzy mieli czas wyjść. Mówią, że jeszcze trzy minuty, nawet minuta, i byłoby za późno.

– Kto zginął? Kogoś brakuje?

– Chyba dwóch ludzi. Sida Bunta z poziomu sześćdziesięciu sążni i Toma Sparrocka, który próbował się wspinać, ale go zmyło z drabiny. Wynoszą na górę Billa Thomasa. Jest nieprzytomny, nic więcej nie wiadomo. O ile wiem, to wszystkie ofiary.

– Gdzie jest Henshawe?

– Pojechał do pana Renfrew po wyposażenie. Posłano kogoś do jego domu, ale jeszcze nie wrócił.

Ross stał na platformie na poziomie dwudziestu sążni, a górnicy wychodzili z szybu. Wszyscy ociekali wodą, lecz większość nie odniosła żadnych obrażeń. Jeden miał rozciętą głowę, drugi zwicniętą kostkę. W większości byli bosi, ponieważ zdjęli buty, żeby móc płynąć. Nie tylko Jud będzie potrzebował nowych butów.

Z szybu w migotliwym świetle wyłonił się Samuel, wysoki, niezgrabny i kościsty. Ross uścisnął mu rękę i zadał jedno lub dwa pytania. Nie chciał zatrzymać brata Demelzy, który dygotał i był siny mimo gorąca. Ross został na platformie, wymieniał uścisk dłoni z każdym z górników, czasem o coś pytał. Kiedy po kolei pojawiały się znajome twarze, trochę się uspokoił, gdyż doszedł do wniosku, że przewidywania Zacky'ego się potwierdzą – ofiar będzie niewiele. W kopalni przerwano pracę na cały dzień, bo sześciu ludzi szukających gniazd rudy w górnych częściach usłyszało o katastrofie i wyszło na powierzchnię. Ross podążył za ostatnim z nich.

Dwight, którego zastano w domu, teraz opatrywał lżej rannych w cechowni. Pomagała mu Demelza, żona Zacky'ego Martina oraz trzy inne kobiety. Nie

było jednak tyle pracy, ile można by się spodziewać. W rogu na podłodze leżał Bill Thomas, przykryty kocem, półprzytomny i stopniowo dochodzący do siebie. Demelza zwróciła się do Rossa:

– Dwight zrobił coś wyjątkowo dziwnego: położył Billa Thomasa na brzuchu i wycisnął z niego wodę. Nie uwierzyłbyś, jak dużo. Później przewrócił go na plecy, przyłożył usta do ust Billa i zaczął dmuchać. Dmuchał, dmuchał i dmuchał, aż wreszcie Bill otworzył oczy i zwymiotował jeszcze więcej wody. A teraz, popatrz, wygląda na to, że wyzdrowieje. Dwight też tak uważa.

Ross uścisnął jej rękę, milcząc.

– Żyły... obie żyły... są zalane?

– Całkowicie. Jednak tym można się szybko zająć. Nasza stara pompa będzie musiała ciężko pracować. Stracimy kilka tygodni, może miesięcy. Troszczę się o życie ludzi... Gdzie jest Samuel?

– Opatrzono mu ramię i poszedł do domu.

– Mówią, że dużo mu zawdzięczamy.

– Tak, słyszałam.

– Podziękuję mu jutro.

– Pójdę z tobą – powiedziała Demelza.

III

Samuel wrócił do domu. Do zmroku została jeszcze godzina lub dwie, ale nie miał siły zajmować się ogrodem ani myśleć, czy ma tego wieczoru spotkanie modlitewne. Jaki to dzień? Wtorek? Nie, poniedziałek. Nie był pewien. Wczoraj na pewno poszedł do kościoła. A zatem dziś wieczorem jest spotkanie w domu modlitwy na wzgórzu, domu zbudowanym z kamieni z kopalni Wheal Maiden, która spowodowała dzisiejszą katastrofę. Dom

modlitwy po otwarciu zaczęto nazywać Maiden Chapel. W poniedziałki o siódmej Samuel czytał na głos Biblię i zwykle pojawiała się kilkunastu konwertytów, którzy siedzieli, słuchali, a później zadawali pytania i mówili o tym, jakie refleksje budzą w nich fragmenty świętej księgi.

Na spotkanie musi mieć lepszą formę. Niewątpliwie musi się przebrać w suche ubranie, zaparzyć herbatę i coś zjeść, a potem może poleżeć godzinę z uniesionymi nogami. Przynajmniej raz powinien sobie pofolgować i odpocząć w ciągu dnia.

Skrzesał ogień i zapalił znajdujące się w palenisku trociny oraz kawałki drewna wyrzuconego przez morze, po czym nalał do rondla trochę wody z dzbana i czekał, aż się zagotuje. Wrzucił do kubka szczyptę herbaty i wsypał łyżeczkę cukru. Po dziesięciu minutach nalał wrzątek do kubka i zamieszał. Wyraźnie pamiętał sceny, które rozegrały się po południu. Dziękował Bogu, że zginęło tak niewielu ludzi, i czuł wdzięczność, że Stwórca raczył ocalić mu życie, by mógł głosić na Ziemi jego słowa i w dalszym ciągu podążać pełną chwały drogą do zbawienia.

Była to cudowna, wspaniała myśl, która przychodziła mu do głowy każdego ranka, gdy otwierał oczy. Oto on, skromny górnik w odległym zakątku Anglii, został wybrany przez Boga, by realizować jego święte cele, choć nie był tego godny. To właśnie dzięki niemu coraz więcej grzeszników odnajdywało łaskę, wolność i idealną miłość. Nie powinien siedzieć w domu, pić herbaty i jeść chleba z dżemem, choć kręciło mu się w głowie i odczuwał lekkie mdłości, bo nałykał się cuchnącej wody. Powinien pokonać słabość, wstać i głosić słowo Boże. Wśród górników zapanuje żałoba. Należy pocieszać wdowy. Tom Sparrock prawdopodobnie zginął, Samuel widział to na własne oczy. Jane Sparrock była jędzą – Tom zawsze siedział pod pantoflem – lecz i tak będzie rozpaczać. Sid Bunt pochodził spod St Ann's i prawie nie widywał żony.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pojawiła się w nich kobieca głowa. Beth

Daniel, żona Paula.

– Ach, przyszedłam zobaczyć, jak się czujesz, kochany. Zastanawiałam się, czy przynieść ci herbatę, ale widzę, że już sobie zrobiłeś!

Beth Daniel, choć nie była wyjątkowo gorliwą metodystką, zawsze chciała pomagać innym. Samuel podziękował i powiedział, że dobrze się czuje, naprawdę dobrze.

– Mam kropelkę czegoś mocniejszego, gdybyś chciał – rzekła Beth, mnąc palcami fartuch. – Wystarczy wlać do herbaty, zaraz nabierze smaku, kochany, i poczujesz się lepiej.

Samuel znów podziękował, lecz odmówił.

– Wystarczy herbata, Beth.

Rozmawiali o katastrofie i o tym, jak doktor Enys przywrócił do życia Billa Thomasa, dmuchając mu w usta. Później Beth powiedziała:

– Ach, kiedy byłeś dziś w kopalni, przyszedł Lobb i przyniósł kapitanowi Poldarkowi „Sherborne Mercury”. Podobno Anglia odniosła wielkie zwycięstwo. Kapitan Poldark był taki podekscytowany, że dał wszystkim służącym po kieliszku rumu. Rzeka Nil albo coś w tym rodzaju? Gdzieś w Afryce. Admirał Nelson zniszczył francuskie okręty. Wysadził je w powietrze! Dwanaście z trzynastu, mówi kapitan Poldark. Dwanaście z trzynastu wielkich francuskich okrętów. Kapitan Poldark mówi też, że od czasu zatopienia Wielkiej Armady nigdy nic takiego się nie zdarzyło!

– Módlmy się, by wojna się skończyła – odparł Samuel.

– Tak, kochany, tak. Kapitan Poldark mówi, że w Londynie biły wszystkie dzwony. W Sawle pewnie też uderzą w dzwon, jak się dowiedzą.

– Kiedy to się stało, Beth?

– Chyba przed kilkoma tygodniami. Kapitan Poldark mówi, że w sierpniu. – Beth przerwała i pstryknęła palcami. – Prawie zapomniałam, co chciałam powiedzieć. Lobb był w Namparze, a potem widziałam, że puka do twoich

drzwi, więc podeszłam i mówię: „Samuel jest w kopalni, w domu nie ma nikogo”, a on na to: „Mam list, list dla Sama Carne’a”. Powiedziałam, że go wezmę i oddam. Wzięłam i schowałam głęboko do kieszeni.

Wyjęła niewielką flaszeczkę z brandy, kawałek sznurka, dwa klipsy do prania i poplamioną szmatkę, po czym pojawił się list. Samuel popatrzył na charakter pisma, który był brzydki, niewyrobiony, a nazwisko adresata nie miało na końcu litery „e”. Mocno zabiło mu serce.

Beth miała nadzieję, że Samuel otworzy list przy niej i powie, co w nim jest, ponieważ górnicy otrzymywali listy wyjątkowo rzadko. Stała i gawędziła o kopalni i o zwycięstwie Nelsona, od czasu do czasu zerkając na list w ręce Samuela. Nie mógł złamać pieczęci w jej obecności. W końcu cofnął się o kilka kroków i położył list na topornej półce nad kominkiem, którą szwagier Beth sklecił kiedyś dla swojej niewiernej żony. Później się odwrócił i spojrzał na Beth, uśmiechając się smutno, aż wreszcie zrozumiała, że niczego się nie dowie. Ruszyła w stronę drzwi, chwalać Samuela za to, co zrobił w kopalni. Powiedziała, że Paul prawdopodobnie zawdzięcza mu życie (nie było to prawdą, bo Paul pracował przy północnej żyłce), po czym wyszła.

Stał w drzwiach i patrzył, jak Beth wraca do chaty w Mellin tuż za grzbietem wzgórze, a następnie podszedł do półki i wziął list. Czuł, że jeszcze nie może go otworzyć. Najpierw musi się pomodlić. Tylko o co? Nie o własne szczęście, nawet nie o szczęście Emmy. Mógł tylko modlić się o jej duszę, lecz robił to każdego wieczoru po jej odejściu. Czy mógłby dodać teraz jakąś specjalną prośbę do Boga?

Kłęczał przez chwilę u stóp łóżka, a potem wstał i złamał pieczęć. List brzmiał:

Kochany Samie!

Nie umiem pisać, jak dobrze wiesz, więc poprosiłam swoją dobrą przyjaciółkę Mary, żeby napisała dla mnie ten list.

Samie, kochany Samie, kochany Samie, poprosiłam swoją drogą przyjaciółkę Mary, żeby napisała do ciebie ten list, bo chcę ci wszystko powiedzieć. Samie, mam poślubić drugiego służącego. To dobry człowiek dziesięć lat starszy ode mnie i wierzę, że naprawdę mnie kocha. To nie dziki mężczyzna jak Tom ani dobry mężczyzna jak ty, ale jest spokojny, miły, uczciwy, ciężko pracuje, a ja go lubię i dobrze się przy nim czuję.

Mary mówi, że każę jej pisać strasznie trudne słowa, ale jakoś sobie radzi. Samie, chciałabym, żebyś wiedział, że jakby wszystko było takie proste jak powinno być, wtedy byśmy się pobrali. Ale nic nie jest proste i nigdy nie będzie, bo ty jesteś człowiekiem Boga, a ja tylko wesolą dziewczyną. Jest jeszcze gorzej, Samie. Jesteś takim dobrym człowiekiem, że nie znasz świata tak jak ja. Jakbym wyszła za ciebie i przyszła do kaplicy twoi przyjaciele mieliby zbolale miny i mówiliby, za kogo wyszła ta bezczelna lafirynda, jak ona mogła wyjść za naszego Sama kaznodzieję. Wszyscy widzieliśmy, jak piła w szynku Sally, a potem chodziła pod rękę z mężczyznami i kto wie, co się działo w stogach. Wszyscy o tym słyszeli i szczęście, że nie miała bachora. To, że wyszła za naszego kaznodzieję Sama, to wstyd i to nigdy nie będzie dobre, a Sam się zdziwi albo nie jest taki święty, jakiego udaje.

Samie, kochany Samie, kochany Samie, patrzę, jak moja przyjaciółka Mary pisze dla mnie ten list. Mówi, żeby już kończyć, że nic więcej nie napisze, ale ja dam jej szylinga, żeby jeszcze pisała. Jeśli myślisz inaczej, jeśli myślisz, że Biblia mówi, że złe kobiety mogą być odkupione, było to prawdą w czasach Biblii, ale nie teraz. Ja nie jestem zła, wiesz, że w Biblii było wiele gorszych kobiet, ale ważna jest repertacja, ważna dla twoich podopiecznych, twoich modlących się podopiecznych. Możesz myśleć, że są tacy dobrzy jak ty, ale nigdy tacy nie będą. Kochany Samie, jakbym poszła coś wypić w szynku Sally, a ty byś o tym nie wiedział, wtedy jedna z twoich owieczek szybko by ci powiedziała. Nasze małżeństwo źle by się skończyło.

Zapomnij o mnie, kochany. Powiedziałam w tym liście trochę smutnych rzeczy do mojej przyjaciółki Mary. Mam łzy na twarzy i rękach, bo to smutne żegnać się ze swoją największą miłością. Ale Ned Arnel naprawdę mnie kocha, a ja go lubię i tak musi być. Ożeń się z jakąś dobrą kobitą, jest ich wiele i zapomnij o mnie. Nie, nigdy nie zapominaj, bo ja cię nie zapomnę, ale nie byłoby szczęścia w naszym małżeństwie. Pewnego dnia twoje serce to zrozumie. Mówię szczerą prawdę, jak Boga kocham.

*Twoja zawsze kochająca
Emma*

Samuel skończył czytać list i starannie przestudiował go po raz drugi. Później odłożył go na półkę nad paleniskiem, podszedł do drzwi i rozejrzał się po okolicy. Brązowe rzyska po skoszonych polach zlewały się z wrzosowiskami opadającymi w stronę plaży Hendrawna. Anglia odniosła

wielkie zwycięstwo. Widział pustą stróżówkę i kominy dworu Mingoose nad drzewami o koronach zniekształconych przez wichury. Niebo było czyste, a morze spokojne. W górze snuł się dym z komina jednej z chat w Mellin. Daleko w dolinie ryczała krowa. Anglia odniosła wielkie zwycięstwo...

Później wszystko się rozmazało i Samuel się rozplakał, zasłoniwszy twarz rękami. Łkał jak dziecko, jak zraniony, obolały chłopiec. Przez chwilę nie był w stanie się opanować, szlochał i dygotał, a później zwymiotował cuchnącą wodą z kopalni i herbatą.

Przez chwilę płakał ciszej. W końcu wyjął z kieszeni chusteczkę i próbował wytrzeć oczy, nos, usta. Z oczu wciąż kapały mu łzy. Jeszcze nigdy nie czuł się taki samotny.

Wszedł do chaty i dolał do kubka z herbatą trochę wody z rondla, lecz już wystygła.

– „Panie, wspomóżycielu mój, odkupicielu mój!”² – rzekł. – „Niechaj będzie imię Pańskie błogosławione”³.

Usiadł i zaczął wypowiadać na głos wiele wspaniałych cytatów z *Modlitewnika powszechnego*, które znał na pamięć: „O Boże, Stwórco pokoju i zgody, w Tobie jest nasz żywot wieczny, w Twej służbie spoczywa nasz spokój zupełny; broń nas, pokorne sługi Twoje, od wszelkich napadów nieprzyjaciół naszych...”⁴.

To pomogło. Wkrótce dojdzie do siebie. Wkrótce. Udręki życia doczesnego są niczym w porównaniu z życiem wiecznym. Wkrótce...

List złamał Samowi serce. Pragnął Emmy dla siebie, w zdrowiu i chorobie, do końca życia. Chciał również zdobyć jej duszę dla Boga: jej dusza była dla niego najcenniejsza. Gdyby zdołał sprowadzić ją na ścieżkę prawdy i poślubić, jego życie by się spełniło. Teraz stało się puste. Przez chwilę nie czuł w sobie ducha wiecznego zbawienia. Przyszło mu do głowy, że może dziś po południu nie powinien tak bardzo walczyć o życie, gdy płynął w kopalni.

Taka myśl to bluźnierstwo i świętokradztwo, wiedział o tym. Skoro przyszła mu do głowy, może jest jednym z największych grzeszników. Złe myśli są jak złe ptaki. Nie można im odmawiać prawa do życia, nie wolno im tylko pozwolić, by zagnieździły się w umyśle. Czuł lód w sercu. Wziął Biblię, przysunął krzesło do skłeczonego domowym sposobem stołu i czytał. Kiedy się ściemniło, zapalił świecę i czytał dalej. Przeczytał całą Ewangelię według Świętego Jana, a później część Listów Apostolskich.

Tak go zastała Ena Daniel – szwagierka Beth, jedna z najbardziej gorliwych metodystek. Grzecznie przeprosiła i powiedziała, że wszyscy są w domu modlitwy i od pewnego czasu czekają. Wiedzą, że Samuel źle się czuje po koszmarnym popołudniu w kopalni, ale nie chcą zaczynać bez niego. Jack Scawen mógłby spróbować poczytać Biblię zamiast Sama, gdyby Samuel zechciał ją pożyczyć.

Była bardzo zdziwiona pustym wzrokiem Samuela – jakby woda w zalanej kopalni na zawsze coś z niego wypłukała. Po chwili jednak Sam przesunął dłonią po oczach i próbował się uśmiechnąć jak dawniej.

– Ależ nie, Eno. Nic mi nie jest, naprawdę. Po prostu... po prostu jestem trochę obolały, można tak powiedzieć. Po prostu trochę obolały. Zaczekaj, zmienię koszulę i idę.

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Księgi Psalmów, XXVI, 1, s. 535. [\[wróć\]](#)
2. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Księgi Psalmów, XVIII, 15, s. 532. [\[wróć\]](#)
3. *Ibid.*, Księgi Psalmów, CXII, 2, s. 581. [\[wróć\]](#)
4. *Modlitewnik powszechny oraz sprawowanie sakramentów świętych i innych obrzędów i ceremonij kościelnych według rytuału kościoła anglikańskiego w Polsce*, Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka, Warszawa 1931, s. 54. [\[wróć\]](#)

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

I

Ross nie wrócił w tym roku do Londynu. Przez dwa miesiące zajmował się usuwaniem skutków katastrofy w kopalni. Napisał list do lorda Falmouth z wyjaśnieniami.

Demelza, z natury optymistka, mówiła, że mogło być znacznie gorzej, i przynajmniej raz Ross musiał się z nią zgodzić. Dwóch zabitych – była to tragedia, lecz górnicy są stale narażeni na niebezpieczeństwa. W zeszłym roku w Wheal Kitty zginęło trzech ludzi, wszyscy w drobnych wypadkach. Kiedy działała kopalnia Grambler, w ciągu roku zwykle ginął w niej jeden górnik, czasem dwóch. To cud, że tak poważna katastrofa pociągnęła za sobą tak niewiele ofiar.

Kilku ludzi w cudowny sposób zdążyło uciec. Micky Green przebywał samotnie na poziomie pięćdziesięciu sążni i usłyszał nadpływającą wodę – mówił, że rozległ się huk przypominający wybuch kotła parowego. Pobiegnął na miejsce położone nieco wyżej, wspiął się na drewniany stempel i trzymał się go przez dwie godziny, tkwiąc po pas w wodzie. Później, gdy woda nieco opadła, zszedł i ostrożnie ruszył w stronę najbliższego szybu, ciągle zanurzony po pas. Jeden z Carterów, trzynastolatek, uchwycił się Samuela, ponieważ nie umiał pływać, po czym wspiął się po drabinie, z której chwilę wcześniej prąd zmył Sparrocka. Chłopakowi jakoś udało się uniknąć spadającego gruzu i wyszedł na powierzchnię posiniaczony i szary jak szczur.

Uważano, że śmierć tak niewielu ludzi to przede wszystkim zasługa Samuela Carne'a, lecz trudno było znaleźć sposób na okazanie mu wdzięczności. Nie pił. Nie miał ochoty uczestniczyć w przyjęciu, podczas którego wszyscy w końcu się upiją. Przyjmował pochwały wzruszeniem ramion, uśmiechał się i jak zwykle mówił o życiu wiecznym. Wydawał się wyjątkowo smutny i nikt nie wiedział dlaczego. Demelza odkryła prawdę dopiero po pewnym czasie. Później powiedziała:

– Och, Samie... Och, Samie... Tak mi przykro. Och, Samie, czuję, że to częściowo moja wina.

– Nie, nie, siostrze, wręcz przeciwnie. Zrobiłaś to, co uważałaś za najlepsze. I może było to najlepsze. Wieczysty Jehowa kazał mi w swojej łaskawości dźwigać brzemień życia doczesnego i muszę mu dziękować za wyrozumiałość i przebaczenie. Jeśli zgrzeszyłem, powinienem się oczyścić. Jeżeli ukochana Emma zgrzeszyła, szczerze wierzę, że z czasem jej dusza również się oczyści i odrodzi w Chrystusie.

Czasami niełatwo było współczuć młodemu człowiekowi, który opisywał swoje osobiste uczucia językiem religii, ale Demelza, dość dobrze znająca brata, rozumiała, że szczerą, żarliwą wiarą to tylko jedna strona medalu. W głębi serca Samuel cierpiał jak każdy mężczyzna, który na zawsze utracił ukochaną dziewczynę. Zdawała sobie również sprawę, że brat czasem budzi się w środku nocy z poczuciem, że gdyby nie religia, poślubiłby Emmę w zeszłym roku. Nawet gdyby pozostał religijny, ale w mniej osobisty, mniej intensywny sposób, mógłby ją poślubić. Demelza sądziła, że oboje mieliby na siebie pozytywny wpływ: Samuel tonowałby rubaszność dziewczyny, ona zaś sprawiłaby, że traktowałby religię zwyczajnie, jako część codziennego życia.

Okazało się to niemożliwe i Demelza czuła się nieszczęśliwa z powodu roli, jaką odegrała w całej sprawie. Samuel, będący w tej chwili bohaterem miejscowej społeczności, pogрузzył się w smutek, który przynajmniej na

pewien czas musiał wpłynąć na jego stosunek do Boga i podopiecznych z domu modlitwy.

Wkrótce w Wheal Grace wznowiono pracę na poziomie czterdziestu sążni, a następnie pięćdziesięciu sążni, lecz nie wydobywano rudy. Prowadzono niezbędne naprawy. Wielki potop zniszczył tłoki pomp; przede wszystkim należało je wymienić. Na poziomie pięćdziesięciu sążni w wielu miejscach pozostawiono duże stosy rudy niższej jakości i eksploatowano bogatsze wyrobiska – gorszy urobek zamierzano przetransportować na powierzchnię, gdy będzie więcej czasu lub mniej pracy. Jednak prąd wody rozmył stosy rudy i płonnej skały, a te zablokowały chodniki. Kiedy pracownicy wypompowywano wodę, górnicy schodzący coraz niżej brodzili po kolana w błocie i nie mogli dotrzeć do najbogatszych żył. Z chodników należało usunąć błoto i skały, a następnie wywieźć wiadrami na powierzchnię.

W wyniku katastrofy gdzieniegdzie doszło do zawałów i połamały się drewniane stemple, toteż praca w tunelach była niebezpieczna. Ross przeczytał w starej książce o górnictwie, że „ogień i woda to w kopalniach najbardziej niszczące żywioły”. Przekonał się o tym na własnej skórze. Ponieważ w obecnej sytuacji normalne zasady wynagradzania górników przestały funkcjonować, wprowadził stary system polegający na równym podziale zysków. Liczono wiadra wypełnione rudą zmieszaną z płonną skałą, szlamem i kamieniami i płacono za każde wiadro, dzieląc pieniądze równo między wszystkich górników pracujących w kopalni.

Na początku zastanawiano się, czy stara maszyna parowa zdoła wypompować ogromną ilość dodatkowej wody. Poziom czterdziestu sążni szybko się wysuszył, lecz głębiej woda opadła dopiero dwa tygodnie po naprawie tłoków pomp. Dzień po dniu obniżała się o kilka centymetrów, ale stale istniała obawa, że jesienne deszcze zniweczą dotychczasowe postępy.

Listopad okazał się wietrzny i wilgotny, padała głównie mżawka niesiona

przez wichury, które czasem wyły tak głośno, że zagłuszały szum morza. W ostatnim czasie ocean nie wyrzucał na plażę Hendrawna większych statków, ale w środku miesiąca na skałach rozbiły się dwa statki: niewielki szkuner płynący z Truro do Dublina z ładunkiem serży, dywanów i papieru oraz większy bryg ze Swansea z ładunkiem węgla.

Szkuner wpadł na skały rufą i rozbił się pod Wheal Leisure. Czteroosobową załogę uratowano, lecz ładunek zniknął w wichurze i deszczu jak za sprawą magii. Upewniwszy się, że załoga jest bezpieczna, Ross dyskretnie wycofał się do domu: nie chciał powtórki oskarżeń z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku. Bryg wylądował na brzegu dalej, na plaży, prawie obok Czarnego Klifu, gdzie nikt nie mieszkał. Siedmiu spośród dziewięciu członków załogi utonęło. Wrak miał sporą wartość dla okolicznych mieszkańców, bo część ubogich wieśniaków nie miała węgla na zimę. Przez przeszło miesiąc żółte piaski plaży Hendrawna były zabarwione na czarno.

Pod koniec listopada Jeremy się przeziębził, kasłał i dostał gorączki. Miał zaskakująco słabe płuca jak na syna ludzi, którzy pochodzili z wyjątkowo zdrowych rodzin. W wioskach panowała gruźlica, nie tylko wśród przeszło czterdziestoletnich górników, których choroby były naturalną konsekwencją warunków pracy, lecz również wśród młodzieży. W niektórych rodzinach zdarzało się, że młodzi ludzie jeden po drugim zaczynali kaszleć, słabli i umierali. Czasem w ciągu pięciu lat w jednej rodzinie umierało pięcioro dzieci i zostawało tylko dwoje zdrowych rodziców bez potomstwa. Choroba atakowała nastolatków, którzy zdołali uniknąć niebezpieczeństw wczesnego dzieciństwa. Czasem umierało pięć lub sześć na osiem osób. Z niezrozumiałych powodów było to zjawisko ograniczone do pewnych rodzin, gdy tymczasem najbliżsi sąsiedzi pozostawali odporni.

Ale Jeremy, mieszkający w ciepłym domu, otoczony troskliwą opieką i porządnie ubrany, często kasłał, co wydawało się podejrzane. Demelza

wspomniała o tym Dwightowi, który zapewnił, że nie dostrzega oznak gruźlicy.

Dwudziestego ósmego po południu siedziała przez godzinę z synem, po czym zeszła na dół i w dawnej bibliotece zastała Rossa, który wrócił, gdy była na górze. Czytał książkę, stojąc obok okna, gdzie światło było najlepsze. Nawet teraz korzystali z nowej biblioteki tylko podczas szczególnych okazji. Książka nosiła tytuł *Mineralogia Cornubiensis*. Została wydana dwadzieścia lat temu przez niejakiego Williama Pryce'a, chirurga z Redruth. Ross studiował ją równie gorliwie jak Samuel Biblię.

Podeszła do drugiego okna i wyjrzała. Tego popołudnia chmury miały taką samą barwę jak plaża: przypominały olbrzymie worki z węglem szybko przesuwane nad doliną. Krzak bzu w pobliżu okna pochylił się i drżał, ogród był w ruinie, wielkie zielone liście nieznanej rośliny podarowanej przez Hugh Armitage'a rozpląszczyły się na ścianie biblioteki.

– Jeszcze miesiąc i wznovimy roboty na poziomie pięćdziesięciu sążni. Zatem stracimy trzy miesiące pracy. To wszystko, jeśli traktować tę sprawę tylko w kategoriach zysków i strat.

– Nikt tego nie robi, Ross.

– Czasami się zastanawiam. Posłuchaj, co pisze Pryce: „W niektórych miejscach, zwłaszcza gdy drąży się nowy chodnik do starej kopalni, której nie eksploatowano za ludzkiej pamięci, trafia się na ogromne masy wody i górnicy znajdujący się w pobliżu natychmiast giną. Należy zatem zachowywać wielką ostrożność i przed rozbiciem ściany oskardami wywiercić w niej wąski otwór o długości sążnia lub dwóch, by się przekonać, czy nie tryśnie woda. Rada ta jednak może się nie podobać tym, którzy chcą szybko się wzbogacić i cenią pieniądze bardziej od życia bliźnich”.

– I co z tego wynika? Że każdy jest mądry po szkodzie?

– Prawdopodobnie chciałem szybko się wzbogacić i ceniłem pieniądze bardziej od życia bliźnich.

Demelza niecierpliwie odgarnęła włosy z czoła.

– Wiesz, że to nieprawda, więc po co to mówisz? Pieniądze nigdy nie były dla ciebie najważniejsze. Może wtedy, gdy doszło do zawału w kopalni – wtedy z trudem wiązaliśmy koniec z końcem i musieliśmy podejmować ryzyko. Wówczas mogłeś robić sobie wymówki, ale nie teraz.

Ross zamknął książkę.

– Tak czy inaczej, czuję się dziwnie, czytając Pryce’a.

– Więc go nie czytaj.

Ross lekko się uśmiechnął.

– Im dłużej słucham twoich rozmowań, tym bardziej wydają mi się zwodnicze.

– Nie wiem, co znaczy słowo „zwodniczy” – odparła Demelza, dotykając niewielkiej ranki na kciuku.

– Cóż, szczerze mówiąc, ja także. Z pozoru wiarygodny, lecz w gruncie rzeczy fałszywy. To najlepsze wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy.

– To dość trafne. Cóż, twoja zwodnicza żona sądzi, że powinieneś przestać dręczyć swoje sumienie i uważać, że ponosisz winę za błędy całego świata.

– Niedługo to słowo zacznie brzmieć w twoich ustach jak przekleństwo.

– Jest przekleństwem – zauważyła Demelza.

Ross się roześmiał i wziął książkę.

– Zaniosę ją tam, gdzie jej miejsce. I moje sumienie również. – Wyjrzał przez okno, podobnie jak Demelza. – Boże, popatrz na te chmury!

– Wchodziłeś wczoraj do chodników Wheal Maiden? – spytała.

– Tak. Są suche, bo cała woda przepłynęła do Wheal Grace. Został tylko śmierdzący szlam. Ale powietrze jest tak zepsute, że nie mogłem iść daleko. Szyby wentylacyjne są zatkane błotem i gruzem, nie ma żadnego dopływu świeżego powietrza.

– Nie lubię, gdy schodzisz do kopalni – stwierdziła. – Zawsze przypomina

mi się to, co spotkało Francisa.

– Poszedł sam. Chciałabyś, żebym unikał niebezpieczeństw i przerzucał je na innych?

– Nie – odpowiedziała. – Znoszę cię takiego, jaki jesteś, ale nie chcę cię stracić.

Dotknął jej przedramienia.

– Martwisz się o Jeremy'ego?

– Nie, nie. Chciałabym po prostu, by gorączka się zmniejszyła.

Widzieli przez okno, jak w kopalni zapaliło się kilka świateł.

– Chciałabyś, żeby Dwight znowu przyjechał? Mogę posłać Benjy'ego Cartera.

– Moim zdaniem nie powinniśmy zawracać mu głowy, Ross. Mówi, że Sarah niezbyt dobrze się czuje.

Ross spojrział na żonę.

– Sarah?

Demelza uniosła ciemne brwi.

– Sarah, jego córeczka. Dlaczego masz taką dziwną minę?

– Dziwną? Przez chwilę nie wiedziałem, kogo masz na myśli.

– Przeziębła się, tak jak Jeremy. Wszyscy w okolicy chorują. Połowa okręgu kicha i kaszle.

– Ach... cóż, chyba tak – odpowiedział Ross. – Poklepał żonę po dłoni i przeszedł przez jadalnię do biblioteki.

Demelza wrzuciła do kominka trochę węgla i patrzyła na obłok dymu płynący przez pokój, bo w kominie zawirował wiatr. Później podeszła do szpinetu i zagrała znany na pamięć utwór – uproszczoną sonatę Scarlattiego, której nauczyła ją pani Kemp.

Ross znów wszedł do salonu.

– Zapomniałem o czymś – powiedział. – Mam jeszcze coś do załatwienia

w kopalni. Zajmie mi to jakąś godzinę. Wszystko będzie dobrze. Wrócę na kolację.

Skinęła głową. Włosy opadły jej na czoło, z ust wystawał koniuszek języka, co często się zdarzało, kiedy grała. Po chwili usłyszała stukot kopyt na bruku dziedzińca i poszła do kuchni.

- Kapitan Poldark wziął konia?
- Tak, pani. Osiodłał mu go John.
- Pojechał do kopalni?
- Nie wiem, pani. Po prostu powiedział Johnowi, że bierze Sheridana.

II

Zapadał zmrok, gdy Ross dotarł do bramy Killewarren. Dwór był bezkształtny: długi, niski, zbudowany bez pomocy architekta. Podjazd i park wydawały się lepiej utrzymane niż w czasach Raya Penvenena. Wichura złamała gałąź jednej ze starych sosen, która kołysała się w powietrzu i spłoszyła Sheridana, aż nerwowo odskoczył. W domu paliły się trzy lub cztery światła.

Ross zapukał do drzwi. Otworzył mu Bone. Był służącym Dwighta przed ślubem i uczestniczył w wyprawie Rossa do Francji.

– Och, dobry wieczór, sir. Proszę wejść, sir. Straszny wiatr, prawda? Chciałby się pan zobaczyć z dziedzicem?

- Z doktorem Enysem, panią Enys albo obojgiem.
- Tak, sir. Proszę wejść. Powiem, że pan przyjechał.

Rossa wprowadzono do saloniku na parterze. Większość lepszych pokoi znajdowała się na pierwszym piętrze, a duży salon mieścił się nad stajnią.

Do pokoju wszedł Dwight. Chociaż był ubrany, ogolony i schludnie uczesany, przypominał Rossowi wrak człowieka uwolniony z więzienia w Quimper. Tak samo wyglądały jego oczy.

Uśmiechnął się.

– Witaj, Ross! Jeremy czuje się gorzej?

– Jeremy wyzdrowieje. Ale Demelza wspomniała, że Sarah jest chora.

– Przeziębła się.

– To wszystko?

Dwight się skrzywił.

– To wystarczy.

– O Boże... Caroline wie?

– Tak... Czułem, że muszę jej powiedzieć.

Ross uderzył szpicrutą w but.

– Do niczego się nie przydam, mimo to musiałem przyjechać.

– To miło z twojej strony.

– Nie... Jak to przyjęła?

– Bardzo dobrze – rozległ się głos od drzwi.

Caroline, jak zawsze wysoka, rudowłosa, zielonooka, z piegami na nosie.

Jedyna różnica polegała na tym, że miała bezkrwiste wargi.

– Caroline...

– Tak, Ross, to trochę denerwujące, prawda? Dwight już ci powiedział?

– Ostrzegł mnie, że to się może stać.

– Męskie sekrety, których nie mają prawa znać matki i żony... Tak, to szok, ale Caroline znosi to dobrze, z godnością i stoicyzmem dobrze urodzonej damy.

– Należę ci czegoś, Ross – mruknął Dwight.

– Caroline, nie wiem, co powiedzieć... Nie wiem, dlaczego przyjechałem... czułem... – Ross trzymał w dłoni kieliszek brandy.

Caroline spojrzała na kieliszek podany przez Dwighta.

– Mój mąż wyraźnie chce ze mnie zrobić pijaczkę. A może uważa, że trunek łagodzi tragedię i zmienia ją w lżejszą formę żalu? Wzniesiemy jakiś toast?

– Nikogo nie oszukasz, Caroline – powiedział Dwight. – Usiądź. Jeśli posiedzisz przez chwilę w milczeniu...

Wypiła łyk brandy.

– Jak wiesz, Ross, mówiłam, że nie chcę rodzić tej nieszczęsnej istoty, i była to prawda. Zwierzęta wydają mi się sympatyczniejsze i przyjemniejsze. Muszę jednak przyznać, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy wkradłam się w jej łaski. Biedny Horacy był bardzo wytrącony z równowagi, że tak go zaniedbuję. No, no, no, Sarah Penvenen. *Ave atque vale*. Mój wuj byłby bardzo zirytowany, że jego mała kuzynka spędzi na ziemi tak niewiele czasu.

Przez chwilę panowało milczenie. W okno uderzała cienka gałązka złamana przez wiatr. Kojarzyła się z ptakiem chcącym się dostać do domu.

– Czy ona...? – spytał Ross. – Kiedy?

– Przypuszczam, że za kilka godzin – odparł Dwight.

– Powinienem przywieźć Demelzę – powiedział Ross.

– Nie, nie – odrzekła Caroline. – Byłby to ogromny błąd. Jesteście silnymi mężczyznami i możecie mnie wesprzeć, a ja jestem twardą kobietą i dam sobie radę... Demelza... Demelza nie byłaby taka... oficjalna... Nie panowałyby nad sobą, nie byłaby pełna godności... Demelza nie wie, co to godność i wszystko, co symbolizuje... – Caroline znów wypiała łyk brandy. – Myślę, że Demelza by się rozplakała... a to, obawiam się, by nas zniszczyło...

Rozdział drugi

I

Słaba jasnowłosa dziewczynka urodzona w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, która otrzymała na chrzcie imiona Sarah Caroline Anne, odeszła z tego świata w tym samym roku tak, jak żyła – spokojnie i bezcelowo. A tymczasem urodzony w tysiąc siedemset trzydziestym pierwszym roku starzec, któremu kochający rodzice nadali imiona Nathaniel Gustavus, uparcie nie mógł umrzeć, choć wszystko wskazywało, że powinno to wkrótce nastąpić. Jego śmierć przewidywał lekarz, spodziewał się jej proboszcz, oczekiwał jej codziennie sam zainteresowany oraz córka metodystka, która już trzy razy sądziła, że wyzionął ducha. Notariusz Pearce odznaczał się wyjątkową odpornością fizyczną. Drzwi były otwarte, lecz nic nie mogło go skłonić, by przez nie przeszedł. Leżał w łóżku, z każdym tygodniem coraz większy i bardziej bezkształtny. Doktor Behenna dwukrotnie próbował zmniejszyć opuchliznę, ale nic nie wskazywało na to, że jest ona spowodowana nadmiarem wody w organizmie. Pearce leżał jak wieloryb wyrzucony na brzeg, nieco nadpsuty, z twarzą i rękami o barwie owoców morwy, nieustannie chwytając się za koszulę nocną, pod którą biło przeciążone serce, kontynuujące swoją samotną pracę.

Wyrzuty sumienia minęły – a może zapomniał o nich w czasie codziennych wysiłków, by utrzymać się przy życiu? Nie myślał już o oszukanych wdowach i sierotach – w rzeczywistości nie było żadnych wdów, tylko dwie sieroty –

i cenił sobie wizyty swojego pocieszyciela religijnego. Gdyby nie szczególna, od niedawna okazywana troska wielebnego Osborne'a Whitwortha, uważałby Ossiego za egoistycznego młodego człowieka. Również nieco zarozumiałego, szczególnie z powodu swojej umiejętności gry w wista. Mimo to Pearce był wzruszony regularnością wizyt pastora Whitwortha i czuł wdzięczność z tego powodu. Duchowny pojawiał się w każdy czwartek. Co prawda wpadał tylko na pół godziny, po czym z ulgą odchodził, jednak regularność jego wizyt robiła wielkie wrażenie na notariuszu – Whitwortha nie przyciągał już wist, a madera prawdopodobnie też nie była lepsza niż gdzie indziej. Notariusz źle ocenił tęgiego młodego człowieka.

Pearce zdawał sobie sprawę, że irytuje doktora Behenę, bo ciągle żyje, choć powinien już wyzionąć ducha. Nie wiedział, że przysparza frustracji również innej osobie – Cary'emu Warlegganowi, który czekał na chwilę, gdy będzie mógł pociągnąć za sznurki kukiełek. Niestety nikt nie dawał znaku do rozpoczęcia przedstawienia. Dopóki Pearce żył, kukiełki nie mogły tańczyć.

Tymczasem bardziej szacowny członek rodziny Warlegganów w dalszym ciągu kupował domy w okręgu wyborczym St Michael. Sir Christopher Hawkins zgodził się sprzedać swoje nieruchomości – za dobrą cenę – lecz wpływy Scawena wciąż były mocne, a George, który nie lubił robić niczego połowicznie, pragnął uzyskać kontrolę nad obydwoma mandatami.

Scawenowie byli starym kornwalijskim rodem, który od stuleci posiadał majątki w St Germans i innych miejscowościach. Chociaż ostatnio, dzięki koligacjom małżeńskim z rodziną Russellów z Northants, powiększyli swoje posiadłości w środkowej Anglii, James Scawen, zgryźliwy stary kawaler, nie widział powodu, dla którego miałby się rozstawać z nieruchomościami w Kornwalii, od pokoleń należącymi do jego rodziny. Nakłonienie go do zmiany zdania wymagało cierpliwości, uporu i zręczności. Nie wspominając o pieniądzach. Tymczasem w trakcie pobytu w Londynie George zdołał

zawrzeć znajomość z dwoma posłami i zwrócił szczególną uwagę na kapitana Davida Howella, nominata sir Christophera Hawkinsa. Kapitan Howell nie sprawiał wrażenia bogatego człowieka – pochodził z Kornwalii i miał dość niewielki majątek w pobliżu Lanreath – i wydawało się prawdopodobne, że w odpowiednim czasie może się okazać podatny na argumenty finansowe.

Manewry te śledził z dystansu proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty w Truro, który zachowywał się jak obserwator polowania na lisa, bardzo zainteresowany rezultatem łowów. Zdawał sobie sprawę, że jeśli George uzyska kontrolę nad okręgiem wyborczym, będzie miał znacznie większe wpływy niż jako szeregowy poseł do Izby Gmin.

Powiedział to George'owi pewnego wieczoru, gdy jedli kolację w towarzystwie żon, lecz Warleggan okazał się niezbyt rozmowny. Nie miałyby ochoty mówić na ten temat z Whitworthem, nawet gdyby Ossie nie użył zwrotu „szeregowy poseł”. Jednak niezrażony Ossie wskazywał na różne możliwości patronatu, z jakich może korzystać osoba kontrolująca okręg wyborczy – w tym na przykład poparcie kariery młodszych krewnych, którzy wstąpili do stanu duchownego.

– Kariera kościelna to loteria – rzekł między kęsami. – Wszyscy muszą to przyznać. Arcybiskup Canterbury otrzymuje dwadzieścia pięć tysięcy funtów rocznie. Biskup Londynu dwadzieścia tysięcy! A ludzie tacy jak ja muszą się zadowolić trzystoma funtami! Niektórzy dostają mniej, inni jeszcze mniej. I nie są to źli ludzie! Dochody Kościoła anglikańskiego, całkowite dochody, wynosiłyby niespełna trzysta funtów na jednego duchownego, gdyby je równo podzielić. Przyjęcie święceń przypomina zakup biletu na loterii – ma się nadzieję na jedną z wielkich wygranych. Gdyby dżentelmeni na to nie liczyli, nikt nie zostałby duchownym. Zostaliby nimi prostacy tacy jak Odgers – ignoranczy, brudni, źle ubrani, czasem nawet nieznający ortografii! – niewiele lepsi od parobków. Jak wyglądałby wtedy Kościół?

Nikt z obecnych nie odpowiedział. Ossie wypił kolejny łyk wina.

– Myślę o beneficjum w Manaccan, George. Niedawno powstał tam wakat i byłoby to użyteczne uzupełnienie moich dochodów. Podobno wpływy z dziesięcin wynoszą trzysta funtów rocznie.

Kiedy mówił dalej, Elizabeth zerknęła na Morwennę, która milczała i prawie nic nie jadła. Elizabeth i George coraz rzadziej widywali Whitworthów, ponieważ George nie lubił rodzinnych kolacji. Wcześniej odbywały się raz w tygodniu, teraz raz w miesiącu. Elizabeth nadrabiała to, od czasu do czasu chodząc do Morwenny na podwieczorek na plebanię kościoła Świętej Małgorzaty – zwłaszcza pod nieobecność Ossiego. Nie mogła zrozumieć Morwenny. Kuzynka nigdy się nie skarżyła, lecz czasem zachowywała się dziwnie: była roztargniona, nieporządna, wytrącona z równowagi. Jej ciemne oczy często zdawały się patrzeć na coś, czego Elizabeth nie widziała. Z pewnością na coś nieprzyjemnego. Delikatny, miły głos Morwenny stawał się czasem szorstki i nabierał wtedy zaskakującej siły. Nie odpowiadała na pytania. (Zwykle taki stan mijał po kilku minutach pobytu Elizabeth). Prawie nie korespondowała teraz z matką, a kiedy pani Chynoweth zaproponowała, że przyjedzie z wizytą, Morwenna znalazła wymówkę i napisała, że nie byłoby to dogodne. Nigdy nie wspominała o Rowelli. Gdy ktoś wymieniał imię siostry, w pokoju zapadała martwa cisza.

Nie wydawała się jednak chora. Kiedy postanowiła coś zrobić, okazywała energię, a dom, choć z pozoru nieporządny, był dobrze prowadzony. Zajmowała się działalnością charytatywną i nigdy nie okazywała niechęci, gdy należało odwiedzić chorych lub umierających. Z pozoru wydawało się, że proboszcz nie mógłby mieć odpowiedniejszej żony. Nie straciła urody. Mimo to wyglądała inaczej, dziwnie, niespokojnie.

Kiedy Elizabeth odwiedzała plebanię, zawsze zdumiewało ją to, że mały John Conan nie ma dobrej niani. Zwolniono miłą dziewczynę, która

opiekowała się nim przez półtora roku. Jej miejsce zajęły dziwne kobiety w średnim wieku: muskularne, o grubych nogach i ponurych twarzach pokrytych brodawkami, o przenikliwych, zmrużonych oczach, pachnące krochmalem i kamforą. Niektóre zachowywały się uniżenie, inne bezczelnie. Elizabeth nigdy nie przyjęłaby ich do swojego domu i powiedziała Morwennie, że jej zdaniem lepsza byłaby młoda dziewczyna: mogła polecić dwie osoby.

Na twarzy Morwenny pojawił się grymas.

– Wybiera je Ossie, Elizabeth, a potem zwalnia. Moim zdaniem nie może znaleźć odpowiedniej opiekunki. Tak przynajmniej mówi.

– Do zajmowania się małym chłopcem? Bardzo dziwne.

– Osborne to dziwny człowiek, Elizabeth.

– Nie pomyślałaś o jednej ze swoich sióstr? Moim zdaniem Garlanda byłaby zadowolona i miałabyś towarzystwo.

– Nigdy się nie zgodzę, by moja siostra mieszkała w tym domu – odpowiedziała Morwenna.

II

Dziesiątego grudnia, tydzień po pochowaniu żalosnej małej trumienki obok wspaniałego pomnika nagrobnego, który zbudował dla siebie Ray Penvenen, Caroline Enys weszła po kolacji do gabinetu męża i stała przez chwilę, zwrócona plecami do drzwi, patrząc na chudą, wrażliwą twarz i szpakowate włosy. Dwight wstał i przesunął fotel, by mogli usiąść obok siebie przy biurku, lecz Caroline podeszła do kominka, by ogrzać ręce. Na zielonej satynowej sukni nosiła zielony fartuszek, jakby w dalszym ciągu chciała wziąć dziecko na kolana.

– Myślę, że bierzemy to sobie za bardzo do serca, Dwight – rzekła

Caroline.

– Możliwe.

– Dzieci umierają każdego dnia. Zgadzą się, że świat jest przeludniony, prawda? Jest nas zbyt wiele. Co znaczy życie jeszcze jednego dziecka? W zeszłym tygodniu wspomniałaś, że pani Barnes w ciągu dziesięciu lat straciła dziewięć dzieci. To, że to nasze dziecko i że jest dla nas ważniejsze od innych, dowodzi tylko, że w ubolewania godny sposób zatraciliśmy poczucie perspektywy. Straciliśmy dziecko, to wszystko. Ja... gdybym rzeczywiście miała silny instynkt macierzyński, mogłabym ciężko to przeżyć: moje pierwsze dziecko, a skończyłam już dwadzieścia pięć lat! Ale ty – przecież przez całe życie patrzysz, jak twoi pacjenci usiłują uniknąć niechybnego końca. Mówisz, że chorują na wole, gruźlicę albo szkorbut i że nie możesz im pomóc. Potrafisz tylko łagodzić cierpienia, które widzisz wszędzie wokół siebie. Czemu więc czujesz żal, że naszej córce oszczędzono cierpień związanych z życiem i że szybko trafiła na cmentarz? Dziwi mnie to.

Dwight uśmiechnął się lekko.

– Nie, nie ma w tym nic dziwnego. Jesteś istotą ludzką, podobnie jak ja. Karą, a także nagrodą za ten stan jest to, że nie uważamy siebie za cyfry na tablicy, lecz za osoby, dla których najważniejsze jest przywiązanie emocjonalne. Nie możemy uciec przed obowiązkami związanymi z ludzką kondycją. Jeden z tych obowiązków to żałoba z powodu straty kogoś bliskiego, kogo kochaliśmy.

Caroline zacisnęła wargi.

– Wiesz, Dwight, że w ogóle nie nadaję się na matkę.

– Cóż za nonsens! Byłaś matką – i do tego dobrą – i mam nadzieję, że zostaniesz nią znowu.

– Nie... Przynajmniej jeszcze nie. – Zrobiła dwa kroki, stanęła za Dwightem i dotknęła dłonią jego ramienia.

– Dwight, chcę cię opuścić.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Och, nie na zawsze. Nie ciesz się: nie pozbędziesz się mnie tak łatwo... Ale chcę wyjechać. Opuścić Killewarren... Sawle... i ludzi, którzy tu mieszkają. Czuję, że cię zawiodłam, zawiodłam siebie i wszystkich. Dźwigam straszny ciężar. Nigdy nie byłam w stanie płakać z powodu śmierci Sarah – wiesz o tym – i noszę w piersi tyle łez, że chyba pęknie mi serce. To straszne, upokarzające wyznanie; nie powiedziałabym tego nikomu oprócz ciebie. Czuję... dopóki tu mieszkam... w tym domu, wśród tych mebli, sreber stryja Raya, buteleczek z lekarstwami, służących, którzy starają się być mili, i... i... moich koni, na których jeżdżę na polowania z Ruth Treneglos. Traktujesz mnie wyrozumiale, ale wydajesz się zraniony... Czuję, że tu nie wyzdrowieję.

Dwight wstał i machinalnie zamknął książkę. Popatrzył na swój mankiet, na którym widniała plama z atramentu, a później spojrział w lśniące oczy żony.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem. Może pojedę do Londynu i spędzę miesiąc lub dwa z ciotką. Nie wiem.

– Chcesz, żebym ci towarzyszył, czy wolisz jechać sama?

– Jak mógłbyś pojechać? Od ciebie zależy zdrowie pięćdziesięciu, stu, dwustu chorych ludzi. Jak mogłabym im cię odebrać? Jestem już... czuję się wystarczająco egoistką, gdy mówię, że chcę wyjechać. Ty nie możesz uciec. Zaledwie trzy lata temu wyciągnięto cię z więzienia we Francji. Wyglądałeś wtedy jak szkielet, w ciągu roku odzyskałeś siły. Teraz jesteś tu zakorzeniony, przeżywasz żałobę po stracie Sarah, a twoja bezużyteczna, krucha żona chce cię zostawić samego, uciec i odzyskać zdrowie. Nie mogę cię prosić, żebyś ze mną jechał, Dwight. Nie zrobiłabym tego. Nie mogę cię prosić, byś postąpił egoistycznie. Tylko ja mam prawo być egoistką.

– Mogłabyś to określić łagodniej.

– Nie próbuj wymyślać pięknych określeń, bo w nie nie uwierzę.

Dwight spojrział na książkę. W odróżnieniu od tej, którą czytał Ross, opublikowano ją niedawno i nosiła tytuł *An Inquiry into the Causes and Effect of the Variolae Vaccinae*. Autorem był doktor Edward Jenner. Jedna ze świec skwierczała, spływający z niej wosk przybrał dziwne kształty, a z knota unosił się czarny dym.

– Gdyby chodziło o miesiąc, mógłbym znaleźć zastępcę. W „The British Critic” zawsze pojawiają się ogłoszenia.

Caroline pokręciła głową.

– Moim zdaniem to potrwa dłużej, mój drogi. Myślę, że powinniśmy się rozstać... na pewien czas. Przez trzy lata... przez trzy lata próbowałam cię pielęgnować, byś odzyskał zdrowie, i chyba mi się udało...? – Czekala, a Dwight skinął głową. – Ale musisz przyznać, że czasami moje nalegania albo sprzeczki wywołują twoją irytację. W ten sam sposób, lecz mniej rozsądnie i mniej łagodnie wzięłam w karby swój... swój pociąg do życia towarzyskiego, zdając sobie sprawę, że nie sprawiałoby ci ono przyjemności. Poszliśmy na kompromis. Sarah go scementowała... Teraz nie żyje i myślę, że jej nieobecność uczyni ten kompromis trudniejszym do zniesienia. Może dojść do tarć, nawet kłótni... Niezależnie od tego, co mówią niektórzy głupcy, kłótnie nie pomagają małżeństwom. Dlatego uważam, że potrzebujemy chwili wytchnienia. Moim zdaniem... ty też na tym skorzystasz.

– Pozwól mi decydować, co jest dla mnie najlepsze – rzekł Dwight.

– Mój drogi, wcześniej nie potrafiłam tego zrobić i dziś też nie potrafię. Za trzy lub cztery miesiące, gdy minie najgorszy okres, możemy podjąć decyzję, mam nadzieję, że zgodną.

– Chcesz wyjechać... natychmiast?

– Wkrótce... Wybacz mi. Wkrótce.

III

Wielkie zwycięstwo w bitwie morskiej pod Abukirem dodało Anglikom otuchy: w czasie obecnej wojny jeszcze nic nie wzbudziło w nich takiej nadziei. Sztuczne ognie, bicie w dzwony, ludzie tańczący na ulicach – a później przysłała kolejna wieść zapowiadająca zwrot w długich, samotnych zmaganiach. Generała Bonapartego i jego zaprawioną w bojach armię odcięła w Egipcie angielska marynarka wojenna. Francuzi nagle stracili kontrolę nad Morzem Śródziemnym, utracili zdolność do działania. Turcja, od pewnego czasu niezadowolona, że Francuzi podbili jej egipską prowincję, postanowiła wypowiedzieć im wojnę. Indie były bezpieczne, a mniejsze narody nie czuły już lęku przed zwycięzcami. Okazało się, że żona generała Bonapartego zdradza go pod jego nieobecność, on zaś, dowiedziawszy się o jej perfidii, napisał wściekły osobisty list do swojego brata. List wpadł w ręce Brytyjczyków i opublikowano go w całości w londyńskim „Morning Chronicle”. Mówiła o tym cała stolica, porównując aferę ze skandalicznym romansiem admirała Nelsona z żoną ambasadora brytyjskiego w Neapolu.

Ross rozmawiał niedawno z dwoma emigrantami, którzy uciekli z Francji po kolejnej nieudanej próbie puczu zorganizowanej przez rojalistów. Mówili, że w Paryżu panuje chaos, że miasto jest brudne i zrujnowane. Na ulicach leżą śmieci, mieszkańcy noszą brzydkie ubrania, by nie rzucać się w oczy, choć na salonach i w teatrach w dalszym ciągu trwają szalone zabawy, a ludzie oddają się rozpuście. Mimo że emigranci celowo przedstawiali Francję w ponurych barwach, Ross wyczuł w tej relacji niechętnie potwierdzenie, że warunki życia nie są tak trudne jak niegdyś. Wprowadzono metalowy bilon, co pomogło ograniczyć inflację. Zbiory okazały się dobre. Było dość żywności: chleba, mięsa, masła, wina. Pod rządami dyktatoratu ludzie mniej bali się wypowiadać swoje poglądy. Nic nie zapowiadało końca wojny.

Dwight spędził Boże Narodzenie w Namparze. Młody lekarz miał dość

delikatną konstytucję fizyczną, lecz odznaczał się żelaznym charakterem pozwalającym znosić nieszczęścia zsyłane przez los. Caroline nie pożegnała się z Poldarkami; powiedziała, że nie ma na to siły, więc to Dwight poinformował ich o jej wyjeździe. Kiedy o tym mówił, w jego głosie nie pobrzmiwał krytyczny ton. Oni również niczego nie krytykowali. Jednak Ross przypomniał sobie czasy, gdy Dwight i Caroline się rozstali, a on sam pojechał do Londynu, by skłonić Caroline do powrotu do Kornwalii. Może sytuacja się powtórzy? Przyszło mu do głowy, że on i Demelza rozstają się jeszcze częściej. Czy to dobrze? Tym razem nie był przekonany, że powinien się wtrącać do cudzego życia.

Demelza urządziła przyjęcie bożonarodzeniowe, które na pewien czas uspokoiło jej serce. Z Falmouth przybyli Blameyowie – ściśle biorąc: z Flushing, dokąd niedawno się przeprowadzili. Andrew, bardzo siwy, lecz krzepki i zdrowy, w dalszym ciągu odbywał niebezpieczne rejsy do Lizbony, lecz przez miesiąc przebywał w domu z powodu konieczności remontu statku pocztowego. Verity przytyła, ale wyglądała ładniej niż w wieku dwudziestu pięciu lat, jakby miłość, która przyszła w drugiej połowie życia, pozwoliła jej rozkwitnąć. Towarzyszyli im pięcioletni syn Andrew, a także James Blamey, pasierb Verity, który stracił dwa palce w bitwie morskiej w pobliżu Brestu i część ucha pod St Vincent. Wciąż był hałaśliwym, wesołym, zawadiackim młodzieńcem – chciał jak najlepiej wykorzystać krótki urlop. Demelza rozkazała Samuelowi i Drake'owi przyjść na świąteczny obiad, a ponieważ rzadko im rozkazywała, ku jej zdziwieniu posłuchali.

Jeszcze nigdy nie zorganizowała takiego przyjęcia. Czasem spędzała święta tylko z Rossem; raz, tuż po ślubie, pojechali do Trenwith. Kiedyś spędzili Boże Narodzenie z Blameyami w Falmouth, a później z Caroline, gdy Dwight przebywał we francuskim więzieniu. Przyjęcie było najbardziej udane z dotychczasowych. Troje dzieci, ośmioro dorosłych. Demelza kochała

wszystkich siedzących przy stole, rozumiała ich, potrafiła nawiązać z nimi kontakt. Nie dzieliły ich żadne bariery, mogła się uśmiechać i czuła się całkowicie swobodnie. Na początku Samuel i Drake byli pełni rezerwy, skrępowani jak niegdyś Demelza, lecz towarzystwo okazało się tak serdeczne, że wkrótce się rozluźnili. Wypili nawet po kieliszku wina i zrobili się wręcz gadatliwi.

James Blamey wypadł znakomicie. W ciągu dnia bawił się z dziećmi, a po zapadnięciu zmroku opowiadał historie o morzu, sztormach i bitwach, których dzieci słuchały z otwartymi ustami. Jego relacje z Verity były niezwykle: zachowywał się bardziej jak kochanek niż pasierb, ale w tak serdeczny sposób, że wydawało się to miłe. Demelza miała nadzieję, że Jeremy wyrośnie na kogoś podobnego, choć nie chciałyby, aby pływał po morzu.

W dzień po Bożym Narodzeniu wydali przyjęcie dla dzieci, na które zaprosili przyjaciół Jeremy'ego. Z wyjątkiem trzech Treneglosów z Mongoose resztę stanowiły dzieci okolicznych górników i wieśniaków. Smutną konsekwencją zamożności było to, że Poldarkowie nie mogli wpuścić dwudziestu kilku smyków do niedawno przebudowanej i ozdobionej biblioteki, toteż usunięto większość sprzętów ze starego salonu i tam pozwolono im szaleć. James znów okazał się niezastąpiony. Demelza i Verity zajęły się przygotowaniami. Zgodnie z przewidywaniami bracia Carne'owie spędzili w Namparze tylko jeden dzień. Po śniadaniu Dwight wrócił do Killewarren, a Ross i Andrew Blamey wybrali się na długi spacer po klifie. Rozmawiali o wojnie, pokoju, żegludze, pogodzie i stanie świata.

Blamey słyszał, że głównodowodzącym armii rosyjskiej niedawno znów mianowano generała Suworowa, jedyne generała o dynamizmie dorównującym Francuzom. Rosja i Francja naturalnie nie znajdują się w stanie wojny, ale skoro nie ma żadnego konfliktu, dlaczego armia rosyjska maszeruje aż do Bawarii? Kongres w Rastatt się przeciąga, tylko czy ktoś naprawdę

wierzy, że coś z niego wyniknie? Armie francuskie w Europie słabną. Wkrótce nastąpi odbudowa dawnej koalicji antyfrancuskiej, która dwa lata wcześniej się rozpadła.

Blamey twierdził, że przyczyną tego wszystkiego jest zwycięstwo Nelsona. Cóż, otrzymał tytuł barona Nilu i księcia Brontu. Bitwa pod Abukirem to doskonały dowód na znaczenie potęgi morskiej. Anglia nie powinna wysyłać armii na kontynent, lecz dławić Francję za pomocą marynarki wojennej.

W czasie spaceru dotarli do granicy Trenwith, w tej chwili należącego do Warlegganów. Posiadłość otoczono drewnianym płotem, który nie blokował ścieżki biegnącej wzdłuż klifu i znajdował się dwa metry od jego krawędzi. Nie był to jeszcze mur: George zamierzał go postawić w stosownym czasie.

Zatrzymali się i Ross dotknął dłonią ogrodzenia.

– Terytorium wroga.

– Ciągle, Ross? Szkoda.

– Demelza chciała zaprosić Geoffreya Charlesa na przyjęcie, ale wiedziałem, że odmówią.

Blamey spojrział fachowym okiem na horyzont. Tylko dwa żagle w okolicach St Ann's, kadłuby skryte za horyzontem.

– Odwiedzimy Warlegganów w drodze powrotnej, Ross. Verity chce zobaczyć bratanka i oczywiście Elizabeth. Uznała, że lepiej złożyć im wizytę, gdy będziemy wracali do domu.

– Bardzo słusznie. Należy zachować odpowiednią kolejność.

Płot zbudowano przed czterema laty i część drewnianych słupków była już zniszczona. W tym miejscu, w pobliżu morza, deszcze i sól niesiona przez wiatr sprawiły, że tuż nad ziemią słupki zbutwiały. Ross zauważył, że trzymany przez niego słupek lekko się chwieje. Poruszył nim na próbę do przodu i do tyłu, po czym nacisnął z całych sił. Słupek pękł. Ross pociągnął go w swoją stronę, łamiąc dwie poprzeczki, i w ogrodzeniu pojawiła się półtorametrowa

luka. Andrew Blamey patrzył, jak Ross podchodzi do następnego słupka i próbuje postąpić z nim tak samo. Ten trzymał się lepiej, lecz Ross napał z całych sił i zdołał go złamać. W ciągu kilku minut zniszczył sześć słupków i zrobił wielką lukę w ogrodzeniu. Spocony z wysiłku, pozbierał połamane słupki i poprzeczki, a następnie zrzucił z klifu. W niebo wzbilo się stado piszczących mew.

Uśmiechnął się ponuro do Blameya.

– Dziwne, że nikt wcześniej tego nie zrobił.

– Są tu gajowi?

– O tak.

– W takim razie myślę, że powinniśmy iść.

– Rzeczywiście, nie należy prowokować awantury. – Ross wrzucił do morza ostatni kawałek drewna. – Boże Narodzenie to czas, gdy trzeba okazywać dobrą wolę.

Blamey popatrzył na Rossa i dokładnie zrozumiał, gdzie się zaczyna i kończy jego dobra wola. Czasem miewał trudny charakter, a w tej chwili buntownicze cechy jego natury o mało się nie uzewnętrzniły, nie przekroczyły jednak granicy rozsądku.

Kiedy wrócili do Nampary, dzieci właśnie wychodziły. James Blamey z podkasanymi rękawami strzelał z procy, posługując się dłonią bez dwóch palców. Demelza i Verity były rozczochrane i zmęczone. Clowance ssała cukierek, umazana cukrem, a Jane Gimlett zamierzała położyć spać podekscytowanego Jeremy'ego. Ross poczuł wstyd. Czy jest już za stary, by brać udział w przyjęciu dla dzieci? Blamey miał pięćdziesiąt lat; to zupełnie inna sprawa. Podszedł do Demelzy.

– Udało ci się przeżyć, kochanie?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Naturalnie, Ross. Było bardzo miło. To część życia – posiadanie dzieci,

ich dorastanie.

– Wiem – odparł. – Powiniennem był trochę pomóc.

– Pełnisz obowiązki gospodarza wobec dorosłych, robisz to, co do ciebie należy. To najważniejsze.

– Naprawdę robię to, co do mnie należy? Nie zawsze. Nie zawsze.

Clowance chwyciła ojca za nogi i głośno prosiła, by ją wziął na ręce. Dźwignął córkę: ciągle była pulchna. Nagle jej duża, umazana cukrem buzia znalazła się tuż obok jego twarzy. Pocałowała go, zostawiając wielki ślad na skórze.

– Nie byłeś na przyjęciu, papo.

– Nie, kochanie. Byłem leniwy. Jutro zabiorę was oboje na spacer.

– Dokąd, tato? Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. W jakieś ciekawe miejsce.

– Nawet jak będzie padać?

– Deszcz nie spadnie, jeśli mu zabronię!

– Och, oszukujesz... – powiedziała Clowance, patrząc na ojca wielkimi oczyma.

– To prawda. Jesteś taka sama jak twoja matka; potrafisz mnie przejrzeć na wylot.

– To nieprawda, Ross – zauważyła Demelza.

– Tylko w połowie prawda.

– Zgadza się – powiedziała Verity. – Clowance potrafi przeniknąć wzrokiem mroczną część serca Rossa i zobaczyć w nim ciepło.

IV

Zanim odjechali, Verity weszła do biblioteki, gdzie zastała Rossa samego.

– Mój drogi, było nam bardzo miło – rzekła. – Dziękuję za zaproszenie.

Cieszę się, że mogłam was znowu zobaczyć.

– My też się cieszymy.

– Ross, jesteś szczęśliwy w nowym życiu?

– Nowym życiu? Och, masz na myśli Izbę Gmin... Nie jestem pewien. Chciałbym być posłem jeszcze rok lub dwa. Jeśli uznam, że przynosi to jakiś pożytek krajowi albo hrabstwu, będę zadowolony.

– A twoje życie z Demelzą?

Spojrzał Verity prosto w oczy, a później zerknął na książki, które układał.

– Dlaczego pytasz?

– Zwyczajnie, mój drogi. Chciałabym wiedzieć.

– Pytasz z jakiegoś szczególnego powodu?

– Może. W przeszłości często rozmawialiśmy o swoich troskach i kłopotach.

– Więc sądzisz, że mam jakieś troski albo kłopoty? Demelza o czymś ci mówiła?

– Oczywiście, że nie. Nigdy by tego nie zrobiła. Ale wyczuwam – przynajmniej tak mi się zdaje – wyczuwam w niej jakieś napięcie. Myślę... –

Pogładziła go po ramieniu i przesunęła na stole kilka książek. – Na przykład ty, Ross. Już od lat nie widziałam, żebyś był taki niespokojny. Mam wrażenie, że znowu obudziła się w tobie dzika natura. Ta z czasów przed ślubem z Demelzą.

Roześmiał się.

– Nie da się zmienić własnej natury. Lamparta można oswoić i skłonić do posłusznego zachowania, lecz nigdy się nie zmieni. Po pewnym czasie wszystko wyjdzie na jaw, znowu zapragnie polować na jagnięta. Czy lamparty polują na jagnięta? Myślę, że rozumiesz, o co mi chodzi.

– Tak... o tak. Rozumiem. Jeśli to wszystko, to rozumiem. Ale czy to naprawdę ma związek z Demelzą? Nie uważam tego za sprzeczne z jej

charakterem.

– Analizujesz to zbyt głęboko – odparł.

– Może tylko ja mam prawo.

– Prawo?

Uśmiechnęła się.

– Cóż, w takim razie śmiałość.

– Powinniśmy częściej się spotykać, Verity – powiedział Ross. – To okropne, że te czterdzieści kilometrów sprawia, że tak rzadko się widzimy. Przyjedź znowu do Nampary i weź ze sobą małego Andrew. To piękny chłopiec.

– Poszukiwanie doskonałości w życiu to rzecz niebezpieczna, Ross... – odrzekła Verity. – Każda niedoskonałość wydaje się wtedy bardziej przykra. Nie mamy przed sobą wieczności. W tym roku skończyłam czterdzieści lat.

Ross ustawił książki na półce. Były stare i kontrastowały z nowymi meblami.

– Wiesz, kiedy się urodziłem, Verity?

– Ty? Pytasz poważnie? Mniej więcej wiem. A ty nie?

– Nie, nie mogę ustalić dokładnej daty. Ochrzczono mnie pod koniec stycznia tysiąc siedemset sześćdziesiątego roku, ale nie mam pojęcia, czy urodziłem się w styczniu sześćdziesiątego roku, czy w grudniu pięćdziesiątego dziewiątego.

– Zawsze myślałam, że jestem od ciebie starsza o półtora roku.

– Ciągle wyglądasz na dwadzieścia cztery lata.

– Dziękuję. Przyznaję, że czasem czuję się młoda, a czasem nie. Ale staram się najlepiej wykorzystać szczęście, które mnie spotkało. Dwaj moi mężczyźni narażają się na niebezpieczeństwa...

– Moja droga, wiem, że to musi być dla ciebie trudne.

– Nie mówię o sobie, Ross, tylko o tobie. Wielu Poldarków nie jest

zdolnych do kompromisu. Właśnie to zrujnowało życie Francisa.

– Mnie też to czeka?

Znów się uśmiechnęła.

– Wiesz, że nie to mam na myśli. Doskonale rozumiesz, o co mi chodzi.

– Doskonale rozumiem, o co chodzi – odpowiedział Ross. – Ale zdarzyło się kilka rzeczy, Verity. Och, wiem, że to drobnostki w porównaniu z wielkimi wydarzeniami. Obie strony powinny o nich jak najszybciej zapomnieć i rzeczywiście często zapominają. Tylko że od czasu do czasu nie panuje się nad swoimi uczuciami właściwie, a później myśli i uczucia wzbierają w człowieku jak... jak fala gniewu. Trudno, trudno czasem zapanować nad taką falą.

Rozdział trzeci

I

W połowie stycznia Demelza otrzymała list od Caroline:

Moja Kochana!

Piszę co tydzień do swojego przyjaciela doktora Enysa i ufam, że przekazuje Wam Obojgu moje serdeczne pozdrowienia. Nie wiem, co osiągnęłam, przyjeżdżając do Londynu i izolując się od większości ludzi, na których mi zależy, ale zerwałam w jakiś sposób z prowadzonym dotychczas życiem, które było związane z Sarah. Kilka lat temu poślubiłam poważnego mężczyznę i obracam się wśród dystygowanych osobistości, co prowadzi do tego, że frywolne życie damy z londyńskiego towarzystwa wydaje się nieco nierzeczywiste. Wstaję o jedenastej, jem śniadanie w południe, wyleguję się lub plotkuję w luźnym szlafroku albo dezabilu do szóstej, gdy podawany jest obiad, a później szykuję się do wieczoru w teatrze lub kasynie gry. Wszystko to sugeruje, że prowadzę bardzo powierzchowne życie, zupełnie pozbawione głębi!

Owszem, ale Londyn ma jeszcze inną stronę. W mieście tym można poznać najciekawsze przejawy sztuki, literatury, nauki, medycyny, czystego intelektu. Można tu znaleźć wszystko, a jeśli twórcy nie urodzili się w Londynie, przybywają do stolicy, by w niej mieszkać lub pracować. Naprawdę uważam, że to centrum świata. Dlatego, chociaż moje obecne życie skłania się raczej do pierwszego aspektu niż do drugiego, od czasu do czasu pojawiają się rekompensaty, których nie można ignorować.

Moja droga, kiedy Ross przyjedzie do Londynu? Zakładam, że jeszcze nie przybył, bo chyba by mnie odwiedził. Ufam, że Wasza kopalnia wróciła do zdrowia, toteż śmiertelnicy mogą ją ograbiać z rudy.

Dlaczego Ty nie przyjedziesz do Londynu, Demelzo? Chyba nigdy nie odwiedziłaś stolicy, tak mi się przynajmniej zdaje. Byłoby cudownie, gdybym mogła się z Tobą spotkać i pokazać Ci kilka miejsc godnych obejrzenia. Powiedz Rossowi, że powinien Cię ze sobą zabrać. Gdybyś przyjeżdżała z nim wcześniej, mogłabyś nie wiedzieć, co robić, kiedy byłby zajęty w Westminsterze. Teraz wszystko wyglądałoby inaczej. Byłabym zachwycona, gdybym mogła

coś przygotować. Czasem nawet myślę, że wykorzystałabym kogoś takiego jak Ty jako kamień probierczy, by się przekonać, że nic nie jest uznawane za przesadnie wartościowe.

Horacy jest bardzo szczęśliwy w domu mojej ciotki i zaprzyjaźnił się z jej dwoma spanielami cavalierami. Ale szczerze wierzę – po początkowej zazdrości – że tęskni w tej chwili za moim przyjacielem, doktorem Enysem.

Podobnie jak ja.

Lecz nie jestem jeszcze zdrowa.

Całuję Was wszystkich serdecznie

Caroline

– Czemu nie? – spytał Ross, przeczytawszy list.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego nie miałybyś pojechać do Londynu? Caroline ma talent do sugerowania rzeczy oczywistych, gdy umykają one innym ludziom.

Demelza podniosła kawałek laku do pieczętowania listów, który upadł na stół.

– Kiedy wybierasz się do Londynu?

– Za miesiąc, ale wcale mi się nie śpieszy. Tu jest mój dom. Jednak... jeśli wkrótce się nie pojawię w parlamencie...

– Wrócisz na Wielkanoc czy zostaniesz?

– Zostanę. Byłem nieobecny przez całą jesienną sesję, więc nie wypada mi się pojawić na kilka tygodni, a później znów czmychnąć do Kornwalii.

Demelza zastanawiała się nad problemem. Jej brwi tworzyły linię prostą.

– Nie mogłabym zostać tak długo w Londynie, Ross. Dzieci.

– Mogłabyś ze mną pojechać i wrócić na Wielkanoc.

Znów się zastanowiła. To Caroline zasugerowała, by pojechała do Londynu, nie Ross. Gdyby on to zrobił, wszystko wyglądałoby inaczej.

– Jeremy ciągle kaszle. Wiem, może to nic poważnego, ale chciałabym mieć go na oku.

– Ryzykujesz, że będę musiał wyrzucić ze swojego pokoju kolejne ladacznice – rzekł Ross.

- A ty ryzykujesz, że będziesz wzywany do mojego łóżka.
- Tak... Jesteś na to gotowa?
- Może przyjechałabym wczesną jesienią? Bardzo chciałabym zobaczyć Londyn. We wrześniu lub w październiku, wtedy większość prac w ogrodzie i gospodarstwie jest już zakończona. Mogłabym zostać do Bożego Narodzenia.
- Caroline może nie być wtedy w Londynie.
- Czuję, że będzie – odparła Demelza.

II

Ross wyjechał do Londynu dwudziestego ósmego stycznia. Podróżował tą samą trasą, którą wrócił do domu w maju, dylizanssem do St Blazey, a później statkiem z Fowey do Tilbury. Z powodu działań wojennych na kanale La Manche było to nieco niebezpieczne, ale przy sprzyjającym wietrze znacznie szybsze, a poza tym wolał podróż drogą morską od udręki związanej z jazdą dylizanssem.

Po jego wyjeździe Nampara jak zwykle sprawiała wrażenie opustoszałej. W poprzednich latach często wyjeżdżał z domu, by ćwiczyć z ochotnikami, lecz latem i jesienią spędził dużo czasu w Kornwalii z powodu katastrofy w kopalni. Demelza niejednym razem żałowała, że została w Namparze, ale zupełnie nie wiedziała, co w głębi serca sądzi o tym mąż, więc uznała, że lepiej niczego nie zmieniać. Po śmierci Hugh Armitage'a nigdy nie czuli się zupełnie swobodnie. Już wcześniej odkryła, że miłość i radość mogą się przejawiać w sposób, który nie jest powierzchowny, lecz nie dociera do głębi duszy. Tak było pięć lat wcześniej, tak było i teraz. Bardzo brakowało jej chwil, gdy byli jednością, co niegdyś się zdarzało. Teraz, kiedy wszystko się zmieniło, zrozumiała, jak wiele stracili.

Po wyjeździe Rossa poświęcała dużo czasu mieszkańcom okolicy,

a ponieważ Dwight również żył samotnie, często się z nim widywała. Pewnego dnia, gdy wybrała się z Jeremym do kościoła w Sawle, by położyć kwiaty na grobie rodziców Rossa i obejrzyć nowy nagrobek ciotki Agathy, spotkała na cmentarzu Juda w ciasnych bryczesach lśniących jak gasnąca planeta w promieniach popołudniowego słońca, po czym postanowiła pójść do kuźni Pally'ego, by wypić herbatę z Drakiem.

Kuźnia, która fascynowała większość dzieci, nie wzbudziła zainteresowania Jeremy'ego, ale szybko zaciekały go gęsi hodowane przez Drake'a na podwórku z tyłu domu.

– Chce zostać farmerem? – spytał Drake.

– Nie hodujemy gęsi, więc to dla niego coś nowego. Nie boi się zwierząt. I stale je rysuje. Ma cały zeszyt z obrazkami krów, świń, kur i koni.

– Może zostanie malarzem. Opie mieszkał w tej okolicy.

– Lubieś rysować jako chłopiec, Drake, pamiętasz? Bazgrałeś znaną kredką na murach chaty.

– I dostałem za to straszne lanie. Dobrze to pamiętam. Kapitan Ross wróci na Wielkanoc?

– Nie wiem. Nie sędzę. – Demelza zaczęła mówić o pozostałych braciach, o rodzinie w Illuggan, o wdowie po ojcu. Luke się ożenił i pracował w Saltash, John też się ożenił, miał dwoje dzieci i nie mógł znaleźć pracy. Bobbie wyzdrowiał i zamierzał wkrótce wziąć ślub.

– Samuel też nie ma szczęścia w miłości, podobnie jak ja.

– Więc ci powiedział...

– Tak, powiedział.

Siedzieli w głównej izbie, by uczcić wizytę Demelzy. Rozejrzała się ostrożnie, popijając herbatę. Pomieszczenie było niewielkie jak spiżarnia i widać było, że Drake rzadko z niego korzysta. Panował w nim porządek, ale zasłony podarowane przez nią wymagały obszycia, a z poręczy fotela

z Nampary sterczało końskie włosie. Trzy świece opierały się o siebie jak pijani żołnierze, prymitywny stół był przykryty obrusem odwróconym na lewą stronę.

– Więc jesteśmy podobni – powiedział Drake.

– Tak...

– A jednak od czasu do czasu mówi, że powinienem się ożenić.

– Z kim?

– Nie rozmawiałaś z nim?

– O tobie? Nie, Drake.

– Z Rosiną Hoblyn. Z kimże innym?

– Widziałeś się z nią? – spytała Demelza.

– Dwa razy, to wszystko. Raz odprowadziłem ją do domu z kościoła, a raz wstąpiłem do jej chaty w drodze do Guernseyów.

– To dobra dziewczyna. Nadawałaby się na żonę dla ciebie.

– Może... O tak, na pewno. Nie mogę powiedzieć o niej złego słowa.

Na dworze krzyczał Jeremy, więc Demelza podeszła do niewielkiego okna wychodzącego na tyły domu. Po prostu wymieniał uwagi z jednym z małych Trewinnardów, który prowadził opierającą się kozę.

– Jej ojciec nie wie, co o mnie myśleć – rzekł Drake. – Czasem uśmiecha się do mnie jak do starego przyjaciela, a zaraz potem patrzy spode łba, jakby się bał, że porwę mu córkę i nawet nie wezmę z nią ślubu.

– Nie zwracaj uwagi na Hoblyna, Drake. Zawsze miał kapryśny charakter. Ross wie, jak sobie z nim radzić, ale moim zdaniem to brutal. Terroryzuje żonę i córkę.

Drake znów napełnił kubki. Demelza, która nie lubiła koziego mleka, z grzeczności wypiła niewielki łyk.

– Tak więc uważasz, że powinienem się ożenić, siostrze...

– Nie mogę ci mówić, co masz robić, Drake.

– Ale myślisz o tym od maja zeszłego roku, prawda?

Demelza się uśmiechnęła.

– Ross mnie ostrzega, że nie powinnam się wtrącać do życia innych ludzi.

Mówi, że to niebezpieczne.

– Gdybym się ożenił z Rosiną, sprawiłoby ci to przyjemność?

– Lubisz ją?

– Bardzo.

– A ona ciebie?

– Chyba tak.

– Ale to nie miłość.

– Nie czuję jej. Nie tak pamiętam miłość.

Demelza popatrzyła na brata.

– Wiem, jak to jest, Drake. Wiem, jak to jest... ale to skończone. Nikt nie może sprawić, by było tak samo jak dawniej... Chcę po prostu, żebyś był szczęśliwy, a nie siedział tutaj sam jak palec. Podobało ci się nasze przyjęcie bożonarodzeniowe?

– Tak, było miło – odpowiedział.

– Przynajmniej raz byłeś wesoły, bawiłeś się z dziećmi po posiłku. Zachowywałeś się jak dwa lata wcześniej, kiedy tu przybyliście. Chciałabym, żebyś zawsze tak się zachowywał, a to mało prawdopodobne, jeśli będzie się tobą zajmowała tylko ciotka Nelly Trevail.

Drake zamierzał coś powiedzieć, ale Demelza ciągnęła:

– Lubię Rosinę, przyznaję. Jest inna niż reszta dziewcząt z kopalni i okolicznych gospodarstw. Wydaje się dojrzała, inteligentniejsza. Ładna, spokojna, dobrze poprowadziłaby ci dom. Byłaby dobrą szwagierką.

– Wiem o tym wszystkim – odparł Drake.

– Nie myśl o tym teraz, proszę. – Uśmiechnęła się, gdy na nią spojrział. – Nikt nie powinien się żenić z dziewczyną tylko dlatego, że jest odpowiednią

kandydatką na żonę albo będzie dobrą szwagierką. To twoje życie, bracie. Małżeństwa nie da się rozwiązać, gdy już zostanie zawarte. Po prostu... po prostu chcę, żebyś był szczęśliwy, a nie samotny. Dobrze byłoby, gdybyś miał z kim pracować i dla kogo pracować. Nie chcę, żebyś się przyzwyczaił do samotności. Czasem miłość dojrzewa.

Drake wstał, podszedł do mniejszego okienka i wyjrzał na dwór.

– Tak było z twoją miłością, Demelzo? Często się zastanawiałem, ale nigdy nie chciałem pytać.

Poczuła ściskanie w piersi.

– Nie. Zawsze kochałam Rossa. To z nim było inaczej. Jego miłość dojrzała z biegiem lat. Nie kochał mnie, gdy się ze mną żenił. Jego miłość dojrzała z upływem lat.

III

Po wyjeździe Rossa wkrótce nadeszły mrozy. W Anglii szalały zawieje śnieżne i Demelza z niepokojem czekała na wiadomość, że mąż dotarł bezpiecznie do Londynu. W Kornwalii spadło niewiele śniegu, lecz w głębi kraju, czasem nawet na wybrzeżu, było bardzo zimno. Sucha pogoda pomogła ciężko pracującej maszynie parowej Wheal Grace. Demelza otrzymała list od Rossa dopiero dziewiętnastego lutego. Jego statek wpłynął do portu tuż przed sztormami, ale część basenów portowych była skuta lodem. Londyn wyglądał jak miasto z baśni: Tamiza zamarzła, a wszystkie budynki pokrywał śnieg i lód.

Na początku miesiąca wielebny Odgers ciężko się przeziębził i dwa razy zemdlął, więc w kościele w Sawle nie odprawiano nabożeństw przez trzy pierwsze niedziele Wielkiego Postu. W trzecią niedzielę, przypadającą dwudziestego czwartego lutego, nagle się roz pogodziło i zrobiło się ciepło. Z tego powodu na nabożeństwo przyszło wielu ludzi, którzy z początku stali

przed kościołem i przyjaźnie gawędzili w niespodziewanych promieniach słońca jak ocaleni z katastrofy. Czekali, czy pojawi się pastor.

Pastor się nie pojawił. Podobnie jak Ossie, którego poinformowano o chorobie Odgersa, i po dwudziestu minutach zgromadzeni zaczęli się rozchodzić.

Byli wśród nich Drake Carne i Rosina Hoblyn, której towarzyszyła młodsza, zamężna siostra Parthesia, z wielkim brzuchem spowodowanym kolejną ciążą. Mąż Parthesii, Art Mullet, wydawał się nieco głupkowaty. Drake podszedł do Rosiny i wrócili do domu razem.

Zatrzymali się obok ruin jednego z budynków kopalni Grambler. W ciągu dziewięciu lat od jej zamknięcia wichury i ulewy zniszczyły wiele zabudowań na powierzchni, lecz kominy dwóch maszynowni nadal wznosiły się ku szaremu niebu – miały w sobie więcej arogancji niż wieża kościoła w Sawle tuż za grzbietem wzgórza. Okolica wydawała się wyjałowiona: przez minione półwiecze wydobyto tu mnóstwo rudy i teraz, między odpadami i kamieniami, rosły tylko nieliczne kępy trawy.

– Chciałbym ci coś powiedzieć, Rosino – odezwał się Drake. – Gdybyś miała pięć albo dziesięć minut, spróbuję wszystko wytłumaczyć.

– Tak, Drake – odrzekła dziewczyna. Mówiła prosto, bez dwuznaczności. Jeśli przewidywała, co nastąpi, nie udawała, że jej na tym nie zależy.

Stał wysoki i blady. Z jego twarzy już dawno znikła psotna wesołość, lecz kształt warg i błysk w oku sugerowały, że nie jest z natury smutnym człowiekiem. Rosina wydawała się przy nim niska. Miała na sobie swoją najlepszą sukienkę z żółtego muślinu i czarne trzewiki, zimowy tabaczkowy płaszcz i ciemnobrązowy czepek z żółtymi wstążkami.

– Jeśli proszę, byś mnie wysłuchała, Rosino, musisz wiedzieć dlaczego – powiedział.

– Tak, Drake – szepnęła.

– Lubię cię i dlatego chcę ci wytłumaczyć, co mi leży na sercu...

Opowiedział jej o Morwennie z czasów, gdy pracowała jako guwernantka Geoffreya Charlesa. O tym, jak się poznali. Morwenna i Geoffrey Charles spotkali Drake'a i Samuela niosących belkę przez las na terenie posiadłości Warlegganów. Mówił o dziwnych zalotach odbywających się zawsze w obecności chłopca, który nie zwracał na nie uwagi. Z początku oni sami nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje. Trwało to całe lato i ciemną, cichą jesień przed czterema i pół roku oraz przez pierwsze burzliwe miesiące dziewięćdziesiątego piątego roku, do chwili, kiedy państwo Warlegganowie postanowili ich rozdzielić i wszystkie nadzieje ostatecznie runęły: najpierw Drake'a aresztowano pod zarzutem kradzieży Biblii Geoffreya Charlesa, a później zaaranżowano małżeństwo Morwenny z młodym proboszczem kościoła Świętej Małgorzaty w Truro.

– Może od początku ciążyło nad nami przekleństwo – zakończył. – Była córką dziekana, była wykształcona, potrafiła czytać i pisać znacznie lepiej ode mnie. Może nigdy nie była mi przeznaczona, ale wtedy mnie to nie obchodziło. Kochałem ją i będę zawsze kochał. Trudno mi mówić o tym tobie, zdaję sobie z tego sprawę, lecz nie mogę ci powiedzieć tego, co zamierzam, jeśli nie zrzucę ciężaru z serca...

– Tak, Drake – szepnęła po raz trzeci. Spuściła głowę, jej twarz osłaniał teraz czepek, jednak Drake zorientował się po tonie jej głosu, że Rosina doskonale wie, co zamierza jej powiedzieć i co sama na to odpowie.

– Straciłem Morwennę na zawsze. Przez trzy i pół roku nie zamieniliśmy ani słowa i widziałem ją tylko raz. Wszystko skończone, a ja muszę żyć dalej. Ludzie mówią – i ja też zacząłem tak uważać – że potrzebuję żony. Teraz, gdy wiesz to wszystko, gdy wiesz, co czuję i czego nie czuję – może nigdy już nie będę czuł – chociaż cię lubię i potrzebuję twojego towarzystwa... jako przyjaciółki, powiernicy, żony... Może zostałabyś kiedyś matką moich

dzieci... Mam dom, fach... Chciałbym, żebyś się nad tym zastanowiła... i za jakiś czas udzieliła mi odpowiedzi.

Mur był w tym miejscu zburzony, wiele kamieni zabrano na budowę dwóch chat. Rosina położyła na murze drobną, mocną, zręczną dłoń.

– Drake, udzielę ci odpowiedzi teraz, jeśli nie uważasz, że postępuję zbyt pochopnie, tak szybko podejmując decyzję. Wyjdę za ciebie i spróbuję sprawić, żebyś znowu był szczęśliwy. Znam z plotek część tego, o czym mówiłeś, ale cieszę się, że usłyszałam to z twoich ust. Jesteś dzielny, uczciwym człowiekiem. Kocham cię i szanuję. Wierzę, że nasze życie będzie dobre i uczciwe, i mam nadzieję... mam nadzieję... Och, brak mi słów...

Wziął ją za rękę i trzymał przez chwilę. Na polu paśł krowy mężczyzna, w oddali rozmawiała grupka starych ludzi, więc nie wykonał żadnego wyraźniejszego gestu. Powiedzieli wszystko, co należało powiedzieć, a nawet więcej, bo na wsi prośba o rękę i jej przyjęcie często ograniczały się do kilkunastu słów wypowiedzianych przez obie strony; ale w przypadku tych zaręczyn nie należało pozostawiać niedomówień. Drake oficjalnie oświadczył się Rosinie i z pozoru oboje byli spokojni.

– Najlepiej, gdybyś poszedł ze mną i powiedział ojcu i matce, Drake – odezwała się Rosina.

– Tak. Przypuszczam, że tak byłoby najlepiej – odparł.

Dopiero wtedy, dopiero gdy skręcili i ruszyli razem w stronę Sawle, Rosina mimo woli lekko podskoczyła, zdradzając ekscytację i zadowolenie, które czuła.

IV

– Ha! A więc to tak! – zawołał Jacka, po czym popatrzył ze złością na Drake'a, jakby przyłapał go na czymś wstydlwym.

– Ojej, ojej, Rosie! – wykrztusiła pani Hoblyn. – Drake, mój Boże!

– Dobra robota – rzekł Art Mullet. – Dobra robota.

– Kiedy wesele? – spytała Parthesia. – Och, tylko nie za szybko! Muszę najpierw urodzić! – Poklepała się po brzuchu.

– Mamy dopiero połowę Wielkiego Postu – powiedział Drake. – Myślałem o Wielkiej Niedzieli. Będzie dość czasu na zapowiedzi. Prawie się nad tym nie zastanawiałem. Może Rosina...

– Nie, tak będzie dobrze – odparła dziewczyna. – Naprawdę bardzo dobrze.

– Kiedy wypada Wielka Niedziela? – spytał podejrzliwie Jacka, wietrząc jakiś podstęp.

– Dwudziestego czwartego marca – odpowiedział Drake. – Za pięć tygodni.

– Ach, bardzo dobrze! – zawołała pani Hoblyn. – Będziemy mieć dość czasu na przygotowania! Rosie coś uszyje. Nie uwierzysz, jakie ma zręczne ręce, Drake. Jacka, nie powiesz im dobrego słowa?

– Naprawdę, nie trzeba się śpieszyć – rzekł Jacka.

– Och, jak możesz tak mówić!

– Pamiętam, jak był z jej siostrą...

– Dajcie spokój! – przerwał Art. – Nie powinniśmy się sprzeczać. Tak czy inaczej, nie warto o tym gadać.

Rosina uśmiechnęła się do Drake'a.

– Odprowadzę cię do szczytu wzgórza – powiedziała.

V

Pogoda bardzo szybko się popsuła. Nie nadeszła wczesna kornwalijska wiosna, warzywa nie chciały rosnać. Demelza zmuszała się, by zabierać dzieci na spacerzy niezależnie od temperatury. Dwight upierał się, że świeże

powietrze ma pozytywny wpływ na zdrowie: należało po prostu przetrwać okres wiosennej niepogody. W miastach szalała szkarlatyna i kilka przypadków pojawiło się również w Sawle.

Dowiedziawszy się o oświadczeniach Drake'a, Demelza szybko odwiedziła brata, zabierając ze sobą protestującego Jeremy'ego. Była to ciągle zbyt długa droga dla grubych nówek Clowance. Ucałowała Drake'a i życzyła mu szczęścia. Miał poważną minę i wydawał się zadowolony z radości siostry, nieco pogodniejszy. Nawiązał przyjaźń z młodą kobietą i rozmawiał z nią swobodnie o swoich planach. Samuel również był szczęśliwy i przewidywał, że brat wróci do zgromadzenia wraz z żoną, która i tak jest w połowie zbawiona. Obaj roześmiali się z tego żartu, ponieważ w dialekcie kornwalijskim „w połowie zbawiony” oznaczało półgłówka.

Przyszły dwa kolejne listy od Rossa. W drugim napisał, że zgodził się poprowadzić w sierpniu ćwiczenia oddziału milicji gdzieś w hrabstwie Kent. Oznaczało to, że wyjedzie na cały miesiąc, lecz z tego powodu, za zgodą lorda Falmouth, nie będzie uczestniczył w sesji parlamentu i ma nadzieję wrócić do domu w kwietniu. Widział się z Caroline, o czym Dwight niewątpliwie poinformował Demelzę. Caroline z pozoru wydawała się zdrowa, ale postanowiła nie wracać do domu, dopóki „nie otrząśnie się ze swoich demonów”, jak to powiedziała. Ross dodał, że spotkał u Caroline pewnego człowieka. „Po raz pierwszy widziałem go w lecie zeszłego roku w ogrodzie w Trenwith, nazywa się Monk Adderley. Podobno George zamierza wrócić do polityki w przyszłej sesji parlamentu. Na szczęście w Izbie Gmin niezbyt trudno unikać znajomych”.

Ross nie był mistrzem epistolografii. Demelza wiedziała, że jego ciepło przejawia się w bezpośrednich kontaktach. Nagle potrafił powiedzieć coś, od czego topniało serce kobiety – a czasem ścinał je lodowaty chłód. Pisane przez niego listy zawierały dużo informacji, lecz miały bezosobowy charakter.

Odległość utrudniała nawiązanie porozumienia.

Nie zaproponował, by Demelza wróciła z nim we wrześniu do Londynu.

Rozdział czwarty

I

Bona, która przybyła dwunastego lutego, by sprawować opiekę nad Johnem Conanem Osborne'em Whitworthem, miała znakomite referencje. Co prawda ostatnio nie opiekowała się dzieckiem, tylko dorosłym – Geraldem van Hefflinem z Hefflin's Court w pobliżu Salcombe. Van Hefflin przez dwa lata przed śmiercią miewał napady morderczego szału. Czuwała nad nim tak skutecznie, że zawsze zdołała zapobiec poważnym szkodom, choć raz jeden ze służących został dźgnięty nożem.

Nie miała ponurej twarzy jak inne opiekunki. Była dość niska, bardzo schludna i mówiła cichym, unizonym głosem z wyraźnymi pretensjami do akcentu klas wyższych. Tylko jej postawa miała w sobie coś staropanieńskiego i agresywnego: rozstawiała nogi i prostowała szerokie plecy. Wyglądała na czterdzieści lat, wydawała się czysta. Ossie był zadowolony z przeprowadzonej z nią rozmowy. Panna Cane zdawała się całkowicie rozumieć sytuację, co wywarło na nim dobre wrażenie. Skoro pani Whitworth może zrobić krzywdę tylko swojemu synowi, zadanie jest proste. Trzeba pilnować Johna Conana. Gdyby panna Cane musiała chronić wszystkich domowników, należałoby stale obserwować panią Whitworth tak samo jak pana van Hefflina. Aby chronić Johna Conana, trzeba po prostu nie odstępować go ani na krok.

Po dwóch tygodniach Ossie był jeszcze bardziej zadowolony. Uważał, że

człowiek taki jak on, dobrze urodzony, pełen energii, młody i inteligentny – światowiec, a zarazem duchowny – ma prawo odznaczać się męskim wigorem. Właśnie po to Kościół ustanowił instytucję małżeństwa: pozwala ona zaspokajać naturalne potrzeby, unikać cudzołóstwa i innych perwersyjnych grzechów. Występna, niewdzięczna żona uniemożliwiła Ossiemu realizację naturalnych potrzeb w sposób zalecany przez Świętego Pawła i uświęcony przez dwa tysiące lat tradycji. Z tego powodu zaczął popełniać grzechy: w każdy czwartek odwiedzał jej występłą siostrę.

Ale ulżenie sobie tylko raz w tygodniu, w czwartki, sprawiało, że Ossie w dalszym ciągu męczył się psychicznie i fizycznie. Gdyby mógł odwiedzać również żonę, na przykład w poniedziałki i piątki – był skłonny ograniczać swoje żądania – jego życie stałoby się spokojniejsze. Gdyby raz ją odwiedził i gdyby Morwenna posłusznie to zaakceptowała, w co coraz bardziej wierzył, gdyby wznowili normalne pożycie małżeńskie, Ossie mógłby się nawet zastanowić nad całkowitym zerwaniem z Rowellą.

Wizyty u niej były bardzo ryzykowne. W każdy czwartek na przeszło dwie godziny zostawiał konia przed stajnią gospody w pobliżu domu Pearce'a. Latem, podczas długich jasnych wieczorów, będzie to niemożliwe. Poza tym w ostatnich tygodniach Rowella wysuwała coraz więcej żądań. Należało kupić nowy dywan, nowe lichterze, nowe buty, aksamitną suknię. Oczywiście nie domagała się pieniędzy otwarcie, jak wulgarne ladaczniczki mieszkające przy brzegu rzeki. Chociaż zachowywała się dyskretnie, i tak musiał płacić i nie miał wątpliwości, że gdyby przestał, mała Rowella przestałaby go obdarzać swymi względami.

Ossie był zadowolony z panny Cane. Po trzech tygodniach nabrał pewności siebie na tyle, by podjąć straszliwe ryzyko. Morwenna udała się wcześniej na spoczynek. Powiedziała, że boli ją głowa, a Ossie siedział w swoim gabinecie i bez powodzenia usiłował czytać książkę, zbiór kazań wielebnego Antona

Wylde'a. Nie zrobiły na nim dobrego wrażenia. Były banalne i pełne powtórzeń. Zbyt często przywoływano imię Boga, podkreślano konieczność wiary, a nie dobrych uczynków, duchowość wydawała się ważniejsza od liturgii Kościoła. Ossie był człowiekiem praktycznym i wiedział, że na tym świecie przede wszystkim należy przestrzegać formalnych zasad religijnych.

Odłożył książkę. Może tego wieczoru nie zdołałby skupić uwagi nawet na najlepszych kazaniach swojej epoki. Zdawał sobie sprawę, że na górze leży w łóżku młoda kobieta, dość ładna i ponętna, choć nadąsana, z którą jest związany świętym sakramentem małżeństwa i która od dwóch lat nie dała mu żadnej przyjemności. Wyobrażał sobie, że posłusznie mu ulega lub stawia opór, że leży w białej wełnianej koszuli nocnej i szykuje się do snu. Nie powinna jeszcze spać. Nie wolno jej jeszcze spać.

Weźmie ją, bo ma do tego prawo. Weźmie ją nawet wbrew jej woli, bo do tego również ma prawo. Według praw obowiązujących w Anglii i zasad Kościoła anglikańskiego mąż nie może się dopuścić gwałtu na własnej żonie. A jutro, gdyby chciała się zemścić i zrobić krzywdę synowi, przeszkodzi jej w tym panna Cane, silna, uważna, cierpliwa, nieustraszona. Gdyby Morwenna ośmieliła się zrealizować swoje groźby, znów można by poruszyć kwestię umieszczenia jej w zakładzie dla obłąkanych.

Wstał, obciągnął kamizelkę, wypił ostatni łyk porto, poszedł na górę. Zastukał cicho i wszedł do sypialni żony. Jak się spodziewał, Morwenna leżała w łóżku i czytała jedną z tych okropnych książek z biblioteki. Popatrzyła na męża, najpierw pytająco, a później ze straszliwą trwogą, gdy spostrzegła wyraz jego oczu.

Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Przyglądał się żonie, upewniał się, że się nie zmieniła. Czuł dreszcze na widok jej ślicznej sylwetki. Później zdjął surdut i kamizelkę, a następnie zaczął rozwiązywać halsztuk.

– Ossie! – szepnęła Morwenna. – Co tu robisz?! Po co przyszedłeś?! Wiesz,

co powiedziałam! Wiesz, czym groziłam!

– Tak – odparł Ossie, dość łagodnie jak na siebie. – Jednak w dalszym ciągu jesteś moją żoną. Straszliwa pokuta, okropna kara, na jaką bezlitośnie mnie skazałaś wbrew przysiędze małżeńskiej złożonej w chwili ślubu, musi... musi się zakończyć. Najwyższa pora, Wenno – ciągnął, jakby zdradzał sekret, którego nikt inny nie może poznać. – Przysięgłaś przed Bogiem, że będziesz moją żoną. To twój święty obowiązek. Tym razem musisz, musisz mi się oddać. Ale najpierw... najpierw odmówmy krótką modlitwę...

II

Arthur Solway, bibliotekarz zatrudniony w bibliotece miejskiej w Truro przy Prince's Street, dysponującej w tej chwili blisko pięciuset książkami, które można było pożyczać lub czytać na miejscu, był wysokim, chudym, chorowitym młodym człowiekiem o cichym, nerwowym usposobieniu. Kiedy zakochał się w Rowelli Chynoweth, swojej pierwszej miłości, był wniebowzięty – wręcz skonsternowany – że odwzajemnia ona jego uczucia. Nie mógł spać po nocach, gdyż myślał o swoim fantastycznym szczęściu. Rowella przyznała, że wykorzystał ją nikczemny, brutalny mężczyzna, co zmąciło nieco błogostan Arthura, lecz wkrótce zapomniał o wszystkim, ciesząc się przyszłą żoną. Wychował się w straszliwych slumsach na Water Street, gdzie w dalszym ciągu mieszkała jego rodzina. Wieczorami, po pracy, mozolnie uczył się czytać i pisać przy świetle skwierczącej łożówki, a kiedy miał dwadzieścia cztery lata, zaproponowano mu posadę bibliotekarza w nowej bibliotece dzięki rekomendacji lady Marii Agar, której służącą była niegdyś jego matka. Powoli wydobył się ze skrajnej nędzy. Kupił przyzwoity surdut, jadał skromne, lecz pożywne posiłki, utrzymywał powierzchowne kontakty ze śmietanką kulturalną Truro, trochę pomagał rodzinie i chodził

ulicami miasta, czując się szanowanym obywatelem – nigdy nie przestawał dziękować Bogu za te oznaki łaski. Był ubogi, ciężko pracował, nosił okulary, lecz miał wyjątkowe szczęście.

Małżeństwo z Rowellą sprawiło, że wspiął się o stopień wyżej na drabinie społecznej, czego nigdy się nie spodziewał. Była taka wyrafinowana, taka piękna – za taką ją uważał – w dziwny, tajemniczy sposób. Znała łacinę i grekę, była przenikliwsza i mądrzejsza od niego. Często rozmawiali o książkach i wkrótce musiał przyznać, że jest inteligentniejsza.

Ale pod pewnymi względami była mniej dumna od Arthura – twierdziła, że jego duma jest fałszywa. Pamiętał spotkania ze szwagrem Rowelli, proboszczem kościoła Świętej Małgorzaty, gdy kłócili się i targowali o wielkość posagu, który pastor Whitworth miał przeznaczyć: omal nie doszło wtedy do bójki. Arthur nawet teraz pocił się ze wstydu, gdy o tym myślał. Jednak Rowella przez cały czas starała się go wspierać, dodawała mu otuchy, koła wyrzuty sumienia, powtarzała, że jeśli naprawdę chce ją poślubić, musi walczyć o odpowiednią sumę, która pozwoli im zamieszkać w mieście we względnie wygodnych warunkach.

Arthur stoczył bitwę, choć nie miał na to ochoty, i w jakiś sposób wraz z Rowellą skłonili pastora Whitwortha do podarowania im pięciuset funtów. Za część tej kwoty kupili i umeblowali czteropokojowy domek, a resztę zainwestowali w obligacje państwowe, które przynosiły roczne dochody w wysokości trzydziestu funtów. I rzeczywiście, jak mówiła Rowella, całkowicie zmieniło to ich egzystencję. Żyli skromnie, ale nie najgorzej.

W innej sferze małżeństwo z Rowellą również doprowadziło do cudu, ponieważ była ona siostrą stryjeczną żony George'a Warleggana, która dzięki mężowi stała się jedną z najbardziej wpływowych dam w Kornwalii. Arthur wzenił się w stary zubożały ród arystokratyczny, a zarazem w rodzinę bogatych kupców. Poprzednio był nikiem, teraz stał się kimś.

Jednak teściowa na razie ich nie odwiedziła, a Whitworthowie, po wypłaceniu posagu i uczestnictwie w ślubie kościelnym, całkowicie zerwali z nimi stosunki. Za to Elizabeth Warleggan wyświadczyła im kilka drobnych przysług i odnosiła się do Arthura łaskawie w czasie wizyty w bibliotece. Był to dopiero początek. Nie należało się śpieszyć. W wieku trzydziestu lat Arthur będzie miał lepsze maniery i nauczy się mówić lepiej od Rowelli. Był pewien, że rodzina stopniowo go zaakceptuje.

Arthur uważał za oczywiste, że Rowella ma własne pieniądze, o których mu nie wspomniała. W ciągu ostatniego roku wydawała niewielkie, lecz zauważalne kwoty na umeblowanie domu. Nowy dywan w sypialni musiał sporo kosztować i ogromnie poprawił warunki życia, ponieważ w zimie chronił przed podmuchami zimnego powietrza wiejącymi przez szpary między deskami podłogi. Czasem Rowella miała w portmonetce złote pół suwerena i Arthur nie wyobrażał sobie, by mogła zaoszczędzić te pieniądze na wydatkach na utrzymanie – nie wspominając o tym, że zawsze dawał jej srebro. Wszystko to było częścią cudownego nowego życia, jakie prowadził.

Codziennie pracował wieczorami w domu do dziewiątej, ale czwartki regularnie spędzał z rodzicami. Rowella bardzo to popierała, zachęcała go, by odwiedzał ich niezależnie od pogody, żeby nie czuli się zawiedzeni. Nigdy nie chciała mu towarzyszyć – mówiła, że czasem wpada do jego rodziców w ciągu dnia – ale prawie zawsze przekazywała im drobne upominki: słoik dżemu, kilka jajek, paczuszkę tytoniu albo trochę słodyczy dla dzieci. Była bardzo troskliwa.

W drugi czwartek marca Arthur Solway wrócił do domu z biblioteki około szóstej trzydzieści, gdy zachodzące słońce zabarwiło niebo na kolor purpury i zielonego jadeitu. Wciąż było bardzo zimno, tak zimno, że Rowella rozpałała ogień w sypialni, ale wiał silny wiatr i nie zanosilo się na przymrozki. Arthur pośpiesznie zjadł kolację i wyszedł o siódmej. Kolory nieba przybladły, lecz

w dalszym ciągu było jasno. Rowella dała mu dla rodziców ćwierć kilograma masła.

Water Street, wąski zaułek, przy którym stały szopy i nędzne chaty, prowadzący do nieco ładniejszej Quay Street znajdował się zaledwie dziesięć minut drogi od domu Arthura i Rowelli. Można tam było dotrzeć na skrót przez jeszcze uboższe miejsce w pobliżu nabrzeży portowych, gdzie mieszkały męty społeczne i najubożsi mieszkańcy miasta. Arthur zgarbił wąskie ramiona, kiedy zawołała do niego jedna z miejscowych ladacznic. W porcie cumowały dwa statki, więc doszedł do wniosku, że należy iść dłuższą drogą.

Dom rodzinny męża Rowelli był w rzeczywistości jedną z chat należących do miasta, które wynajmowało ją za dwie gwinee rocznie. Składał się z frontowej izby, komórki oraz niewielkiej kuchni, którą pan Solway przerobił na warsztat stolarski, oraz jednego pokoiku na piętrze, gdzie spała cała rodzina. Odwiedziny Arthura były świętem. Od kiedy odniósł niespodziewany sukces i w rezultacie spłacił zaległy czynsz, rada miejska zwróciła narzędzia panu Solwayowi, co pozwoliło mu zarabiać na życie. Niestety, chociaż ojciec Arthura był pracowity, nie miał talentu do stolarstwa i zwykle otrzymywał tylko najprostsze zlecenia. Odznaczał się jednak godnością i dumą: kilka lat wcześniej, w trudnym okresie, uparcie odmawiał wyprowadzenia się z chaty i umieszczenia rodziny w przytułku dla ubogich. Teraz, dzięki Arthurowi, to niebezpieczeństwo minęło.

Rodzina jak zwykle radośnie powitała bibliotekarza. Co zaskakujące, przeżyły wszystkie dzieci urodzone przez panią Solway, choć kilkoro nie cieszyło się dobrym zdrowiem ani nie grzeszyło inteligencją. W chacie mieszkało dziewięć osób. Najstarsze dziecko miało dwadzieścia dwa lata, a najmłodsze trzy.

Arthur już jadł, lecz nie mógł odmówić kolacji, choć bardzo skromnej. Rozmawiano o pogodzie, cenach, szkarlatynie i o tym, że syn Penrose'a stracił

nogę w bitwie pod Abukirem i ma zostać odesłany do Anglii. Wspomniano, że po zburzeniu Middle Row droga stała się zbyt szeroka, by bezpiecznie ją przechodzić, że notariusz Pearce z Clement's Street od dawna choruje i miał drugi atak apopleksji, że kompletnie pijany George Tabb leżał w rynsztoku pół nocy i o mało nie zamarzł, aż wreszcie znalazła go żona.

Pod koniec kolacji Tabbie Solway, najstarsza córka, nagle zawołała: „Zaczyna się! Trzymajcie mnie! Trzymajcie mnie!”. Ale było już za późno. Pan Royal, aptekarz, który leczył Tabbów, radził, by w chwili zbliżania się ataku mocno związywali dziewczynie ręce chustkami, i rzeczywiście wydawało się to powstrzymywać lub osłabiać konwulsje. Tym razem jednak atak nastąpił zbyt niespodziewanie, by zdążyli zareagować, i po chwili dziewczyna leżała na podłodze, wijąc się z pianą na ustach.

Choć był to okropny widok, wszyscy tak się do niego przyzwyczaili, że nawet najmłodsze dziecko nie płakało. Tabbie zajęły się matka i starsza z córek: przyłożyły jej do czoła mokrą szmatę i wsunęły drewniany kołek do ust, by nie przygryzła sobie języka. Młodsze dzieci odniosły talerze i kubki do zmywalni. Arthur i ojciec usiedli blisko ognia, pan Solway zapalił fajkę. Patrzyli na dziewczynę skręcającą się na podłodze i rozmawiali ściszymi głosami.

Po chwili konwulsje zmalowały i Tabbie zaczęła oddychać spokojniej, jakby powoli zasypiała. Zdarzało się to czasami i wtedy należało zanieść ją po skrzypiącej drabinie do pokoju na piętrze. Ale kiedy wszyscy powoli się uspokajali, Tabbie dostała drugiego ataku i stało się jasne, że będzie to jeden ze złych dni.

Drugi atak trwał równie długo jak pierwszy, a później nastąpił trzeci.

– Najlepiej będzie, jak pójdę po pana Royała – powiedział Arthur.

– Tak. Daje jej coś między atakami i trochę ją to uspokaja.

– Chciałbym, żebyś wezwał doktora Behenne – rzekł Arthur. – Jest

wykształconym lekarzem i wszyscy dobrze o nim mówią.

– Może innym razem. Wątpię, czy przyjdzie o tak późnej porze do ludzi takich jak my. Zresztą mieszka dalej. Apteka pana Royała jest tuż za wzgórzem.

– Przyrowadzę go – odparł Arthur, po czym włożył płaszcz i kapelusz.

Pośpieszył do apteki Royała, znów omijając port. Doktor Behenna mieszkał niewiele dalej, lecz Arthur rozumiał niechęć ojca do wzywania tak ważnej osobistości.

Na dworze zaczął padać śnieg, niesiony przez północno-zachodni wiatr, ale niedawno ustał. Młody księżyc był w dalszym ciągu zasłonięty przez ciemne chmury. Nad apteką paliło się światło, a pan Royal, tęgi, dziobaty mężczyzna, osobiście otworzył drzwi i zgodził się iść do pacjentki. Najpierw jednak musiał przygotować lekarstwo, ponieważ składało się z nietrwałych składników i nie można było go przechowywać. Czy pan Solway wolałby zaczekać, czy wrócić do domu i powiedzieć rodzicom, że aptekarz za chwilę przyjdzie? Arthur odpowiedział, że wróci do domu.

Zamierzał to zrobić, lecz nagle przyszło mu do głowy, by zawiadomić Rowellę, że przyjdzie później. Już dawno nie obserwował konwulsji Tabbie; jeszcze nigdy nie widział tak gwałtownego ataku i podejrzewał, że ten był najgorszy w jej życiu. Prostodusznej, miłej Tabbie nigdy nie przyszła do głowy żadna zła myśl. Arthur był do niej głęboko przywiązany. Czuł, że powinien zostać, aż się uspokoi, przynajmniej do chwili, gdy miną najgorsze konwulsje i siostra znajdzie się w łóżku. Później chciał porozmawiać w cztery oczy z panem Royalem.

Zatrzymał się na końcu ulicy i podążył naprzód. Mieszkał z Rowellą w czteropokojowym domku i nieco się zdziwił, że na parterze nie pali się światło. Ich sypialnia znajdowała się na piętrze i wychodziła na pole. Rowella prawdopodobnie jest w sypialni. Chwycił klamkę. Drzwi były zamknięte.

Właśnie tak się umówili. Rowella miała tylko jedną obiekcję dotyczącą

czwartkowych wizyt Arthura u rodziców: bała się siedzieć w domu sama, więc zamykała drzwi na klucz. Zawsze czekała na niego, kiedy wracał o dziesiątej, i czasami żartował, że gdyby usnęła, musiałby spędzić noc na dworze. Z pewnością nie położyła się tak wcześnie. Dopiero co minęła dziewiąta.

Zawahał się, czy zastukać. Mógł przestraszyć żonę, która pewnie zastanawiała się, kto przyszedł. Może nie powinien jej niepokoić? Gdyby wrócił bardzo późno i Rowella już by spała, obudziłby ją, rzucając kilka kamyczków w okno sypialni.

Gdyby nie wrócił o dziesiątej, a ona jeszcze by nie spała, zaczęłaby się martwić. Prawdopodobnie ogień na parterze wygasł i siedziała na górze, gdzie jest cieplej.

Wciąż się wahał, kiedy chmury zasłaniające księżyc nagle odpłynęły i na brudną ulicę padło srebrzyste światło. Tak się złożyło, że Arthur spoglądał na ziemię. W śniegu pokrywającym ulicę widać było wyraźne ślady jego butów. Znajdowały się tam również inne ślady, większe od butów Arthura, głębsze, częściowo przysypane śniegiem, ale jeszcze dość wyraźne. Było oczywiste, że mężczyzna, który przyszedł ulicą, pokonał tę drogę w czasie zamieci. Ślady prowadziły do drzwi, lecz nie z powrotem.

III

Poczuł straszliwe ściskanie w żołądku i przemknęło mu przez myśl, że padł ofiarą ostrej biegunki szerzącej się w mieście. Bał się, że serce bije mu tak szybko, że za chwilę się zatrzyma, a przecież nie miał kłopotów z sercem. Zaschło mu w ustach i nie mógł poruszać językiem. Dotąd nie odczuwał żadnych podejrzeń, lecz w straszliwej chwili olśnienia zrozumiał, że mimo miłości i zaufania budzi się w nim pierwotny, zwierzęcy instynkt, który

podpowiada, że coś jest nie tak.

Nie słuchał. Ani przez chwilę nie słuchał. Wierzył. Ufał. Nigdy nie wyobrażał sobie, że Rowella może go zdradzać.

Patrząc na sprawę logicznie, teraz też nie musi jej podejrzewać. Mogło istnieć dwadzieścia różnych wyjaśnień. Całkowicie odmiennych, niewinnych. Ale jedno było pewne: podejrzenia nie znikną, nie mogą zniknąć, dopóki nie przekona się na własne oczy.

Popatrzył na zamknięte drzwi, następnie odszedł i dotarł do końca ulicy. Przeszedł przez połamany płot, ruszył przez pole porośnięte krzakami jeżyn i kolcolistem, aż znalazł się na tyłach domu. W sypialni paliło się światło.

Dom był niski i promień światła widoczny między tanimi zasłonami znajdował się zaledwie półtora metra nad poziomem jego oczu. Rozejrzał się dzikim wzrokiem i w odległości kilku metrów zauważył prymitywnie sklecony wózek, którym bawiły się dzieci z sąsiedztwa. Była to podłużna stara skrzynia z dwoma drewnianymi kołami. Przeciągnął ją po lśniącej trawie i przez ociekające topniejącym śniegiem krzaki jeżyn, po czym postawił pionowo przy ścianie. Wspiął się na parapet niższego okna i stanął na chybotałej skrzyni, czego normalnie nigdy by nie zrobił, bo bałby się, że spadnie i skręci nogę. Smuga światła znalazła się na poziomie jego oczu i zajrzał do sypialni.

To, co zobaczył, na kilka sekund sparaliżowało jego ciało i umysł. Rowella leżała na łóżku – naga, całkowicie naga w lubieżnej pozie, której nigdy nie widział nawet on, jej własny mąż. Najpotworniejsze, najbardziej przerażające było to, że nad Rowellą klęczał potężnie zbudowany, całkowicie nagi mężczyzna i pieścił jej stopy. Wyraz twarzy Rowelli wskazywał, że sprawia jej to przyjemność.

Nie pamiętał, jak znalazł się na ziemi, nie mógł jednak spaść, bo następnego dnia nie miał żadnych obrażeń. Musiał zachować dość przytomności umysłu, by przeciągnąć skrzynię na poprzednie miejsce, ale nic

z tego nie pamiętał. Przypominał sobie tylko jak przez mgłę, że klęczał obok żywopłotu i kilkakrotnie wymiotował, a później czuł w ustach smak żółci.

Kiedy mdłości minęły, jego ciałem wstrząsały dreszcze. W końcu wstał z wysiłkiem, skulił się jak pies, którego brutalnie zbito za coś, czego nie zrobił, i podążył w stronę domu rodziców.

Rozdział piąty

I

W tym samym tygodniu Cary Warleggan odwiedził St Johna Petera. Było to tak nadzwyczajne wydarzenie, że młody człowiek nie wierzył własnym oczom. Cary Warleggan, obecnie pięćdziesięciodziewięcioletni starszy mężczyzna, prawie nie opuszczał kantoru na tyłach banku Warlegganów w Truro, chyba żeby wspiąć się po schodach do niewielkiego mieszkania, które zajmował. Jadał w nim posiłki i spał, zazwyczaj odbywał tylko stumetrowy spacer w pogodne niedzielne poranki. Może powodem nie było zdrowie, tylko przyzwyczajenie, ponieważ mało chorował, mimo że cierpiał na uporczywą bradypepsję.

Posiadłość St Johna Petera znajdowała się jedenaście kilometrów od Truro. Choć panowała ładna pogoda, drogi były w złym stanie. Kościsty starszy mężczyzna przyjechał na wiekowej kasztance w towarzystwie służącego, który z trudem pomógł mu zejść na ziemię. St John spędzał poranek z dwoma chłopcami stajennymi i sześćdziesięcioma foxhoundami. Gościa powitała Joan, córka Harrisa Pascoe, po czym posłała po męża.

– Na Boga, Cary! Co cię tu sprowadza w środku zimy?! Truro się spaliło?!
Joan, podaj Cary’emu brandy z melasą. Trochę się rozgrzeje.

– Ach, mój chłopcze, cieszę się, że jesteś w dobrym zdrowiu – rzekł Cary.
– Pani Peter... Prawie się nie znamy. Nie, dziękuję za brandy. Wystarczy trochę rumu z wodą.

Rozmawiali przez kilka minut. St John opuścił podwinięte rękawy koszuli, rozprostował koronki na mankietach, skrzyżował nogi w wysokich butach i patrzył na grudki zaschniętego błota spadające na wyfroterowaną dębową podłogę. Joan Peter pilnowała służącego, który przyniósł trunki, a wyraz jej twarzy i niezmacony spokój nie zdradzały zdenerwowania i niechęci wywołanych przybyciem starucha, który zadzwonił do frontowych drzwi. Oczywiście już przed ślubem od wielu lat zdawała sobie sprawę z nieprzyjaznych stosunków między swoim ojcem a Warlegganami i z rywalizacji banków. Po zawarciu małżeństwa usiłowała przekonać St Johna, by zmienił sojuszników i przeniósł pieniądze do banku Pascoe. Jednak mąż, z powodów znanych tylko sobie, nie chciał tego zrobić.

Joan nie była zupełnie pewna, jak St John gospodaruje jej posagiem, lecz wiedziała, że większość w dalszym ciągu znajduje się na rachunku bieżącym w banku ojca, a St John finansuje swój ekstrawagancki tryb życia, korzystając tylko z odsetek. Wiedziała, że mąż, by opłacać bieżące rachunki, woli korzystać z usług banku Warlegganów, i podejrzewała, że ma wobec nich długi zabezpieczone na posagu. Nie miała żadnych innych informacji. Mimo to czuła, że przybycie ubranego na czarno kościstego mężczyzny nie wróży nic dobrego.

Miała rację. Spostrzegła, że Cary nie zamierza mówić w jej obecności, toteż wyszła, wymyśliwszy jakąś wymówkę. Cary, pozbawiony subtelności i umiejący rozmawiać tylko o pieniądzu, wkrótce przeszedł do rzeczy. Bank Warlegganów sfinansował ostatnio kilka nieudanych przedsięwzięć: spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, projekt melioracji gruntu, budowę linii kolejowej do Portreath, która nie doszła do skutku, ponieważ bank Basseta zrezygnował z udziału w inwestycji. Te nieudane interesy, a ponadto brak wolnej gotówki, odczuwalny w całym kraju, zmuszają bank Warlegganów do realizacji części krótkoterminowych weksli. Starannie przeanalizowano rachunki klientów mających takie zobowiązania i wybrano dwadzieścia lub

trzydzieści osób, które powinny natychmiast spłacić udzielone im kredyty. Cary oznajmił, że St John powinien zrozumieć sytuację: on sam jest współnikiem, lecz główny udziałowiec to Nicholas Warleggan, a poza tym liczy się także głos bratanka, George'a Warleggana. Te dwie osoby podjęły nieodwołalną decyzję, że weksle St Johna Petera nie mogą zostać prolongowane. Cary zapewnił St Johna, że zrobił wszystko, by przekonać współników do zmiany decyzji. Wskazywał, że wszyscy członkowie rodu Petersów mają długoletnie związki z bankiem Warlegganów, i próbował przekonać krewnych, by zażądali spłaty od kogoś innego. Odpowiedzieli, że St John Peter to największy dłużnik, którego pożyczki są niezabezpieczone, więc w obecnej trudnej sytuacji ściągnięcie należnych od niego wierzytelności to po prostu kwestia rozsądku.

– Niezabezpieczone, na Boga! – wykrzyknął St John, któremu w czasie przemowy Cary'ego zjeżyły się włosy na głowie. – Zagwarantowałem wam pożyczki kapitałem zdeponowanym w banku Pascoe! To żywa gotówka ulokowana w najlepszych papierach wartościowych, lepszych niż w Londynie! Na Boga i wszystkie świętości...

– Rozumiemy te sprawy, sir – odparł Cary nieco bardziej oficjalnym tonem. – Szanujemy pańskie stanowisko. Ja również je szanuję. Nasza przyjaźń, długoletnia przyjaźń, mająca dla mnie wielkie znaczenie, skłoniła mnie do prolongowania bardzo wielu pańskich weksli. Udzielałem panu coraz większych pożyczek również ze względu na rodzaj zabezpieczenia, którego pan udzielił. Ale powinien pan rozumieć, mój chłopcze, że potrzebujemy teraz żywej gotówki. Gdyby zabezpieczeniem pożyczki była ziemia, moglibyśmy poprosić, by pan ją sprzedał. W tej chwili niełatwo spieniężyć ziemię, to trudny towar, kapryśny. Mało wiarygodny. Mógłby pokryć koszty pożyczki albo i nie. Tak czy inaczej, nastąpiłaby zwłoka, należałoby zorganizować licytację, zaangażować adwokatów. Takie transakcje trwają miesiącami.

Natomiast posag pańskiej żony... Często mi pan wspominał, że to gotówka albo łatwo zbywalne obligacje. Właśnie tego potrzebuje bank Warlegganów, by przetrwać następne trzy miesiące. A nawet następny miesiąc.

– Chce pan powiedzieć, że żąda pan spłaty...

– Dopiero w terminie zapadalności weksli, panie Peter. Nic więcej.

– Ale wszystkie wymagają prolongaty w tym i przyszłym miesiącu! Musi pan o tym wiedzieć! Sam pan do tego doprowadził, nieustannie skracając terminy, gdy je podpisywałem. Na Boga, żąda pan spłaty całej kwoty, którą jestem panu winien?!

Cary ciaśniej okręcił się surdudem. Przypominał kruka poruszającego skrzydłami. Rozejrzał się po skromnie umeblowanym, lecz ładnym pokoju, w którym siedzieli.

– Mam do pana ogromną prośbę, panie Peter. Czy mógłby pan nikomu nie wspominać o tej sprawie? Mogłoby to nam wszystkim zaszkodzić, prawda? Nie chcemy stracić zaufania klientów. Bank Warlegganów jest solidny jak skała. Ale... teraz pan wie. I ja wiem. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji...

St John Peter wstał, podszedł do drzwi i wrócił na miejsce, pocierając dolną wargę.

– Na Boga, nie będę w stanie utrzymać swojej sfory!

– Sezon polowań szybko się skończy – odparł Cary. – Kto wie, co przyniesie jesień?

– Co pan ma na myśli? O co chodzi?

– Problemy są tymczasowe – rzekł Cary. – Rozumie pan? Jesteśmy zbyt wielkim bankiem, prowadzimy zbyt szerokie interesy, by mieć długotrwałe kłopoty. Bank Warlegganów? Największy i najsolidniejszy w kraju! Mamy odlewnie, kopalnie cyny, młyny, szkunery, walcownie i kuźnie. Szybko odzyskamy formę, rozumie pan? To tymczasowe problemy.

St John Peter włożył ręce do kieszeni spodni i spojrzał podejrzliwie na

starego człowieka. Miał na końcu języka ostre, gorzkie słowa, zamierzał powiedzieć rzeczy, których nie wybaczyłby mu żaden z Warlegganów. Między przyjaciółmi zawsze nazywał George'a Warleggana „George'em Odlewnikiem”. Mógłby wymyślić jeszcze bardziej obraźliwe przezwiska dla Cary'ego i miał zamiar je wypowiedzieć. Pojawić się w ten sposób, wejść do domu dżentelmena nie jak bankier, ale niczym zwykły lichwiarz i żądać – żądać! – spłaty ogromnej sumy z tak krótkim wyprzedzeniem! Chociaż zawsze zapewniał St Johna, że nigdy tego nie robi, a jeśli już, poprosi o stopniowe uregulowanie wierzytelności. Był to skandal wymagający odpowiedzi, jakiej może udzielić tylko prawdziwy dżentelmen: „Bardzo dobrze, zapłacę, ale proszę nigdy nie wpełzać do tego domu, brudząc go swoim śluzem, robaku! Wynocha, wynocha tylnymi drzwiami, a w przyszłości pukaj do drzwi dla służby, bo tam jest twoje miejsce!”.

St John Peter, mający więcej dumy niż rozumu, doskonale wiedział, co wolno dżentelmenowi, a czego mu nie wypada. Ożenił się dla pieniędzy i na własnym weselu powiedział do przyjaciela: „Ja wnoszę krew, ona pieniądze”. Miał arystokratyczne pretensje, lecz nie posiadał środków finansowych, by je realizować. W tej chwili czuł potrzebę wyrażenia bezbrzeżnej pogardy dla ubranej na czarno kreatury, która przed nim siedziała: pozwoliłoby mu to zachować szacunek do samego siebie, dumę. Ale ostatnie słowa Cary'ego sprawiły, że mimo woli się zreflektował. Tymczasowe problemy? Jak bardzo tymczasowe?

Była to gorzka pigułka, na dodatek miał przykrą świadomość, że Cary Warleggan mógłby go niemal kompletnie zrujnować.

– Tymczasowe? Co to znaczy? – spytał.

– Pół roku – odparł Cary, rozsiadając się wygodniej w fotelu. – Nie dłużej niż pół roku. Masz moją gwarancję, chłopcze: pierwszego września wypłacimy ci tę samą kwotę, oprocentowaną równie nisko. Tuż przed sezonem

polowań. Co ty na to?

St John Peter przeszedł przez pokój, zdjął surdut z oparcia fotela i włożył go. Cary przyglądał się surdutowi gospodarza. Był uszyty z zielonego aksamitu, ładnie wcięty, z jedwabnymi guzikami. Cary nigdy w życiu nie miał takiego surduta. I nie chciał mieć. Nie chciał. Manipulowanie właścicielami takich eleganckich surdutów to znacznie większa przyjemność.

II

Ossie pomyślał, że umieranie w Wielkim Tygodniu to złośliwość. Na początku świąt wielkanocnych większość duchownych unikała zajmowania się sprawami parafialnymi, lecz i tak mieli więcej pracy, zwłaszcza z powodu nawału ślubów, który rozpoczynał się w niedzielę. Chociaż pastor Odgers doszedł już do siebie na tyle, by odprawiać nabożeństwa w Sawle, tytularny proboszcz zamierzał niespodziewanie go odwiedzić, może w Wielki Piątek, a następnie spędzić tydzień w Trenwith. Chciał zmobilizować małego człowieka i wygłosić parę uwag na temat zaniedbania kościoła w Sawle.

Wydawało się jednak, że kilku parafian nie przeżyje tygodnia, co pociągało za sobą męczącą konieczność uczestnictwa w pogrzebach. Niewątpliwie najważniejszy był Nathaniel Pearce. Cios w plecy zadała mu influenza i jego serce w końcu postanowiło się poddać. Leżał nieruchomo, wielki jak góra, oddychając spazmatycznie – z pewnością nie mógł już długo żyć. W poprzedni czwartek, gdy odwiedził go Ossie, wyglądał tak samo i duchowny lada moment spodziewał się nowiny o jego śmierci. Ale zbliżała się Wielkanoc i nie pojawiła się żadna wiadomość, choć w Wielki Wtorek córka notariusza przysłała bilecik z wiadomością, że kres może nastąpić już za kilka godzin.

Rankiem w Wielki Czwartek Ossie zastanawiał się, czy powinien przestrzegać normalnego czwartkowego rozkładu dnia. Chociaż sam nie

odznaczał się wielką żarliwością religijną, zdawał sobie sprawę, że nie przestrzegał zbyt regularnie Wielkiego Postu. Raz lub dwa powstrzymał się przed otwarciem dodatkowej butelki wina. Zabronił dostarczać na plebanie porteru, który Morwenna czasem piła zgodnie z zaleceniami doktora Enysa. W każdą niedzielę wygłaszał o dziesięć minut dłuższe kazania. Zmniejszył służącym przydziały masła. Każdego ranka i każdego wieczoru odmawiał modlitwę. W dniach, gdy grał w wista, wracał wcześniej do domu.

Cały czas jednak odwiedzał Rowellę, mimo że znów uprawiał stosunki z żoną dwa razy w tygodniu. W dalszym ciągu pożądał siostry żony, choć wiedział, że pożądanie nie jest uczuciem godnym pochwały. Powiedział sobie, że to się musi skończyć, jednocześnie myślał z przyjemnością o swoim pożądaniu. Wreszcie nadszedł właściwy moment, by przerwać występny romans. Gdyby zrezygnował z tych wizyt choćby na kilka tygodni, Rowella straciłaby pewność siebie, mniej domagałaby się drobnych prezentów. Teraz, gdy mógł korzystać ze względów żony, nie miał usprawiedliwienia, że stosunki pozamałżeńskie są niezbędne z przyczyn zdrowotnych.

Stwierdził, że odkąd po raz pierwszy wziął Morwennę siłą, żona zachowuje się lepiej, niż oczekiwał. Owszem, często nie odzywała się do nikogo całymi godzinami, nawet do służby, zwłaszcza we wtorkowe i sobotnie poranki, i nagle przestała się zajmować sprawami parafialnymi, ale godziła się na jego karesy i nie stawiała oporu. W ogóle nie reagowała na jego dotyk, co smutno kontrastowało z zachowaniem jej wyuzdanej siostry. Cóż, przynajmniej miał jakąś satysfakcję. Pierwszej nocy, przed wyjściem z sypialni, poinformował ją, jaka jest rola pani Cane – domyślał się, że Morwenna już to podejrzewa – więc w ogóle nie próbowała realizować swoich gróźb. Uważał je teraz za brednie histeryczki, których nie należy traktować poważnie. Nie mógł uwierzyć, że przez tak długi czas naprawdę się ich lękał. Bał się ducha.

Po śmierci Pearce'a znacznie trudniej będzie aranżować regularne cotygodniowe spotkania z Rowellą. Zatem w Wielki Czwartek, jeśli Pearce dożyje do wieczora, Ossie powinien odwiedzić Rowellę po raz ostatni. Miał wrażenie, że spędził Wielki Post bardzo przyjemnie.

Opuścił plebanię o zwykłej porze, uprzedziwszy pannę Cane, że nie powinna spuszczać z oka Johna Conana – chociaż groźba okazała się pusta, nie należy zapominać o czujności. Pojechał do Pearce'a, uwiązał konia i wszedł do domu, wpuszczony przez pannę Pearce, która miała czerwone oczy i opuchniętą twarz. Zaprowadzono go na piętro, gdzie leżał notariusz, w dalszym ciągu ciężko dyszący jak ryba wyjęta z wody. Jediną oznaką życia były półotwarte oczy. Ossie zastanawiał się, jak wytrzyma pół godziny w tym dusznym, nieprzyjemnym pomieszczeniu.

– Jest... nieprzytomny, tak? Umiera? O co chodzi?

– Myślę, że nas poznaje – powiedziała panna Pearce. Przełknęła ślinę. – Nie może poruszyć ręką ani nogą, ale wszystko rozumie. Porozumiewa się mruganiem. Tylko to mu zostało. Witaj, kochany papo! Słyszysz mnie?

Ogromna twarz na poduszce powoli zamknęła jedno oko.

– Kochany papo, przyszedł do ciebie pan proboszcz – powiedziała panna Pearce. Po jej policzkach spływały łzy. – Słyszysz mnie?

Oko znów się zamknęło.

– Ach, cóż... – rzekł donośnie Ossie i odchrząknął. – Cieszę się, że znowu pana widzę, przyjacielu, choćby po raz ostatni. Spróbuję pana pocieszyć. Coś przeczytam. – Przestał przyciskać chusteczkę do nosa i usiadł na fotelu z dala od łóżka. Panna Pearce dyskretnie wyszła. – Przeczytam fragment Psalmu siedemdziesiątego drugiego: „A ja zawsze z tobą: ująłeś mię za prawą rękę moją. A według woli twojej prowadziłeś mię, i przyjąłeś mię z chwałą. Bo cóż ja mam w niebie? Albo czegom chciałem na ziemi oprócz ciebie? Ustało ciało moje i serce moje...”¹.

Czytał dwadzieścia minut, po czym wyjął zegarek. Niebo wciąż było jasne. Trochę za wcześnie, by iść do Rowelli, ale mógł obejść miasto i nawet wstąpić na chwilę do kościoła Matki Boskiej.

– Muszę pana teraz opuścić – powiedział, zamykając Biblię. – Wierzę, że dobry Bóg z radością przyjmie pana w Niebiosach. Muszę iść, bo mam pracę do wykonania.

Kiedy się odwrócił, Pearce znów mrugnął i na jego posiniałej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Morwa prawie dojrzała.

Niewątpliwie uśmiech notariusza wyrażał wdzięczność za troskę okazaną przez Ossiego w tym strasznym roku. Może chciał powiedzieć: „Żegnaj, chłopcze, żegnaj”, ale tak naprawdę uśmiech konającego mężczyzny był cyniczny, wręcz złośliwy, jakby Nat Pearce, na progu śmierci, gdy człowiek wszystko rozumie – albo nie rozumie niczego – pojął przyczynę atencji Whitwortha i wiedział o schadzках w domu na wzgórzu.

III

Ossie spędził z Rowellą mniej czasu niż zwykle. W trakcie powitania powiedziała, że o mało nie musiała odwołać jego wizyty. Arthur zachowywał się bardzo dziwnie, przez cały tydzień był chory na influencę albo malarię. Pięć dni leżał w łóżku, dygocąc, a czasem popłakując, lecz wczoraj nagle wyzdrowiał i jak co dzień poszedł do biblioteki. Dziś rano czuł się znacznie lepiej i o zwykłej porze udał się do rodziców.

Osborne'owi niezbyt się to podobało: nie miał ochoty wchodzić do łóżka, które niedawno opuścił obcy mężczyzna cierpiący na influencę lub malarię. Rowella zauważyła jego wahanie, uśmiechnęła się tajemniczo, spuściła wzrok i oświadczyła, że tego ranka zmieniła pościel. Ossie, w dalszym ciągu nieco zdetonowany, podążył za nią po skrzypiących schodach, a ona znowu użyła

wszystkich swoich szatańskich podstępów, by pogrążył się w oceanie namiętności.

Później na chwilę prawie o wszystkim zapomniał: o żonie (z łatwością), o tym, że jest duchownym (bez większego trudu), o Wielkim Poście (również bez trudu), o obawie, że Rowella znowu poprosi o pieniądze (zmarnowane, lecz warto było je wydawać). Niepokoił się tylko, że może się zarazić influencją bądź malarią od pokracznego męża Rowelli (przez cały czas o tym pamiętał). W końcu, gdy leżeli zmęczeni i zamyśleni, patrząc na pokryty zaciekami sufit, a Rowella w pewnym momencie kichnęła, Ossie się zaniepokoił i nagle zaczął się śpieszyć.

– Wielki Tydzień – powiedział takim tonem, jakby Wielki Tydzień stanowił jego własność – to wyjątkowo trudny okres dla duchownego, może najcięższy w całym roku liturgicznym.

Rowella z pewnością wie, że jako proboszcz ma wtedy mnóstwo zajęć: musi wyteńczyć wszystkie siły, zajmować się niezliczonymi sprawami. Powinien przygotować kazanie, sporządzić notatki przed spotkaniem z administratorami parafii; poza tym choroba Odgersa z kościoła w Sawle jest bardzo kłopotliwa. Powinien wyjść wcześniej. Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

Rowella przykucnęła na łóżku i patrzyła na niego wąskimi, jasnozielonymi oczyma.

– Pastorze...

– Nie teraz – przerwał. Był niemal pewny, że Rowella zamierza wspomnieć o dachu, który przeciekał podczas ostatnich ulew. – Nie teraz, Rowello. Nie mam czasu. W przyszłym tygodniu...

– W przyszłym tygodniu...

– Tak – odparł. Pochylił się i pocałował ją. Niezwykły gest czułości, inny niż pożądanie fizyczne, sprawił, że Rowella rozszerzyła oczy ze zdumienia. W rzeczywistości był to pocałunek Judasza, bo Ossie wiedział, że nie

przyjdzie w przyszłym tygodniu. Tego wieczoru zamierzał wspomnieć Rowelli o niepewnej przyszłości, lecz w przyływie natchnienia zrozumiał, że lepiej w ogóle nic nie mówić. Przy odrobinie szczęścia wyjdzie dziś od niej, nie dając ani grosza – obieca tylko, że znów ją odwiedzi. Niech na niego czeka. Dobrze jej to zrobi. Zrozumie, że nie powinna być chciwa. Jeśli Ossie się nie pojawi, Rowella poczuje, jak bardzo jest jej potrzebny. (Pochlebiał sobie, że w tej chwili zależy jej na ich namiętnych spotkaniach tak samo jak jemu). Gdy znów ją odwiedzi, będzie jeszcze miłsza.

Włożył kamizelkę i pochylił się, by zapiąć buty. Później, nieco zaczerwieniony na twarzy, przywdział surdut, pelerynę i zapiął wysoki kołnierz. Popatrzył na Rowellę skuloną na łóżku, nagą, zmysłową, oświetloną pastelowym blaskiem świecy, i znów poczuł wzbierające pożądanie. Stłumił je w sobie, odwrócił się.

– Do widzenia, pastarze – powiedziała i znów kichnęła. – Nie powinien pan myśleć, że jestem przeziębiona. Nie byłoby w tym zresztą nic dziwnego, bo nasz dach przecieka. Kiedy Arthur chorował, musiałam przykrywać łóżko brezentem, by nie zamokło. W czasie sobotniej ulewy z sufitu lała się woda. Wiem, że deszcz zmył kilka dachówek.

– W przyszłym tygodniu – odpowiedział Ossie. – Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu. Obiecuję, że pomogę.

– Dziękuję, Osborne. Moim zdaniem powinieneś przychodzić trochę później. Wieczory są dłuższe, nie ma wielkiego ryzyka.

– Przyjdę później – odparł Ossie. – Czekaj na mnie, Rowello. Do zobaczenia.

Zszedł po schodach na parter, wziął kapelusz i szpicrutę, otworzył drzwi domu i rozejrzał się po okolicy. Księżyc powinien wzejść za pół godziny, więc może postąpił wyjątkowo mądrze, wychodząc wcześniej. Owinał się ciasno peleryną, przekroczył próg i ruszył ciemną uliczką wybrukowaną kocimi

łbami. W pobliżu nie było nikogo.

Nawet większe ulice Truro wydawały się zupełnie puste. Ossie potykał się od czasu do czasu na obluzowanych kamieniach, przeskakiwał z pluskiem przez kałuże, nie zwracał uwagi na wyciągnięte ręce żebraków lub pijaków kulących się w bramach. Szybko dotarł do gospody. Chłopiec przyprowadził konia i dostał za to sześciopensówkę; ziewał, choć nie było jeszcze bardzo późno. Wielebny Osborne Whitworth wszedł na kamień służący do wsiadania na konia, zajął miejsce w siodle i ze stukotem opuścił Truro.

Kiedy zmierzał w stronę domu, myślał o nowych relacjach z żoną, do których ją zmusił, i braku jej gwałtownej reakcji. Sprawiało mu to wielką przyjemność. Miał nadzieję, że teraz, gdy pierwsze lody zostały przełamane – można tak powiedzieć – Morwenna wreszcie zastanowi się nad sobą i zrozumie swoją głupotę, a nawet zacznie podziwiać męża, jego status społeczny, wybitny intelekt, siłę i męskość. Chociaż cierpi na nerwicę, jest matką jego syna i regularne cielesne stosunki z mężem służą jej zdrowiu – znacznie bardziej niż zdrowiu Ossiego. Wierzył, że większość kobiet go podziwia, i czuł głęboką irytację na myśl, że odrzuca go jedyna osoba mająca zaszczyt nosić jego nazwisko – podkopywało to jego szacunek do samego siebie. Był panem domu, kapitanem okrętu i drażniło go to, że jeden członek załogi w milczeniu się buntuje. Teraz, gdy bunt został zdławiony, odzyskał część spokoju ducha.

Rzeczywiście, wszystko układało się dobrze. Chociaż nie otrzymał beneficjum w Luxulyan, a także w Manaccan – biskup wybrał jakiegoś całkowicie niewłaściwego duchownego z Totnes, z pewnością była to nominacja polityczna – starał się przekonać George'a, by mianowano go dziekanem okręgu. Byłby to pożądany krok naprzód i chociaż w tej chwili George nie wydawał się entuzjastą tego pomysłu, Ossie czuł, że zdobędzie tę nominację, jeśli trochę go przycisnie. Niedawno sfinansował prywatny druk

swoich kazań, które zamierzał szeroko kolportować między dygnitarzami Kościoła.

Niepokoiliła go tylko jedna sprawa – drobne, a nawet bardzo drobne zmartwienie. Zastanawiał się, na co dokładnie mógł chorować Arthur Solway. Co tydzień odwiedzał slumsy, w których mieszkała jego nędzna rodzina, a w slumsach szalały zarazy. Influenza to nieprzyjemna choroba, lecz szybko się kończy. Malaria jest gorsza. A tyfus...? Typowa choroba biedoty... Mogą nawet chorować na dżumę, choć w Kornwalii od przeszło pół wieku nie wybuchła epidemia dżumy. Jednak doskonale wiedział, że czasem pojawiają się pojedyncze przypadki – naturalnie nie zawsze rozpoznawane i zatajane w obawie przed paniką. Chorzy zwykle umierają w męczarniach. Rowella dwa razy kichnęła. Czy kichanie nie jest pierwszym objawem dżumy?

Dostał gęziej skórki. Jechał, starając się zapomnieć o zarazie. Z Truro do kościoła Świętej Małgorzaty biegła droga wspinająca się na strome wzgórze. Po drugiej stronie należało zjechać w dół, a następnie podążyć głównym gościńcem z St Austell do miejsca, gdzie w maju zeszłego roku Ossie wysiadł z dylizansu, a Ross Poldark kontynuował podróż. Po przebyciu ośmiuset metrów skręcało się w prawo i w dół, w obsadzoną drzewami aleję prowadzącą do kościoła Świętej Małgorzaty i plebanii.

W tej chwili wysoko na niebie świecił księżyc i na skrzyżowaniu gościńca z aleją Ossie z łatwością zauważył wysokiego, chudego mężczyznę, który nagle zastąpił mu drogę. Koń się spłoszył, a Ossie poczuł lęk, bo nie miał pewności, czy nie zamierza go zaatakować samotny rozbójnik.

– Pastor Whitworth? – usłyszał. – Czy to pastor Whitworth?

Odzyskiwał pewność siebie.

– Tak, to ja – odparł. – Czego chcesz?

Nie widział twarzy mężczyzny, bo miał on na głowie kaptur. Trzymał w ręku kij.

– Tego chcę! – krzyknął nieznajomy i uniósł kij, próbując uderzyć duchownego w głowę.

Cios okazał się niecelny, bo Solway zbyt mocno ścisnął kij i był wyjątkowo zdenerwowany. Trafił Ossiego w pierś, omal nie strącając go z siodła, lecz duchowny szybko odzyskał równowagę i uniósł szpicrutę. Znajdował się wyżej niż napastnik i kilkakrotnie uderzył go w głowę i plecy. Solway zdołał zadać tylko jeden cios. Spudłował i trafił gniadosza, który wierzgnął. Jedna z nóg Ossiego wysunęła się ze strzemienia, lecz on utrzymał się w siodle. Doszedł do wniosku, że choć napastnik zasługuje na lanie, bezpieczniej będzie przerwać walkę. Uspokoił konia, poznał mężczyznę i pojął przyczynę napaści.

Ściągnął wodze i ścisnął konia kolanami. Solway, który otrzymał cios w głowę i zobaczył gwiazdy, zrozumiał, że zemsta planowana od siedmiu dni się nie powiodła. Skoczył desperacko do przodu i chwycił pelerynę odjeżdżającego Ossiego.

Ścisnął ją w rękach, a Whitworth, z jedną nogą w strzemieniu, stracił równowagę i runął na ziemię jak ścięty dąb, ale stopa pozostała w strzemieniu. Solway, tocząc się po ziemi z oderwanym kawałkiem peleryny w rękę, widział, jak koń ciągnie Ossiego przez kilkanaście metrów. Później dobrze wyszkolony gniadosz się zatrzymał i spojrzał do tyłu na swojego pana, leżącego na drodze twarzą do ziemi.

Solway dyszał ciężko, był bliski omdlenia. Uklęknął powoli i niepewnie wstał. Miał rozciętą głowę i włosy lepkie od krwi. Bolały go ramiona, kilkakrotnie uderzone szpicrutą. Wokół zapadła cisza. Droga i las były puste. Jedynym dźwiękiem było pohukiwanie białej sowy rozlegające się w oddali. Zabrzmiało jak ponury komentarz do niedawnych wydarzeń.

Arthur Solway, który nie przywykł do przemocy, prawie się dusił. Miał wrażenie, że za chwilę umrze. Krew przestała mu pulsować w głowie dopiero po kilku minutach, znowu coś widział i mógł oddychać. Po dłuższej chwili

ruszył naprzód i kulejąc, zaczął iść w stronę przeciwnika.

Starał się nie spłoszyć gniadosza, więc okrążył go z daleka, nim zbliżył się do Whitwortha. Noga ciągle tkwiła w strzemieniu, lecz stopa znajdowała się pod dziwnym kątem. Twarz Ossiego oświetlało światło księżyca. Była równie ciemna jak ziemia, na której Whitworth leżał. Miał otwarte usta, wysunięty język i otwarte oczy, ale nie widziały nieba.

Solway czuł, że za chwilę zemdleje. Z trudem przewyciężył słabość, odwrócił się i uciekł z pola walki.

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op. cit.*, Księgi Psalmów, LXXII, 23–26, s. 559. [\[wróć\]](#)

Rozdział szósty

I

Proboszcza kościoła Świętej Małgorzaty odnaleźli tuż po północy dwaj służący, wierny Harry i jego towarzysz, którzy czekali na powrót pana i w końcu poszli go szukać. Jedna noga wielebnego Whitwortha w dalszym ciągu tkwiła w strzemieniu. Koń, wyczuwając, że z jego panem dzieje się coś dziwnego, prawie się nie poruszył. Trawa w zasięgu końskiego łba była wyjedzona, a zaledwie metr dalej nietknięta.

Dramatyczna śmierć pastora Whitwortha wzbudziła sensację. Wielebny Whitworth był znakomitym jeźdźcem – czy nie uczestniczył w polowaniach? – a jego koń był wyjątkowo spokojny i łagodny, toteż podejrzewano napad. Wiedziano, że w odległości półtora kilometra mieszkają na wrzosowisku włóczędzy i opryszkowie. Brakowało jednak dowodów na morderstwo. Na zwłokach znaleziono kilka zadrapań i siniaków, ale mogły być skutkiem wypadku. Zmarły miał oddarty kawałek peleryny, lecz mógł zaczepić nią o drzewo. Przy jego pasie w dalszym ciągu znajdowała się sakiewka z pięcioma suverenami. Skoro go nie obrabowano, z jakiej przyczyny ktoś miałby go zamordować?

Duchowni zwykle pili tyle samo co ich sąsiedzi, jednak Osborne Whitworth był znany ze wstrzemięźliwości. Konia mógł spłoszyć lis przebiegający przez drogę albo nadepnięta żmija. Zaskoczony Osborne mógł wysunąć nogę ze strzemienia, po czym uderzył głową w gałąź. Lady Whitworth, jego matka,

natychmiast kazała uśpić konia.

Jedynym podejrzanym faktem było znalezienie przy drodze grubej laski, która mogła stanowić narzędzie zbrodni. Była ładnie wymodelowana z dobrego kasztanowego drewna i wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś ją wyrzucił. Nikt się po nią nie zgłosił, nikt jej wcześniej nie widział. Kiedy wstał świt, dwie grupy ludzi przeszukały las i znalazły starca mieszkającego pod zwałonym drzewem. Był jednak przygłupi i tak słaby, że nie mógłby zabić nawet zająca. W Tresillian znajdowało się obozowisko Cyganów, lecz przysięgali, że są niewinni, a w sakiewce zmarłego znaleziono pięć gwinei, co bardziej przekonało konstabli od alibi, na które oburzeni Cyganie się powoływali.

Istniała możliwość, że duchownego napadł wędrowny opryszek, który uciekł, nie obszukawszy zwłok. Jednak nie wydawało się to prawdopodobne. Spodziewano się, że koroner może wydać tylko jeden werdykt: śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku.

W Truro panowała żałoba, ponieważ Osborne, choć nie był świątobliwym człowiekiem, dobrze wykonywał swoje obowiązki i wkładał dużo energii w sprawy parafialne. Wszyscy uważali, że czekała go kariera kościelna.

Sądziła tak również jego matka, która natychmiast zamieszkała na plebanii i przejęła rządy w domu. Wdowa po pastarze była wstrząśnięta i całkowicie niezdolna do radzenia sobie z problemami i decyzjami, które należało podejmować. Chociaż lady Whitworth poświęcała Morwennie dużo uwagi i przypominała jej o rozlicznych obowiązkach, dziewczynę ogarnęła całkowita apatia. Kiedy nie nosiła okularów, jej piękne oczy często sprawiały wrażenie nieco oszołomionych, podobnie jak u wielu ludzi cierpiących na krótkowzroczność, teraz zaś przypominały okna z zaciągniętymi zasłonami. Lady Whitworth tłumaczyła licznym gościom, że synowa jest w szoku; lecz prywatnie nigdy nie miała dobrego mniemania o Morwennie. Uważała, że jest

leniwa i próbuje unikać ciążyących na niej obowiązków. Na szczęście Ossie miał kompetentnych służących, a panna Cane zajmowała się nie tylko Conanem, ale również dwiema dziewczynkami.

Ciało Ossiego znajdowało się na piętrze. Było ogromne, opuchnięte, czarne. Leżało za zaciągniętymi zasłonami i zawsze ktoś przy nim czuwał przy dwóch zapalonych świecach – jedna stała u szczytu łóżka, a druga u jego stóp. Zamówiono specjalną trumnę wyściełaną jedwabiem. Pogrzeb miał się odbyć w poniedziałek wielkanocny i spodziewano się wielu uczestników. Lady Whitworth przygotowywała się do niego jak do bitwy: napisała wiele listów do przyjaciół i znajomych duchownych, dając do zrozumienia, że oczekuje ich obecności.

Elizabeth przybyła w piątkowy rano, spotkała się z Morwenną i lady Whitworth i przekazała wyrazy współczucia. Jako jedyna wyczuwała gwałtowne emocje targające Morwenną i domyślała się, że kuzynka jest bliska załamania nerwowego. Usiłowała porozmawiać z nią w cztery oczy, ale ciągle ktoś wchodził do salonu albo w pobliżu kręciła się lady Whitworth.

Nazajutrz rano Elizabeth wstąpiła do biblioteki, by wypożyczyć kilka książek, i zdumiał ją wygląd Arthura Solwaya. Wyjaśnił, że w zeszłym tygodniu miał ostry atak febry. Myślał, że minęła, lecz teraz częściowo wróciła. Nieustannie ocierał pot z czoła, jego okulary były zaparowane, jakby pochylał się nad garnkiem z wrzącą wodą, i drżały mu ręce. Po raz pierwszy w życiu Elizabeth widziała go w peruce.

– Jak się czuje Rowella? – spytała.

– Ach... cóż, dziękuję, dobrze. Nie zaraziła się. Ja... ja... ja... przypuszczam, że jest odporna na choroby. Jest zdrowa.

– Śmierć męża Morwenny to straszna tragedia. Wiem, że od pewnego czasu siostry nie utrzymują ze sobą kontaktu, ale proszę powtórzyć Rowelli, że moim zdaniem powinna się teraz zobaczyć z Morwenną. To właściwa pora na

pojednanie.

Arthur upuścił trzy książki i długo je podnosił. Kiedy się wyprostował, musiał znowu przetrzeć okulary.

– Och, to wykluczone, pani, wykluczone.

Elizabeth zrobiła zdziwioną minę.

– Chce pan powiedzieć, że Rowella nie ma na to ochoty? Może udałoby mi się ją przekonać, gdybym ją odwiedziła?

– Nie, to niemożliwe, pani. Rowella wyjechała. – Nerwowo poruszył ręką i omal znowu nie stracił książek z biurka.

– Wyjechała? Rowella? Nic mi o tym nie mówiła. Dokąd?

– Do... do... – Urwał i przełknął ślinę. – Do swojego kuzyna, to znaczy mojego. Chyba... chyba do Penryn. Kiedy wyzdrowiałem, poczuła chęć odmiany. Jest tam w tej chwili, spędzi u niego tydzień albo dłużej. Całą Wielkanoc, rozumie pani, tydzień. Pomyślałem, że tego potrzebuje. Mój kuzyn ma ładne gospodarstwo w okolicy ujścia rzeki. Przyszło mi do głowy, że świeże powietrze dobrze jej zrobi.

– Tak, istotnie. Bardzo się cieszę. Ale nic mi o tym nie mówiła. Proszę jej przekazać, by dała mi znać po powrocie. Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pan lepiej.

Arthur otarł dłonią czoło i próbował się uśmiechnąć.

– Dziękuję, pani. Tak, rzeczywiście, powoli odzyskuję siły. Jutro zostanę w domu, odpocznę i wrócę do siebie.

– Przyjdzie pan na pogrzeb? Odbędzie się w poniedziałek.

Uśmiech Arthura stał się nieco upiorny.

– Z pewnością... się postaram.

Kiedy Elizabeth, elegancka, smukła, ubrana na biało, opuściła bibliotekę, Arthur poszedł szybko do kąta i wypił łyk brandy. Musiał przetrzymać dzisiejszy dzień, udawać, że nic się nie stało, na wypadek gdyby zaczęto coś

podejrzewać. Było mało prawdopodobne, że domyśli się ktoś oprócz Rowelli, a ona już wszystko wiedziała. Nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło w czwartkową noc, bo kiedy wrócił do domu w straszliwym stanie po walce z Ossiem, znów wpadł we wściekłość. Teraz Rowella leżała w łóżku z rozciętą wargą, podbitym okiem i opuchniętym policzkiem, a jej ciało było pokryte czarnymi i fioletowymi sińcami.

To, co zrobił, było straszne i zdawał sobie sprawę, że jest potworem. W tej chwili czuł przerażenie na myśl o swoim czynie i bał się możliwych konsekwencji. Był roztrzęsiony, lękał się, że za chwilę czymś się zdradzi. Ale w odległej przyszłości, jeśli prawda nie wyjdzie na jaw i jeśli będzie mógł zasnąć bez lęku, poczuje sekretną męską satysfakcję, że popełnił tę zbrodnię. Ziarno zostało zasiane. Każdego ranka i każdego wieczoru przychodził do Rowelli i chociaż się do niego nie odzywała, starał się nią opiekować, smarował maścią siniaki i pokaleczone wargi. Wracając codziennie do domu, przynosił niewielki bukiet kwiatów, który wstawiał do wazonika obok jej łóżka.

II

Wiadomość o śmierci Whitwortha dotarła do Sawle w piątkowy wieczór, a druciarz krążący regularnie między St Ann's a St Michael przekazał ją Drake'owi w sobotni rano, gdy mijał kuźnię. Drake zbladł jak trup, usiadł, objął rękami głowę. Wczoraj odwiedziły go Rosina i Parthesia, która wzięła ze sobą dwójkę swoich dzieci, dwuletnią dziewczynkę i dwutygodniowe niemowlę. Śmiejąc się, zmieniły ułożenie paru poduszek i przewiesiły zasłony. Rosina przyniosła kilka jaśków, które uszyła, i rumieniąc się, powiedziała, że w niedzielę Art Mullet przekaże jej skrzynię ze skarbami gromadzonymi przez całe życie. Były w niej ubrania, fajansowy imbryk do herbaty, trzy dobre łyżki,

dwa cynowe kufle, ładna szkatułka ozdobiona muszelkami, naszyjnik z paciorków, książka o robótkach ręcznych, sztuka jedwabiu znaleziona przez ojca we wraku w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, haftowane pantofle ranne, kilka czepków, *Modlitewnik powszechny* i szczęśliwy talizman.

Skrzynię miano przynieść w niedzielę wieczorem, po weselu. Trochę śmiechu, rubasznych żartów i harców, a potem zostaną sami. Po weselu.

Drake wstał i poszedł do kuźni. Było wcześniej i Trewinnardowie jeszcze nie przyszli. Tylko przypadek sprawił, że znajdował się tak rano przy bramie, gdy mijał ją druciarz. Zacisnął pięści i krzyknął, wzywając Boga. Wydawało się, że Bóg go nie słyszy. Nic się nie zmieniło. Stał przy wejściu do kuźni Pally'ego – pewnego dnia, już wkrótce, ludzie zaczną ją nazywać kuźnią Drake'a – i patrzył na stromą drogę biegnącą w stronę St Ann's. W oddali dymił komin kopalni. Komin Warlegganów. Wysoko na niebie piszczały mewy. Był zaręczony z miłą, inteligentną dziewczyną, której nie kochał, lecz mógł nauczyć się ją kochać.

Tymczasem kilkanaście kilometrów dalej jego prawdziwa miłość, największa miłość jego życia, wysoka, młoda kobieta w czerni, matka, zona proboszcza, dobrze wychowana panna, potomkini starego rodu, która po ślubie stała się kimś zupełnie innym, nagle owdowiała. Co to znaczy? Co to znaczy dla nich obojga? Jak można pogodzić szaleństwo z logiką świata?

Przede wszystkim należało się upewnić. W Kornwalii czasem pojawiają się zwariowane, fałszywe plotki. Drake pobiegł na pole, gdzie pasł się jego kuc. Zwierzę nie chciało dać się złapać, lecz młody człowiek był zdeterminowany i już po chwili jechał na oklep pod górę w stronę niskiej, zapuszczonej chaty pełniącej funkcję plebanii.

Zastał pastora Odgersa skulonego przed paleniskiem. Duchowny, ubrany w szlafrok, narzucił na plecy koc i próbował pisać list, choć przeszkadzały mu

ataki kaszlu. Nie lubił Drake'a, ponieważ był on bratem przywódcy heretyckiej sekty metodystów, która zdobyła wielkie wpływy w okolicznych wioskach. Drake nie miał pojęcia, że to właśnie Odgers powiedział George'owi Warlegganowi o niestosownym romansie Morwenny, co doprowadziło do jego zakończenia. Młody człowiek wydawał się tak roztrzęsiony, że pastor odpowiedział na jego pytania.

– Słucham? Co takiego? Och, na pewno nie żyje. Wezwano mnie na pogrzeb. Młody, zdrowy człowiek mógłby pojechać do Truro, ale ja nie jestem już młody i zdrowy – każdej nocy budzi mnie bronchit, każdej nocy! Przebycie piętnastu kilometrów na wynajętej chabecie w czasie okropnej zimy może sprawić, że za miesiąc podążę śladem pastora Whitwortha! A kto skorzysta na mojej obecności na pogrzebie? Nie Whitworth, który już nie żyje i znajduje się wśród błogosławionych. Matka i wdowa, niewątpliwie, a poza tym inni duchowni mieszkający w okolicy – tylko oni skorzystaliby na mojej obecności... – Umilkł i długo, niemal z przyjemnością kasłał w chusteczkę. –

Wiatr wieje przez szparę pod drzwiami i już dwa miesiące hula po domu. W sypialni jest zimno. W nocy przykrywamy się ubraniami, ale ciężko mi pod nimi kasłać, więc je zrzucam. Dzień i noc dręczy mnie straszliwe zimno, dzień i noc...

Zegar w marmurowej oprawie stojący na kominku wybił ósmą. Pastor Odgers ciaśniej okręcił się kocem.

– Piszę w tej chwili do biskupa, tłumaczę swoją sytuację, swoje nieszczęście... Słucham? Nie, nie sugeruję, że ktoś go zabił. Po prostu spadł z konia. Spadł z konia i skręcił kark. Znalezione go o północy z jedną nogą w strzemieniu. Skręcił kark. – W głosie duchownego pobrzmiwało niechrześcijańskie zadowolenie. Kiedy funkcję tytularnego proboszcza sprawował pastor Webb, Odgers cierpiał biedę, lecz miał spokój. Zwierzchnictwo Whitwortha było męczarnią. – Nie, nie – ciągnął. – Nie wiem

nic więcej. – Spojrzał na Drake'a i po raz pierwszy przestał myśleć tylko o sobie. Na jego twarzy pojawiła się podejrzliwość. – Co to ciebie obchodzi, chłopcze? Co to ciebie obchodzi? Jutro masz wziąć ślub z jedną z dziewcząt ze wsi, prawda? Mary Coad? Nie, Rosiną Hoblyn, właśnie tak. Odbędzie się sześć ślubów. Mam nadzieję, że dam sobie radę.

– Dziękuję – odparł Drake. – Dziękuję, pastorze.

– Dlaczego o to pytasz? – odezwał się Odgers. – Dlaczego cię to interesuje?! – zawołał, gdy Drake zamykał drzwi. Młody człowiek odszedł i pozostał tylko przeciąg.

Drake pojechał na wzgórze, na którym stał dom modlitwy metodystów. Widział stamtąd zarówno dach chaty Samuela, jak i kominy Nampary. Rozmowa z bratem nie mogła pomóc, bo doskonale wiedział, co powie Samuel. Był tego pewien. Lepiej byłoby pomówić z Demelzą – zrozumiałaby, domyśliła się, jak teraz cierpi. Jednak to ona częściowo przyczyniła się do jego zaręczyn z Rosiną, nie ma co do tego wątpliwości. Wysłucha go i okaże współczucie – czy Demelza mogłaby postąpić inaczej? – lecz doradzi to samo co brat. Nikt, nikt mu nie pomoże, wszyscy są uprzedzeni. Powinien ufać tylko sobie.

Zjechał w dół do Nampary, przebył jałowy skrawek ziemi i dotarł do furtki prowadzącej na plażę Hendrawna. Zsiadł z kuca, zarzucił wodze na palik, zostawił zwierzę i ruszył na samotny spacer po plaży.

Nie był to dobry dzień na przechadzkę brzegiem morza, lecz pogoda pasowała do nastroju Drake'a. W tej chwili na niebie świeciło blade słońce, a chmury rozwiewał wiatr – płynęły smugami na wyblakłym niebie, a później szybko znów zbijały się w ławice. Zaczynał się przypyływ, szumiał przybój, świszczwał i wył wiatr. Wodę pokrywała wirująca piana.

Szedł przez godzinę, smagany wiatrem, chwilami zataczając się pod jego podmuchami. Minął święte źródło, gdzie kiedyś – wydawało się, że działo się

to wiele, wiele lat temu – on, Geoffrey Charles i Morwenna nakreślili trzy krzyże nad powierzchnią wody, odmówili modlitwę i wypowiedzieli sekretne życzenia. Pomyślał, że mogliby równie dobrze modlić się do szatana.

Dotarł do podnóży Czarnego Klifu, gdzie z ciemnej wody wystawał ponury szkielet rozbitego brygu. Odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Piasek był bardzo miękki i Drake czasami zapadał się tak głęboko, jakby kroczył w grubej warstwie śniegu. Woda szybko się podnosiła – trwał przypiływ. Fale zalewały piasek i cofały się do morza, pozostawiając bąble piany, które porywał wiatr i niósł w stronę klifów, gdzie wreszcie pękały. Przypiływ zmusił Drake'a do wyjścia na ląd przed klifami Wheal Leisure: próba dotarcia do następnej łąchy piasku byłaby samobójstwem. Może rozwiązałyby to wszystkie problemy? Ale czyje? Tylko własne, postąpiłby jak tchórz.

– O Boże – powiedział. – O Panie... – Zatrzymał się. – „Pan mię rządzi, a ninaczem mi schodzić nie będzie. Na miejscu paszy tam mię posadził: nad wodą posilenia wychował mię...”¹ – Popatrzył na wzburzone morze i zastanawiał się, czy spacer przyniósł mu ulgę. Czy w czasie tego długiego, męczącego marszu w ogóle myślał?

Może. W jego głowie powstawały myśli i decyzje, choć bardziej pod wpływem uczuć niż logiki. Wydawało się, że poranne wiadomości tak nim wstrząsnęły, że przez jakiś czas nie zdawał sobie sprawy, kim jest. Ochłonał już z szoku wywołanego nowinami i odzyskiwał równowagę. Wspiął się na klif, po chwili minął opuszczone szopy i kamienne budynki Wheal Leisure.

III

Wiadomość o tym, że Drake opuścił kuźnię, dotarła do Demelzy rankiem w Wielką Niedzielę. Przyniósł ją Samuel.

Popatrzyła na brata.

– Przecież... przecież dziś ma się żenić! Wszyscy idą na wesele... Co to właściwie znaczy, Samie?! Jak to opuścił kuźnię? Dokąd poszedł...? – Zasłoniła dłonią usta. – O Boże!

Samuel skinął głową.

– Obawiam się, że to prawda. Modliłem się, by do tego nie doszło.

– Dowiedział się o śmierci pastora Whitwortha? Chyba tak. Ale co... Jesteś pewien? Nie mógł tego zrobić. Jest zaręczony z Rosiną! Nie mógł jej zostawić w dniu ślubu! To byłoby zbyt okrutne!

Samuel przestąpił z nogi na nogę.

– Uczucia Drake'a są bardzo silne, siostró. Potrafi trwać przy swoim, choćby popełniał błąd. Dawniej, gdy poszukiwał Boga, często były z nim kłopoty. Czasem bardzo się męczył i nie mógł się uwolnić...

– Tu nie chodzi o religię! – przerwała Demelza. – Wybacz, Samie, nie chcę cię urazić, ale nie wszyscy rozumiemy prawdziwe znaczenie wielu rzeczy. Dla mnie – w tej chwili – i dla większości ludzi ważniejsze wydają się sprawy doczesne. Ktoś... ktoś mówił Rosinie?

– Drake jej powiedział – odparł Samuel. – Wczoraj wieczorem. Rozmawiali przez dziesięć minut, a potem odszedł.

– Odszedł?

– Po prostu odszedł. Zdaje się, że zanim oświadczył się Rosinie, opowiedział jej wszystko o swoich kłopotach. O tym, że kochał tamtą młodą kobietę, że to największa miłość jego życia, ale wszystko już skończone i czy Rosina zgodzi się za niego wyjść. Zgodziła się. Wczoraj wieczorem błąd i roztrzęsiony pojawił się nagle w jej chacie. Bogu dzięki, że Jacka był w szynku. Powiedział, że ta młoda kobieta owdowiała, że bardzo cierpi i on musi się z nią zobaczyć, może jakoś jej pomoże, powinien być przy niej. A Rosina...

– Tak?

– Nie mogła go zatrzymać. Próbuje zrozumieć.

– O Boże! – westchnęła Demelza. Ostatnio rzadko używała dawnego zawołania. – Więc ślub się nie odbędzie.

– Na to wygląda. Nie ma Drake’a.

Demelza zrobiła kilka kroków, gryząc kciuk.

– Nie powinnam była się wtrącać.

– Słucham?

– Wiesz, Samie, równie dobrze jak ja, że namawiałam go do tego małżeństwa, uważałam, że tak będzie dla niego lepiej.

– Prawda, prawda... Rosina byłaby dla niego dobrą żoną. Byliby szczęśliwi i razem służyli Chrystusowi.

– Może. Lecz nie teraz. Chyba że...

– Co?

Z desperacją machnęła ręką.

– Nie ma już żadnej nadziei, prawda? Jak to znosi Rosina?

– Dobrze się trzyma.

– Biedactwo. Ale jej rodzice nie będą zadowoleni, Sam.

– Tak... Jacka ledwo wpuszcza mnie do domu. Purpurowieje na twarzy. Uważa, że jako brat Drake’a ponoszę część winy.

Demelza zacisnęła dłoń i uniosła ją do czoła.

– Boże, Samie, co to się porobiło! Szkoda, że nie ma Rossa! Żałuję, że stale wyjeżdża! Co możemy zrobić?

– Nic. Chyba tylko czekać.

– Nie tylko Jacka. Ludzie we wsi... Nie powinno się obiecywać dziewczynie małżeństwa, a potem jej porzucać! Jesteście ciągle uważani za obcych. Illuggan jest daleko. Ludzie cię lubią. Lubili także Drake’a, ale jeśli ktoś z innej wioski obiecuje to, co Drake, a potem rzuca dziewczynę na dzień przed ślubem, gdy wszystko jest przygotowane w najdrobniejszych

szczegółach... Jest jeszcze Art Mullet. Parthesia z pewnością jest wściekła i będzie go podpuszczać. Drake może nie być bezpieczny, gdy wróci – jeśli wróci.

– Tak – rzekł Samuel. – Jeśli Drake wróci, może mu grozić niebezpieczeństwo. Zwłaszcza gdyby przyprowadził ze sobą tę młodą kobietę.

– To niemożliwe – odpowiedziała Demelza.

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Księgi Psalmów, XXII, 1–2, s. 534.

[\[wróć\]](#)

Rozdział siódmy

I

Pogrzeb wielebnego Osborne'a Whitwortha, bakałarza nauk wyzwolonych, proboszcza kościoła Świętej Małgorzaty w Truro i tytularnego proboszcza kościoła Świętego Sawle, rozpoczął się o jedenastej w Wielki Poniedziałek. Pogrzeb Nathaniela Pearce'a, który zmarł w sobotę, odłożono do wtorku. (Nie można wykluczyć, że kiedy stary, głuchy Pearce mrugnął i uśmiechnął się złośliwie, przeczuwał, że Ossie znajdzie się na cmentarzu przed nim).

Nabożeństwo odprawił stary doktor Halse, a w uroczystej ceremonii pogrzebowej wzięła udział większość miejskich notabli. Wdowa i jej teściowa miały na sobie długie czarne suknie i woalki, które zasłaniały ich twarze przed wzrokiem gości, choć w pewnym momencie lady Whitworth uniosła woalkę i rozejrzała się wśród zgromadzonych podkrążonymi, przenikliwymi oczami, jakby chciała się przekonać, czy w pogrzebie uczestniczą wszyscy, którzy powinni przybyć. (Zwracała uwagę nieobecność wielebnego Odgersa, która wywołała złośliwe komentarze). Wśród gości był Arthur Solway, nie pojawiła się natomiast pani Solway, co wydawało się tym dziwniejsze, że z Bodmin przybyła pani Chynoweth w towarzystwie córki Garlandy. Później okazało się, że pani Solway wyjechała.

Pojawiło się kilku nieznanym, choć w mieście wszystkie ważniejsze osoby dobrze się znały. Uwagę zwracał wysoki młody mężczyzna o ciemnych włosach, w prostym ubraniu, który stał w tylnej części kościoła, a później za

plecami gości otaczających grób. Morwenna go nie widziała, bliska załamania nerwowego, nie patrzyła na nikogo, ale poznała go Elizabeth, wsparta na ramieniu George'a. Nie powiedziała o nim mężowi, lecz postanowiła porozmawiać z młodym człowiekiem, jeśli nadarzy się sposobność. Kiedy jednak rozejrzała się wśród gości pod koniec pogrzebu, już go nie dostrzegła.

Po pogrzebie podano herbatę, ciastka, słodkie bułeczki, dżemy, galaretki i szarlotkę. W ciągu ostatnich kilku lat w Kornwalii, zwłaszcza wśród klas wyższych, przestano organizować wystawne uroczystości pogrzebowe popularne w poprzedniej dekadzie, kiedy rodziny rywalizowały ze sobą pod względem przepychu. Doszło do tego, że niektórzy zamożni ludzie żądali, aby grzebano ich w nocy, by uniknąć takich ekstrawagancji. Lady Whitworth, całkowicie panująca nad sytuacją i nieokazująca oznak żalu po śmierci syna, zarządziła, że po pogrzebie odbędzie się skromne przyjęcie z herbatą i ciastkami.

Trwało ono do drugiej, po czym prawie wszyscy goście się rozeszli. Krewni zebrali się w salonie, by wspominać zmarłego. Obecni byli pan Pardow, adwokat rodziny z St Austell; Morwenna wraz z tęgą Garlandą, gotową pomóc siostrze we wszelkich sprawach; lady Whitworth, o kwadratowej twarzy, kwadratowych ramionach i szorstkim głose; Amelia Chynoweth, matka Morwenny; Elizabeth Warleggan, kuzynka Morwenny, jak zawsze krucha i piękna; oraz George Warleggan, którego wbrew jego chęciom przekonano, by został.

Rozmawiano o problemach, które należy rozwiązać. Ile pieniędzy zostawił pastor Whitworth, jak długo Morwenna i troje dzieci Ossiego mogą mieszkać na plebanii, czy lady Whitworth jest gotowa w dalszym ciągu wspierać finansowo rodzinę syna (Morwenna po raz pierwszy o tym usłyszała)? Czy Morwenna, gdyby należało szybko opuścić dom, mogłaby zamieszkać z lady Whitworth lub panią Chynoweth aż do znalezienia odpowiedniego lokum?

Lady Whitworth niechętnie przyznała, że w jej posiadłości w pobliżu Goran znajduje się chata, którą zajmuje w tej chwili pastuch, kawał łajdaka. Doprowadził chatę do ruiny, lecz po niewielkim remoncie można by ją przekształcić w przytulny domek dla kilku osób. Niestety, studnia znajduje się daleko, obok dworu, a John Conan nie może pić deszczówki z beczki. W trakcie rozmowy stało się oczywiste, że lady Whitworth ma ściśle określone priorytety. Najpierw John Conan, później dwie córki Ossiego, a na końcu synowa. Dwie dziewczynki były znacznie mniej ważne od męskiego potomka, Morwenna prawie się nie liczyła.

Kiedy Amelia Chynoweth zabierała głos, lady Whitworth natychmiast jej przerywała. Wcześniej spotkały się tylko raz, w Trenwith tuż przed ślubem. Lady Whitworth miała niskie mniemanie o całej rodzinie Chynowethów, zwłaszcza o Amelii, którą uważała za rozlazłą, niezdecydowaną. Młoda kobieta poślubiona przez syna była kompletnym zerem pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia, choć dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności urodziła ładnego, żywego, krzepkiego chłopca, dziedzica nazwiska ojca.

Kompletne zero, przygnębiona młoda kobieta z dzikimi oczami, o której przyszłych losach rozmawiano, nie wypowiedziała ani słowa, tylko myślała: To spotkanie sprawiłoby Ossiemu wielką przyjemność. Jaka szkoda, że nie może w nim uczestniczyć... Ale nie żyje. Dlaczego ja żyję, dlaczego tu jestem? Jaki jest sens mojego życia? Powinam umrzeć i również zostać pochowana w odległym zakątku cmentarza, jak najdalej od jego miejsca spoczynku. Próbował dowieść, że jestem obłąkana – miał nadzieję, że umieści mnie w zakładzie. Wtedy byłam równie normalna jak on. Ale nie teraz. Lada chwila – lada chwila – coś pęknie mi w głowie, zacznę wyrywać sobie włosy i wrzeszczeć! Rozmawiają o mnie, jakbym była paczką, jakbym nie istniała. W gruncie rzeczy to prawda. Już nie istnieję. Nic we mnie nie zostało – wszystko odeszło: umysł, ciało, nawet dusza. Jestem pusta, jestem szkieletem

w kobiecym stroju, opuściły mnie uczucia, rozum, sentymenty, dobroć, wiara. Nie muszą mnie chować na cmentarzu, bo już nie żyję. Zostały tylko popiół, pył, piasek, ziemia, krew, nasienie, mocz, ropa, ekskrementy, nawóz...

– Przepraszam, mamie – odezwała się Garlanda. – Morwenna źle się czuje. Gdybym mogła ją zaprowadzić do pokoju...

– Naturalnie.

Garlanda wyprowadziła zataczając się Morwennę. Z holu dobiegły odgłosy jej wymiotów i zapadła cisza.

– Co pan o tym sądzi, panie Warleggan? – spytała lady Whitworth. George był jedyną osobą w salonie, która budziła w niej jakiś szacunek.

Warleggan spojrzał na nią beznamiętnie. Zauważył szorstką, obficie upudrowaną twarz, małe oczka, fałdy skóry pod szyją.

– Moje zainteresowanie tą sprawą, jak pani wie, wynika tylko stąd, że moja małżonka jest kuzynką pani synowej. Uważam, że najpierw powinniśmy dowiedzieć się czegoś o długach pastora Whitwortha. Dopiero potem możemy ocenić, jakie środki pozostaną na utrzymanie wdowy i dzieci.

– Długi?! – Lady Whitworth wyraźnie się najeżyła. – Nie sądzę, by Osborne miał długi!

– W chwili ślubu z Morwenną ciążyło na nim kilka poważnych zobowiązań finansowych.

Doszło do krótkiej wymiany zdań, w której uczestniczyli mecenas Pardow i Amelia Chynoweth.

W tym roku Elizabeth się postarzała, pomyślał George. Jej włosy nie lśnią już tak jak dawniej, jednak dodatkowe zmarszczki wokół oczu sprawiają, że jej twarz jest bardziej atrakcyjna, pełna siły i charakteru. Za dziesięć lat będzie jeszcze piękniejsza. To dla niej siedzę w tym dusznym salonie, słuchając starej, złośliwej maciory, która kwiczy, że straciła warchlaka. Ci ludzie w ogóle mnie nie obchodzą. Obchodzi mnie to, że James Scawen

wreszcie zgodził się sprzedać mi dość budynków w okręgu wyborczym St Michael i że za kilka miesięcy będę kontrolował ten okręg. Dwa mandaty poselskie. Natychmiast pozbędę się Howella i jesienią zastąpię go jako poseł do Izby Gmin. Spłcę Wilbrahama, nominuję kogoś, kto będzie wykonywał moje polecenia – kogo? – trzeba się rozejrzeć – tu albo w Londynie. Kogoś takiego jak Monk Adderley, kogo nie obchodzi, jak głosuje, dopóki jest posłem i ma związane z tym przywileje. Szkoda, że rodzina Warlegganów jest tak nieliczna. Sanson nie żyje, a jego syn to pijak. Cary nigdy się nie ożenił. Jego żoną są weksle grzecznościowe.

Garlanda wróciła z wiadomością, że Morwenna leży w łóżku i że czuwa przy niej opiekunka do dzieci. Za kilka minut znów zajrzy do siostry. George zauważył w drzwiach swojego masztalerza i pstryknął na niego palcami.

– Musimy iść, moja droga – szepnął do Elizabeth i wstał. – Mam pilne sprawy.

Uczestnicy spotkania pożegnali się, wymieniając wyrazy troski i sympatii. Amelia Chynoweth wydawała się przerażona perspektywą szybkiego wyjścia Warlegganów, ponieważ musiałyby spędzić resztę dnia z dominującą i bezwzględną lady Whitworth. Tylko obecność George'a zapewniała coś w rodzaju równowagi.

Lecz nie można było zatrzymać Warlegganów. Ze stukotem odjechali na pięknych koniach w stronę gościńca. Podążał za nimi masztalerz.

Na rozstajach dróg, gdzie drzew było mniej, Elizabeth ściągnęła wodze i rozejrzała się po okolicy.

– Zdaje się, że to tu zginął Whitworth. Rzeczywiście, niektóre gałęzie wiszą nisko, ale to dziwne, że taki dobry koń się spłoszył. Mimo wszystko czuję, że stało się coś niezwykłego.

– Może przynajmniej raz w życiu był pijany? – prychnął George.

– Skąd wracał? Odwiedził starego Pearce'a?

– Panna Pearce mówi, że spędził z nim dwadzieścia minut. Nie widziano go w żadnej gospodzie ani szynku. Czy to ważne? Nigdy za nim nie przepadałaś. Ostatnio ja również nie.

– To po prostu... bardzo dziwne – odparła Elizabeth. – Dużo o tym myślałam... Na pewno było to nieszczęśliwe małżeństwo...

– Ja je zaaranżowałam – rzekł George.

– Cóż... nie mogłeś tego przewidzieć.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, George pomyślał, że Elizabeth nigdy nie robi mu wymówek: jest to jedna z jej wielkich cnót. Zawsze stawała po jego stronie, nawet jeśli w prywatnych rozmowach kwestionowała jego sposób postępowania. Coraz lepiej rozumiał, jak absurdalne są podejrzenia związane z Rossem Poldarkiem. Zatruta strzała konającej ciotki Agathy wreszcie została usunięta z jego serca. Prawie. Przed dwoma laty nie wyobrażał sobie, że jego małżeństwo może być tak szczęśliwe. Jeszcze nie wspomniał Elizabeth o swoich ambicjach. Wiedział jednak, że będzie zadowolona z powrotu do Londynu i że nowe plany sprawią jej przyjemność. Jeśli je zrealizuje, mogą być dla niej czymś w rodzaju prezentu urodzinowego...

Jadąc ulicami Truro, minęli okolice St Clement Street i Elizabeth wspomniała o „biednym panu Nathanielu”. George nie odpowiedział. Teraz, po śmierci Nata Pearce’a, Cary wreszcie zaczną działać. Nie będzie to miłe. Elizabeth nigdy nie lubiła stryja. Uważała, że ma zły wpływ na George’a. To samo sądził Cary o Elizabeth. George wiedział, że żona potępiłaby machinacje Cary’ego, i zastanawiał się, czy go nie powstrzymać, dopóki nie jest za późno. Wydawało się jednak wątpliwe, czy zdołaliby to zrobić. Cary miał w banku mnóstwo pieniędzy i trudno byłoby go skłonić do zmiany planów. Gdyby George i Nicholas zjednoczyli siły, mogliby tego dokonać, ale czy warto wywoływać awanturę, skoro Cary w niezbyt etyczny sposób może osiągnąć cel, na którym im wszystkim zależy – zniszczyć bank Pascoe, a jednocześnie

utrzcę nosa Rossowi Poldarkowi?

Cary niemal osiągnął pierwszy z tych celów w czasie ogólnokrajowego kryzysu przed dwoma laty. Działał wtedy częściowo przy aprobacie George'a, lecz próba zakończyła się fiaskiem, gdyż bank Pascoe w ostatniej chwili otrzymał pożyczkę od Basseta, Rogersa i Spółki, innego banku z Truro. W rezultacie doszło do ochłodzenia stosunków między Basetem a Warlegganem, a ich rozwijająca się współpraca nagle się zakończyła. Konflikt między George'em Warlegganem a lordem de Dunstanville'em sprawił, że George w końcu stracił mandat poselski na rzecz Rossa Poldarka.

Długi, skomplikowany ciąg przyczyn i skutków. Niestety pokazał, że postępowanie Cary'ego może szkodzić dobremu imieniu Warlegganów i ambicjom George'a. Obecnie chodzi przede wszystkim o to, czy machinacje Cary'ego wyjdą na jaw. Jeśli tak, Warlegganowie stracą część swojego dobrego imienia. Czy to nieuniknione? Czy nie można zwalić całej winy na Pearce'a, który dopuścił się defraudacji? Należy o to zadbać. George postanowił spotkać się tego wieczoru ze stryjem. Postąpiłby krótkowzrocznie, gdyby pozwolił, by kojarzono jego nazwisko z próbą zrujnowania konkurencyjnego banku. Był zbyt wybitną postacią.

Dotarli do wielkiej rezydencji Warlegganów w Truro. Przed dom wybiegli lokaje w liberiach, aby pomóc im zejść z koni. George wszedł za Elizabeth po schodach, patrząc na jej pantofle z kozłej skóry i szarą aksamitną suknię, pod którą od czasu do czasu pojawiała się biała halka. Odwrócił się przed drzwiami i spojrzął na krzywe ściany i dachy domów niewielkiego miasta, gdzie zrobił karierę i zdobył fortunę. Był zadowolony z życia.

II

Jacka Hoblyn pił bez przerwy od dwóch dni.

W niedzielę rano, gdy wszystkiego się dowiedział, doszło w domu do straszliwej awantury. Uderzył żonę i walnął Rosinę w głowę, jakby to one były winne, po czym wypadł z domu i pobiegł szukać Drake'a, by złoić mu skórę. Nie znalazł jednak młodego Carne'a, kuźnia była pusta, palenisko prawie wygasło, a na pytania wywrzaskiwane przez Hoblyna odpowiadał tylko przerażony dwunastolatek. Kowal Carne wyszedł. Nie wiadomo, kiedy wróci. Nikt tego nie wie. Dom jest pusty. Szuka go brat. Kowal Carne opuścił dom poprzedniego wieczoru i nie wrócił.

Rozwścieczony Jacka przewrócił kopniakami kilka cebrażyków i ruszył w drogę powrotną. W połowie drogi spotkał Arta Mulleta, który również szukał Drake'a. Skierowali się do szynku Sally Tregothnan, gdzie spędzili cały dzień na picciu. Podobnie jak Jacka, Art chciał ukarać drania, który porzucił Rosinę, lecz jak go ukarać, skoro go nie ma? Oczywiście w pobliżu kręci się jego świątobliwy braciszek, ale nawet pod wpływem alkoholu nie zdecydowali się pobić jednego mężczyzny za grzechy drugiego, tylko dlatego, że są spokrewnieni.

Zirytowały ich także niejednomyślne reakcje ludzi zebranych w szynku Sally-Na-Rozgrzewkę. Wszyscy przyznawali, że Drake postąpił źle. Kilka osób przypuszczało, że poszedł do młodej baby z Truro, która niedawno owdowiała, inni zaś sądzili, że po prostu zmienił zdanie o Rosinie i wyniósł się na kilka dni, by sprawa przycichła. Wielka szkoda, że spotkało to właśnie Rosinę, którą wcześniej oszukał Charlie Kempthorne. Nie było miłszej, ładniejszej dziewczyny niż Rosina. Nie zasłużyła na to, by dwa razy złamano jej serce, bidulka... Dobrze, że nie wyszła za Charliego Kempthorne'a, ale... Chociaż Drake uciekł prawie przed ołtarza, nikt nie twierdzi, że ją wykorzystał, co często się zdarza w dzisiejszych czasach. W porządku, Jacka, wiemy, co chcesz powiedzieć – dziewczynę można wykorzystać na wiele sposobów. Chłopak złamał słowo, lecz nikt go nie oskarża, że spróbował tortu,

nim go kupił, albo dobrał się do miodu, za który nie zapłacił. Bracia Carne'owie to dobre chłopcy, zawsze postępują uczciwie.

– Dobrze chłopcy! – ryknął Jacka. – Jak tylko ten dobry chłop wpadnie w moje ręce, rozwalę mu łeb!

Oczywiście część mężczyzn stawała po stronie Hoblyna, lecz nie było jednomyślności. Demelza miała rację, że jej bracia są uważani za obcych – pozostaną obcymi do śmierci. Za swoich uznawano tylko tych, którzy pochodzili z miejsc oddalonych o nie więcej niż dziesięć kilometrów. Drake i Samuel to jej bracia, a zarazem szwagrowie Rossa Poldarka, co ma duże znaczenie. Gdyby byli aroganccy, pyszni albo kłótlivi, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej: szybko utarło by im nosa, nie zważając na kapitana Poldarka. Ale nikt o zdrowych zmysłach nie może oskarżyć braci Carne'ów, że są złymi ludźmi. Nieszczęśliwie się zdarzyło, że jeden z nich porzucił miłą dziewczynę. Większość mrucała i powtarzała, że to wielka, wielka szkoda.

W poniedziałek gniew Arta Mulleta nieco osłabł. Musiał doglądać kóz i zadbać o sieci rybackie. Nie mógł spędzać całych dni na picciu ginu i wykrzykiwaniu gróźb. Jednak alkohol stale podsycił wściekłość Hoblyna, którą ten łagodził nowymi porcjami trunku. O zmroku poszedł do szynku w górnej części kotliny Sawle, zwanego szynkiem U Doktora, gdzie spotkał Toma Harry'ego i Dicka Kenta, gajowych z Trenwith. Ludzie Warleggana nie byli popularni w okolicy. Szczególnie nie lubiano Toma Harry'ego i Dicka Kenta: żaden z nich nigdy nie chodził do szynku Sally-Na-Rozgrzewkę, bo nie spotkaliby się tam z miłym przyjęciem. Jednak szynk U Doktora, prowadzony przez mężczyznę o nazwisku Warne o szczerzej twarzy, nie był tak elitarny, toteż w ciągu ostatnich lat stał się ulubionym miejscem gajowych z Trenwith, gdy mieli wolne.

Jacka Hoblyn osiągnął w tej chwili stan pozornej trzeźwości. Nie zwrócił na nikogo uwagi i z ponurą miną ruszył do ławy w rogu, trzymając w ręku

butelkę. Tom Harry szturchnął łokciem Dicka Kenta, po czym podszedł do Hoblyna, usiadł na sąsiedniej ławie i nawiązał z nim rozmowę. Skinął na Kenta, by do nich dołączył.

Jacka wreszcie znalazł kogoś, kto naprawdę go rozumiał i okazywał mu współczucie. Podobnie jak sąsiedzi, nie lubił gajowych Warleggana, lecz teraz zdał sobie sprawę, że źle ich oceniał. Mieli taką samą opinię o Drake’u jak Hoblyn, uważali go za tchórza, kłamcę i oszusta, który złamał serce niewinnej dziewczynie. Złamał słowo, był śmierdzielem, nędznym oszustem, robakiem, który nie ma prawa pełzać po ziemi, hańbą Sawle. Skompromitował rodzinę Hoblynów.

– Gdybym mógł, skatowałbym go na śmierć – rzekł Jacka, ocierając usta wierzchem dłoni. – Batem. Końskim batem. Załatwię go, mówię wam, jak amen w pacierzu!

– Wrócił – powiedział Tom Harry.

– Wrócił?! Kiedy? Gdzie? Nie widziałem go! Gdzie jest?!

– Słyszałem, że w kuźni – odparł Tom. – Ale sam go nie widziałem. Tylko słyszałem. Prawda, Dick?

– Cóż... nie wiem – rzekł Kent. – Słyszałeś o tym, Tom? Cóż, może... Tak, chyba tak.

Po chwili trzech mężczyźni opuścili szynk i poszli w stronę kuźni Pally’ego. Długo schodzili stromym zboczem. W St Ann’s na sąsiednim wzgórzu migotało kilka świateł. W domu Drake’a panował mrok. Kiedy znaleźli się na dole, Tom Harry podszedł do drzwi i walnął w nie pięścią. Żadnej odpowiedzi.

Jacka splunął.

– Palenisko wygaszone. Nikogo nie ma.

– Chyba słyszałem, że tu jest. Może chowa się w chacie i boi się pokazać? Co ty na to, Jacka? Sprawdźmy.

Drzwi do domu były zamknięte, lecz słaby zamek ustąpił po trzecim

uderzeniu. Wpadli do środka. Jacka, idący na początku, potknął się o krzesło i zaklął.

– Do licha, ciemno jak w worku druciarza! Jakbym mógł...

– Jest tu kto?! – wrzasnął Tom Harry. – Wyłaż, Drake'u Carne! Chcemy z tobą pogadać! Wyłaż, ale już!

Krążyli w mroku, aż wreszcie Dick Kent skrzesał ogień i zapalił świecę. Zobaczyli skromnie umeblowaną kuchnię. Na stole leżało trochę chleba i nadpsuty króliczy udziec. Dzban wody, cynowy kufel z herbatą. Harry przewrócił kopniakiem stół i naczynia spadły z trzaskiem na podłogę.

– Spokojnie, spokojnie – rzekł Kent. – Ludzie pomyślą, że to wojna.

– Bo jest wojna! – rzucił Jacka. Rozglądał się po kuchni jak rozjuszony byk, lecz nie wiedział, w którą stronę szarżować. – Ale ten śmierdziel się chowa i nie chce walczyć.

– Możemy mu zniszczyć miłosne gniazdko! – powiedział Tom Harry, wychodząc z niewielkiej głównej izby domu, do której prowadziło kilka stopni. – Daj świecę, Dick!

– Ostrożnie, ostrożnie, uważaj! Zaprószysz ogień!

– Spalę tę budę do fundamentów! – warknął Jacka przez popsute zęby, kołyszając się. – Spalę do fundamentów, na Boga!

– Spalmy ją! – warknął Tom Harry. – Żaden problem. Spalmy! Chodź, Jacka, ty powinieneś to zrobić. Zobaczymy, czy gryziesz równie dobrze, jak szczekasz!

Hoblynowi wsunięto do ręki skwierczącą, rozkołysaną świecę. Zaklął, gdy kapnął mu na palce gorący łój. W izbie poruszały się cienie. W końcu Jacka zbliżył świecę do jednej z tanich zasłon. Szybko się zapaliła, zgasła, znów zapłonęła.

– Hej, nie chcę się w to bawić! – rzekł Kent. – Nie wciągajcie mnie w to. To nie moja sprawa! – Wyszedł z domu.

Jacka spoglądał na płomień pełznący po zasłonie. Czuł lęk i wściekłość.

– Skończmy z tym – zakomenderował Tom Harry. – Niech oszuści, kłamcy i dranie smażą się w piekle! Co ty na to, Jacka? – Rzucił Hoblynowi obrus. Świeca o mało nie upadła, lecz Hoblyn ją utrzymał i podpalił obrus. Później zaniósł go do niewielkiej głównej izby i położył tam, gdzie płomień zaczął lizać deski pod strzechą.

Odczekali jeszcze kilka minut, by się upewnić, że ogień nie zgaśnie. Dick Kent już odszedł. Podążyli za nim i wdrapali się na wzgórze w stronę Sawle. Usiedli na szczycie, zdyszani. Spoglądając w dół, zobaczyli, że kuźnia Pally’ego nie jest już pogrążona w mroku. W jednym z okien paliło się żółte światło. Uznali, że lepiej się nie zatrzymywać i nie obserwować dalszego ciągu.

III

Morwenna po raz pierwszy zobaczyła Drake’a we wtorek po południu. Całą noc źle się czuła, prześladowana przez straszliwe koszmary. Ossie leżał obok niej w łóżku w całunie. „Najpierw odmówmy krótką modlitwę – namawiał ją. – Siejmy sprośność, bądźmy jak zwierza w Ephezie, psujmy dobre obyczaje; stał się pierwszy człowiek Adam w duszę żywiącą, pośledni Adam w ducha ożywiającego, ale powstańmy w ciełe cielesnym w skazitelności!¹ Chodź, Morwanno, odmówmy krótką modlitwę, a potem pokaż mi swoje stopy...”. Dwukrotnie wyszła z łóżka i próbowała znaleźć nieistniejące drzwi w murze sypialni, w której przebywała wraz z żywym trupem Ossiego. Dwukrotnie wymiotowała ze strachu. Kiedy wstał świt, ze swojego pokoju przyszła do niej Garlanda i przytuliła ją w łóżku. To Garlanda przekonała w końcu Morwennę, że powinna wstać i stawić czoło nieznośnemu dniowi.

Do pokoju wszedł przez otwarte drzwi balkonowe Drake. Ociekał wodą.

– Drake! – powiedziała załamującym się głosem Morwenna.

– Morwenno!

Spoglądała na niego wytrzeszczonymi, dzikimi oczyma. Był mężczyzną i budził w niej przerażenie. Po chwili zrobił krok w jej stronę. Cofnęła się z trwogą.

– Nie...

– Morwenno, jestem tu od niedzieli. Próbowałem się z tobą zobaczyć, ale zawsze wokół byli ludzie...

– Drake – przerwała. – Nie...

– O co chodzi? – Odgarnął z czoła mokre włosy.

– Nie dotykaj mnie! Nie zbliżaj się do mnie! Nie... nie zniosę tego!

– Kochana, wiem, jak musisz się czuć...

– Naprawdę wiesz?! – Roześmiała się histerycznie. – Nic nie wiesz! Nikt nie wie! Nikt nie wie! Po tym, co mnie spotkało, jestem skażona, zbrukana... Nie nadaję się dla ciebie. Dla nikogo. Na zawsze.

– Kochana...

– Nie zbliżaj się! – Odsunęła się, gdy Drake znów zrobił krok w jej stronę.
– Proszę, odejź!

Spoglądał na Morwennę, ona zaś wpatrywała się w niego dzikim wzrokiem. Jej oczy były pełne nienawiści. Nie wierzył w to, co widzi. Nie znał tej kobiety, która patrzyła na niego jak na wroga.

– Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem – zaczął łamiącym się głosem. Jeszcze kilka minut temu jego serce było pełne nadziei, lecz teraz wypełniał je lodowaty strach. – W sobotę rano pewien człowiek wspomniał mi o śmierci twojego męża. Poszedłem do pastora Odgersa i spytałem, czy to prawda. Przykro mi, przykro mi, że to się stało, ale kiedy zrozumiałem, że jesteś zupełnie sama, rzuciłem wszystko i przyszedłem. – Uniósł dłoń, próbując wygładzić włosy. – Spałem pod drzewami, Morwenno, więc wybaczone, że tak

wyglądam. Codziennie próbowałem porozmawiać z tobą sam na sam, ale wokół było tylu ludzi... Myślałem, że mogę pomóc. Może później, jeśli nie będziesz już taka zdenerwowana... Wrócę.

Morwenna odetchnęła głęboko. Z trudem powstrzymywała wymioty.

– Nigdy nie wracaj, Drake. Nigdy nie wracaj... Jeśli chodzi ci o to, żeby... Drake, to przeszłość. Wszystko skończone. Nie możemy zacząć od nowa. Jestem chora, chora, chora! To koniec, Drake. Koniec, koniec, na zawsze! Odejdź i zapomnij o mnie! Zostaw mnie, zostaw, zostaw!

Zaczęły mu drżeć ręce, więc ścisnął je, by nad nimi zapanować. Odwrócił się lekko w stronę okna, po czym znów znieruchomiał.

– Morwenna, nie możemy się rozstać w taki sposób...

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła brzydka, potężnie zbudowana kobieta z podkrążonymi oczami i zaciśniętymi wargami.

– Kim pan jest? – spytała i umilkła. – Morwenna, kim jest ta osoba?

Morwenna uniosła dłoń do oczu.

– Kimś, kogo kiedyś znałam. Już... już wychodzi. Poproś kogoś, by go wyprowadził.

1. Zniekształcone fragmenty Pierwszego Listu do Koryntian, por. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, List Pierwszy do Korynthów, XV, 32–33, 42–45, s. 194–195. [\[wróć\]](#)

Rozdział ósmy

I

Pożar kuźni Pally'ego wywołał większy skandal niż zniknięcie Drake'a. Złamanie obietnicy małżeństwa jest nikczemnym występkiem, lecz podpalenie to przestępstwo. Nikt nie wiedział, czy doszło do podpalenia, ale wszyscy tak uważali. W sobotę w kuźni wygaszono palenisko i dwie doby później w domu nie było już żadnego zarzewia ognia.

Wczesnym rankiem we wtorek do Nampary przyszedł Samuel i powiedział Demelzie, co się stało. Kazała osiodłać Judytę, a bratu pożyczyła kuca. Wokół dymiących zgliszcz stał niewielki tłum gapiów. Kamienne ściany przetrwały, lecz spalił się dach i większość mebli. Weszli do środka, omijając szerniałe belki.

– Jest coraz gorzej – powiedziała Demelza. – Jedno zło prowadzi do drugiego. O Boże, nie wiem, co robić!

– Nie ma wiele do roboty, siostró – odparł Samuel. – Trzeba się modlić o przebaczenie dla grzeszników.

– Czy grzeszymy, szukając szczęścia dla siebie i innych? To, co się stało... Jakby los się sprzysiągł przeciwko nam! Czy ludzie na to zasługują, żeby tak cierpieć?!

– Nie grzeszymy, szukając szczęścia dla innych – rzekł powoli Samuel. – Może błądzimy? Wydaje się nam, że wiemy, co jest dobre dla innych i dobre dla nas. Ale to nieprawda. Wie to tylko miłosierny Bóg.

– Czasami się wydaje...

– Co, siostrze?

– Och, nieważne.

– Najlepiej szybko wyrzucić z serca złe myśli.

– Czasami wydaje się, że Bóg w ogóle nie interesuje się ludzkim szczęściem.

– Nie zawsze musi się interesować ziemskim szczęściem – odpowiedział Samuel, zastanawiając się nad własnym losem. – Jeśli mu zawierzymy, odnajdziemy większe szczęście w wieczności.

Przez chwilę panowało milczenie. Demelza kopnęła cynowy talerz.

– Myślisz, że wróci, Samuelu?

– Drake? Kiedyś musi wrócić. Na pewno wróci, siostrze.

– Nie mógłby tu wrócić z panią Whitworth, która niedawno owdowiała. Jeśli coś... jeśli ciągle chcą być razem, może powinni opuścić te strony.

Samuel dotykał ścian, które ciągle były ciepłe.

– Odbudowa nie kosztowałaby dużo, gdyby prowadzić prace stopniowo. Spłonęło drewno i strzecha, to wszystko. Skóra, gwoździe i trochę mebli. Drake trzyma pieniądze w banku, siostrze. Ma dobry fach, który daje stałe dochody. Gdyby Bóg tak chciał, Drake powinien dalej pracować jako kowal.

– Z Morwenną?

– Ach... nie wiem. Nigdy jej nie widziałem. A ty?

– Dwa lub trzy razy. Zamieniłyśmy tylko kilka słów. Sama nie wiem...

Podeszła do nich, kulejąc, niska dziewczyna.

– Rosino...

– Chciałam z panią porozmawiać. Czy to nie straszne? Stała się okropna rzecz.

– Rzeczywiście, okropna – odparła Demelza. – Nie wyobrażam sobie, że pożar mógł być przypadkowy.

Rosina się zaczerwieniła.

– Ani ja, pani. Ale to nie przeze mnie. Myślę, że nie przeze mnie, naprawdę.

– Rozmawiałem z konstabłem Vage'em – powiedział Samuel. – Mógłby coś zrobić dopiero na polecenie sędziów. I czego miałby szukać? Wypytywanie wieśniaków nie ma sensu, bo kto się przyzna do podpalenia, skoro odważył się coś takiego zrobić?

Rosina spoglądała na Demelzę.

– Pani, naprawdę nie wierzę, że to mój ojciec ani żaden z jego przyjaciół. Ojciec był wściekły i przysiągł, że stłucze Drake'a na kwaśne jabłko, ale to coś zupełnie innego niż podpalenie domu.

– Czy Drake wspominał, co zamierza zrobić? – spytała Demelza.

– Moim zdaniem nie miał żadnych planów. Przyszedł do mnie i wyglądał tak koszmarnie, że o mało się nie popłakałam, a potem powiedział, co się stało. Mówił, że musi odejść z powodu swojej „poprzedniej miłości”. Tak to nazwał.

– Rosino, bardzo mi przykro. Bardzo ci współczuję.

– Dziwnie się czuję, pani. Bardzo lubiłam Drake'a i miałam... miałam różne marzenia o naszym życiu razem. Dziwnie się czuję, kiedy wszystko znikło w ciągu jednego dnia. Jakby to się nie zdarzyło, byłibyśmy już małżeństwem. Nawet gdyby się zdarzyło za tydzień, byłibyśmy małżeństwem. A wtedy Drake nigdy by mnie nie opuścił, wiem o tym.

II

Kiedy Demelza wróciła do domu, co nastąpiło znacznie później, bo jeszcze zajrzała do kopalni, zastała w Namparze sir Hugh Bodrugana. Pojawił się w złym momencie. Czowała się samotna, zmartwiona i wytrącona z równowagi.

Nie miała ochoty udawać wesołości wobec starego rozpustnika, chociaż w dziwny sposób polubiła sir Hugh, jak prawie każdą przykrość, od której nie można się uwolnić. Znali się od przeszło dziesięciu lat, uporczywie jej pożądał, kilka razy ją pocałował albo uszczypnął, gdy udało mu się ją zapędzić do kąta. To wszystko. Kilkakrotnie pomógł Demelzie i wyświadczał jej przysługi, a ona zawsze podle odmawiała zapłaty w jedynej walucie, która go interesowała. Jego pożądanie miało w sobie dziwną dobroduszość: kiedy Demelza strącała jego dłoń ze swojego kolana albo nie pozwalała zsunąć bluzki z ramienia, nie miał do niej pretensji, tylko po prostu szykował się do następnej próby.

Weszła do salonu i zobaczyła Bodrugana pochrapującego w najlepszym fotelu. Przywiózł dla niej podarunek: duży pęk żarnowca, który wcześniej zakwitł w oranżerii. Podziękowała z wdzięcznością – doskonale wiedział, że kwiaty w zimie sprawiają jej wyjątkową przyjemność – po czym usiadła dość daleko od niego. Nie wrócił na fotel, zajął miejsce tuż koło niej.

Przez chwilę prowadzili przyjazną, niezobowiązującą rozmowę. Wspomnieli o ostatnich nowinach na temat wojny, choć nie wydawały się go szczególnie interesować. Bonaparte zaatakował Syrię i walczył z Turkami – straszliwe okrucieństwa po obu stronach. Podobno próbuje zdobyć Akrę, gdzie turecki garnizon wspierają nieliczne oddziały angielskie. Nie da się go powstrzymać. Niejaki Wesley – niemający nic wspólnego z twórcą ruchu metodystycznego – dobrze sobie radzi w Indiach, walczy z sojusznikami Francuzów w Mysore. Demelza odpowiadała monosylabami, a następnie wstała i włożyła kwiaty do dwóch wazonów. Był to pretekst, aby znaleźć się poza zasięgiem rąk sir Hugh. Żółte płatki pokryły cały dywan, ponieważ bukiet, przywiązany do siodła Bodrugana i targany przez wiatr w czasie jazdy, dotarł do Nampary w kiepskim stanie.

Sir Hugh powiedział, że pani Fitzherbert znów żyje otwarcie z księciem

Walii. Krążą plotki, że papież ma zamiar uznać ich małżeństwo.

Bodrugan wykonał gwałtowny ruch i objął Demelzę.

– Mam cię! – oznajmił z triumfem.

Demelza popatrzyła na niego i usiłowała uwolnić rękę, by odgarnąć włosy z czoła. Pocałował ją w szyję.

– Nie, sir Hugh – powiedziała. – Rano źle to działa na trawienie.

– Nie przejmujmy się trawieniem, moja pani – odparł, gdy próbowała się wyswobodzić. – Zdaje sobie pani sprawę, jak mnie pani kusi?! Ma pani twarz i figurę ponętą jak ladacznica, ale zachowuje się pani, jakby chwila miłej przyjemności była czymś występny. Pani mąż jest daleko, nie widziała go pani od tygodni. Pani przysięga małżeńska to nie lakowa pieczęć, nie trzeba się nią przejmować.

– To porównanie jest dla mnie komplementem – powiedziała Demelza. – Niezwykłym komplementem. Wystarczy mnie podgrzać na jednym końcu i kapię na papier. Jest pan zbyt uprzejmy, sir Hugh.

– Naturalnie, że jestem uprzejmy.

– Muszę pana ostrzec, że w każdej chwili ktoś może wejść.

– Niech wchodzą. Sami to robią.

– Powinniśmy świecić przykładem. Tak mnie uczono.

– Źle panią uczono. – Zdał sobie sprawę, że Demelza lada moment może się wyrwać. – Zawrę z panią umowę, kochana. Pocałuje mnie pani – naprawdę, a nie jak kurczak dziobiący ziarno – a ja zdradzę pani tajemnicę.

– Jaka, sir Hugh?

– „Jaka, sir Hugh?” – czy te słowa nie brzmią pięknie w pani ustach? Cóż... chciałem to pani powiedzieć z przyjaźni – ostrzec panią – ale, do licha, odjadę bez słowa, jeśli nie przyjmie pani moich warunków.

– Może później. Kiedy pan już mi powie. Jeśli uznam to za ważne.

– Nie, nie. Już wiele razy oszukiwała mnie pani jak sprytna lisica. Dziś

trzeba rzucić pieniądze na stół.

Demelza spojrzała na Bodrugana. Jego wielka, toporna twarz znajdowała się za blisko. Mimo wieku włosy w nosie i krzaczaste brwi były w dalszym ciągu czarne.

– To ma coś wspólnego z pani mężem, kapitanem Poldarkiem.

– W jaki sposób?

– Aluzja. Ostrzeżenie. Coś, co słyszałem.

– Nie ma tu Rossa.

– Nieważne. Może pani do niego napisać. Może mogłaby pani działać w jego imieniu?

– Działać w jego imieniu?

– Może się to okazać konieczne.

Demelza się zawahała. Sir Hugh często słyszał różne plotki: miał dar szybkiego zdobywania nowych wiadomości.

– Cóż... – zaczęła.

Nie potrzebował kolejnej zachęty i przycisnął grube wargi do ust Demelzy. Wytrzymała przez chwilę, a gdy jego zachowanie stało się bardziej agresywne, uwolniła się i odwróciła, by ukryć swój niesmak.

– Do licha! – rzekł, oblizując wargi. – Do licha! Dawno nie próbowałem czegoś tak słodkiego. Ach, ach, do licha... To było dość przyjemne, ale przysięgam, że nie dla pani. Niech pani powie.

Demelza uśmiechnęła się do Bodrugana przez włosy, podeszła do okna i wyjrzała na dwór.

– Do licha! – powtórzył sir Hugh.

– Kiedy się pan już naklnie, niech pan mi powie, co właściwie kupiłam.

– Ach... – Usiadł na wielkim fotelu i wyciągnął nogi. – Tak, teraz chyba muszę pani powiedzieć...

– Chyba pan musi.

– A zatem byłem wczoraj w Truro. Uczestniczyłem w spotkaniu sędziów pokoju. Nie wiem, dlaczego zawracam sobie tym głowę, podobnie jak inni. Wystarczy co tydzień powiesić w Bargus pół tuzina tęgich nicponi i nie będzie potrzeba sędziów ani całej tej pustej gadaniny. Wystarczy, że szubrawcy zadyndają na szubienicy: będzie to miało zbawienny wpływ na resztę łajdaków!

– Nie ma to zbawiennego wpływu na mnie, sir Hugh.

– Lisica z pani, lisica. Ale, na Boga, ma pani przyjemny smak!

– Nie jak lak do pieczętowania listów?

– Żartuje pani?! A zatem byłem wczoraj w Truro i wielu ludzi szeptało. Dobrze poinformowanych ludzi, można powiedzieć. Pamięta pani starego Nata Pearce'a?

– Notariusza? Adwokata Rossa? Tak.

– Wie pani, że niedawno wyciągnął kopyta? Umarł? Cóż, tak się stało. Ludzie gadają, że zostawił swoje sprawy w kiepskim stanie. Defraudacja. Tak to nazywają. Wielu ludzi w Truro ma kłopoty. Poldark prowadził z nim ostatnio jakieś interesy?

– Nic o tym nie wiem.

– Pani mąż ma szczęście. Zbliża się katastrofa. Wielu ludzi straci pieniądze. Podobno – i właśnie o tym chciałem pani powiedzieć – jest w to zaangażowany bank Pascoe.

Demelza odwróciła się od okna.

– Jak? Dlaczego?

– Niech mnie pani nie pyta, moja droga. Nie jestem finansistą. Słabo się znam na tych sprawach. Ale wczoraj ludzie szepotali – dobrze poinformowani ludzie – że bank Pascoe może nie być już bezpiecznym miejscem do przechowywania oszczędności, a jego skrypty dłużne nie są warte tyle, na ile opiewają. Poldark to klient banku Pascoe, prawda?

– Tak.

– No właśnie. Jestem dobrym sąsiadem, a poza tym pani adoratorem, od wielu lat. Uznałem, że warto panią ostrzec.

Demelza poczuła ściskanie w żołądku.

– Nie mogę nic zrobić bez Rossa.

– Ależ może pani. Powinna pani wycofać depozyt. To byłoby najrozsądniejsze. Niech pani przywiezie pieniądze do domu albo ulokuje je w kilku różnych bankach. W ten sposób nic pani nie ryzykuje, prawda? Lepiej się zabezpieczyć, żeby nie mieć kłopotów.

III

Drake czuwał w pobliżu plebanii kościoła Świętej Małgorzaty do końca wtorku i przez całą środę. Nie oszczędzał się, spał pod żywopłotem, dygotał z zimna i kupował jedzenie od starej kobiety mieszkającej w chacie nad rzeką. Nie mógł się zmusić do odejścia. Krążył wokół cmentarza, niedaleko plebanii, mając nadzieję, że znów zobaczy Morwennę. Po prostu nie mógł uwierzyć, że wszystko się skończyło, że całkowicie się zmieniła, że nie jest już dziewczyną, którą znał i kochał. Rozumiał, że napięcie nerwowe i jego pojawienie się tak szybko po pogrzebie Osborne'a musiały wytrącić ją z równowagi. Powinien poczekać dłużej, może najpierw napisać, by złagodzić wstrząs. Pojawił się tak nagle, gdy wciąż otaczali ją krewni, i może – kto wie? – przewrotnie żałowała, że nie opiekuje się nią mąż... Mogła pochopnie odrzucić Drake'a, lecz za godzinę lub dwie, może za dzień, namyśli się i zmieni zdanie. Wtedy serce Morwenny wypełnią inne uczucia, prawda?

Ale w jej spojrzeniu pojawił się strach, jawna wrogość. Skąd się wzięły? Jak to wytłumaczyć, usprawiedliwić? Skąd chłód w jej drżącym głosie? Zachowywała się tak, jakby Drake śmiertelnie ją zranił, a nie był kimś, kogo

kochała.

Mimo to krążył wokół plebanii, w dalszym ciągu mając nadzieję; nie potrafił się pogodzić, że wszystko to tylko proch i popiół. Dwukrotnie prawie poszedł na plebanię, ale czuł lęk, że Morwenna go odprawi. Tak minęła środa.

W czwartek rano, gdy już nie padało i zrobiło się cieplej, zobaczył Morwennę wychodzącą z domu z dziewczynkami – prawdopodobnie pasierbicami. Poszła powoli w stronę rzeki. Nosła woalkę, lecz odsłoniła twarz. Szła powoli, jakby była chora. Drake się zawahał. Wiedział, że ma okazję porozmawiać, lecz bał się z niej skorzystać.

Doszedł do wniosku, że nie powinien zaskakiwać Morwenny. Obszedł ogród, podążył na brzeg rzeki, po czym przeszedł po błotnistej płyciźnie i stanął między drzewami w miejscu, do którego się zbliżała. Musiała go widzieć.

Najpierw zauważyła go jedna z dziewczynek. Powiedziała coś do Morwenny, która również go spostrzegła i znieruchomiała. Stała tak przez jakieś pięć sekund, a potem odwróciła się na pięcie i szybko ruszyła w stronę domu...

Drake zrozumiał, że to koniec. Potykając się, opuścił ogród, przeszedł przez cmentarz i wspiął się na wzgórze.

Szedł przez cały dzień, nie wiedząc, co robi, lecz powoli kierował się w stronę kuźni Pally'ego. Miał pusty żołądek, ale nie czuł głodu. Chociaż zaschło mu w gardle, nie był w stanie wypić wody, którą nabrał dłońmi.

W połowie drogi zdał sobie sprawę, że zabłądził i że chodzi w kółko. Siedział przez chwilę, zastanawiając się, co dalej. Później znów ruszył w drogę. Poczł się bardzo zmęczony i zasnął w kępie sosen. Obudził się po zmroku, drżał z zimna, lecz przejaśniło mu się w głowie i wiedział już, gdzie pomylił drogę. Znów ruszył naprzód.

Noc była jasna, zimna i bezksiężycowa. Na niebie świeciły gwiazdy. Wiatr

ustał i nad ranem mógł się pojawić lekki przymrozek. W niektórych zagłębieniach gruntu zbierała się mgła, tak płytka, że wręcz w niej brodził – jego stopy były ledwo widoczne, lecz głowa wystawała nad powierzchnią mgły. Na polach mgła przypominała biały dym. Poruszały się w niej jak widma kozy i owce.

W końcu dotarł do St Ann's i przeszedł przez niewielką śpiącą wioskę. Gdzieś w domu chorego mężczyzny płonęła pojedyncza łojówka, samotny kot spoglądał zmrużonymi oczami na gwiazdy. Drake zszedł ze wzgórza w stronę kuźni. Po pewnym czasie spostrzegł, że coś jest nie tak. Widział gołe mury, szkielet dachu, ale z początku nie rozumiał, co się stało. Oparł się o bramę pod dzwonem, odetchnął, znów popatrzył. Następnie wszedł na dziedziniec, potykając się o gruz.

Otwarte drzwi frontowe wisiały na jednym zawiasie. Próbował wejść do środka, lecz drogę zatarasowała mu belka. Usiłował ją odepchnąć, ale zabrakło mu sił. Oparł głowę o przekrzywione drzwi, nie mógł nic więcej zrobić.

Ktoś dotknął jego ramienia. Był to Samuel, który każdej nocy spał w przybudówce, czekając na powrót brata.

– Drake, Drake... Jak się czujesz? Wreszcie wróciłeś do domu...

Drake przełknął ślinę i oblizwał wargi.

– Co się stało? To...

– Wypadek – odparł Samuel. – Zdarzył się, gdy cię nie było. Nie ma się czym przejmować. Szybko wszystko naprawimy.

– Sam, ona nie chciała... – powiedział Drake. – Zmieniła zda... – Ugięły się pod nim kolana.

– Chodź, kochany – rzekł Samuel, podpierając brata. – Pójdziemy razem do chaty w Reath. Zostaniesz tam na pewien czas, dopóki wszystkiego nie uporządkujemy. Demelza pożyczyła nam dwa kuce, więc szybko dojedziemy.

Chodź, kochany. Pomogę ci.

IV

Następnego popołudnia do chaty w Reath przyszedł konstabl wraz z pomocnikiem. Kiedy Drake opuścił plebanię, lady Whitworth posłała służącego z wiadomością, że do domu wdarł się podejrzany osobnik i usiłował nawiązać niestosowną rozmowę z synową. Morwenna twierdziła, że nie zna jego nazwiska, lecz szybkie śledztwo przeprowadzone przez lady Whitworth pozwoliło ustalić jego tożsamość i wysłano konstabla, by sprawdził, czy ta osoba nie przyczyniła się do śmierci pastora.

Drake ledwo był w stanie odpowiadać na pytania, poza tym nie miał na to ochoty. Na szczęście w domu znajdował się Samuel i gdyby nie on, Drake prawdopodobnie bez protestu pozwoliłby się zabrać do Truro przed oblicze sędziów pokoju. Samuel oświadczył, że jego brat jest niewinny, ponieważ w dniu śmierci pastora Whitwortha spędził w kuźni cały dzień i wieczór. Konstabl spytał, czy są na to jakieś dowody. Samuel cierpliwie wypytał brata, po czym ustalił, że do ósmej wieczorem Drake'owi towarzyszyli Arthur i Parthesia Mulletowie, a o dziewiątej brat poszedł do pana Maule'a, krawca, by przymierzyć nowy surdut, po czym wyszedł dopiero o dziesiątej.

Konstabl nie wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany, ponieważ, jak twierdził, Drake nie przedstawił dowodu, że nie poszedł do Truro później. Samuel spytał, kiedy odnaleziono pastora. Cóż, trudno byłoby wyjść o dziesiątej wieczorem od krawca w St Ann's, a później dotrzeć do Truro i zaatakować człowieka, którego znaleziono martwego tuż po północy. Byłby do tego zdolny tylko ptak.

Po chwili konstabl i jego pomocnik odjechali, w dalszym ciągu nieusatysfakcjonowani. Odwiedzili pana Maule'a, by wysłuchać jego relacji,

po czym udali się do Truro złożyć meldunek. Więcej o nich nie słyszano.

Rozdział dziewiąty

I

Ross napisał, że spodziewa się wrócić do domu tydzień po Wielkanocy, lecz jeszcze w piątek nie było go w Namparze. Demelza musiała więc podjąć decyzję za niego. Piątek przypadał bowiem dwudziestego dziewiątego, więc w sobotę przypadał dzień wypłat w kopalni.

Zazwyczaj Zacky albo Henshawe jechali konno do Truro w towarzystwie Paula Daniela lub Willa Nanfana, podejmowali pieniądze z banku Pascoe i wracali tego samego dnia. Drugi jeździec brał ze sobą stary dwulufowy pistolet. Czy wystrzeliłby po naciśnięciu cyngła, tego nikt nie był zupełnie pewien, ale obecność broni powstrzymywała złodziei planujących ukraść sakwy z pieniędzmi. Ponadto zarówno Daniel, jak i Nanfan byli potężnie zbudowanymi mężczyznami.

Zwykle wyjeżdżali o ósmej. Demelza poszła do kopalni tuż przed siódmą trzydzieści i zastała Zacky'ego Martina oraz Willa Nanfana. Po chwili przybył nadsztygar Henshawe, więc mogła przedstawić im sytuację.

Kiedy skończyła, przez pewien czas panowała cisza. Wszyscy czekali, kto pierwszy się odezwie.

– To chyba tylko plotki – rzekł niepewnie Zacky.

– Nie, jeśli chodzi o pana Pearce'a – zauważył Henshawe. – Słyszałem o tym w środę. Jakiś rachunek powierniczy otwarty przez panią Jacqueline Aukett dla wnuków i gwarantowany przez bank Pascoe...

– Nawet jeśli to coś więcej niż plotki, jest mało prawdopodobne, że nie dostaniemy pieniędzy – powiedział Zacky. – Znam pana Pascoe od dzieciństwa, przez całe swoje życie, choć rzadko z nim rozmawiałem, bo to bankier, a ja tylko górnik. Nie ma uczciwszego człowieka.

– Nie martwię się o pieniądze – rzekła Demelza. – Powinniśmy dokonać wypłaty. Jeśli wielu innych ludzi zamierza zrobić to samo, będzie to źle wyglądało, choć co miesiąc wypłacamy pieniądze o tej porze. Powiedz mi, Will, ile mamy tu pieniędzy?

– Tutaj? – Henshawe wydawał się zaskoczony. – To znaczy w kopalni? Dwadzieścia gwinei, może dwadzieścia pięć. Trochę gotówki na wyposażenie, które kupujemy od czasu do czasu. Pod koniec miesiąca jest zawsze mniej.

– Ile potrzebujemy? Ile powinniśmy przywieźć do domu?

– Zamierzaliśmy wypłacić czterysta siedemdziesiąt funtów. Potrzebujemy co najmniej czterystu dwudziestu na płace.

Zdenerwowana Demelza zmarszczyła brwi i popatrzyła na pochmurny krajobraz za oknem. Niebo zasnuwały obłoki ciągnące się aż do morza.

– W Namparze jest około stu funtów. Ross zawsze lubi mieć trochę pieniędzy na nieprzewidziane wydatki. Jednak to nie wystarczy. Nie wystarczy.

– Bardzo panią przepraszam – odezwał się Will Nanfan. – To nie moja sprawa, ponieważ ja tylko pomagam, ale czy nie byłoby dobrze, gdyby pani dziś z nami pojechała i sama porozmawiała z panem Pascoe? Przekonała się na własne oczy, czy są jakieś kłopoty. Tak postąpiłby kapitan Poldark.

– Kapitan Poldark zna się na pieniądzach, a ja nie – odpowiedziała Demelza.

– Ale myślę, że ma pani dobry instynkt – odparł Will Nanfan. – Moim zdaniem ma pani dobry instynkt do wszystkiego.

II

Wyjechali kwadrans po ósmej. Na prośbę Demelzy towarzyszył im Henshawe, tak że było ich czworo. Wydawało się, że w Truro może być konieczne podjęcie ważnej decyzji, i Demelza uznała, że cztery głowy to nie trzy, mimo ich nieco naiwnej wiary w jej zdolności.

Dotarli do miasta przed dziesiątą trzydzieści i pojechali okrężną drogą, by minąć bank Pascoe. Wkrótce się przekonali, że pogłoski nie są przesadzone. Nie zauważyli nieporządku, bieganiny, paniki – a jednak na ulicy stały trzy konie bez jeźdźców, jedna bryczka z czerwonymi kołami, dwukółka rolnika, kilka jucznych osłów, grupki rozmawiających ludzi. Czworo jeźdźców z trudem mogło przejechać.

– Zsiądę tutaj – powiedziała Demelza, gdy dojechali do rogu. – Nie powinniśmy wchodzić wszyscy razem. Wy idźcie do gospody Pod Czerwonym Lwem, ale ty, Zacky, wróć, kiedy zaprowadzisz konie do stajni. Czekaj na mnie na rogu.

– Tak, pani. Zrobię to.

Demelza wróciła, nie przepychając się przez tłum, tylko idąc powolnym krokiem. Starła się omijać ludzi. Nie wiedzieli, kim jest, lecz jej przyzwoite ubranie, smukła sylwetka i wyraziste ciemne oczy zwracały uwagę i budziły szacunek. Rozstępowano się przed nią. Nie zachowywała się wyniośle: od dwunastu lat była panią Poldark i stało się to jej drugą naturą.

Przypomniała sobie, że w wąskim zaułku koło banku znajdują się boczne drzwi, którymi weszła wieczorem w dniu ślubu Caroline, więc postanowiła do nich podejść. Pociągnęła za sznur dzwonka i w drzwiach pojawiła się twarz przerażonej służącej. Tak, pan Pascoe jest w banku, rozmawia z klientem. Czy mogłaby podać nazwisko? Och, pani Poldark, naturalnie. Służąca przeprosiła, że od razu jej nie poznała. Gdyby pani Poldark zechciała zaczekać, zaraz zawiadomi pana Pascoe.

Pani Poldark zechciała zaczekać i wprowadzono ją do niewielkiego kwadratowego pomieszczenia przylegającego do głównej sali banku. Usiadła na fotelu pokrytym niebieskim pluszem, oblizała wargi i zastanawiała się, co powinna powiedzieć, gdy nagle uświadomiła sobie, że po jej wejściu przeciąg uchylił drzwi do sąsiedniego pomieszczenia i że słyszy prowadzoną tam rozmowę.

– To duża suma – rzekł jakiś mężczyzna. – Zdaję sobie z tego sprawę. Ale rozumie pan, panie Pascoe, nie wszystkie pieniądze należą do mnie. Nie stać mnie na najmniejsze ryzyko.

– Co skłania pana do przypuszczeń, że istnieje ryzyko? – Głos Pascoe.

– Mówi o tym całe miasto. Ludzie opowiadają, że Nat Pearce defraudował pieniądze, a część jest gwarantowana przez pana. Skoro tak...

– Niestety, panie Lukey, mój stary przyjaciel Nathaniel Pearce wykorzystywał cudze pieniądze na ryzykowne spekulacje w Indiach i innych krajach. W tym celu wystawiał i podpisywał dokumenty, przez które z pewnością trafiłby do więzienia, gdyby ciągle żył. Gwarantowaliśmy część sprzeniewierzonych przez niego funduszy, a chociaż sposób, w jaki przywłaszczył pieniądze, pozwoliłby nam uwolnić się od zobowiązań, mam zamiar je honorować. Nie oznacza to, że stabilność banku jest zagrożona. Chyba że...

– Chyba że...

– Chyba że wszyscy moi stali klienci pójdą za pańskim przykładem i nagle zażądadają wypłaty depozytów, które przechowujemy od lat.

– Ach, tak... Tak, cóż. To możliwe.

Brzęknął kieliszek.

– Czy jednak mógłby pan zrealizować ten czek, gdybym go przedłożył? – ciągnął mężczyzna.

– Naturalnie.

– Wobec tego chyba muszę to zrobić, panie Pascoe, chyba muszę to zrobić. Rozumie pan, jak już wspomniałem, nie wszystkie pieniądze są moją własnością. Na przestrzeni lat ludzie inwestowali coraz więcej pieniędzy w moje małe interesy i gdybym nie był w stanie całkowicie ich spłacić...

– Bardzo dobrze...

Zadzwieczyła dzwonek.

– Mam nadzieję, że nie żywi pan do mnie urazy, panie Pascoe, prawda? Nie podchodzę do tego emocjonalnie.

– Ja również – odparł Harris Pascoe. – Jednak w chwilach tymczasowych trudności można lepiej poznać przyjaciół.

– Cóż, sir...

– Och, Kingsley, weź ten czek i wypłać panu Lukeyowi wskazaną kwotę. Mam nadzieję, panie Lukey, że nie chce pan wszystkiego w złocie?

– Cóż, sir...

– Zdaje się, że skrypty banku Basseta zachowały jeszcze swoją wartość?

– Ależ oczywiście. Przykro mi, że odbiera pan to w ten sposób.

– Niestety, jestem zmuszony. Połowa w gotówce, Kingsley, reszta w skryptach.

Drzwi się zamknęły. Przez chwilę panowała cisza i słychać było tylko szelest papierów. Demelza zastanawiała się, czy o niej zapomniano, lecz po chwili drzwi uchyliły się szerzej i ukazał się w nich Harris Pascoe.

– Pani Poldark. Alice powiedziała... Bardzo mi miło. Proszę wejść. – Pascoe miał wychudzoną, ściągniętą twarz pokrytą głębokimi zmarszczkami. – Przybyła pani bez Rossa?

– Tak... Spodziewamy się go lada dzień. Mam... mam nadzieję, że wkrótce wróci. – Demelza usiadła na skraju fotela. – Przybyłam, bo uznałam, że Ross chciałby, bym to zrobiła. Słyszałam, że pojawiły się kłopoty.

– Rzeczywiście. Słyszała pani moją rozmowę? Ależ tak, naturalnie. Lukey

to jeden z moich największych depozytariuszy, o bardzo długim stażu, lecz zaraził się powszechnym lękiem. A strach, kiedy się już pojawia, rozprzestrzenia się jak pożar lasu. Nikogo nie oszczędza. Myślałem, że Lukey zachowa spokój, ale wszystkim rządzą pieniądze... Może jako bankier nie powinienem się dziwić, że wszystkim rządzą pieniądze, muszę jednak przyznać, że czasem czuję lekkie rozczarowanie.

– Bardzo bym chciała, żeby był tu Ross, panie Pascoe – rzekła Demelza. – Nie znam się na sprawach finansowych, o których pan mówi. Czy mógłby pan wytłumaczyć prosto, o co chodzi?

– Bardzo proszę. W ostatnich latach życia Pearce musiał stracić kręgosłup moralny, z czego nie zdawałem sobie sprawy. Zainteresował się spekulacjami finansowymi, które obiecywały błyskawiczne fortuny. Wszystkie te przedsięwzięcia splajtowały. Oceniam, że ukradł swoim klientom piętnaście tysięcy funtów. Gwarantujemy mniej więcej połowę tej kwoty. Ufałem mu i popełniłem błąd, więc muszę pokryć straty. Ani ja, ani mój bank nie zbankrutujemy z powodu siedmiu tysięcy funtów. Ale jeśli mieszkańcy miasta i hrabstwa nagle wpadną w panikę i stracą zaufanie do banku Pascoe, nie wiem, czy nie zbankrutujemy. Moim zdaniem ktoś celowo próbuje nas zniszczyć.

– Zniszczyć?

– Proszę spojrzeć. – Pascoe wręczył Demelzie list. – Henry Prynne Andrew to od wielu lat jeden z naszych największych depozytariuszy. Dziś rano znalazł ten list pod drzwiami.

Demelza szybko przebiegła oczami tekst.

Czcigodny Panie!

Jestem Panu życzliwy. Doszło do mojej wiadomości, że w dalszym ciągu powierza Pan swoje oszczędności bankowi Pascoe w Truro. Chciałbym Pana poinformować – wiem to z najlepszego źródła, od jednego z pracowników banku – że stoi on obecnie na skraju bankructwa. Pieniądze przekazane przed kilku laty córce Harrisa Pascoe jako posag

stanowiły część gwarancji skryptów dłużnych, które wystawiano w wielkich ilościach – nie zrobiłby tego żaden rozsądny bankier. Tak się składa, że posag panny Pascoe niedawno wypłacono z banku jej ojca, co zbiegło się w czasie z ujawnieniem nadużyć finansowych Nathaniela Pearce’a, długoletniego przyjaciela i powiernika Harrisa Pascoe. Okazało się, że skrypty dłużne wystawione przez ten bank są praktycznie pozbawione pokrycia, co może mieć bolesne konsekwencje...

List zawierał jeszcze pół strony informacji w podobnym duchu i był podpisany: „Życzliwy przyjaciel”.

– Jak to się stało? Kto to napisał?

Pascoe wzruszył ramionami.

– Ktoś napisał. Podejrzewam, że list ten otrzymało wielu ludzi, a część w niego uwierzyła. Nawet ci, którzy nie wierzą, będą się zastanawiać, czy ich pieniądze są naprawdę bezpieczne...

– To wstrętne... potworne. Ale... czy zdoła pan zaspokoić wierzycieli?

Pascoe znów wzruszył ramionami.

– Rozwój bankowości doprowadził do tego, że jej podstawą stał się kredyt. Jeśli klient wpłaca do banku tysiąc funtów, rozsądny bankier zatrzymuje w skarbcu dwieście i pożyczka pozostałe osiemset – naturalnie pod zastaw – na wyższy procent niż wypłacany depozytariuszowi. Skutkiem tego bank udziela coraz więcej kredytów i zamiast tworzyć ogromne rezerwy gotówki, przejmuje ziemię, kopalnie, fabryki, warsztaty, akcje kompanii indyjskich, obligacje, wszystko, co w bezpieczny sposób przynosi wyższe odsetki. Jeśli jeden z depozytariuszy nagle przychodzi do banku i żąda natychmiastowej wypłaty tysiąca funtów, nie ma to żadnego znaczenia: bankier dysponuje odpowiednim zasobem gotówki. Jeśli pojawi się dziesięciu, w dalszym ciągu może ich spłacić. Ale jeśli do banku wpadnie tłum ludzi i z krzykiem domaga się wypłat, trzeba sprzedawać akcje i obligacje, często z dużą stratą, a później pojawia się pytanie, jakie krótkoterminowe pożyczki można ściągnąć. Jeśli termin zapadalności przekracza dwa, cztery, sześć miesięcy, są poza

zasięgiem. Jeżeli panika trwa, bankier nie jest w stanie zaspokoić swoich wierzycieli i musi zawiesić wypłaty.

Z wnętrza banku dobiegały przytłumione głosy. W drzwiach pojawiła się głowa kancelisty.

– Chciałby się z panem zobaczyć pan Buller, sir.

– Proszę mu powiedzieć, że porozmawiam z nim za pięć minut.

Kancelista się wycofał.

– Poza tym jest kwestia emisji skryptów dłużnych – ciągnął Pascoe. – W ostatnich latach wszystkie banki w Truro emitują skrypty dłużne. Staraliśmy się zachować ostrożność, lecz mimo to... Dowiedziałem się wczoraj, że posiadaczom skryptów banku Pascoe doradzono, by zamienili je na gotówkę, dopóki mają jakąś wartość. Niektóre kantory już odmawiają ich wymiany: twierdzą, że brak im srebra.

– Kiedy to się zaczęło?

– W środę. Wczoraj wypłaciliśmy prawie dziewięć tysięcy funtów. Dzisiaj, przez pana Lukeya, już sześć tysięcy. – Harris Pascoe wstał. – Ale moje problemy sprawiają, że zapominam o dobrych manierach. Kieliszek porto, droga pani?

– Dziękuję, nie. Jak pan wie, panie Pascoe, to koniec miesiąca i zwykle... o tej porze zwykle...

– Wypłacacie pieniądze górnikom – dokończył z uśmiechem. – Naturalnie. W kopalni. Jaka jest zwykła kwota? Około pięciuset funtów? Nie będzie żadnych problemów. Wydam polecenie kasjerowi.

– Nie – odezwała się Demelza. – Jeśli ma pan takie kłopoty...

Pascoe spoglądał na stojący przed nim kieliszek porto.

– Chciałaby pani się zabezpieczyć, podejmując większą sumę? To zrozumiałe. W tej chwili pani mąż deponuje u nas przeszło dwa tysiące funtów. Mniej niż zwykle z powodu katastrofy w kopalni. Byłbym pani bardzo

wdzięczny, gdyby nie podejmowała pani natychmiast całej sumy – przynajmniej nie w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Później, mam nadzieję, najgorsze będziemy mieć już za sobą.

Znów zapadło milczenie.

– Panie Pascoe, proszę nie myśleć, że wszyscy pana przyjaciele są tacy jak pan Lukey.

III

Ralph-Allen Daniell pisał listy w eleganckim dworze nad rzeką Fal, gdy służący poinformował go, że ma gościa. Gospodarz opuścił gabinet. Po chwili ujrzał damę stojącą przy jednym z szerokich okien z widokiem na młode kasztanowce i kępę jednorocznych drzew.

– Pani Poldark. Bardzo mi przyjemnie. Nie towarzyszy pani kapitan Poldark? Proszę usiąść.

Już po raz drugi tego ranka nad dłonią Demelzy pochylał się poważny starszy mężczyzna i wypowiadał prawie te same słowa. Obaj byli równie spokojni, lecz Daniell wydawał się tęższy, miał kilka lat mniej i ubierał się jak kwakier.

– To miło z pana strony, że zechciał mnie pan przyjąć, panie Daniell. Pana małżonka czuje się dobrze? Przyjechałam... Ross jest nadal w Westminsterze, a ja przyjechałam prosić pana o pilną radę i pomoc...

Nalegał, by wypić kieliszek madery, a gdy ją podawano, Demelza zastanawiała się, czy nie mogłaby przepłynąć się przez rzekę, by sprawdzić, czy do Kornwalii wrócił lord Falmouth.

– Panie Daniell, podejrzewam, że wie pan o kłopotach banku Pascoe w Truro?

– Ne byłem w mieście od tygodnia, lecz wspomniał mi o tym zarządca.

Przykre, ale to minie.

– To zależy od tego, jakie wsparcie otrzyma Pascoe od przyjaciół – odparła Demelza.

– Hm, tak. Udało im się przetrwać ogólnokrajowy kryzys bankowy w dziewięćdziesiątym siódmym roku. To z pewnością tylko czasowe problemy. Tym razem inne banki nie mają kłopotów i udzielą pomocy.

– Warlegganowie tego nie zrobią.

– Ale Basset, u którego trzymam pieniądze...

– Panie Daniell, proszę mi wybaczyć – przerwała Demelza. – Nie znam się na tych sprawach i bardzo załuję, że Ross jest nieobecny. Gdyby tu był, mógłby podjąć właściwą decyzję, jednak w tej sytuacji muszę działać zamiast niego... Jest koniec miesiąca i musimy wypłacić wynagrodzenia górnikom naszej kopalni. Nie mogę...

Daniell zmarszczył brwi.

– Chce pani powiedzieć, że bank Pascoe nie jest w stanie wypłacić potrzebnej kwoty? Ależ myślałem...

– Chodzi o to, że nie chcę jej podejmować.

– Nie rozumiem.

– W latach, gdy Ross zmagał się z przeciwnościami, był tak blisko więzienia dla dłużników, że nawet dziś budzę się z lękiem w nocy. Pascoe nieustannie nam pomagał. Przez dwadzieścia lat był przyjacielem Rossa – z pewnością najbliższym w Truro. W tej chwili powinniśmy wpłacać pieniądze do jego banku, a nie z niego wypłacać!

Daniell spoglądał z zainteresowaniem na Demelzę.

– Pani szlachetność przynosi pani zaszczyt. Chociaż zdarza się, że szlachetność to zły doradca w interesach. Mają państwo duży wkład w banku Pascoe, większy niż państwa potrzeby?

– O tak. Znacznie większy.

– W takim razie powinna pani bez wahania podjąć kwotę potrzebną na bieżące wydatki... Och, rozumiem pani dylemat i pochwalam pani decyzję. Gdyby wszyscy przypominali Warlegganów, świat byłby smutnym miejscem. Ale... – Wstał, by dolać Demelzie wina, ona zaś uśmiechnęła się na znak zgody. – Skoro przychodzi pani do mnie po radę, uważam...

– Więcej niż po radę, panie Daniell. Po pomoc.

Widziała już to ostrożne spojrzenie w oczach mężczyzn. Jak serdecznie potrafia się zachowywać, dopóki nie wspomina się o pieniądzech! Pan Daniell jednak był znany z filantropii i etycznego prowadzenia interesów.

– Jak mogę pani pomóc?

– Ross ma udziały w pana hucie, w piecach płomieniowych. Nie wiem, jak duże, ale podobno to zyskowny interes.

– Firma stoi na mocnych podstawach. Jesteśmy zadowoleni z tempa jej rozwoju. Ma zapewnioną przyszłość.

Demelza odetchnęła głęboko.

– Czy w takim razie kupiłby pan udziały Rossa i przekazał mi gotówkę?

Kieliszek brzęknął, gdy Daniell odstawił go na stół. Wyjął chusteczkę, by zetrzeć z blatu kroplę wina.

– Moja droga pani Poldark...

Wokół panowała absolutna cisza. W osłoniętej dolinie nie słyhać było szumu wiatru, rozlegał się tylko trzask polan płonących w kominku.

– To wykluczone.

– Przykro mi...

– Nie ma pani prawa dokonywać takich transakcji. Nie mogę również, pod żadnym pozorem, uznać tego za decyzję kapitana Poldarka. Musiałbym dysponować jego podpisem.

– W tej chwili prawdopodobnie płynie statkiem, wraca do domu. Jeśli przybędzie za tydzień, jego podpis nie pomoże Harrisowi Pascoe.

Daniell się roześmiał, bardziej z zażenowania niż rozbawienia.

– Powtarzam, to wykluczone. Niezmiernie mi przykro. – Popatrzył na Demelzę. Ładna kobieca buzia nie robiła na nim żadnego wrażenia, lecz mimo to z aprobatą spoglądał na jej twarz. Cóż za bezpośredniość... Stawiała sprawę jasno... – Ile pani potrzebuje na wypłaty dla górników?

– Dwa tysiące funtów.

Zamrugął.

– Chwilę temu podziwiałem pani szczerłość. Niestety, ta uwaga rozprasza moje złudzenia.

– Cóż... przynajmniej tysiąc.

Uśmiechnął się.

– Ilu ludzi państwo zatrudniają?

– Nie pamiętam.

– Domyślam się, że siedemset funtów pokryje wszystkie potrzeby i jeszcze coś zostanie.

– Mam w domu sto funtów – powiedziała Demelza. – W tej sytuacji osiemset funtów mogłoby wystarczyć.

Daniell wstał i zaczął spacerować po salonie. Demelza obserwowała kątem oka jego powolne ruchy.

– Jedyne, co mogę dla pani zrobić, to wypłacić siedemset pięćdziesiąt funtów jako zaliczkę na poczet przyszłych zysków kapitana Poldarka z tytułu udziałów w hucie. Ostrzegam panią, że będzie to więcej niż jego zyski z najbliższego roku. Nawet w tej sytuacji łamię swoje prawne zobowiązania wobec kapitana Poldarka. Jeśli zarzuci mi, że postąpiłem niewłaściwie, nie będę miał żadnego wytłumaczenia.

– Nie robi tego, panie Daniell.

– Wierzę w pani słowa, bo inaczej nie wypłaciłbym tych pieniędzy. Znam jego skłonność do donkiszoterii i wydaje się, że ma pani podobny

temperament. Pascoe ma szczęście do przyjaciół.

– Nie wszystkich, panie Daniell.

– Tak... W ciągu ostatnich dziesięciu lat w Truro zdarzyło się wiele niegodziwości. Zbyt wiele jak na tak niewielkie miasto. Na szczęście trzymałem się od tego z dala.

– Myślę, że pan Pascoe nie szukał z nikim konfliktu.

– Nie... Została zaledwie godzina do obiadu. Zje pani z nami? Wiem, że moja żona byłaby zadowolona.

– Obawiam się, że nie mogę. Rozumie pan... Jeśli da mi pan tratę bankową... muszę mieć czas, by ją zrealizować.

– Naturalnie. Doskonale rozumiem. Zaczeka pani tutaj?

Wyszedł na pięć minut. Demelza podziwiała portret przodka Daniella, Ralpa Allena, namalowany przez Reynoldsa. Był synem oberżysty, który zrewolucjonizował angielski system pocztowy i zarobił pół miliona funtów, a później stał się jednym z wielkich filantropów swoich czasów. Patrzyła na żeberkowany sufit salonu, na neoklasycystyczny kominek, obrazy Zoffany'ego. Właśnie to można kupić za pieniądze, podobnie jak ona i Ross kupili piękną nową bibliotekę. Pieniądze mogą tworzyć piękno, elegancję i dobry smak, a także stać się przyczyną brzydkich scen rozgrywających się w tej chwili w Truro. A może to po prostu strach przed utratą pieniędzy?

Daniell wrócił z arkuszem papieru.

– Oto trata na osiemset funtów na bank Basseta. To wszystko, co mogę zrobić.

– Jestem bardzo wdzięczna, panie Daniell. Wiem, że Ross również będzie wdzięczny.

– Tak, tak... – Wręczywszy Demelzie tratę, patrzył z niepokojem, jak chowa ją do torby, jakby nagle ogarnął go żal. – Moja droga... mogę panią tak nazywać? Jest pani taka młoda...

– Naturalnie.

– Ostatnia rada. To pieniądze dla pani i kopalni. Niech pani nie próbuje wspierać zagrożonego banku w Truro. Jeśli ma pani ochotę postąpić jak Don Kichot, pragnę zauważyć, że osiemset funtów nie uratuje banku Pascoe ani go nie pograży. Jeśli upadnie – w co wątpię – osiemset funtów, ani nawet dwa tysiące, o które prosiła pani na początku, nie pomoże mu przetrwać kryzysu. Jeśli wytrzyma – a wierzę, że tak się stanie – nie ma potrzeby pozbawiania pani górników miesięcznej płacy. Niech pani podejmie pieniądze z banku, zawiezie do domu i umieści w bezpiecznym miejscu. To więcej, niż w tej chwili potrzebujecie – nie mam co do tego złudzeń. Te pieniądze mogą się przydać, jeśli reszta depozytu w banku Pascoe nieszczęśliwie przepadnie lub będzie na jakiś czas zamrożona. Podziwiam pani lojalność, pani Poldark. I wspaiałomyślność. Sądzę jednak, że nie brakuje pani rozsądku, i radzę, by nie pozwoliła pani zaślepić się emocjom.

Demelza uśmiechnęła się do Daniella i spuściła wzrok.

– Dziękuję, panie Daniell. Jestem panu wdzięczna za dobroć i troskę.

Odprowadził ją do drzwi.

– Przyjechała pani sama? Czy to rozsądne?

– Nie. Przy bramie czeka na mnie zarządca kopalni.

– To dla mnie ulga – odparł Daniell i Demelza pomyślała, że to, co mówi, ma podwójne znaczenie.

IV

Czekał na nią nie tylko zarządca kopalni, lecz również dwaj towarzysze. Jeden palił fajkę, a drugi siedział na trawie i żuł liść głogu zerwany z żywopłotu. W osłoniętej dolinie zimna wiosna nie zniszczyła roślinności tak bardzo jak w innych miejscowościach.

Kiedy zobaczyli Demelzę, wsiedli na swoje kuce. Spoglądali na nią wyczekująco.

– Mam tratę na osiemset funtów – powiedziała. – Liczyłam na więcej, chociaż bałam się, że będzie mniej.

– Dla mnie to fortuna – zauważył Zacky Martin.

Zwierzęta parskaly i przysuwały do siebie łby, więc trudno było rozmawiać.

– Co teraz? – spytał Henshawe, patrząc uważnie na Demelzę.

– Teraz – odpowiedziała Demelza – ja i pan, nadsztygarze Henshawe, pojedziemy do banku Basseta i wymienimy tratę na banknoty i tyle srebra i złota, ile zgodzą się nam wypłacić. Może wyłącznie na monety. Moim zdaniem nie mogą nam odmówić, jeśli zażądamy wypłaty w złocie i srebrze.

Henshawe ściągnął wodze.

– A później?

– Później pójdziemy do prywatnego gabinetu w gospodzie Pod Czerwonym Lwem i podzielimy pieniądze na trzy części. Jedną weźmie Will Nanfan, jedną ty, Zacky, a jedną pan, Henshawe. A potem, pojedynczo, w stosownych odstępach czasu, wrócicie do banku Pascoe, przepchniecie się przez hałaśliwych, spoconych, zdenerwowanych ludzi, staniecie przed kasą i wpłaciecie te pieniądze na rachunek Rossa Poldarka. Róbcie jak najwięcej hałasu. Brzęczcie monetami. Niech wszyscy widzą, że wpłaciecie pieniądze.

Słysząc było tylko parskanie koni, czasem skrzypiała uprząż.

– Wszystko? – spytał Zacky.

– Wszystko – odparła Demelza.

Rozdział dziesiąty

I

Ross wrócił do Nampary dopiero po dwóch tygodniach. Był wściekły. Wypłynęli z portu w Londynie w Wielki Poniedziałek. Nie doszło do żadnych incydentów ani opóźnień, skorzystali z odpływu, ale po zawinięciu do Chatham utknęli w porcie na osiem dni z powodu ciszy morskiej. Kiedy w końcu wyszli w morze, rozszalał się taki sztorm, jakiego Ross jeszcze nigdy nie doświadczył. Stracili maszt w pobliżu Goodwin Sands i o mało nie wpadli na mieliznę. Popłynęli w dół kanału La Manche, postawiwszy prowizoryczny takielunek, i wpłynęli do cieśniny Solent, by naprawić statek. Burze i niesprzyjające wiatry sprawiły, że dotarli do Fowey tak zmęczeni, jakby opłynęli przylądek Horn.

Zaczął się kwiecień i wszędzie widać było oznaki nadchodzącej wiosny. Ross pragnął jak najszybciej wrócić do domu i nie miał ochoty na kolejne przypadkowe spotkanie z Osborne'em Whitworthem albo innym tęgim jegomościem w zapchlonym dylizansie pocztowym, toteż kupił w Fowey młodą klacz i pojechał prosto do Nampary. Kiedy dotarł do swojej posiadłości, było późno i zapadał zmrok. Przywiązał wodze do starego bzu i otworzył drzwi frontowe. W pustym salonie paliło się światło.

Z tyłu pojawiła się Jane Gimlett i wydała cichy pisk.

– Kapitan Ross! Och, sir! Nareszcie! Wszyscy na pana czekamy, myśleliśmy, że przyjedzie pan w zeszłym tygodniu. Zaraz zawołam Johna, sir!

– Nie ma pośpiechu. Ale kiedy go zobaczysz, powiedz, że mam nową klacz, która zaczęła lekko kuleć. Moim zdaniem to nic wielkiego, po prostu źle dopasowana podkova. – (Boże, czy życie zawsze musi się powtarzać? Piętnaście lat wcześniej Czarnulka miała te same kłopoty). – Gdzie pani?

– Chyba pojechała z wizytą, sir.

– Z wizytą?

– Do swoich braci, sir. Myślę, że jest u nich.

– Do którego brata pojechała? Mieszkają daleko od siebie.

– Nie, sir. Nie teraz. Obaj mieszkają w chacie w Reath.

– Ach... – westchnął Ross. Czekał na wyjaśnienie, lecz go nie uzyskał. – Jak się czują dzieci?

– Bardzo dobrze, sir. Jeremy i Clowance śpią jak aniołki. Mam je obudzić?

– Nie, nie. Niech śpią. Chętnie bym coś zjadł, Jane. Masz coś w kuchni?

– Połowę szynki wieprzowej, jest świeża...

– Jeszcze nie zarznięliście Przyływu i Odpływu?

– Nie, sir. I kawałek kapłona... Ale mięso jest zimne...

– Nieważne. Po prostu przynieś cokolwiek, co twoim zdaniem będzie mi smakować...

Ogień przygasł i Rossowi zmarzły ręce. Cisnął na fotel długie rękawice do konnej jazdy i wrzucił do kominka trochę węgla, po czym zaczął z trudem ściągać buty.

– Pomogę panu, sir! – zawołała Jane, gdy weszła do salonu.

– Nie trzeba, jakoś sobie poradziłem. Dziękuję.

– Zje pan tutaj, sir, czy w jadalni? Zdaje się, że w jadalni zgasł ogień...

– W takim razie tutaj. Pani jest zdrowa?

– O tak, w świetnej formie, sir.

– A służący?

– Też, też. Betsy Maria miała wrzód, ale się zmniejszył i prawie zagoił.

Jakie wino przynieść?

– Co piła pani?

– Do posiłków tylko piwo. A później porto.

– Ach, porto – rzekł Ross. – Tak, porto... Wystarczy mi piwo.

Przez chwilę krążył po pomieszczeniu, przypominając sobie stare przedmioty, zauważając nowe, a tymczasem przyniesiono jedzenie. Było kilka zaadresowanych do niego listów, lecz otworzył tylko trzy. Drugi napisał Clarence Odgers, który pytał, czy Ross nie mógłby wykorzystać swoich wpływów, by wreszcie załatwić mu beneficjum w Sawle. Co to, u licha, znaczy? Trzeci zawierał zaproszenie na uroczystość w Truro, podczas której baron de Dunstanville z Tehidy miał otworzyć Kornwalijski Szpital Ogólny, który zbudowano na przedmieściach. W programie było nabożeństwo w kościele Świętej Małgorzaty i obiad w gospodzie Pod Czerwonym Lwem, na który zaproszono wszystkich administratorów oraz najważniejszych darczyńców. Termin przypadał za dwa tygodnie.

Ross prawie skończył posiłek, gdy pojawiła się Demelza. Miała postawiony kołnierz peleryny i włosy rozwiane przez wiatr. Wydawała się młoda, niezdecydowana, zaskoczona i prawie nadąsana – nigdy w życiu nie użyłby tego słowa, by opisać wygląd Demelzy.

– Ross!

– Kochanie... – Wstał i pocałował ją w chłodny, pachnący policzek. Czy lekko odwróciła usta? – Podobno fałszywa moneta zawsze wraca do właściciela.

– Teraz to coś zupełnie innego – odpowiedziała, trzymając go w objęciach.
– Bardzo się martwiliśmy.

– O mnie? Pisałem do ciebie z Chatham.

– Dwa tygodnie temu! Bałam się, że złapali cię Francuzi!

– W czasie sztormu ryzyko jest niewielkie.

– Wiatr mógł zagnać statek do jednego z ich portów na wybrzeżu Francji!
Mogłeś utonąć!

– Ale się nie utopiłem. Jak widzisz. Cieszę się, że wróciłem do domu.
Dobrze się zastanowię, nim znowu się zdecyduję na podróż morską.

Demelza popatrzyła na męża.

– Pachniesz inaczej... Schudłeś.

Roześmiał się.

– Inaczej to łagodne określenie. Opuściłem bryg, jak tylko przybił do brzegu. Śmierdzą jak stare nasmołowane płótno, które trzeba wyczyścić. Jeśli chodzi o schudnięcie, przerwałaś moje pierwsze próby nadrobienia zaległości.

– Proszę, jedz! Co ci podała Jane?! Och, możemy szybko coś ugotować!

Demelza wypowiedziała jeszcze kilka podobnych zdań, lecz Ross przerwał:

– Nie. Żartowałem. Jestem wykończony, naprawdę. Nie mam na nic sił i reszta może poczekać do jutra. Chcę na ciebie popatrzeć. Usiądź. Węgiel kopci. Opowiedz mi o wszystkim, co się zdarzyło.

Rozmawiali przez pewien czas, wymieniając banalne informacje, co sprawiało, że nie zapadała cisza. Siedzieli po przeciwnych stronach kominka. Demelza zdjęła pelerynę, obciągnęła bluzkę, poprawiła koronki na szyi i piersiach, przyniosła domowe pantofle dla siebie i dla Rossa – zażartowała, że to cud, że nie zapleśniały. Przygładziła dłonią bujne włosy i jakimś cudem doprowadziła je do stanu, który najbardziej podobał się Rossowi. Zręcznie poprawiła pogrzebaczem ogień, aż w górę strzeliły płomienie; przyniosła dla siebie kieliszek porto i brandy dla Rossa. W trakcie tych czynności jej wargi przybrały bardziej znajomy wygląd, a w oczach pojawił się dziwny błysk.

Opowiedział jej o Londynie, swojej pracy, wizytach u Caroline i kolejnym spotkaniu z Geoffreyem Charlesem. Działalność w Izbie Gmin często rodziła frustrację, czasem sprawiała przyjemność. Wydawało się, że Caroline

zamierza wrócić w przyszłym miesiącu do Kornwalii, by spędzić lato z Dwightem. Ross miał przez cały sierpień ćwiczyć niewyszkolonych rekrutów powołanych do milicji w hrabstwie Kent. Jego gospodyni spodziewała się, że jesienią, w czasie następnej sesji parlamentu, przywiezie ze sobą żonę. Mówił również o sukcesach i porażkach związanych z wojną.

Demelza słuchała z niesłabnącym zainteresowaniem i zadawała wiele pytań. Mówił przez kwadrans, po czym nagle przerwał i spytał:

– Wydarzyło się tu coś złego?

– Dlaczego sądzisz, że wydarzyło się coś złego?

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś patrzyła takim wzrokiem jak teraz. Moim zdaniem stało się coś bardzo niedobrego i uważasz, że ponoszę za to część odpowiedzialności.

– Naprawdę tak wyglądałam? Żle to wszystko zrozumiałeś. Rzeczywiście w czasie ostatnich kilku tygodni wydarzyło się coś niedobrego, ale uważam, że nikt nie ponosi za to winy. Jak mogłabym tak uważać? Bardzo mi cię brakowało, ale to nie jest to, o czym mówisz.

– Opowiedz mi wszystko.

– Od początku? Zajmie to dużo czasu.

– Od początku.

Najpierw opowiedziała o dziwnej śmierci Osborne'a Whitwortha, o niedoszłym małżeństwie Rosiny, o zniknięciu i powrocie Drake'a oraz pożarze kuźni Pally'ego.

– Mój Boże... – westchnął Ross. – Wszystko się zniszczyło?

– Ściany są okopcone, ale zdrowe. Spalił się dach, piętro i meble.

– I nie ma winnych, co? Nikt niczego nie widział?

– Nikt niczego nie widział. Albo nie chce powiedzieć.

– Muszę porozmawiać z Hoblynem. Byłby zdolny do czegoś takiego w przypływie wściekłości. A jednak... a jednak... Drake mieszka teraz

z Samuelem?

– Tak. Nie możemy go namówić, żeby wrócił i zajął się remontem kuźni.

– A Morwenna Whitworh? Co o niej mówi?

– Nic. Ani słowa. Nie chce nic powiedzieć. Ale dziewczyna wyraźnie go nie chce.

– Cóż za potworny bałagan! – prychnął Ross. – Nie mogłoby być gorzej.

A Rosina?

– Zdumiewa mnie. Jest silna, spokojna. Już drugi raz traci narzeczonego.

– Myślisz, że jeszcze teraz by za niego wyszła?

– Za Drake’a? Och, Ross, nie mam pojęcia. I nie wiem, czyby się z nią ożenił. Nie mogę nic więcej zrobić. Czuję się trochę winna.

– Rozumiem, że wytrąciło cię to z równowagi. Rano pojedę zobaczyć, co można zrobić z domem. Moglibyśmy pomóc w pokryciu kosztów remontu.

– Może.

Ross zdjął z półki fajkę, ale się rozmyślił i odłożył ją na miejsce.

– Coś jeszcze? Coś się stało w kopalni?

– Nie... Nie w kopalni. Nie przejeżdżałeś przez Truro, Ross?

– Nie. Jechałem prosto do domu. Przez St Stephen’s i St Michael. Dlaczego pytasz?

– Bank Pascoe zawiesił wypłaty.

– Co takiego?!

Demelza zamrugała, słysząc ton głosu Rossa.

– Zbankrutował, nie mógł zaspokoić wierzycieli. Wraz z nim przepadły nasze oszczędności. Nasze i Drake’a. Dlatego przez pewien czas możemy nie mieć pieniędzy na remont dachu.

Ross spoglądał na Demelzę, jakby nie rozumiał, co powiedziała.

– Mówisz, że... że... bank Pascoe... To... to niemożliwe! Kiedy dostałem twój ostatni list... Trzy tygodnie temu?! Pascoe?!

– Powiem ci, jak to się stało i jak się o tym dowiedziałam – odrzekła.

Opisała przykrą część tego, co ją spotkało: wizytę w Truro, decyzję, by pojechać do Ralpa-Allena Daniella, powrót do miasta, wpłacenie pieniędzy do banku.

– To był... prawdziwy koszmar – powiedziała. – Nie wchodziłam znowu do banku, ale kłębił się tam tłum, morze ludzi, którzy wrzeszczeli, że chcą pieniędzy. Oczywiście dwóch kasjerów wcale się nie śpieszyło, wypłacali pieniądze najwolniej, jak się dało. Niektórzy klienci krzyczeli, awanturowali się. Myślałam, że przeleżą przez ladę. Nasi ludzie po kolei wchodziłi do banku – jeden po drugim – i ostentacyjnie wpłacali pieniądze. Za każdym razem na ladzie leżała wielka kupa złota i srebra. Niektórzy klienci wiwatowali na widok wpłacanych pieniędzy, uspokajali się, zachowywali się grzeczniej, byli gotowi czekać. Wielu chciało wycofać tylko trzydzieści lub czterdzieści funtów, a część zamierzała wymienić kilka banknotów na bilon. Kiedy zobaczyli, że ktoś wpłaca pieniądze, odzyskali zaufanie do banku.

– Ale nie do końca.

– Nie do końca. Zniszczyli go wielcy depozytariusze. Kilku stanęło po stronie Harrisa Pascoe – my, Henry Prynne Andrew, Buller, Hitchens. Inni nie.

– Mówisz, że Pearce, stary Nat Pearce, defraudował pieniądze... Trudno w to uwierzyć! Biedny stary dureń musiał kompletnie zwariować. Na Boga! Przecież nie mogło to zniszczyć Pascoe! – Ross wstał. – Na pewno ktoś podstępnie chciał mu zaszkodzić, znowu.

– Tak, Ross. – Demelza również wstała, podeszła do szuflady i podała mężowi anonimowy list. – Joan Peter mówi, że pojawiło się około pięćdziesięciu takich listów i że dostarczono je przez posłańców najważniejszym obywatelom miasta, zwłaszcza klientom banku Pascoe.

Rzucił papier na stół. Arkusz zwinął się jak wąż obok kawałka sera jedzonego przez Rossa.

– Joan Peter. Widziałaś ją? Gdzie jest teraz Harris?

– Pojechałam w zeszły poniedziałek, Ross. Po prostu zobaczyć, co się dzieje, i sprawdzić, czy mogę pomóc. Bank był zamknięty, drzwi zabito gwoździami. Wisiało na nich ogłoszenie, że bank Pascoe został definitywnie zamknięty, ponieważ nie jest w stanie spłacić swoich wierzytelności. Odwróciłam się, by odejść, ale zauważyła mnie Joan i zawołała do bocznego wejścia. Harrisa nie było, mieszka u siostry w Calenick.

– Co, do diabła, robiła tam Joan? W liście jest informacja, że jej posag wycofano. Czy to znowu jakiś głupi wybryk mojego przeklętego kuzyna?

– Tak, Ross. Miał długi i zażądano spłaty jego weksli.

– Przypuszczam, że mieli je Warlegganowie.

– Tak myślę.

Ross znów wziął list. Rozprostował go niechętnie i patrzył na niego jak na coś nieczystego.

– Więc to robota George'a. Skoro tak...

– George i Elizabeth opuścili Truro nazajutrz po pogrzebie Whitwortha – przerwała Demelza. – Zatrzymali się u kuzynów w Salcombe. Działo się to jeszcze przed kryzysem.

– Chciał mieć czyste ręce, gdy inni będą wykonywać brudną robotę... Moim zdaniem to nie Nicholas. Przyznaję, że przestrzega pewnych zasad. Podejrzewam Cary'ego.

– Stryja? Ja też tak sądzę na podstawie czegoś, co powiedziała Jane, Ross.

– Tak?

– Cary Warleggan zażądał od St Johna spłaty weksli. To wszystko, co wiemy. Możemy podejrzewać resztę, ale nie mamy żadnej pewności. Cary Warleggan nie ponosi odpowiedzialności za Pearce'a i inne rzeczy. Zapewne wykorzystał okazję. Ale nie chcę, żebyś znowu wszczywał wojnę z George'em.

– Mam pozwalać, żeby bez przerwy pluł mi w twarz? Powiniennem tylko

głupio się uśmiechać? Moja droga, na pewno nie byłabyś szczęśliwa jako żona robaka. Musisz mi pozwolić czasem się zbuntować.

– Możesz się buntować, Ross, ale nie stosuj przemocy. Gdybyś złamał prawo, posunął się do przemocy, pobił George'a, złamał mu szczękę, nie byłabym z tego zadowolona, bo bardzo zadowoleni byłiby z tego Warlegganowie. George z radością leczyłby sobie szczękę, gdyby mógł postawić cię za to przed sądem. Ciebie, renegata, który stał się szanowanym obywatelem z długą listą występków. Byłby wniebowzięty, gdyby zmusił cię do rezygnacji z mandatu poselskiego.

– Moja droga, uważam, że przeceniasz delikatność ludzi siedzących na ławach w kaplicy Świętego Stefana, w której odbywają się obrady Izby Gmin. Widywałem czasem brutalne awantury. – Ross znów napełnił swój kieliszek i przyniósł Demelzie karafkę, nie patrząc na żonę. Spojrzała na niego z uniesionymi brwiami. Odetchnął powoli i usiadł na fotelu. – Wielki Boże, ciągle nie mogę w to uwierzyć! Pascoe miał wielu przyjaciół! I trzech wspólników!

– Nazwał ich chochołami.

– A Basset? Nie mógł się zwrócić do Warlegganów, ale dwa lata temu uratowali go Basset, Rogers i Spółka.

– Joan mówiła, że w czwartek wypłacił przeszło dziewięć tysięcy, dziewięć tysięcy w piątek, jedenaście tysięcy w sobotę. Zostały mu dwa tysiące i potrzebował przynajmniej ośmiu, by przetrwać kryzys. W niedzielę po południu poszedł do Kinga z banku Basseta, ale King powiedział, że lord de Dunstanville jest w Londynie, a Rogers w Szkocji, on zaś nie może udzielić pożyczki bez ich zezwolenia.

Rozległo się pukanie do drzwi i ukazała się w nich głowa Jane Gimlett.

– Czy mogłabym sprzątnąć ze stołu, pani?

– Tak, proszę. – Demelza pomyślała, że chwila przerwy w rozmowie

dobrze im zrobi, pozwoli się zastanowić. Ross z wściekłością nabijał fajkę. Z taką wściekłością, że odłamał ustnik od cybucha.

Demelza szybko wstała.

– W kredensie jest druga fajka. – Podeszła do szuflady, wyjęła fajkę, podała ją Rossowi i zabrała połamane części pierwszej. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Dziękuję.

Kiedy Jane skończyła sprzątać ze stołu, nabił i zapalił fajkę.

– Czy słusznie postąpiłam, Ross? Czy słusznie pojechałam do Daniella i pożyczyłam od niego pieniądze?

Nie odpowiedział; ze zmarszczonymi brwiami spoglądał w ogień.

– Zastanawiałam się, czy nie zwrócić się do lorda Falmouth, ale obawiałam się, że jest w Londynie.

– Był w Londynie. Nie myślałaś o Dwighcie?

– Dwighcie? Jak mógłby... Och, masz na myśli...

– W tej chwili zarządza pieniędzmi Caroline.

– Wiesz, że nie chce ich ruszać.

– Wiem. Tym razem mógłby zaryzykować. Bank upadający z powodu kilku tysięcy funtów...

– Nie... W ogóle nie przyszło mi to do głowy. Przykro mi.

Zapadło milczenie. Fajka była zapchana. Ross wyjął ją z ust i obejrzał. Później gwałtownym ruchem cisnął ją do ognia. Następnie spytał napiętym głosem:

– Skoro wpłaciłaś do banku Pascoe wszystkie pieniądze pożyczone od Ralpa-Allena Daniella, jak następnego ranka zapłaciłaś górnikom pensje?

– Nie zapłaciłam.

– Czy...

– Mieliśmy w domu sto dziesięć funtów – przerwała Demelza. – Wiesz, ile

zawsze trzymamy, Ross. Poszłam rano do kopalni i rozmawiałam z górnikami: spotykałam się z nimi w grupach. Powiedziałam, że bank Pascoe ma kłopoty i że musimy mu pomóc. Mówiłam, że gdyby nie bank Pascoe, kopalnia w ogóle by nie istniała. To prawda, czyż nie?

– Można tak powiedzieć.

– Oznajmiłam, że nie możemy zapłacić wynagrodzeń w całości, ale teraz zapłacę jedną czwartą, a ty uregulujesz resztę po powrocie.

– Ach... – westchnął.

Ustnik zniszczonej fajki wypadł z kominka. Ross podniósł go szczypcami i wrzucił z powrotem do ognia.

– Tak się składa, że zapłaciłem dziś w Fowey dziesięć gwinei za dwuletnią klacz – rzekł. – W tej chwili mam w sakiewce jedną gwineę, złotą monetę siedmioszylingową i pięć pensów. To cały mój majątek. Zamierzałem uzupełnić zasób gotówki po powrocie do domu.

Znów zapadło milczenie.

– Zdaje się, że nie zapłaciliśmy rachunków za drewno, węgiel i inne zapasy dostarczone do kopalni w lutym i marcu?

– Nie, Ross.

– W dalszym ciągu jesteśmy winni Jonasowi pieniądze za mąkę, a Renfrew za wyposażenie górnicze. Poza tym mamy długi wobec kupców z Truro, prawda?

– Tak, Ross.

– Myślę, że w szufladzie koło biurka jest jeszcze jedna fajka – powiedział.

– Chyba wszystkie połamię. – Wstał i podszedł do biurka.

– Czy postąpiłam słusznie, czy nie, Ross? Muszę wiedzieć. Musiałam dokonać wyboru.

Mijając żonę, pogłodził ją po barku.

– Jesteś warta więcej niż cała Izba Gmin – powiedział.

Rozdział jedenasty

I

– Mój drogi Rossie, to bardzo przykra historia – powiedział Harris Pascoe. – Zgadzam się, że gdyby udzieliło mi pomocy więcej przyjaciół, zapewne przetrwalibyśmy burzę. Jednak w pewnych okolicznościach w życiu można albo odnieść sukces, albo ponieść klęskę. Jako kapitan rozbitego statku mógłbym argumentować, że gdyby przy wejściu do portu znajdowały się dwa dodatkowe światła, udałoby się ominąć skały. Ale to tylko spekulacje: statek zatonął, nic nie da się zrobić i kapitan ponosi odpowiedzialność za katastrofę.

– Za zdradę? Za fałszywe światła? Za dezercję załogi?

– Twoje porównanie jest naciągane. W istocie rzeczy już się starzeję i chętnie zdjąłbym z siebie część odpowiedzialności. Pieniądze? Tak, straciłem wszystkie pieniądze, ale moja niezamężna siostra ma własny majątek. Najbardziej żałuję utraty dobrego imienia. Po trzydziestu latach spędzonych w mieście nie chce się odchodzić z plamą na honorze.

Ross uderzył szpicrutą w but.

– Siedzisz tu i wydajesz się zupełnie spokojny. Nie pasuje to do ciebie. Skoro nie myślisz o sobie, co z twoimi klientami, z ludźmi, którzy zaufali twoim radom i zdolnościom? Nie zniknęli w ciągu jednej nocy.

– Bank przejmie firma Basset, Rogers i Spółka. Rachunki zostaną samoczynnie przeniesione, chyba że klient wyrazi inne życzenie. Przejmą również zobowiązania. Myślę, że straty okażą się niewielkie, oczywiście poza

moimi prywatnymi stratami. Jest trochę za wcześnie, by mieć pewność – sprzedaliśmy tanio wiele dobrych akcji i musieliśmy dyskontować weksle na piętnaście procent. Likwidacje bywają kosztowne, ale spodziewam się, że w końcu wszystkie długi zostaną spłacone w całości. W końcu. Zatem nie sądzę, byś stracił pieniądze, nawet ostatnie osiemset funtów, które tak szlachetnie wpłaciła w piątek twoja żona. Może zajmie to kilka miesięcy...

– W takim razie, na litość boską, dlaczego bank nie może znów zacząć działać jak poprzednio?! Harris, to na pewno możliwe!

Pascoe zmrużył oczy.

– Skąd wziąć kapitał? Nie mam w tej chwili kapitału. Bank i jego wspólnicy muszą posiadać znaczną sumę pieniędzy, nim wezmą odpowiedzialność za depozyty i udzielone pożyczki. Niezbędne są duże rezerwy, wolne od obciążeń. Te rezerwy są podstawą całego systemu kredytowego. System może być zły. W moim przypadku, jak zauważyłeś, skończyło się katastrofą. Właśnie tak działa bank. Sądzę, że w Anglii nie ma banku, który mógłby jednocześnie spłacić wszystkich wierzycieli. Ale banki nie muszą tego robić, ponieważ wierzyciele mają do nich wystarczające zaufanie.

Ross popatrzył na rudego kota panny Pascoe, który kręcił się wokół nogi stołu, usiłując zwrócić na siebie uwagę.

– Tak czy inaczej, moje doświadczenie w bankowości może się jeszcze przydać, ponieważ pan King zaproponował mi stanowisko dyrektora w banku Basset, Rogers i Spółka – dodał Pascoe.

Ross usiłował coś powiedzieć, lecz z jego ust wydobył się tylko zduszony charkot.

Harris uśmiechnął się ironicznie.

– Jeszcze nie zdecydowałem, czy przyjąć propozycję.

– W takim razie odrzucę ją w twoim imieniu – rzekł Ross.

Pascoe wzruszył ramionami.

– Pensja nie jest godna pogardzenia.

– Nie, należy na nią splunąć, splunąć, podobnie jak na całą tę propozycję! Jeśli nie potrafię załatwić dla ciebie czegoś lepszego, możesz mnie wrzucić do rzeki!

– Nie próbuj osiągnąć zbyt wiele, Ross, bo przeżyjesz zawód. W kraju trudno o pieniądze. Możesz znaleźć wielu sympatyków, lecz niewielu zrobi coś konkretnego. Przede wszystkim ludzie zrozumieli, że niebezpiecznie jest walczyć z Warlegganami. Niewykluczone, że ta sprawa okryje ich niesławą. (Chociaż nie da się niczego udowodnić, wielu się domyśla). Jednak udana machinacja tego rodzaju, choć pogorszy reputację Warlegganów, również ją umocni. Mniej ludzi odważy się krytykować rodzinę, która miała dość siły na taki krok.

– Nie bałem się ich w przeszłości i nie zamierzam się bać teraz.

– Nie chodzi o strach, nie. Mimo to nie należy działać pochopnie. Najważniejsza jest rozwaga.

Ross uśmiechnął się ponuro.

– Chciałbyś, żebym się wyparł własnej natury.

– Chcę powiedzieć, że jeśli chcesz z nimi walczyć, nie powinieneś tego robić w moim imieniu. I jeszcze jedno – dodał Pascoe, gdy Ross wstał, by wyjść. – Nie kłóć się z mojego powodu również ze swoimi przyjaciółmi. Och, to się łatwo może zdarzyć. Możesz od nich oczekiwać więcej, niż są gotowi zrobić. Niecierpliwość czasem szybko zmienia się w złość.

– Nie, jeśli są prawdziwymi przyjaciółmi.

– Cóż... Powiedziałem wszystko, co chciałem powiedzieć. I pamiętaj, że twoja własna sytuacja finansowa nie jest w tej chwili zbyt bezpieczna.

Z Calenick Ross pojechał na spotkanie z Henrym Prynne'em Andrew. Nie był z nim zaprzyjaźniony, lecz Andrew wspierał Harrisa Pascoe i musiał być rozgoryczony. Następną wizytę złożył Hectorowi Spry, kwakrowi i wspólnikowi Harrisa. W czasie kryzysu Spry nie pojawił się w banku, ale, jak twierdził, nieustannie się modlił, gdyż uważał, że to najskuteczniejsza pomoc z jego strony. Później Ross pojechał do lorda Devorana, lecz go nie zastał, więc zjechał ze wzgórza, by złożyć wizytę Ralphowi-Allenowi Daniellowi. Po godzinie wrócił do Truro i zjadł w gospodzie Pod Walecznym Kogutem, w której panował tłok, bo był akurat dzień targowy. Ulica przed gospodą wypełniona była beczącymi jagniętami, apatycznymi krowami i pastuchami w lnianych koszulach. W powietrzu unosił się odór świeżego łajna.

Po posiłku przeprowił się na drugą stronę rzeki i pojechał do Tregothnan, lecz, tak jak się spodziewał, lord Falmouth w dalszym ciągu przebywał w Londynie. Pani Gower zaprosiła Rossa na herbatę, ale grzecznie podziękował. Przed odjazdem zamienił kilka słów z Curgenvnem, który (choć nie mówił tego otwarcie) wydawał się zadowolony, że dzięki swojemu roztropnemu zarządzaniu majątkiem jego lordowska mość nic nie straci na upadłości banku Pascoe. Curgenvn podkreślał, że wicehrabia Falmouth nie ma udziałów w żadnym banku w Kornwalii i że nie wydaje się prawdopodobne, by chciał się angażować w takie przedsięwzięcia. Ross już o tym wiedział.

Ruszył na północ i odwiedził Alfreda Barbary'ego, jednego z dawnych wspólników w odlewni miedzi Carnmore, a dzień zakończył wizytą u sir Johna Trevaunance'a. Sir John był miłym człowiekiem i trzymał niewielkie kwoty w banku Pascoe, lecz jego inwestycje w Kornwalii prawie zawsze kończyły się stratami. Każda wzmianka o pieniądzach sprawiała, że jego oczy stawały się dziwnie szkliste, zwłaszcza gdy mówiono o interesach na terenie hrabstwa.

Nabierały wtedy wyjątkowej nieprzejrzystości. Tak było i tym razem. Pili brandy i rozmawiali o parlamencie, po czym Ross odjechał.

Miał za sobą ciężki dzień i był zmęczony. Nie tak wyobrażał sobie powrót do domu. Nie rozmawiał z dziećmi, nie odwiedził kopalni, od której w dalszym ciągu zależała jego pomyślność. Wiózł w jukach osiem funtów w złocie, dwanaście w srebrze i funt w miedziakach. Opowiedział Ralphowi-Allenowi Daniellowi, co Demelza zrobiła z gotówką, i poprosił o pożyczkę, by zapłacić górnikom czekającym na wynagrodzenie. Tym razem miała to być pożyczka, a nie zadatek na poczet przyszłych zysków z huty.

Rossa zirytował sposób, w jaki wypłacono mu gotówkę w banku działającym pod firmą Basset, Rogers i Spółka. W całym hrabstwie trudno było o drobne monety i rozpowszechnił się handel wymienny. Harris Pascoe zawsze gromadził dla Rossa miedziaki na comiesięczne wypłaty. Jeśli górnicy otrzymywali srebro, szli do szynku z czteroszylingówkami – nawet ze złotymi monetami o wartości połowy suwerena – a właściciel gospody nie był w stanie lub nie chciał ich rozmieniać. Brał pieniądze i zapisywał na liście. W ten sposób zachęcano górnika, by przepił całe wynagrodzenie, zamiast oddać je żonie.

Ross zastanawiał się nad tym, mijając szynk U Doktora, gdy nagle otworzyły się drzwi i wyszło trzech mężczyzn. Nie byli pijani, tylko podpici. Panował półmrok, zapadała noc, w chmurach odbijało się lśniące morze. Ross zerknął na nich i ruszył dalej. Po stu metrach podjął decyzję i pojechał stromą kamienistą drogą, znaną w wiosce jako Stippy-Stappy Lane, prowadzącą do zatoki Sawle.

Sheridan niechętnie schodził śliską ścieżką, więc Ross zeskoczył na ziemię i prowadził konia. Zarzucił wodze na słupek kilkanaście metrów za chatą, do której zmierzał. Zdjął juki w obawie przed złodziejami i podszedł do drzwi.

Otworzyła Rosina.

– Ach, sir! Kapitan Poldark! Proszę wejść. Nie... nie spodziewałam się...

– Twój ojciec jest w domu? – Ross wiedział, że Hoblyna nie ma.

– Nie, sir. Myślałam, że to jego kroki. Matko, przyszedł kapitan Poldark!

– Nie, nie... – przerwał Ross. Stał zgarbiony w niskiej izbie. – Chciałem porozmawiać z tobą. Może Jacka zaraz wróci.

Rosina usiadła, zdenerwowana. Ross również usiadł. Nie przyjął propozycji wypicia kropelki ginu. Pomyślał, że gdyby wypił wszystko, czym go dziś częstowano, nie byłby w stanie wrócić do domu.

– Może nie chcesz mówić o tym, co się stało po moim wyjeździe, Rosino. Może lepiej o tym nie rozmawiać, lecz chciałbym powiedzieć, że jest mi bardzo przykro.

– Panu, sir?! Przecież to nie ma z panem nic wspólnego. To sprawa między mną a Drake'iem Carne'em. Wszystko źle się skończyło, ale nikt nie ponosi za to winy.

Spojrzał na dziewczynę. Jej schludny wygląd nie pasował do nędznej chaty. Była w muślinowym czepku i sukience z bawełnianego płótna. Wydawała się miła i czysta, miała ładną buzię, zasługiwała na dobrego męża.

– Mój szwagier złamał dane słowo i powiem mu to, gdy go spotkam. Wróciłem do domu dwadzieścia cztery godziny temu i jeszcze prawie z nikim nie rozmawiałem.

Rosina uniosła głowę.

– Sir, jeśli wybaczy mi pan śmiałość, nie chcę, żeby Drake Carne ani żaden inny mężczyzna zenił się ze mną z poczucia obowiązku. Małżeństwo nie na tym polega.

– Zgadza się. Jednak szczerą obietnicą nie powinna być łamana dla kaprysu.

– To nie był kaprys – odpowiedziała. – Pokochał mnie, gdy mnie poznał, a kiedy tamta kobieta owdowiała, czuł, że musi odejść. Szanuję Drake'a, ale

nie ją!

– Zmuszono ją do małżeństwa. Och, chcesz powiedzieć, że go odprawiła?!

– Tak słyszałam.

– Nie widziałaś go od tamtej pory?

– Nie!

Oczy wypełniły jej się łzami. W tej samej chwili za oknem rozległy się ciężkie kroki. Pojawił się Jacka Hoblyn, ojciec Rosiny.

Wszedł do chaty, trzaskając drzwiami. Miał zaczerwienioną twarz, zmarszczone brwi i wojowniczą minę. Koń Rossa czekał w pewnej odległości od domu, toteż Jacka nie spodziewał się gościa i na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Pan kapitan...

– Chciałbym zamienić z tobą kilka słów, Jacka. Na osobności.

– Dlaczego? Nie wiedziałem, że jesteś w domu, Rosino. Coś się stało?

– To nie ma z nią nic wspólnego – rzekł Ross. – Chciałbym z tobą porozmawiać sam na sam, Jacka.

Rosina złożyła robótkę.

– Pójdę zobaczyć, co robi matka.

Kiedy wychodziła, Ross spojrzał na Hoblyna. Górnik wściekle patrzył na niego pijackim wzrokiem, aż wreszcie odwrócił wzrok.

– Brzydka sprawa, Jacka. Drake Carne bardzo nieładnie postąpił, porzucając Rosinę.

Jacka wydał nieartykułowany pomruk.

– Widziałeś ostatnio Drake'a Carne'a?

– Czym go widział?! Połamałbym mu gnaty!

– Zawsze lubiłeś się bić, co? Cóż, kiedyś będziesz musiał go widywać, jeśli macie dalej mieszkać obok siebie.

– Nie ośmieli się wrócić do swojej kuźni!

– Nie spotkałem go. Prawdopodobnie nie będzie chciał wrócić, ale jeśli to zrobi, nie możesz go powstrzymać.

Jacka otarł dłonią usta.

– Nie podoba mi się to, co zrobił – powiedział Ross. – Nigdy tego nie poprę ani nie będę go bronił, ale nie podoba mi się też to, co się później stało.

– Co się stało? Co?

– Kuźnia Pally’ego jest w ruinie. Odbudowa będzie kosztować dużo pieniędzy. To ty ją spaliłeś?

Jacka się zakrztusił.

– Ja?! Ależ skąd! To nie ja, kapitanie, nie!

– Spalili ją twoi nowi przyjaciele?

– Jacy przyjaciele?!

– Pół godziny temu widziałem cię z dwoma ludźmi Warlegganów. Jeden nazywa się Tom Harry. Nazwisko drugiego wyleciało mi z głowy.

– Ach, Harry i ten drugi... – odparł Jacka, wyraźnie spocony. – Nie, po prostu razem wyszliśmy z szynku. Przypadkowe spotkanie, można powiedzieć.

– Nie umiesz kłamać, Jacka.

– Ja?! Ależ panie kapitanie... Nie ma powodu nazywać mnie kłamcą. Znamy się od dawna, ale...

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi i towarzyszami, popłynęliśmy razem do Francji. Jednak nie licz na to za bardzo. Podpalenie to gardłowa sprawa.

– Gardłowa?

– Tak, za podpalenie idzie się na stryczek. Wieszają za to. Za szyję. Przed więzieniem w Bodmin. Na wzgórzu przed więzieniem. Przywożą skazańca wozem, zakładają linę na szyję, a potem wóz odjeżdża. Śmierć jest szybka.

Jacka ciężko dyszał. Świeca migotała, poruszana przez przeciąg.

– Więc to robota dwóch twoich przyjaciół?

– Co takiego?! To nie moi przyjaciele! Nie wiem, co zrobili! To nie moja

sprawa!

– Ale byłeś z nimi w kuźni Pally’ego, gdy się spaliła, prawda? Byłeś? Wszystko widziałeś? Pomagałeś im?

Jacka wstał, po czym znów usiadł i otarł dłonią wargi. Czuł w ustach smak skwaśniałego piwa.

– Przysięgam na Biblię, że nic o tym nie wiem! Nie miałem z tym nic wspólnego i nie powinien mnie pan oskarżać, kapitanie. Przysięgam na Biblię! Jak Boga kocham, naprawdę!

Ross długo patrzył na Hoblyna. Zastanawiał się, czy gdyby zadał mu więcej pytań, przyłapałby go na kłamstwie: czy Jacka zacząłby się plątać i zaprzeczać samemu sobie. Możliwe. Jednak nawet gdyby Ross zmusił go dziś do przyznania się do winy, rankiem Hoblyn wszystkiego by się wyparł. Jak oskarżyć bydlaków, z którymi Ross widział go dzisiaj? Potrzebne są przede wszystkim dowody, których nie ma. Kuźnia spłonęła przed miesiącem. Można działać w oparciu o podejrzenia, mścić się w oparciu o podejrzenia, to wszystko. Albo nic nie robić. Zasiać strach.

Wstał.

– Jutro znowu z tobą porozmawiam. Chcę się dowiedzieć wielu rzeczy. Ale teraz posłuchaj. Zadajesz się z niewłaściwymi ludźmi. Zerwij z nimi. Jeśli spalili kuźnię, a ty im pomagałeś, nie będą cię oszczędzać, gdy staną przed sądem. Wylądujesz razem z nimi na ławie oskarżonych, to pewne. A jeśli mój szwagier tu wróci, by odbudować dom, nikt nie powinien mu przeszkadzać, rozumiesz?

Jacka chrząknął i czknął. Ross podszedł do drzwi.

– Posądziłem cię o skłonność do przemocy. Cóż, przyganiał kociół garnkowi. Zakończmy nasze pierwsze spotkanie. To dopiero początek, Jacka. Obiecuję ci, że jeśli będziesz w jakikolwiek sposób prześladował Drake’a albo pomagał w jego prześladowaniach, nie zamierzam czekać na

rozprawę przed sądem w Bodmin. Zadyndasz na szubienicy w Bargus, gdzie rozdziobią cię kruki. Przykro mi grozić dawnemu towarzyszowi wyprawy do Francji, ale wiesz, że mówię poważnie. Życz w moim imieniu dobrej nocy Rosinie i pani Hoblyn.

III

Ross lubił jeździć konno po zmroku. Wioska Grambler prawie spała, choć ledwo minęła dziewiąta. Zdumiewające, ale w chacie Juda migotało światło. Zastanawiał się, czy ludziom znudziło się przezywać Payntera Judem Szprotką. Pomyślał, że któregoś dnia powinien kazać poprowadzić drogę przez kępy kolcolistów i wrzosów i wyrównać płytkie żleby, aby nie trzeba było jeździć do Nampary okrężną trasą.

Kiedy zmierzał pod górę w stronę Wheal Maiden, przez drogę przebiegł borsuk i spłoszony Sheridan odskoczył na bok. Zabrzęczały juki. Wcześniej, zanim Ross zaczął go oskarżać, Jacka zerkał na nie, gdy leżały na stole. Wiózł nocą mnóstwo pieniędzy – znakomity łup dla rabusia, gdyby wiedział, że może się obłowić.

W pobliżu rozległ się tupot stóp i Sheridan znów odskoczył w bok. Ross ścisnął szpicrutę, lecz okazało się, że spłoszył tylko dwoje młodych ludzi leżących w krzakach kolcolistu. Oddalali się pośpiesznie, by ich nie rozpoznano.

Jak to się stało, że Ossie spadł z konia? Trzeba przyznać, że w siodle czuł się lepiej niż na ambonie. Martwy człowiek na drodze, z jedną nogą w strzemieniu. Spalony dom. Plajta banku, ruina uczciwego człowieka. Wszystko to wydarzyło się, gdy Ross płynął kanałem La Manche. Teraz musiał próbować naprawić to, czego nie da się naprawić. „Wszystkie Króla konie ni żołnierze...” ¹.

Minął kopalnię Wheal Maiden, która na jakiś czas zatopiła jego własną kopalnię. Nie wydawało się, że zamierza jakoś to wynagrodzić. Życie to hazard i nawet najostrożniejsi i najsilniejsi kroczą po linie i w każdej chwili mogą runąć w przepaść. Uważamy, że jesteśmy ważnymi osobistościami, życie jest pewne. A potem pstryk – i wszystko znika.

W Namparze płonęły dziś w nocy światła. Demelza czekała przy drzwiach salonu. Spojrzała na Rossa, który się uśmiechnął, po czym zdjął kapelusz i pelerynę. Pomogła mu ściągnąć buty. Nie zadawała żadnych pytań.

– Czekałam z kolacją – powiedziała. – Jest gorąca, daj mi pięć minut.

– Naturalnie.

Kiedy przyniosła posiłek, zjadł niewiele.

– Nie jesteś głodny? – spytała.

– Po prostu zmęczony. Zmęczony mówieniem, przekonywaniem, pytaniem, jazdą.

– Zjedz jeszcze coś.

– Nie – odpowiedział. – Chyba chcę po prostu ciebie.

IV

Ross podziękował górnikom za pracę i pomoc, po czym ogłosił, że czwartek będzie dniem wolnym. Na szczyt komina wciągnięto starą flagę wątpliwego pochodzenia należącą niegdyś do Joshui Poldarka, a w południe spod ziemi wyszli ostatni górnicy, których nikt nie zastąpił. Ustawili się w kolejce przed kantorem, gdzie prowadził rachunki nadsztygar Henshawe. Ross stał obok Henshawe'a, zamieniał kilka słów z każdym górnikiem otrzymującym wypłatę i wręczał każdemu dodatkowe dwa szylingi „za cierpliwość”. Mówił, że bank Pascoe zawiesił wypłaty, lecz może wznowić działalność, a kopalnia jest bezpieczna. W ciągu najbliższych miesięcy będą z trudem wiązać koniec

z końcem, nie ma jednak powodów do niepokoju. Dopóki wszyscy trzymają się razem.

Zaskoczeni wolnym dniem górnicy szybko zaczęli się cieszyć. Zebrano mnóstwo sześciopensówek i dwóch mężczyzn pojechało wozem do szynku Sally Tregothnan, by kupić baryłkę piwa. Dopisywała pogoda, więc wszyscy woleli siedzieć razem w Namparze, niż rozejść się do okolicznych szynków. Kilku ludzi porąbało trzy lub cztery stare stemple kopalniane – wiele z nich wałało się na ziemi po katastrofie. Nie nadawały się do ponownego użytku, bo były zbyt nasiąknięte wodą, choć teraz wyschły w zimowym powietrzu. Później rozpalono wielkie ognisko. Ogień, z początku słaby, w końcu strzelił wysoko w niebo. Część górników robiła petardy z prochu strzelniczego i wysadzała stare baryłki i skrzynki. Nie była to bezpieczna zabawa, ale Ross się nie wtrącał. Górnicy mieli duże doświadczenie w obchodzeniu się z materiałami wybuchowymi: skoro dbali o swoje życie pod ziemią, można wierzyć, że zadbają o nie również na powierzchni. Eksplozje bardzo bawiły kobiety i dzieci, które piszczały ze strachu i radości, gdy latały wokół nich kawałki drewna. Potem zjedzono prosiaka upieczonego na ognisku i kartofle upieczone w popiele.

W ciągu dnia zza chmur wyszło słońce i wszędzie rozblęły kolory: błękit, zieleń i brąz na stoku doliny, czerwony płomień i czarny dym ogniska. Wokół widać było twarze spracowanych ludzi, młode jeszcze bez blizn, ręce umazane tłuszczem, uniesione kufle, flirtującą młodzież i zgrzybiałych starców. Wszędzie rozlegały się wesołe rozmowy i śmiechy. Rzadka chwila wspólnej radości.

– Nasza dolina jest strasznie zrujnowana – rzekł Ross. – Hałdy, śmieci, doły i szopy. Z każdym miesiącem ubywa roślinności.

– Nie możemy żyć bez roślinności – odpowiedziała Demelza.

– Nie ma żadnego z twoich braci.

- Nie. Samuel pojechał do domu po Drake’a, ale nie wrócił.
- Rozumiem, że Drake na razie woli być sam.
- Może powinnam go przywieźć?
- Nie, zostaw go. Samuel się nim zajmie. Moim zdaniem Drake sam musi sobie z tym poradzić. To potrwa.
- Jutro znowu wyjeżdżasz?
- Tak. Muszę się spotkać z kilkoma osobami. Potem będę czekał na powrót Basseta.
- Wiesz, kiedy wróci?
- Spodziewają się go w sobotę.
- Masz jakąś nadzieję, Ross?
- Niezbyt wielką.

1. Fragment wiersza o Humptym Dumptym, w: Lewis Carroll, *Przygody Alicji w Krainie Czarów. O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, przeł. M. Słomczyński, wyd. II, Czytelnik, Warszawa 1975, s. 219. [\[wróć\]](#)

Rozdział dwunasty

I

Kiedy w następny poniedziałek Ross zbliżał się do bram dworu Tehidy, pomyślał: W przeszłości czasem próbowałem taktownie przekonywać ludzi do swojego zdania, rzadko z powodzeniem. Usiłowałem skłonić sędziów, by nie skazywali młodego górnika na więzienie, w którym, jak się później okazało, umarł. Raz błagałem o swoje życie – wbrew własnemu przekonaniu, namówiony do tego przez adwokata Clymera – i odniosłem sukces. Złożyłem wizytę swojemu najdroższemu przyjacielowi George’owi Warlegganowi, by pomóc Drake’owi Carne’owi, który zawsze pakuje się w kłopoty, po czym namowami i groźbami – przede wszystkim groźbami – zdołałem skłonić Warleggana, by wycofał oskarżenie o kradzież. Raz – nie tak dawno temu – odwiedziłem człowieka, do którego teraz jadę, Francisa Basseta, barona de Dunstanville’a z Tehidy, w sprawie górnika skazanego na karę śmierci za udział w rozruchach. Prosiłem, by zamieniono karę na deportację, i poniosłem całkowitą porażkę.

Od tamtej pory stosunki Rossa z Basetem wyraźnie ochłodły. Na pewno nie poprawiło ich to, że Ross odrzucił propozycję kandydowania do Izby Gmin jako nominat Basseta, po czym przyjął dokładnie taką samą propozycję ze strony wicehrabiego Falmouth. Sugerowało to, całkowicie mylnie, że Ross nie chce, by jego patronem był świeżo upieczony lord de Dunstanville i że woli członka starej arystokracji, lorda Falmouth. Mogło to nawet świadczyć

o osobistej antypatii. Żadna z tych teorii nie była prawdą. Ross nie miał ochoty tłumaczyć innym ludziom swoich nieskończenie skomplikowanych motywów, zwłaszcza komuś, kto mógł potraktować takie wyjaśnienia jako wymówkę lub przeprosiny.

Tak czy inaczej, jaki był główny motyw? W jednym roku Ross był szczęśliwy z żoną i wolał zostać w Kornwalii, a w następnym sytuacja całkowicie się zmieniła.

Kiedy zobaczył wielki dwór w stylu palladiańskim z eleganckim portykiem i czterema narożnymi pawilonami, doszedł do wniosku, że jeśli Basset okaże się zajęty lub czymś zaabsorbowany, złoży mu wyrazy uszanowania, umówi się na późniejszy termin i odjedzie. Temat jest zbyt ważny, by o nim dyskutować w nieodpowiednim czasie. Jednak jego lordowska mość przebywał w domu i zgodził się przyjąć Rossa. W drodze powrotnej z Londynu lekko się przeziębził i nie miał nic przeciwko spędzeniu wolnej godziny w towarzystwie gościa.

Rozmawiali o pogodzie, nietypowej jak na tę porę roku, o opóźnionej wegetacji roślin, o tym, jak przyjemnie czuć rześkie wiosenne powietrze w pierwszych dniach maja. Rozmawiali także o oblężeniu Akry i zastanawiali się, czy admirał Sidney Smith zmobilizuje Turków, by wytrzymali, oraz o tym, czy teraz, gdy układ sił w Europie wreszcie zaczyna działać na niekorzyść Francji, Bonaparte pozostanie w Egipcie, czy raczej, jeśli poniesie klęskę pod Akrą, mimo blokady morskiej spróbuje się przemknąć z powrotem do Francji.

W zachowaniu Basseta nie było oznak chłodu ani wrogości. Może był zbyt wielkim panem, by przejmować się drobnymi afrontami. Po przyjacielsku opowiedział Rossowi o swoim procesie sądowym z C.B. Agarem o prawa górnicze i o kolejnym procesie – tym razem z lordem Devoranem – który miał rozstrzygnąć spór o drogę wodną. Basset zawsze miał wiele procesów sądowych. Oświadczył również, że w tej chwili dysponuje funduszami na

ponowne otwarcie wielkiej kopalni Dolcoath, co nie tylko przyniesie mu zyski, lecz również zapewni pracę ośmiuset lub dziewięciuset górnikom. Z projektu o mało nie zrezygnowano w marcu, gdy istniało zagrożenie, że cena miedzi spadnie poniżej stu funtów za tonę, ale teraz, gdy kurs się poprawił, wielki dzień był już blisko. Czy kapitan Poldark weźmie w przyszłym tygodniu udział w uroczystym otwarciu Kornwalijskiego Szpitala Ogólnego?

Ross odpowiedział, że z przyjemnością przybędzie, i dodał, że możliwość rozmowy o wydarzeniach na świecie, dalekim i bliskim, jest miłą odmianą. Wojna. Warunki panujące w kraju. Nadchodzące lato. Jednak po powrocie do Kornwalii z wielką przykrością dowiedział się o bankructwie banku Pascoe.

Lord de Dunstanville kichnął.

– Tak, to niefortunne. Nie było pana wtedy w Kornwalii? Owszem, bardzo niefortunne. Ale słyszałem z dobrego źródła, że depozytariusze prawie nic nie tracą. Rozumiem, że ulokował pan tam sporą sumę, Poldark?

– Tak. Lecz nie to budzi moją troskę. Martwi mnie, że Harris Pascoe jest zrujnowany. Jeśli nie uda się wskrzesić jego banku, Truro straci jednego z najwybitniejszych, najuczciwszych obywateli, którzy zawsze działali dla dobra miasta.

– Wskrzesić jego bank? Czy to możliwe? Obawiam się, że trochę stracił pan kontakt z miejscowymi wydarzeniami. Odwiedził mnie wczoraj Tresidder King i mówił, że nasz bank przejął aktywa i zobowiązania banku Pascoe, a zatem próby jego wskrzeszenia są skazane na niepowodzenie.

– Moim zdaniem nie podjęto żadnych takich prób.

– Tym bardziej nie widzę możliwości wskrzeszenia tego banku po upływie kilku tygodni.

– Kilku dawnych klientów przyjąłoby to z wielkim zadowoleniem, milordzie.

– Czy mogliby sfinansować takie przedsięwzięcie?

– Tego nie wiem.

Basset wytarł nos.

– Bardzo wątpię, czy w tej chwili udałoby się znaleźć na to fundusze. Tak czy inaczej, tak czy inaczej epoka małych prywatnych banków powoli odchodzi w przeszłość. Wiem, że Pascoe to człowiek nieposzlakowanej uczciwości, ale od wielu lat jego bank nie dysponował wystarczającymi rezerwami finansowymi. Kilkakrotnie był zagrożony. Zbankrutowałby dwa lata temu, gdyby nie nasze wsparcie.

– Dlaczego groziło mu wtedy bankructwo?

– Dlaczego?

– Musi pan to wiedzieć, milordzie.

Na twarzy Basseta po raz pierwszy pojawił się cień irytacji. Ross pomyślał, że powinien zachować ostrożność, po czym powiedział:

– Dwa lata temu angielski system bankowy znalazł się w niebezpieczeństwie. Pascoe był jednym z wielu, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Dałby sobie radę, gdyby nie presja ze strony banku Warlegganów, który nagle rzucił na rynek skrypty Pascoe, odmawiał kredytu, przestał dyskontować weksle trasowane na bank Pascoe i tak dalej. Słyszałem, milordzie, że wrócił pan z Londynu w samą porę, by uratować sytuację.

Niski mężczyzna skinął głową.

– Tak, to prawda.

– W tamtym czasie Pascoe przetrwał kryzys dzięki pożyczce w wysokości sześciu tysięcy funtów. Teraz też uratowałaby go podobna kwota.

– Właśnie o to mi chodzi, Poldark. Nie można stale wspierać innego banku w ten sposób, a raczej nie powinno się tego robić. On sam powinien...

– Nawet gdy naciskano nieuczciwie?

– Nieuczciwie? Cóż, nic o tym nie wiem! Pearce, którego znałem tylko z widzenia, wpakował się w poważne kłopoty i wplątał w nie Pascoe. Nie

wydaje mi się...

– Pearce przez większość swojego życia był uczciwym człowiekiem, a na starość popadł w długi wskutek nierozsądnych spekulacji. Nigdy się nie dowiemy, co go do nich skłoniło... Korzystał z powierzonych mu pieniędzy. W niektórych przypadkach był jedynym powiernikiem, a Pascoe, jego wieloletni przyjaciel, często za bardzo mu ufał. Ale Pascoe chciał spłacić wszystkie długi i zamierzał to zrobić. Zabrakło niespełna ośmiu tysięcy. Nie było powodów do niepokoju. I nikt by się nie zaniepokoił, milordzie, gdyby nie to. Takie jest moje zdanie.

Ross wyjął z kieszeni anonimowy list i podał go Bassetowi, który włożył bardzo małe okulary – ich soczewki były mniejsze od jego oczu. Na dworze hałasowały kosy i drozdy. Nie miały jeszcze młodych, więc śpiewały dla przyjemności.

– Potworne – rzekł Basset. – Ile...

– Pięćdziesiąt egzemplarzy – odparł Ross.

Ostrożnie, nie powinienem stale mu przerywać.

– Hm... – Basset podrapał się po siwiejących włosach. – A sprawa jego córki?

– Warleggan nagle zażądał spłaty długów jej męża, który – muszę ze wstydem przyznać – jest moim krewnym i powinien dostać takiego kopniaka, że poleciałby stąd do Plymouth.

– Tak, cóż... tak, hm.

– Słyszałem, milordzie, że nie jest pan sympatykiem Warlegganów od czasu, gdy dwa lata temu wrócił pan z Londynu i odkrył, że niemal doprowadzili do upadku bank Pascoe.

– Kto panu to powiedział?

– Nie pamiętam.

– Niech pan nie stara się sobie przypomnieć. Owszem, jest w tym ziarno

prawdy. Wszyscy przestrzegamy w interesach pewnych zasad, a ja nie lubię kanciarstwa.

– Mam nadzieję, że teraz tak samo jak wtedy.

Zapadło długie milczenie. Basset pociągnął nosem i wysmarkał go w chusteczkę.

– W czwartkową noc było piekielnie zimno. Czasem trudno wytrzymać przeciągi. Kiedy człowiek zatrzymuje się w gospodzie, nie ma złudzeń co do kiepskiej jakości kotar w łóżkach. Ale spędzając noc u przyjaciela...

– Tak, milordzie, to trudne do wytrzymania. Choć i tak lepsze niż moja podróż morską.

– Proszę mi o niej opowiedzieć.

Ross spełnił prośbę. Basset zaprosił go na obiad i Ross przyjął zaproszenie. Wydawało się, że arystokrata nie ma ochoty w tej chwili dalej rozmawiać o banku Pascoe. Było jasne, że chce się zastanowić. Ross o mało nie zaproponował, że przyjedzie innego dnia, lecz doszedł do wniosku, że nie powinien tego robić. Gdyby Basset miał zbyt wiele czasu na myślenie, mógłby porozmawiać z Tresidderem Kingiem, a chociaż Ross nigdy nie poznał tego dżentelmena, nie miał do niego zaufania. Oczywiście Basset mógłby w dalszym ciągu się wykręcać, powiedzieć, że musi się skonsultować ze współnikami. Mimo to warto było czekać.

Obiad spożyto w towarzystwie dam: żony Basseta, córki i dwóch sióstr. Nie było nikogo więcej. Ross cieszył się, że ma syna. Prowadzono miłą, swobodną konwersację, lecz lord de Dunstanville w niej nie uczestniczył. Choć przyjęto Rossa przyjaźniej, niż się spodziewał, nie miał wielkich nadziei. Francis Basset angażował się w wiele spraw, jednak przede wszystkim był człowiekiem interesu. Najbogatszy człowiek w Kornwalii – wynikało to z wielkości jego aktywów – nie mógł zrezygnować z możliwości pomnożenia swojego majątku. Jego bank w Truro niedawno połąkł

konkurencyjny bank. Czy miał zamiar zwrócić to, co zjadł, ze względu na zasady?! Czy chciałby, by klienci niezadowoleni z warunków proponowanych przez bank Basseta mówili: „Bardzo dobrze. W takim razie pójdę do Pascoe”. Czy rozsądnie się tego spodziewać? Basset nie lubił Warlegganów, a teraz z pewnością nie ufał im jeszcze bardziej, ale nie czuł do nich głęboko zakorzenionej, odwiecznej wrogości, jaką czuł Ross. Nie kierowały nim osobiste motywy.

Mimo to, po niedawnych rozmowach z przyjaciółmi i starym Pascoe, Ross rozumiał, że wszystko zależy od Basseta. Wszyscy dobrze życzyli Pascoe, jak przewidywał sam Harris, ale skąd wziąć pieniądze na wznowienie działalności? „Humpty Dumpty z muru spadł”¹. Jeśli Harrisa poprą Basset, Rogers i Spółka, wróci do niego wielu klientów, co nie zmienia faktu, że i tak stracił cały prywatny majątek. Twarde jądro, jak to nazwał. Fundament, na którym wszystko zbudowano.

Damy nie zabawiły długo. Pogoda była tak ładna, że poszły do lasu zbierać dzwonki i dzikie orchidee. Dwaj mężczyźni zostali przy zastawionym stole.

– Mój zarządca kazał sobie przysłać ser z Somerset – rzekł de Dunstanville.
– Uważa, że nie zdąży zjeść wszystkiego, bo ser waży prawie dziewięć kilogramów i reszta się zepsuje. Dlatego mu pomagam. Proszę się częstować.

– Dziękuję.

– A porto? Jak się czuje pani Poldark? Pamiętam, że lubiła porto.

– Cieszy się dobrym zdrowiem, dziękuję. Ma pan znakomitą pamięć, milordzie.

– Wydała mi się uroczą osobą, o dowcipie ostrym jak nóż i ujmującym poczuciu humoru.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że znów państwo nas odwiedzą.

– Nie, to pan i pana żona musicie przyjechać do Tehidy, jeśli się nie pokłócimy o bank Pascoe.

– Byłbym bardzo zadowolony, gdyby tak się nie stało.

– To znaczy byłby pan bardzo zadowolony, gdyby postawił pan na swoim. Cóż... to trudna sprawa. Proszę najpierw powiedzieć, z kim pan rozmawiał i jaką pomoc obiecują.

Ross obawiał się tego pytania. Było niebezpieczne, a jednak nie powinien odpowiadać zbyt wykrętnie. Podał listę nazwisk: lord Devoran, Ralph-Allen Daniell, Henry Prynne Andrew, Henry Trefusis, Alfred Barbary, sir John Trevaunance, Hector Spry i tak dalej.

– Nie pański patron? – W pytaniu zabrzmiała lekka niechęć.

– Nie, jest ciągle w Londynie.

– Nie otrzyma pan od niego pomocy... Cóż, i jakie są rezultaty?

– Nikt nie chce, by bank Pascoe splajtował – odparł Ross.

– O tak, niewątpliwie, ale jaką praktyczną pomoc zaoferowali?

– Praktyczna pomoc polega na tym, że mają całkowite zaufanie do Harrisa Pascoe i chcieliby w dalszym ciągu powierzać mu pieniądze. Pragną, by znowu prowadził bank, gospodarując ich oszczędnościami.

Lord de Dunstanville jadł powoli. Był człowiekiem wstrzemięźliwym i pozwolił sobie na wypicie zaledwie czterech kieliszków wina.

– Bardzo dobrze, kapitanie Poldark. Doceniam pragnienia pana i pańskich przyjaciół. Chcielibyście znów otworzyć bank, postawić Pascoe na jego czele, by działał jak poprzednio. Właśnie o to chodzi. O przywrócenie *status quo ante bellum*. Pana przyjaciele chcą cofnąć czas. Doskonale, tylko kto zapłaci za cofnięcie zegara, kto sfinansuje powrót do stanu pierwotnego? Na pewno nie oni.

– Otrzymałem kilka propozycji. To trochę za mało, ale z pana pomocą...

– Dzięki moim pieniądzom. Potrzeba ogromnej sumy. Mleko się rozlało. Oczywiście moglibyśmy udzielić pożyczki, a Pascoe zdołałby ją spłacić w ciągu kilku lat. Prowadził dobry, niewielki bank. Jednak Pascoe nie jest już

młodym człowiekiem i nie ma syna, który przejąłby po nim interesy. Moglibyśmy udzielić dużej pożyczki – nawet dwadzieścia tysięcy funtów – ale lepiej wykorzystać te pieniądze w inny sposób. Nie... Przykro mi, Poldark, wiem, co pan czuje, lecz wydaje mi się, że przejęcie banku Pascoe to jedyne sensowne, praktyczne rozwiązanie. Mogło być gorzej. Rozumiem, że Tresidder King zaproponował już panu Pascoe stanowisko w naszym banku...

– W charakterze urzędnika!

– Dyrektora zarządzającego. Rozumiem, że pan Pascoe nie jest przyzwyczajony do takiego stanowiska, ale to już coś. Może wkrótce będziemy mogli mu zaoferować coś lepszego. King to młody człowiek, lecz może pojawić się inne stanowisko.

Ross odetchnął głęboko. Wydawało się, że poniósł porażkę, że nie zrealizował pierwszego ze swoich celów. Czy powinien dalej nalegać, czy zrezygnować i próbować osiągnąć drugi cel? Trudna decyzja. Jak dotąd rozmowa przebiegała zadziwiająco spokojnie. Może się to zmienić, jeśli będzie się upierał. Jak przekonać człowieka, który nie ma ochoty się zgodzić? Gdyby zaapelować do jego honoru, Basset prawdopodobnie by się rozgniewał i wszystko byłoby stracone. Nie miał ochoty pomóc Harrisowi Pascoe podobnie jak kiedyś „Żbikowi” Hoskinowi. Pozostały tylko negocjacje, dyplomacja.

– Wspomniał pan o przejęciu banku Pascoe, milordzie.

– Tak. Przejęciu i wchłonięciu.

– Wcześniej użył pan tylko pierwszego słowa. Skoro tak to pan określa, właściciel mniejszego banku mógłby zostać współnikiem nowego przedsiębiorstwa?

Basset uniósł brwi.

– Jeszcze trochę sera? Byłoby to niewskazane, gdyż nazwisko Pascoe zanadto kojarzy się z bankructwem i błędnymi decyzjami.

– Większość ludzi pamięta – a z pewnością ludzie dobrej woli pamiętają – że jedyną błędną decyzją Harrisa Pascoe było skrzyżowanie szpady z Warlegganami.

– Przejdziemy do salonu? Wychodzi na zachód, a słońce pojawia się u nas tak rzadko...

Ross podążył za gospodarzem, który zatrzymał się, by kichnąć i wytrzeć nos. Trzy spaniele śpiące w pobliżu wstały, by powitać swojego pana, po czym ułożyły się wokół jego stóp, gdy zasiadł w fotelu.

– Niewielu ludzi dobrej woli biorących sobie do serca interesy całego społeczeństwa może patrzeć z zadowoleniem na to, że Warlegganowie przejmują całkowitą kontrolę nad handlem w Kornwalii – rzekł Ross.

– Sytuacja nie jest jeszcze tak zła.

– Cóż... znów muszę się powołać na zasady. Każde zwycięstwo odniesione przez Warlegganów nad słabszym przeciwnikiem sprawia, że inni tracą ochotę do walki. Warlegganowie pożerają to, co mogą pożreć, i niszczą resztę – taka jest ich natura. Oczywiście, poczynając od wrogów. Przy okazji nieustannie robią sobie nowych.

– Zażywa pan tabakę? Nie... Zastanowię się nad tym, co pan mówi. Muszę jednak zwrócić panu uwagę, że choć jestem głównym udziałowcem banku, mam trzech współników. Swojego szwagra Johna Rogersa, Mackwortha Praeda i Edwarda Eliota. Konsultuję z nimi wszystkie ważne sprawy. Nie mogę podejmować arbitralnych decyzji bez ich zgody.

– Czy mam rozumieć, milordzie, że Tresidder King, który nie jest udziałowcem pana banku, mógł podejmować arbitralne decyzje bez pańskiej zgody?

Ross miał wrażenie, że posunął się za daleko. Basset oblał się rumieńcem i zerknął na niego z błyskiem gniewu w oczach.

– King może postępować według swojego uznania, gdy jesteśmy nieobecni.

Mógłbym panu coś zasugerować, Poldark? Jeśli człowiek ma słabe karty, nie powinien zbyt mocno naciskać, bo popełnia błąd.

– Ja również tak uważam, milordzie.

Basset spojrzał na niego i wybuchnął śmiechem.

– Przynajmniej jest pan szczery...

– Szczerość to moja jedyna broń – odparł Ross. – Jeśli mogę kontynuować w tym samym duchu. Nawet jeżeli dysponuję słabymi kartami, mam pewne możliwości negocjacji. Gdyby Harris Pascoe został pełnoprawnym współnikiem pańskiego banku, przeszliby do niego wszyscy dawni klienci. Jeśli nie, część z nich, a może i wielu, może czuć pokusę przeniesienia swoich depozytów do innych banków.

– Innych banków? Do Warlegganów? – Znów złość.

– Nie... Jest jeszcze bank Carne i Spółka w Falmouth. Dla wielu ludzi, z którymi rozmawiałem, Falmouth jest mniej wygodne od Truro. Dla lorda Devorana, Daniella, Trefusisa. Mimo to nawet ja bym się tam przeniósł, gdyby Carne i Spółka stał się Carne i Pascoe.

– Ach... werbował pan stronników.

– Zbierałem opinie. Ale jeśli wolno mi powiedzieć, uważam, że gdyby firma Basset i Rogers stała się firmą Basset, Rogers i Pascoe, znacznie podniosłoby to prestiż i popularność właścicieli banku.

– Cóż, to wykluczone. Taka nazwa w ogóle nie wchodzi w grę. Poza tym nie lubię, gdy jestem szantażowany, mój panie.

– W żadnym wypadku nie zamierzałem pana szantażować. Mogę tylko apelować do pana wspaniałomyślności.

Długie milczenie.

– Czy Carne zaproponował Pascoe fuzję?

– Zrobi to, jeśli mu powiem, jakich klientów mógłby przejąć.

– I mówi pan, że to nie szantaż?

– Nie, milordzie. Tylko interesy. W gruncie rzeczy stawiam w tej dziedzinie pierwsze kroki. Robię to jedynie ze względu na starą przyjaźń.

– Ma pan pewien talent do tej nowej roli. Uważa pan tę uwagę za obraźliwą?

– To dla mnie wielkie pochlebstwo.

Lord de Dunstanville pochylił się nad jednym ze swoich spanieli.

– Biedny Trix ma zapalenie ucha. Muszę kiedyś zasięgnąć rady pana żony. Podobno ma znakomitą rękę do zwierząt. Proszę posłuchać, Poldark. Nie mogę podjąć żadnej decyzji ani niczego panu obiecać, naprawdę niczego. Zastanowię się, przemyślę tę sprawę. Skonsultuję się z Johnem, swoim szwagrem, i pozostałymi współnikami. Mogę zatrzymać ten list? W przyszłym tygodniu mamy spotkanie udziałowców. Jeśli odbędzie się ono przed otwarciem szpitala i jeśli będę mógł przekazać panu jakieś użyteczne wiadomości, zrobię to w czasie ceremonii.

– Jestem głęboko wdzięczny, milordzie.

– Nie musi być pan wdzięczny. Niczego panu nie obiecałem.

Rozdział trzynasty

I

W dniu otwarcia szpitala Elizabeth Warleggan stwierdziła, że znów spodziewa się dziecka. Zastanawiała się nad tym poprzedniego dnia, lecz nie była pewna. Nie tylko przestała miesiączkować, miała również mdłości – czuła, że za chwilę zemdleje. Mimo pozornej delikatności odznaczała się silną konstytucją fizyczną i tak słaba była tylko dwa razy w życiu: na początku tysiąc siedemset osiemdziesiątego czwartego roku i w lecie tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Po urodzeniu pierwszego dziecka czasem mdlała, ale choć teraz czuła się podobnie, przyczyna była zupełnie inna.

Była zaskoczona, nieco wstrząśnięta, załęknioma, a później zadowolona. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie miała troje dzieci. Kiedy urodzi następne, Geoffrey Charles niemal osiągnie pełnoletność, a Valentine niebawem rozpocznie szósty rok życia. Kolejny chłopiec? Bardzo pragnęła córki. Następne dziecko w wieku trzydziestu pięciu lat, niemal trzydziestu sześciu. Narodziny powinny przypaść w tym samym miesiącu co narodziny Valentine'a.

George na pewno będzie zachwycony. Wiedziała, że w dalszym ciągu ją kocha, teraz bardziej jak żonę, a nie niespodziewanie zdobyty skarb. Zwierzał jej się ze swoich planów – przynajmniej częściowo – zdając sobie sprawę, że jest jego sojuszniczką. Czuła, że na to zasługuje. Przeżyła pięć trudnych lat.

Kolejne dziecko powinno ostatecznie przypieczętować małżeństwo

z George'em. Dziś wieczorem mu powie. Albo odczeka kilka dni, by uzyskać całkowitą pewność.

Jeszcze trochę poczekać? Jak długo? W jakim celu? Przypuśćmy, że to kolejny chłopiec...

W straszliwym okresie po śmierci ciotki Agathy, gdy podejrzenia George'a, że Valentine nie jest wcześniakiem urodzonym w ósmym miesiącu ciąży, a więc nie jest jego synem, osiągnęły apogeum, Elizabeth przysięgła na Biblię i zdołała go przekonać – prawie przekonać. Ale nawet wtedy, nawet później, podejrzenia nie opuszczały go przez długie miesiące. Przypuśćmy, że to kolejny chłopiec? Musi to być jego syn. Czy dawne podejrzenia sprawią, że stopniowo przestanie darzyć Valentine'a miłością i przeniesie swoje uczucia na drugiego chłopca? Jeśli pojawi się młodsze dziecko, którego pochodzenia nie da się kwestionować, może dojść do rozdźwięku między George'em a Valentine'em. W końcu staną się obcymi ludźmi.

Elizabeth miała bardzo silny instynkt macierzyński – w dawnych czasach jej obsesyjna miłość do Geoffreya Charlesa doprowadziła do pierwszego konfliktu z Francisem. Chociaż Valentine, z różnych powodów, stał się dla niej drogi dopiero po dłuższym czasie, w tej chwili bardzo go kochała i czuła głęboki niepokój o jego przyszłość. Walczyła z George'em bardziej ze względu na syna niż na siebie.

Zastanawiała się nad tym przez cały ranek, strojąc się na uroczystość otwarcia szpitala. Dopóki George wierzy, że Valentine jest wcześniakiem, nie ma większego niebezpieczeństwa. Przed trzema laty Elizabeth przypadkowo spotkała się z Rossem przed dworem w Trenwith. W czasie nerwowej, emocjonalnej rozmowy powiedział coś, co nabrało teraz sensu. Sens był następujący: jeśli małżeństwo z George'em coś dla ciebie znaczy, w razie urodzenia kolejnego dziecka powinnaś spróbować go przekonać, że ono również jest wcześniakiem. Jeśli nawet nie ze względu na George'a, to ze

względu na Valentine'a. Spróbuj udawać, że źle obliczyłaś termin porodu. Nie powinno być to trudne. Kolejny wcześniak z pewnością przekona George'a.

Czy byłoby to trudne? Tym razem raczej nie. Nic nie straci, jeśli poinformuje go dopiero w przyszłym miesiącu, a nawet jeszcze później. Zawroty głowy zwykle szybko mijały, a rano rzadko odczuwała mdłości. Mimo szczupłej sylwetki nie miała wielkiego brzucha. Dobrze się trzymała i była sprawna do samego porodu. Łatwo byłoby oszukać George'a. Powie mu, że spodziewa się dziecka w kwietniu. Jeśli urodzi w lutym, jak poprzednio...

Lekarz również nie powinien sprawić wielkich kłopotów. Elizabeth odwiedzi go w lipcu z powodu jakiejś drobnej dolegliwości i w trakcie wizyty wspomni, że chyba jest w ciąży. Powie, że po raz ostatni miesiączkowała w czerwcu. Nie będzie miał powodów, by jej nie wierzyć, bo Elizabeth nie ma nic do zyskania. George uwierzy jej z tego samego powodu. Kiedy w lutym urodzi się dziecko, może wyglądać jak urodzone w terminie – podobnie jak Valentine – lecz oboje dojdą do wniosku, że to powtórka tego, co się wydarzyło poprzednim razem. I że nie należy tego kwestionować.

Otwarcie szpitala miało nastąpić o dziesiątej. Chcąc sprawić przyjemność Elizabeth, George przekazał w jej imieniu sto funtów, więc miała być jedną z nielicznych obecnych kobiet. Za kwadrans dziewiąta przed dom zajechała karetą Warlegganów, turkocąc na kocich łbach. Cztery siwki potrząsały łbami, a forysie wyglądali schludnie i ładnie w żółtych liberiach. Mieli do przebycia krótką drogę, lecz George nalegał, by pojechali kareta. Elizabeth była ubrana w długą suknię z białej satyny z turniurą, która miała wyszczuplać talię, ciasny gorset z ażurowej satyny i jasnoniebieski toczek. George, elegancki w nowym, dopasowanym czarnym surducie z dużymi wyłogami i dwoma rzędami srebrnych guzików, pomógł żonie wsiąść do karety. Wjechali z turkotem na wzgórze, gdzie widać było już wiele innych karet.

Kornwalijski Szpital Ogólny był podłużnym budynkiem z szarego kamienia, dobrze pasującym do okolicy. Przybyłych gości oprowadzono po całym terenie: oglądali dwa oddziały szpitalne położone na parterze i pierwszym piętrze, dolny dla mężczyzn, górny dla kobiet, z dziesięcioma łózkami ustawionymi równolegle do ścian. Niewielkie pomieszczenia obok przeznaczono na pokój dla pielęgniarek, aptekę, kostnicę, kuchnię, mieszkanie dla lekarza rezydenta i jego żony. Goście wymieniali pozdrowienia, bo na otwarcie przybyła duża część śmietanki towarzyskiej hrabstwa: hrabia Mount Edgcumbe, lord i lady de Dunstanville'owie, Ralph-Allen Daniell, George Warleggan z małżonką, pan Trefusis, pan Andrew, Mackworth Praed, pan Rogers, kapitan Poldark, pan Molesworth, pan Stackhouse. Pojawił się również doktor Enys, niechętnie zastępował żonę, która wpłaciła znaczną kwotę na budowę szpitala, lecz nie mogła przybyć osobiście. Poza tym przybyli doktor Bull, dwudziestodziewięcioletni lekarz rezydent, którego specjalnie sprowadzono z Londynu, by objął nową posadę, doktor Behenna, mianowany konsultantem, i wielebny doktor Halse. W uroczystości uczestniczyło osiem dam i trzydziestu kilku mężczyzn.

Nie było to na tyle duże zgromadzenie, by z łatwością unikać tych, których chciało się unikać, i Elizabeth zabiło mocno serce, gdy kilkakrotnie zbliżyła się do Rossa Poldarka. Oczywiście nie nawiązała z nim rozmowy, bo niedaleko stał George. Elizabeth, zadowolona z niedawnego odkrycia, nie chciała psuć sobie dnia. George, choć o niczym nie wiedział, był również zadowolony z ostatnich wydarzeń – zwłaszcza z całkowitego sukcesu machinacji stryja Cary'ego: wydawało się, że osiągnął on cel, nie narażając na szwank opinii Warlegganów. Poza tym nie miał ochoty wdawać się w publiczne spory z Poldarkiem. Jeśli chodzi o Rossa, był tak zdenerwowany, że gdyby doszło do jakiejś scysji, nie wiadomo, czym by się skończyła. W dalszym ciągu grał o wysoką stawkę i gdyby w czasie oficjalnego otwarcia

szpitala Basseta doszło do bójki – choćby kłótni – nie pomogłoby to jego negocjacom z sir Francisem.

Do zgromadzonej publiczności przemówili hrabia Mount Edgcumbe, lord de Dunstanville oraz doktor Hector Bull, po czym ogłoszono otwarcie szpitala. Później wszyscy wyszli na ciepłe słońce, wsiedli do karet i powozów i zjechali ze wzgórza na nabożeństwo w kościele Świętej Małgorzaty. Mieszkańcy miasta parzyli z otwartymi ustami na barwną grupę arystokratów.

– Cóż, to przynajmniej jakiś początek – rzekł Dwight do Rossa radosnym tonem. – Przydałoby się sto łóżek, ale dwadzieścia to lepsze niż nic. Doktor Bull wydaje się miłym człowiekiem. Mam nadzieję, że chorzy nie będą przyjmowani dzięki protekcji, tylko według potrzeb...

Ross pomyślał, że Dwight wydaje się znacznie starszy. Niedawno stracił dwie osoby – dziecko i żonę – i chociaż wyjazd żony był prawdopodobnie tymczasowy, okazał się równie ciężkim ciosem. Dwight pracował z poświęceniem, nie miał zwyczaju ujawniać swoich uczuć, a współczucie dla nieszczęść innych nie wpływało na jego osobiste emocje. Ross zastanawiał się, czy Caroline zdaje sobie sprawę, jak na jej męża wpływa długa rozłąka.

Kiedy zaprowadzili konie do stajni, kościół Świętej Małgorzaty był prawie pełny, ponieważ do środka wpuszczono prostych ludzi, którzy stanęli z tyłu. Mimo to Dwight i Ross znaleźli dwa miejsca obok siebie, po czym uklękli do modlitwy. Ross zastanawiał się, czy przyjaciel rzeczywiście się modli. Uważał, że Dwight ma w sobie więcej wiary od niego, lecz żaden z nich nie był zwolennikiem ortodoksji, zwłaszcza ucieleśnianej przez wielebnego doktora Halse'a, mającego wygłosić kazanie. Ross znał wielu duchownych, którzy budzili jego podziw, lecz czuł awersję do obu proboszczów z Truro. Halse, ambitny pastor o twardym wyrazie twarzy, budził w nim mniejszą niechęć niż niedawno zmarły proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty. Ross zastanawiał się, czy w niebie są beneficja; jeśli tak, Ossie niewątpliwie zaczął

się ubiegać o jedno z nich.

Doktor Halse wybrał jako temat kazania werset trzynasty siódmego rozdziału Księgi Hioba: „Pocieszy mnie łóżko moje i ulży mi się, gdy będę z sobą mówił na pościeli mojej”¹, i zamęczał słuchaczy opisami cierpień, którym ulży nowy szpital.

– Język nie jest w stanie wyrazić nieszczęść ludzi cierpiących na straszliwe choroby – rzekł. – Wielu z nich leży na prymitywnych siennikach, jest dręczonych gorączką lub potwornymi bólami i gaśnie powoli wskutek ropiejących ran. Ludzie ci nie mają żadnej opieki medycznej, często brakuje im nawet podstawowych produktów, nie wspominając o jakichkolwiek wygodach. Pozbawieni pomocy przyjaciół, cierpią straszliwą nędzę i w końcu umierają z rozdzierającym poczuciem, że ich żony i bezradne dzieci utracą jedyne źródło wsparcia i czeka je podobny los! Czy możemy pozostać obojętni wobec takich cierpień? Czy godzi się to z poczuciem sprawiedliwości, obowiązkami wobec społeczeństwa?

Była to wspaniała, pełna mocy mowa. Ross, który nie lubił starego Halse’a z powodu jego surowości, musiał przyznać, że czasem potrafi on uderzyć we właściwe tony. Takie przemówienie zostałoby dobrze przyjęte w Izbie Gmin.

Zastanawiał się jednak, czy rzeczywiście jest to właściwy ton. Dobroć, wspaniałomyślność i hojność wobec ubogich, budowa pięknego nowego szpitala, gdzie mogliby się leczyć za darmo w nowoczesnych warunkach, to podziwu godne działania zasługujące na pochwałę. „Teraz trwają wiara, nadzieja, miłość”², lecz najważniejsza jest miłość. A nadzieja? Wszyscy goście zgromadzeni w kościele pragną ulżyć cierpiącym, ale ilu zastanawia się, jak zapobiegać cierpieniom? Nie rozdawać pieniędzy ubogim, tylko tworzyć warunki pozwalające im zarabiać na życie. Czy to coś zupełnie innego?

Wśród ludzi zgromadzonych w kościele i słuchających wspaniałego kazania znajdowały się trzy przedstawicielki rodziny Chynowethów, choć nosiły teraz inne nazwiska i z przyczyn osobistych siedziały w różnych miejscach. Elizabeth Warleggan siedziała w pierwszym rzędzie wraz z mężem. Po lewej stronie nawy głównej, nieco z tyłu, zajmowała miejsce wraz z mężem Rowella Solway. Z jej twarzy i ciała prawie zniknęły siniaki i mimo braku jednego zęba, co można było dostrzec tylko wtedy, gdy szeroko się uśmiechała – zdarzało się to rzadko – wyglądała zupełnie normalnie. Zawsze trudno było odczytać jej myśli, ostatnio jeszcze trudniej. Kiedy Arthur odkrył jej perfidię i brutalnie ją pobił, była przerażona. Wydawało się, że zrozumiała swój błąd. A kiedy wreszcie znów postanowiła się do niego odzywać i wybaczyła mu straszliwy atak na jej nieskazitelne ciało, jak dawniej, okazywała swoją wyższość intelektualną – choć chwilowo jeszcze nie moralną. Pewnej nocy – dwa tygodnie po tamtych przerażających wydarzeniach – gdy po raz pierwszy skłaniali się do pojednania, wytłumaczyła Arthurowi, jak podstępnie pastor Whitworth ją uwiódł, kiedy mieszkała na plebanii. Wyraziście opisała sposoby, którymi później ją zmusił – niemal posługując się szantażem – by znów miała z nim stosunki. Żarliwie zapewniała, że ulegała jedynie dlatego, że Arthur zanieczyścił ją pod względem fizycznym, nie był mężem w dosłownym znaczeniu. Arthura ogarnęło zdumienie, ponownie się rozżłościł, po czym równie żarliwie oświadczył, że wcale nie brakuje mu temperamentu, tylko często świadomie się powstrzymywał przez wzgląd na Rowellę. Od tamtej pory zachowywał się znacznie lepiej. Musiał przyznać, że czasem czuje się zmęczony po długich godzinach spędzonych w bibliotece, lecz ostatnio zaczął zażywać „balsam wzmacniający naturalne siły męskie”, który bardzo mu pomógł.

Ani Arthur, ani Rowella nie wspominali o Osbornie Whitworcie i jego przedwczesnej śmierci. Rowella wiedziała, że rzeźbiona laska znaleziona

w pobliżu zwłok duchownego może przypominać laskę, która zniknęła z kuchni, ale nie próbowała rozmawiać z konstablami prowadzącymi śledztwo ani prosić o pokazanie dowodu rzeczowego. Chociaż uważała brutalne zachowanie męża za skandal, rozumiała, że było w jakiś sposób usprawiedliwione. Po pewnym czasie, kiedy sprawa odeszła w przeszłość, Rowella poczuła przypływ ciepłych uczuć do Arthura za to, że niespodziewanie okazał się zdolny do przemocy. Okazał się człowiekiem obdarzonym emocjami, choć zwykle starannie to ukrywał.

Trzecia przedstawicielka rodu Chynowethów, która owdowiała za sprawą rzeźbionej laski, siedziała po drugiej stronie kościoła obok swojej gruboskórnej teściowej. Była równie nieprzenikniona jak siostra. W przypadku Rowelli nikt nie wiedział, co myśli, odkąd dorosła na tyle, by stać się zdolna do myślenia, jednak Morwenna była inna – jako nastoletnia dziewczyna odznaczała się otwartością, ciepłem, impulsywnością, prostodusznością i dopiero małżeństwo zmieniło jej charakter. Teraz jej oczy nie były zwierciadłem duszy: zamglone, puste, pozbawione blasku. Rtęć pokrywająca lustro przybladła. Po śmierci pastora Whitwortha Morwennę całkowicie zdominowała teściowa. Dziewczyna wykonywała jej polecenia apatycznie, lecz posłusznie i dziś przyszła z nią na nabożeństwo. Nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko jedno. Kiedy pastor Whitworth w zeszłym miesiącu znowu przyszedł do jej sypialni, zaszła w ciążę. Miał się urodzić kolejny mały Ossie.

II

Po nabożeństwie miejscowa ludność się rozeszła, a administratorów i darczyńców zaproszono na obiad w gospodzie Pod Czerwonym Lwem. Miał się rozpocząć o wpół do czwartej. Dwight powiedział, że nie może zostać.

Ross również chciał się wymigać, ale ponieważ Basset jak dotąd nie udzielił mu odpowiedzi na propozycje związane z bankowością, czuł, że musi zostać. W tej sytuacji Dwight zmienił zdanie i postanowił towarzyszyć przyjacielowi. Szczęście, że to zrobił. Posadzono go obok Elizabeth, a Ross siedział naprzeciwko o jedno miejsce dalej, po prawej stronie Elizabeth i George'a, w odpowiedniej odległości od rozmowy. Zajmował miejsce między panną Cathleen Basset, siostrą lorda de Dunstanville'a, a dżentelmenem o nazwisku Robert Gwatkin. Jednak podawano tyle potraw i panował taki gwar, że nie było czasu na sprzeczki, i posiłek przebiegł spokojnie. Trudny moment nastąpił o wpół do szóstej, kiedy damy – nie było ich wiele – pozostawiły mężczyzn przy stole. Niektórzy zajęli puste miejsca, zaczęły krążyć karafki z brandy i porto, od czasu do czasu zapadało milczenie, gdy obecni częstowali się trunkami.

– Słyszałem, że wraca pan do polityki, panie Warleggan – rzekł nagle Gwatkin, korzystając z chwili ciszy. Trudno było stwierdzić, czy uwaga jest złośliwa, czy niewinna.

George obrócił głowę o kilka centymetrów.

– W przyszłej sesji parlamentu będę posłem z St Michael.

– A zatem Wilbraham zrezygnował?

– Nie, Howell.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Jeszcze nie podano tego oficjalnie do wiadomości.

Gwatkin poruszył kieliszkiem brandy, wprawiając trunek w ruch wirowy.

– To dobrze, że będzie nas reprezentować kolejny miejscowy właściciel ziemski. Często posłami zostają ludzie, którzy nie mają pojęcia o potrzebach Kornwalii.

– Zdaje się, że utrzymanie małych okręgów wyborczych jest bardzo kosztowne – wtrącił mężczyzna siedzący obok Gwatkina. – Nie chodzi

o zwykłe kupowanie głosów; elektorzy łączą się w grupy i wysuwają żądania, nim kogoś wybiorą. Jeśli się nie jest ostrożnym, później wpływa skarga do Izby Gmin i wybory zostają anulowane z powodu przekupstwa!

– A co powiedział Burke? – odezwał się głos z drugiej strony stołu, przerywając wymianę zdań. – Co powiedział Burke, sir?! Powiedział, że francuski republikanizm zginie przeszyty szpadą popularnego generała! I może się to niedługo stać. Teraz, gdy Bonaparte doznał porażki w Akrze, może nie chce zostać długo w Egipcie. Musi się zająć Francją!

– Nie wspominając o Józefinie – padła odpowiedź. Wszyscy się roześmiali.

– W Belfaście roi się od presbiterianów – rozległ się czyjś głos. – Wszyscy co do jednego to republikanie. Walczą z katolikami nie dlatego, że to heretycy, ale dlatego, że popierają despotyzm!

– Mieszkańcy Ulsteru nie są republikanami we francuskim znaczeniu...

– Nigdy tego nie twierdziłem, nigdy nie twierdziłem. Ale nie mają ochoty żyć w angielskim jarzmie i nie podoba im się korupcja w polityce. Kto płaci podatki, ten ma prawo wybierać posłów. Oto ich główne hasło. Doskonale wiadomo, skąd się wzięło!

– A pan, kapitanie Poldark? – spytał Gwatkin. – Jak się panu podobał pierwszy rok w Westminsterze?

– Podobał... – odparł Ross. – To niewłaściwe słowo. Myślę, że czegoś się nauczyłem. Czasem się nudziłem. Z początku sądziłem, że jestem pożyteczny, a później zmieniałem zdanie.

– Parlament wydał się panu skorumpowany?

– A co nie jest skorumpowane?

– Mój Boże, cóż za cynizm, sir!

– Polityka to nieczysta gra – rzekł drugi mężczyzna.

Ross opróżnił kieliszek, otarł usta.

– Nie wiem, czy istnieje lepsza forma sprawowania rządów niż polityka. W parlamencie można znaleźć wszystko, najszlachetniejsze ideały i najniższe popędy. Czy Truro czymś się różni od Londynu? Emocje są równie silne, choć może żyje nimi mniej ludzi.

– Sir, jeśli ma pan na myśli miejscową politykę...

– Politykę albo interesy. Myślałem raczej o interesach.

– ...trzy miliony, sir! W Irlandii są trzy miliony katolików albo niewiele mniej, wszyscy traktowani gorzej niż bydło!

– Heretycy co do jednego!

– O tak, zgadzam się, ale Murzyni z Indii Zachodnich w ciągu dnia jedzą więcej niż irlandzcy katolicy przez tydzień.

– To samo można powiedzieć o angielskich parobkach. Nie trzeba szukać porównań za granicą – stwierdził Ralph-Allen Daniell. – Wojna doprowadziła do straszliwej nędzy, wielu ludzi musi wybierać między przestępstwem a głodem.

– O Boże! – odezwał się pierwszy mężczyzna. – Sam już nie wiem, czy podburzamy do buntu, czy mówimy o patriotyzmie!

– Wspomniał pan o interesach w mieście, sir? – zwrócił się do Rossa Gwatkin. – Uważa pan, że są oparte na korupcji? Jeśli tak, to w jaki sposób?

Ross się zawahał, wziął karafkę krążącą wokół stołu, napełnił swój kieliszek i podał ją Dwightowi.

– Mam na myśli niedawny krach banku Pascoe. Doszło do niego nie wskutek nierozważnych działań właściciela, lecz z powodu matactw nędznych oszustów. Dokonały tego robaki zwykle chowające się pod kamieniami. Jad jest atrybutem żmii, lecz ludzki jad, który doprowadził do tej sytuacji, jest znacznie gorszy od jadu węży.

Ross poczuł ostrzegawcze dotknięcie nogi Dwighta, który podał George'owi nad stołem karafkę z porto. Gwatkin wydawał się zdumiony.

– Mieszkam poza miastem i często nie mam pojęcia, co się dzieje. Nie rozumiem. O czym pan mówi? Nie rozumiem. O kim pan mówi?

– Przecież go zamordowano! – rozległ się czyjś głos. – Moim zdaniem to całkowiec jasne. Spokojny, poważny duchowny taki jak Whitworth! Nie mógł spaść z konia, jeśli ktoś mu nie pomógł! Laska na polanie i podarty płaszcz! Tak czy inaczej, nie jestem pewien, czy się z panem zgadzam, Daniell, na temat przyczyn wzrostu przestępczości. Moim zdaniem znacznie by się zmniejszyła, gdyby wieszano więcej zbrodniarzy!

– Współczuję młodej wdowie. Jest dość ładna, ale wątpię, czy szybko znajdzie męża. Musi wychowywać trójkę dzieci i ma niewiele pieniędzy.

– Pieniądze ma rodzina Whitwortha, choć wyobrażam sobie, że są zamrożone.

– Mówię o tych spośród nas, którzy okryli się hańbą – rzekł z wysiłkiem Ross. – Jeśli nie zna pan ich nazwisk, panie Gwatkin, proponuję, by zapytał pan kupców z Truro. Powiedzą panu, chyba że będą się bali, że ktoś zacznie rozsyłać anonimowe listy na ich temat.

– Na Boga, moim zdaniem to burza w szklance wody – odezwał się George Warleggan. – Próba znalezienia kozłów ofiarnych ponoszących winę za zwyczajne bankructwo. Cenię twoją lojalność wobec przyjaciela, Ross, ale czyni cię ona ślepym na fakty, co często ci się zdarza. – Ziewnął, zasłaniając dłonią usta. – A fakty są takie, że Harris Pascoe to niemądry stary człowiek, który nie powinien zarządzać dużymi sumami pieniędzy należącymi do innych. Jeśli kiedykolwiek był do tego zdolny, te czasy dawno minęły, ponieważ pozwolił Natowi Pearce’owi zdefraudować wielkie kwoty z rachunków powierniczych, które...

– Kłamiesz – przerwał Ross.

Zapadło milczenie. Na szczęście uwagę Rossa słyszało niewiele osób, bo reszta gości w dalszym ciągu rozmawiała. Nim George i Ross zdążyli

powiedzieć coś więcej, za ich plecami kilkakrotnie kaszlnął służący.

– Bardzo przepraszam, panowie. Przysłał mnie doktor Enys. Przepraszam, panie Warleggan.

George odwrócił się i popatrzył na mężczyznę.

– Co takiego?

– Bardzo przepraszam, sir. Chodzi o panią Warleggan. Zemdląca.

III

Minął miesiąc. Niebo wypełniło letnie światło i wreszcie zaczęto kosić trawę. Gdzieniedzie koszono ją tylko na skrajach pól, nie w środku, więc wyglądały jak obrębione chusteczki. Mewy przysiadły na słupach bram lub chodziły niezgrabnie po polach, przypominały napuszonych kancelistów. Po niebie płynęły letnie chmury.

Francuzi cofali się na wszystkich frontach. Austriacy odbudowali armię i pokonali ich pod Magnano. Nadeszła wiadomość, że Rosjanie, dowodzeni przez błyskotliwego, ekscentrycznego Suworowa, rozbili Francuzów i opanowali Mediolan. Mieszkańcy miasta powitali Suworowa z radością, jako wyzwoliciela, który ocalił ich przed poprzednimi wyzwolicielami. Rosyjsko-turecka flota zdobyła Korfu. Francuzi opuścili Neapol i rozpoczęli powolny odwrót na północ. Wielkie obszary podbite przez Bonapartego zaczęły się kurczyć.

Opinia publiczna diametralnie zmieniła poglądy: ludzie nie obawiali się już francuskiej inwazji na Anglię, lecz zastanawiali się nad perspektywami angielskiej inwazji na Francję lub jednego z jej podbitych sojuszników. Nie zamierzano wysłać oddziałów wojskowych do Indii Zachodnich, gdzie żołnierze umierali tysiącami na choroby tropikalne. Zamierzano tworzyć regimenty złożone z ciemnoskórych tubylców, którym w nagrodę obiecywano

wolność wbrew gwałtownym sprzeciwom plantatorów. Nowa armia brytyjska miała pozostać w kraju, gotowa do działań na terenie Europy.

Omdlenie Elizabeth pokrzyżowało jej plany. Później było jeszcze gorzej, ponieważ rankiem regularnie dostawała mdłości. Chociaż skłamała, gdy Dwight zadał jej oczywiste pytanie, nie mogła ukryć wymiotów przed George'em, który codziennie wzywał Behenę. W końcu, by oszczędzić sobie dalszych badań i pytań, przyznała, że spodziewa się dziecka. Oczywiście George był wniebowzięty, jak się spodziewała. On również chciał mieć córkę (co ucieszyło Elizabeth, bo dowodziło, że w końcu zaakceptował Valentine'a). Znowu stała się cennym skarbem, którego należy pilnować i który trzeba otaczać opieką, ponieważ nosi w sobie święty załóżek życia.

Rozczarowanie, że nie zdołała okłamać George'a co do daty porodu, szybko minęło. Zachowywał się tak swobodnie, że zapomniała o swoich wątpliwościach i lękach. George uznał ciążę żony za kolejny uśmiech fortuny, która ostatnio mu dopisywała. David Howell zrezygnował z mandatu i należało wybrać nowego posła z St Michael. George Warleggan zaproponował siebie i wkrótce miało to zostać ogłoszone. Prawie na pewno uzyska mandat bez konieczności organizowania wyborów. Wynajął już na zimę dom przy King Street w Mayfair. Elizabeth może urodzić dziecko w Londynie.

Pod koniec czerwca dobry nastrój zmąciło tylko jedno wydarzenie.

IV

Sprawa dojrzewiała od dłuższego czasu, a projekt doszedł do skutku po ostrożnych negocjacjach oraz gruntowym przemyśleniu korzyści i wad. Rossa dwukrotnie zaproszono do Tehidy; za drugim razem obecni byli również pozostali wspólnicy. Dwa razy odwiedził Basseta bez zaproszenia. W przerwach krążył po okolicy, werbując stronników. Oceniał swoje siły –

lub słabe punkty – starał się nigdy nie blefować, przełykał okazjonalne afronty lub odmowy ze spokojem całkowicie niezgodnym ze swoją naturą. Uporczywie nie chciał się pogodzić z porażkami, gdy wydawały się najbardziej prawdopodobne, i uporczywie pokonywał przeszkody. Demelza nigdy nie widziała go tak zdeterminowanego.

W ostatni piątek czerwca w „Sherborne Mercury” ukazało się ogłoszenie, które następnie krążyło w postaci ulotek w całej społeczności kupieckiej środkowej Kornwalii. Informowało ono, że pierwszego lipca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku dom bankowy Basset, Rogers i Spółka z Truro oraz bank Pascoe z tego samego miasta zmienią nazwę na Bank Kornwalijski i będą prowadzić interesy tak jak poprzednio. Udziałowcami nowego banku zostali baron de Dunstanville z Tehidy, John Rogers, H. Mackworth Praed, Harry Stackhouse, Harris Pascoe i kapitan R. Poldark.

Ostatnie nazwisko dopisano na chwilę przed oddaniem anonsu do druku, ale nikt się nie sprzeciwił, ponieważ dokonano tego na propozycję lorda de Dunstanville’a. Nawet Ross, choć zdziwiony podobnie jak wszyscy, nie wypowiedział swoich wątpliwości na głos. John Rogers skomentował to następująco w rozmowie ze Stackhouse’em, nieobecnym na ostatnim spotkaniu:

– Oczywiście nie wniesie pieniędzy, ale warto mieć człowieka o takim nazwisku. Staje się w hrabstwie ważną osobistością. Na dobrą sprawę nigdy nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, prawda? Nie chodzi o to, co się robi. To kwestia charakteru.

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Księgi Job, VII, 13, s. 500. [\[wróć\]](#)

2. *Ibid.*, List Pierwszy do Korynthów, XIII, 13, s. 192. [\[wróć\]](#)

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

I

Caroline wróciła do Kornwalii na początku lipca i wydała przyjęcie dla przyjaciół. Była w lepszym nastroju i mniej nonszalancka niż zwykle, ale powiedziała, że w październiku musi wrócić na jakiś czas do Londynu, ponieważ jej ciotka planuje wspaniały bal z okazji inauguracji sesji parlamentu, a ona obiecała pomóc. Dwight obiecał, że się pojawi. Czy mogłaby liczyć na Rossa i Demelzę? Ross odpowiedział twierdząco, zanim zdążyli się zastanowić. Demelza uniosła brwi i uśmiechnęła się, nic nie mówiąc.

– Twoja ciotka jest zwolenniczką Foxa, prawda? – spytał Ross.

– Owszem, jeśli masz na myśli to, że teraz przyjaźni się z posłem z Bedfordshire. Polityka nie wpływa na jej życie towarzyskie. – Caroline zwróciła się zbolalym głosem do Demelzy: – Moja ciotka jest wdową, wciąż dość młodą. Ma wielu adoratorów. Obecny jest zdecydowanym przeciwnikiem rządu. Ross się z nami droczy.

– To nic niezwykłego – zauważyła Demelza.

– Bal, przyjęcie czy cokolwiek to ma być – ciągnęła Caroline – nie odbędzie się w domu ciotki, tylko u jej wielkiej przyjaciółki, innej bogatej wdowy, pani Tracey, która mieszka na Portland Place. Adoratorem pani Tracey jest lord Onslow, więc nie sądzę, że bal zmieni się w spotkanie opozycji.

– Znajdziesz kogoś, kto będzie cię zastępował? – spytał Dwighta Ross.

– To Clotworthy, aptekarz. Trochę wie, ale nie ma obsesji na punkcie teorii medycznych i kieruje się zdrowym rozsądkiem. Nie będzie mnie tylko miesiąc. Mam nadzieję, że da sobie radę.

Caroline spojrzała na męża.

– Liczę, że po powrocie Dwight zaangażuje Clotworthy'ego jako swojego asystenta.

Dwight uśmiechnął się do Demelzy.

– A ty kogo zaangażujesz jako zastępcę na czas wyjazdu?

– Masz na myśli... Cóż, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam...

– Dziećmi zajmie się pani Kemp – powiedział Ross. – Będzie zadowolona, że spędzi u nas zimę.

– Och, nie mogę być nieobecna przez całą zimę, Ross!

– Zobaczymy. W takim razie do Bożego Narodzenia.

Kiedy wracali do domu, Demelza spytała:

– Naprawdę chcesz, żebym ci towarzyszyła? Nie proponujesz tego z grzeczności?

– Grzeczności? – zdziwił się Ross. – Czy robiłem coś kiedykolwiek z grzeczności?

– Może nie w ten sposób. Po prostu chciałam mieć pewność.

– Cóż, teraz ją masz... Oczywiście jeśli chcesz pojechać.

– Bardzo chcę. Chcę być ciągle przy tobie, ale trochę się niepokoję na myśl o Londynie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu czuję niepokój.

– O dzieci?

– Nie, nie. To ma związek z Londynem. Niepokoję się o siebie, Ross.

– Nie przejmuj się. Zawsze świetnie sobie radzisz. Potrafiłaś nawet podjąć

obiadem de Dunstanville'ów.

– To co innego.

– Każde wyzwanie jest inne. To będzie znacznie prostsze. Nie jest takie osobiste. Londyn połyka wszystko.

– Mam nadzieję, że mnie nie wypluje – odparła Demelza.

Ross się roześmiał.

– Nie wypluje, jeśli polubi twój smak.

– Kiedy wyjeżdżasz do Canterbury?

– Pewnie dwudziestego pierwszego. Chcą, żebym przyjechał pod koniec miesiąca, ale tylko na miesiąc. Mam nadzieję spędzić cały wrzesień w domu.

– Pozostawienie dzieci w Namparze wymaga wielu przygotowań.

– Zajmij się tym.

Przed wyjazdem do Canterbury Ross odwiedził Drake'a. Wcześniej spotkali się krótko kilka razy, lecz nie mieli czasu na rozmowę.

Kiedy przyjechał, Drake przekopywał – wydawać się mogło, że po raz kolejny – ogród obok chaty w Reath, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Samuel pracował w kopalni.

Drake uniósł wzrok i odgarnął z czoła ciemne włosy, które zawsze przypominały Rossowi włosy Demelzy, co wywoływało jego niepokój. Powitali się i krótko rozmawiali o wczorajszym połowie sardynek.

– Jutro wyjeżdżam i wrócę dopiero w połowie września – powiedział Ross. – Kiedy przeprowadzisz się do kuźni?

– Jeszcze nie wiem, sir.

– Pamiętasz, że przed wielu laty prosiłem, byś mówił do mnie po imieniu, a ty odpowiedziałeś, że zaczniesz to robić, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat. Już dawno je skończyłeś.

Drake uśmiechnął się niepewnie.

– To prawda... kapitanie... eee... Ross.

Ross kopnął grudę piaszczystej ziemi.

– Wiem, że odkąd tu zamieszkałeś, stale prześladowuje cię pech. Nie myśl, że ci nie współczuję. To wszystko z powodu nieszczęśliwej miłości, co nie sprawia, że łatwiej się z tym godzić. Bardzo mi przykro, naprawdę.

– Dziękuję, sir... to znaczy kapitanie Rossie. Nie powinien pan się smucić z mojego powodu. To ja jestem winny.

– Hm, cóż... Chyba się z tym nie zgadzam. Moim zdaniem pora, żebyś wrócił do kuźni. To już prawie trzy miesiące. Tracisz klientów. Ludzie się przyzwyczajają do chodzenia gdzie indziej.

– Tak... wiem.

– Odbudowano belkowanie dachu i położono część strzechy.

– Samuel mi mówił. To miło z pana strony, ale nigdy nie będę w stanie zwrócić panu kosztów.

– Możesz to zrobić. Masz pieniądze w banku.

– Przepadły.

– Nie przepadły. Wkrótce będziesz mógł wypłacić swój depozyt z Banku Kornwalijskiego. Pewnie nie wystarczy na całość, z czasem możesz spłacić resztę.

– Ach, nie wiedziałem.

– W kuźni Pally'ego jest jeszcze dużo do zrobienia. Zajmie ci to całą zimę. Trzeba otynkować wewnętrzne mury. Musisz zbić sobie jakieś meble, dopóki nie zarobisz pieniędzy, by coś kupić, ale w tej chwili można tam już mieszkać. Dopóki nie pada...

Drake wstał i strząsnął ziemię z łopaty.

– Szczerze mówiąc, kapitanie Rossie, chyba nie mam serca do tego, by próbować.

– Gdybyś się poddał, nie byłbyś wart swojej siostry.

Drake zamrugał.

– Co pan ma na myśli?

– Myślisz, że Demelza by zrezygnowała? Albo twój brat?

Drake się zarumienił.

– Nie wiem. Mam wrażenie, że moje serce umarło.

Ross spojrział na młodego człowieka.

– Chcesz sprzedać gospodarstwo? Masz prawo to zrobić.

– Nie wiem. Może tak byłoby najlepiej.

– Co mówi Samuel?

– Chce, żebym wrócił.

– Wszyscy chcemy. – Ross popatrzył na komin Wheal Grace, którego szczyt wznosił się ponad wzgórzem. Niedawno dorzucono węgla do paleniska i z komina buchały kłęby dymu. – Samuel też dużo wycierpiał.

– Tak, wiem.

– I się nie poddał.

– Samuel jest pobożny... Ale może nie ma to wielkiego znaczenia. Przecież to właśnie przez religię...

– Tak... Nikt nie wie, co naprawdę czują inni ludzie.

– Czasem mam wrażenie, że lubi moje towarzystwo.

– Mimo to chce, żebyś wrócił do kuźni.

– O tak. Chce, żebym wrócił. Samuel zawsze się troszczy o innych.

– Powiem ci, co jest dobre, zawsze. Praca – rzekł Ross. – Praca to wyzwanie. Mówiłem ci już, że kiedyś piłem, by zagłuszyć ból. Nie udało mi się. Pomogła tylko praca. Praca to wybawienie. Zbuduj mur, nawet jeśli masz piekło w sercu, a kiedy to zrobisz, już pod koniec pierwszego dnia poczujesz się lepiej. Właśnie dlatego powinieneś wrócić do kuźni. Nawet jeśli nie wiesz, po co pracujesz.

– Właśnie! – zawołał Drake. – Właśnie o to chodzi! Po co mam pracować?!

– Dla swojego zbawienia – odparł Ross. – Innego niż zbawienie Sama,

choć ono również może przyjść. Dla zbawienia doczesnego, na tej ziemi. Dawniej pracowałeś, by zapomnieć o Morwennie. To pomogło. Pracowałeś dzień i noc. Rób to znowu.

Drake opuścił głowę. Wyglądał jak człowiek trawiony chorobą.

– Może masz rację...

– Więc kiedy wrócisz?

– Zastanowię się nad tym... Ross.

– Czas na myślenie już minął. Trzy miesiące to dużo. Wrócisz jutro?

– Nie wiem.

– Dlaczego?

– Ja... po prostu nie wiem.

– Tak, wiesz. W takim razie w przyszłym tygodniu.

Drake odetchnął głęboko.

– Dobrze, spróbuję.

– Obiecujesz?

– Tak.

– Przypieczętuuj to uściskiem dłoni.

Podali sobie ręce.

– Przykro mi – powiedział Drake. – Uważasz mnie za głupca, który przez cały czas biadoli, bo wszystko stracił.

– Nic nie myślę oprócz tego, że powinniśmy być zadowoleni: ja, Demelza i Samuel – odparł Ross. – Pokładam w tobie nadzieję. Jesteś zbyt zdolny, by niszczyć sobie życie. Nie można na to pozwolić: nikt nie powinien marnować sobie życia.

II

Pod koniec miesiąca Demelza pojechała na kilka dni do Verity, która

przebywała tylko z małym Andrew. Verity widziała w „Sherborne Mercury” ogłoszenie Banku Kornwalijskiego i bardzo chciała się dowiedzieć, co to znaczy.

– Ross strasznie się wykręca od odpowiedzi – odparła Demelza. – Udaje, że nic nie wie i że to nic wielkiego. Znasz go, zaprzecza, że to jego pomysł. Zdaje się, że w ostatniej chwili taką propozycję złożył lord de Dunstanville, gdy zgodzono się co do roli Harrisa Pascoe. Podejrzewam, że lord de Dunstanville w głębi serca ceni upór Rossa, który tak bardzo chciał do tego doprowadzić.

– A Wheal Grace?

– Znowu działa, choć Ross i inni uważają, że najlepsze żyły są prawie wyeksploatowane. Kłopoty z Wheal Maiden i zalanie kopalni nic nie dały. Mówią, że Wheal Maiden jest martwa. Ale kto wie? Na pewien czas mamy zagwarantowane dochody i jest praca dla górników. Czy mogłabyś mi powiedzieć...? Jesteś ode mnie mądrzejsza, Verity.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że skoro mój mąż założył kopalnię we własnej posiadłości i po wielu niepowodzeniach zaczęła ona przynosić zyski, jest to normalne, prawda? Ale jeśli mój mąż zostaje udziałowcem zakładu szkutniczego, walcowni, a potem posłem do Izby Gmin i bankierem, to zupełnie coś innego. Nawet jeśli cztery piąte jego dochodów ciągle pochodzi z kopalni, czuję się zupełnie inaczej, Verity. Naprawdę inaczej.

– Doskonale cię rozumiem, moja droga. Jednak macie z tego korzyści.

Demelza uśmiechnęła się do siostry stryjecznej Rossa i czekała. Verity poprawiła czepek.

– Pozycja Rossa gwarantuje mu wiele okazji do zarobku. Znam Rossa i wiem, że prawdopodobnie odrzuca propozycje bezpośrednio związane z jego statusem. Mimo to w dalszym ciągu się pojawiają i czasem je przyjmuje, bo

uważa, że przynoszą korzyść innym ludziom. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinien pozostać zamożnym człowiekiem, niezależnie od wszystkiego. Kiedy poruszyłaś ten temat, myślałam o bardziej bezpośrednich, osobistych korzyściach, zwłaszcza w tym roku.

– Jakich?

– Gdy ostatnim razem Andrew wrócił do domu, mówił o wielkiej koncentracji wojsk między Deal a Canterbury, tam gdzie pojechał Ross. Ludzie mówią, że armia angielska wylądowała we Francji. Nasi żołnierze ostatnio maszerowali po Europie cztery lata temu. Panuje powszechny entuzjazm. Ross może na tym skorzystać. Im więcej obowiązków trzyma go w Anglii, tym lepiej dla nas wszystkich.

– Tak, nie pomyślałam o tym – odparła Demelza.

Nagle Verity pożałowała, że poruszyła ten temat.

W czasie wizyty u kuzynki Rossa Demelza kilkakrotnie miała ochotę porozmawiać z nią o swoich relacjach z mężem. Ostatnio Verity zauważyła, że nie wszystko jest w porządku, ale jej pytania były zbyt taktowne, żeby podjąć szczerą rozmowę. Demelza bardzo pragnęła komuś się zwierzyć, a Verity, obdarzona wrodzoną intuicją, potrafiła wszystko zrozumieć. Niekiedy Demelza wyjmowała wiersze Hugh Armitage'a i czytała je na nowo. Czy naprawdę wzbudziła taką namiętność? Wykształcony młody człowiek, porucznik marynarki wojennej, który twierdził, że w swoim krótkim życiu znał wiele kobiet i kochał tylko jedną... Cóż, to odeszło na zawsze i nie chciała, by wróciło, szarpało za serce, powodowało konflikt lojalności. Tak młodo umrzeć, co za tragedia... Słyszała ludzi mówiących, że nie dbają o życie wieczne, nie chcą zmartwychwstać. Nie potrafiła tego zrozumieć. Jak dotąd zrobiła tak niewiele, widziała tak niewiele. Potrzebowała stu lat, wieczności, by naprawdę zrozumieć życie i smakować je do ostatniej kropli.

Okazało się jednak, że nie może nic powiedzieć Verity. Kuzynka Rossa nie

wiedziała o Hugh Armitage'u. Nigdy go nie spotkała, nie zrozumiałaby, jak gwałtownie pokochał Demelzę, nie potrafiłaby się tego domyślić. Mimo swojej inteligencji i intuicji Verity nie potrafiłaby tego pojąć. Demelza pomyślała, że tylko Caroline wie o tym, co się stało, i coś z tego rozumie.

Rozdział drugi

I

Pod koniec sierpnia armia brytyjska wylądowała w Den Helder, na krańcu Zuiderzee. Wkrótce potem angielska marynarka wojenna zaskoczyła całą flotę holenderską stojącą na kotwicy. Siedem okrętów liniowych i osiemnaście mniejszych jednostek, łącznie sześć tysięcy marynarzy, bez jednego strzału opuściło flagę republikańską i zadeklarowało gotowość walki za dynastię orańską. Wszyscy mieli wielką nadzieję na zwycięstwo.

Mimo obaw Demelzy szóstego września Ross bezpiecznie wrócił z Barham Downs. Był zdrowy i opalony. Niestety przywiózł wiadomość, że z powodu niedawnych zwycięstw parlament chce szybko uchwalić ustawę o pospolitym ruszeniu i zbiera się dwudziestego czwartego września. Z tego powodu Ross musi wyjechać za dziewięć, dziesięć dni.

Potem nastąpiła krzątanina i zamęt. Caroline wyjechała prawie natychmiast, a Dwight dzień lub dwa po Poldarkach. Demelza była zaniepokojona, że jej nieobecność w Kornwalii zbiega się w czasie z nieobecnością Dwighta. Gdyby jej dzieci zachorowały, znalazłyby się na łasce i niełasce Johna Zebedee Clotworthy'ego. Ross żartowałby na ten temat, gdyby nie śmierć Julii.

Dwight przywiózł Clotworthy'ego do Nampary przed wyjazdem. Był to pryszczaty, zaniedbany, poważny mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Pochodził z St Erth i konkurował z Irbym, aptekarzem z St Ann's. Ponieważ

Dwight miał wcześniej kłopoty z Irbym, który sprzedawał fałszowane medykamenty, korzystał z usług nowego aptekarza, nudnego, ale uczciwego. Clotworthy uczciwie traktował wszystkich pacjentów Dwighta – jego kuracje były oparte na własnych doświadczeniach, a nie na wydumanych teoriach. Dwight był zdecydowanym przeciwnikiem teorii medycznych. Zwolennicy Williama Cullena nie potrafili zdobyć przewagi. Wszędzie pogardzano wielkim Hermanem Boerhaave, który zalecał kuracje oparte na doświadczeniu i uważał, że należy wspomagać ciało w walce z chorobami. Większość lekarzy stosowała silne środki przeczyszczające i napotne oraz puszczała pacjentom krew. Dwight czasem się zastanawiał, czy sam nie przepisuje zbyt wielu lekarstw – często dla sprawienia przyjemności chorym – i sądził, że nie byłby zdziwiony ani urażony, gdyby po jego powrocie okazało się, że część pacjentów czuje się lepiej wskutek leczenia przez człowieka, który nigdy nie słyszał o Hermanie Boerhaave ani Williamie Cullenie – a może nawet Hipokratesie.

Ross i Demelza wyjechali czternastego. Ich dyliżans opuszczał Falmouth o szóstej rano i powinni wsiąść do niego w Truro o wpół do dziewiątej. Oznaczało to, że muszą wstać przed świtem, pośpiesznie przygotować się do wyjścia, naprędce zjeść śniadanie, ucałować dzieci na pożegnanie – Clowance nie wydawała się zmartwiona, ponieważ jeszcze nie zdawała sobie sprawy, ile znaczy miesiąc, lecz Jeremy był bliski płaczu, choć usiłował robić dobrą minę. Dzieci popędziły za nimi na wzgórze, a Jane Gimlett bezskutecznie usiłowała je dogonić. Kiedy Ross i Demelza dotarli do Wheal Maiden, pomachały im na pożegnanie. Stały w porannym świetle, aż wreszcie ich małe sylwetki zlały się z sosnami.

– O Boże, chce mi się płakać! – westchnęła Demelza.

– Spróbuj o nich nie myśleć – odparł Ross. – Pamiętaj, że za dwadzieścia lat prawdopodobnie wyprowadzą się z domu i zapomną o tobie.

Demelza spojrzała na męża.

– Musisz się obracać w złym towarzystwie.

– Dlaczego?

– Bo mówisz takie rzeczy.

Roześmiał się.

– Trochę żartuję, trochę mówię poważnie. Nie mam nic złego na myśli.

– Podłość ubrana w gładkie słowa.

Znów się roześmiał.

– W takim razie cofam to, co powiedziałem.

– Dziękuję, Ross.

Kilka minut jechali truchtem.

– Ale to częściowo prawda – odezwał się. – Powinniśmy żyć i dać swobodę tym, których kochamy.

Gimlett ich doganiał. Jechał na trzecim koniu i miał odprowadzić do domu wierzchowce Rossa i Demelzy.

– Również w małżeństwie? – spytała.

– To zależy, jaką swobodę – odparł Ross.

II

Wyjechali z Truro z dziesięciominutowym opóźnieniem, bo woźnica dylizansu narzekał na wielkość ich bagaży. Do St Austell przyjechali w porze obiadu, który spożyli w gospodzie Pod Herbem Króla Jegomości. Podwieczorek zjedli w Gospodzie Londyńskiej w Lostwithiel, a kolację w gospodzie Pod Białym Koniem w Liskeard, gdzie spędzili noc. Jak dotąd pokonali przeszło siedemdziesiąt kilometrów.

– Myślałam o tym, co powiedziałaś o dzieciach, Ross – rzekła Demelza przy kolacji. – Uważam, że w pewien sposób masz rację, ale czy to ma jakieś

znaczenie? Najważniejsze jest to, co się daje innym, a nie to, co bierze, prawda?

– Jestem pewien, że masz rację.

– Nie, nie zgadzaj się ze mną tak łatwo. Nawet jeśli patrzeć na to najbardziej egoistycznie: czy dawanie nie jest przyjemniejsze od brania?

– W porządku – powiedział. – Tak. Chciałem po prostu, żebyś zachowała poczucie proporcji. Zdajesz sobie sprawę, że najważniejsze jest dawanie. Łatwo to powiedzieć, lecz trudniej zrobić.

– Może.

– Pomyślałem, że jeśli ci przypomnę, jak działa ludzka natura, pomoże ci to czuć mniejszy żal z powodu rozstania.

– Wcale mi nie pomogło – odparła.

– Teraz żałuję, że to powiedziałem.

– Nieważne. Przestałam się martwić i powoli ogarnia mnie ekscytacja. Już po jednym dniu. I nie podoba mi się ta cecha ludzkiej natury!

Wczesnym rankiem spożyli śniadanie, w Torpoint przepłynęli promem rzekę Tamar i obiad zjedli w Plymouth, podwieczorek w Ivybridge, a nocleg mieli w Ashburton – tego dnia przebyli prawie taki sam dystans jak w przeddzień, tym razem wyłącznie dyliżansem. Wszyscy pasażerowie byli bardzo zmęczeni. Demelza o mało nie zasnęła w trakcie kolacji.

– Już rozumiesz, dlaczego czasem podróżuję statkiem – rzekł Ross. – Teraz czeka nas łatwiejszy etap podróży. Lepsze drogi i mniej wzgórz.

Dyliżans miał osiem miejsc. Czasem był bardzo zatłoczony, czasem w połowie pusty, pasażerowie wsiadali i wysiadali. Oprócz Rossa i Demelzy do Londynu jechali tylko państwo Carne'owie z Falmouth. Carne prowadził bank, do którego Ross i jego przyjaciele zamierzali przenieść swoje oszczędności, gdyby Basset nie zawarł umowy z Harrisem Pascoe. Carne słyszał, że Ross został udziałowcem banku, i przez większość podróży mówił

o bankowości, choć Ross niewiele z tego rozumiał. Chcąc zmienić temat, wspomniał, że panięskie nazwisko jego żony brzmi Carne, lecz nie zdołali się doszukać pokrewieństwa.

Trzecią noc spędzili w Bridgwater, zjedli obiad w Cullompton, a podwieczorek w Taunton. Demelza zrozumiała w tej chwili, co miała na myśli Caroline, nazywając Kornwalię jałową ziemią. Wokół rosły wielkie drzewa, wszędzie zieleniły się lasy, przy których nawet zalesione obszary południowej Kornwalii wydawały się karłowate i nędzne. Pola pokrywała bujna roślinność, żyzna gleba stale zmieniała barwy. Było więcej ptaków, motyli, pszczół i, niestety, much i os. Demelza nigdy nie widziała tylu os. Wrzesień okazał się ciepły, więc kolejną niedogodnością podróży, oprócz podskakiwania dyliżansu na wybojach, był nieprzyjemny skwar panujący w środku pojazdu. Otwarcie okna powodowało protesty niektórych pasażerów skarżących się na podmuchy wiatru. Co gorsza, czwartego dnia jeden z koni okulał i przybyli do Marlborough z dużym opóźnieniem.

Piątego dnia musieli wyruszyć o świcie, bo wieczorem powinni dotrzeć do Londynu. Jeszcze nigdy nie jechali tak dobrym gościńcem, dzień był chłodniejszy, lecz jasny i słoneczny. Dotarli do Maidenhead w porze obiadu po szybkiej jeździe. Jedzenie było smaczne: gotowana karkówka cielęca, pieczony indyk i ciężkie, dobre wino. Demelza drzemała przez całe popołudnie i nie zauważyła, że minęli Hounslow Heath, budzące powszechny lęk. Ross twierdził, że jedyni rozbójnicy wiszą na szubienicach jako ostrzeżenie dla innych.

W Hounslow panował gwar i zamęt – był to punkt, w którym krzyżowały się drogi docierające do Londynu od strony zachodniej. Właściciel gospody powiedział, że przez Hounslow przejeżdża dziennie pięćset dyliżansów i że w mieście jest przeszło osiemset koni na zmianę. Ross nigdy wcześniej o tym nie słyszał. Podróżując z Demelzą, zawsze dowiadywał się więcej niż wtedy,

gdy jechał samotnie.

Pokonywali ostatnie piętnaście kilometrów w drodze do stolicy, o której Demelza tyle ostatnio myślała i słyszała. Po południu w przeddzień odjazdu jak zawsze odwiedziła Paynterów i dała Prudie trochę pieniędzy na życie. Prudie była przerażona perspektywą długiej podróży i tym, co może czekać Demelzę.

– Mówią, że Londyn jest dużo większy od Truro – mruknęła.

Pierwszą oznaką pojawienia się miasta większego od Truro były obłoki dymu. Unosiły się nad widnokretem jak brudna mgła.

– Nie martw się – rzekł Ross. – To tylko piece do wypalania wapna i cegielnie. Dalej będzie lepiej.

Dylichans przemierzał jałowe pola, równie nędzne jak okręgi górnicze Kornwalii. Między kopczącymi kominami cegielni pasły się na polach chude owce, a świnie ryły ziemię, próbując wygrzebać coś do jedzenia wśród skażonej roślinności. Wzdłuż gościńca wznosiły się ogromne stosy odpadków – niektóre dymiły jak wulkany. Rozgrzebywali je żebracy i obszarpane dzieci o skrofalicznych twarzach.

Domy, których pojawiało się wokół coraz więcej, były nędzne, zrujnowane, sprawiały wrażenie, że za chwilę się zawalą. Niektóre, już zawalone, właśnie były odbudowywane. Kolejne pola, a później czystszy, większy obszar z kilkoma porządnymi budynkami, ze starymi brukowanymi ulicami i odchodzącymi od nich wąskimi zaułkami, gdzie widać było dzieci, niechlujne kobiety i parszywe koty. Zapadał zmierzch, wieczór był bardzo ciepły. Na jednej z ulic przed domami siedziały na stołkach kobiety w sukienkach z grubego sukna i w wełnianych pończochach. Ich skórzane gorsety były rozchełstane i czarne od brudu. Niektóre zszywały grube płótno, ale wiele po prostu siedziało i ziewało. Obrzucały wulgarnymi słowami dylichans i ciskały w woźnicę zgniłymi pomarańczami. Na ziemi leżeli pijani, a może martwi

ludzie w łachmanach, a za dylizansem biegły z wrzaskiem dzieci. W końcu dotarli do porządnie wybrukowanej ulicy, lecz znajdowały się na niej podniesione przejścia dla przechodniów i dylizans straszliwie podskakiwał.

Wreszcie ujrzeli Tamizę. Wcześniej zamknięte z powodu smrodu okna otwarto, wpuszczając świeższe powietrze. Po rzece pływały tysiące niewielkich łodzi. Przewożono ludzi. Pływały także barki o dziesięciu wiosłach. Żaglowce halsowały i zmieniały kurs, w jakiś zdumiewający sposób nie zderzając się ze sobą. Dalej widać było las masztów i wielką kopułę.

– Katedra Świętego Pawła – wyjaśnił Ross.

Kiedy przejeżdżali przez most, wokół rozbłysły światła. Ulicami biegali chłopcy z pochodniami, zapalając lampy na wysokich słupach: na każdym słupie znajdowały się trzy lub cztery szklane kule. Otoczenie zmieniło się w baśniową krainę. Zmrok pochłonął nędzę, brud i smród, lampy rzucały na chodniki przyćmione światło. Dylizans, który jechał teraz ładnymi ulicami, musiał zwolnić, gdyż wokół krążyło wiele innych pojazdów. Zatrzymali się na moment między wozem z trumną a złoconą karetą, w której siedziała samotna dama w zawoju ozdobionym strusim piórem. Wóz piwowara, z wielkimi beczkami i sześcioma obdartusami, podążał za maszerującymi żołnierzami, a grupa ekstrawagancko odzianych jeźdźców usiłowała się przepchnąć przez tłum.

Dylizans zatrzymał się na dłużej, by państwo Carne'owie mogli wysiąść. Wymieniono kurtuazyjne pożegnania i zapewnienia, że pięciodniowa podróż przebiegła bardzo przyjemnie. Wyładowano bagaże Carne'ów, po czym dylizans ruszył w dalszą drogę. Powoli jechał szeroką ulicą o nazwie Strand. Znow się zatrzymał.

– Wreszcie jesteśmy na miejscu – rzekł Ross. – Trzeba przejść jeszcze kawałek, jeśli jesteś w stanie chodzić po tak długim siedzeniu. Woźnica wyładowuje nasze bagaże.

III

Pokoje okazały się przyjemne i przestronne, lepsze, niż Demelza się spodziewała po spędzeniu kilku nocy w ciasnych gospodach. Pani Parkins, niebrzydka kobieta w okularach, starała się spełnić wszystkie życzenia gości.

W ostatnim dniu pokonali sto dwadzieścia kilometrów. Byli w dobrej formie, lecz wcześniej poszli spać i obudzili się późno. Demelza, przyzwyczajona do zaczynających się o świcie hałasów dzieci, była zdumiona i przerażona, gdy uniosła głowę i zobaczyła, że zegar w marmurowej obudowie stojący na kominku wskazuje prawie dziesiątą. Ross był już częściowo ubrany i mył się.

– Boże! Dlaczego mnie nie obudziłeś, Ross?!

Uśmiechnął się.

– Nie wpadaj w panikę. Pani Parkins jest przyzwyczajona do podawania śniadania o dziesiątej. Ja też rzadko wstaję wcześniej w Londynie.

– Nic dziwnego, że wydajesz się zmęczony po powrocie do domu.

– Zmęczony późnym wstawaniem?

– Raczej późnym chodzeniem spać, jak podejrzewam. Spanie w dzień jest niezdrowe.

– Chcesz koszulę nocną?

– Proszę.

– W takim razie przyjdź i ją weź.

– Nie.

Zaczął się golić.

– Co to takiego, Ross?

– Słucham? Ach, to. Ulepszona umywalka. Nie zauważyłaś czegoś takiego w Tehidy? Ta ma przegródki na mydło i brzytwę. Będziesz mogła ją obejrzyć, jak wstaniesz.

– Wodę przynosi pani Parkins?

– Pokojówka. W domu jest kran.

– Kran? Jak w beczce z piwem?

– Tak. Woda płynie drewnianymi rurami ze zbiorników w wyższej części miasta. Można korzystać do woli.

– Nadaje się do picia?

– Piłem ją i nic mi się nie stało. Na pewno zauważyłaś wczoraj wieczorem, że w wygodce w korytarzu jest zawsze wiadro wody. I drugie z piaskiem. Jeszcze nigdy nie widziałem tak dobrej toalety w domu.

– Wczoraj wieczorem byłam zbyt zmęczona, by cokolwiek zauważyć.

– Kiedy cię rozbierałem, byłaś jak długonogie, zmarznięte kociątko, trochę wilgotne od potu – powiedział Ross.

– Brzmi to okropnie.

– Nie było tak źle, jeśli sobie przypominasz.

– Prawie nic nie pamiętam.

Zapadło milczenie. Demelza ziewnęła i przeciągnęła dłonią po włosach.

– Dżentelmen przyniósłby mi koszulę nocną.

– Zależy, jaki dżentelmen.

– Już ci mówiłam. Obracasz się w niewłaściwym towarzystwie.

– Nie do zeszłego wieczoru.

W milczeniu skończył się golić i wylał wodę do drugiego wiadra. Demelza siedziała okręcona prześcieradłem.

– Rano to nie jest przyjemne.

– Co?

– Nagość.

– Istnieją różne zdania na ten temat.

– Nie, w ciągu dnia nie jest to ładne...

– Nie wyglądam ładnie, gdy jestem nagi?

– Nie, ja nie wyglądam. Nikt nie wygląda ładnie.

– Cóż, zdecyduj się. – Wkładał koszulę.

– Nagi człowiek nie wygląda ładnie w świetle dziennym – powtórzyła Demelza. – A przynajmniej nie tak ładnie, jak ma nadzieję wyglądać w nocy, przy świecy.

– Moim zdaniem dwie osoby wyglądają lepiej niż jedna – odparł Ross. – Zawsze tak sądziłem.

Na ulicy krzyczał i pobrzękiwał dzwonkiem ostrzyciel noży. Ktoś inny też uderzał w dzwonek, proponując naprawę zepsutych foteli.

– Myślałam, że to spokojne miejsce – zauważyła Demelza.

– Spokojne w porównaniu z większością innych. Spóźnisz się na śniadanie, jeśli się nie pośpieszysz. Nawiasem mówiąc, nie jest zbyt smaczne. Kawa z mlekiem, chleb i masło. Zamierzałem przywieźć trochę marmolady.

Demelza ostrożnie wyszła z łóżka, okręcając się prześcieradłem. Ross zerknął na nią kątem oka, zauważył gołe plecy i nogi i podszedł, by dać jej klapsa. Szybko się odsunęła, ale róg prześcieradła zahaczył o łóżko i podciął jej nogi. Upadła ciężko na podłogę. Uklęknął obok niej, a ona przeturlała się i owinęła prześcieradłem; płótno się rozdarło. Chwycił ją i przytrzymał, śmiejąc się głośno.

– Nie, Ross! Nie!

– Moja żona to mumia! – zawołał i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. – Egipska mumia! Mumie wyglądają... wyglądają tak samo jak ty, tylko nie mają takich bujnych włosów...!

Spojrzała na niego wściekłym wzrokiem. Była tak ciasno owinięta prześcieradłem, że nie mogła uwolnić ręki, by go uderzyć. Włosy rozsypały jej się na twarzy. Po chwili sama dostrzegła komizm sytuacji i wybuchnęła śmiechem. Śmiała się z całego serca. Ross leżał na niej i również się śmiał. Podłoga dygotała pod ich ciałami.

W końcu umilkli i leżeli wyczerpani. Uniósł dłoń, by odgarnąć jej włosy

z twarzy. Miała na policzkach jego łzy. Później ją pocałował. W końcu zaczął ją odwijać.

W tej chwili rozległo się stukanie do drzwi. Ross wstał i otworzył.

– Przepraszam, sir – powiedziała jedna z pokojówek. – Pani Parkins mówi, że śniadanie czeka na stole.

– Powiedz pani Parkins, że zejdziemy za godzinę – odparł Ross.

Rozdział trzeci

I

Przez pierwsze pięć dni w Londynie czuli niezmacone szczęście. Stolica była dla Demelzy czarodziejską krainą, którą chętnie poznawała, niezrażona brudem i nędzą, choć często ogarniało ją obrzydzenie. W dolnej części George Street znajdowała się jedna z przystani na Tamizie. Stały przy niej dwa słupy w paski, a przewoźnik ubrany w czerwono-niebieskie spodnie i czerwoną czapkę mógł zawieźć pasażera do dowolnej części Londynu. Podróż do opactwa westminsterskiego kosztowała sześć pensów, podobnie jak do katedry Świętego Pawła. Gigantyczna świątynia wydawała się jeszcze większa niż opactwo, ale szpeciły ją stojące wokół brudne, zrujnowane domy i sklepy rzeźnicze, z których wyrzucano na ulicę cuchnące odpadki. Wokół unosił się wszechobecny smród kanału Fleet Ditch.

Pogoda była w dalszym ciągu słoneczna, więc kazali się zanieść w lektykach do Paddington, po czym poszli na wschód w stronę Islington. Na północy rozciągały się wzgórza, miasto pozostało na południu. Odwiedzili Vauxhall Gardens i Ranelagh, odwiedzili Caroline w domu ciotki w Hatton Garden. Nazajutrz spodziewano się Dwighta, a Caroline była zaabsorbowana balem, który miał się odbyć wieczorem dwudziestego czwartego w domu pani Tracey. Widząc ją tak podekscytowaną, Ross zastanawiał się, czy Caroline kiedykolwiek pogodzi się z rolą żony wiejskiego lekarza z zapadłej prowincji. Pamiętał, jak odwiedził przed laty dom w Hatton Garden, gdy wydawało się,

że Caroline i Dwight na zawsze ze sobą zerwali: była wtedy blada i apatyczna. Kiedy Dwight przebywał w więzieniu, zdawała się żyć tylko z dnia na dzień. Nie ulegało wątpliwości, że potrzebuje Dwighta, lecz potrzebowała również jakiegoś bodźca, życia towarzyskiego, celu, który mogłaby realizować.

Na oficjalne okazje Demelza przywiozła wieczorową suknię uszytą wkrótce po ślubie, a także drugą, kupioną trzy lata temu na wesele Enysów, której prawie nie nosiła. Caroline leciutko pokręciła głową. Suknia byłaby idealna w Kornwalii, lecz nie nadawała się do noszenia w Londynie w czasie sezonu towarzyskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Moda się zmieniła. Stroje stały się prostsze, delikatniejsze, bardziej odkryte. („Zauważyłam” – powiedziała Demelza). Wysokie talie, prawie pod pachami, zarówno w sukniach dziennych, jak i wieczorowych. Szyja i dekolty odsłonięte, lecz można je zasłonić, choćby częściowo, woalkami z szyfonu. We włosach strusie pióra albo kilka pereł. Demelza uznała to za interesujące i spytała, dlaczego w Londynie tak wielu ludzi nosi okulary. Caroline odparła, że mieszkańcy stolicy spędzają więcej czasu w sztucznym świetle, chociaż okulary to raczej moda.

– W Londynie ludzie chodziliby o kulach, gdyby ktoś uznał to za modne – odparła Demelza. Caroline potwierdziła. – Tak czy inaczej – oznajmiła Demelza – nie ma czasu na przygotowanie czegokolwiek na jutrzejszy wieczór, a poza tym nie stać nas na londyńskie suknie, które są koszmarnie drogie.

– Zabiorę cię do swojej krawcowej, pani Phillips. Ma kilka w połowie wykonanych sukni, które można dopasować w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jeśli chodzi o zapłatę, pójdzie to na mój rachunek. Płacę raz do roku. Możesz zwrócić mi pieniądze, kiedy będziesz chciała.

– Mam wrażenie, że w Londynie trzeba płacić nawet za oddychanie – powiedziała Demelza.

– Pieniądze są po to, by z nich korzystać, prawda? Zwrócimy się do Rossa,

ale najpierw je wydamy.

– Mam nadzieję, że zrozumiesz, co mówi twoja pani Phillips – odparła Demelza, mięknąc. – Często nie jestem w stanie niczego pojąć, jakby mówili obcym językiem.

– Och, nie martw się. Pani Phillips będzie bardzo miła.

– To także trochę mi się nie podoba – odparła Demelza.

Mimo to poszła do krawcowej, ciągnęło ją tam jak ćmę do płomienia świecy. Przypomniały jej się dawne czasy, gdy Verity po raz pierwszy zabrała ją do pani Trelask... Przytulny mały warsztat szwaczki z Truro z dzwonkiem na drzwiach i dwoma stopniami przy wejściu, z których można było spaść w półmroku. Tym razem znalazła się w prawdziwym salonie krawieckim, eleganckim i dyskretnym, choć niezbyt wielkim. Klientki siadały w przytulnym pomieszczeniu z jedwabnymi kotarami, płóciennymi zasłonami i bogatymi, złożonymi fotelami, a właścicielka, wyglądająca jak zubożała księżna, prezentowała po kolei kreacje. Oglądano je pojedynczo i wynoszono na zaplecze, by salon wyglądał schludnie.

Demelza odrzuciła trzy kroje, uznając je za nieprzyzwoite, i wybrała uroczą suknię z brzoskwińowej satyny, uszytą z nieprzezroczystego materiału i nieco skromniejszą. Nie rozmawiano o cenie, uzgodniono jedynie, że gotowa suknia ma zostać dostarczona na George Street numer sześć „jutro o tej porze” i że rachunek pokryje jak zwykle pani Enys.

– Czuję się jak kobieta lekkich obyczajów – powiedziała Demelza, gdy wyszły na gwarną ulicę.

– Właśnie tak powinnaś wyglądać – odparła Caroline. – Marzą o tym wszystkie szacowne damy.

– A kobiety lekkich obyczajów próbują wyglądać jak szacowne damy?

– Cóż, nie zawsze. Teraz muszę pędzić, bo jest jeszcze sporo do zrobienia, a wieczorem przyjedzie Dwight. Weź tę lekturę... Odprowadzę cię do niej.

Spotkamy się jutro rano.

Rankiem dwudziestego czwartego września padał lekki deszcz. Wyjrząwszy przez okno na ulicę, Demelza zobaczyła przechodniów pod parasolami i kobietę, która odnosiła jej buty oddane wieczorem do czyszczenia. O jedenastej chmury się rozproszyły i zaświeciło zamglone słońce niknące w obłokach dymu. Bruk szybko wysechł. Caroline, Dwight i Demelza obejrzeni przejazd króla z łoży w Whitehall: połączane karety, orkiestry, regimenty, gwardię przyboczną na koniach. Z powodu sukcesów armii i marynarki wojennej Wielką Brytanię ogarnęła nowa fala patriotyzmu, a cała ulica wiwatowała na cześć starego króla.

Bal przy Portland Place miał się rozpocząć o dziewiątej i mówiono, że może się pojawić sam książę Walii. Ross zamówił karete na dziewiątą piętnaście. Demelza sądziła, że to za późno, lecz nie chciała się sprzeciwić. Zaczęła się szykować o ósmej, za kwadrans dziewiąta włożyła nową suknię.

– Jest bardzo ładna – rzekł Ross, gdy się odwrócił. – A gdzie suknia?

– To właśnie jest suknia! Wczoraj ją kupiłam!

– Przecież to halka.

– Och, Ross, droczyś się ze mną! Doskonale wiesz, że to nie halka!

– Chciałabyś, żebym poszedł na bal w koszuli i kalesonach?

– Nie, nie, nie drażnij się ze mną! Muszę nabrać pewności siebie, a nie, nie...

– Doda ci jej porto.

Skrzywiła się.

– A to do włosów – powiedziała, pokazując pióro.

– Nie wiem, co by powiedział twój ojciec, gdyby cię zobaczył.

– To modne, Ross. Caroline nalegała.

– Wiem, jak nalegają kobiety. A ty, jestem pewien, głośno protestowałaś i powtarzałaś: „nie, nie, nie!”.

– Naprawdę protestowałam. To była najbardziej dystyngowana suknia, jaką mi pokazano. Caroline mówi, że niektóre kobiety zwilżają suknie, by bardziej przylegały do ciała.

– Jeśli ją zwilżysz, moja droga, złoję ci skórę.

Demelza milczała. Ross zawiązywał halsztuk.

– Podoba ci się, prawda? Ciągle mogę się przebrać w starą.

– Włożyłabyś ją, by sprawić mi przyjemność?

– Oczywiście.

– I byłabyś smutna przez cały wieczór?

– Nie byłabym smutna. Jestem bardzo szczęśliwa.

– Tak... wyglądasz na szczęśliwą, przyznaję. Dlaczego jesteś szczęśliwa?

– Z powodu twoich sukcesów, oczywiście. Z powodu nas obojga. Czy muszę dalej to tłumaczyć?

– Nie – odparł. – Może nie...

Gdzieś daleko zegar wybijał dziewiątą.

– Niepokojące jest to, że ładne kobiety wyglądają dobrze we wszystkim – powiedział Ross. – A może prawie we wszystkim? Cóż... – Popatrzył na żonę.

– Ta suknia powoli zaczyna mi się podobać. Moim zdaniem ma w sobie coś eleganckiego. Jestem po prostu trochę zazdrosny, że tylu mężczyzn będzie oglądać twoje ciało.

– Mogą patrzeć na wiele innych kobiet. Takich, które przez całe życie pysznią się tym, że są piękne.

– Mężczyźni też starają się pięknie wyglądać. Ciężko zapiąć te przekłete guziki...

– Pozwól, że ja to zrobię. – Podeszła i pochyliła się nad mankietami Rossa.

– Chyba pójdę w koszuli nocnej – powiedział Ross, patrząc na idealnie ufryzowane włosy Demelzy. – Może zapoczątkuje to nową modę?

II

Portland Place była jedną z najszerszych, najlepiej oświetlonych ulic Londynu. Przed portykiem z czerwoną markizą i wspaniałym niebieskim dywanem czekał rząd karet i lektyk. Po schodach wchodziły piękne kobiety w olśniewających strojach; podążali za nimi równie olśniewający mężczyźni. Kiedy przysła kolej na Rossa i Demelzę, drzwi karety otworzyło dwóch służących w białych perukach i pomogło wysiąść Demelzie. Oboje mieli przez chwilę wrażenie, że znajdują się w kręgu oślepiającego światła, obserwowani przez tłum obdartych gapiów. Weszli do budynku, oddali peleryny innym służącym, po czym wspięli się po schodach. Po chwili kolejny lokaj zawołał wspaniałym tenorem:

– Kapitan Poldark i pani Poldark!

Powitała ich Caroline, ubrana w piękną jasnozieloną suknię i naszyjnik, którego nigdy nie nosiła w Kornwalii. Przedstawiła Poldarków gospodyniom: swojej ciotce, pani Pelham, której towarzyszył wysoki mężczyzna o nazwisku St Andrew St John (zdaje się poseł z hrabstwa Bedford), oraz pani Tracey, stojącej obok lorda Onslow. Spotkali Dwighta w nowym surducie z czarnego aksamitu, a następnie poszli dalej, wzięli kieliszki z winem i znaleźli się w ogromnej sali recepcyjnej w połowie wypełnionej gośćmi, którzy gawędzili, pili, siedzieli i wymieniali pozdrowienia.

Kiedy wchodzili, Dwight wziął Rossa na stronę i powiedział:

– Małe ostrzeżenie. Prawdopodobnie pojawią się Warlegganowie. Zaprosiła ich pani Tracey. Ale łatwo będzie ich unikać.

I rzeczywiście, wkrótce po Poldarkach przybyli George i Elizabeth w towarzystwie Monka Adderleya i panny o nazwisku Andromeda Page, znudzonej, półnagiej piękności, z którą w tej chwili Monk pokazywał się na mieście. Zauważyli Poldarków i ruszyli w stronę przeciwległego krańca sali, szybko znikając z pola widzenia.

Warlegganowie przybyli do Londynu zaledwie dwa dni wcześniej i zamieszkali przy King Street numer czternaście, w pobliżu Grosvenor Gate. Przywieźli ze sobą Valentine'a, ponieważ w Truro szerzyła się szkarlatyna. Uznali, że Londyn ze świeżą roślinnością Hyde Parku nie będzie stanowił dla chłopca większego zagrożenia. Przyjechali z Kornwalii własną kareta, co zajęło dwanaście dni. W czasie gdy George był posłem do Izby Gmin, gorliwie kolekcjonował użytecznych przyjaciół, co przyniosło mu spore korzyści. Napisał do wielu ludzi, uprzedzając, że ich odwiedzi, a niewielu ziemian miało ochotę obrazić bogacza z tak ładną, ustosunkowaną żoną. W rezultacie spędzili w gospodach tylko dwie noce.

George był tego wieczoru w znakomitym humorze. Monk niedawno poinformował Warleggana, że wybrano go członkiem White's, najbardziej ekskluzywnego klubu w Londynie. Rankiem odbył również rozmowę z Rogerem Wilbrahamem. Wilbraham, w odróżnieniu od kapitana Howella, nie był Kornwalijczykiem ani nie potrzebował gotówki. Jego pierwsza odpowiedź na propozycję z rezygnacji z mandatu w St Michael była negatywna. Śmiejąc się głośno, odpowiedział, że chętnie przyjmie pieniądze za rezygnację, jeśli George załatwi mu mandat poselski w innym okręgu. W przeciwnym wypadku wyda na nowy mandat wszystkie pieniądze, jakie otrzyma od George'a, więc jaką odniesie z tego korzyść? Na szczęście nie doszło do impasu, bo Wilbraham dodał: „Ale niech pan posłucha, mój drogi. Jak dotychczas reprezentowałem interesy Scawena. Nie mam wyraźnych przekonań politycznych. Równie dobrze mogę być pańskim człowiekiem. Może pan na mnie liczyć”. Wydawało się to prostym rozwiązaniem i George zaakceptował propozycję Wilbrahama. Gdyby okazał się kłopotliwy, później będzie można go zmusić do rezygnacji. Najważniejsze, że z punktu widzenia rządu George kontroluje teraz dwa mandaty.

Elizabeth, choć nieco pulchniejsza na twarzy, nie miała jeszcze zmienionej

figury. Tego wieczoru wydawała się wyjątkowo dystyngowana i piękna. Wcześniej spędziła cały dzień, poddając się zabiegom fryzjerki, która nadała jej lekko spłowiałym jasnym włosom wspaniały blask. Jak zwykle była ubrana na biało, tym razem w stylu greckim. Miała na sobie obcisłą tunikę, luźno udrapowaną na ramionach, kilka złotych łańcuchów, sandały i cieliste pończochy z palcami jak rękawiczki. Do tego wachlarz, złoty pasek i maleńka złota torebka z perfumami i chusteczką.

– Wyglądasz jak Helena trojańska, moja droga – powiedział Monk Adderley.

Uśmiechnęła się do niego ciepło i spojrzała na gości, których stale przybywało.

– Mam nadzieję, że kiedyś, po zakończeniu wojny, wybierzemy się w podróż, jeśli zdołam namówić George’a. Chciałabym zobaczyć Rzym...

– Uważaj – odparł Adderley. – Nie mogę znieść myśli, że pragniesz oglądać krajobrazy.

– Dlaczego? – Elizabeth się uśmiechnęła. – Kim jest tamten mężczyzna?

– Ten gruby, obleśny? Nie znasz go? To doktor Franz Anselm, moja droga. Zarabia więcej pieniędzy na damach niż jakikolwiek inny lekarz w Londynie. Chcesz począć dziecko? Zajmie się tym. Nie chcesz począć dziecka albo pozbyć się poczętego? Tym również się zajmie. Gdybyś pragnęła zachować młodość i fascynować męża – własnego lub cudzego – przepisze ci odpowiedni środek. Masz brzydkie brodawki? Usunie je. Nie słyszałaś o balsamicznym kordiale doktora Anselma dla dam w starszym wieku?

– Szarlatan?

– Boże, który lekarz nie jest szarlatanem? Wszyscy utrzymują, że wynaleźli panaceum, ale środki Anselma są skuteczniejsze od tych, które stosują jego koledzy.

– Szkoda, że nie ma lekarstwa, by ładniej wyglądać. Dlaczego mówisz, że

nie powinnam oglądać krajobrazów?

– Cóż, z pewnością nie podziwiać. Niektórzy współcześni poeci bardzo mnie irytują, moja droga. Mają romantyczne poglądy na życie. To takie gminne, pospolite. Czy warto patrzeć na góry i jeziora, jakby naprawdę były interesujące? Kiedy przejeżdżam przez Alpy, zawsze zasłaniam okna karety.

– Kim jest ten mężczyzna, który przed chwilą wszedł do sali? – spytała Elizabeth. – Równie gruby jak doktor Anselm, ale niższy.

– To kolejny człowiek mający pewne znaczenie w świecie, moja droga, choć jako konserwatywna toryska z pewnością nie apróbujesz go tak samo jak ja. Mógłbym przeszyć go szpadą za błędne opinie na temat wojny. To czcigodny James Fox wraz z żoną, dawną panią Armistead, którą poślubił zaledwie cztery lata temu.

Gruby doktor Anselm minął Elizabeth i Adderleya, kołyszając się lekko. Miał gęste czarne brwi, czarne szpakowate włosy, których nie zasłaniał peruką, i ogromny brzuch. Państwo Fox podążyli w przeciwną stronę.

– Ach, ten wysoki jegomość to lord Walsingham, przewodniczący komitetów Izby Lordów – rzekł Monk. – A za nim, nieco młodszy, George Canning, minister spraw zagranicznych. Cieszę się, że pojawiło się kilku członków rządu, bo inaczej spędzilibyśmy wieczór w towarzystwie zbyt wielu dysydentów. Powiedz mi, gdzie George kupuje buty?

– Mój mąż? Nie mam pojęcia.

– Na pewno w niewłaściwym miejscu. Każ mu iść do Rymera. Są znakomite, moja droga. A po kapelusze do Wagnera. Zawsze trzeba kupować najlepsze rzeczy.

– Jestem pewna, że George całkowicie by się z tobą zgodził – odpowiedziała z lekką ironią. Później nawiązała uprzejmą konwersację z panną Page. Grupka zmieniła konfigurację.

Ross i Demelza rozmawiali z Johnem Bullockiem i jego żoną. Bullock,

starszy mężczyzna, był posłem do Izby Gmin z hrabstwa Essex, zaprzysięgłym przeciwnikiem Pitta, lecz on i Ross lubili się i szanowali. Przyłączył się do nich baron Duff z hrabstwa Fife wraz z córką, która miała na sobie rzucającą się w oczy kolię. Jej szyja iskrzyła się jak ogień.

– W Londynie jest tyle bogactwa! – powiedziała Demelza, gdy odeszli. – Widziałeś te brylanty? A jednak tak mało...

– Mało czego?

– Bogactwa. Twarze ludzi, kiedy weszliśmy! Walczyliby o sześciopensówkę! Czasami myślę... niewiele widziałam, Ross, ale wydaje się, że Londyn jest w stanie wojny z samym sobą.

– Wyjaśnij, kochanie.

– Cóż... Te wszystkie przestępstwa. Londyn przypomina... wulkan. Bandyty czekają na ofiary na rogach ulic. Pijaństwo, kłótnie. Złodzieje, prostytutki, żebracy. Ludzie rzucają kamieniami, biją się na pałki. Głód. A potem cały ten przepych. Czy tak było we Francji?

– Owszem, tylko jeszcze gorzej.

– Rozumiem, jak się musisz czasem czuć.

– Cieszę się, że ty też to czujesz. Ale nie psuj sobie wieczoru.

– O nie. O nie...

Popatrzył na nią.

– Chwilami wydaje mi się, że jesteśmy jak słomki płynące w strumieniu. Tak samo nie panujemy nad swoim życiem.

Po chwili po przeciwnej stronie sali pojawili się Warlegganowie.

– Czy Elizabeth będzie miała następne dziecko? – spytała Demelza.

– Co takiego? – Ross wytrzeszczył oczy. – Skąd wiesz?

– Nie wiem. Po prostu tak wygląda.

– Bardzo możliwe – rzekł po chwili. – W dniu otwarcia szpitala była niedysponowana. Na szczęście dla mnie zrobiło jej się słabo, bo inaczej

pokłóciłbym się George'em albo jeszcze gorzej. Jestem pewien, że Francis Basset nie uznałby mnie wtedy za odpowiedniego współnika w bankowości.

– Słomki w strumieniu! – odezwała się Demelza. – Jesteśmy szczęściarzami!

Po drugiej stronie sali Adderley odezwał się do George'a:

– Naprawdę poszedłeś wysłuchać mowy tronowej, mój drogi?

– Tak – odparł George.

– Tych wszystkich nonsensów o milicji? Nie mogłem tego znieść. Spędziłem czas w klubie Boodle's. Stracisz mandat, wiesz? W listopadzie odbędą się wybory. Mogę zaaranżować odpowiednie poparcie.

– Czuję się zobowiązany, Monk. Widzę, że jest tu Poldark.

– Bohaterski kapitan. Tak. Nie lubisz go, prawda?

– Nie lubię.

– Wy Kornwalijczycy traktujecie się tak poważnie. O co poszło? Kim jest jego partnerka?

– To jego żona. Dawna dziewczyna z kuchni.

– Cóż, niebrzydka.

– Niektórzy mężczyźni tak uważają.

– Odnieśli jakieś sukcesy?

– Prawdopodobnie – odparł George. W jego oczach zalśniła dawna nienawiść.

Adderley uniósł lorgnon i spojrzał na przeciwległy koniec sali.

– Prowincjonalna fryzura. Szkoda. Reszta jest dobra.

– Och, niewątpliwie ubrała się w Londynie.

– Więc warto ją również rozebrać w Londynie, nie sądzisz? Nie znoszę cnotliwych prowincjuszek.

– Jest ich mniej, niż myślisz.

– O tak, wiem, mój drogi. Czy dałoby się znaleźć choćby jedną? Wiesz,

czym się szczycę.

- Czym?
- Nigdy nie przepuściłem kobiecie.
- Powinieneś spróbować szczęścia.
- Zajmę się tym. Drommie!
- Tak? – spytała dziewczyna.
- Chodź ze mną. Chcę cię poznać z pewnym jegomościem.

III

– Idzie do nas Adderley – rzekł półgłosem Ross.

– Kto to taki?

– Przyjaciel George'a. Zeszłego lata odwiedził Trenwith. Poseł do Izby Gmin. Dawny kapitan regimentu piechoty, podobnie jak ja. Wariat.

– Większy od ciebie?

– Inny.

– Z żoną?

– Wątpię.

Demelza spojrzała na zbliżającego się mężczyznę. Był wyprostowany, chudy jak szczapa, blady. Miał na sobie ciemnooliwkowy cętkowany surdut haftowany srebrną nicią i bryczesy w tym samym kolorze.

– Mój drogi Poldark, nie widziałem pana dziś na otwarciu sesji parlamentu! Wolno mi przedstawić pannę Drommie Page? Kapitan Poldark. Pani Poldark, jak się domyślam? *Enchanté*. Król nie czytał mowy, prawda?

– Nie, odczytano ją za niego. Nie było pana na sali?

– Nie, mój drogi, właśnie dlatego dziś się nie spotkaliśmy. Okropne, gdy człowieka tak wcześnie wzywają do Londynu tylko po to, by uchwalać napuszoną ustawę o milicji. W dalszym ciągu czuć smród. Mieszka pani

daleko od Londynu, pani Poldark?

– W Kornwalii.

– Naturalnie! Pani mąż nie tylko reprezentuje interesy Boscawenów, lecz stamtąd pochodzi! „Większej nad tę miłości żaden nie ma”! ¹

Rozmawiali przez kilka minut. Szare wężowe oczy Adderleya nieustannie taksowały figurę Demelzy, ona zaś uśmiechała się do niego od czasu do czasu, po czym odwracała wzrok. Chłonęła barwy i światła, patrzyła na spacerujące, gawędzące osoby i na palmy. Z sąsiedniej sali dobiegały dźwięki muzyki.

– Do licha! – rzekł Monk, unosząc do nosa koronkową chusteczkę. – Jestem głodny jak kanibal. Pójdziemy na kolację, pani Poldark?

– Do licha, ja też jestem głodna! – odparła Demelza i znów rozejrzała się po sali.

– A zatem?

– Przykro mi, sir, ale mam już partnera.

– Kogo?

– Męża.

– Męża?! Ależ, droga pani, tak się nie robi! Małżonkom nie wolno jadać razem posiłków. Nie w londyńskim towarzystwie.

– Przepraszam. Myślałam, że... Ale jeśli jest pan głodny jak kanibal, mógłby się pan pomylić w wyborze potraw.

Adderley zmrużył oczy.

– Nie da się tego wykluczyć, pani. Na przykład mógłbym panią pożreć. Smakują mi różne potrawy. Proszę spojrzeć... Poldark zajmuje się Drommie. Poprowadzi ją do stołu. Obiecuję, że będziemy siedzieć przy tym samym stole.

Szybkie myśli. To przyjaciel George’a. Ross go nie lubi. Ale to oficjalne przyjęcie: czy może odmówić? Niepotrzebny afront...

– Więc chodźmy wszyscy razem! – powiedziała. – Ross... Kapitan Adderley jest głodny jak wilk! Pójdziemy jeść?

Kiedy Ross się odwrócił, zauważyła w jego oczach błysk, choć nie spostrzegłby go nikt, kto nie znał go tak dobrze.

– Naturalnie – odpowiedział, ale w jego głosie nie było entuzjazmu.

Demelza ruszyła w stronę jadalni, wsparta na ramieniu Adderleya. Podążali za nimi Ross i Andromeda.

– Więc widzi pani we mnie wilka – rzekł Monk. – Nie podejrzewałem, że tak łatwo panią przestraszyć, pani Poldark.

– Och, bardzo łatwo, kapitanie Adderley.

– Boi się pani mojej reputacji?

– Nie znam pańskiej reputacji, sir.

– Najbardziej lubię dwie rzeczy: walkę i miłość.

– Z tą samą osobą?

– Nie, ale tego samego dnia. Jedno zaostrza apetyt na drugie, madame.

W następnej sali znajdował się wielki stół zastawiony potrawami przygotowanymi w wyjątkowo ekstrawagancki, artystyczny sposób. Kucharz w białej czapce stojący za stołem odkrawał gościom kawałki zamku Windsor, pałacu Buckingham, katedry Świętego Pawła, opactwa westminsterskiego, wieloryba, gigantycznej myszy, konia, krokodyła. Ponieważ szybko przybyli na miejsce, większość owych cudów była jeszcze nietknięta, a wszyscy wchodzący do sali patrzyli z podziwem na artystyczne konstrukcje, które mieli zniszczyć.

– Chyba zgubiliśmy przyjaciół – zauważył George.

– Tak – odparła Elizabeth. – Jestem nieco zdziwiona gustem Monka.

– Och, to ja go napuściłem. Monk błyskawicznie podejmuje wyzwania.

– Nie miałam na myśli Poldarków, tylko młodą damę, którą ze sobą przyprowadził – odrzekła nieco kwaśnym tonem.

– Och, pannę Page. Podobno to naturalna córka lorda Keppel. Ładna, ale złośliwa i bez grosza, wszyscy tak mówią. Och, wasza lordowska mość...

– Sir?

– Warleggan. Poznaliśmy się w Ranelagh, milordzie. Czy wolno mi przedstawić moją małżonkę? Wicehrabia Calthorp. Elizabeth Warleggan.

W przedśionku znajdowali się już niemal wszyscy goście. Księżę Walii w ostatniej chwili przesłał wiadomość, że nie może przybyć.

– Cóż, najgorsze już prawie za nami – rzekła Caroline do męża. – Mam nadzieję, że nie masz ochoty wrócić do swoich pacjentów.

– Nie – odparł z uśmiechem Dwight. W istocie rzeczy przed chwilą myślał, że pani Coad, która była konająca, gdy ją ostatnio odwiedził, powinna umrzeć przed końcem miesiąca. A Char Nanfan nabawiła się nieznannej choroby. Troje dzieci Eda Bartle’a dostało zapalenia płuc po szkarlatynie...

– Chodźmy coś zjeść – powiedziała Caroline, ujmując go za ramię. – Niektórzy londyńscy dandysi powątpiewali, czy naprawdę mam męża. Muszę cię wszystkim pokazać!

– Gdzie Ross i Demelza?

– Nie wiem. Mignęli mi przed chwilą... Och, z Monkiem Adderleyem i jego ładną towarzyszką! To niespodzianka. Cóż, w takim razie musimy jeść z kimś innym.

– Przypuszczam, że zostali zaproszeni, bo nie wierzę, by sami wybrali towarzystwo Adderleya – powiedział Dwight. – Czy ten mężczyzna, który przed chwilą wszedł ze starszą damą, to lord Falmouth?

– Tak. Przybył z matką. Powinniśmy czuć się zaszczytzeni, gdyż w Londynie udziela się towarzysko równie rzadko jak w Kornwalii.

Przeszli z powrotem do sali recepcyjnej, gdzie służący dyskretnie przestawiali krzesła, by w późniejszej części wieczoru można było tańczyć.

Monk Adderley zaprowadził Demelzę do fotela w rogu, a tymczasem Ross i Andromeda wciąż jedli.

– Ładne guziki – odezwała się Demelza, wskazując duże guziki na

rękawach Adderleya.

– Tak? Zauważyła pani, że w każdym z nich znajduje się kosmyk włosów?

– Właśnie tak myślałam. Piękna robota. Czy to włosy panny Page?

– Nie, porucznika Framfielda. To ostatni człowiek, którego zabiłem.

Demelza po raz pierwszy zauważyła bliznę na skroni Monka, częściowo zasłoniętą przez sztywne, kędzierzawe włosy.

– Ostatni?

– Zabiłem tylko dwóch. Jednego okaleczyłem.

– Mógł pan trafić do więzienia za morderstwo. A nawet zawisnąć na szubienicy.

– Uczciwy pojedynek to nie morderstwo. Naturalnie czasem odbywa się proces. Za pierwszym razem powołałem się na przywilej kleryków wyłączający ich spod jurysdykcji sądów świeckich.

– Jest pan klerykiem?

Adderley znów zmrużył oczy. Jeszcze nigdy nie był tak bliski wybuchnięcia śmiechem.

– Człowiekiem wykształconym, moja droga. Potrafię pisać. Z tego powodu skazano mnie tylko na napiętnowanie.

– Napiętnowanie?

– Tak... Zimnym żelazem. Pokażę pani ślad. – Wyciągnął długą, chudą dłoń. Pod skórą widać było kości i żyły. Demelza powstrzymała drżenie.

– Nie ma śladu... Ach, widzę.

– Za drugim razem zostałem uznany za winnego zabójstwa i skazany na dziesięć dni więzienia.

– A za trzecim razem naprawdę zawiśnie pan na szubienicy?

– Kto wie? Kogo to obchodzi? Och, oto i Poldark z moją dziewczynką. Współczuję Drommie.

– Dlaczego? Ross jest dobrym kompanem, jeśli podoba mu się

towarzystwo.

– W tej chwili wydaje się, że niezbyt mu się podoba. Nie, moja droga, współczuję Drommie z innych powodów. Ma piękne ciało. Wiem o tym, bo dokładnie je zbadałem. Mógłbym ją polecić każdemu rzeźbiarzowi. Ale jeśli chodzi o jej umysł, nie ma dla niej niczego ważniejszego niż szpilka do włosów.

Dama, o której rozmawiano, zwróciła się do Rossa:

– Jest pan silny? Wygląda pan na bardzo silnego. – Mówiła znudzonym, zmysłowym tonem.

– Bardzo silny – odparł, oglądając ją od stóp do głów.

– Jakie to ciekawe... – Ziewnęła. – Ogromnie ciekawe...

– Ale muszę panią ostrzec: jedna z moich nóg jest słaba.

Spojrzała na nogi Rossa.

– Która?

– Raz jedna, raz druga.

Po dłuższej chwili stuknęła go wachlarzem w bark.

– Żartuje pan ze mnie, kapitanie Poldark.

– Nie ośmieliłbym się z pani żartować po tak krótkiej znajomości. Czy kapitan Adderley nigdy nie wspomniał pani o starym powiedzonku żołnierzy piechoty?

– Jakim?

– Jedna noga słonia mówi do drugiej: „Do licha, nie mogłabyś iść trochę szybciej?”.

– Dziwne. – Znów ziewnęła.

– Powinna pani już iść spać, panno Page?

– Nie... Niedawno wstałam.

– Moja córka ma podobne zwyczaje.

– Ile ma lat?

- Prawie pięć.
- Teraz znowu pan żartuje.
- Przysięgam, że to prawda.
- Nie... porównując mnie ze swoją córką. Monk to pański przyjaciel?
- Tak się wydaje.
- Przyjaźni się z pana żoną?
- Przekonamy się.
- Naturalnie. Jest niezwykle atrakcyjna.
- Tak sędzę.
- A ja?

Popatrzył na nią.

- Pani?
- Tak... Co pan o mnie myśli?

Zastanowił się.

- Uważam, że powinna pani już iść spać.
- Można to uznać za zniewagę, kapitanie Poldark.
- O nie!
- Albo komplement...

Uśmiechnął się.

- O tak – odparł.

Goście zasiedli przy stołach różnych rozmiarów, po czym szybko postawiono przed nimi wino, chleb oraz położono noże i widelce. Adderley wybrał stolik dla czterech osób, co nieco odizolowało ich od reszty uczestników balu. Ross dobrodusznie znosił niemiłe towarzystwo i tylko od czasu do czasu chwycił przynętę, którą go prowokowano. Na przykład wtedy, gdy Adderley zaczął mówić o kosztach ostatnich wyborów i wspomniał, że lord Mandeville oraz Thomas Fellowes zapłacili łącznie przeszło trzysta tysięcy funtów, by dostać się do Izby Gmin – blisko siedem tysięcy poszło na

rachunki za gospody. Monk i Ross mają wielkie szczęście, że są grzecznymi pieskami pokojowymi tolerancyjnych arystokratów.

– Zdaje się, że nasz tolerancyjny arystokrata jest tu dziś wieczorem – wtrąciła Demelza, gdy spostrzegła, że Ross zamierza odpowiedzieć. – Nie widziałam go od przeszło dwóch lat, Ross. Muszę go spytać, jak się miewa pani Gower.

Adderley powiedział im, że stary Reynolds ma w parlamencie przydomek „Dzwonek Obiadowy”, ponieważ kiedy wstaje, by zabrać głos, z sali zawsze wychodzi stu czterdziestu posłów. Dwa lata wcześniej pewna dystygowana dama siedząca na galerii dla gości nie mogła już wytrzymać i zsikała się prosto na głowę starego Johna Luttrella, niszcząc mu kapelusz i surdut.

– Na Boga, miał szczęście, że go nie oślepiła! – zakończył.

Panna Page roześmiała się skrzekliwie.

– Jesteś rozkosznie wulgarny, Monk! Wyjątkowo zabawna dykteryjka!

– Proszę nie mówić, że się państwu nie podoba! – zwrócił się Monk do Poldarków. – Walpole zawsze zachęcał do opowiadania wulgarnych anegdot, bo uważał, że bawią wszystkich bez wyjątku!

– Bynajmniej – zaprzeczył Ross. – Nie każdy jest wulgarny.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Dlaczego?

– Z natury rzeczy. Nie mogą państwo przypuszczać, że wulgarność to przyrodzona cecha ludzkiego charakteru. Przecież to nonsens! Wszyscy mamy takie same potrzeby, funkcjonujemy w ten sam sposób, młodzi i starzy, arystokraci i żebracy, jednak wulgarność to cecha ludzi o perwersyjnym umyśle. Podpowiada to zdrowy rozsądek. Wulgarny zdrowy rozsądek.

Kolacja dobiegła końca w napiętej atmosferze. Wreszcie damy i dżentelmeni wstali od stołu, a kiedy zeszli na dół, zaczęły się tańce i wszyscy spędzili miłą godzinę. Demelza zatańczyła z Monkiem, a potem z Dwigthem,

Rossem i innymi partnerami. Nie znała najmodniejszych kroków, ale dawała sobie radę.

O pierwszej, w czasie krótkiej przerwy, Monk zauważył, że Demelza jest sama, i podszedł do niej.

– Kiedy będę mógł znowu panią zobaczyć, pani Poldark?

– Widzi mnie pan teraz, kapitanie Adderley.

– To pani pierwsza wizyta w Londynie?

– Wie pan, że tak.

– Jeśli wolno mi to powiedzieć, uważam panią za osobę o wielkim niewykorzystanym potencjale. Moja droga, nie żyła pani dotąd pełnią życia, proszę mi wierzyć!

– Żyłam bardzo dobrze, kapitanie Adderley. Dziękuję.

– Nie zna pani wyrafinowanych przyjemności.

– Zawsze myślałam, że szukają ich ludzie, których znudziły proste przyjemności.

– Będę dotrzymywał pani towarzystwa. Kiedy pani mąż wychodzi?

– Razem ze mną.

– W takim razie będę dotrzymywał pani towarzystwa w jego obecności.

– To bardzo miło z pańskiej strony.

– Mam nadzieję, że pani również będzie miło. – Przebiegł oczami po brzoskwiniowej sukni, zauważając, gdzie przylega do ciała. Patrzył na nagie ramiona, barki, szyję, jasnooliwkowe wypukłe piersi, w końcu na twarz i oczy. Wyraz jego twarzy był bardzo znaczący. Demelza się zarumieniła, co zdarzało jej się niezwykle rzadko.

Nagle poczuła, że ktoś ujmuje jej dłoń odzianą w rękawiczkę. Był to Ross, który podszedł od tyłu.

– Adderley, musi pan wrócić do panny Page. Bardzo za panem tęskni.

– Powinien pan wiedzieć, Poldark, że wykonuje polecenia tylko jednej

osoby – rzekł łagodnie Monk. – Swoje własne.

Demelza ścisnęła dłoń męża, by nie odpowiadał.

– Ross, kapitan Adderley powiedział, że będzie dotrzymywał nam towarzystwa – odezwała się. – Byłoby bardzo miło, ale ja zasugerowałam, że powinniśmy się spotkać w czwartek w teatrze. Wspomniał pan, że moglibyśmy tam pójść, kapitanie Adderley.

Wyczuwała, że obaj mężczyźni się wahają. Monk nic takiego nie powiedział. Uznał, że to małe kłamstwo stanowi postęp na drodze do wytyczonego celu. Ross rzeczywiście wspominał o wizycie w teatrze i odrzucenie propozycji zostałyby uznane za afront.

– Byłoby to zabawne, moja droga – zauważył Adderley. – Dwa razy widziałem tę sztukę i trochę mnie już nudzi. Ale kobiety są interesujące.

Ustalono, że pójdą do teatru.

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Ewangelia według Jana, XV, 13, s. 122.

[\[wróć\]](#)

Rozdział czwarty

I

O trzeciej rano goście zaczęli się rozchodzić. Caroline, widząc, co się dzieje z Demelzą, odprowadziła Monka Adderleya, by znalazł się z dala od przyjaciółki. Później zwróciła się do żony Rossa:

– Czasami myślę, że jest trochę szalony. Nie dlatego, że mu się podobaasz! Ale niekiedy... zachowuje się w sposób niezrównoważony. Traktuj to lekko, jako żart.

– Dobrze, ale...

– Wiem. Wyłumaczę Rossowi... Zaproponuję Dwightowi, żebyśmy również pojechali w czwartek do teatru. A tymczasem zorientuję się, jakie młode kobiety można podstawić Monkowi pod nos, by odwrócić jego uwagę.

Kiedy czekali na powozy, George zauważył:

– Więc sparzyłeś sobie palce, Monk?

– Bynajmniej, mój drogi. *Rome n'a pas été bâtie tout en un jour*. Trzeba przygotować grunt.

– I to ci się udało? Nie wierzę! To cnotliwa kobieta!

– Mówiłeś coś innego.

– Cóż możemy wiedzieć o ludziach? Powiedziałem, że prawdopodobnie nie jest zbyt cnotliwa. W końcu się przekonasz, jak jest naprawdę.

– Naturalnie. Mogę cię poinformować już teraz. Za miesiąc przestanie być cnotliwą kobietą – jeśli nazywasz cnotą wierność mężowi. Będę ją uważał za

cnotliwą, dopóki pozostanie mi wierna, dopóki będę jej pragnął.

– Bardzo mocne stwierdzenie. Mam ochotę się założyć, że nic nie wskórasz.

– Naturalnie, mój drogi. Nic nie sprawiłoby mi większej satysfakcji. Jakie warunki proponujesz?

George oblizał wargi i rozejrzał się, by się upewnić, czy nie usłyszy ich Elizabeth.

– Stawiam sto gwinei przeciwko twoim dziesięciu. Nie jestem skłonny podwyższać stawki, bo jeśli wygrasz, i tak będziesz miał sporą przyjemność.

– Nie – odparł Monk, spoglądając chłodnym wzrokiem na przyjaciela. – Wiem, że jeśli wygram, to ty będziesz znacznie bardziej zadowolony ode mnie.

Wkrótce wezwano karete Poldarków. Demelza wsiadła i powóz odjechał, skrzypiąc. Przez chwilę panowało milczenie, po czym Ross powiedział:

– Monk Adderley to dziwny człowiek.

– Dziwny... tak. Trochę się go boję.

– Nie pokazałaś tego po sobie. Zaproponowałaś, by zjadł z nami kolację, i zaprosiłaś go do teatru na czwartek.

Demelza z trudem zdobyła się na wyjaśnienie.

– Najpierw chciał, bym zjadła z nim kolację sam na sam. Nie jestem pewna, jakie są londyńskie zwyczaje, ale uznałam, że odmowa mogłaby być obraźliwa.

– A w drugim przypadku?

– Bałam się, że zaczniecie na siebie prychać jak dwa kocury, więc powiedziałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Jechali Oxford Road, pełną ludzi nawet w środku nocy. Pod wysokimi domami leżeli pijacy, na kocich łbach turkotały ciężkie platformy albo wozy rzeźników, żebracy grzebali w śmieciach i łajnie.

– To dziwne, że ludzie, którzy udają, że życie jest nieskończenie nudne,

sami są tacy nudni – powiedział Ross. – Cóż, chyba musimy znieść jego towarzystwo w czwartek.

– Ross... – Demelza obróciła głowę. Na jej napiętą twarz padło światło pochodni niesionej przez chłopca idącego ulicą. – Caroline rozmawiała ze mną dziś wieczorem na temat Monka Adderleya. Powiedziała, że nie możemy go brać poważnie. Ani ty, ani ja. Zwłaszcza ty. Mówiła, że powinieneś go uważać za błazna.

Ross zacisnął wargi.

– Adderley. Tak. To błazen. Jednak trzeba uważać, by nie wyszły nam bokiem jego błazeństwa.

II

Wynajęli lożę w Drury Lane, co kosztowało Rossa dwadzieścia szylingów. Były w niej cztery miejsca. John Kemble, William Barrymore i pani Powell występowali w *Zemście*, tragedii Edwarda Younga w pięciu aktach. Demelza po raz ostatni widziała przedstawienie teatralne w bibliotece dworu w Namparze przed dziesięciu laty. Teraz w porównaniu z profesjonalnie wystawioną sztuką wydawało się ono nieudolnym pokazem żywych obrazów. Zapomniała o bladolicym mężczyźnie, napiętym jak drut, który siedział w fotelu obok i korzystał z każdej nadarzającej się okazji, by pochylić się w jej stronę, wypowiadać szeptem komentarze i dotykać szczupłymi, chłodnymi palcami jej nagiego przedramienia. Znacznie bardziej irytowały ją hałasy wśród publiczności na dole: dochodziło tam do bójek, rzucono pomarańczami, krzyczano na aktorów, jeśli coś się nie podobało. Trzysta łożowych świec oświetlających scenę od tyłu sprawiało, że otaczał ją delikatny, jasny blask. Wspaniałe kostiumy, piękne głosy aktorów oczarowały Demelzę. W antraktach grano muzykę, by publiczność się nie nudziła. Kiedy

przedstawienie zakończyło się w potokach krwi, wystawiono dwie krótkie sztuki, tym razem o charakterze komediowym. Wspaniały wieczór.

Dwight i Caroline siedzieli w sąsiedniej łoży. W czasie jednego z antraktów Dwight powiedział do Rossa:

– Poznałem dziś doktora Jennera.

Ross nie był pewien, o kogo chodzi. Był zbyt pochłonięty własną złością, która wzbierała w nim, a potem rozplywała się w morzu autoironii.

– Jennera? Och, autora książki, którą czytałeś...

– Wierzę, że to jedno z największych odkryć naszej epoki. Oczywiście od kilku lat stosuje się szczepienia przeciwko ospie, ale tym razem to coś innego. Moim zdaniem nie przeprowadzono jeszcze dostatecznej liczby eksperymentów. Mam nadzieję, że spotkam się z Jennerem przed wyjazdem.

– Wracasz do domu?

Dwight się uśmiechnął.

– Jeszcze nie.

– Może powinienem szybko zabrać stąd Demelzę – rzekł Ross żartobliwym tonem. – Nie jest tu bezpieczna.

– Moim zdaniem jest bezpieczna, Ross. Potrafi zadbać o siebie.

– Kiedyś też tak myślałem – odparł Ross.

Ostatnia krótka sztuka była satyrą na nową modę, bardzo przejawskrawioną na scenie. Publiczności spodobała się piosenka śpiewana przez Fanny Thompson. Brzmiała następująco:

*Ciało złożyłam w ofierze
Wymogom współczesnej mody.
Dziś oczom własnym nie wierzę.
Wyglądam jak Hoddy-Doddy.
Cieniutka w talii jak osa,
Na ciastka, słodycze, wety
Z żalem spoglądam z ukosa,*

Bo jeść ich nie mogę, niestety!

Po drugiej i trzeciej zwrotce wszyscy widzowie chórem śpiewali refren. Panował ogłuszający hałas.

Kiedy wychodzili z teatru wraz z dwoma tysiącami ludzi, Monk Adderley spytał:

– Pojedzie pani ze mną do Vauxhall w przyszły poniedziałek, pani Poldark? Zdaje się, że sesja parlamentu zacznie się późnym popołudniem.

– Nie będzie pan w niej uczestniczył?

– Niech Bóg broni. Ale pani mąż przyjdzie na obrady.

– Proszę mi powiedzieć: dlaczego nadano panu imię Monk? – spytała. – To przecież znaczy „mnich”. Mam wrażenie, że niezbyt to do pana pasuje.

Adderley zmrużył oczy. W mniej diabolicznej twarzy wyglądałoby to atrakcyjnie.

– Rzeczywiście, niezbyt pasuje, moja droga. Nazywał się tak mój ojciec. To imię tak mu się podobało, że nadał je wszystkim swoim synom, by przetrwało.

Demelza uniosła brwi.

– Na Boga! Chce pan powiedzieć, że ulicami Londynu chodzi jeszcze kilku Monków Adderleyów?!

– Nie, pani. Dwóch zmarło w dzieciństwie. Jednemu poderżnięto gardło w Indiach. Jeden w dalszym ciągu mieszka w Bristolu z moimi rodzicami, ale to nudny prowincjusz, który zostanie ziemianinem... Proszę mi opowiedzieć o pani imieniu. Co oznacza w dziwnym celtyckim języku Kornwalii?

– Nie wiem – odparła Demelza. Doskonale wiedziała, lecz uznała, że nie powinna dawać Monkowi okazji do komentarzy.

– Dość prowokujące imię. Na Boga... Demelza... Demelza... Kojarzy się ze zdejmowaniem ubrania albo obieraniem ze skórki...

– Obieraniem banana? – zasugerowała.

– Proszę posłuchać, damo o atlasowych ramionach – rzekł. – Wezmę od

pani tyle, ile wezmę, i nic więcej. Ma pani cięty język, co w swoim czasie może dostarczyć mi trochę rozrywki. Wiem, jak sobie z tym radzić. A zatem w poniedziałek o dziewiątej.

Nim Demelza zdążyła odpowiedzieć, Caroline rzekła:

– W naszej karecie jest miejsce dla dwóch osób. Odwieziemy was do domu. Weźmie pan lektykę, Monk?

– Pójdę na godzinę do klubu White's. Ma pan ochotę mi towarzyszyć, Poldark? Mogę pana wprowadzić jako gościa.

Ross się zawahał, po czym odrzekł dobrodusznie:

– Dziękuję, nie. Raczej nie. Nie jestem na tyle bogaty, by tracić pieniądze, ani na tyle ubogi, by chcieć je zdobyć.

– Cóż za nudna myśl – odparł Adderley. – Znaczenie pieniędzy polega na tym, że powinny być traktowane jako coś nieistotnego.

III

Późnym wieczorem, gdy Demelza już zasypiała, Ross powiedział:

– Uważam, że Adderley przynajmniej w jednym ma rację.

– Słucham? Co masz na myśli?

– Że powinno się patrzeć na pieniądze jak na coś nieistotnego. Teraz, gdy jestem właścicielem kopalni cyny i mam udziały w hucie, zaczynam się za bardzo przyzwyczajać do bogactwa.

– Nigdy nie byłam przywiązana do pieniędzy – odpowiedziała. – Może dlatego, że jestem córką górnika. Może dlatego, że nigdy nie miałam dużo pieniędzy. Wiem tylko, że posiadanie w sakiewce kilku monet czyni mnie szczęśliwą, a ich brak smutną. To wszystko, co wiem.

– Adderley może mieć rację w tej kwestii, jednak myli się we wszystkich pozostałych – ciągnął Ross. – Zwłaszcza jeśli się spodziewa, że będę

spokojnie patrzył, jak próbuje przyprawić mi rogi.

– Naprawdę uważasz, że ma szansę?

Ross nie odpowiedział. Demelza gwałtownie usiadła na łóżku, całkowicie rozbudzona.

– Ross, o czym myślisz?! Nie możesz poważnie podejrzewać... Skoro raz coś się zdarzyło, skoro raz poczułam coś do innego mężczyzny, myślisz, że może się to powtórzyć z pierwszym lepszym? Czy jestem skazana – z powodu Hugh Armitage’a – na wieczne podejrzewanie mnie o to, że zamierzam cię zdradzić z każdym mężczyzną okazującym mi szczególne względy? – Kiedy się nie odezwał, rzuciła podniesionym głosem: – Ross!

– Nie, nie podejrzewam cię o to – odparł spokojnie.

– To się nie powtórzy, z pewnością nie z człowiekiem pokroju kapitana Adderleya.

– W takim razie powinnaś jasno okazać, że to niemożliwe.

– Jak?

– Nie zachęcać go.

– Nie zachęcam go. Muszę być uprzejma.

– Dlaczego?

Z desperacją machnęła dłonią.

– Czasem wystawiasz mnie na ciężkie próby, Ross. Jestem... jestem w Londynie po raz pierwszy w życiu. To dla mnie nowy świat. Jestem twoją żoną, prawdziwą żoną, nie tylko z nazwy, nie tylko w łóżku. Jestem podekscytowana, szczęśliwa, poznaję coś niezwykłego. Podchodzi do mnie dżentelmen i prawi mi komplementy. Jest... jest wykształcony, dobrze wychowany, zasiada w parlamencie. Powinnam go urazić, by ci sprawić przyjemność? Powinnam go spoliczkować, żebyś był zadowolony? Mam siedzieć w kącie i nie odpowiadać na pytania? Nie powinnam w ogóle przyjeżdżać do Londynu!

– Lepiej, żebyś nie przyjeżdżała, niż miałby cię obmacywać. Zna już każdą kość w twojej lewej ręce, od nadgarstka do barku.

Zapadło milczenie.

– Powiedz, co powinnam zrobić – rzekła Demelza. – Chcesz, żebym wróciła do domu?

– Naturalnie, że nie!

– Więc jak powinnam się zachowywać?

– Doskonale wiesz, jak się zachowywać.

– Jesteś niesprawiedliwy! Tak czy inaczej, Adderley nie pogodzi się z odmową – odparła buntowniczym tonem. – Powiedział, że w przyszły poniedziałek zabierze mnie do Vauxhall, gdy będziesz w Izbie Gmin.

– Pojedziesz z nim?

– Oczywiście, że nie pojedę! Wyjdę z domu albo będę niedysponowana. Febra sprawi, że zapał szybko go opuści... Może powinnam namalować sobie na twarzy czerwone plamki i popatrzeć na niego z okna? Ross, niech to nie psuje naszego pobytu w Londynie...

– Nie, nie – odparł i objął ją ramieniem. – Po prostu czasem trudno mi zachować spokój, gdy widzę cię w towarzystwie mężczyzny, który cię obmacuje. W moim umyśle, gdzieś we mnie pojawiają się dawne uczucia, dawne myśli, dawna złość. To wcale nie takie dziwne.

Przytuliła się do męża. Przez długi czas milczała. Już nie była śpiąca.

IV

Nazajutrz rano przyniesiono kosz kwiatów. Ross chciał je wyrzucić, ale Demelza się nie zgodziła. Kwiaty zawsze są interesujące i przyjemne, niezależnie skąd pochodzą, a w bukietach znajdowały się takie, jakich nigdy wcześniej nie widziała.

Spędzili niedzielę z Dwigthem i Caroline, jeżdżąc konno po wiosce Hampstead, a potem zjedli razem obiad i kolację. W poniedziałek rano pojawiły się nowe kwiaty. W poniedziałek o wpół do szóstej Caroline przyjechała po Demelzę i udały się do drugiego teatru królewskiego w Covent Garden. Spektakl zakończył się o dziewiątej. Demelza, czując, że zjadła zbyt wiele, odrzuciła zaproszenie na kolację w Hatton Garden. Tłumaczyła, że spożyje lekki posiłek w domu. Caroline ją odwiozła. Kiedy Demelza zobaczyła światło w salonie, udała się na górę. Wpadła do pokoju, myśląc, że wrócił Ross, i ujrzała wyciągniętego w fotelu Monka Adderleya.

– Och, witam! – powiedział, wstając powoli. – Kazała mi pani czekać, ale to bez znaczenia. Przyjemność jest tym większa.

– Jak pan tu wszedł?

– Frontowymi drzwiami i po schodach, pani. Nie było to trudne. – Pochylił się nad jej dłonią, ona zaś zauważyła bliznę wśród włosów.

– Wpuściła pana pani Parkins?

– Tak. Powiedziałem, że jestem pani bratem. Prosty fortel. – Odsunął skraj rękawiczki Demelzy i przyłożył wargi do nadgarstka. – Jestem zwolennikiem prostych metod. W zeszłym roku zdarzyło się, że chciałem się dostać do apartamentu młodej damy, a na parterze czuwała jak cerber jej stara, groźna matka i sprawdzała, kto wchodzi. Pożyczyłem strój szwaczki i cerber mnie przepuścił, nawet na mnie nie patrząc! Dobrze odegrałem rolę młodej dziewczyny.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Demelza. – Muszę prosić, by pan stąd wyszedł, kapitanie Adderley.

– Wszedł?! Czyżbym panią uraził? Jak pięknie ułożyła pani moje kwiaty!

– To miło z pana strony, że je pan przysłał. – Uklękła i poprawiła ogień, wrzuciła do paleniska dwa kawałki węgla, by mieć trochę czasu do namysłu. – Mimo to nie daje to panu prawa do... do...

– Wchodzenia do pani apartamentu za pomocą fortelu? Och, proszę dać spokój. To jedyny sposób, by spotkać się z panią sam na sam.

– Dlaczego chce pan spotkać się ze mną sam na sam?

– Proszę spojrzeć w lustro, moja droga.

– Jestem... mężatką, kapitanie Adderley.

– O tak. Wiem o tym. – Ciebie rozbawienia w głosie.

– Mój mąż byłby niezadowolony, gdyby tu pana zastał.

– I nie zostanie. Przed domem czeka mój człowiek, który zatrzyma go dostatecznie długo, bym zdążył się wymknąć tylnymi drzwiami. Ale w ciągu najbliższych dwóch godzin to mało prawdopodobne. Głędzą o milicji.

– Proszę odejść. Nie chcę posyłać po panią Parkins.

– Ja też nie chcę, by pani to robiła. Nie możemy przynajmniej przez chwilę porozmawiać?

– O czym?

– Na dowolny temat, jaki pani wybierze. O życiu. Miłości. Literaturze. Opowiem pani o ludziach, których zabiłem.

– W czasie następnego spotkania.

Podszedł do wazy.

– Proszę spojrzeć na te kwiaty. Widzi je pani? Wie pani, jak się nazywają?

– Nie.

– Nazywają się dalie. Dalie. Przywieziono je do Anglii z myślą, by karmić ubogich cebulkami: miały zastąpić ziemniaki. Ich smak nie przypadł do gustu ubogim, więc teraz sprzedają nie cebulki, tylko kwiaty.

Znów zbliżył się do Demelzy, ale się odsunęła.

– Powinna pani zauważyć, że w ogóle nie pachną.

– Zauważyłam.

– Proszę pozwolić mi pomóc zdjąć pani pelerynę.

– Zdejmę ją po pana wyjściu – odparła.

Mrużył oczy.

– Boi się mnie pani?

– Ani trochę.

– Nie lubi mnie pani?

– Nnie...

– Mówi pani odrobinę niepewnym tonem. Boi się pani tego, co mógłbym pani zrobić? Nigdy nie miała pani innego mężczyzny oprócz męża? Nie chce pani zrozumieć bardziej subtelnych tajników miłości?

– Czy pan w ogóle mówi o miłości, kapitanie Adderley?

Wzruszył ramionami.

– Może to pani nazywać, jak pani chce. Z przyjemnością udzielię pani lekcji.

Przez chwilę panowało milczenie. Delikatnie dotknął palcami piersi Demelzy i trzymał je tam przez chwilę. Demelza się odsunęła.

– Widzi pani? – spytał.

Odwróciła się.

– Co widzę?

– Jak szybko pani reaguje.

– Pochlebia pan sobie.

– Doprawdy? Proszę pozwolić mi udowodnić.

Pokręciła głową.

– Jestem... głęboko zakochany – powiedział. – Proszę nie myśleć, że to trywialny kaprys. Jest pani czarującą kobietą.

– Bardzo mi pan pochlebia, ale... – zaczęła.

– Usiądźmy, a ja powiem, dlaczego mnie pani oczarowała.

– Przykro mi.

– Dlaczego jest pani taka surowa?

– Surowa? Bynajmniej! Po prostu nie czuję tego, na czym panu zależy.

– Można to zmienić, zapewniam panią. Znam doskonale remedium, o którym zaraz pani opowiem...

– Nie teraz. Innym razem, sir.

Spoglądali na siebie.

– Ma pani dziwny akcent, na Boga! – rzekł Monk. – Pochodzi pani z Kornwalii?

– Pochodzę z Kornwalii.

– Podoba mi się ten akcent. Krzyczy pani, gdy bierze panią mężczyzna?

Demelza odetchnęła głęboko.

– Za chwilę... za chwilę powie pan, że jestem pruderyjna, więc może od razu powinnam kazać panu oszczędzić sobie trudu...

– Madame, mam ochotę powiedzieć coś, czego nie powinienem mówić...

– Jest pan dżentelmenem?

Zaczerwienił się.

– Tak sędzę. – Po raz pierwszy zauważyła rumieniec na twarzy Adderleya.

– Więc proszę mi wybaczyć. Jak pan słusznie zauważył, pochodzę z Kornwalii i nie rozumiem londyńskich manier. Czy dżentelmen nie powinien wyjść, gdy prosi go o to dama?

Zmrużył oczy.

– Tylko jeśli dżentelmen był w środku.

To rozstrzygnęło sprawę. Demelza podeszła do sznura do dzwonka.

– Uważam tę uwagę za nieco... obraźliwą. Proszę łaskawie wyjść.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, rozważając różne możliwości. Wyjął chusteczkę i dotknął najpierw jednej, a potem drugiej dziurki od nosa.

– Może mógłbym dotrzymywać pani towarzystwa innym razem?

– Bardzo proszę.

Zaśmiał się lekko.

– Na Boga! – zawołał. – Nie boi się pani mnie, tylko swojego męża! Bije

panią?

– Tak, często.

– Kiedy się zmęczy, proszę mu powiedzieć, by po mnie posłał. Dobranoc, pani Poldark.

V

Drugi tydzień spędzony w Londynie nie był dla Poldarków tak przyjemny jak pierwszy. Demelza wspomniała Rossowi o wizycie Adderleya, choć pominęła szczegóły. Lepiej, by dowiedział się od niej, niż przypadkiem coś usłyszał i pomyślał, że żona go zdradza. Ross udzielił reprimendy pani Parkins: w przyszłości pod żadnym pozorem nie wolno nikogo wpuszczać do ich pokoi. Relacje Rossa i Demelzy nie były już takie jak przedtem. Pojawiły się niejasności i nieporozumienia, które w każdej chwili groziły wybuchem awantury.

Odwiedzili Akademię Królewską i Muzeum Brytyjskie, a na początku trzeciego tygodnia zjedli kolację z Boscawenami w ich domu przy Audley Street. Nie była to taka udręka, jakiej Demelza się obawiała, ponieważ zastępująca nieobecną panią Gower matka wicehrabiego, wdowa po wielkim admirale, była pełną życia starą damą.

Kiedy panie odeszły od stołu, dwaj mężczyźni rozmawiali o inwazji wojsk brytyjskich na Holandię. Po pierwszych sukcesach ugrzęzła z powodu trudności z zaopatrzeniem i kunktatorstwa admirałów i generałów, którzy bali się podjąć ryzyko. Lord Falmouth zauważył sucho, że słyszał, iż kapitan Poldark został bankierem, a Ross wyjaśnił, co się wydarzyło.

– Ufam, że nie będzie to kolidować z moimi obowiązkami poselskimi wobec waszej lordowskiej mości.

– Nie... Zresztą przypuszczam, że gdybym wyraził inne zdanie, nie

zwróciłby pan na to uwagi.

– Traktuje mnie pan niesprawiedliwie, milordzie. Wziąłbym pod uwagę wszystko, co pan powie, choć oczywiście...

– Tak, w istocie.

– Ale mam nadzieję, że obecnie istnieje mniej rozbieżności poglądów między waszą lordowską mością a lordem de Dunstanville'em...

Lord Falmouth pociągnął nosem.

– Basset rozpycha się łokciami. Zawsze tak postępował. Jest zbyt aktywny na terenie hrabstwa. W niektórych przypadkach działa w słusznej sprawie, lecz najczęściej załatwia własne interesy. Jednak uważam, że po uzyskaniu tytułu trochę się uspokoił... rozumiem, że w tej chwili to Hawkins jest przyjacielem Warlegganów. O ile dobrze znam sir Christophera, miało to swoją cenę.

– A George Warleggan chętnie ją zapłacił.

– Ciekawe – rzekł Falmouth, strzepując tabakę. – Jeśli prawdą jest to, co mówi pan o Warlegganach, ich próba zaszkodzenia bankowi Pascoe doprowadziła jedynie do tego, że pozycja Pascoe jest silniejsza, a kolejny wróg – czyli pan – stał się jego współnikiem!

– Sądzę, że Harris Pascoe wolałby prowadzić własny bank, niż być współnikiem nowego przedsięwzięcia, jednak to prawda, że Warlegganowie nie odnieśli wielkiego sukcesu. Jeśli chodzi o mnie, nie uważam tego za poważną sprawę, ale, owszem, okoliczności wydają się dość zabawne.

– Będę wspierał ten bank choćby z tego powodu – rzekł Falmouth.

W następny poniedziałek w Izbie Gmin miała się odbyć debata na temat nowego traktatu sojuszniczego z Rosją. Ross nie czuł się zbyt zaangażowany w tę sprawę, ale oczekiwano wystąpień niektórych najślawniejszych mówców. Lord Holland zamierzał zgłosić poprawkę, spodziewano się debaty z udziałem Pitta i Foxa. Ross udał się do

Westminsteru o trzeciej, by zająć dobre miejsce. Posiedzenie rozpoczęło się o czwartej.

W trakcie normalnej procedury parlamentarnej wcześniej omawiano poprawki do niektórych mniej ważnych ustaw i po debacie nad jedną z nich, dotyczącej pomocy dla kalekich żołnierzy i marynarzy, zarządzono głosowanie przez wyjście z sali obrad zamiast zwyczajowego podniesienia rąk. Ross był na tyle zainteresowany ustawą, że chciał ją poprzeć.

Podczas głosowań posłowie głosujący za ustawą albo będący przeciwko niej opuszczali salę, po czym liczone ich, gdy wracali. Oponenci pozostawali na swoich miejscach. Decyzja o tym, która ze stron ma opuścić salę, należała do przewodniczącego Izby Gmin, który zwykle wskazywał stronę wnoszącą ustawę i popierającą ją. Tak było i tym razem, a Ross musiał się zastanowić, czy warto opuścić swoje miejsce.

Na sali obrad znajdowało się zaledwie trzysta miejsc siedzących, choć w Izbie Gmin zasiadało pięćuset pięćdziesięciu ośmiu posłów, toteż przed ważną debatą zwykle trudno było znaleźć wolne miejsce. Istniał zwyczaj, że jeśli poseł opuszcza swoje miejsce, by oddać głos, automatycznie je traci. Z tego powodu uczestnicy obrad często nie głosowali na popierane przez siebie ustawy, by nie tracić miejsc. Czasem głosowanie przez wyjście z sali zarządzano z przyczyn taktycznych, bo przewodniczący zdawał sobie sprawę, że poparcie będzie wtedy mniejsze, niż gdyby posłom kazano podnieść ręce.

W tym przypadku ustawa przeszła po pierwszym czytaniu większością trzynastu głosów, lecz kiedy Ross wrócił na salę, okazało się, że na jego miejscu siedzi kapitan Adderley.

– Ach... – zaczął Ross.

Adderley spojrzał na niego spod przymkniętych powiek.

– Coś pan zgubił, Poldark?

– Tak... straciłem miejsce.

– Niemożliwe, mój drogi. Jak pan doskonale wie, w tej sali nikt nie ma własnego miejsca. Musi pan stanąć z tyłu, prawda?

Gruby, niski mężczyzna siedzący obok Monka zaśmiał się, nie unosząc wzroku.

– Nie ma tu moich rękawiczek? – spytał Ross.

– Pańskich rękawiczek? Powinien pan ich pilnować, Poldark. To nie moja sprawa.

– Zostawiłem je na fotelu. Przyszło mi do głowy, że może pan na nich siedzieć.

– Ja? – spytał Adderley i ziewnął. – Bynajmniej, mój drogi. Nie tknąłbym ich. Nie jestem już zainteresowany pana... pana użytymi rzeczami.

Wokół w dalszym ciągu krążyło wielu posłów, inni wracali i próbowali zajmować miejsca, jakiś człowiek stał i przemawiał – a przynajmniej próbował przemawiać – na temat innej ustawy. Z tego powodu zaledwie kilkanaście osób zauważyło gwałtowny ruch i szamotaninę w tylnej części sali obrad. Ross wyciągnął rękę, chwycił Adderleya za halsztuk, postawił go na nogi, drugą ręką wziął rękawiczki i z hukiem posadził Adderleya na fotelu.

– Spokój! Spokój! – zawołało kilku posłów.

– Bardzo przepraszam, Adderley – rzekł i podał Monkowi kapelusz, który spadł na ziemię. – Byłem pewien, że są tu moje rękawiczki. – Proszę mi wybaczyć, sir – zwrócił się do przewodniczącego Izby Gmin, złożył mu ukłon i wyszedł z sali.

VI

Po niespełna dwóch godzinach na George Street przybył John Craven i dostarczył list następującej treści:

Drogi Poldark!

Obraził mnie Pan w parlamencie w taki sposób, że przeprosiny nie wchodzą w rachubę. Wiem, że jest Pan bezczelnym pyszałkiem, i uważam, że Pański popis odwagi maskuje tchórzostwo. Z tego powodu chciałbym się przekonać, czy słusznie używam tego określenia. Życzę sobie, by spotkał się Pan ze mną w Hyde Parku w środę o szóstej rano. Każdy z nas przywiezie dwa pistolety, po czym rozstrzygniemy nasz spór. List ten dostarczy mój sekundant, John Craven. Chciałbym, by go Pan poinformował, kto będzie Pańskim sekundantem. Pragnę, by to spotkanie zostało utrzymane w absolutnej tajemnicy z powodów, które muszą być dla Pana oczywiste.

*Pozostaję, sir, Pańskim pokornym sługą
Monk Adderley*

Rozdział piąty

I

List nadszedł, gdy Demelzy nie było w domu. Po jej powrocie Ross nic nie powiedział. Wieczorem pojechał porozmawiać z Dwightem.

– Przecież to potworne! – zawołał młody lekarz. – Krótka szarpanina w parlamencie?! Takie rzeczy zdarzają się codziennie! To szalenie! Był ranny w głowę. Zignorowałbym tę sprawę.

– Napisałem już, że przyjmuję wyzwanie.

Dwight popatrzył na Rossa, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Co takiego?!

– Przyjąłem wyzwanie.

– Nie powinieneś tego robić, Ross! Należy to natychmiast zakończyć!

– Wykluczone.

– Przecież... przecież nie ma żadnego rzeczywistego powodu. Burza w szklance wody... Tak czy inaczej, to znany pojedykowiec. Zabił kilku ludzi!

– Ja także.

– W pojedynkach?

– Nie. Ale nieźle strzelam. Wiedzą o tym gawrony, które żerują na moich polach.

– Nie strzelasz do nich z pistoletu, Ross! Kiedy ostatnio strzelałeś z pistoletu?

– Jutro trochę poćwiczę. Wiesz, dlaczego tu przyszedłem? Prosić cię, żebyś był moim sekundantem. Podałem nawet twoje nazwisko, licząc na naszą przyjaźń.

Dwight gryzł rękawiczkę. Spacerowali ulicą przed domem Caroline. Zaczęło padać.

– A zatem? – spytał Ross.

– Dobrze, zostanę twoim sekundantem – rzekł gwałtownie Dwight. – Ponieważ wtedy będę miał prawo się wtrącać. Spróbuję odwołać ten skandaliczny, absurdalny pojedynek.

– Masz niewielkie szanse. Twoja obecność jest korzystna dla obu stron. Jeśli jeden z nas odniesie ranę, nie będzie potrzeby posyłać po chirurga.

Dwight spojrzał na list Adderleya w żółtym świetle jednej z latarni ulicznych.

– Dlaczego tak stanowczo prosi o zachowanie tajemnicy? Wiem, oczywiście...

– Wyjaśnił mi to John Craven. Jeżeli... jeżeli Adderley mnie trafi, nikt nie może się dowiedzieć, że uczestniczył w pojedynku. Gdyby po raz trzeci stanął przed sądem, mógłby spędzić kilka lat w więzieniu.

– I właśnie na to zasługuje! Wielki Boże, przecież to on cię wyzwał! Mamy zaakceptować te warunki?! Nigdy nie słyszałem o czymś równie skandalicznym!

– Warunki mi odpowiadają – odparł Ross. – Jeśli zabiję Adderleya, ja również nie mam ochoty stawać przed sądem. Jeden proces wystarczy.

Dwight spojrzał na smagłą twarz przyjaciela.

– Rozejdą się plotki. Takich rzeczy nie da się ukryć.

– Obaj musimy zaryzykować.

Zatrzymali się przy otwartych drzwiczkach piwnicy, gdzie dwaj podobni do karłów ludzie wyładowywali z wielkiego wozu beczki piwa. Obok znajdował

się stos cegieł, więc przejście wąskim chodnikiem było niemożliwe.

– Demelza wie?

– Nie i nie może się dowiedzieć! Ani Caroline. Na szczęście pojedynek odbędzie się pojutrze. Pamiętaj, Dwight, przysiągłeś, że dochowasz tajemnicy. Nikt nie może się dowiedzieć.

– Proponujesz, żebyśmy jutro pojechali razem do rezydencji Walpole’a w Twickenham, jak uzgodniliśmy?

– Naturalnie. Inaczej wszystko wyjdzie na jaw.

Dwight z rozpaczą pokręcił głową.

– A kiedy poćwiczysz strzelanie z pistoletu?

– Rano w dniu pojedynku. Pojedziemy do Strawberry Hill dopiero o dziesiątej.

– Więc muszę podjąć próbę mediacji, Ross. Na jakich warunkach byłbyś skłonny się wycofać?

– Nie mam z czego się wycofywać, Dwight. Po prostu przyjąłem wyzwanie.

Dwight z irytacją machnął ręką.

– Przyznałbyś, że nie miałeś zamiaru go obrazić na sali obrad?

– Natychmiast złożyłem przeprosiny.

– Słyszał je?

– Powinien.

– Mówiłeś szczerze?

– Nie.

Zawrócili i ruszyli w stronę Hatton Garden i lepszych domów.

– A zatem... Kiedy przyjechałem do Londynu, nigdy nie przypuszczałem, że będę uczestniczył w takiej dziecinnej, okropnej aferze. To naprawdę dziecinne i złe, Ross. Na świecie jest już tyle cierpienia i bólu... Anglia prowadzi wojnę. I tak musimy zabijać; nie trzeba jeszcze walczyć między sobą.

– Powiedz to Adderleyowi. Jeśli cofnie wyzwanie z tego powodu – albo

z jakichkolwiek innych honorowych przyczyn – jestem skłonny zakończyć tę sprawę.

– Mówisz takim tonem, jakbyś naprawdę nie miał na to ochoty – rzekł młody lekarz.

– Znasz mnie dobrze, Dwighcie – odparł po chwili Ross. – Tak czy owak, pozostawiam sprawę w twoich rękach.

II

Nazajutrz rano o dziesiątej Ross, Demelza, Dwight i Caroline wyruszyli do Strawberry Hill. Dwór, wzniesiony przez wielkiego sir Horace’ego Walpole’a, był jednym z miejsc, które Caroline zamierzała obejrzeć. Po wczorajszym chłodnym deszczu znów się wypogodziło. Na zachodzie widać było ławice białych obłoków. Idealny dzień, by uciec od smrodu Londynu, idealny dzień na przejażdżkę konną. Strawberry Hill znajdowało się zaledwie piętnaście kilometrów od stolicy.

Przed odjazdem Ross i Dwight spędzili kilka minut sam na sam.

– Jest jeszcze bardziej nieprzejezdny niż ty, jeśli to w ogóle możliwe – zdążył powiedzieć Enys. – Jego zachowanie można wyjaśnić, bo jest nie zrównoważony, lecz dla ciebie nie ma żadnego wytłumaczenia.

– Co powinienem według ciebie zrobić? – spytał Ross. – Iść do jego mieszkania, zapukać do drzwi, a potem paść na kolana i kornie przeproszać? Przeproszać, że zirytował mnie afront wobec mojej żony?

– Jesteś pewien, że zamierzał ją obrazić?

– Naturalnie. Nie ma wątpliwości.

– Tak czy inaczej, wyzwanie ze strony szaleńca nie ma żadnego znaczenia. Proponuję, byś spotkał się z nim wieczorem i powiedział, że nie interesuje cię jego heroiczna błazenada. Jesteś weteranem wojny w Ameryce. Jeśli nazwie

cię tchórzem, ludzie będą się śmiać – z niego.

Ross się uśmiechnął, lecz nie odpowiedział.

Dotarli do Twickenham w południe. Walpole nie żył od kilku lat, we dworze mieszkała lady Damer, żona wielkiego przyjaciela Walpole'a, generała Conwaya, i podtrzymywała tradycję, by codziennie przyjmować tylko czterech gości.

Ogrody zrobiły na Demelzie ogromne wrażenie. Kwiaty, których nigdy nie widziała, drzewa i krzewy, jakich nawet sobie nie wyobrażała. „Moglibyśmy mieć taką murawę w Namparze, Ross, przynajmniej trochę podobną. Taką gładką, taką zieloną...”. Ross odnosił się do żony cieplej niż w ostatnich czasach i tłumaczył, że na piaszczystych glebach północnego wybrzeża Kornwalii nigdy nie wyrosnie równie bujna trawa jak w środkowej Anglii i że w Twickenham trawę się kosi, gdy ma wysokość dwu i pół centymetrów: robią to chłopcy uczący się zawodu ogrodnika. Demelza odpowiedziała, że po powrocie do Nampany postara się coś zmienić. Powinni mieć coś w rodzaju murawy, a nie tylko kępy trawy oraz dziury wykopane przez króliki i Garricka. Malwy wyglądałyby znacznie lepiej, gdyby posadzić je na dużej, schludnej, zielonej murawie. „Pomyśl tylko, Ross!”. Zauważyła krzew podobny do tego, który dał jej Hugh Armitage – była to magnolia. Natychmiast przypomniała sobie tę nazwę.

Dziwaczny dwór łączący różne style był również bardzo interesujący. W środku znajdowały się prawdziwe skarby: pokój wypełniony włoskimi kameami, inny z tabakierkami i miniaturami, akwarele, obrazy olejne, różańce, brązy, francuskie szkło, brukselskie koronki, porcelanowe figurki z Miśni, chińskie maski, tureckie szable, figurki z kości słoniowej, wachlarze i zegary, a w bibliotece było tyle książek, że policzenie ich wydawało się niemożliwe.

Po obiedzie, w drodze do domu, Demelza zasugerowała, że czasem bogactwo pozwala gromadzić zbyt wiele przedmiotów. Uważała, że

namiętność kolekcjonerska, na przykład do wachlarzy, kości słoniowej lub szkieleł, może być bardzo ekscytująca. Jeśli kogoś na to stać, potrafi stworzyć zbiór złożony z cennych okazów, które ustawia na półkach i ogląda z zadowoleniem. Jednak wydaje się, że sir Horatio, choć dożył zaawansowanego wieku, gromadził swoją kolekcję zbyt pośpiesznie. Jak mógł odczuwać prawdziwą przyjemność? Sześć pięknych przedmiotów zawsze pozostanie sześcioma pięknymi przedmiotami. Sześć tysięcy i człowiek się gubi.

– To trochę tak jak z żonami – zauważył Ross. – Wystarczy jedna.

– Nie wszyscy tak uważają – wtrąciła Caroline. – Słyszałam, że w Indiach jest maharadża, który ma w pałacu tysiąc żon.

– Podobno kobiety były jednym z nielicznych skarbów, których Walpole nie kolekcjonował – powiedział Dwight. – Ale zgadzam się z Demelzą: nawet człowiek obdarzony wyjątkowo wyrafinowanym smakiem może popełniać błędy, jeśli zbyt sobie folguje.

– Jak człowiek obdarzony odwagą? – spytał Ross.

– Właśnie tak.

Kiedy zbliżali się do Londynu, Caroline spytała:

– Dlaczego nie zjecie z nami kolacji? Moja ciotka zawsze każe przygotować mnóstwo jedzenia i potem nie wie, co z nim robić.

– Zastanawiam się, czy znowu nie pojechać do teatru – powiedział Ross. – Zmienił się program. Wystawiają komedię Goldsmitha.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Nie zdążymy wrócić do Londynu – odezwała się Caroline. – Nie mielibyśmy czasu się przebrać.

– Więc idźmy tak, jak stoimy – odparł Ross. – Albo opuśćmy pierwszy akt. Domyślimy się, o co chodzi.

– Idźmy, jak stoimy – rzekła natychmiast Demelza. – Która godzina? O tak,

zdążymy! A potem możemy zjeść razem kolację.

Wszyscy wyrazili zgodę. Konie pozostawiono w stajni gospody na Stanhope Street, po czym Poldarkowie i Enysowie zajęli miejsca w łoży zaledwie pięć minut po podniesieniu kurtyny.

Przez dwie godziny bawili się sztuką. Dwight od czasu do czasu zerkał na Rossa. Wiedział, że Ross, podobnie jak on sam, tylko udaje wesołość. Wyjątkowo dobrze nad sobą panował, a Dwight chwilami się zastanawiał, czy przyjaciel nie popadł w posępny, fatalistyczny nastrój i nie jest gotów całkowicie zaakceptować tego, co przyniesie przyszłość.

Nie zostali na następnych przedstawieniach, ale zdążyli jeszcze usłyszeć orkiestrę grającą piosenkę: „Ciało złożyłam w ofierze wymogom współczesnej mody. Dziś oczom własnym nie wierzę. Wyglądam jak Hoddy-Doddy”. Demelza nucila ją miłym, nieco ochrypłym głosem. O dziewiątej dotarli do Hatton Garden.

Nie zastali pani Pelham, więc zjedli kolację sami. Niedawno ogłoszono, że sesje Izby Gmin i Izby Lordów zakończą się wcześniej i że obrady prawdopodobnie zostaną wznowione dopiero w trzecim tygodniu stycznia. Demelza, ciągle w doskonałym nastroju po wizycie w teatrze, natychmiast pomyślała o Bożym Narodzeniu. W zeszłym roku święta okazały się tak udane, że chciała to powtórzyć. Caroline zauważyła, że próby powtarzania czegokolwiek zawsze są błędem, a zresztą tym razem Demelza nie ma szans na urządzenie takich samych świąt, bo ona, Caroline, zamierza w tym roku spędzić Boże Narodzenie w Kornwalii, więc wszystko się zmieni. Demelza odpowiedziała, że w takim razie będzie jeszcze lepiej. Caroline nie zgodziła się z tą opinią. Oznajmiła, że choć prywatnie trochę ją to niepokoi, zamierza zaprosić do Killewarren wszystkich Poldarków, których zdoła zgromadzić, w tym Blameyów, niezależnie od tego, ilu z nich akurat przebywa na lądzie. Słyszała, że James Blamey to niezwykle przystojny młody człowiek, i ma

nadzieję go poznać. Jeśli chodzi o dzieci, cóż, Killewarren jest większe od Nampary, więc tupot dziecięcych stóp nie będzie nikomu przeszkadzał, nawet jeśli nie są to stopy Sarah.

W czasie kolacji panował wesoły, lekko ironiczny nastrój. Potem pojawiła się pani Pelham wraz z trojgiem gości. Pierwszego z nich, wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w wieku czterdziestu lat, St Andrew St Johna, pani Pelham przedstawiła jako swojego „bliskiego przyjaciela”. Był to poseł do Izby Gmin, zagorzały zwolennik Foxa, kawaler, właściciel ziemski, dawny podsekretarz stanu do spraw zagranicznych w rządzie Foxa. Miał wówczas zaledwie dwadzieścia cztery lata. Później stracił stanowisko wraz ze swoim protektorem, lecz uczestniczył w życiu towarzyskim Londynu i, jak się wydawało, szczególnie adorował panią Pelham. Drugim gościem był Edward Coke z Longford w Derbyshire, mniej więcej w tym samym wieku, który nie odznaczył się niczym w Izbie Gmin, ale lubił komentować działania parlamentu. Trzecim gościem był bogaty, zgorzkniały stary kawaler, niejaki Jeremiah Crutchley, poseł z St Mawes i dawny przyjaciel Samuela Johnsona.

Do stołu przysunięto więcej krzeseł, wokół biegali służący z serwetkami, kieliszkami i butelkami wina. Goście zaczęli rozmawiać. Nagle Ross usłyszał, jak St Andrew St John szepce coś do Dwighta, po czym natychmiast poprosił:

– Czy mógłby pan powtórzyć to, co pan powiedział, sir?

– Moim zdaniem kolacja to pora na *bavarderie*, a nie poważne rozmowy – odparł St John. – Wspomniałem pana przyjacielowi, że generał Bonaparte prześlizgnął się przez blokadę i dotarł do Francji. Tak przynajmniej mówią.

– Kiedy?

– Na początku tego miesiąca – wtrącił Coke. – Podobno ten wielki człowiek spędził półtora miesiąca na morzu i o mało nie dostał się do niewoli! Fox zastanawia się, czy nie wysłać mu listu z gratulacjami!

Zapadło milczenie. Ross ugryzł się w język.

– Teraz, po śmierci Hoche’a, został tylko Bonaparte – rzekł po chwili. – Żołnierze francuscy z pewnością uważają go za zbawcę.

– Co jest bardzo wątpliwe – wtrącił Crutchley, który, podobnie jak Ross, wspierał Pitta i wysiłki na rzecz wojny. – Kiedy znajdował się w pułapce w Egipcie, wszystkie jego podboje w Europie były stracone. Teraz, gdy zdobyliśmy przyczółek w Holandii, wkrótce dołączy do nas Rosja. Prawie wszystkie francuskie posiadłości zamorskie są w naszych rękach: Cejlon, całe południowe Indie, Przylądek Dobrej Nadziei, Minorka, Trynidad. Ten tak zwany zbawca może co najwyżej zebrać pokonane armie i prosić o pokój.

– Nasze wysiłki zaprzepaszczono pod Helder – zauważył z wyraźną satysfakcją Cole. – Wystarczyłoby więcej determinacji, a bylibyśmy panami całej Holandii.

– Gdyby w zeszłym tygodniu nie zmuszono Abercrombiego do użycia niewyszkolonej milicji...

– Panowie, St John ma rację – przerwała Caroline. – Przy kolacji należy rozmawiać na lekkie tematy, niezależnie od ciężaru półmisków. A co z *soirée*? Czy wieczór był interesujący?

III

Zostali do późna: pili, śmiali się i rozmawiali. Spędzili cały dzień na powietrzu i oczy Demelzy kleiły się ze zmęczenia na długo przed ostatnimi pożegnaniem. W końcu wynajęli dwie lektyki i kazali się zanieść do domu. Ross zwlekał z wyjściem, a Demelza nie zdawała sobie sprawy, że robi to celowo, aby była zmęczona i spała do późna.

Kiedy wreszcie położyła się do łóżka, mówiła przez chwilę o ogrodach Strawberry Hill i fascynujących roślinach, które tam widziała. Miała wrażenie, że nikt w Kornwalii nie zaczął jeszcze tworzyć takich ogrodów.

W Tregothnan istniał niewielki konwencjonalny ogród, a we dworach takich jak Tehidy i Trelissick powstały piękne parki krajobrazowe. Były one jednak niewielkie, obejmowały zaledwie kilka hektarów. W Strawberry Hill Demelza widziała wspaniałe drzewa o najrozmaitszych kształtach, rozmiarach i kolorach, złociste krzewy, przyszywane żywopłoty, a między nimi mnóstwo kwitnących roślin. Skąd się bierze takie drzewa i krzewy? Czy trzeba je sprowadzać z Indii, Australii i Ameryki? Ross czasem potwierdzał, czasem zaprzeczał, mówił, że nie ma pojęcia, że można się dowiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że powinien ostrzec Demelzę, że nawet jedna czwarta wymarzonych roślin nie wytrzyma piaszczystej gleby i niosących sól wiatrów północnego wybrzeża Kornwalii, lecz w tej chwili nie miał serca. Cekał, aż żona zaśnie, po czym cicho się rozebrał i wślizgnął do łóżka obok niej. Leżał przez długi czas z rękami pod głową, spoglądając na sufit.

Poprosił, by obudzono go o piątej. Wstał przy świetle zasłoniętej świecy i uczesał włosy. Za oknami w dalszym ciągu panował kompletny mrok; sądził, że o szóstej będzie tak samo. Pewnie po zakończeniu wstępnych formalności zacznie świtać. Przeciwnik powinien być widoczny.

Jeszcze nigdy nie uczestniczył w pojedynku, lecz w Nowym Jorku był sekundantem zaprzyjaźnionego oficera, który pokłócił się z porucznikiem innego regimentu. Pojedynkowali się na polach za obozem. Obaj odnieśli poważne rany. Nawet wtedy, gdy miał zaledwie dwadzieścia dwa lata i patrzył na świat bardziej romantycznie, uważał formalną procedurę pojedynku za napuszony, staroświecki sposób rozstrzygania sporów. W owym czasie w obozie odbywał się przeciętnie jeden pojedynek tygodniowo i często ginęli dobrzy oficerowie. Ross wiedział, że choć pojedynków zakazały zarówno władze cywilne, jak i wojskowe, ich częstotliwość prawie się nie zmniejszyła.

Nierzadko przyczyną były trywialne sprzeczki, źle zrozumiane żarty. Dwight się mylił, gdy przypuszczał, że scysja Rossa z Adderleyem jest zbyt banalna,

by stać się powodem pojedynku. W marcu zeszłego roku, kiedy przebywał w Londynie, w hotelu Stephensona na Bond Street doszło do kłótni. Wicehrabia Falkland pił z kilkoma przyjaciółmi, między innymi niejakim Powellem, i Falkland spytał po prostu: „Znowu się upiłeś, Pogey?”, na co Powell odpowiedział ostrym tonem i Falkland uderzył go laską. Doszło do pojedynku i Falkland, mężczyzna w wieku czterdziestu jeden lat, zmarł wskutek postrzału. Właśnie tak wyglądały podobne historie, jednak Ross nie przypuszczał, że sam stanie się bohaterem jednej z nich.

Wiele lat wcześniej sporządził testament, zdeponowany u Pearce’a – w tej chwili dokument prawdopodobnie znajdował się u jakiegoś prawnika, który przejął pozostałości interesów notariusza i wywiózł w pudłach jego rzeczy. Ross zrobił to przed narodzinami swoich dzieci, gdy miał stanąć przed sądem w Bodmin i mógł zostać skazany na karę śmierci. Uważał, że powinien uporządkować swoje sprawy. Znał kilku Kornwalijszczyków, którzy sporządzali nowy testament przed każdym wyjazdem do Londynu.

Cóż, teraz jest za późno. Wszystko rozstrzygnie się za niespełną godzinę. Za kwadrans szósta usłyszał stukot kopyt. Większość lamp na wąskiej, stromej uliczce zgasła, gdyż skończył się w nich rybi olej, lecz w świetle pozostałych ukazał się Dwight. Mimo swoich gniewnych protestów nie spóźnił się na pojedynek.

Ross zerknął na śpiącą żonę. Jej twarz była w połowie zasłonięta i postanowił jej nie dotykać, bo miała lekki sen. Włożył pelerynę i kapelusz, ruszył na palcach do drzwi, które nieprzyjemnie zaskrzypiały, po czym zszedł po schodach ze skwierczącą świecą w ręku. Przy drzwiach frontowych zdmuchnął świecę, postawił ją na półce i wyszedł na ulicę.

Powietrze było zimne, siąpiła mżawka. Ross wsiadł na luzaka przyprawionego przez Dwighta i popatrzył na przyjaciela.

– Miałeś jakieś problemy?

– Jedyne problem polega na tym, że nie mogę uwierzyć, że rozsądny człowiek taki jak ty, mój najlepszy, stary przyjaciel, może uczestniczyć w takim szaleństwie i do końca trwać w uporze.

– Jeśli szybko się nie rozwidni, ptaki na drzewach będą zagrożone – odpowiedział Ross. – Może powinniśmy trzymać w drugiej ręce pochodnie?

– Ten pojedynek jest całkowicie niezgodny nawet z absurdalnymi zasadami, jakie są w tej chwili przestrzegane. Adderley cię wyzwiał, więc powinieneś mieć wybór broni. Zaakceptowałeś jego warunki, nawet nie pytając mnie o zdanie.

– Warunki mi odpowiadają. Nigdy nie walczyłem szpadą, z wyjątkiem ćwiczeń w pułku siedemnaście lat temu. W przypadku pistoletów mam przynajmniej pojęcie, co się dzieje, kiedy naciskam spust.

– Ćwiczyłeś wczoraj rano?

– Tak, z sierżantem w ogrodzie kaplicy Savoy. Ale jego główna rada brzmiała następująco: „Niech pan uważa, jak pan ładuje pistolet, sir: za duży ładunek prochu wywołuje zbyt wielki odrzut, a nadmierna prędkość kuli sprawia, że strzał nie jest celny. Prawie zawsze lepiej użyć za mało prochu, sir”. Ty będziesz ładował pistolety, nie ja, więc przekazuję ci tę perłę mądrości.

Skręcili i pojechali pod górę. Podążyli ulicą Strand i Hay Market do Piccadilly, a stamtąd do Hyde Park Corner. W okolicy wciąż kręciły się podejrzane indywidua, szukające ofiar, które mogłyby napaść lub pozbawić sakiewek. Kiedy konie skręciły w Tyburn Lane, nocny strażnik zadzwonił i zawołał: „Szósta wybiła, wszędzie spokój!”. Był to ostatni okrzyk strażników przed zejściem ze służby. Chociaż w Hyde Parku było bezwietrznie, z drzew opadały liście jak na scenie teatru. Deszcz przed chwilą ustał. Kiedy dotarli do polany, nie zauważyli nikogo w słabym świetle i siedzieli przez pięć minut, patrząc na parę buchającą z nozdrzy koni. Dwight miał przez chwilę nadzieję,

że Adderley zrezygnował, jednak po chwili rozległ się stukot podków i prychnanie nerwowego rumaka, po czym z półmroku wyłoniły się dwie postacie.

– Na Boga, myślałem, że uciekł pan do Kornwalii! – rzucił Monk, prosty jak struna.

– Na Boga, ja z kolei myślałem, że zamierza się pan powołać na przywilej kleryka! – odparł Ross.

Nie był to dobry wstęp do próby załagodzenia sporu, ale kiedy pojechali dalej między drzewa, Dwight wziął na stronę Cravena, zsiadli z koni i odbyli krótką rozmowę. Tymczasem Ross spacerował tam i z powrotem po polanie. Splótł dłonie za plecami, głęboko oddychał rześkim porannym powietrzem i słuchał sennego ćwierkania budzących się ptaków. Adderley stał w całkowitym bezruchu. Przypominał jedno z cienkich jak ołówki drzew, które poprzedniego dnia podziwiała Demelza.

Na niebie od strony Londynu pojawiła się słaba łuna. Powietrze było czyste, bez smrodów miasta. Pod stopami Rossa szeleściły liście. Podszedł do niego Dwight. Jego twarz wydawała się dziwnie wychudzona.

– Zgadzamy się z Cravenem, że za dwadzieścia minut będzie odpowiednie światło. Jest jeszcze trochę czasu, by się pogodzić.

– Nie chcę się godzić – odparł Ross.

– Niech to diabli porwą! – zawołał Dwight, który rzadko kłął. – Czy żaden z was nie ma ani odrobiny rozsądku?! Rozlew krwi niczego nie rozwiąże!

– Przejdźmy się – rzekł Ross. – Rankiem panuje chłód, a ręka jest pewna, gdy krąży w niej ciepła krew.

Chodzili między drzewami, sto metrów w jedną stronę, sto metrów w drugą.

– Nie dramatyzujmy, Dwight. Jeśli się okaże, że Adderley jest lepszym strzelcem, ty i Caroline, jako nasi najbliżsi przyjaciele, będziecie ponosić

odpowiedzialność za przyszłość mieszkańców Nampary.

– Oczywiście.

– Nie ma nic na piśmie. Wszystko opiera się na zaufaniu.

– Rozumiem.

Czas płynął powoli. Ross przypomniał sobie opowieść, którą kiedyś słyszał. Jej bohaterami było dwóch mężczyzn, którzy wyzwali się na pojedynek i przypadkiem spotkali się na kolacji w liczonym towarzystwie. Zjedli posiłek, spędzili miły wieczór, po czym jednocześnie wyszli na dwór o pierwszej w nocy. Każdy pojechał własną kareta na miejsce spotkania i czekał w ciemności do szóstej rano. W końcu wyszli z powozów, stanęli do pojedynku i obaj zginęli.

Drzewa stawały się widoczne i w dali ukazały się kontury budynków. Kiedy deszcz ustał, na szczęście się rozchmurzyło i na niebie rozbłysło słońce.

– Chodź, już czas – powiedział Dwight.

Rozdział szósty

I

Przybyli razem na miejsce. Gdy oglądano i nabijano pistolety, Dwight podjął ostatnią próbę załagodzenia sporu.

– Kapitanie Adderley, z pewnością przyzna pan, że kapitan Poldark przeprosił za krótkotrwałą utratę panowania nad sobą. Postąpił jak dżentelmen i pan również postąpiłby jak dżentelmen, gdyby w tej chwili przyjął pan przeprosiny. Dlaczego nie mieliby panowie uścisnąć sobie rąk i wrócić do domu na smaczne śniadanie? Nikt oprócz panów nie wie o tym spotkaniu. Jest utrzymywane w tajemnicy na panów życzenie. Z tego powodu nie ma potrzeby troszczyć się o opinię innych. Można potraktować ten incydent jako drobną sprzeczkę, która nie jest warta rozlewu krwi. Nic na tym panowie nie tracą, a mogą dużo zyskać.

Diaboliczna twarz Adderleya wyglądała, jakby spędził całe życie w mroku.

– Jeśli kapitan Poldark ponownie mnie przeprosi i zobowiąże się przesłać mi pisemne przeprosiny sformułowane w odpowiedni sposób, mógłbym rozważyć tę propozycję. Gdyby się na to zdecydował, miałbym o nim niskie mniemanie.

Dwight spojrzał na Rossa.

– Żałuję tylko, że w ogóle pana przeprosiłem – odparł Poldark.

Dwight z desperacją machnął ręką, a Craven powiedział:

– Chodźcie, panowie, marnujemy czas. Powinniśmy skończyć przed

wschodem słońca.

– Jedna sprawa – rzekł Adderley. – Rozumiem, że pana sekundant oddał mojemu list z wyzwaniem?

– Tak. Prosił pan o to.

– A mój sekundant zwrócił pana sekundantowi moją odpowiedź. Nie ma zatem dowodów na to, że mamy stoczyć pojedynek, z wyjątkiem obecności tych dwóch dżentelmenów, którzy przysięgli, że dochowają tajemnicy. Strzały z pistoletów mogą wzbudzić zainteresowanie nawet o tak wczesnej porze, więc jeśli pana zabiję albo zranię, nie będę tracił czasu na oglądanie pańskich ran, tylko wsiądę na konia i jak najszybciej odjadę. Gdyby jakimś trafem spotkało to mnie, zgadzam się, by zrobił pan to samo. Ranny padł ofiarą rozbójników.

– Zgoda – rzekł Ross.

– Byłbym wściekły, gdybym trafił do więzienia za przelanie pańskiej krwi, mój drogi – dodał Adderley.

Stanęli odwrócenii do siebie plecami. Obaj byli wysocy, podobnego wzrostu, lecz Ross miał grubsze kości. Obaj trzymali w rękach dwa pistolety gotowe do strzału. Za duży ładunek prochu wywołuje zbyt wielki odrzut, a nadmierna prędkość kuli sprawia, że strzał nie jest celny. Czy to strach? Niezupełnie. Gotowość do przemocy, zniszczenia czegoś, co jest częścią innego człowieka i samego siebie. Strzelić. Strzelić. Wyobraźnia znika, podobnie strach. Ciało jest mniej ważne od woli i charakteru. Człowiek stawia na jedną kartę całe swoje życie. Serce wali jak młotem, lecz dłonie są spokojne, spojrzenie czyste. Zmysły rejestrują bodźce wyjątkowo ostro, woń dymu, daleki dźwięk dzwonu.

– Czternaście kroków – rzekł Craven. – Będę liczył. Ruszajcie. Jeden, dwa, trzy...

Szli powoli, bo odliczano powoli.

– ...trzyście, czternaście. Zwrot. Cel. Pal!

Strzelili jednocześnie i wydawało się, że obaj spudłowali. Światło w dalszym ciągu nie było zbyt dobre. Ross usłyszał gwizd przelatującej kuli.

– Wystarczy! – rzekł Dwight, robiąc krok do przodu.

Adderley rzucił na ziemię pistolet, z którego strzelił. Przełożył do prawej dłoni drugi i uniósł rękę. Widząc to, Ross zrobił to samo. Kiedy nacisnął spust, pistolet wyleciał mu z dłoni i Ross poczuł przeszywający ból w przedramieniu. Zgiął się wpół, chwytając się za ramię, po czym zobaczył przez dym, że Adderley leży na ziemi.

Spomiędzy palców Rossa tryskały strumienie krwi. Obok niego stał Dwight, próbując oderwać resztę podartego rękawa.

– Adderley... – jęknął Ross. – Lepiej idź i zobacz.

– Za chwilę... Muszę zatamować krwotok...

– Doktorze Enys! – Craven szarpnął Dwighta za rękaw. – Kapitan Adderley jest ciężko ranny!

– Idź... – rzekł Ross, gdy młody lekarz się zawahał.

– Jak najszybciej obwiąż sobie czymś biceps – powiedział Enys. – Inaczej wykrwawisz się na śmierć.

Ross usiadł na kamieniu i próbował oderwać kawałek koszuli, nie mógł jej podrzeć. W końcu został mu w ręku kawałek koronki, cienki, ale mocny. Owinął sobie rękę pod bicepsem. Nie był w stanie zawiązać opaski, więc po prostu nią kręcił, aż stała się bardzo ciasna. Musiał ją trzymać. Jego przedramię było zalane krwią. Nie wiedział, czy kula strzaskała kość, lecz stracił czucie w palcach. Drzewa poruszały się dziwnie i z całych sił starał się nie przewrócić na wilgotne, zwiędłe liście.

Widział trzech mężczyzn stojących obok siebie – znajdowali się nie dalej niż trzydzieści kroków. Trafił za pierwszym razem czy za drugim? A jeśli tak, jak dobrze (lub źle) celował? Zacisnął zęby, wstał. Rana w dalszym ciągu

krwawiła, ale krew już nie tryskała. Kiedy odniósł dwie rany w Ameryce, nie stracił tyle krwi. Ruszył naprzód.

Szedł jak w czasie pojedynku, tylko droga wydawała się dwa razy dłuższa. Bardzo długa. Dwadzieścia osiem kroków. Adderley się poruszał. To dobrze. Żył. Żył. Kiedy Ross się zbliżył, John Craven nagle oderwał się od dwóch pozostałych mężczyzn i pobiegł między drzewami w stronę bramy parku.

Dwight otworzył torbę, przeciął surdut, koszulę i kamizelkę Adderleya, trzymając w ręku opatrunek z gazy. Wyglądało na to, że rana znajduje się w dolnej części brzucha albo w górnej części prawej nogi. Ross podszedł chwiejnie do lekarza.

Adderley zamrugął.

– Przekłete pistolety... – mruknął. – Niezbyt... celne. O mało nie spudłowałem... mój drogi.

– Dokąd poszedł Craven? – spytał Ross.

– Po lektykę – odpowiedział Dwight.

– Nie wziął konia.

– Uznał, że tak będzie szybciej. Koło rogatek zwykle czekają lektyki. Usiądź, jeśli możesz. Przyłóż lewą ręką ten opatrunek do podbrzusza Adderleya. Obandażuję ci ramię.

– Sam przytrzymam opatrunek – odezwał się Adderley. – Niech się pan stąd zabiera, Poldark. Dopóki można. Umówiliśmy się.

– Poczekam na lektykę – powiedział Ross.

– Przekłety głupiec... – wystękał Adderley. – Wiedziałem. Szkoda, że pana nie zabiłem. Głupców trzeba likwidować...

Ross ukucnął na trawie i przyciskał opatrunek do podbrzusza Monka, a tymczasem Dwight obwiązał mu ramię. Zrobił to szybko i sprawnie. Po kilku minutach mógł rozluźnić założoną przez siebie opaskę z koronki.

– Dasz radę wrócić konno do domu? – spytał.

- Tak przypuszczam.
- Więc jedź. Craven może wrócić w towarzystwie strażników miejskich.
- Zastrzel go, jeśli to zrobi – powiedział Adderley.
- Może nie mieć wyboru.
- Zaczekam, aż przyniosą lektykę – powtórzył uparcie Ross.

Szczytów drzew dotknęły pierwsze promienie słońca. Spłowiałe liście, ciągle wilgotne, zabarwiły się na miedziany kolor. Monk był teraz półprzytomny. Ross spojrział pytająco na Dwighta. Młody lekarz zrobił nieokreślony gest.

Czekali.

Z drzew przez cały czas spadały liście, lądując na trzech milczących mężczyznach. Zdyszani tragarze postawili lektykę na ziemi i z wielkim trudem umieścili w niej Adderleya. Wydawało się, że stracił przytomność.

– Pójdę z lektyką, panie Craven – powiedział Dwight. – Proszę pomóc kapitanowi Poldarkowi zająć miejsce w siodle, a później przyprowadzić pozostałe konie.

– Chyba z wami pojedę – rzekł Ross.

– Nie – odparł Craven. – Walka była uczciwa, przestrzegali panowie zasad, więc niech pan w dalszym ciągu ich przestrzega. Radzę panu pojechać do domu i posłać po innego lekarza.

Kiedy tragarze ruszyli z lektyką, Craven pomógł Rossowi wsiąść na konia. Zraniona ręka wisiała na prowizorycznym temblaku. Chwycił wodze drugą ręką i obrócił konia. Czekąca go długa, uciążliwa jazda na George Street.

II

Przed dziewiątą pojawił się Dwight. Ross leżał w łóżku pozbawiony opieki, bo nie chciał wzywać innego lekarza. Demelza robiła, co mogła. Wydawała

się chora. Dwight nigdy nie widział jej w takim stanie od czasu, gdy o mało nie umarła na krup.

– Co z Adderleyem? – spytał Ross i zacisnął zęby, gdy Dwight przecinał bandaż.

– Wyjąłem kulę, która utkwiała w okolicy pachwiny. Ołów to czysty metal, zachowałem wszelkie możliwe środki ostrożności.

Dwight w milczeniu obejrzał ranę.

– No i co?

– Mogło być gorzej. Kula odłupała kawałek kości promieniowej. Kość łokciowa jest cała.

– Nie mam pojęcia, czy trafiłem go pierwszym, czy drugim strzałem.

– Drugim. Trafienie w rękę sprawiło, że opuściłeś lufę. Masz miskę, Demelzo?

– Proszę.

– Większą. I brandy. Będzie to bardziej bolesne, niż powinno, bo gdybym zrobił to natychmiast, ramię byłoby w dalszym ciągu pozbawione czucia.

– Nie chcę brandy – odparł Ross. – Po prostu czyn swoją powinność.

Dwight czynił swoją powinność. Ranna obficie krwawiła, po chwili zobaczył krawędź odłupanej kości. Ross oblał się potem, chwycił poręcz łóżka z taką siłą, że się zgięła. Twarz zapłakanej Demelzy również pokrywały krople potu. Po chwili znów zabandażowano ramię. Demelza, chcąc utrzymać wszystko w tajemnicy, sama wyniosła miski z zakrwawioną wodą, a Dwight zamknął torbę. Później wszyscy napili się brandy. Zapadło długie milczenie, którego nie zakłócały z rzadka wypowiedane słowa. Wszyscy pograżyli się we własnych myślach: ironicznym, gorzkim, niespokojnym, skupionym na wspomnieniach. Londyn całkowicie się obudził, wśród zwykłych odgłosów dobiegających z ulicy rozległo się muczenie krowy. Na piętrze krzątały się dwie pokojówki: słyhać było ich kroki.

W końcu Dwight spróbował rozładować nieprzyjemną atmosferę.

– Słyszałeś kiedyś o człowieku o nazwisku Davy?

Ross uniósł wzrok.

– O kim?

– Nazywa się Davy. Zdaje się, Humphrey Davy.

– Nie. – Ross z wysiłkiem starał się skupić. – Kto to?

– Młody Kornwalijczyk pracujący w laboratorium w Bristolu. Twierdzi, że odkrył – albo wynalazł – nowy gaz o nazwie tlenek azotu, którego wdychanie wywołuje omdlenie. Nie ma jeszcze dwudziestu dwóch lat, ale już opublikował swoje odkrycie. Utrzymuje, że skoro gaz powoduje niewrażliwość na ból, prawdopodobnie może być wykorzystywany w czasie operacji chirurgicznych. Przydałoby się nam trochę tlenu azotu.

– Ja też żałuję, że go nie mamy – zgodził się Ross.

Dwight wstał.

– Nawet jeśli twierdzenia Davy’ego się potwierdzą, miną lata, nim lekarze przetestują jego gaz. Przedstawiciele mojej profesji są bardzo konserwatywni.

Znów zapadło ciężkie milczenie.

– Czy ból zelżał? – spytała Demelza.

– Trochę – odparł Ross. – Wiesz, zastanawiałem się nad sytuacją. Adderley mógł chcieć utrzymać pojedynek w tajemnicy, lecz teraz, gdy obaj jesteśmy ranni, prawdopodobnie wszystko wyjdzie na jaw.

Demelza spojrzała na Rossa, jego ściągniętą twarz, krew sączącą się spod nowego bandaża, i pomyślała: Nigdy mu tego nie wybaczę.

III

Zastanawiała się nad tym przez następne dni. Pojedynek wydawał jej się bluźnierstwem przeciwko życiu, strasliwym ryzykiem w imię czegoś

nieistotnego. Ukazał nową, mroczną stronę Rossa, której w ogóle nie znała. Okazał się człowiekiem przywiązany do głupich tradycji swojej sfery, choć z pozoru wydawał się dostatecznie rozumny, by je odrzucić.

Przez kilka dni był tak zamyślony i chory, że nie potrafiła się zdobyć, by z nim porozmawiać. Jediną osobą, przed którą mogła otworzyć serce, była Caroline.

– Sama byłam zdziwiona, a jednak, kiedy teraz na to patrzę, nie jestem już taka zdziwiona. To przeznaczenie – powiedziała.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Caroline nie wyjaśniła dokładnie, o co jej chodziło.

– Monk Adderley jest wojownikiem. Będzie taki przez całe życie. To nieszczęście, że sprowokował Rossa.

Demelza zmarszczyła ciemne brwi. Na jej twarzy malował się ból.

– Wcale nie o to ci chodziło, Caroline. Mnie też nie o to chodzi. Rzekomo chodzi o honor, satysfakcję. Czym jest honor?

– To kodeks postępowania. Ma długą tradycję. Ross straciłby szacunek, gdyby nie stanął do walki.

– Szacunek? Czyj szacunek? Nie mój. Co jeszcze mógłby stracić? Co się naprawdę liczy? Życie? Zdrowie? Żona, dzieci, dom, kariera? Czy to nie ważniejsze od szacunku?

– Tacy są mężczyźni.

– Nie chcę, żeby tacy byli! Cztery lata temu Ross narażał życie, by uwolnić Dwighta z więzienia we Francji. Wtedy postąpił honorowo. Teraz to dyshonor!

Caroline spojrzała na przyjaciółkę.

– Traktuj go łagodnie, Demelzo. Znasz go lepiej ode mnie, ale jeśli dobrze go rozumiem, będzie miał do siebie pretensje, że uczestniczył w tym pojedynku.

– Powinien mieć do siebie pretensje! Caroline, uważam, że to przede

wszystkim moja wina.

– Twoja?!

– Ponoszę za to odpowiedzialność. Poszło o mnie. Pokłócili się o mnie.

Wiesz o tym, prawda?

– Wiem, że częściowo poszło o ciebie, ale nie wierzę, że pojedynkowali się tylko z tego powodu. Ross i Monk nie znosili się od chwili, gdy się poznali. To instynktowna niechęć, a nie tylko kwestia zachowań.

Demelza wstała.

– Zachowywałam się niewłaściwie?

– Niczego takiego nie zauważyłam.

– Zrozum, byłam szczęśliwa. Ross i ja byliśmy tak szczęśliwi, nim pojawił się Hugh. Byłam podekscytowana, nowe towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Może zachowywałam się wobec Monka Adderleya swobodniej, niż powinnam? Może zachowywałam się zbyt swobodnie jak na londyńskie towarzystwo? Może moje zachowanie – zawsze tak jest – zanadto zachęca mężczyzn, nawet w Kornwalii? Taka się urodziłam. Oczywiście przez te wszystkie lata wiele się nauczyłam, ale może za mało. Ross nie powinien mnie zabierać do Londynu!

– Moja droga, nie powinnaś wyciągać ogólnych wniosków z jednego niefortunnego incydentu. Mogłabyś przyjechać do Londynu dwadzieścia razy i nic takiego by się nie wydarzyło! Ciesz się, że nie stało się nic gorszego. Jeden z nich mógł zginąć albo nawet obaj.

– Bez przerwy o tym myślę – odpowiedziała Demelza.

Niedługo później Monk Adderley zmarł.

IV

Trzeciego dnia Ross przestał gorączkować. Zamierzał wstać i wbrew radom

Demelzy odwiedzić przeciwnika, gdy przybył John Craven z wiadomością.

Ross spoglądał na niego w ponurym milczeniu, oparłszy głowę na poduszce. Demelza, która stała pod oknem, ugryzła się w wierzch dłoni.

– Przed dwoma godzinami odwiedził go jego prywatny lekarz, a wczoraj wieczorem doktor Enys, lecz nie dało się nic zrobić – powiedział Craven. – Doktor Enys stwierdził, że doszło do zatoru naczyń krwionośnych.

– Kiedy?

– Dziś rano – odparł Craven. Pogładził dłonią rękaw schludnego surduta, spojrzął na Demelzę, po czym odwrócił wzrok. – Przyjechałem przekazać panu tę informację zgodnie z życzeniem Monka. I ostrzec pana.

– Tak, rozumiem.

– Monk złożył oświadczenie, że ćwiczył w parku strzelanie z pistoletu i jeden z nich przypadkowo wypalił, po czym kula trafiła go w podbrzusze. Potwierdzę to.

– Dziękuję, panie Craven.

– Proszę mi nie dziękować, kapitanie Poldark. Kłamstwo budzi we mnie niesmak i mam wrażenie, że nie postępuję honorowo.

– Więc niech pan nie kłamie.

– Przed pojedynkiem doktor Enys i ja złożyliśmy przysięgę. Jak się okazało, musimy się posunąć dalej, niż oczekiwaliśmy. To nie pana wina, tylko kwestia okoliczności.

– W takim razie zwalniam pana z przysięgi.

– Ross...

Craven znów spojrzął na Demelzę.

– Proszę się nie obawiać, madame. W moim przekonaniu pani mąż nie jest w stanie nas zwolnić z przysięgi, nawet gdyby chciał. Człowiek, który mógłby to zrobić, nie żyje.

Nikt się nie odezwał.

– Kapitan Adderley prosił, bym panu przekazał – w tej chwili jedynie powtarzam jego słowa, sir – że postąpił pan jak przeklęty głupiec, pozostając w parku do przybycia lektykarzy. W wyniku tej decyzji dwóch świadków mogłoby zeznać, że w pobliżu był ranny mężczyzna. Jest oczywiste, sir, że nie może pan ukryć swojej rany. Jednak kapitan Adderley kazał mi zapłacić każdemu z tragarzy pięć gwinei, by milczeli, i uważam, że to wystarczy.

Ross przełknął ślinę i oblizał wargi.

– Właśnie zamierzałem go odwiedzić. Chciałem pojechać wczoraj, ale doktor Enys powiedział, że nie wolno mi wstawać. Teraz...

Craven odkaslnął.

– Kapitan Adderley kazał mi panu przekazać, że jest pan mu w tej chwili winny dziesięć gwinei.

Ross wybałuszył oczy.

– Naturalnie. Czy chciałby pan, żebym...

– Nie życzył sobie, by te pieniądze stanowiły część jego masy spadkowej. Należy je wypłacić panu George'owi Warlegganowi z tytułu zakładu.

Demelza gwałtownie odwróciła się od okna, lecz postanowiła milczeć.

– Zakładu, który mnie dotyczył?

– Niekoniecznie, sir. Nie mam pojęcia, o co chodziło.

Na ulicy przed domem wrzeszczały na siebie dwie kobiety, a nieco dalej przekupnie bili w dzwonki, by zwrócić uwagę na swoje towary.

– Rozumiem, że kapitan Adderley nie ma żadnej rodziny, panie Craven?

– Żadnej. Sporządził testament składający się z jednego zdania. Pozostawił cały swój majątek panie Andromedzie Page.

Ross poruszył ranną ręką i skrzywił się lekko.

– Jestem panu bardzo zobowiązany, panie Craven. Napije się pan brandy? Nie mamy nic innego.

– Dziękuję, nie. Muszę ruszać. Powinienem zawiadomić doktora Enysa.

Jutro koroner przeprowadzi dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu.

– Naturalnie powinienem być obecny.

– W żadnym wypadku, sir. Zmieniłoby to warunki pojedynku uzgodnione przez kapitana Adderleya. Jak wspomniałem, nie mam ochoty uczestniczyć w tej sprawie. Nie chcę się w nią mieszać.

– Do końca życia będę żałował, że nie spotkałem się z Adderleyem przed jego śmiercią, by wszystko wyjaśnić.

Craven wzruszył ramionami.

– Kapitanie Poldark, był to uczciwy pojedynek, uczciwie przeprowadzony. Mogę za to ręczyć. Nie powinien pan się obwiniać. Monk Adderley był dziwnym człowiekiem, skłonny do ekstrawagancji. Muszę panu powiedzieć, że chociaż nie miał do pana najmniejszych pretensji o śmiertelną ranę, jaką mu pan zadał, jego ostatnie słowa brzmiały: „Szkoda, że nie zabiłem tego człowieka”.

V

Dochodzenie koronera w sprawie przyczyny śmierci kapitana Adderleya odbyło się w gospodzie Pod Gwiazdą Orderu Podwiązki przy ulicy Pall Mall w jednym z pomieszczeń na pierwszym piętrze. Demelza chciała pójść i posłuchać, ale Dwight się sprzeciwił. Im mniej związków z Monkiem, tym lepiej. Dlatego została w domu z Rossem i czekała na relację z przebiegu rozprawy.

Trwała ona około godziny. Pierwszym świadkiem była pani Osmonde, gospodyni Monka, która widziała, że pewnego dnia wrócił do domu o wpół do ósmej rano, ciężko ranny w pachwinę. Przybył w lektyce niesionej przez dwóch tragarzy w towarzystwie pana Cravena i doktora Enysa. Kapitan Adderley udał się do łóżka, lecz najpierw powiedział, że przypadkowo

postrzelił się z pistoletu w czasie ćwiczeń w Hyde Parku. Złożył zaprzysiężone oświadczenie potwierdzające ten fakt, a gospodyni była jednym ze świadków. Później przesłuchano Cravena, który zeznał, że wybrał się wczesnym rankiem na przejażdżkę konną i usłyszał strzał. Ruszył w kierunku źródła strzału i znalazł swojego przyjaciela kapitana Adderleya leżącego na ziemi i krwawiącego z powodu rany postrzałowej. Natychmiast wezwał dwóch lekarzy. Po drodze spotkali doktora Enysa, który wrócił z Cravenem do rannego i prowizorycznie go opatrzył, po czym zanieśono go do domu. Potwierdził zeznania pani Osmonde i oznajmił, że również był świadkiem zaprzysiężonego oświadczenia kapitana. Odpowiadając na pytanie koronera, przyznał, że kapitan Adderley był znanym pojedynkowiczem, lecz zaprzeczył, by wiedział cokolwiek o pojedynku mającym się odbyć rankiem tego dnia. W trakcie dalszej indagacji oświadczył, że w chwili, gdy przybył na miejsce, Adderley był sam.

Później wezwano na świadka doktora Enysa, który zeznał, że został wezwany do Hyde Parku przez Cravena i że opatrzył rannego mężczyznę. Później opiekował się nim w jego mieszkaniu aż do chwili zgonu.

– Kiedy przybył pan opatrzyć rannego, nikogo tam nie było? – spytał koroner.

Doktor Enys na moment się zawahał, oblizał usta, po czym odpowiedział:

– Nie, sir.

Po doktorze Enysie na miejscu dla świadków pojawił się doktor Corcoran i potwierdził zeznanie doktora Enysa, że kapitan Adderley zmarł wskutek postrzału w pachwinę, który doprowadził do zatoru naczyń krwionośnych i zatrzymania akcji serca.

– Czy zmarły mógł sam się postrzelić? – indagował koroner. Wcześniej zapomniał zadać tego pytania Dwightowi. Doktor Corcoran odparł, że uważa to za mało prawdopodobne, lecz możliwe. Znów wezwano doktora Enysa

i zadano mu to samo pytanie. Dwight odparł, że uważa to za możliwe.

Koroner spytał, czy odnaleziono dwóch lektykarzy, ale wydawało się, że zapadli się pod ziemię, i nikt nie znał ich nazwisk. Sędziowie udali się na naradę, która trwała dziesięć minut. Orzeczenie brzmiało: śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Prawie w tym samym czasie wśród posłów do Izby Gmin i śmietanki towarzyskiej Londynu rozeszła się wieść o tym, co się wydarzyło. Nikt nie miał pojęcia, kto jest źródłem przecieku. Wszyscy wiedzieli, że na sali obrad parlamentu doszło do krótkiej szarpaniny. Może Adderley powiedział coś Andromedzie Page? Trudno było odgadnąć, czy władze postanowią ścigać drugiego uczestnika pojedynku i czy mają konkretne dowody, nie tylko plotki. Ross koniecznie chciał iść na pogrzeb Adderleya i Dwight musiał go powstrzymać niemal siłą. Uczestnictwo w uroczystości mogłoby się skończyć afrontem ze strony jednego z przyjaciół Monka lub doprowadzić do awantury, a z pewnością wywołałoby komentarze.

Na szczęście Ross był w dalszym ciągu bardzo słaby, codziennie siedział w łóżku zaledwie przez godzinę lub dwie. Poważniejsze rany odniesione w Ameryce przysporzyły mu podobnych niewygód. Dwight z niepokojem obserwował rękę Rossa, która się nie goiła.

Demelza zmusiła się do przećwiczenia z Rossem odpowiedzi na możliwe pytania, gdyby odwiedził go konstabl lub inny przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości. Na początku oświadczył, że będzie tylko odpowiadał na pytania. Kiedy spytała, czy zamierza mówić prawdę, czy nieprawdę, odparł, że to zależy od pytań. Demelza nie była usatysfakcjonowana taką odpowiedzią, więc po kolei zadawała różne pytania, by sprawdzić, co powie. Nie wypadło to zadowalająco, aż wreszcie spytała, jaki jest sens, by dwóch honorowych ludzi popełniło krzywoprzysięstwo po to, by chronić Rossa, po czym on sam pogardliwie odrzuciłby ich pomoc?

Dni mijały powoli, oni zaś tkwili w domu, czekając na konstabli pukających do drzwi.

Rozdział siódmy

I

Adderley na swój pokrętny sposób rozgrywał do samego końca grę z przeciwnikiem, toteż George Warleggan dowiedział się o jego ranie dopiero w środę. W czwartek rano pojechał do kwatery Monka, gdzie zobaczył zaciągnięte zasłony. Gospodyni zajmowała się swoimi pracami i czekała na powrót chłopca posłanego po doktora Corcorana, który miał stwierdzić zgon. Nawet wtedy ustalenie faktów zajęło trochę czasu. George pojechał na rozprawę przeprowadzoną przez koronera, wciąż niepewny, co się wydarzyło, choć miał swoje podejrzenia. W ciągu następnych kilku dni potwierdziły je szeptane plotki i był wściekły, że przeciwnik Monka uniknie kary.

W następny poniedziałek odwiedził prawnika Henry'ego Bulla, radcę królewskiego, w jego biurze w Westminsterze. Dziewięć lat wcześniej Bull był prokuratorem królewskim w czasie rozprawy sądowej w Kornwalii, gdy Poldarka oskarżono o wywołanie zamieszek, podżeganie do grabieży i napaść na celnika. George poznał wtedy Bulla i od tamtej pory utrzymywał z nim kontakt, obserwując jego karierę. Bull był w tej chwili adwokatem królewskim, głównym przedstawicielem prawnym Korony w admiralicji i sądach duchownych.

George stwierdził, że najlepiej zwrócić się właśnie do niego – nie znał nikogo bardziej odpowiedniego – a Bull, zdając sobie sprawę z rosnącej władzy i wpływów Warleggana, powitał go grzecznie i z atencją. Uprzejmie

wysłuchał skargi gościa.

– Cóż, tak – powiedział. – Oczywiście dobrze pamiętam Poldarka. Człowiek o sztywnym karku. Gdyby zapadł sprawiedliwy wyrok, powinien zawisnąć na szubienicy, ale kornwalijskie ławy przysięgłych są zbyt sentymentalne. W tym przypadku, sir, w tym przypadku – nawet jeśli wszystkie plotki są prawdą – gdzie są dowody? Prawda? Prawda? Koroner przeprowadził dochodzenie i werdykt brzmiał: śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku. Aby to podważyć, potrzebne są nowe dowody, które potwierdziłyby plotki.

– Poldark został ranny i musi leżeć w swoim mieszkaniu. Wszyscy o tym wiedzą.

– Tak, to prawda. Jednak to, że uczestniczył w pojedynku, jest tylko domysłem. Ludzie mogą wysnuwać pochopne wnioski.

– Powinien przynajmniej zostać przesłuchany.

– Możliwe. Ale nie wiadomo, na jakiej podstawie. Nikt go o nic nie oskarża. Adderley nie żyje. Nikt tego ranka nie widział Poldarka w Hyde Parku. A jeśli widział, kłamał, by ratować własną skórę. Wydaje mi się, że zawarto jakąś umowę. Wyjątkowo niezgodną z prawem, jednak sam pan wie, że Adderley miał więcej kłopotów z pojedynkami niż Poldark. Przypuszczam, że zgodzili się stoczyć walkę bez sekundantów, a pokonany miał radzić sobie sam. Wyjątkowo niezgodne z zasadami. Dżentelmeni nie powinni się w ten sposób zachowywać. Ale czego można się spodziewać po dwóch oficerach piechoty, kompletnych szaleńcach?

– Uważam za nonsens, że Craven, wielki przyjaciel Adderleya, przypadkowo przejeżdżał tamtędy w chwili wypadku – rzekł George. – I to, że doktor Enys znajdował się tam tak wcześnie rano. Nie próbowano odszukać lektykarzy, którzy zanieśli Adderleya do domu, nie podjęto żadnych działań, by ich odnaleźć. Nie próbowano również odszukać innych świadków. Wszystko

to śmierdzi podstępem, sir!

– Możliwe, możliwe... – Bull zacisnął grube wargi i spojrzał na leżące przed nim papiery. – Cóż, panie Warleggan. Z chęcią bym pomógł, choć nie jest to w istocie moja dziedzina, ale na tym etapie sugeruję nie podejmować oficjalnych działań. Jeśli prywatne śledztwo ujawni obiecujące informacje, chętnie zapoznam się z jego wynikami i przekażę je właściwym władzom.

George musiał się na razie zadowolić obietnicą Bulla. Od chwili wyborów regularnie uczęszczał do klubu White's, starając się go odwiedzać trzy razy w tygodniu, i zauważył, że jednym z członków jest sir John Mitford, prokurator generalny. Warleggan znał go jedynie z widzenia, ale na szczęście znał też pewnego członka klubu zaprzyjaźnionego ze wszystkimi ważnymi osobistościami i cierpiącego na brak gotówki, który chętnie nawiązywał przyjaźnie z zamożnymi kolegami. Kiedy pewnego wieczoru sir John udał się po obiedzie do palarni, George, czekający na taką okazję, poprosił swojego nowego przyjaciela, by go przedstawił.

Dokonano prezentacji. Mitford łaskawie powitał Warleggana i po kilku minutach banalnej rozmowy nowy przyjaciel George'a odszedł.

Warleggan taktownie skierował konwersację na pożądane tory. Zauważył, że klub z pewnością odczuwa stratę jednego ze swoich najpopularniejszych członków. Kogo? – spytał Mitford. Ach tak – odpowiedział i zmarszczył brwi, tak, młodego Adderleya. Trochę szkoda, choć nigdy nie potrafił rozegrać porządnej partii wista, nie zmieniając jej w skandaliczny hazard. George zauważył, że szczególnie boleje nad śmiercią Adderleya, gdyż to Monk wprowadził go do klubu, a ponadto był jego starym, drogim przyjacielem. Po kilku podobnych uwagach w trakcie rozmowy padło słowo „morderstwo”.

– Morderstwo? – spytał sir John. – Kto tak twierdzi? Koroner uznał, że to nieszczęśliwy wypadek.

George się uśmiechnął i odparł, że owszem, sir, ale nikt w to nie wierzy.

– Ach, ma pan na myśli plotki o pojedynku? – spytał Mitford. – Dotarły do mnie. Jak się nazywa jegomość, którego nazwisko jest wymieniane w związku z tą sprawą? Pol jakiś tam. Chyba nigdy go nie spotkałem i nic o nim nie wiem.

George pokrótce streścił życiorys Rossa, celowo wspominając o rozprawie sądowej w Bodmin i o tym, że wszyscy uważali go za winnego zarzucanych mu przestępstw mimo decyzji uprzedzonej ławy przysięgłych.

– Ach, kolejny szalapat... – mruknął Mitford. – Podobnie jak Adderley. Moim zdaniem niewiele się od siebie różnią. Szkoda, że się nawzajem nie pozabijali.

– A jednak tak się nie stało, sir Johnie – odparł George. – Ośmielam się twierdzić, że gdyby Poldarkowi udało się od tego wymigać, gdyby nie został oskarżony, byłoby to poważne nadużycie, błąd wymiaru sprawiedliwości.

Mitford spojrzał na rozmówcę, marszcząc brwi.

– Drogi panie Warlesson, powinien pan rozumieć, że nie jestem w stanie badać wszystkich przykrych wydarzeń, do jakich dochodzi w stolicy. Podobnie jak inni. W mieście jest za mało strażników. Na przykład w całej dzielnicy Kensington są tylko trzej konstable i trzy posterunki policji, które muszą pilnować porządku na obszarze czterdziestu kilometrów kwadratowych. Czegóż można się spodziewać w tej sytuacji? – Sir John głośno odchrząknął. –

Jeśli spojrzeć na to z innej perspektywy, kto może przysiąc, że Adderley celowo nie odebrał sobie życia? Wiadomo, że bardzo potrzebował pieniędzy. Niektórzy członkowie klubu nie mają szans odzyskać jego długów. Ale nawet gdyby było tak, jak pan mówi...

– Słucham?

– Adderleyowi nie strzelono w plecy, prawda? Nikt nie twierdzi, że ten Pol jakiś tam nie zabił go w uczciwej walce?

– W świetle prawa pojedynki są nielegalne, sir Johnie. Wszystkie wielkie

autorytety, Coke, Bacon i inni, uważają, że niczym się nie różnią od zwykłego morderstwa. Sekretna umowa tylko pogarsza sprawę.

Sir John wstał.

– Mam spotkanie w interesach, więc ufam, że mi pan wybaczy. Tak się składa, że znam prawo obowiązujące w Anglii. Jeśli ktoś zginie w pojedynku, przeciwnika należy oskarżyć o morderstwo. Chciałbym jednak panu przypomnieć, że prawo angielskie wymaga w tym przypadku dowodów. Plotki i podejrzenia nie wystarczają na miejscu dla świadków. Proszę dać mi znać, kiedy dowie się pan czegoś konkretniejszego niż salonowa gadanina.

Wychodząc z sali, gdzie grano w karty, sir John spojrzał na listę nowych członków umieszczoną w korytarzu, by sprawdzić, czy jest na niej pan Warlesson.

George opłacił dwóch ludzi, by prowadzili dalsze śledztwo. Ross leczył rany, a Demelza czekała.

II

Odwiedzało ich wiele osób. Wszyscy udawali, że wierzą w opowieść, że Ross sam się postrzelił, gdy ładował pistolet. Rozmawiano o wielkim rozczarowaniu, jakie przyniosła kampania w Holandii, o rozgoryczeniu i podejrzeniach między Rosjanami i Anglikami, o tym, że Rosjanie, którzy przybyli do Yarmouth, pili olej z lamp ulicznych, o entuzjastycznym powitaniu generała Bonapartego we Francji, o nadziei na pokój i znużeniu ośmioletnią wojną. Poza tym mówiono o najnowszej sztuce teatralnej, ostatnim skandalu, najświeższych plotkach o zdrowiu króla. O żadnych sprawach prywatnych.

Przez cały czas w umyśle Demelzy ze szczególną złośliwością odzywały się słowa piosenki, od której nie mogła się uwolnić:

*Ciało złożyłam w ofierze
Wymogom współczesnej mody.
Dziś oczom własnym nie wierzę.
Wyglądam jak Hoddy-Doddy...*

Pojawił się jeden niespodziewany gość. Kiedy pani Parkins podała jego nazwisko, Demelza poszła do drzwi, by sprawdzić, czy dobrze usłyszała. Zobaczyła Geoffreya Charlesa Poldarka.

– Ach, ciociu Demelzo, wyglądasz na zaniepokojoną! Wzięłaś mnie za ducha? Mógłbym się zobaczyć z moim szacownym stryjem?

Wszedł do domu. Był blady i chudy. Ross siedział w fotelu w porannym szlafroku. Ręka w dalszym ciągu go bolała, lecz czuł się lepiej. Uśmiechnął się do młodego człowieka i wyciągnął do niego lewą dłoń, lecz Geoffrey Charles pochylił się i cmoknął go w policzek. Później pocałował Demelzę. Miał na sobie jedwabny surdut w niebiesko-brązowe prążki, bryczesy i białą jedwabną kamizelkę.

– Niech mnie kule biją! – zawołał. – Stryju Rossie, słyszałem, że o mało nie odstrzeliłeś sobie głowy! Na Boga, nigdy nie przypuszczałem, że możesz być taki nieostrożny! Jak się czujesz? Mam nadzieję, że jesteś już prawie zdrowy? Zamierzasz strzelić sobie w nogę? Stanowczo odradzam. Rany nóg są bardziej bolesne.

– Ostrzegam cię, że niebezpiecznie żartować z inwalidy – odparł Ross. – Bardzo łatwo wpadam w złość. Co robisz w Londynie? Wagarujesz i zamierzasz zostać dandysem?

– Co robię w Londynie?! Oto wdzięczność! Odwiedzam chorego krewnego, właśnie to robię. Wystarczająca wymówka, by zrezygnować z nauki, prawda?

– Zostawmy to na razie – rzekł Ross. – Mogłabyś pociągnąć za dzwonek, Demelzo? Chłopak na pewno jest głodny.

– Uważam to za bardzo zabawne, że każdy przyjmuje, uważa za oczywiste,

że osoba w moim wieku jest zawsze głodna – zauważył Geoffrey Charles.

– A jesteś głodny?

– Jestem.

Wszyscy się roześmiali.

– Porozmawiajmy poważnie – odezwał się Ross, gdy pokojówkę poproszono o racuchy, babeczki z masłem i herbatę.

– Mówiąc poważnie, teraz, gdy mama i wuj George mieszkają na King Street, mogę łatwo wpadać do Londynu. Często biorę wolne popołudnie i spędzam je razem z nimi, a przynajmniej z mamą i Valentine’em, ponieważ wuj George często wychodzi w interesach. Dowiedziałem się o postrzale i doszedłem do wniosku, że dla odmiany przyjadę w odwiedziny do wuja.

Przez pewien czas serdecznie gawędzili. Po raz pierwszy od pojedynku zapanował wesoły nastrój.

– Zamierzałem przyjechać do ciebie z ciotką Demelzą albo zaprosić cię do nas, ale powinieneś rozumieć, że wuj George i ja... Nie chcę robić niczego, co mogłoby zdenerwować twoją matkę – powiedział Ross.

– Ach, *dicenda tacenda locutus* – odparł Geoffrey Charles. – Wiesz, ciociu Demelzo, spędzam wiele godzin na nauce głupich języków tylko po to, by udawać kogoś lepszego od ludzi, których nie stać na przeznaczenie na to wystarczającej ilości czasu. Wolałbym budować z Drakiem koła do wozów.

Demelza uśmiechnęła się olśniewająco do młodego człowieka.

– Więc Elizabeth i George nie wiedzą, że tu jesteś? – spytał Ross.

– Nie. I się nie dowiedzą. Wkrótce przestanie mnie obchodzić, co myśli wuj George. Za niespełna dwa lata wstąpię do Magdalen College i będę panem samego siebie.

Ross poruszył ramieniem, by złagodzić ból.

– Geoffrey, nie możesz przejąć Trenwith jeszcze przynajmniej przez trzy lata. To tylko ziemia i dwór, bez żadnych dochodów. Bez pomocy finansowej

wuja George'a posiadłość popadłaby w ruinę, podobnie jak wtedy, gdy twoja matka była wdową. Dlatego przede wszystkim radzę ci postępować dyplomatycznie – nie tylko ze względu na matkę, lecz również ze względu na swoje własne dobro. Jeśli w przyszłości, powiedzmy za cztery albo pięć lat, uznasz za wskazane zerwać z panem Warlegganem i przejąć rodowy majątek, mam nadzieję, że wystarczy mi pieniędzy z kopalni i innych źródeł, byś nie został zupełnie bez grosza. Ale to przyszłość. W tej chwili...

Geoffrey Charles usiadł wygodnie w fotelu i zmarszczył brwi.

– Dziękuję, stryju. To ładny gest. Mam nadzieję, że nie będę potrzebował twojej pomocy. Chociaż już teraz moje potrzeby są większe niż dochody. Pieniądze to taki upokarzający temat! I jakie to przykre, że mój ojczym ma ich tak wiele! Czy nie moglibyśmy rozmawiać o czymś przyjemniejszym? Czy stryj mógłby mi powiedzieć, jeśli nie jest to zbyt delikatny temat, jak właściwie doszło do postrzału w rękę?

– Nie – odparł Ross.

– Ach, a zatem ten temat również nie jest przyjemny... Ciociu, wyglądasz tak ładnie, że chciałoby się cię zjeść. Dziewczeta z Londynu są z reguły ładniejsze od kornwalijskich, ale od czasu do czasu w naszym hrabstwie można znaleźć prawdziwą perłę.

– Skoro już mówimy o jedzeniu, myślę, że pora na podwieczorek – odparła z uśmiechem Demelza.

III

Geoffrey Charles wyszedł około siódmej, śmiejąc się z niepokoju Demelzy, czy będzie bezpieczny na ulicach Londynu. Pozwolono mu spędzić wieczór na Grosvenor Gate, więc nie musiał się śpieszyć. Doszedł ulicą do Strandu, przepchnął się przez grupkę ladacznic, które chwytaly go za ubranie, i wkrótce

znalazł lektykę.

Kiedy dotarł do domu, panowała w nim miła, rodzinna atmosfera. George siedział przy kominku, w którym płonął jasny ogień, i przeglądał księgę – wyglądała jak księga rachunkowa. Po drugiej stronie zajmowała miejsce Elizabeth, piękna jak zawsze, choć Geoffrey Charles miał wrażenie, że ostatnio trochę przytyła. Jeszcze mu nie powiedzieli. W rogu pokoju huśtał się na koniu na biegunach Valentine, niespełna sześćioletni, ciemnowłosa, o bladej cerze. Był chudy, kanciasty, ale ładny. Elizabeth spytała Geoffreya Charlesa, jak mu się podobało zoo. Czy nie przebywał tam zbyt długo? Odpowiedział, że gady budzą się dopiero po zmroku i że spędził ostatnią godzinę w pawilonie węży. Od wyjazdu do Harrow kłamał bez trudu.

George powitał go przyjaźnie. Warlegganowi należy oddać sprawiedliwość: zawsze starał się dobrze traktować pasierba. To Geoffrey Charles nie chciał nawiązać przyjaźni, zapomnieć o przeszłości. W tej chwili ich relacje były poprawne – uprzejmie się tolerowali, a Elizabeth nie śmiała marzyć o niczym więcej.

Mimo niebezpiecznego, złośliwego zakładu, który doprowadził do śmierci Monka Adderleya, George był tego wieczoru w dość dobrym humorze. Mężczyzna zbierający informacje pojawił się wczoraj z dwoma lektykarzami twierdzącymi, że zanieśli rannego Adderleya do jego mieszkania, lecz po krótkim przesłuchaniu okazało się, że kłamią i że zgłosili się tylko po odbiór nagrody wyznaczonej przez George'a. W sądzie zdemaskowałyby ich w ciągu pięciu minut każdy adwokat. Odesłano ich, a Warleggan polecił swoim ludziom, by bardziej uważali, kogo przyprowadzają.

Zachowywał filozoficzny spokój. Po śmierci Monka stracił przyjaciela, który poznawał go z wysoko postawionymi osobistościami, ale Adderley narażał go na duże wydatki. W ogóle nie troszczył się o pieniądze, a kiedy poznał George'a, zaczął go traktować jako niewyczerpane źródło funduszy.

Jedna pożyczka następowała po drugiej. Czasem spłacał niewielką kwotę, po czym znów pożyczał. Jego śmierć była smutnym wydarzeniem, lecz miała swoje zalety. George uważał, że zdoła poradzić sobie sam.

Nawet jeśli Ross Poldark nie zostanie skazany za morderstwo, rezultat pojedynku okazał się dość satysfakcjonujący. Ross odniósł poważną ranę, która podobno może doprowadzić do amputacji ręki, a plotki o pojedynku bardzo zaszkodzą jego karierze. Boscawenowie, jeśli George trafnie ich ocenia, skrupulatnie przestrzegają prawa i z pewnością nie chcą być reprezentowani w Izbie Gmin przez awanturnika, który potajemnie zabił innego posła w nielegalnym pojedynku stoczonym bez odpowiednich formalności. Jeśli chodzi o nowo założony bank, wiadomości o pojedynku szybko dotrą do Kornwalii. Bankierzy również muszą skrupulatnie przestrzegać prawa, toteż plotki zaszkodzą Rossowi.

Sprawy George'a układały się znakomicie. Wczoraj przyjechał do Londynu Tankard, prywatny prawnik i faktor Warleggana, z licznymi dokumentami i nowinami. Zostawszy właścicielem okręgu wyborczego St Michael, George szukał sposobów, by ograniczyć związane z tym koszty.

W okręgu było około czterdziestu domów, których najemcy płacili podatek na ubogich. Co prawda część domów znajdowała się w ruinie i mogła w każdej chwili się zawalić, lecz nie zmieniało to faktu, że mieszkańcy byli uprawnieni do głosowania i ochoczo korzystali z tego prawa. Oddawali głosy na wskazanych kandydatów pod warunkiem, że mogli liczyć na względy właściciela budynków. W tej chwili był nim George. Okazało się, że elektorzy, choć służalczy, mają wygórowane wymagania. Najkosztowniejsze było uzyskanie mandatu poselskiego, ale oczekiwali również innych korzyści.

Plan George'a polegał na tym, by wyburzyć część najstarszych, najbardziej zrujnowanych domów. Wymagało to czasu i może odrobiny stanowczości, jednak dałoby się przeprowadzić. Likwidacja dziesięciu domów

ograniczyłaby przyszłe koszty o jedną czwartą. Oczywiście mieszkańcy będą gwałtownie protestować, lecz George zakupił już rząd nędznych chat w pobliżu nieczynnej kopalni trzy kilometry dalej i kazał je odremontować. Nikt nie może mu zarzucić, że postępuje niehumanitarnie. Ludzie, których zamierzał usunąć, byli ubodzy, a ich domy zrujnowane, więc George mógłby nawet twierdzić, że poprawia ich warunki bytowe. Różnica polegała na tym, że przestaną płacić podatki w okręgu wyborczym St Michael, co pozbawi ich prawa głosu i głównego źródła dochodu. Mogą zostać nawet zmuszeni do pracy, pomyślał George.

W tej chwili studiował księgę przywiezioną przez Tankarda. Zawierała szczegółowe dane na temat każdego domu przeznaczonego do wyburzenia, liczby i wieku mieszkańców, a także daty ich planowanej wyprowadzki.

– Valentine, pora na kolację – rzekła Elizabeth. – Myślę, że pani Wantage o tobie zapomniała.

– Tak, mamusiu. Za kilka minut, mamusiu. – Valentine huśtał się na koniu na biegunach ze szpicrutą w ręce. Na czoło opadł mu kosmyk ciemnych włosów. Z pewnością uczestniczył w jakiejś niebezpiecznej misji, której nie należało przerywać.

Geoffrey Charles wydawał się rozbawiony.

– Na Boga, zdaje się, że Valentine zamierza stoczyć pojedynek!

– Thomas Trevethan, szewc – przeczytał półgłosem George. – Pięćdziesiąt siedem lat, mieszka z owdowiałą siostrą, Susan Hicks, lat pięćdziesiąt dziewięć. – George otrzymał już list od Trevethana z prośbą o polecenie go jako szewca. Dobrze byłoby się go pozbyć. – Tom Oliver, mleczarz, czterdzieści lat, żona i czworo dzieci. – Czyj mleczarz? Zapewne trzyma jedną chudą krowę. – Arthur Pearson, słodownik. – Cóż za zawody wymyślają sobie te pasożyty!

Geoffrey Charles wybuchnął śmiechem. Jego piskliwy głos, który nie

przeszedł jeszcze mutacji, brzmiał tak wesoło, że Elizabeth z uśmiechem opuściła robótkę, a George księgę. Nawet Valentine na chwilę stracił koncentrację i koń bujał się mniej gwałtownie.

– Co się stało? – spytała Elizabeth. – O co chodzi, Geoffreyu Charlesie? Co cię tak rozbawiło?

– Valentine! – Geoffrey Charles krztusił się ze śmiechu. – Popatrzcie na niego! Na Boga! Wykapany stryj Ross, prawda?!

Rozdział ósmy

I

Dziewiątego listopada Dwight znów ostrożnie zdjął bandaż i je obwąchał. Ręka była w dalszym ciągu zaczerwieniona, ale tylko wokół rany. Opuchlizna się zmniejszyła.

– Nawet nie przypuszczasz, jaki z ciebie szczęściarz, Ross – powiedział.

– Dlaczego?

– Trzy dni temu zastanawiałem się, czy amputować ci rękę powyżej łokcia. Jak zapewne wiesz, jest taki moment, gdy zakażenie krwi rozprzestrzenia się błyskawicznie. Lepiej stracić rękę niż życie.

– Nie mów o tym Demelzie.

– Już wie. Nie mogłem ryzykować bez jej zgody.

Ross spojrzał na swoje ramię.

– A teraz?

Dwight zwijał bandaż.

– Do rany musiał się dostać barwnik z rękawa... Teraz? Och, za jakiś miesiąc odzyskasz sprawność w ręce, przynajmniej częściowo. Do tego czasu Demelza musi kroić ci jedzenie.

– Prawie nie mogę poruszać palcami.

– Nie staraj się za bardzo. Łagodne ćwiczenia każdego ranka. Ross, w przyszłym tygodniu wracam do Kornwalii. Zostałem tak długo w Londynie tylko z twojego powodu.

– Jedzie z tobą Caroline?

– Nie... Chce wziąć udział w kilku przyjęciach pod koniec miesiąca. Wróci na początku grudnia.

– Mam nadzieję, że na dłużej.

Dwight schował bandaż i zamknął torbę. W porannym świetle jego twarz wydawała się zaskakująco młoda mimo siwiejących włosów.

– Tak sądzę. Wspominała o tym.

– Niezależnie od tego, co dała twoja wizyta Caroline, prawie ocaliła mi życie.

– Życie ocalił ci twój własny organizm, Ross, bo w końcu obronił się przed zakażeniem.

– Okazał się silniejszy od mojego umysłu, który nie potrafił się oprzeć zakażeniu przez Monka Adderleya.

– To skończone. Musisz myśleć o przyszłości, nie przeszłości.

– Jeszcze nie jestem pewien, czy wszystko się skończyło. Taki czyn ma szczególne konsekwencje.

Dwight zapiął torbę na zatrzask.

– Dlaczego nie wrócisz ze mną do Nampary?

– Nie, jeszcze nie. Mam kilka rzeczy do załatwienia.

– Nie możesz zmienić tego, co się stało, Ross. Powinieneś się przyzwyczaić do nowej sytuacji.

– Cóż, zobaczymy...

Nazajutrz nad rzeką unosiła się mgła, a Ross wybrał się do swojego patrona. Zastał lorda Falmouth w domu. Arystokrata chętnie go przyjął. Rozmawiali w salonie na tyłach rezydencji, ponieważ w głównym salonie pani Boscawen piła herbatę z przyjaciółkami.

Lord Falmouth uścisnął lewą rękę Rossa i oschle zaproponował mu kieliszek madery. Nosił mykę, śliwkowy surdut wytarty na łokciach, czarne

spodnie i czarne pończochy.

– Mam nadzieję, że rana, którą... którą sam pan sobie zadał, dobrze się goi?

– Dziękuję, milordzie. Tak. Choć długo to trwa. Doktor Enys mówi, że z czasem znów będę w stanie się podpisywać.

– Przyda się to panu, gdy powróci pan do swoich przyjaciół bankierów.

– Pod warunkiem, że zechcą ze mną dalej współpracować.

Falmouth wręczył gościowi kieliszek.

– Ma pan szczęście, że przywiózł pan ze sobą własnego lekarza. To luksus, na który nawet ja nie mogę sobie pozwolić.

Ross się uśmiechnął.

– Doktor Enys na początku przyszłego tygodnia wraca do Kornwalii. Później będę musiał radzić sobie sam albo wezwać pierwszego lepszego londyńskiego medyka. – Wypił łyk wina, po czym zapadła chwila ciszy. – Dużo się wydarzyło, odkąd ostatnio jadłem z panem wieczerzę, milordzie.

– Zauważyłem.

Trudno było przeniknąć wyraz twarzy wicehrabiego. Nigdy nie okazywał uczuć, a teraz wydawał się szczególnie zdystansowany. Jego głos był beznamiętny, choć czasem pojawiała się w nim nuta sarkazmu. Wydawało się, że czeka, by gość zdradził, o co chodzi, i nie chce wcześniej ujawniać swoich myśli.

– Sądzę, że w tej chwili to, co się wydarzyło, jest szeroko znane – rzekł Ross. – Jednak nikt nie zna szczegółów i postanowiłem, że je przedstawię waszej lordowskiej mości, gdy tylko wstanę na nogi.

– Jeśli jest pan pewien, że chce je przedstawić.

– Dlaczego nie?

– Plotki to jedno, a bezpośrednia relacja to coś zupełnie innego. Lepiej nie mówić o pewnych sprawach, kapitanie Poldark.

– Zapewniam pana, milordzie, że czynię wyjątek w kwestii pojedynku. Jednak jestem posłem z Truro z pana nominacji i choć czasem nie przywiązuję do tego wielkiej wagi, uprawnia to waszą lordowską mość, by wiedzieć, co się zdarzyło.

– Bardzo dobrze. – Falmouth podszedł do drzwi balkonowych prowadzących do oranżerii i je zamknął. – Proszę mówić.

Ross opowiedział o pojedynku. Kiedy skończył, wicehrabia znów napełnił kieliszki, starając się nie rozlać wina.

– Czego życzy pan sobie ode mnie?

– Może rady.

– Jakiego rodzaju?

– Jestem znany w Kornwalii z gwałtownego temperamentu. Teraz wieść o pojedynku obiegła Londyn. Naturalnie walkę stoczono uczciwie, ale samo to, że odbyła się w tajemnicy i że nie stanąłem przed wymiarem sprawiedliwości, sprawia, że okoliczności wydają się bardziej podejrzane, niż gdybym został osądzony i odbył karę. Wasza lordowska mość pragnie, by reprezentował go w Izbie Gmin polityk, a nie awanturnik. Przez jakiś czas będę uchodził w Londynie za awanturnika. Uważam, że powinienem zrezygnować z mandatu i pozwolić waszej lordowskiej mości nominować na moje miejsce kogoś odpowiedniejszego. W tej chwili Truro jest pod pełną kontrolą waszej lordowskiej mości. Nie potrzeba wyborów. Można to załatwić w kilka miesięcy.

Lord Falmouth wstał i pociągnął za sznur dzwonka. Nadszedł służący.

– Przynies butelkę starszej madery.

– Tak, milordzie.

– I zabierz pustą.

– Tak, milordzie.

Do chwili przyniesienia następnej butelki panowało milczenie.

– Ta madera jest lepsza – rzekł Falmouth. – Na języku zostaje posmak dymu. Niestety, mam tylko kilka butelek. Moja matka kupiła je w zeszłym roku.

– Rzeczywiście, ma więcej treści – odparł Ross.

– Jeśli chodzi o pana problem, Poldark, czy chce pan powiedzieć, że jest pan zmęczony Westminsterem i zamierza go opuścić?

– Nie to powiedziałem. Sądzę, że przez rok, gdy zasiadałem w Izbie Gmin, to wasza lordowska mość mógł się mną zmęczyć.

Wicehrabia skinął głową.

– Możliwe. Dość często różniliśmy się poglądami. Ale tylko w kilku poważnych sprawach, jak ustawa o emancypacji katolików. Główna różnica między nami nie sprowadza się do konkretnych kwestii, lecz pryncypiów.

– Nie jestem pewien, co dokładnie ma pan na myśli, milordzie.

– Cóż, spróbuję to wyjaśnić. Nienawidzi pan rewolucji francuskiej i jest gotów z nią walczyć wszelkimi możliwymi środkami. Mimo to sądzę, że w głębi serca wierzy pan w hasła o wolności, równości i braterstwie, choć nie posługuje się pan tymi słowami. Pański humanitaryzm, pańskie sentymenty nie są dostatecznie kontrolowane przez umysł, co oznacza, że osiągnięcie tych celów jest niemożliwe!

Ross milczał przez chwilę.

– Czy wasza lordowska mość sam nie czuje sympatii do tych ideałów, gdy nie mają nic wspólnego z republikanizmem w znaczeniu krwawej rewolucji?

Falmouth uśmiechnął się z zaciśniętymi wargami.

– Może lepiej się nauczyłem kierować rozsądkiem. Mogę powiedzieć, że gorąco wierzę w braterstwo, trochę w wolność, lecz wcale w równość.

– Dokładne przeciwieństwo tego, co robią Francuzi – odparł Ross. – Położyli tak wielki nacisk na równość, że nie ma miejsca na wolność i tylko trochę na braterstwo. Wasza lordowska mość nie odpowiedział na pytanie o mój mandat.

– Wobec tego zrobię to teraz. – Wicehrabia chodził przez chwilę po pokoju, po czym zdjął myckę i podrapał się po głowie. – Kiedy będę chciał, by pan zrezygnował, powiem to panu. Gdyby sam pan chciał podjąć decyzję, proszę mnie o tym poinformować. Lubię, gdy poseł ma trochę charakteru. Głupi pojedynek, godny najwyższego ubolewania i zakończony śmiercią jednego z uczestników, nie jest jeszcze podstawą do wycofania się z polityki. Wszyscy uczymy się na błędach. Staram się to robić. Mam nadzieję, że pan postąpi tak samo, kapitanie Poldark.

Ross odstawił kieliszek.

– Dziękuję. Właśnie to chciałem wiedzieć.

– Proszę jechać do Kornwalii – rzekł wicehrabia. – Niech pan natychmiast wraca do domu. Nie ma pan tu nic ważnego do roboty. Wie pan, co pisali średniowieczni autorzy: „Dziś jest człowiek, jutro już go nie widać. A gdy z oczu zniknie, mija rychło i w pamięci” ¹. To się również odnosi do wymiaru sprawiedliwości. Jeśli zamierzają pana przesłuchać, mogą to zrobić, gdy pan mieszka na George Street, ale z pewnością nie pokonają pięciuset kilometrów, by pana wypytywać w majątku w Kornwalii.

– Rozumiem.

– Więc niech pan jedzie jutro albo natychmiast po załatwieniu swoich spraw w Londynie.

Ross zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Doceniam pańską troskę o moje dobro, milordzie. To szlachetnie z pana strony... Ale nie mogę wyjechać w tej chwili. Nie mogę umknąć z podwiniętym ogonem.

Wicehrabia Falmouth wzruszył ramionami.

– Znowu to samo, Poldark. Nie zgadzamy się. I znów co do pryncypiów. Powinien pan kierować się w życiu logiką, nie emocjami.

II

Przyszła pora, by znów znaleźć się między ludźmi, w Izbie Gmin, w towarzystwie. Był to najważniejszy sprawdzian. Adderley miał niewielu przyjaciół, lecz mnóstwo znajomych. Widywano go wszędzie. Teraz zastąpił go wysoki Kornwalijszyk z ręką na temblaku, któremu niekiedy, gdy było to stosowne, towarzyszyła ładna żona. Przybysze, obcy. Naturalnie patronowała im pani Pelham, ale... Wszystkim brakowało Adderleya. Spojrzenia z ukosa, szepty za plecami, nagła cisza w trakcie rozmowy, gdy zbliżali się pewni ludzie.

Ku zaskoczeniu Rossa w Izbie Gmin było łatwiej. Posłowie uważali za naturalne, że znanego pojedyńkowicza w końcu spotkał los jego wcześniejszych przeciwników. Najważniejszą konsekwencją był wzrost szacunku dla człowieka, który go zabił. Poseł z Bridgnorth zauważył, że w grę wchodzi dwie możliwości: albo Poldark jest piekielnie dobrym strzelcem, albo ma piekielne szczęście.

W ciągu całego tego nieprzyjemnego, nerwowego tygodnia Demelza stale przypominała sobie piosenkę o Hoddy-Doddy: „Ciało złożyłam w ofierze wymogom współczesnej mody”. Nie mogła się od niej uwolnić, choć nie miała ona absolutnie żadnego związku z jej myślami i lękami.

Raz widzieli George'a i Elizabeth w czasie *soirée*. Ross przypomniał sobie o dziwnej prośbie Adderleya. Musiał ją spełnić, choćby okazało się to wyjątkowo trudne i krępujące. Wręczanie George'owi dziesięciu gwinei w sali pełnej ludzi z pewnością byłoby niestosowne, a Warleggan mógłby to uznać za celową zniewagę. Ross – z natury rzeczy niezbyt spostrzegawczy w towarzystwie – oraz Demelza zauważyli, że Warlegganowie są w wyjątkowo złych humorach. Nie mogło to mieć nic wspólnego z obecnością Poldarków, bo ich nie widzieli. Demelza miała wrażenie, że nie rozmawiali ze sobą przez cały wieczór, co później potwierdziła Caroline, która słyszała

plotki, że są bliscy separacji.

– Separacji?! – zdumiała się Demelza. – Przecież będzie miała kolejne dziecko!

Caroline wzruszyła ramionami.

– W zeszłym tygodniu coś się wydarzyło, nie wiem co. Na przyjęciu u mojej ciotki wydawali się zadowoleni. Widziałam, jak się śmieją.

– Kto ci opowiedział te plotki?

– We wtorek odwiedziła ich pani Tracey. Mówiła, że Elizabeth wyglądała na bardzo chorą i że w domu panowała wyjątkowo ciężka atmosfera.

– Może to mieć coś wspólnego ze śmiercią Monka Adderleya?

– Wątpię. Moim zdaniem to coś znacznie bardziej osobistego.

W połowie *soirée* do Demelzy podszedł przystojny, około czterdziestoletni mężczyzna o nazwisku Harry Winthrop, krewny markiza Bute, i zaczął ją emablować. Potraktowała go wręcz nieuprzejmie. Tego wieczoru podjęła decyzję.

III

Dwa dni później Ross dostrzegł George'a w korytarzu prowadzącym do kaplicy Świętego Stefana. Towarzyszył mu inny poseł, poza tym wokół było dość pusto. Teraz albo nigdy. Musiał kiedyś spełnić niemiły obowiązek.

– George! – zawołał i przyśpieszył kroku, by dogonić Warleggana. Idąc, pomyślał: Powinienem wysłać te pieniądze, powinienem wysłać.

Warleggan się odwrócił. Kiedy zobaczył, kto się do niego zwraca, wyraz jego twarzy straszliwie się zmienił. Malowała się na niej taka nienawiść, że Ross stanął jak wryty. Nigdy nie widział, by ktoś miał w sobie tyle złości.

Więc George mimo wszystko bardzo przeżył śmierć Monka Adderleya...

– Bardzo przepraszam – zwrócił się Warleggan do swojego towarzysza. –

Zdaje się, że ktoś chciałby zamienić ze mną kilka słów. Wróć do pana za chwilę.

– Naturalnie. – Drugi mężczyzna zauważył przerażający wyraz twarzy George'a, temblak Rossa i bliznę na jego twarzy. Ruszył naprzód.

– A zatem?

– Jak wiesz, spotkałem się z twoim przyjacielem, kapitanem Adderleyem – powiedział Ross. – Nie chcę opisywać, co się wydarzyło, ale przed śmiercią przekazał mi swoje ostatnie polecenie. Korzystał z pośrednictwa przyjaciela, Johna Cravena. Nie spełniam go chętnie, bo nie chcę rozmawiać z tobą o tej sprawie, lecz nie mogę zignorować ostatniej woli zmarłego człowieka.

– A zatem? – Wydawało się, że Warleggan ledwo zdołał wydobyć z siebie głos.

– Kazał mi ci oddać dziesięć gwinei. – Ross sięgnął lewą ręką do kieszonki na zegarek i wyjął dziesięć złotych monet.

– Dlaczego?

– Rozumiem, że zawarliście zakład i przegrał. Nie mam pojęcia, czy ma to jakiś związek ze mną, i nie jestem tym zainteresowany. Przypuszczam, że tak, skoro kazał mi przekazać ci wygraną. Uważał to za właściwe.

Ross wyciągnął pieniądze w stronę Warleggana. George spojrzał na nie, a później na Rossa. Jego oczy były pełne nienawiści.

Uniósł dłoń i Ross wręczył mu dziesięć złotych monet. Warleggan je policzył. Później cisnął je Rossowi w twarz i się odwrócił.

Na szczęście dla uczestników całej sceny w tej samej chwili do Rossa podszedł John Bullock, poseł z hrabstwa Essex, który chciał z nim porozmawiać. Zauważył, co się stało, i chwycił go za ramię.

– Spokojnie, chłopcze, spokojnie. Wystarczy jedna kłótnia w czasie sesji. Niepotrzebna nam druga.

Bullock zbliżał się do siedemdziesiątki, lecz był silnym starcem. Mocno

trzymał Rossa za ramię.

– Widział pan... widział pan, co się stało – wykrztusił Ross. Skrzywił się, wycierając rannym ramieniem kilka plamek krwi z twarzy. – Widział pan, co się stało!

– Tak, widziałem. Szkoda marnować w ten sposób dobre złoto. Jeśli pan pozwoli, zbiorę je dla pana.

– Mógłbym... – Ross urwał. Zamierzał powiedzieć: „wyzwać go za to na pojedynek”, ale zdał sobie sprawę z tego, co natychmiast zrozumiał Bullock. Niezależnie od rodzaju prowokacji po drugim pojedynku Ross byłby skończony.

Nadszedł inny poseł i zebrał złote gwinee, które potoczyły się w różnych kierunkach. Obaj mężczyźni oddali pieniądze Rossowi. Stał, patrząc z oszołomieniem na długi korytarz i pocierając twarz. Nie chciał przyjąć pieniędzy.

– Należą do Warleggana – powiedział. – Nie mogę ich wziąć. Proszę mu je oddać. Nie ufam sobie na tyle, by się znów do niego zbliżyć.

– Chyba lepiej je wrzucę do puszek na datki dla ubogich – rzekł spokojnie Bullock. – Nie mam ochoty ich oddawać żadnemu z was.

IV

Po powrocie do domu Ross nie powiedział Demelzie, co go spotkało, a kiedy spytała, dlaczego ma zranioną twarz, odpowiedział, że szedł osławioną ulicą o nazwie Petty France, gdzie biło się kilku czeladników, i trafiły go kamienie.

Cichy wieczór, Ross i Demelza snuli osobiste myśli i nie chcieli się nimi dzielić. Bliskość i szczęście z pierwszego tygodnia w Londynie wydawały się czymś, co nigdy nie istniało.

– Czujesz się teraz bezpieczny, Ross? – spytała Demelza, wchodząc do

łóżka.

– Bezpieczny?

– Chodzi o konstabli. Minęły trzy tygodnie. Gdyby mieli cię oskarżyć, pewnie już by to zrobili.

– Tak przypuszczam.

– Powiedziała to dziś Caroline.

– Winienem jej wdzięczność, że dodaje mi otuchy.

– Ross, nie mów do mnie sarkastycznym tonem.

– Przepraszam. Nie, nie powinienem tego robić.

– Ja też byłam wdzięczna, że Caroline dodawała mi otuchy. To nie ona jest źródłem tej opinii, tylko St Andrew St John, który będąc adwokatem, powinien wiedzieć, jak działa wymiar sprawiedliwości. Podobno uważa, że największe niebezpieczeństwo minęło.

– Cieszę się.

– Ja też się cieszę. Twoje ramię się goi?

– Ono również. – W tym momencie nie zauważył, że Demelza chce mu dodać otuchy.

Chociaż poszli spać wcześniej, Ross zaspał. Miał koszmarne sny, w których pojawiał się Monk Adderley – był olbrzymim wężem, wił się po posadzce Izby Gmin i pluł jadem. Słyszał czyjś krzyk, był to głos Elizabeth. Później zorientował się, że Elizabeth i Demelza mają stoczyć pojedynek i że powinien je powstrzymać. Kiedy oddały strzały, na twarz i głowę Rossa posypał się deszcz monet. Później rozległ się szyderczy głos George'a: „Trzydzieści srebrników. Trzydzieści srebrników...”.

Obudził się z ciężkiego snu, gdy wstał już dzień. Zastony były zaciągnięte, ale turkot wozów i krzyki na ulicy sugerowały, że jest późny ranek. Demelza musiała wstać wcześniej, bo nie było jej w łóżku.

Uniósł głowę i spojrzął na zegar. Dziesięć po dziewiątej.

Z ulicy dobiegały takie wrzaski, że odsunął zasłony, by zobaczyć, co się dzieje. Doszło do bójki między dwoma sprzedawcami królików a kilkoma obszarpanymi Irlandczykami, którzy usiłowali wymienić nadpsute, prawdopodobnie kradzione ryby na króliki. Kiedy im się nie udało, próbowali zabrać króliki siłą. Wokół walczących, przeklinających mężczyzn zebrał się tłum gapiów, przekupniów, handlarek, służących, czeladników. Niezależnie od wyniku sporu, ani ryby, ani króliki nie będą się już nadawały do sprzedaży.

Ross odsunął kotarę do końca, zastanawiając się, gdzie jest Demelza. Później zauważył list.

Brzmiał on następująco:

Ross!

Wracam do domu. Dwight wyjeżdża dziś rano o siódmej z gospody Pod Koroną i Kotwicą, więc spytałam, czy mogę pojechać razem z nim.

Ross, czuję, że nie mogę zostać dłużej w Londynie. Nie wiem, czy postępuję słusznie, czy niesłusznie, ale stałam się przyczyną pojedynku między Tobą a Monkiem Adderleyem. Myślę, że to się może zdarzyć znowu. I znowu.

Nie powinnam przyjeżdżać, bo czuję się zagubiona w londyńskim towarzystwie. Chciałam być przyjazna i uprzejma wobec każdego, lecz wzięto to za coś więcej. Nawet Ty wzięłeś to za coś więcej.

Ross, wracam do domu – do Twojego domu, gospodarstwa i dzieci. Będę tam, gdy wrócisz, i zastanowimy się, co należy zrobić.

*Kocham Cię
Demelza*

1. Tomasz á Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*, przeł. T. Matuszewicz, Drukarnia Piotra Pillera, Lwów 1833 (Księga pierwsza, XXIII, 1), s. 70. [\[wróć\]](#)

Rozdział dziewiąty

I

– O jaki numer chodzi, milady? – spytał lektykarz.

– Czternaście – odpowiedziała Elizabeth.

– Czternaście. To dalej, po drugiej stronie ulicy. Na pewno. Zaniesiemy tam panią.

Ruszyli nierównym chodnikiem, przepychając się między przechodniami przy akompaniamencie okrzyków: „Z drogi, sir! Z drogi!”.

Pool Lane była wąską, krętą uliczką odchodzącą na północ od Oxford Road. Stopniowo się zwężała, aż wreszcie dotarli do domu numer czternaście. Miał drzwi świeżo pomalowane na zielono, choć na wielu innych drzwiach w okolicy łuszczyła się farba. Mało brakowało, by Elizabeth zrezygnowała i kazała się zanieść z powrotem na King Street. Trwała w swoim zamiarze tylko z powodu wydarzeń ostatnich dziesięciu dni.

Od chwili, gdy Geoffrey Charles wypowiedział niewinną uwagę na temat Valentine’a, George stał się nieznośny. Spostrzeżenie młodzieńca miało tę straszliwą cechę, że choć nie było całkowicie zgodne z prawdą – wygląd Valentine’a nieustannie się zmieniał zależnie od jego nastroju – zdawało się stale wisieć w powietrzu. Przypominało przekleństwo, a nie komentarz. Odnosiło się wrażenie, że syn Francisa instynktownie rozpoznał innego członka rodu Poldarków. Wywołał upiora. Naturalnie zupełnie mijało się to z prawdą – tak potraktowano by to w normalnej sytuacji. Ale sytuacja nigdy

nie była normalna.

W głębi serca Elizabeth była zrozpaczona, ponieważ widziała, że George jest nie tylko wściekły, lecz również zrozpaczony. Do chwili, gdy Geoffrey Charles wypowiedział fatalną uwagę, byli szczęśliwi jak nigdy wcześniej. Rozkwitała w towarzystwie: chociaż rzadko w nim przebywała, był to jej naturalny żywioł. Wiele lat temu, gdy Francis żył, gdy cierpiąc biedę, mieszkała z dala od ludzi w Trenwith, a mąż przegrywał w karty wszystkie dochody z majątku, pewnego dnia odwiedził ją George i uniżonym tonem wyraził żal, że taka piękna kobieta marnuje swoje życie wśród starych krewnych, w pustych salach zrujnowanego dworu, choć zasługuje na to, by stać się perłą światowego towarzystwa. Gdyby mogło ono ją zobaczyć. Ośmielił się nawet napomknąć, że piękno nie trwa wiecznie.

Po wielu latach dotrzymał słowa. Kiedy został posłem do Izby Gmin z Truro, na krótko pojechała z nim do Londynu. Sprawilo jej to przyjemność, lecz wówczas George'owi brakowało jeszcze pewności siebie, czuł się niezręcznie w towarzystwie, zazdrościł jej swobody, z jaką poruszała się w wielkim świecie, swoim naturalnym środowisku. Tym razem wszystko wyglądało inaczej. George miał pewność, że pozostanie posłem tak długo, jak będzie chciał. Zawdzięczał to tylko sobie i nie miał wobec nikogo żadnych zobowiązań. Wszedł do parlamentu wraz z drugim posłem, którego głos kontrolował. Mniej więcej przed miesiącem nieco nieostrożnie opowiedział Elizabeth o swoich planach i o liście napisanym pod dyktando pana Robinsona do premiera Williama Pitta. Pokazał jej nawet kopię. W dalszym ciągu pamiętała niektóre fragmenty: „...zaaranżowałem te sprawy w Kornwalii w sposób, który objaśniłem w bezpośrednich rozmowach z panem Johnem Robinsonem. Może się to przyczynić do wsparcia Pańskiego rządu. Jak się wkrótce okaże, może Pan liczyć na wsparcie swoich starań. Z tego powodu byłbym wdzięczny, gdyby przed rozpoczęciem kolejnej sesji parlamentu raczył

udzielić mi Pan audiencji, byśmy mogli uzgodnić sprawy bardziej szczegółowo...”.

„Audiencja” jeszcze się nie odbyła, lecz Robinson zapewnił George’a, że to tylko kwestia czasu. George powiedział Elizabeth, że chociaż w czasie rozmowy nie pojawi się wulgarna kwestia *quid pro quo*, Pitt zostanie poinformowany, że najlepszym sposobem scementowania sojuszu byłoby nadanie panu Warlegganowi tytułu szlacheckiego.

Oboje czuli ekscytację na myśl o szlachectwie. Dla George’a byłoby to ostateczne zerwanie z przeszłością rodziny Warlegganów. Jako sir George byłby zupełnie innym człowiekiem. Za rok lub dwa mógłby nawet otrzymać tytuł barona, który odziedziczyliby jego potomkowie. Elizabeth była zadowolona, że stanie się lady Warleggan. Oczywiście o jej statusie decydowało pochodzenie, a nie tytuł. W rodzie Chynowethów istniała nawet tradycja – mówiono o tym wręcz z dumą – że od tysiąca lat są ziemianami i wybitnymi dżentelmenami, lecz żaden z nich nie miał nigdy tytułu szlacheckiego. Jednak od chwili poślubienia George’a Elizabeth wyczuwała, że jej status obniżył się w oczach mieszkańców hrabstwa. Teraz powinno się to zmienić.

Była przekonana, że tytuł szlachecki i kolejne dziecko scementują ich małżeństwo jak nigdy przedtem. Była ciągle piękna, zwłaszcza gdy ufryzowała włosy tak jak kiedyś na przyjęcie z okazji otwarcia nowej sesji parlamentu. Miała przed sobą mniej czasu niż w dniu, gdy George rozmawiał z nią w salonie zimowym dworu w Trenwith, lecz w dalszym ciągu trochę go zostało.

Życie wydawało się przyjemne i satysfakcjonujące. Elizabeth budziła się rano w dobrym nastroju, leżała w łóżku i snuła szczegółowe, przyjemne plany na przyszłość.

I nagle wszystko znikło. Nic nie było już miłe i przyjemne. Bezmyślne

zdanie wypowiedziane przez starszego syna zatruło całe ich życie. Znaleźli się z powrotem w sytuacji sprzed trzech lat, kiedy brak zaufania i podejrzania doprowadziły do straszliwej kłótni. Tym razem było jeszcze gorzej, mieli więcej do stracenia i już więcej stracili. Wszystko, co teraz robili, było skażone, każdy ich oddech.

Stąd dzisiejsza wizyta Elizabeth. Przez chwilę sama myśl o takim kroku wydawała się szaleństwem, lecz zaraz potem doszła do wniosku, że to jedyne wyjście.

Zapłaciła lektykarzom, zasłoniła twarz woalką, po czym została powitana przez chudego żydowskiego chłopca w czarnym jedwabnym kaftanie i takich samych spodniach. Podała swoje nazwisko – pani Tabb – i wprowadzono ją do domu. Trzy minuty w poczekalni, później przeszła do następnego pomieszczenia i doktor Anselm wstał, by ją powitać. Franz Anselm, urodzony w żydowskim getcie w Wiedniu, przybył do Anglii w tysiąc siedemset siedemdziesiątym roku. Był wówczas ubogim dwudziestodwuletnim człowiekiem. Miał zaledwie kilka gwinei zaszytych w koszuli oraz torbę z lekarstwami – skonfiskowali ją celnicy w Dover. Dotarł pieszo do Londynu – tak wędrował po całej Europie – i po blisko roku przymierania głodem znalazł posadę asystenta w nowo otwartym szpitalu położniczym w Westminsterze. Po pięciu latach został asystentem położnika o nazwisku Lazarus, pracującego na Cloth Lane w pobliżu Golden Square, a kiedy Lazarus nieszczęśliwie skaleczył się w palec w trakcie sekcji zwłok kobiety zmarłej na gorączkę połogową, Anselm przejął jego praktykę. Później, nie mając żadnych kwalifikacji oprócz ogromnej wiary w siebie, pięciu lat praktyki zawodowej, instynktownego rozumienia ludzkiej psychiki odziedziczonego po matce oraz egzemplarza *Zestawu tablic anatomicznych* Williama Smelliego, wyrobił sobie markę jako lekarz.

Przed piętnastu laty przeprowadził się do domu, w którym obecnie

prowadził praktykę, a pięć lat później go kupił. Urodził się jako syn nędzarki, lecz zdołał się wzbogacić. Chociaż w dalszym ciągu nie miał dyplomu lekarza, przychodziło do niego coraz więcej kobiet – czasem wzywały go do siebie. Lubiły go, robił na nich wrażenie, często po prostu dlatego, że nie przypominał innych lekarzy. Traktował pacjentki w niekonwencjonalny sposób, miał elastyczne zasady, doskonale rozumiał ludzkie problemy, odznaczał się tolerancją i dysponował dużą wiedzą na temat medycyny europejskiej. Najważniejszy ze wszystkiego był jednak instynkt do chorób odziedziczony po matce.

Z bliska wydawał się jeszcze brzydszy i bardziej antypatyczny niż na przyjęciu u pani Tracey. Miał ciemne, przenikliwe oczy i ogromne, krzaczaste brwi. Obwisłe policzki i górna warga przywodziły na myśl małpę. Jego włosy wydawały się zbyt wełniste, sztuczne.

– Pani... eee... Tabb – rzekł doktor Anselm bardzo łagodnym, miłym głosem, który nie pasował do tak grubego człowieka. – Czy już się spotkaliśmy?

– Nie – odparła Elizabeth. – Polecono mi pana.

– Wolno spytać, kto to zrobił?

– Wolałabym... Moja przyjaciółka nie chciałaby ujawniać swojego nazwiska.

– Bardzo dobrze. Czym mogę pani służyć?

Elizabeth oblizwała wargi. Nie potrafiła przejść do rzeczy. Anselm czekał przez chwilę, po czym uniósł brwi.

– Może mógłbym pani zaproponować coś do picia, pani... eee... Tabb. Kordiał, trochę soku pomarańczowego? Nie trzymam w domu napojów alkoholowych.

– Nie... dziękuję. To, co powiem, doktorze Anselm, powinno pozostać całkowitą tajemnicą... Rozumie pan...

– Moja droga pani, powierzało mi swoje sekrety wielu utytułowanych ludzi, w tym dwie księżne i dwie księżniczki. Gdybym nie potrafił dochować tajemnic, nie mógłbym prowadzić praktyki, a zresztą nie chciałbym.

Pokój, w którym przebywała Elizabeth, wydawał jej się dziwaczny – był zbyt luksusowo umeblowany, by świadczyć o dobrym smaku. Miała wrażenie, że doktor Anselm wszelkimi sposobami stara się zrekompensować sobie chude, ciężkie lata – zaspokaja nie tylko apetyt, lecz również zmysły. Arabski dywan ozdobiony skomplikowanym geometrycznym wzorem w odcieniach jaskrawej czerwieni i żółci. Kotary pochodzące z Francji: haftowane jedwabie z Lyonu. Tapiserie pokrywające ściany, również francuskie, przedstawiały sceny ze Starego Testamentu. Fotel, na którym siedziała Elizabeth, był tak luksusowy, że podobne meble stanowiły rzadkość. Żyrandole wykonano w Wenecji. Jediną oznaką medycznego przeznaczenia gabinetu była długa, płaska leżanka przykryta bladożółtym jedwabiem. Elizabeth powstrzymała dreszcz. Miała nadzieję, że Anselm nie każe jej się nie niej położyć.

– Mam trzydzieści pięć lat – rzekła nagle. – Wyszłam dość młodo za mąż. Później mąż zmarł. Zawarłam ponowny związek małżeński. Teraz jestem brzemienna.

Doktor Anselm rozchylił grube wargi i uśmiechnął się łagodnie.

– Rozumiem.

– Od razu chciałabym pana zapewnić, że nie jest to nieślubne dziecko.

– Ach tak...

– I że nie chcę go stracić.

– Miło mi to słyszeć. Tak czy inaczej, pani... eee... Tabb, jeśli dobrze oceniam pani wygląd, jest pani teraz w piątym miesiącu ciąży, prawda?

– Szóstym.

– Dobrze. Dobrze. – Skinął głową i czekał.

– Podobno ma pan duże doświadczenie, doktorze Anselm.

– Tak twierdzą pacjentki.

– Cóż, z przyczyn, których nie mogę wytłumaczyć, nie chcę tłumaczyć, chciałabym urodzić dziecko w siódmym lub ósmym miesiącu ciąży.

Anselm spojrział ze zdziwieniem na Elizabeth, po czym odwrócił wzrok. Francuski zegar ze złoczonego brązu wybił pół godziny.

– Chciałaby pani urodzić dziecko przed terminem?

– Tak.

– Ale miałyby przyjść na świat żywe?

– Tak, tak. Oczywiście.

Anselm połączył czubki porośniętych włosami palców i popatrzył na dywan.

– Czy to możliwe? – spytała w końcu Elizabeth.

– Możliwe. Jednak dość trudne. I ryzykowne.

– Dla mnie czy dla dziecka?

– I dla pani, i dla dziecka.

– Jak bardzo ryzykowne?

– To zależy. Musiałbym panią zbadać.

O Boże, pomyślała Elizabeth.

– Miała już pani dzieci?

– Tak, dwoje.

– W jakim wieku je pani urodziła?

– Pierwsze, gdy miałam dwadzieścia lat. Drugie w wieku dwudziestu dziewięciu.

– W znacznym odstępnie. Ojcem był ten sam mężczyzna?

– Nie.

– A teraz odstęp wynosi sześć i pół roku?

– Jeśli dziecko urodzi się o czasie, będzie to dokładnie sześć lat.

– Rozumiem. Czy w czasie narodzin pani poprzednich dzieci pojawiły się

jakieś komplikacje?

– Nie.

– Porody nastąpiły o czasie?

Elizabeth się zawahała.

– Tak.

– Kiedy po raz pierwszy nie miała pani miesięcznego cyklu?

– Tym razem? W maju.

– Mogłaby pani podać dokładniejszą datę?

– Czternastego. Dobrze pamiętam. Może trzynastego.

– Czy pani cykle są regularne, czy zmienia się ich pora i długość?

– Regularne. Niekiedy mają różną długość.

Fotel zaskrzypiał, gdy doktor Anselm uniósł swoje ogromne ciało, po czym podszedł do chińskiego kabinetu. Otworzył go, wyjął kalendarz i położył go na biurku w stylu Ludwika XV. Zanurzył pióro w kałamarzu i nabazgrał kilka cyfr na kawałku papieru.

– To oznacza, że powinna pani urodzić dziecko w lutym, prawdopodobnie na początku miesiąca. Chciałaby pani, żebym doradził, w jaki sposób urodzić zdrowe dziecko w grudniu lub styczniu. Czy o to chodzi?

– Tak.

– Mieszka pani w Londynie? Chciałaby pani, żebym się nią opiekował?

– Zamierzałam pozostać w stolicy, ale teraz myślę, że wrócę... cóż, do swojego domu na wsi.

Franz Anselm potarł gęsim piórem podbródek, który, choć ogolony zaledwie przed trzema godzinami, znów pokrył się ciemnym zarostem.

– Pani Tabb, zanim przystąpię do rzeczy, proszę, by się pani zastanowiła, na co się pani decyduje. Natura rządzi się niezmiennymi prawami, które są nienaruszalne. Gdyby przyszła do mnie pani w drugim miesiącu ciąży, mógłbym ją łatwo zakończyć, co byłoby znacznie bezpieczniejsze niż to, o co

mnie pani prosi. Choć jest to możliwe i wydaje się pani zdrowa, przypominam, że ma pani blisko trzydzieści pięć lat, co jest okolicznością niesprzyjającą. Poza tym, co jeszcze ważniejsze, prosi mnie pani o przepisanie lekarstwa, którego działania nie będę mógł nadzorować.

Elizabeth skinęła głową. Żałowała, że przyszła.

– Sądzę, że chciałaby pani, by poród wydawał się przedwczesny, a obecność lekarza, który otwarcie chciałby do niego doprowadzić, byłaby sprzeczna z pani życzeniem.

Znów skinęła głową.

W gabinecie zapadła cisza, ale na ulicy uporczywie brzęczały dzwonki handlarzy.

– Czasem nie mam spokoju nawet w nocy – rzekł doktor Anselm. – O północy przychodzi listonosz i nieznośnie hałasuje dzwonkiem. Poza tym obwieszczenia są często odczytywane późnym wieczorem, by zwracać większą uwagę. Wydaje się, że niektórzy z handlarzy ulicznych w ogóle nie śpią.

– Moim zdaniem popełniłam błąd, przychodząc do pana, doktorze Anselm – powiedziała Elizabeth. – Nie zrobiłabym tego, gdybym nie była w wielkim kłopotcie.

– Proszę usiąść. Doceniam to, co pani mówi, madame. Porozmawiajmy o tym spokojnie, bez emocji i wtedy łatwiej będzie podjąć decyzję.

Elizabeth z nieszczęśliwą miną usiadła w fotelu i czekała.

Anselm przeszedł, człapiąc, przez pokój i wrócił ze szklanką słodkiego soku owocowego. Wypiła łyk, a lekarz skinął głową z aprobatą.

– Moja własna receptura. Bardzo łagodzi nerwy... pani Tabb.

– Tak?

– Sugeruję... Jeśli badanie wykaże, że jest pani zdrowa i że ciąża przebiega normalnie, przygotuję dla pani lekarstwo, które może pani dziś

zabrać ze sobą. To prosty preparat ziołowy złożony z kilku roślin o dobroczynnym działaniu i grzyba rosnącego na zbożu. Jeśli przyjmie je pani zgodnie z zaleceniem w ściśle określonej dawce (dokładnie zapiszę szczegóły) i w ściśle określonym momencie, prawdopodobnie urodzi pani przedwcześnie żywe dziecko. Podam dwie daty – jedną w grudniu, a drugą w styczniu. Może pani dokonać wyboru, lecz zalecałbym grudzień.

– Dlaczego?

– Siedmiomiesięczne dziecko, choć mniej rozwinięte, leży w lepszej pozycji. Około ósmego miesiąca ciąży obraca się i położenie jest mniej korzystne. W siódmym miesiącu rodzi się znacznie więcej żywych dzieci niż w ósmym.

– Rozumiem.

– Proponuję, by wzięła pani ze sobą lekarstwo i miała je zawsze przy sobie. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, może pani zdecydować, czy je pani przyjmie. Jeśli nie, poród nastąpi o czasie, siłami natury. Lecz jeśli nie zmieni pani zdania, może pani użyć mojego specyfiku. Przypuszczam, że będzie pani pod opieką lekarza?

– O tak.

– Dobrze. A także... Cóż, gdyby doszło do komplikacji, gdyby na przykład po narodzinach dziecka skurcze macicy trwały zbyt długo, proszę koniecznie wtajemniczyć swojego lekarza. Może pani źle się poczuć, a on musi wiedzieć, co pani zażyła. Nie jestem jedynym doktorem na świecie, który zna się na swoim fachu.

Elizabeth uśmiechnęła się blado.

– To jednak mało prawdopodobne. Mieszanka ziół we właściwych proporcjach powinna zapobiec takim komplikacjom.

– Dziękuję.

– Bardzo dobrze – rzekł doktor Anselm. – Gdyby zechciała pani łaskawie

położyć się na kozetce. Ograniczę badanie do minimum, by sprawiło pani jak najmniejszą przykrość.

Rozdział dziesiąty

I

W czasie długiej podróży do domu w towarzystwie Dwighta Demelza była rozdarta wewnątrz. Z jednej strony czuła, że opuściła Rossa w chwili kryzysu, z drugiej była absolutnie przekonana, że nie jest w stanie dłużej pozostać w Londynie. Doszło do absurdalnej sytuacji i powinni się rozstać. Jeśli w jakikolwiek sposób wpłynie to na ich przyszłość, ryzyko związane z dalszym pobytem w Londynie wydaje się znacznie poważniejsze.

Kiedy zbliżali się do Nampary, próbowała zapomnieć o goryczy i bólu związanymi z pobytem w stolicy, który zaczął się tak przyjemnie i tak wiele obiecywał. Niezależnie od tego, co powie po powrocie Ross – cokolwiek się stanie z ich małżeństwem – wkrótce, za dzień, za kilka godzin, za kilka minut, zobaczy dzieci, dwór, służących i wszystko – z wyjątkiem Rossa – co jest dla niej najważniejsze na świecie. Musi skupić na tym myśli.

Dziwnie było wracać do Kornwalii po pierwszym wyjeździe. Demelza patrzyła na jałowy krajobraz wybrzeża, ale rześkie powietrze miało balsamiczną miękkość. Zdawała sobie sprawę, że hrabstwo jest ubogie w porównaniu z uporządkowanymi, bogatymi wsiami, przez które przejeżdżała. Raz jeszcze poczuła, że w Kornwalii nie ma tak ogromnej przepaści między bogatymi a biednymi. Dwory, z kilkoma wyjątkami, były znacznie mniejsze niż w środkowej Anglii i nie tak liczne. Miała wrażenie, że w Kornwalii ludzie nie są tak biedni i że ziemianie utrzymują bliższe stosunki

ze swoimi parobkami.

W Truro należało wynająć konie i właśnie tak postąpili. Demelza namawiała Dwighta, by skręcił na rozstajach w stronę Killewarren, lecz nalegał, że odprowadzi ją do domu. Kiedy przybyła do Nampary, we dworze zapanował straszliwy zamęt. Dzieci piszczwały z zachwytu, strąciły jej z głowy kapelusz, objęła ją para chudych i para pulchnych ramion. Natychmiast przybiegli Jane i John Gimlett, Betsy Maria Daniel i reszta służących. Nagle Clowance zaczęła szlochać, a kiedy spytano ją o przyczynę, odpowiedziała, że przecież mama płacze. Demelza odpowiedziała, że to bzdury, że wcale nie płacze, tylko ma w kieszeni cebulę. Kiedy wszyscy zażądali, by ją pokazała, wyciągnęła pomarańczę. Dwight chciał odjechać, lecz Demelza zaproponowała, by przenocował, bo wiedziała, że w domu nie powita go dziecko. Pokręcił jednak głową i powiedział, że koniecznie chce się zobaczyć z Clotworthym.

Nazajutrz w Namparze wszyscy bez przerwy paplali. Dzieci były zdrowe, choć Jeremy stał nad grobem z powodu pryszczka na ramieniu. Tak przynajmniej twierdził on sam – wydawało się, że lubi używać tego zwrotu. Posługiwała się nim żona Zacky'ego Martina i tak mu się spodobał, że bez przerwy go powtarzał. Clowance bardzo urosła, choć nie pozbyła się dziecięcej pulchności. Dzieci nie wyglądają czysto, pomyślała Demelza. Chociaż służący opiekowali się nimi staranniej niż wtedy, gdy Demelza przebywała w Namparze, wydawały się zaniedbane, nieco niechlujne. Brakowało im matczynej troski.

W czasie nieobecności Demelzy relacje między służącymi również się pogorszyły. Kiedy była w domu, panował absolutny spokój. Teraz wydawało się, że pani Kemp za bardzo zadziera nosa (albo nie spełnia swoich obowiązków), że Jane Gimlett uważa Betsy Marię Martin za nieposłuszną (może traktowała ją zbyt ostro?) i że John Gimlett nie powiedział Jackowi

Cobbledickowi czegoś na temat świń, choć powinien to zrobić (a może chodziło o jakieś zaniedbanie Cobbledicka?). Wszyscy po kolei przychodzili do niej ze skargami. W końcu powiedziała, że nie chce tego więcej słuchać, że cieszy się z powrotu do domu i że powinna panować zgoda.

Codzienne sprawy miały pomóc Demelzie zapomnieć o wydarzeniach w Londynie, a przynajmniej sprawić, by zeszyły na dalszy plan. Jednak kontakt ze znajomymi rzeczami, zajęcia związane z życiem rodzinnym w jakiś sposób podkreśliły wszystkie szczegóły pobytu w stolicy, podobnie jak jasne światło podkreśla cienie. Zacky wcześniej pisał, że w październiku wydobyte wzrosło, i teraz poinformował, że w listopadzie również powinno się zwiększyć. Na aukcji w Truro ruda dobrze się sprzedała i wzrosły ceny. W Wheal Maiden w dalszym ciągu nie znaleziono cyny, jedynie niewielkie ilości czerwonej miedzi, podobnej do tej, jaką dawniej wydobywano w zamkniętej Wheal Leisure, i niewielkie ilości srebra i galeny. Nigdy nie znajdowano ich tyle, by zakładać nową kopalnię, ale jako produkt uboczny stanowiły dodatkowy element powiększający zyski.

Drugiego dnia przyszedł Samuel. Pocałował siostrę: zawsze robił to z szacunkiem i pewną dozą pobożności. Demelza, najstarsza z rodzeństwa, wyszła za mąż za ziemianina, lecz była również córką Chrystusa. Po powitaniu natychmiast spytała o Drake'a.

– Wrócił do kuźni Pally'ego, jak mu kazał Ross, i pracuje – rzekł. – Dach został naprawiony, ściany umyte, przyniesiono i zbito trochę mebli. Przesłałaś mi kilka zasłon, dywanów i mat. Odzyskał klientów, których stracił, i wkrótce ma zaorać pola. Ale w dalszym ciągu nie otrząsnął się z żałoby po utracie Morwenny. Boję się, że osaczyły go moce piekielne i że oddali się od Boga.

– Jak kiedyś wspomniałam, niepokoję się o Drake'a inaczej niż ty – odparła Demelza. – Oczywiście chcę, żeby był szczęśliwy w życiu przyszłym, ale teraz troszczę się o jego szczęście na ziemi. Pytam o jego nastrój, a nie

duszę.

– Jest cichy i spokojny – odrzekł Samuel. – Wiesz, że to niezgodne z jego naturą.

– Widuje się z Rosiną?

– Nic o tym nie wiem. Moim zdaniem nie.

Demelza wstała i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Samuel spojrzał na jej suknię z kremowego bawełnianego płótna, z pękiem kluczy na pasku, i pomyślał, że w dalszym ciągu wygląda młodo. Była jednak blada, mniej ładna. Jakby czymś się martwiła.

– Czy coś ci dolega, siostrze? – spytał. – Ciało albo dusza?

Uśmiechnęła się.

– Po trochu jedno i drugie, Samie, ale nie chcę o tym mówić.

– Zawsze warto otworzyć duszę przed Chrystusem.

– Nie mogę tego zrobić. Może szkoda... Opowiedz mi o Drake'u. Czy kiedykolwiek ci mówił, czy kiedykolwiek wspomniał, co się stało, gdy poszedł do Truro?

– Pani Whitworth nie chciała go widzieć. Wyprosiła go jak obcego. Drake mówił, że zmieniła się nie do poznania. Powiedział, że wydawała się prawie szalona. I pewnie widzi teraz, że Drake to zbyt prosty człowiek. Ach, cóż... I tak byłoby to złe małżeństwo, ale Drake za późno to zrozumiał... Mówiłem ci, że przyszło dwóch konstabli?

– Kiedy? Do ciebie? Po co?

Demelza wysłuchiwała opowieści Samuela. Jej serce ogarniał coraz większy chłód, myślała o potwornym podejrzeniu, o którym świadczyła wizyta konstabli. Chwilami myślała o Rossie i zastanawiała się, czy jego również ktoś odwiedzi. Gdyby to się stało pod jej nieobecność, do czego mógłby się przyznać? Czuła ściskanie w żołądku. Jeśli kornwalijski wymiar sprawiedliwości zainteresował się Drakiem, londyński wymiar

sprawiedliwości, z pewnością znacznie skuteczniejszy i znacznie surowszy, musi w końcu zainteresować się Rossem...

– Więc często się zastanawiałem, czy lady Whitworth może coś takiego podejrzewać...

Demelza z trudem skupiła uwagę na Samuelu.

– Słucham? Co powiedziałeś?

– Pani Whitworth, Morwenna, mówiła, że kocha Drake'a. Jeśli potraktowała go tak ostro, tak nieprzyjaźnie, może to oznaczać, że podejrzewa, podobnie jak lady Whitworth, że ma on coś wspólnego ze śmiercią pastora Whitwortha.

– Chcesz powiedzieć, że dlatego nie chciała go widzieć?

– Może.

Demelza zastanawiała się przez chwilę, po czym zdecydowanie pokręciła głową.

– Jeśli Morwenna polubiła Drake'a, musiała go dobrze poznać. Nikt, kto dobrze zna Drake'a, nie mógłby go podejrzewać o zbrodnię.

Przeszli kilka kroków. Kiedy Ross opuści Londyn? Może za kilka dni. Może już to zrobił, jeśli mu pozwolono... Zastanawiała się, jak zareagował na jej wyjazd, gdy przeczytał list? W tej chwili ich relacje wydawały się wyjątkowo trudne. Dzielił ich mur zranionej dumy i niezrozumienia, nie potrafili się przez niego przebić.

– Co powiedziałeś, Samuelu? Przepraszam.

– Zastanawiałem się, czy widziałaś Emmę, gdy byłaś w Tehidy.

– Nie zastałam jej w Tehidy. Ross jeździł tam parę razy, ale prawie z nią nie rozmawiał. Chcesz, żebym spytała?

Samuel zacisnął pięści.

– Nie. Jest mężatką i modłę się, by była szczęśliwa w małżeństwie. Najlepiej o tym zapomnieć.

– W Londynie mówi się, że droga do piekła jest wybrukowana dobrymi chęciami – rzekła gorzko Demelza. – Wydaje się, że można to powiedzieć o moich dobrych chęciach, zarówno względem braci, jak i siebie samej.

Samuel dotknął jej ramienia.

– Nigdy tak nie mów, siostró. Nigdy nie żałuj niczego, co zrobiłaś z dobroci serca.

II

Dwa dni później Demelza przebyła osiem kilometrów, by spotkać się z Drakiem. Miała wrażenie, że w Londynie prowadziła zbyt siedzący tryb życia, i liczyła, że spacer ukoji niepokój czający się w sercu.

Podobno Jud Paynter ciężko zachorował i postanowiła wstąpić do niego po drodze. Nie chciała, by znowu ktoś umarł.

Podążyła w górę doliny porośniętej głogami, gdzie płynął strumień zabarwiony na czerwono. Kiedy dotarła do Wheal Grace, z której komina buchał dym, usłyszała szczęk kół kruszących rudę, ryczenie osłów, turkot wozów (czy Londyn rzeczywiście jest bardziej hałaśliwy?). Następnie minęła Wheal Maiden, ruszyła w dół w stronę kościoła w Sawle i minęła drogę prowadzącą do kotliny Sawle. Na nagim wrzosowisku pasły się kozy, żywiąc się chwastami, których nie mogły jeść żadne inne zwierzęta domowe. (Demelza postanowiła również zajrzeć do Nanfanów, bo Char zachorowała).

Wchodząc do chaty Paynterów, z ulgą spostrzegła, że Jud siedzi na łóżku i wygląda trochę inaczej. Zawsze wyglądał jak buldog, a teraz przypominał buldoga zakonserwowanego w alkoholu – ale jak zwykle gderał i jadł z wielkim apetytem. Prudie przyznała, że trochę chorował, ale jej zdaniem były to tylko podagra, wiatry i żółć, efekt pijaństwa w zeszłą środę w szynku Tweedy'ego. Później zabłądził w drodze do domu i wpadł do stawu Parkera,

w którym sezonowano drewno. Szkoda, że się nie utopił, bo wreszcie byłby spokój.

Stawy do sezonowania drewna często tworzone przy strumieniach. Leżące w nich kłody były bardzo śliskie, na co gorzko skarżył się Jud.

– Wcześniej czułem się trochę zmęczony, powiadam! Nie, pani, to nie z pijaństwa. Byłem trzeźwy jak świnia i szłem do domu powoli jak ślimak. W kapeluszu na łbie, z szalikiem na gębie, lałem do domu powoli jak ślimak, bo byłem zmęczony grzebaniem wdowy Treamble. Dobra kobita, ale zakopalim jej trumnę do góry dnem. I tak już będzie leżeć tyłkiem do góry do dnia Sądu Ostatecznego! Nie wiadomo, co powie Pan Bóg, jak go zobaczy, jak wylazi z trumny tyłkiem do góry. Zbaranieje, zawstydzi się! Bym się nie zdziwił, jakby tobie przytrafiło się to samo, Prudie, jak przyjdzie twój czas.

– Najpierw ty trafisz do trumny, staruchu – odrzekła Prudie.

– Powoli se lałem, pani, trzeźwy jak świnia, a może nawet jeszcze trzeźwiejszy, ażem wreszcie doszedł do mostka – na drugo stronę było dziesięć kroków. Poszłem naprzód i, wciornaści, kiedym postawił stope na desce, deska się załamała! Ślizgałem się, ślizgałem jak na zamarznętej drodze zawałonej gęsim łajnem! Coraz szybciej i szybciej, ażem wreszcie wpadł z pluskiem do wody! Wpadłem głęboko, oj, głęboko, i ożłopałem się wody, co to smakowała jak łajno! Cud boski, żem z niej wylazł i znalazł drogę do domu! A potem nigdy się nie czułem normalnie!

– Wcześniej też nie był normalny – dodała Prudie. – I nigdy nie będzie, aż do Dnia Sądu. A nawet długo, długo potem. Jud Paynter nie będzie normalny, nawet jak wystygnie słońce. Bo nie urodził się normalny!

Demelza została dwadzieścia minut, słuchając okolicznych plotek, a później uciekła na świeże powietrze. Kiedy Prudie podążyła za nią, dała jej jak zwykle pół gwinei. Prudie gorąco jej dziękowała. Po chwili Demelza usłyszała odgłosy sprzeczki dochodzące z chaty.

Minęła wioskę Grambler i bramy Trenwith, po czym ruszyła okrężną drogą, którą chodzili teraz wszyscy, by ominąć posiadłość Warlegganów. Podążała w stronę zatoki Trevaunance i Place House z dala od przylądka. Orano w tym miejscu pole i Demelza słyszała głosy kilku małych chłopców, którzy poganiali woły zaprzęzione do pług: „Dalej, Płowy! Dalej, Kasztan! Dalej, Tatar! Dalej, Gruby! Dalej, Płowy! Dalej, Kasztan! Dalej, Tatar! Dalej, Gruby!”. Bez przerwy powtarzali śpiewnym głosem słowa zachęty. Demelza stanęła i obserwowała ich przez pewien czas. Nad morzem wisiała ławica obłoków przypominająca wełniany koc.

Zeszła ze wzgórza do kuźni Pally’ego.

Drake podkuwał konia, obok czekał gospodarz. Brat zerknął na Demelzę, a rolnik uniósł dłoń do czapki w geście powitania.

– Zaraz skończę.

– Nie śpiesz się – powiedziała i weszła do domu.

III

Wypili herbatę, długo rozmawiali i Demelza zbierała się do odejścia. Powiedział jej więcej niż komukolwiek, częściowo dlatego, że była jego ukochaną siostrą, której nie widział dwa i pół miesiąca, a częściowo dlatego, że ostatnia tragedia, jaka go spotkała, wydarzyła się siedem miesięcy wcześniej. Demelza, dręczona niedawnymi wspomnieniami, słuchała go z wielkim współczuciem.

– Już nigdy się nie ożenię – rzekł. – I nie wierzę, że Samuel się ożeni. To koniec. W tej chwili prawie nic nie czuję. Pracuję jak dawniej. Pracuję, pracuję, pracuję. Może kiedyś będę bogaty! – roześmiał się. – Nieszczęśliwa miłość ma swoje zalety, jeśli komuś zależy na bogactwie. Ma czas na myślenie o pieniądzach.

– Ale ty nie myślisz o pieniądzach.

– Nie, nie myślę. Po prostu pracuję i zarabiam!

– Drake, pamiętasz przyjęcie świąteczne w zeszłym roku? Teraz Caroline chce urządzić Boże Narodzenie u siebie, w Killewarren zamiast w Namparze. Ale wszystko odbędzie się tak samo. Jeśli urządzi to przyjęcie i jeśli na nie pojedziemy, chcę, byś przyrzekł, że też się pojawisz.

– Jeśli pojedziecie?

– Cóż... to zależy. W Londynie wszystko się zmieniło. Nie wiem, czy Ross będzie miał ochotę na przyjęcie świąteczne...

Drake spostrzegł wyraz twarzy siostry, który świadczył o tym, że po powrocie Rossa zapadną ważne decyzje.

– Chciałabym, żebyś tam pojechał nawet wtedy, gdy my nie przyjedziemy albo gdy pojawi się tylko jedno z nas. Caroline zaprosi ciebie i Samuela. Nie przejmuj się, że są bogaci. To moi najdrożsi przyjaciele.

– Pani Enys jest dla mnie bardzo dobra. Naraja mi robotę. Kiedy mieszkała w Killewarren, czasem tu przychodziła i gawędziła ze mną jak równy z równym.

– Więc przyjedź.

– Zaczekajmy na Boże Narodzenie, siostró.

Popatrzyła na niebo. Nad lądem wisały chmury, układając morze do snu.

– Muszę iść. Prosiłam, by nie czekali na mnie z obiadem.

– Znosi się na deszcz. Zostań i zjedz ze mną.

– Nie dzisiaj, Drake. Ale dziękuję.

– Odprowadzę cię do domu...

– Nie, stracisz klientów...

– Klienci mogą poczekać.

Poszedł z Demelzą do szczytu kotliny Sawle. Okolicę spowiła wilgotna mgła. Drake patrzył, jak siostra schodzi w szarym popołudniowym świetle,

z peleryną narzuconą na głowę, w długiej szarej spódnicy, mocnych butach, aż wreszcie zniknęła między sosnami w pobliżu Wheal Maiden. Odwrócił się i ruszył w stronę domu, pochylając głowę przed drobnym deszczem.

Kiedy wrócił do kuźni, czekał na niego Hancock, miejscowy gospodarz. Wydawał się zniecierpliwiony. Przyprowadził dwa woły, które należało podkuć, i wysłał rano do Drake'a chłopca z tą wiadomością, a Drake o tym zapomniał. Spędził pracowitą godzinę. Kiedy Hancock odszedł, Drake ukroił sobie kilka płatów szynki, którą dostał wczoraj od Trevethanów po świniobiciu. Wraz z chlebem, herbatą i dwoma jabłkami stanowiło to dobry posiłek. Później zajął się następnym zamówieniem i pracował aż do czwartej.

Tak mijały dni. W tej chwili zmrok zapadał dość szybko. Dwaj mali Trewinnardowie wracali z pola przemoczeni do suchej nitki, marząc o znalezieniu się w domu. Drake pozwalał im odejść, po czym szedł do bramy dziedzica i patrzył, jak biegną na wzgórze w stronę St Ann's.

W zimie było mniej pracy, po zmroku nie pojawiali się prawie żadni klienci. Wcześniej w czasie długich zimowych wieczorów pracował przy świecy, robiąc łopaty, drabiny i narzędzia, które później sprzedawał kopalniom. Teraz, po pożarze, spędzał czas na kleceniu mebli, by zastąpić nimi te, które się spaliły. Okazało się to o wiele trudniejsze, ale po ukończeniu pracy odczuwał satysfakcję. Na początku korzystał z drewna kiepskiej jakości, lecz ostatnio kupił trochę dobrego dębu i orzecha, bo postanowił zrobić na nowo meble, które na początku pośpiesznie sklecił, by móc zamieszkać w kuźni.

Cóż, nie może stać w nieskończoność z wodą spływającą po twarzy. Nikt już nie przyjdzie. Powinien nakarmić kurczęta i gęsi tuczone na Boże Narodzenie.

Odwrócił się, by odejść od bramy, gdy nagle zauważył mężczyznę w długiej pelerynie schodzącego ze wzgórza od strony St Ann's z torbą w ręce. Sprawiał

wrażenie, jakby się wahał, nie wiedząc dokąd iść, lecz po chwili Drake spostrzegł, że zatrzymał się przy jednej z chat – należała do Robertsów – i pyta o drogę. Pani Roberts wskazała dół wzgórza. Nieznajomy ruszył naprzód. Nie był elegancko ubrany, ale nie wyglądał też na żebraka ani włóczęgę.

Drake wszedł do składziku, by wziąć trochę paszy dla kurcząt. Wsypał ją do miski, z której łatwo ją było rozrzucać, nakarmił kurczęta i patrzył, jak biegają wokół niego na długich nóżkach, a później po dziedzińcu, próbując zbierać rozrzucone jedzenie.

Usłyszał szcęk bramy i znów wyszedł na dwór. Nieznajomy odezwał się:

– Czy mógłby mi pan łaskawie powiedzieć... ach... – A później, cichym głosem: – Drake!

Drake upuścił miskę, która upadła, i wysypała się z niej reszta paszy.

– Och, kochana... – wyjąkał. – Wróciłaś do domu?

IV

Siedziała naprzeciwko niego w małej izdebce. Włosy miała ciągle mokre od deszczu, na rzęsach jej krótkowzrocznych oczu lśniły łzy. Zrzuciła pelerynę i siedziała w brązowej wełnianej sukni niczym wysoki, mokry ptak, który schronił się na chwilę pod drzewem, lecz odleci, gdy wyschnie i odpocznie. Drake uklęknął, by rozpiąć jej czarne mokre trzewiki o kwadratowych noskach, ale cofnęła stopy, czując jego dotyk. Trzymała w ręku kubek z herbatą, ogrzewając dłonie i próbując nie drżeć.

– Odeszłam dziś rano... – powiedziała. Mówiła szybko, bez przerw – ... wczesnym rankiem. Najpierw pomyślałam, że zostawię list, ale wydawało mi się to... wydawało się tchórzliwe. Czułam, że skoro dawniej zachowywałam się tchórzliwie, teraz trzeba z tym skończyć, więc poszłam do jej sypialni, nim wstała, i powiedziałam, co zamierzam zrobić. Na początku się roześmiała –

nie uwierzyła mi – ale gdy zrozumiała, że mówię poważnie, wpadła we wściekłość. Wydawała się puchnąć... Ossie też tak wyglądał, gdy się złościł, gdy coś go irytowało albo... albo frustrowało.

Drake obserwował Morwennę w milczeniu, prawie nie wierząc, że przysłała do kuźni.

– Powiedziała, że mnie powstrzyma, wezwie służących, zamknie na klucz w pokoju, a potem umieści w zakładzie, jak raz próbował zrobić Osborne. Stwierdziłam, że nie ma prawa, że nikt nie ma prawa. Jestem wdową, a zresztą czy ją obchodzę? Co ją to obchodzi? Przysparzam jej tylko wydatków i kłopotów. Zostawię jej syna... swojego syna.

– Nie mów, Morwenno, jeśli cię to denerwuje.

– Chcę mówić, Drake. Muszę mówić. Muszę ci wszystko powiedzieć...

Nagle się zakrztusiła i przez chwilę milczała. Policzki zaróżowiły jej się od gorącej herbaty.

– Krzyczała na mnie... krzyczała przez długi czas, a potem powiedziała, że dobrze, mogę iść, ale jeśli to zrobię, mogę zabrać tylko to, co mam na sobie. Jeśli odejdę, nie wolno mi nigdy wrócić. Odparłam, że pójdę i nigdy nie wrócę, obiecałam... obiecałam, że nie wrócę. Wyszłam z plebanii i dotarłam do najbliższej farmy, a gospodarz podwiózł mnie wozem do Grampond. Po wielu godzinach oczekiwania wsiadłam do dyliżansu do Truro, a potem znów musiałam długo czekać, nim znalazłam wóz jadący w tę stronę. Dojechał do Goonbell, później szłam na piechotę. Musiałam często pytać ludzi, bo nie wiedziałam, gdzie mieszkasz.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Ostatni raz widział ją z tak bliska przed czterema laty, rozmawiali wtedy sam na sam. Znów ją poznawał. W końcu popatrzyła na niego, a Drake odwrócił wzrok.

– Jadłaś coś?

– Dziś rano.

– Mam trochę szynki. I jest kawałek sera, są jabłka i chleb.

Pokręciła głową, jakby to było nieistotne.

– Przyniosę ci koc, żebyś się nim owinęła – powiedział.

– Muszę ci opowiedzieć o tym, co się stało w kwietniu, Drake – odezwała się.

– Czy to ważne?

– Dla mnie ważne. Muszę ci powiedzieć. Nawet jeśli mnie to zaboli.

– Więc powiedz. Tylko pamiętaj, że nie ma to dla mnie znaczenia.

Odgarnęła z czoła kilka kosmyków wilgotnych włosów. Jej oczy przypominały ciemne stawy.

– Wiesz, że nigdy nic nie czułam do Osborne'a?

– Nie lubiłaś go.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nienawidziłam, Drake. Wiesz, że kiedy byłam mała, nawet nie wiedziałam, czym jest nienawiść? W ogóle nie znałam takiego uczucia. Dopiero po ślubie. To coś strasznego. Niszczy w człowieku całe dobro. Jakby dziecko zmieniło się w starca w ciągu kilku miesięcy. – Zadrżała. – Chcę zapomnieć, że go kiedykolwiek nienawidziłam, Drake. Czy mogę mówić po prostu, że nigdy nic do niego nie czułam?

– Niechaj tak będzie.

– Kiedy urodził się John, mój syn, długo chorowałam. Potem odkryłam, że w tym czasie Osborne związał się z inną kobietą, co uczyniło mnie jeszcze bardziej chorą i nieszczęśliwą. Nie mogę ci powiedzieć, kto to był, ale było to dla mnie upokarzające, upokarzające fizycznie, choć nie chciałam, żeby do mnie wrócił...! Och, tak źle to wszystko opowiadam!

Wstał, wziął kubek, napełnił go ponownie i podał Morwennie. Znów zauważył, że cofa się z przerażeniem, gdy jej dotyka.

– Później, po kilku miesiącach... nie pamiętam, ile miesięcy minęło... ta

kobieta odeszła i chciał, żebym znowu była jego żoną. Odmówiłam... strasznie się kłóciliśmy. W dalszym ciągu odmawiałam i groziłam mu w okropny sposób. Przez długi czas nie pozwoliłam się dotknąć, chyba przez dwa lata... Ale półtora miesiąca przed śmiercią przyszedł i mnie zmusił. Potem znowu. Nie jeden raz, rozumiesz. To się powtarzało...

Zacisnął pięści.

– Musisz mi o tym mówić?

– Tak! Muszę ci wytłumaczyć, że po jego śmierci czułam się zbrukana. Myśl o tym, że ktoś mógłby mnie dotknąć, sprawiała, że ogarniały mnie mdłości, doprowadzała mnie do szaleństwa. Wcześniej, gdy mu odmawiałam, czasem mówił, że zwariowałam, ale tuż po jego śmierci, po jego śmierci, byłam najbliższa szaleństwa w całym swoim życiu! Czy w ogóle to rozumiesz, Drake?! Połączyło nas coś pięknego, pełnego czułości i prawdy – coś, co może się pojawić między młodym mężczyzną a młodą kobietą – chociaż nie wierzę, że ludzie potrafią to odczuwać tak głęboko jak my. A potem to wszystko zmieniło się w ohydę, coś wstrętnego, zwierzęcego...

Odstawiła kubek na stół. Jej dłoń drżała lekko. Trzaskało drewno dorzucone do ognia przez Drake'a. Sukienka Morweny powoli wysychała.

– Kiedy miałam piętnaście lat, pojechałam z ojcem do St Neots, gdzie wygłosił kazanie. Nazajutrz, w drodze powrotnej, zobaczyliśmy młodego jelenia zabitego w czasie polowania... Nigdy tego nie zapomnę. Wdzięczne, zgrabne zwierzę leżało na kamieniach, rozpruto mu brzuch nożem, a serce, wątroba i wnętrzności parowały w słońcu, wydzielając wstrętny odór!

– Morwenno!

– Czułam się jak ten jelen, Drake, jak ten jelen! Kiedy przyszedłeś, myślałam tylko o fizycznym kontakcie. Czułam odrazę, dostawałam gęsiej skórki, ogarniały mnie mdłości. Więc widzisz, że jestem... ciągle jestem trochę szalona.

– Moja kochana...

– Poza tym po jego śmierci odkryłam, że znów noszę jego dziecko – powiedziała.

– A potem...? – Odruchowo zerknął na talię Morwenny.

– Straciłam je... dwa miesiące temu. Och, nie pozbyłam się go celowo. Nic nie zrobiłam. Ale to biedactwo mogło czuć, że go nienawidzę... Nienawiść! Miałam więcej nie wymawiać tego słowa. Straciłam dziecko. To się po prostu stało.

Drake westchnął powoli.

– A teraz... teraz przyszłaś.

– Poczułam, że mogę przynajmniej się z tobą spotkać.

– Modłę się o coś więcej. Dokąd możesz pójść?

– Do Trenwith.

Nie odezwał się. Zbliżył się do paleniska, by podsyć ogień, ukucnął przy nim, po czym szybko zszedł po dwóch stopniach do kuchni, ukroił kromkę chleba, położył na niej cienki plaster szynki i przyniósł kanapkę na talerzu.

– Zjedz to.

– Nie chcę.

– Musisz coś zjeść. Długo pościłaś.

Z ociąganiem odgryzła kawałek chleba, przeżuła, połknęła, znów ugryzła. Obserwował ją. Zjadła kanapkę i lekko się uśmiechnęła.

– Dlaczego do Trenwith? – spytał.

– To najlepsze miejsce. Mieszkają tam rodzice mojej kuzynki.

– Chcesz się z nimi spotkać z jakiegoś specjalnego powodu?

– Zawsze byli dla mnie mili.

– Ale najpierw przyszłaś tutaj.

– Musiałam się z tobą zobaczyć... i wyjaśnić.

– To wszystko?

– Tak... to wszystko.

Zapadło długie milczenie.

– Kiedy przyjechałem do Truro, by cię zobaczyć, miałem zamiar cię zabrać, poprosić, żebyś została moją żoną, gdy tylko będziesz mogła wziąć ślub po śmierci męża – odezwał się Drake. – Bardzo się śpieszyłem. Działalem pod wpływem impulsu. Powinienem się wcześniej zastanowić.

– Nie mogłeś wiedzieć tego, co ci powiedziałam.

– Ale teraz... Nie wyjdiesz za mnie, Morwenno?

Pokręciła głową, nie patrząc na niego.

– Nie mogę, Drake.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, o czym ci mówiłam. Bo czuję to, co czuję.

– Co masz na myśli?

– Mogę ci ofiarować bardzo niewiele.

– Możesz mi dać siebie. Tylko tego pragnę.

– Właśnie tego nie mogę zrobić.

– Dlaczego nie, kochana?

– Drake, nic nie zrozumiałeś. Bo jestem ciągle zbrukana... moja dusza jest zbrukana. Czuję odrazę na myśl o tym, czym jest małżeństwo. Gdybyś mnie teraz pocałował, nie czułabym wstrętu, bo całowali mnie inni ludzie. Pocałunek to po prostu pozdrowienie. Ale gdybyś mnie dotknął, natychmiast bym się cofnęła, bo przypomniałyby mi się jego ręce. Zauważyłeś to, gdy próbowałeś rozpiąć mi buty?

– Tak.

– Najgorsze są właśnie... właśnie buty, nie mogę tego znieść. I cała reszta... Ponieważ jestem szalona. Trochę. W tej sferze. Myśl o tym, że... mogłabym spać z mężczyzną... dotknąć go i... i to, co jest potem... sama ta myśl...! – Zwiesiła głowę.

– Nawet ze mną?

– Nawet z tobą...

Wyjęła okulary z torebki i przetarła je chustką.

– Musiałam je zdjąć, gdy tu szłam, bo oślepiła mnie mżawka. Teraz lepiej cię widzę, Drake – powiedziała rzeczowo. – Muszę iść. Dziękuję, że udzieliłeś mi schronienia. W kwietniu potraktowałam cię w taki sposób... Jesteś bardzo dobry, wyrozumiały...

Wstał, lecz nie zbliżył się do niej. Trzymał się w bezpiecznej odległości.

– Morwenno, muszę ci powiedzieć, że niedługo przed... przed śmiercią pastora Whitwortha zaręczyłem się z dziewczyną z Sawle. Nazywa się Rosina Hoblyn. Myślałem, że cię na zawsze straciłem. Przyjaciele uważali, że marnuję sobie życie. Tak było. Zaręczyłem się z Rosiną. Kiedy dowiedziałem się o śmierci pastora, poszedłem do Rosiny i poprosiłem, żeby mnie zwolniła ze słowa. Zrobiła to, bo to szczerą, uczciwą, dobrą dziewczyną. Potem poszedłem do Truro, a ty kazałaś mi odejść. Ale kiedy to zrobiłaś, nie wróciłem do Rosiny, nawet gdyby mnie ciągle chciała. Postanowiłem nigdy się nie żenić. Powiedziałem swojej siostrze – była tu dzisiaj – że nigdy się nie ożenię. To szczerą prawdą, nie kłamię! A więc... – Popatrzył na Morwenne.

– A więc?

– Czy nie lepiej, żebyś za mnie wyszła? Inaczej nie będę miał żony do końca życia.

Uniosła wolną rękę do ust.

– Drake, ty ciągle nic nie rozumiesz...

– O tak, myślę, że rozumiem. – Chciał przykucnąć przed nią, lecz w porę się powstrzymał. Osunął się nieco. – Zostań moją żoną tylko z nazwy... Poślub mnie w kościele... Tylko o to proszę. Miłość, miłość cielesna przyjdzie któregoś dnia, jeżeli ma przyjść. Jeśli nie, to nie. Ty o tym zdecydujesz.

Opuściła rękę i odpowiedziała:

– Nie mogłabym cię prosić o takie poświęcenie. To niesprawiedliwe. Przecież mnie kochasz! Wiem o tym. Jak mógłbyś... jak mógłbyś dotrzymać obietnicy, której nie mam prawa od ciebie wymagać?

– Kiedy składam obietnicę, to jej dotrzymuję. Nie kochasz mnie na tyle, by mi nie wierzyć?

Pokręciła głową.

– Posłuchaj – rzekł. – Dlaczego tu dziś przyszałaś?

Morwenna popatrzyła na Drake'a.

– Czy nie dlatego, że chciałaś mnie zobaczyć? – spytał cierpliwie.

Skinęła głową.

– Życie to coś więcej niż miłość cielesna, prawda?

– Tak... o tak, ale...

– Bądź uczciwa. Czy naprawdę nie chcesz żyć razem ze mną? Ze mną bardziej niż z kimkolwiek na świecie?

Wahała się przez dłuższą chwilę, po czym znów skinęła głową.

– Ale...

– Czy to nie najważniejsze ze wszystkiego? Być ze sobą. Pracować razem. Rozmawiać. Spacerować. Miłość to bardzo wiele, nawet jeśli nie jest tą miłością, którą masz na myśli. Wschód słońca, deszcz, wiatr, chmury... huk morza, śpiew ptaków, ryk krów, złociste zboże i zapachy wiosny. Jedzenie, czysta woda. Świeże jajka, ciepłe mleko, młode kartofle, domowe dżemy. Dym płonącego drewna, piskłę rudzika, dzwonki, ciepło kominka... Mógłbym wyliczać w nieskończoność. Jeśli przeżywa się te przyjemności z kimś, kogo się kocha, radość jest cztery razy większa! Myślisz, że nie oddałbym życia za to, by zobaczyć, jak siedzisz z uśmiechem na tamtym fotelu? Czym jest życie, jeśli przeżywa się je samotnie?

– Och, Drake... – odpowiedziała. Po jej twarzy zaczęły spływać łzy, które kapały na ręce zasłaniające usta. – O Boże... ja...ja... się bałam...

– Nie możesz się bać czegoś, co jest ci potrzebne.

– Nie... Boję się własnej słabości. Boję się, że nigdy cię nie przekonam. Kocham cię, oczywiście. Wiele razy powtarzałam to sobie po nocach. Często było to jak hymn – dawało mi siłę. Ale to nie znaczy, że jestem zdrowa, Drake. Jestem kaleką, mam... mam zbrukaną duszę!

– Spokojnie – odpowiedział. – Nie zbliżę się do ciebie nawet po to, by otrzeć ci łzy.

Rozdział jedenasty

I

Obrady parlamentu odroczone do dwudziestego listopada i Izba Gmin miała się znów zebrać dopiero dwudziestego pierwszego stycznia. Uczestnicy następnej sesji rozpoczną nowe życie w nowym stuleciu.

Warlegganom zostały dwa wolne miesiące i postanowili mimo wszystko wrócić do Kornwalii. Elizabeth bardzo na tym zależało, a George nie miał nic przeciwko temu. W tej chwili z pozoru nie interesował się żoną i synem niepewnego pochodzenia, który podróżował wraz z nimi. Nie troszczył się również o dziecko mające się narodzić – ciąża Elizabeth stała się widoczna. Nie wracali do Kornwalii w pośpiechu, lecz również nie podróżowali powoli, w triumfalnym nastroju. Dylizans podskakiwał na wybojach, kolejne etapy były męczące, a w sypialniach gospód wiało. Dotarli do Truro w niedzielę pierwszego grudnia, ale w mieście panowała epidemia i Elizabeth powiedziała, że woli jechać do Trenwith. George nie miał nic przeciwko temu, musiał jednak załatwić w mieście pewne sprawy. (Była to prawda, ponieważ część mieszkańców z St Michael uparcie nie chciała zwolnić dzierżawionych domów). Elizabeth wyruszyła do Trenwith piątego grudnia, zabierając ze sobą Valentine'a.

Ross spotkał się z Caroline dwudziestego pierwszego. Spytała, czy nie mógłby poczekać kilka dni, by pojechali razem. Zabierała ze sobą pokojówkę, toteż mieliby przyzwoitkę, w przeciwieństwie do Demelzy i Dwighta. Ross

pomagał Johnowi Cravenowi uporządkować masę spadkową po Monku Adderleyu i spłacić część jego długów, więc się zgodził. Gdyby zamierzali go odwiedzić przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, cóż, niechaj tak będzie – dzień lub dwa nie robią żadnej różnicy. Ross podchodził do tego z fatalistycznym spokojem. Jednak mijały kolejne dni i wciąż nie przynoszono mu wezwania na przesłuchanie, a przedstawiciele Korony nie pukali do drzwi jego domu. Raz odwiedził Andromedę Page, lecz związała się już z młodym hrabią, który niedawno przyjechał z Cambridge, i nie miała czasu na wspomnianie utraconego kochanka. Tak przemija chwala tego świata...

Ross, Caroline i pokojówka wyruszyli do Kornwalii w sobotę trzydziestego listopada dylizansem, który o siódmej rano odjeżdżał sprzed gospody Pod Koroną i Kotwicą na Strandzie. Ross starał się zachowywać spokój, był on jednak tylko pozorny, i poczuł ulgę, że opuszcza Londyn... Kiedy wróci – jeśli wróci – cała sprawa z pewnością będzie należeć do przeszłości.

Szóstego grudnia Demelza otrzymała wiadomość dostarczoną przez jednego z małych Trewinnardów i natychmiast pojechała do kuźni Pally'ego. Drake powitał ją przy bramie. Jego twarz wszystko jej powiedziała.

– Czy ona...

– Jest w środku. Powiedziałem, że cię zaprosiłem.

Kiedy Drake pomagał Demelzie zsiąść z konia, trzymał jej rękę dłużej, niż było to konieczne.

– Siostró... bądź dla niej miła.

Demelza się uśmiechnęła.

– Myślisz, że nie będę dla niej miła?

– Nie... Właśnie dlatego po ciebie posłałem. Ale uważam...

– Co uważasz?

– Że jeśli coś pójdzie nie tak, ona znowu ucieknie. Po prostu odejdzie...

Morwenna obierała ziemniaki w izbie na piętrze. Natychmiast wstała i zdjęła okulary. Demelza uśmiechnęła się do niej, a młoda kobieta odwzajemniła uśmiech i wygładziła fartuch. Była wysoka, wydawała się zawstydzona i nie pasowała do otoczenia.

– Pani Poldark...

– Pani Whitworth.

– Proszę... proszę usiąść.

– Moim zdaniem powinniśmy mówić do siebie po imieniu – powiedziała Demelza.

Usiadły. Morwenna wróciła do obierania ziemniaków. Wyjmowała je z kosza i wrzucała do miski. Miała taką minę, jakby czegoś się bała.

Demelza rozejrzała się po brzydkiej izbie.

– Drake bardzo potrzebuje kogoś, kto mógłby zadbać o dom – powiedziała po chwili.

– Tak...

– Mówi, że chce, żebyś się tym zajęła...

– Tak.

– Chcesz tego, Morwenno?

– Tak myślę... Po prostu nie wiem, czy się nadaję.

– Jesteś chora?

– O nie. Jestem silna. Fizycznie jestem silna.

– A więc?

Drake przyniósł nieuniknioną herbatę. Piły przez kilka minut i prawie się nie odzywały. Później Drake bardzo taktownie skłonił Morwenę do zrelacjonowania części rozmowy z poprzedniego wieczoru.

W końcu Demelza powiedziała cicho:

– Drake był bardzo nieszczęśliwy po twoim odejściu, Morwenno. Trwało to kilka lat. Stał się cieniem człowieka. Czy teraz, gdy do niego wróciłaś, nie

uważasz, że szkoda, byście się znów rozstali?

– Tak... Ale...

– Powiedziałaś mu, co myślisz o małżeństwie, a on całkowicie się zgadza. Jeśli go poślubisz, wasze małżeństwo nie będzie pełne, chyba że kiedykolwiek zmienisz zdanie. Drake przysięga, że uszanuje twoje życzenie.

– Tak, przysięga.

– Wierzysz mu?

Morwenna spojrzała na Drake'a.

– Tak...

– Więc wyjdiesz za niego?

Morwenna rozejrzała się po izbie, jakby szukała drogi ucieczki. W końcu oblizła wargi i rzekła:

– Wiem tylko, że chcę spędzić z nim resztę życia...

– Moim zdaniem nie może być lepszego powodu do małżeństwa – powiedziała Demelza.

– Dopóki mnie rozumie! – rzekła z desperacją Morwenna. – Nie jestem już normalna! Nie jestem normalna! Nie jestem...

– Tłumaczyłem to Morwennie wczoraj wieczorem – zwrócił się Drake do Demelzy. – Życie razem jest lepsze od samotności.

– Wybacz mi, że to mówię, ale żona kowala prowadzi zupełnie inne życie niż żona proboszcza – powiedziała Demelza. – Nie ma pozycji, musi ciężko pracować, pracować rękami. Drake'a nie stać na służącą. Zastanawiałaś się nad tym?

– To nic! – odpowiedziała dumnie Morwenna. – Byłam najstarszą córką w rodzinie, a moja matka nigdy nie była silna. Byłam najsilniejsza z sióstr. Nauczyłam się gotować i prowadzić dom. Oczywiście mieliśmy służące, ale nie robiły wszystkiego... Przez kilka lat żyłam jak dama: gotowano mi posiłki, usługiwano, traktowano jak ważną osobę. Prawie nie musiałam pracować

rękami, ale w głębi serca zazdrościłam pokojówce, córce ogrodnika, żebracze przy drzwiach. Wolałabym zamiatać ulice, niż być tym, kim byłam! Myślicie, że teraz nie mam ochoty pracować?!

– I żyć z Drakiem?

Znów się zawahała.

– Tak.

– Mogłabyś prać mu ubrania, szorować podłogi?

– Nie ma potrzeby – wtrącił Drake.

– Oczywiście – powiedziała Morwenna. – To nic, nic...

Demelza skinęła głową.

– I nie martwi cię to, że twoja matka będzie wstrząśnięta?

– Mam prawie dwadzieścia cztery lata – odparła ostro Morwenna. – To, co powiedzą moi krewni, jest bez znaczenia.

Taka młoda... – pomyślała Demelza, po czym spojrzała na Morwennę i Drake'a. Dziewczyna wydawała się znacznie starsza, starsza nawet od Drake'a. To skutek cierpienia. Ale kto wie, co może zdziałać szczęście? Demelza od początku była przeciwna temu małżeństwu. Nie z przyczyn osobistych: uważała, że Morwenna nie nadaje się na żonę dla brata. Była dobrze wychowana, spokrewniona z Warlegganami. A jednak... oczy Drake'a. Od wczoraj zupełnie się zmieniły.

– Więc go poślubisz, Morwenno?

– Myślałam, że odpowiedziałam na to pytanie.

– Nie powiedziałaś: tak.

– A więc... tak.

Wypowiedzenie tego słowa zajęło dużo czasu, jakby Morwenna musiała przeorać pole zastrzeżeń i wątpliwości. Drake przestąpił z nogi na nogę i odetchnął głęboko.

– Cieszę się – rzekła Demelza. – Cieszę się ze względu na was.

– Jak szybko możemy się pobrać? – spytał Drake.

– Za jakiś czas. Morwenna, może zamieszkałabyś z nami w Namparze? Bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mogli cię gościć.

– Wolałbym, żeby została tutaj – powiedział Drake.

Demelza się uśmiechnęła.

– To Morwenna powinna zdecydować. Jeśli zamierzacie dalej mieszkać w tej okolicy, może powinniście brać pod uwagę, co powiedzą ludzie.

– Nie obchodzi mnie to – rzekła Morwenna.

– Poproszę panią Trewinnard, by nocowała w kuźni – odezwał się Drake. – W razie potrzeby sam mogę spać w chacie Trewinnardów.

– Jak chcesz, Drake – powiedziała Morwenna.

– Decyzję powinna podjąć Morwenna – upierała się Demelza.

Dziewczyna się zawahała.

– Przepraszam. Czasem trudno mi się skupić... Zostanę, Demelzo. Dziękuję. Zostanę tutaj.

Demelza ją pocałowała.

– Kiedy weźmiecie ślub i Drake będzie pewny, że jesteś jego żoną, mam nadzieję, że przywiezie cię do Nampany, byś poznała Rossa. Naprawdę poznała. Spędzimy miło czas.

Wyszła. Po chwili dogonił ją Drake i przycisnął policzek do jej policzka.

– Niech cię Bóg błogosławi, siostrze! Niech cię Bóg błogosławi. Czy możesz zrobić dziś coś jeszcze?

– Co takiego?

– Idź ze mną do pastora Odgersa. To straszne, że musimy czekać trzy tygodnie! Nie można tego skrócić?

– Czy to ważne?

– Boję się o nią – odparł. – Tak jak powiedziałaś: muszę być pewny, że jest moją żoną. Jeszcze tego nie wiem, nie będę pewny do dnia ślubu. Boję się, że

coś się może stać. Boję się, że zmieni zdanie i ucieknie.

II

– Cóż, pani Poldark, chętnie spełniłbym pani prośbę, gdyby było to zgodne z prawem kanonicznym – rzekł pastor Odgers. – Jednak, jak pani wie, to niemożliwe. Dziś jest piątek. Najwcześniej mogę ogłosić pierwsze zapowiedzi w niedzielę, choć, ściśle biorąc, należałoby trochę poczekać. Ale później...

Niski duchowny wyszedł z kuchni, gdzie pomagał żonie solić wieprzowinę. Zachowywał się przypochlebnie, lecz miał mieszane uczucia. Był głęboko wstrząśnięty. Córka dziekana, wdowa po dawnym proboszczu, którą Odgers zawsze traktował z najwyższym szacunkiem należnym z racji jej statusu, nagle postanowiła poślubić prostego kowala. Gdyby Odgersa spytano, co o tym sądzi, przyznałby szczerze, że w jego opinii jest to coś bardzo podobnego do bluźnierstwa.

Normalnie powitałby Drake'a wyjątkowo chłodno, ale sytuacja była bardziej skomplikowana. Młodemu człowiekowi towarzyszyła żona kapitana Poldarka, a kapitan Poldark był członkiem Izby Gmin, zaufanym wicehrabiego Falmouth. Teraz, gdy beneficjum niespodziewanie znów było wolne i pojawiła się ostatnia szansa, że otrzyma je Odgers, nie mógł sobie pozwolić na urażenie żony kapitana Poldarka.

Żona kapitana zmarszczyła brwi i powiedziała:

– Pastorze Odgers, zdaje się, że słyszałam coś o specjalnej dyspensie. Czy jest coś takiego?

– Ach, tak, pani. Można ją uzyskać tylko od arcybiskupa Canterbury. Zwykłej dyspensy, która nie ma nadzwyczajnego charakteru, może udzielić archidiakon Kornwalii albo jego przedstawiciel w okręgu.

– Kto nim jest?

Pastor Odgers podrapał się pod peruką z końskiego włosia.

– Sądzę, że archidiakon zazwyczaj mieszka w Exeter, chyba że... hm... wizytuje podległe parafie. Ale urząd archidiakona mieści się w Bodmin. Myślę, że gdyby państwo się tam udali, gdyby młody człowiek zwrócił się do archidiakona... – Nie był w stanie wymówić nazwiska Drake’a, bo musiałyby nazwać go panem – i towarzyszyłby mu ktoś, kto złożyłby pod przysięgą stosowne oświadczenie i zadeklarował kaucję, wówczas można by uzyskać dyspensę. Wkrótce po jej otrzymaniu mógłbym odprawić ceremonię ślubną.

Demelza spojrzała na Drake’a.

– To około czterdziestu kilometrów. W obie strony osiemdziesiąt. Chciałbyś jechać tak daleko?

Drake skinął głową.

– Co należy zrobić? – spytała Demelza.

– Powinna pani złożyć zaprzysiężone oświadczenie, że nie ma przeszkód prawnych. Pani albo młody człowiek. Potrzebny jest świadek, że mieszka on w tutejszej parafii. Mieszka, prawda? Tak, w pobliżu jej granicy. – Odgers z niechęcią to przyznał. – Potrzebne byłyby pieniądze. Zdaje się dwie gwinee, nie jestem pewien. Osoba towarzysząca młodemu człowiekowi musiałaby być gotowa zadeklarować znaczną kwotę jako kaucję.

– Czy mogłaby to zrobić kobieta?

– O tak. Ale nie... nie przyszła...

– Myślałam o sobie.

– Radziłbym – rzekł Odgers – poczekać do poniedziałku, by mieć pewność, że zastaną państwo duchownego, który zastępuje archidiakona. W soboty i niedziele może mieć wiele zajęć, przebywać poza miastem.

Kiedy opuścili plebanię, Demelza powiedziała:

– Cóż, to najlepsze rozwiązanie.

– Pożyczysz mi konia?

– O tak.

– Pojedziesz ze mną?

– Chyba lepiej się nadaję niż Samuel. Jako żona Rossa mam pewien...

– Wiem. – Pocałował ją. – Nie zapomnę ci tego, siostró.

Byłoby dobrze wyjechać na jeden dzień: przynajmniej czymś by się zajęła. Oczekiwanie na Rossa nieznośnie się dłużyło.

– Czy Samuel już wie? – spytała.

– Jeszcze nie. Mogłabyś mu powiedzieć? Myślę, że zrobisz to lepiej ode mnie.

III

Ulewny grudniowy deszcz zalał gościniec w pobliżu Marlborough, toteż dyliżans Rossa i Caroline musiał czekać przez cały dzień. Niedzielę ósmego grudnia spędzili w Plymouth i przewidywali, że nazajutrz dotrą do domu.

Codziennie jedli razem obiady i kolacje. Każdego wieczoru miło rozmawiali na wiele tematów, poczynając od szaleństwa cara, a kończąc na podatku od koni, unikali jednak spraw osobistych. Caroline okazała się sympatyczną towarzyszką podróży, dowcipną, choć dość milkliwą. Nie była tak rozmowna jak Demelza.

Nocowali w gospodzie Pod Fontanną, a kolację zjedli w jednym z wygodnych boksów z czerwonymi pluszowymi siedzeniami i stołami z orzechowego drewna. W końcu Ross pierwszy odsunął dzielącą ich zasłonę kurtuazji. Przypomniawszy Caroline, jak zaaranżował w tej samej gospodzie jej spotkanie z Dwigthem. Działo się to zaledwie sześć lat wcześniej.

– Mam wrażenie, że minęło kilka stuleci – odpowiedziała Caroline. – Dwigth pewnie czuje podobnie, bo później siedział w więzieniu we Francji,

a potem przez cztery lata był moim mężem.

– Często zastanawiałem się nad swoją arogancją – rzekł Ross. – Skojarzyłem was niemal siłą. Uważałem, że wiem lepiej do was, czy powinniście się pobrać.

– Problem polega na tym, że jesteś z natury arogancki, Ross – odparła Caroline. – Czasem to wielka cnota, czasem nie.

– A wtedy?

Uśmiechnęła się. Przebrała się na kolację w suknię z zielonego aksamitu o chłodnym odcieniu, który był jej ulubionym kolorem, ponieważ kontrastował z rudymi włosami i podkreślał zieleń oczu. W zestawieniu z innymi barwami często wydawały się orzechowe lub szare.

– Cnota – powiedziała. – Dwight to jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek chciałam poślubić... Choć może nie jedyny mężczyzna, z którym chciałam spędzić noc.

Ross ukroił sobie kawałek baraniny, nałożył na talerz i polał sosem z kaparów.

– To nic niezwykłego – rzekł.

– Tak... wszyscy czasem myślimy o przygodzie z inną osobą. Jednak później odwracamy oczy.

– Zazwyczaj...

Caroline jadła niewiele, ledwo skubała jedzenie.

– Dwight i ja, ty i Demelza... Zdajesz sobie sprawę, jak dobrze się prowadzimy w porównaniu ze standardami obecnej epoki?

– Niewątpliwie.

– Niewątpliwie. Tyle moich przyjaciółek w Londynie... Ale zapomnijmy o Londynie. Również w Kornwalii. Dodajmy do tego romanse, czasem sekretne, czasem jawne, między naszymi przyjaciółmi lub ich przyjaciółmi. To samo dzieje się wśród biedoty, choć może według nieco innych schematów.

Ross wypił łyk wina.

– Zawsze tak było.

– Tak, ale istniała także niewielka liczba uczciwych małżeństw, w których miłość, wierność i prawda zachowały swoje znaczenie. Właśnie tacy jesteśmy, prawda?

– Tak.

Caroline wypła duży łyk wina, opróżniając pół kieliszka. Oparła się o czerwone pluszowe obicie.

– Mogłabym radośnie ci się oddać dziś wieczorem, Ross.

Spojrzał na nią szybko.

– Mogłabyś?

– Tak. Tak naprawdę zawsze chciałam to zrobić. Może o tym wiesz.

– Czy wiem?

Popatrzyli na siebie.

– Tak przypuszczam. Sądzę, że niewielu mężczyzn potrafiłoby kochać się ze mną tak jak ty. Twoja arogancja dorównywałaby mojej.

Zapadło milczenie.

– Ale... – dodała Caroline.

– Ale?

– To wykluczone. Nawet gdybyś chciał. Mam instynkty rozpustnicy, lecz emocje żony. Za bardzo kocham Dwighta. I Demelzę. Może za bardzo kocham również ciebie.

Ross uniósł wzrok i uśmiechnął się do Caroline.

– To najmiłszy komplement ze wszystkich.

Zarumieniła się na chwilę.

– Nie zamierzam prawić ci komplementów, Ross, tylko próbuję powiedzieć kilka rzeczy, które moim zdaniem powinieneś usłyszeć. Gdybyśmy się pozbyli Ellen – co byłoby bardzo łatwe – i spędzali upojne noce na miłości, a potem

podczas pierwszej wizyty w Namparze opowiedziałabym o tym Demelzie, czy byłaby urażona?

– Tak.

– Ja również źle bym się czuła. Jestem jej dobrą przyjaciółką. Bardzo się do siebie przywiązałyśmy. Może z czasem by mi wybaczyła.

– Co chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że gdybym jej opisała, co się między nami zdarzyło, byłaby urażona, jednak ty również uraziłeś ją w Londynie.

Ross odłożył nóż.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Zabiłeś człowieka z jej powodu. Och, wiem, że cię wyzwiał. I wiem, że kłótnia dotyczyła miejsca na sali obrad Izby Gmin. Wiem, że od początku czuliście do siebie antypatię. Ale zabiłeś go z powodu Demelzy, prawda?

– Częściowo tak. Jednak nie rozumiem...

– Ross, walczyłeś z kimś innym niż Monk Adderley, nie sądzisz?

– Z kim?

– W gruncie rzeczy strzelałeś do Hugh Armitage'a.

Tym razem wypił łyk wina.

– Do licha, Caroline, uczestniczyłem w zwykłym pojedynku...

– Wręcz przeciwnie i doskonale o tym wiesz! Zabiłeś Adderleya, bo nie mogłeś zabić Hugh Armitage'a, który już nie żył. Hugh był dobrym, szlachetnym, wrażliwym mężczyzną. Demelza mogła czuć sympatię tylko do kogoś takiego. Musiałeś od początku zdawać sobie sprawę, że w ogóle by nie spojrziała na zwariowanego, nędznego rozpustnika takiego jak Monk Adderley.

– Czasem nie myśli się o takich rzeczach.

– Oczywiście, że się nie myśli; właśnie na tym polega problem! Działałeś pod wpływem emocji. Pojedynkowałeś się z niewłaściwym mężczyzną.

Ross odsunął talerz i dotknął czubkami palców blatu stołu.

– Nie wstawaj i nie wychodź, bo uznam, że nie zachowałeś się jak dżentelmen – powiedziała Caroline.

– Nie mam zamiaru wstawać i wychodzić. Nie chcę słuchać twojego przemówienia, jedząc.

– Przemówienie skończone, więc możesz dokończyć kolację w milczeniu.

– Nie jestem pewny, czy chcę kończyć kolację w milczeniu, czy rozmawiając.

– Może nie powinnam się odzywać.

– Powinnaś, skoro tak uważasz. Zastanawiam się nad tym, co powiedziałaś, staram się podchodzić do tego racjonalnie, a nie emocjonalnie. Wiesz, że jesteś drugą osobą, która w ciągu ostatnich dwóch tygodni oskarża mnie o podejmowanie decyzji pod wpływem emocji? Nigdy nie zgadniesz, kto był pierwszy. Ale zostawmy to. Niech pomyślę...

Caroline przez kilka minut skubała mięso. Przełamała długimi palcami kromkę chleba, lecz go nie jadła.

– Może jest w tym trochę prawdy – rzekł w końcu Ross. – Skąd mam wiedzieć? Z pewnością w ciągu ostatnich dwóch lat dużo myślałem o Hugh i Demelzie. Kiedy się zorientowałem, co się dzieje, straciłem część wiary w ludzki charakter. Nie winięm Demelzy, tylko jakąś cechę ludzkiej natury. Nie śmieję się ze mnie, jeśli moje słowa brzmią niemądrze i pompatycznie.

– Nie śmieję się. Ale jeśli...

– Miałem wrażenie, że odkryłem skazę w czymś absolutnie doskonałym. Obecnie mogła mną kierować zazdrość, lecz nie tylko. Chwilami ogarniała mnie melancholia, buntowałem się, pragnąłem uwolnić się od ograniczeń, które narzuca cywilizowane życie. – Urwał i spojrzał na Caroline. – Czym jest cywilizowane życie, jeśli nie narzucaniem nierealnych zasad niedoskonałym istotom ludzkim przez inne istoty ludzkie, równie niedoskonałe? Wydawało mi się, że jest w tym coś chorego, stale się przeciwko temu buntowałem. – Znów

urwał. Oddychał powoli, próbując zrozumieć zawilości własnych uczuć.

– I właśnie dlatego oddaliłeś się od Demelzy?

– Och nie, niezupełnie. Jedno i drugie. Jedno i drugie. Nazwałaś mnie przez chwilą arogantem, Caroline. Może jeden z aspektów arogancji to niechęć do godzenia się z tym, co życie każe nam akceptować? Zazdrość to afront wobec własnej duszy, degraduje człowieka i powinna zostać wykorzeniona. – Uderzył pięścią w stół. – Ale jeśli chodzi o Demelzę i Monka Adderleya, traktujesz mnie niesprawiedliwie. Demelza w jakiś sposób go zachęcała. Stale rozmawiała się z nim sam na sam, umawiała się, a przynajmniej na wiele się godziła. Pozwalała się obmacywać...

– Ach, bzdury! – przerwała Caroline. – Demelza po prostu stara się być miła: zachowuje się kokieteryjnie z sympatii do ludzi. Dobrze wiesz, że gdziekolwiek się pojawi, mężczyźni zwracają na nią uwagę. Przyciąga ich jej niezwykła żywotność i urok. Kiedy dobrze się bawi, nie potrafi nie flirtować, nie może się oprzeć. Na mężczyzn to działa. Demelzie sprawia przyjemność. Ale to niewinna zabawa, Ross, na litość boską! Musisz to zrozumieć. Chcesz wyzwąć na pojedynek sir Hugh Bodrugana?! Znacznie częściej nastawał na cnotę Demelzy niż Hugh Armitage i Monk Adderley. Jak będziecie się pojedynkowali? Na laski?!

Ross cicho się zaśmiał.

– Musisz wiedzieć, że zazdrość pojawia się wtedy, gdy istnieje niebezpieczeństwo.

– Naprawdę sądzisz, że Monk Adderley był niebezpieczny?

– Tak myślałem... Nie była to prosta decyzja. Tak czy inaczej, to on mnie wyzwiał, nie ja jego.

Caroline zmieniła pozycję i wyprostowała plecy.

– Och, zmęczył mnie ten dylizans...! Za dzień będziemy w domu.

Pojawił się kelner i zabrał talerze, ale zostawił noże i widelce.

– Tak, mógłbym iść z tobą do łóżka – rzekł cicho Ross.

Uśmiechnęła się do niego.

– I właśnie dlatego tego nie zrobię – dodał.

– Dziękuję, kapitanie.

– Od bardzo dawna jesteś moją przyjaciółką. Nawet wcześniej, niż się dobrze poznaliśmy.

– Chyba od początku cię lubiłam.

– Moim zdaniem już wtedy było to coś poważniejszego niż zwykła przyjaźń.

Caroline wzruszyła ramionami, lecz milczała, bo znów pojawił się kelner.

– Może brutalnie cię dziś potraktowałam, Ross... – rzekła po odejściu kelnera. – Cóż za określenie! Brutalnie potraktowałam! Dziwne, że znalazłam się w takiej sytuacji, choć nigdy wcześniej nie ośmielałam się nic powiedzieć! Rozumiem, trochę rozumiem, co czujesz w związku z Hugh i Demelzą. Drażniło cię to, ropiało w sercu przez dwa lata. Sprawa Monka Adderleya też będzie ropieć, jeśli na to pozwolisz. Nie zaprzeczam, że utrata złudzeń w jednej kwestii, mocno przeżyta, może prowadzić do całkowitej utraty złudzeń. Cóż... Ale teraz przelałeś czyjąś krew, nawet jeśli była to krew złego człowieka. Przestańmy rozmawiać o korzyściach i szkodach wynikających z twojej kłótni z Monkiem Adderleyem. To przeszłość i nic tego nie zmieni. To samo odnosi się do sporu z Hugh Armitage'em. A także do twojego sporu ze światem. I Demelzą. To, co się wydarzyło w Londynie, straszliwie ją uraziło. Słuszność lub brak słuszności nie mają znaczenia; ważne, że zabiłeś z jej powodu człowieka, że zaryzykowałeś wszystko – swoje życie, jej życie – dla bezsensownej kłótni, którą dobrze urodzony dżentelmen może uważać za ostateczny, honorowy sposób rozstrzygnięcia różnicy zdań, lecz która, z punktu widzenia córki górnika, z rozsądnym, przyziemnym systemem wartości, wydaje się gniewnym impulsem nikczemnika.

– Boże... – westchnął Ross. – Wezmę sobie do serca twoje słowa i niechaj przez jakiś czas ropieje.

– Sześć lat temu w czasie rozmowy ze mną nie owijałeś niczego w bawełnę – powiedziała Caroline. – Teraz ja nie owijam niczego w bawełnę.

– Z miłości? – spytał.

Skinęła głową.

– Tak, z miłości.

Rozdział dwunasty

I

Demelza i Drake wyruszyli do Bodmin wczesnym rankiem w poniedziałek. Morwenna została w kuźni Pally'ego. W chacie nocowała pani Trewinnard, a w ciągu dnia dwaj bliźniacy Trewinnardowie mieli rozmawiać z klientami bijącymi w dzwon. Morwenna nie chciała wychodzić na dwór, wolała siedzieć, szyć, pomagać w gotowaniu i pracach domowych. Prawie nie rozmawiała z Drakiem: od czasu do czasu wymieniali zdawkowe uwagi. Kiedy przebywali razem, oboje ogarniała nieśmiałość. Morwenna przypominała zranione zwierzę, a Drake próbował ją oswoić: nie wykonywał przy niej gwałtownych ruchów ani jej nie dotykał, by się nie przestraszyła. Z początku sądził, że jest chora, mimo jej zaprzeczeń, lecz pod względem fizycznym nic jej nie dolegało. Doszedł do wniosku, że w duszy cierpi i że przede wszystkim powinna odpocząć.

Nie wyszli nawet poza ogrodzenie dwuipółhektarowego gospodarstwa Drake'a. Pokazał je z dumą Morwennie, a ona pytała o jego pracę i z wyraźnym zainteresowaniem obserwowała go w kuźni. Czasami przebywała na parterze domu, gdy ludzie przynosili rzeczy do naprawy, lecz nie wychodziła. Wczoraj nie byli w kościele, ale zgodnie z sugestią Demelzy ogłoszono pierwsze zapowiedzi. To, że wszyscy się dowiedzą o planowanym małżeństwie, nie miało znaczenia. Bezpieczniej było nie marnować tygodnia na wypadek, gdyby trzeba było czekać w Bodmin.

W sobotę odwiedził ich Samuel, któremu bardzo przypadła do gustu skromność i małomówność Morwenny. Był zadowolony, że brat wydaje się szczęśliwy. Drake wiedział, że Samuel nie może się sprzeciwić małżeństwu z wdową po pastora kościoła Świętej Małgorzaty, lecz obawiał się rezerwy w głosie i zachowaniu brata. Nie zauważył ich. W rzeczywistości Samuel natychmiast spostrzegł, że milcząca, spokojna, elegancka dziewczyna może być dobrą kandydatką do nawrócenia. Oczywiście zbyt bliskie związki z Kościołem anglikańskim sprawiały, że była chwilowo poza zasięgiem Samuela, jednak cierpienia doznane w pierwszym małżeństwie mogły uczynić ją podatną na głos Boga, a nawet sprawić, by Drake znów stał się aktywnym członkiem ruchu metodystycznego.

Tak czy inaczej, była to kwestia przyszłości. W tej chwili Samuel spoglądał na twarz brata, widział na niej szczęście i dziękował Panu, że raczył ofiarować Drake'owi uczucie, które miało wymiar fizyczny, a zarazem duchowy. Pomyślał, że byłby równie szczęśliwy, gdyby mógł zdobyć Emmę, lecz rozumiał, że myśli te są egoistyczne i niestosowne.

W poniedziałek panowała ładna pogoda, ale wiał porywisty wiatr. John Gimlett, który uważał, że świetnie potrafi przepowiadać pogodę, oznajmił, że po południu spadnie deszcz. Nie zauważył, że horyzont jest bezchmurny i że morze lśni w promieniach słońca. Ptaki morskie leciały w stronę lądu.

Drake i Demelza wyszli z domu o ósmej, mniej więcej o tej samej porze, kiedy Ross i Caroline przejeżdżali przez Liskeard. O jedenastej do Morwenny przyjechała Elizabeth.

Morwenna siedziała się na piętrze i obrębiała zasłony brzydtko zszyte przez Drake'a, gdy w drzwiach ukazała się głowa jednego z Trewinnardów, który powiedział piskliwie:

– Przepraszam, pani, ale przyszła do pani jakaś dama.

Elizabeth wspięła się po schodach. Zaczerwieniona Morwenna wstała

niepewnie, rozejrzała się, jakby szukała drogi ucieczki, a gdy jej nie znalazła, przyjęła pocałunek kuzynki. Elizabeth była jej najdroższą krewną, lecz współuczestniczyła w zaaranżowaniu małżeństwa z Ossiem. Chociaż główny nacisk wywierał George, Elizabeth przyłożyła do tego rękę. Mimo to w ciągu ostatniego roku okazała Morwennie prawdziwe współczucie. Po narodzinach Johna Conana to ona orzekła, że doktor Behenna nie leczy kuzynki we właściwy sposób, i nalegała, by wezwać doktora Enysa. Starła się również pomagać po śmierci Ossiego.

Na plebanii kościoła Świętej Małgorzaty, otoczona niechętnymi ludźmi, Morwenna powitałaby ją jak przyjaciółkę. W spokojnym gospodarstwie, gdzie ukrywał ją Drake, Elizabeth wydawała się wrogiem.

– Wczoraj dano na zapowiedzi – powiedziała. – Dlaczego nic o tym nie wiedziałam? Drake’a nie ma?

– Nie, wyszedł. Usiądziesz?

Zajęły miejsca i spojrzały na siebie. Morwenna patrzyła na kuzynkę niewidzącym wzrokiem. Po chwili oprzytomniała i rzekła:

– Masz ochotę na herbatę albo ciepłe mleko? Boję się, że nie mam żadnego alkoholu.

– Nie, dziękuję. Chętnie odpocznę kilka minut. Wiatr jest bardzo porywisty. Morwenna popatrzyła na brzuch kuzynki.

– Na pewno nie przysłaś pieszo? Teraz, kiedy jesteś...

– Naturalnie, że pieszo. Spacery mi służą. – Elizabeth rozpięła ciemnożółtą pelerynę i zrzuciła kaptur. Próbowwała poprawić włosy. – Jak wiesz, Trenwith nie jest daleko. Zaledwie trzy kilometry stąd. Może nie chodziłaś w tę stronę, gdy u nas mieszkałaś.

– Czasami. Chociaż prawie nie pamiętam tej okolicy. Najczęściej jeździliśmy w drugą stronę. Geoffrey Charles tak często chciał...

– Wiem, moja droga, wiem. To skończone. Był to bardzo smutny okres

naszej znajomości. Nie wiedzieliśmy. Nie rozumieliśmy.

Morwenna pomyślała, że Elizabeth wygląda znacznie starzej. Może męczyła ją ciąża, odbierała siły.

– A teraz zamierzasz mimo wszystko wyjść za Drake’a – powiedziała Elizabeth. – Zamieszkasz tu? – Rozejrzała się. – Poldarkowie są zadowoleni?

Morwenna się zarumieniła.

– Mam taką nadzieję.

– Nie mówili o tym?

– Kapitan Poldark jeszcze nie wrócił. Mam nadzieję, że nie będą mieli powodu się mnie wstydzić.

– Uważam to za mało prawdopodobne. A lady Whitworth?

– Nie była zadowolona.

Elizabeth wygładziła suknię, by ukryć uwypuklenie w okolicy brzucha.

– Mieszkanie z nią musiało być bardzo męczące. To wyjątkowo antypatyczna stara kobieta... Powiedziałaś jej po prostu, że odchodzisz, a potem odeszłaś?

– Tak.

– A John Conan?

Morwenna lekko się skrzywiła.

– Został.

– Nie było ci przykro zostawiać własnego syna?

– I tak... i nie. Proszę, nie pytaj mnie więcej!

– Przepraszam, nie chciałam cię denerwować.

– Nie... – Morwenna zwinęła zasłonę i odłożyła ją. – Tak naprawdę nigdy nie miałam poczucia, że to moje dziecko, Elizabeth. Był synem Ossiego. I jestem przekonana, że będzie dokładnie taki sam jak ojciec!

Na zewnątrz ktoś bił w dzwon, by zwrócić na siebie uwagę. W chatę uderzały podmuchy wiatru, słychać było skrzypienie.

– Nigdy nie mogłaś zaakceptować Ossiego, prawda? – odezwała się Elizabeth. – Ja... kiedy lepiej go poznałam, zaczęłam trochę to rozumieć. Ale wtedy nie chciałam cię o to pytać. Gdybyś chciała kiedykolwiek o tym porozmawiać...

– Nie.

– Rozstanie z jedynym dzieckiem musiało być dla ciebie wielkim poświęceniem... – rzekła Elizabeth. – Nie zastanawiałaś się nad zabraniem go?

Morwenna wstała.

– Elizabeth, opiekowałam się nim, gdy był mały, i oczywiście był dla mnie ważny, ale teraz go nie chcę. To Whitworth!

Elizabeth spojrzała przez niewielkie okno na rozkołysane drzewa. Gorycz w głosie Morwenny sprawiła, że w zamglonej szybie pojawił się obraz buteleczki zawierającej mętne brązowe lekarstwo przywiezione w kufrze dyliżansem z Londynu. Mimo wstrząsów buteleczka się nie stłukła. Stała się symbolem, gorzkim symbolem rozpadu jej własnego małżeństwa. To Whitworth! To Poldark!

– Oczywiście nie zamierzasz tu mieszkać do dnia ślubu?

– Każdego wieczoru przychodzi kobieta. Mam... mam przyzwoitkę.

– Nie, nie, Morwenno, musisz przyjechać do Trenwith! Wypadałoby to zrobić. Mogłabyś zająć swój pokój.

– Nie, nie, dziękuję!

Elizabeth zmarszczyła brwi nieco urażona.

– Poprzednim razem wzięłaś ślub, mieszkając w Trenwith. Dlaczego nie tym razem?

– W roli mojego ojca znowu wystąpi pan Warleggan?

Elizabeth zdziwiła się, że jej łagodna kuzynka potrafi mówić z takim sarkazmem.

– Pan Warleggan jest w Truro i prawdopodobnie tam pozostanie. Może przyjedzie na Boże Narodzenie. Weźmiesz ślub przed Bożym Narodzeniem? – Elizabeth zaczęła liczyć. – Tak, tuż przed świętami. Kiedy przypada pierwszy dzień świąt? W środę? Chyba mogłabyś wziąć ślub w Wigilię.

– Może. – Morwenna nie mogła się zdobyć, by wyjaśnić, dokąd pojechali dziś Demelza i Drake. Elizabeth powiedziałyby, że nie ma pośpiechu, że oboje są młodzi, po co taki pośpiech po długim oczekiwaniu? Mogłaby nawet przekonać Morwennę. Było to największe niebezpieczeństwo: że przeforsuje swoje zdanie.

– Miałam nadzieję, że zobaczę Drake’a – rzekła Elizabeth. – Długo go nie będzie?

– Obawiam się, że dość długo.

– Chciałam go znowu spotkać, by nie było między nami nieprzyjaźni.

– Moim zdaniem jej nie ma – odpowiedziała Morwenna. – Myślę, że cię podziwia. Za to, co kiedyś dla niego zrobiłaś.

Elizabeth oblała się rumieńcem.

– Już o tym zapomniałam... To drobnostka. – Wstała. – Spotkam się z nim innym razem. Chyba zbliża się burza i nie chciałabym, by mnie zaskoczyła. Morwenna...

– Tak...

– Nie wpadłabyś czasem do Trenwith? Mieszkają tam ciągle moi rodzice, którzy bardzo cię lubią. Są teraz bardzo słabi, ale na pewno chcieliby się z tobą zobaczyć przed twoim ślubem. Po prostu by złożyć ci życzenia.

– Naturalnie. – Obie kobiety się pocałowały, okazując sobie nieco większą serdeczność niż w chwili powitania. Tak przynajmniej zachowywała się Morwenna.

Zeszły do kuchni. Morwenna otworzyła drzwi, by wypuścić kuzynkę. Wichura wyrwała je z jej rąk i ponownie zatrzasnęła, a wiatr, który wpadł do

kuchni przewrócił butelkę i wagę.

– Mój Boże! – zawołała Elizabeth. – Wiatr jest teraz dwa razy silniejszy, niż kiedy przyszedłam! Na szczęście w czasie drogi do domu nie będzie mi wiał prosto w twarz.

– Zaczekaj chwilę. Może wkrótce się uspokoi.

– Zbyt długo mieszkam na wybrzeżu, by w to uwierzyć! Może wiać przez dwanaście godzin. Nie, dam sobie radę.

– Możesz się przewrócić. W twoim stanie...

– Czy miałoby to jakieś znaczenie?

Morwenna cofnęła się nieco i spojrzała na siostrę stryjeczną.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Elizabeth zrozumiała, że popełniła błąd.

– Na pewno nic by mi się nie stało – odrzekła, by pokryć zmieszanie.

– Czy poprzednim razem nie spadłaś ze schodów? – Morwenna, serdeczna z natury, zaniepokoiła się o kuzynkę. – Zaczekaj, pójde z tobą kawałek.

– Nie, nie. Popatrz, tylko przy drzwiach tak wieje. Na dziedzińcu...

– Dwie osoby zawsze są bezpieczniejsze. Wezmę pelerynę.

Kiedy z trudem opuszczały dziedziniec, Morwenna zawołała do jednego z braci Trewinnardów:

– Odprowadzę panią Warleggan do Trenwith.

– Tak, pani.

Droga była długa i męcząca, ponieważ południowo-zachodnia wichura przybierała na sile, a wiatr zmieniał kierunek. Morwenna nie mogła zawrócić, nie odprowadziwszy Elizabeth bezpiecznie do drzwi dworu. Elizabeth oświadczyła, że skoro Morwenna przyszła tak daleko, może wejść na chwilę, by przywitać się z jej rodzicami. Kuzynka odpowiedziała, że w tej chwili raczej nie ma na to ochoty. Elizabeth zauważyła, że rodzicom byłoby przykro, gdyby się dowiedzieli, że doszła prawie do drzwi i się z nimi nie spotkała.

Morwenna przekroczyła próg i znalazła się w wielkiej sieni, na której ścianach wisiały portrety przodków rodu Poldarków. Przypomniała sobie swój pobyt w Trenwith i przebiegł ją dreszcz. Później, słuchając wycia wichru za wielkim oknem i grzechotu szyb w ołowianych oprawkach, przyjęła zaproszenie na obiad.

II

Wichura, która rozpętała się dziewiątego grudnia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, nie była silniejsza od podobnych wichur w poprzednich latach, ale towarzyszył jej wyjątkowo gwałtowny sztorm. Najsilniej szalał w środkowej części Atlantyku, choć wybrzeże również odczuło jego skutki. Zatonęło dziewięć statków różnych rozmiarów, głównie na południu, zwłaszcza w rejonie Manacles, lecz także na północy. Plaża Hendrawna wyciągnęła pusty los.

W ciągu dnia do wiosek Sawle i Grambler przybywało coraz więcej ludzi. Ross i Caroline złapali nowy ekspresowy dyliżans, który wyjeżdżał z Torpoint o siódmej trzydzieści i miał dotrzeć do Truro tuż po południu. Wichura sprawiła, że dyliżans przybył do miasta z opóźnieniem. Pośpiesznie zjedli wczesny obiad w Gospodzie Królewskiej w Truro, po czym o drugiej wsiedli na pożyczone konie, by odbyć ostatni etap podróży.

Demelza i Drake dość szybko dotarli do Bodmin, ale wielebny John Pomeroy, proboszcz Lesnewth, wikariusz Bodmin i przedstawiciel archidiakona, był nieobecny i wrócił dopiero po kilku godzinach. Chociaż nie miał nic przeciwko udzieleniu dyspensy, formalności zajęły trochę czasu, a przed powrotem do domu Drake musiał złożyć jeszcze jedną wizytę.

Inną ważną osobą zdążającą w stronę północnego wybrzeża Kornwalii był George Warleggan.

Do celu podróży jako pierwszy dotarł Ross wraz z Caroline i pokojówką, które pozostawił przy bramie Killewarren. Pojawił się w Namparze nagle, bez zapowiedzi, podobnie jak Demelza przed kilkoma tygodniami. Spostrzegł go chudy, długonogi ośmiolatek idący przez ogród z motkiem szpagatu. Jego krzyki zagłuszał wiatr, ale wkrótce chłopiec znalazł się w ramionach ojca i zapanował taki sam zamęt, jaki towarzyszył powrotowi Demelzy. Wreszcie Ross spytał, gdzie jest jego żona. Powiedziano mu, że wyjechała wczesnym rankiem z wujkiem Drakiem i że ma wrócić dopiero na kolację.

– Tato! – zawołał Jeremy, przekrzykując trajkot siostry i powitania służących. – Tato, chodź popatrzeć na morze!

Wszyscy poszli do furtki prowadzącej na plażę – dalej było niebezpiecznie. W miejscu zalewanym przez wodę tylko w chwili maksymalnego przypływu kłębiły się ogromne fale. Morze zmyło niższe wydmy porośnięte wysoką trawą. Kiedy stali przy furtce, w brzeg uderzyła gigantyczna fala, która dotarła po kamienistym stoku aż do murku, ochlapując im buty i pozostawiając ślady piany. Zazwyczaj fale podążają w stronę brzegu, stopniowo się zmniejszając, jednak tego dnia uderzały w skały poniżej Wheal Leisure z taką siłą, że powstawały nowe fale biegnące pod kątem prostym, i fontanny wody tryskały wysoko w górę. Inne fale rozbijały się o niskie skały poniżej długiego pola. Kiedy się cofały, w powietrzu wirowały olbrzymie obłoki pyłu wodnego, po czym leciały z wiatrem w stronę lądu. Morze było tak wzburzone, że zniknął widnokrąg, a niskie chmury zlewały się z wodą.

Prowadząc trajkocące dzieci z powrotem do dworu, Ross usiłował się dowiedzieć, co robi Demelza, która nagle wyjechała na cały dzień, lecz nikt nic nie wiedział. Później odciągnęła go na stronę Jane Gimlett i szepnęła mu coś do ucha. Ross skinął głową i spojrział na niskie chmury. W czasie jego nieobecności znów zdarzyło się coś ważnego. Demelza powinna już wrócić, za godzinę zapadnie zmrok.

Gimlett odprowadził konia do stajni. Ross wypił szklanicę piwa, po czym poklepał dzieci po podnieconych buziach. Powiedział, że wychodzi i wróci za pół godziny. Niestety jest zbyt silny wiatr, by mu towarzyszyli. Podążył do kopalni, spotkał Zacky'ego Martina i kilku innych przyjaciół, a kiedy miał zamiar wracać do domu, zobaczył Drake'a jadącego w górę doliny. Nie chciał się z nim w tej chwili spotkać, toteż stanął za jedną z szop, odczekał, aż brat Demelzy odjedzie, a następnie ruszył do dworu.

Demelza, która dowiedziała się już o jego przyjeździe, stała przy drzwiach i wypatrywała go w wieczornym zmroku. Zauważyli się i Demelza doszła do skraju ogrodu, by powitać męża. Powstrzymała się, by nie podbiec.

Ross przystanął z niepewną miną.

– Cóż, Demelzo... – zaczął.

– Czy... – Urwała. – Czy coś się stało?

– Kiedy?

– Po moim wyjeździe, oczywiście.

– Nie, ten incydent umarł śmiercią naturalną.

– Och... – westchnęła.

– Może to nieodpowiednie słowo.

– Nie – odparła. – Martwy incydent...

– Ale będę go długo pamiętać.

Zapadło milczenie. Ross się pochylił i pocałował Demelzę. Miała chłodne wargi, wydawała się nieco spłoszona.

– Dawno wróciłeś?

– Niespełna godzinę temu. Przyjechałem z Caroline. Dyliżans się spóźnił.

– Co za dzień...

Rozglądali się po okolicy, radzi, że mogą rozmawiać o czymś, co nie budzi emocji. Ogród pokrywały bąble piany: wisiały na jeżynach i gałęziach krzewów jak nasiona dzikiego powojnika.

– Właśnie dlatego nie chcą tu rosnąć niektóre ładne drzewa ze Strawberry Hill – zauważył Ross.

– Nawet te, które się przyjęły, wyglądają biednie.

– Kiedy wróciłem do domu, Jeremy próbował je podwiązywać.

– Naprawdę? Kocha rośliny. Dziś rano wiał normalny, porywisty wiatr. Byłam z Drakiem w Bodmin.

– Mówiła mi Jane.

– Wytlumaczę wszystko później. Jadłeś coś, Ross?

– Rano i w pośpiechu. Ale zaczekam na kolację.

W tej chwili wystarczała wymiana zwyczajowych zdań, skupienie się na codzienności. Musieli czekać, by się przekonać, czy zapanuje między nimi pokój, czy wybuchnie wojna, czy będą się kochać, zgadzać, rozumieć. Rutyna życia domowego mogła na jakiś czas złagodzić konflikt.

Odwrócili się i weszli do dworu.

Tymczasem Drake jechał w stronę Sawle z dyspensą w sakwie przytroczonej do pasa. Demelza pożyczyła mu do jutra Judytę, więc przybył na czas do chaty pastora Odgersa. Duchowny i jego najstarszy syn przybijali akurat kawałek rynny, który odpadł w czasie wichury. Drake był w tak dobrodusznym nastroju, że obiecał przyjechać w pogodniejszy dzień i zamontować nową rynnę nad drzwiami frontowymi. Powiedział, że stara jest zużyta i że nie przetrwa zimy.

Pastor uznał, że młody człowiek jest sympatyczniejszy, niż sądził wcześniej, chociaż Drake nie chciał się podlizywać Odgersowi. Duchowny spojrział na dyspensę przez nadtłuczone okulary i orzekł, że wszystko jest w porządku. Kiedy zamierzają wziąć ślub? W przyszły poniedziałek? Drake spytał, czy nie dałoby się wyznaczyć wcześniejszego terminu. Wielebny Odgers odparł, że nie ma żadnych formalnych przeciwwskazań – jaką datę sugeruje młody człowiek? Drake zaproponował dzień jutrzejszy. Odgers się

skrzywił, jakby ktoś nastąpił mu na nogę, i oznajmił, że to niemożliwe: jutro jest zajęty, ma umówione spotkania, mnóstwo spraw – wykluczone. Gdyby zmienił harmonogram dnia, mógłby udzielić ślubu w środę rano. Drake, który zauważył niespodziewany efekt propozycji wymiany części rynny, odpowiedział, że, cóż, gdyby jakimś sposobem pastor Odgers zdołał znaleźć chwilę jutro, nieważne, czy rano, czy po południu, on sam chętnie naprawiłby wszystkie rynny w chacie przed końcem zimy. Ma bardzo dobrą blachę żelazną, którą można by odpowiednio wyklepać, pomalować i zamontować na ścianach. Takie rynny wystarczyłyby na lata. Pastor Odgers zakasłał, osłaniając usta wełnianym szalikiem, i powiedział:

– A zatem wpół do dwunastej. – Kiedy uszczęśliwiony Drake odwrócił się, by odejść, duchowny dodał: – Tylko się nie spóźnijcie. Nie mogę udzielać ślubów po dwunastej, to wbrew prawu.

– Dziękuję, pastorze. Może pan być pewny, że się nie spóźnimy. Myślę, że dotrzemy do kościoła tuż po jedenastej.

– Wpół do dwunastej, jak powiedziałem! Oczywiście jeśli wieża nie runie wskutek wichury. Mój biedny kościół musi znosić kaprysy miejscowego klimatu.

Wsiadając na konia, Drake modlił się w duchu, by przekrzywiona wieża kościoła w Sawle wytrzymała jeszcze jeden huragan. O zmroku wiatr nieco zelżał. Mimo to w dalszym ciągu był gwałtowny. Judyta zataczała się w podmuchach wiatru i nawet tutaj, przeszło sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza, wiatr niósł chmury pyłu wodnego, które powoli się rozpląwały i znikały.

Drake miał za sobą ciężki dzień, poprzedzały go inne ciężkie dni, ale nie czuł się zmęczony. Od przybycia Morwenny do kuźni spał co noc zaledwie trzy godziny, nie był jednak senny w ciągu dnia, również teraz, gdy opuścił głowę. W razie potrzeby z chęcią znów przejechałby osiemdziesiąt kilometrów do

Bodmin i z powrotem. Jego życie przypominało płonąca żagiew, którą podsycają podmuchy wiatru. Ross powiedział mu kiedyś: „To nie powinno zniszczyć twojego życia”. Lecz tak się stało. Żadne wydarzenie – żadna osoba – nie sprawiłyby, że zacząłby żyć na nowo, jak rozumiał to Samuel. A jednak odnalazł perspektywę nowego życia. Otchłań okazała się zbyt głęboka, szczyty zbyt wysokie. Może istnieje prawo moralne zakazujące cierpienia, lecz nie szczęścia.

Nie miał poważnych wątpliwości, czy Morwenna go kocha. W tej chwili chciał tylko wziąć z nią ślub: stanie się wtedy jego żoną. Reszta nadejdzie z czasem, jeśli ma nadejść. Był gotów okazać nieskończoną cierpliwość, czekać miesiące albo lata. Czy nieskonsumowane małżeństwo naprawdę jest takie złe? Istnieje przysłowie, że wśród ślepców jednooki jest królem. Jeszcze kilka dni temu był ślepcem.

Zsiadł z konia na szczycie ostatniego, wysokiego wzgórza. Judyta była bardzo zmęczona. Sprowadził ją w dół wąską drogą, zauważając ze zdziwieniem, że w kuźni Pally’ego nie pali się światło. W domu z pewnością jest ciemno, a Morwenna, jeśli szyje, nie powinna męczyć oczu. Ogarnął go niepokój. Na pewno czeka przy bramie. Musi się martwić.

Nie czekała przy bramie. Wydawało się, że gospodarstwo jest puste. Bracia Trewinnardowie normalnie pracowali od świtu do zmierzchu, ale w taki dzień jak dziś odesłałby ich do domu o trzeciej. Odeszli? Morwenna również? Zeskoczył z kuca, zarzucił wodze na słupek i wbiegł do domu.

– Morwenno! Morwenno! – Przebiegł przez kuchnię do głównej izby, a potem wspiął się po drabinie. Ani żywej duszy. Ogień wygasł. Pustka. Cofnął się do chwili sprzed tygodnia. Wszedł na piętro i spojrzał na pokój, gdzie spała Morwenna. Zauważył jej torbę, koszulę nocną, pantofle ranne, szczotkę do włosów i grzebień. Przynajmniej nie mogła...

– Przepraszam, sir... – Był to jeden z Trewinnardów, Drake nie potrafił ich

odróżnić. – Pani Whitworth wyszła.

– Wyszła?! Dokąd?

Coś w rodzaju ulgi.

– Do Trenwith.

Ulga znikła.

– Dziś rano przyszła do niej pani Warleggan. Pani Whitworth powiedziała, że odprowadzi ją do domu, bo strasznie wieje, a pani Warleggan jest brzemienna.

– Kiedy to było, Jack?

– Jim, sir. Jack poszedł. Rzuciliśmy monetą, kto ma czekać, aż pan albo pani Whitworth wrócicie. Och... nie wiem. Nie mam zegarka. Chyba przed południem.

– Powiedziała coś jeszcze? Jak długo miała tam zostać?

– Nie, sir, nic więcej nie mówiła. Powiedziała po prostu, że odprowadzi panią Warleggan do domu. Chyba wyszła jakąś godzinę temu.

– Dziękuję, Jim. Wracaj do siebie.

– Tak, sir.

Drake wybiegł z domu, prawie zapominając zatrzaskać za sobą drzwi, po czym popędził do zmęczonego kuca, wskoczył na niego, uderzył zwierzę piętami i ruszył szaleńczym truchtem pod górę w stronę Trenwith.

Rozdział trzynasty

I

Kiedy Morwenna usiadła przy stole, pożałowała swojej decyzji. Nie potrafiła odrzucić zaproszenia na obiad. Byłoby to afrontem wobec dwojga starych ludzi, którzy miło ją powitali. Byłby to również afront wobec Elizabeth. Kuzynka, choć wcześniej popełniła błędy, później starała się je naprawić. Broniła Drake'a, by mógł dalej pracować jako kowal. Morwenna cieszyła się również, że znów zobaczy ładnego, ciemnowłosego chłopca, Valentine'a Warleggana. Kiedy Warlegganowie przyjeżdżali do Truro, często go widywała i czuła do niego sympatię. Siedział obok niej w trakcie posiłku, nieustannie namawiając ją do jedzenia i picia, choć nie miała na to ochoty.

W czasie posiłku panowała miła atmosfera, lecz dwór w Trenwith kojarzył się Morwennie z kłopotami, przykrymi rozmowami i rozpaczą. Sama obecność w tym budynku cofała czas do chwili, gdy była guwernantką Geoffreya Charlesa, wrażliwą nastolatką, którą rządili starsi. Podkopywało to jej przekonanie o słuszności swojej decyzji. Teraz, gdy przebywała w Trenwith, nic nie wydawało się oczywiste, pewne. Powtarzała sobie, że to słabość, wynik napięć nerwowych ostatnich lat. Niezdecydowanie nie stanowiło cechy jej charakteru, było głęboko zakorzenionym skutkiem przykrych doświadczeń.

Zastanawiała się, czy bała się urazić starych Chynowethów. Chociaż wiedzieli, że jest wdową i ma dziecko, w ogóle ich nie interesowała ani się o nią nie troszczyli. Przed czterema laty opuściła Trenwith jako nieśmiała

panna młoda. Jej życie całkowicie się zmieniło, lecz dla nich była to chwila w nużącej egzystencji, której monotonię urozmaicały tylko różne choroby. Powitali ją mile nie dlatego, że czuli do niej szczerą sympatię – widzieli znajomą osobę, która wcześniej bez sprzeciwu wysłuchiwała ze współczuciem ich skarg.

Skończono główne danie i wyniesiono ciężkie półmiski, gdy przybył George.

Najpierw przy drzwiach rozległ się hałas, dalekie głosy i tupot stóp. Głosy się zbliżyły i Morwenna usłyszała chrzęst podków na żwirze w pobliżu okna. Elizabeth wstała z zarumienioną twarzą, położyła dłoń na oparciu fotela. Do salonu wszedł George.

Miał na sobie wysokie buty i tabaczkowy strój do jazdy konnej. Po wejściu oddał służącemu pelerynę i kapelusz. Uniósł dłoń, by wygładzić włosy zmierzwiłone przez wiatr. Miał twarz wyjątkowo zaczerwienioną od wiatru.

– Ach, obiad rodzinny... – powiedział. – Czy się spóźniłem?

– W żadnym wypadku – odparła Elizabeth. – Zaraz przyniosą z powrotem potrawy. Stevens, Morrison...

– Tak, pani.

– A poza tym gościmy Morwennę – rzekł George. Spojrzał na dziewczynę, kłaniając się swojej teściowej. – Nie spodziewałem się zastać pani w Trenwith, pani Whitworth.

– Morwenna wpadła tylko na chwilę – odparła Elizabeth. – Co za dzień! Czemu przyjechałeś w taką pogodę?

– Impuls. Czuję, że powinienem się zająć własnymi sprawami...

– Papo! Papo! Wiatr nie zwiął cię do morza?!

– Ach, a do tego Valentine – rzucił sarkastycznie George. – Szczęśliwa rodzina w komplecie!

– Papo! Widziałeś morze?! Jest FAN-TA-STY-CZNE! Tom i Bettina zabrali

mnie do zatoki Trevaunance!

– Nie było mnie prawie pół roku – rzekł George. – Obecność pana domu niewa niekiedy dobroczynny wpływ na służących. – Usiadł naprzeciwko Morwenny i rozejrzał się po sali. – Ach... Nie, chyba nie mam ochoty na dorsza, Stevens. Ani na smażoną wołowinę. Gęś była dobra?

– Nie jadłam gęsi – odpowiedziała Elizabeth. – Ojciec...

– Eee... Słucham? O tak, niezła. Ale na święta potrzebna będzie większa. W okolicy rzadko się trafiają duże sztuki. Wiosna była zimna i się nie utuczyły.

– Papo! Podobno w chałupie Hoskinów zawaliła się strzecha! Jakby łysy zgubił perukę! Tak mówiła Bettina. Jakby łysy zgubił perukę!

– Doszła pani do porozumienia z lady Whitworth? – George zwrócił się do Morwenny, ignorując chłopca. – Niewątpliwie nowe życie może się okazać dość trudne.

– Nie... nie... – odrzekła Morwenna i umilkła.

– Papo...!

– Valentine, nie mów bez przerwy przy stole – przerwała Elizabeth. – Pozwól ojcu spokojnie zjeść posiłek.

– Spokój to dobro, które cenimy dopiero wtedy, gdy je tracimy – zauważył George, w dalszym ciągu nie patrząc na Valentine'a. – Jak wiarę, zaufanie... – Uniósł do ust kęs jedzenia.

– Spokój, tak... – odezwał się pan Chynoweth, gładząc rzadką bródkę. – Słyszałem, że zmarł George Washington. Wyjątkowo nieprzyjemny jegomość! I do tego przereklamowany. Koniec pewnej epoki, tak. I koniec wieku. Bóg jeden wie, co przyniesie następne stulecie. – Zamyślił się z niepokojem nad przyszłością, której nie mógł dożyć.

Elizabeth skinęła na ochmistrza, by kazał podać deser. Składał się z ciastek z wiśniami, nadziewanych babeczek, jabłek w cieście oraz puddingu śliwkowego z kremem i galaretką. Przez chwilę panowało milczenie, słychać

było tylko ryk wichury. George, barczysty, wyobcowany i pewny siebie, wyglądał jak monarcha, który odwiedził poddanych. Wszyscy starali się zachowywać normalnie i nikomu się to nie udawało.

Morwenna popatrzyła na Elizabeth, pochwyciła jej spojrzenie i dała do zrozumienia, że chciałyby odejść. Elizabeth ostrzegawczo pokręciła głową.

– Widzę, że ogród jest zapuszczony – odezwał się George. – Czym się zajmują służący?

– Trudno utrzymać porządek o tej porze roku. I przy takim wietrze. Zauważyłam, że przy bramie złamała się gałąź jodły.

– Całe drzewo może się przewrócić. Czeladnicy przyjechali?

– Wczoraj rano.

– Każdy kosztuje piętnaście funtów. Uważałem, że to za dużo jak na ludzi z przytułku dla ubogich, jednak nadzorcy mówili, że to zręczni młodzi chłopcy.

– Tak się wydaje. Ale jednego, George, jednego o nazwisku Wilkins, nie wpuszczę do domu, bo nie przeszedł jeszcze ospy. Musi spać w wiosce.

– Ach, George – odezwała się pani Chynoweth, zmagając się z pamięcią i usiłując mówić wyraźnie. – Wiesz, że nasza mała Morwenna ma znowu wyjść za mąż?

Morwenna spoglądała z przerażeniem na staruszkę. W czasie całego obiadu nie wspomniano o tej sprawie. Nie miała pojęcia, że pani Chynoweth wie.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział George. Odłożył nóż i wypił łyk wina. – To dobry sposób na wybrnięcie z pani obecnych kłopotów, pani Whitworth. Kim jest narzeczony?

– Papo, pokolorowałem obrazki w książce, którą kupiłeś mi w Londynie – odezwał się Valentine. – Musi leżeć zupełnie płasko, bo inaczej farby ściekają. Pokażę ci, kiedy wstanę od stołu. Mamo, mogę ją przynieść?

– Nie, kochany, jeszcze nie...

– Stany Zjednoczone – rzekł pan Chynoweth, budząc się z drzemki. – Tak

się nazwali. Demokracja. Ha! Ale co mówi John Adams, co mówi? Co? Powiem wam. Mówi, że jeszcze nigdy nie istniała demokracja, która nie popełniłaby samobójstwa. Właśnie to mówi. Jak się nazywa? Zapomniałem. Adamson, Adams czy coś takiego.

W ściany dworu uderzył podmuch wichury, jakby chciał zniszczyć budynek. Wszedł służący i zabrał talerze.

– Jeden z zawiasów srebrnego imbryka do kawy, który kupiliśmy w Londynie, chyba się zepsuł – powiedziała Elizabeth. – Myślę, że powinniśmy go zwrócić.

– Zapłaciłem za ten imbryk dwadzieścia sześć funtów – rzekł George.

– Twój stary koń, Krewny, zachorował na biegunkę – odezwała się Elizabeth. – Po butelce eliksiru Daffy’ego trochę mu się poprawiło, ale obawiam się, że to kwestia wieku.

– Trzeba go uspić – odparł George.

– Papo! – znów zaczął Valentine. – Kiedy wróciliśmy do Trenwith, mieliśmy świetną zabawę! Zaraz po wejściu do domu zobaczyliśmy, że sokół ściga wróbla. Wróbel wleciał przez otwarte drzwi wielkiej sieni i schował się pod kredensem. Sokół rzucił się za nim. Okropne zamieszanie! Wszędzie biegali służący! W końcu wróbel odleciał, a sokół ciągle go gonił!

Zapadło milczenie. Uczestnicy wieczerzy słuchali wycia wichury.

– Wczoraj przyszedł farmer Hancock – powiedziała Elizabeth. – Chciałby odnowić dzierżawę dwunastu hektarów gruntu. Mówi, że w tej chwili płaci trzydzieści pięć funtów rocznie.

– Hancock powinien mieć dość rozumu, by nie zwracać się do ciebie w tej sprawie – odparł George. – W przyszłym tygodniu będzie tu Tankard.

– Nie wiedziałam. Oczywiście nie wiedziałam również, że przyjedziesz.

Znowu milczenie.

– Kim jest pan młody? – George zwrócił się do Morwenny, ona zaś

spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem.

– Lucy Pipe przyniosła wczoraj nowiny z kościoła – odezwała się pani Chynoweth. – Nie pamiętam nazwiska. Cieśla, kowal czy coś takiego. Niezbyt dobra partia. Nie wiem, co powie matka.

– Carne? – spytał George, patrząc prosto na Morwennę.

– Papo! – zawołał Valentine. – Po obiedzie pokażę ci...

– Stevens, zabierz to dziecko – zwrócił się George do ochmistrza.

Nastąpiła krótka, burzliwa przerwa. Valentine miał łzy w oczach, ale nie płakał. Wyprowadzono go z sali.

– To Carne? – powtórzył George, gdy znów zapanował spokój.

Morwenna nie spuszczała z niego wzroku.

– Tak – odpowiedziała.

II

W pobliżu bramy Trenwith podmuch wichury omal nie przewrócił kuca. Drake zeskoczył na ziemię i pobiegł zwirowanym podjazdem, prowadząc Judytę. Miał przed sobą długą drogę, lecz niepokój tłumił strach przed spotkaniem z gajowymi. Dotarł do frontowych drzwi dworu. Przywiązał Judytę do słupka i walnął pięścią w drzwi. Nie było czasu na grzeczność ani delikatność.

W końcu otworzył mężczyzna. Uchylił drzwi zaledwie na kilkanaście centymetrów, bo wiatr usiłował je zatrzasać.

– Tak?

– Czy Mor... Czy pani... jest... Przyszedłem po panią Whitworth.

W świetle widać było pospolite ubranie Drake'a.

– Idź do tylnego wejścia, człowieku.

Drzwi zaczęły się zamykać. Drake zablokował je nogą.

– Przyszedłem po panią Whitworth! Dawniej pannę Chynoweth! Około

południa powiedziała, że tu idzie. – Zawahał się. – Jest tu pani Warleggan?

– Idź do tylnego wejścia, gdzie twoje miejsce, bo inaczej...

– Mógłbym się zobaczyć z panią Warleggan? Proszę...

W drzwiach doszło do szamotaniny. Nagle pojawiło się światło. Ktoś otworzył drzwi znajdujące się w głębi dworu.

– Co tu się dzieje, Morrison?

– Człowiek, sir...

Drzwi uderzyły o ścianę. Do sieni wpadły podmuchy wichury.

– Bardzo przepraszam, panie Warleggan – odezwał się Drake. Mięśnie jego twarzy stężyły. – Nie chcę się wdierać do pańskiego domu, ale podobno przyszła tu Morwenna. Przyjechałem ją zabrać.

– Bezprawnie wkroczyłeś na teren mojej posiadłości, Carne – rzucił George. – Grożą za to surowe kary, a ja jestem sędzią pokoju. Daję ci trzy minuty na opuszczenie mojej ziemi. – Spojrzał na zegarek. – Później poślę po gajowych.

Z pokoju za plecami George'a wyszła Elizabeth. Na jej twarzy malowało się napięcie, lecz próbowała nad sobą zapanować.

– Och, to ty, Drake, prawda? – odezwała się. – Na pewno...

– Pani, szukam Morwenny. Jeśli...

– Odeszła. Zaledwie przed dziesięcioma minutami.

Na górze krzyczał mały chłopiec. Rozległ się huk zatraskiwanych drzwi.

– Odeszła? Dokąd? Dokąd, pani?

– Opuściła dwór. Myślałam, że...

– Sama?

– Tak, nie chciała zostać...

– Przyjechałem z kuźni – powiedział Drake. – Nie spotkałem jej po drodze.

– Masz jeszcze dwie minuty – wtrącił George. – Jeśli wątpisz w słowa mojej żony, gorzko tego pożałujesz, bezczelny szczeniaku! Głupia dziwka,

którą zamierzasz poślubić, nigdy więcej nie przekroczy progu mojego domu! Osobiście tego dopilnuję! Nie będziemy utrzymywać z nią żadnych stosunków, rozumiesz?! Jeśli pojawi się na mojej ziemi, każę ją wyrzucić jak żebraczkę!

– Jeśli szedłeś podjazdem, Drake... – odezwała się Elizabeth. – Morwenna mogła iść na skróty.

– Wyszła przed dziesięcioma minutami? – Zawahał się. – Dziękuję, pani. Bardzo dziękuję...

Dygotał z gniewu i niepokoju. Odwrócił się i wyszedł. Uderzyły go w plecy zatraskiwane drzwi, o mało nie strącając go ze schodów. Chwytał wodze Judyty, wskoczył na siodło i pojechał pod wiatr.

Elizabeth na pewno nie kłamała. Ale nawet jeśli Morwenna opuściła dwór, czy poszła do kuźni? Mogła zabłądzić. Iść w stronę klifu. Jeśli George potraktował ją tak jak jego, mogła być bardzo wytrącona z równowagi. Mrok, niskie chmury i złowrogi wiatr...

Drake uderzył piętami w boki kuca, dojechał do bramy i ciężko ruszył w stronę domu.

Teraz, w czasie odpływu, w powietrzu unosiło się mniej pyłu wodnego, jednak w dalszym ciągu wiatr niósł odłamki gałązek, kurz i drobne śmieci, które wpadały do oczu Judyty i drażniły ją. Choć był dopiero wczesny wieczór, okolica była prawie pusta. W chatach stojących na stokach wzgórza gdzieś palilo się światło. Za zatoką Trevaunance wiatr osłabł.

Judyta wierzgnęła i o mało nie zrzuciła Drake'a z siodła: przez drogę przebiegł jak widmo borsuk. Może Morwenna upadła i nie zauważył jej w ciemności? W czasie jazdy nie chciał wołać jej po imieniu: budziło to w nim przesadną trwogę. Mógłby ją przestraszyć. Jeśli nie poznałaby jego głosu, mogłaby się schować w przydrożnym dole i czekać, aż odjedzie. Co gorsza, zdenerwowana tym, co usłyszała w Trenwith, mogła znów wpaść w melancholię, jak w kwietniu, gdy nie chciała go widzieć.

Przede wszystkim musi się z nią zobaczyć, usłyszeć, co się stało. Modlił się w duchu, prawie bez słów.

Wschodził księżyc, więc nie było zupełnie ciemno. W górze wył wiatr: jak w wielkim pustym tunelu, z którego uciekło życie. W oddali, na tle chmur, kołysało się kilka karłowatych drzew. Wybrzeże pokrywały dziwne, niezgrabne cienie.

Musiał zjechać z ostatniego, najbardziej stromego wzgórza. Znów zsiadł z kuca i szedł obok niego, ślizgając się na błocie i kamieniach. Kuźnia Pally'ego wciąż była niewidoczna. Na przeciwległym wzgórzu paliło się pojedyncze światło. I nagle zobaczył Morwenę.

Nie miał żadnych wątpliwości, że to ona, ponieważ wyglądała dokładnie tak jak wtedy, gdy przyszła do niego. Wysoka, w długiej pelerynie, która upodobniała ją do mężczyzny, powłócząca nogami. Stała obok drzwi kuźni.

Puścił wodze i pobiegł, wołając jej imię, ale zbyt cicho i głos porывał wiatr.

– Morwenno! – wrzasnął.

Tym razem go usłyszała i odwróciła się. Niestety było za ciemno, by mógł zobaczyć jej twarz pod kapturem.

– Drake...

– Wszędzie cię szukałem! – powiedział.

– Drake... – powtórzyła. Zawahała się, po czym padła mu w ramiona.

– Wracam z Trenwith – powiedział. – Mówili, że niedawno odeszłaś.

– Szukałam cię. Wydawało mi się, że nie ma cię w domu. – Drżała, ciężko łapała oddech, była zmęczona.

– Musiałem cię minąć. Pewnie poszłaś przez las.

– Poszłam przez las.

– Nie bój się, kochana. Wszystko minęło. Nie ma się czym martwić.

Starał się jej nie całować ani nie przytulać wbrew jej woli, ale zauważył,

że sama się do niego tuli.

III

George zastał Elizabeth w sypialni, gdzie udała się po uspokojeniu Valentine'a. Długo rozmawiała z synem i pochwaliła jeden z jego nowych rysunków. George krążył przez chwilę po pokoju, wziął do ręki kilka przedmiotów, spojrzął na nie i odstawił na miejsce.

– Miło znowu być w domu – rzekł niedbałym tonem. – Po tak długiej nieobecności można zapomnieć, jaka to przyjemność.

Elizabeth nie odpowiedziała. Przyglądała się mikroskopijnemu wypryskowi na twarzy.

– Nieprzyjemna podróż i nieprzyjemne powitanie – ciągnął George. – Obawiam się, że straciłem panowanie nad sobą.

– Nie było nieprzyjemnie, dopóki ty tego nie sprawiłeś.

Obrócił powoli głowę i w milczeniu spojrzął ze złością na żonę.

– Jesteś zadowolona, że twoja kuzynka poślubi bezczelnego, obszarpanego metodystę?

– Nie cieszy mnie to, bynajmniej – odparła Elizabeth. – Próbowaliśmy nią kierować, lecz może popełniliśmy błąd. Teraz nie można już nic zrobić. Morwenna to dorosła kobieta – już nie panna – a poza tym wdowa. Od nikogo nie zależy. Siostra pana młodego zaakceptowała małżeństwo. Nie możemy jej kontrolować i niemądrze byłoby się do tego nie przyznać.

– Niemądrze – powtórzył George. – Rozumiem. A nie postąpiłaś niemądrze, gdy ją tu zaprosiłaś?

– Nie spodziewałam się, że dziś przyjedziesz.

– I to usprawiedliwia zaproszenie Morwenny?

– Uważam, że nie muszę się tłumaczyć – odpowiedziała cicho.

– Ach, więc to tak...

– Tak... rzeczywiście.

George usłyszał stalowe brzmienie głosu Elizabeth, co oznaczało, że przynajmniej raz jest gotowa stanąć do walki. Zdał sobie sprawę, że w tej chwili żona jest bardziej wściekła od niego. Osiągnął apogeum gniewu na dole, gdy wyrzucił Morwennę, i w tej chwili był po prostu w złym humorze.

– Myślisz, że można mi odszczekiwać, jak to zrobiła ta dziewczyna, ta kobieta?

– Myślisz, że wolno się do mnie odzywać w ten sposób? Sugerowałeś, że Drake Carne miał coś wspólnego ze śmiercią Osborne'a!

– Niczego takiego nie powiedziałem. Jeśli postanowiła tak to zrozumieć...

– Wiesz, że śledztwo dowiodło, że przebywał wtedy daleko...

– Och, dowiodło... Można dowieść wszystkiego. W końcu to Carne najwięcej na tym zyska.

– Czasami nie potrafię cię zrozumieć, George. Wydaje się, że... że coś ci dokucza.

– O tak, dokucza. Czasem mi dokucza.

Elizabeth wzięła szczotkę i zaczęła czesać włosy, układając delikatne pasma. George zdobył się na wysiłek.

– Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. – Mimo to w jego głosie brzmiał chłód.

– Dość dobrze, choć sceny takie jak ta na dole nie wpływają dobrze na moje samopoczucie.

– Przykro mi.

– Naprawdę jest ci przykro?

Analizował swoje myśli.

– Przykro mi, że zdenerwowało cię to, co powiedziałem. Nie jest mi przykro, że wyrzuciłem z domu tę bezczelną kreaturę, nawet jeśli to twoja

kuzynka. Nie jest mi również przykro, że wyrzuciłem jej kłamliwego adoratora.

– Odbieram to inaczej – odparła Elizabeth. – Czułam się upokorzona.

George oblał się rumieńcem. Trafiono go w najczulszy punkt. Jego piętą achillesową było poczucie własnej niższości.

– Nie masz prawa tego mówić!

– Tak uważasz?

– Tak twierdzę!

Gwałtownie odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Na niebie świecił księżyc i noc była jasna. Wiatr osłabł i w sypialni Elizabeth, której okna, złożone z małych szybek oprawionych w ołów, wychodziły na niewielki dziedziniec, nie czuć było przeciągu. Jeszcze jeden wysiłek, by załagodzić awanturę.

Roześmiał się sucho.

– Przyjechałem tu specjalnie, by się z tobą zobaczyć, i kłócimy się o trywialnych ludzi, którzy w ogóle nas nie obchodzą.

– Jest jedna osoba, która obchodzi nas oboje.

– Kto taki?

– Valentine.

Pozwolił zasłonie opaść. Elizabeth siedziała przy toalecie w długim, zwiewnym szlafroku, który ukrywał ciążę. Smukłe ramiona i proste plecy wydawały się prawie tak samo dziewczęce jak wtedy, gdy George zobaczył ją po raz pierwszy przed dwudziestu laty. Kiedy na nią patrzył, jak zwykle zmagał się z mieszanymi uczuciami. Była jedyną osobą, która wywoływała w nim taki niepokój.

– Byłem... byłem zajęty, głodny. Przyjechałem do Trenwith, by odpocząć. Paplanina Valentine'a mnie zirytowała.

– To tylko chłopięce gadanie. Był wyjątkowo wytrącony z równowagi, że

go wyrzuciłeś w taki sposób.

George nie odpowiedział.

– Widziałeś go później? – spytała Elizabeth.

– Nie.

– A powinieneś.

George znów się zirytował. Kolejna reprimenda. Odkąd wszedł do sypialni, żona bez przerwy udziela mu reprimend. Jakby to ona była panem Trenwith. Jakby to do niej należały pieniądze, kopalnie, bank, nieruchomości, jakby to ona zasiadała w Izbie Gmin, jakby to ona miała kontakty handlowe! To nie do zniesienia. Chętnie by ją uderzył. Mógłby chwycić ją za szyję i uciszyć w pół minuty.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła się lekko.

– Powinieneś, George.

Miał wrażenie, że jego uczucia rozbijają się o skały, których nic nie jest w stanie poruszyć. Zależało mu na tej kobiecie i na tym, co o nim myśli.

– Elizabeth, czasem naprawdę się dręcę – rzekł szorstko.

– Z powodu bezmyślnych słów chłopca? – Stawiała sprawę jasno.

– Możliwe. Częściowo. Niekiedy z ust dziecka można usłyszeć prawdę...

– Więc uważasz, że Geoffrey Charles dla żartu powiedział prawdę, choć przysięgam, że to nieprawda?

Opuścił głowę jak sprowokowany byk.

– Nie zawsze widzi się wszystko dokładnie. Powiedzmy, że czasem się dręczyłem, a później... Szczerze powiedziałem, co myślę, nie zwracając uwagi na konwenanse. Nie wątpię, że rozumiesz niebezpieczeństwo, jakie niesie małżeństwo z synem kowala.

– Nie to miałam na myśli.

– Praktycznie właśnie to powiedziałaś!

– Nie, nie powiedziałam. A jeśli ty się dręczysz, George, jak twoim

zdaniem ja się czuję, gdy wracasz do domu, robisz awanturę, wyrzucasz moją kuzynkę i okrutnie traktujesz własnego syna? Naszego syna, George! Nie, nie myślę, że poślubiłam syna kowala, myślę, że poślubiłam mężczyznę, który dźwiga na barkach straszliwy ciężar, straszliwy, zły ciężar zazdrości i podejrzeń, od których nie może się uwolnić! Nic na ciebie nie działa, George. Żadne moje słowa! Żadne przysięgi! Żadne zachowania! Zawsze będziesz dźwigał ten złowrogi ciężar i zrujnujesz resztę naszego małżeńskiego życia...! Jeśli w ogóle dalej będziemy małżeństwem...

George spojrział w mroczną otchłań własnej duszy i zrozumiał, że Elizabeth powiedziała prawdę. Opanował złość, zmagął się ze sobą, postanowił się uspokoić.

– Tak, rozmawialiśmy o tym już wcześniej.

– Tak mi się zdaje!

– Nie jest to miły temat. Moim zdaniem ciotka Agatha przeklęła nasze małżeństwo, a poza tym...

– Agatha? – Elizabeth szybko się obróciła. – Ciotka Agatha?! Co ona ma z tym wspólnego?

George zastanawiał się przez chwilę.

– Nigdy nie zamierzałem ci o tym mówić...

– Moim zdaniem pora, żebyś mi powiedział, cokolwiek jest do powiedzenia!

Wciąż się wahał, skubiąc wargę.

– Teraz to nieważne.

– Powiedz mi!

– Cóż, w dniu, kiedy zmarła, kiedy poszedłem jej powiedzieć, że ma dziewięćdziesiąt osiem lat, a nie sto, jak udawała, zaczęła mnie atakować. Moim zdaniem robiła to z nienawiści, chcąc się zemścić...

– Co powiedziała?

– Że Valentine nie jest moim synem.

Elizabeth popatrzyła na męża. Jej twarz była pełna goryczy.

– Więc stąd to wszystko...

– Tak, większość. Chyba wszystko.

– Uwierzyłeś jej? Uwierzyłeś sklerotycznej starej kobiecie?

– Powiedziała, że nie byłaś moją żoną dostatecznie długo, by urodzić dziecko o czasie.

– Valentine był wcześniakiem. Spadłam ze schodów!

– Tak mówiłaś...

– Tak mówiłam! Ciągłe myślisz, mimo wszystkiego, co ci powiedziałam, że okłamuję cię od dnia urodzin Valentine'a?! Że nigdy nie spadłam ze schodów, że wszystko wymyśliłam, by udawać, że Valentine to twoje dziecko, choć wcale nim nie jest?! Ciotka Agatha też ci to powiedziała?!

– Nie. Ale wyraźnie to miała na myśli. Dlaczego miałyby mówić coś takiego?

– Bo cię nienawidziła, George, właśnie dlatego! Nienawidziła cię tak samo jak ty ją! Jak miałyby cię nie nienawidzić, skoro zniszczyłeś jej wspaniałe przyjęcie urodzinowe?! Powiedziałyby wszystko, co przyszłoby jej do głowy, by cię dotknąć przed śmiercią.

– Myślałem, że ją lubiłaś.

– Naturalnie!

– Więc dlaczego miałyby powiedzieć coś, co zniszczyłoby nie tylko moje, ale również twoje życie?

– W tamtej chwili przede wszystkim chciała cię zranić. Było to dla niej najważniejsze! Zastosowałaś podłą sztuczkę, by zepsuć jej urodziny...

– To nie była sztuczka, tylko prawda!

– Tylko ty o tym wiedziałeś! Gdybyś najpierw przyszedł do mnie, prosiłabym, abys nikomu o tym nie mówił. Urodziny by się odbyły, wszyscy

byliby zadowoleni i za kilka miesięcy ciotka Agatha spokojnie by zmarła, zadowolona ze swego wielkiego triumfu. Ale nie! Musiałeś do niej pójść, zobaczyć się z nią i wszystko jej powiedzieć – musiałeś małostkowo się na niej zemścić! Dlatego usiłowała się odgryźć, zranić cię w jedyny możliwy sposób. Widziała, że jesteś szczęśliwy. Byłeś bardzo dumny, że masz syna, następcę, który odziedziczy cały twój majątek, więc próbowała to wszystko zniszczyć. Przypuszczam, że w ogóle nie myślała o mnie ani o Valentinie. Jedynym celem była zemsta na tobie! I udało jej się, prawda? Udało! – Elizabeth roześmiała się ochryple. – Udało jej się lepiej, niż się spodziewała! Od tamtego czasu w twoich żyłach krąży jad, który będzie cię zatruchiwał aż do dnia twojej śmierci! Co za zemsta, George, co za zemsta! Wszystko z powodu twojego małego, podłego triumfu! Ciotka Agatha zepsuła ci całe życie!

Na czole George'a pojawiły się kropelki potu.

– Niech cię diabli, jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?! Twierdzisz, że postąpiłem małostkowo, że byłem mały, podły. Nie będę znosił takich wyzwisk! – Odwrócił się, jakby zamierzał wyjść z sypialni. – Próbowałem ustalić jej prawdziwy wiek, to wszystko. Wszyscy Poldarkowie to oszuści...

– Nie wiedziała, ile ma lat!

– Podejrzewam, że doskonale wiedziała. – Przy drzwiach znowu się odwrócił i podszedł do toaletki. – To, co dziś powiedziałaś – niezależnie od niewybaczalnych wyzwisk – jest całkowitą nieprawdą! To nieprawda, że Agatha zatruciła po swojej śmierci moje życie. Elizabeth, przestań się śmiać!

Przygryzła kostki rąk, usiłując zapanować nad śmiechem, nad histerią. Dostała czkawki, rozkasłała się, znów wybuchnęła śmiechem, po czym o mało nie zwymiotowała.

– Jesteś chora?

– Chyba zemdleję... – wykrztusiła.

Podszedł do chwiejącej się żony, chwycił ją za barki, a później objął

w pasie. Kiedy zaczęła się zsuwać z krzesła, wziął ją na ręce, spojrzał na jej zamglone oczy i zaniósł do łóżka. Jej policzki powoli odzyskiwały kolor. Wokół głowy Elizabeth rozsypały się jej piękne włosy, nieco zbyt ciemne po ostatnim farbowaniu, i lśniły w świetle świecy niczym jezioro.

– Co ci jest? Co się stało? – Złość George’a była teraz inna, jej przyczyną był niepokój, a nie irytacja. Ale jego głos prawie nie zmienił brzmienia.

– To nic.

– Coś się musiało stać! Mogę ci jakoś pomóc? Zadzwońię po Ellen.

– Nie... Sole trzeźwiące. W szufladzie...

Przyniósł je i czekał. Przez moment oboje milczeli i emocje stopniowo opadły. Po chwili Warleggan odszedł, stanął odwrócony plecami do ognia i patrzył na łóżko.

Elizabeth powąchała sole i westchnęła.

– Moje dziecko się poruszyło. To bolało.

– Powinien cię zbadać lekarz – rzekł krótko. – Bóg jeden wie, kogo wezwać w tej przeklętej okolicy. Choake jest w tej chwili inwalidą, a Enys zachowuje się tak wyniośle...

– Nic mi nie będzie.

– Zaraz po świętach wrócimy do Truro. Albo wcześniej. Bezpieczniej mieć w pobliżu Behennę.

– Bardzo mnie zdenerwowałeś – odparła. – Wcześniej czułam się dobrze.

Wsunął ręce do kieszeni.

– Wydaje się, że moja obecność ci szkodzi!

– Istotnie.

– Więc powinienem znów wyjechać, tak?

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, ale nie zniosę następnej takiej sceny.

– Wolałabyś może, żebym się zachowywał jak twój pierwszy mąż, zadawał się z kobietami lekkich obyczajów, upijał do nieprzytomności, przegrywał

pieniądze w karty...

– Wiesz, że nie chciałabym tego.

– Nie podoba ci się, że się o ciebie troszczę? Że twoje słowa i czyny mają dla mnie znaczenie?

Nie odpowiedziała. Stał nad nią. Nie rozstrzygnął jeszcze swojego konfliktu wewnętrznego, lecz rozumiał, że nie może dłużej się z nią kłócić. Obawa o zdrowie Elizabeth zmuszała go do pokojowego zakończenia sprzeczki, ale nie wiedział, jak to zrobić.

– Pójdę i porozmawiam z Valentine'em – rzekł ponuro.

– Dziękuję.

– Ten przeklęty dom przynosi nieszczęście – powiedział. – Ciągłe zdarzają się tu niemiłe historie.

– Jakie niemiłe historie nas spotkały?

– Użyłem niewłaściwego słowa. Wszystko, co dziś mówię, wydaje się niewłaściwe... – Zmagał się z własną złością. – Wiesz, że moje uczucia do ciebie się nie zmieniają.

– Trudno w to uwierzyć!

– Cóż, to prawda! – Znów ogarnął go gniew i krzyknął: – Musisz to wiedzieć, Elizabeth! Jesteś jedyną osobą, na której mi kiedykolwiek zależało!

– Jest jeden sposób, byś to udowodnił.

– Jaki?

– Kochaj także Valentine'a.

IV

Po wyjściu George'a Elizabeth drzemała przez pewien czas.

Czuła się naprawdę chora i bała się, że zemdleje. Dziecko było bardzo niespokojne, a gwałtowna kłótnia ją wyczerpała. Po około godzinie wstała,

przeszła do następnego pokoju i wyjęła z torby niewielką buteleczkę.

Wiedziała, że zbliża się pora podania herbaty, lecz prosiła, by jej nie przeszkadzano, a zresztą nie czuła pragnienia. Zniosła buteleczkę wraz z łyżką do łóżka, wyjęła korek i powąchała czerwonobrunatny płyn. Pachniał grzybami. Wzięła do ust kropelkę. Mikstura nie była szczególnie niesmaczna.

Po rozmowie z doktorem Anselmem o mało nie wyrzuciła buteleczki. W końcu postanowiła ją zachować, lecz była pewna, że nigdy nie zażyje lekarstwa. Kiedy zbliżała się odpowiednia pora, coraz bardziej utwierdzała się w swoim przekonaniu. Chociaż często cierpiała na drobne dolegliwości, szanowała swoje zdrowie i nie chciała go niszczyć. Doktor Anselm nie ukrywał, że istnieje pewne ryzyko, choć dokładnie nie określił jego charakteru. Przede wszystkim nie zamierzała narażać życia dziecka. Miała nadzieję, że tym razem urodzi córkę. Czasem miała wrażenie, że otaczają ją sami mężczyźni. Mała dziewczynka byłaby źródłem radości i zadowolenia.

Dzisiejsze zachowanie George'a pokazało, że nie potrafi on zapomnieć o dawnych podejrzaniach, nawet jeśli próbuje to zrobić. Czy jeśli Elizabeth urodzi dziecko w siódmym miesiącu ciąży, podejrzania wreszcie znikną? Na pewno robi to na nim wrażenie. Nigdy się nie dowie, że Elizabeth sztucznie przyśpieszyła poród. Wyzbędzie się podejrzeń – na pewno. Nawet jeśli Valentine wyrośnie na śniadego, wysokiego, kościstego mężczyznę. Drugi wcześniak. George nie może dalej być zazdrosny.

Jeśli Elizabeth podejmie ryzyko i wszystko dobrze się skończy, jej małżeństwo wreszcie się ustabilizuje, a co więcej, Valentine może liczyć na normalne życie. Gdyby dorastał w cieniu podejrzeń George'a, czasem słabnących, a czasem przybierających na sile, stałby się znerwicowanym człowiekiem. Gdy podejrzania wreszcie się rozwieją, odziedziczy całą fortunę Warlegganów. Elizabeth szczególnie ceniła przyjaźń, która z biegiem lat nawiązała się między jej pierwszym a drugim synem. Skoro jej pierwszy syn –

którego w dalszym ciągu mocniej kochała – jest biedny, a drugi bogaty, i skoro się przyjaźnią, mogą jakoś ułożyć swoje stosunki majątkowe, by Geoffrey Charles zamieszkał w Trenwith jako właściciel ziemski, objął należną schedę po ojcu. Naturalnie Valentine w dalszym ciągu jest bardzo młody i ma przed sobą całe życie, ale Elizabeth byłaby spokojniejsza, gdyby czuła pewność, że Valentine zostanie dziedzicem George'a.

Czy to jest sposób, by osiągnąć cel? Tak się wydawało. Nie widziała innej możliwości.

Znów odkorkowała buteleczkę i wylała kroplę na łyżkę. Buteleczka była niewielka i nie miała nalepki. Znała na pamięć instrukcje napisane na osobnym kawałku papieru – trzymała go w torebce. „Osiem łyżek stołowych płynu przed udaniem się na spoczynek w drugim tygodniu grudnia. Jeśli lekarstwo nie zadziała, nie należy go przyjmować ponownie”.

V

Późnym wieczorem, kiedy dzieci już spały, Ross spytał Jane, gdzie jest pani.

– Była gdzieś za domem, sir. Chyba zajmowała się świniami. Ale potem wyszła. Chciała popatrzeć na morze.

Ross narzucił pelerynę i poszedł szukać Demelzy. Dwie godziny wcześniej ledwo mógł ustać, lecz teraz tylko chwiał się czasem w podmuchach wiatru. Rozchmurzyło się i na niebie świecił okrągły księżyc. Brakowało dwóch dni do pełni.

Zauważył Demelzę stojącą przy starym murku pod osłoną sterczącej skały. Było to pierwsze miejsce, gdzie się udał, ponieważ żona lubiła patrzeć stamtąd na plażę Hendrawna.

Podszedł do niej od tyłu, próbując hałasować butami, by jej nie przestraszyć. Mimo to się wzdrygnęła.

- Przestraszyłeś mnie!
- Pomyślałem, że cię tu znajdę.
- Tak, przyszedłam na kilka minut. Często to robię, gdy nie ma cię w domu.
- Sądziłem, że miałaś dziś już dość świeżego powietrza.
- Chciałam po prostu popatrzeć na morze.

Trwał odpływ i plaża zalana księżycowym światłem była pokryta pianą przypominającą resztki mleka, które wykipiało.

- Bogu niechaj będą dzięki, że nie wróciłem do domu statkiem.
- Bogu niechaj będą dzięki.

Stali przez chwilę w milczeniu.

- Nic się nie wydarzyło w Londynie? – spytała Demelza. – Naprawdę nic?
- Nic.
- To... dobra wiadomość.

– Pani Parkins była zmartwiona twoim nagłym wyjazdem. Myślała, że nie podoba ci się pokój.

- Mam nadzieję, że ją uspokoiłeś.
- Powiedziałem, że mnie nie lubisz.
- To niezupełnie prawda.

Rozmowa się urwała.

- Drake jutro się żeni? – spytał Ross.
- Chciałby. Jeśli wielebny Odgers się zgodzi.
- Tak byłoby lepiej. Dla nas.

– Jest jakaś nadzieja? Mam na myśli wielebnego Odgersa.

– Chyba udało mi się to załatwić, ale oczywiście najpierw powinien otrzymać oficjalną wiadomość.

– Bardzo się cieszę! Zwłaszcza ze względu na panią Odgers i dzieci. Ile by dostał?

- Dwieście funtów rocznie. Jego dochody wzrosłyby prawie czterokrotnie.

– Bardzo się cieszę – powtórzyła Demelza.

Przez kilka minut wiatr uniemożliwiał rozmowę.

– Jeszcze bardziej się cieszę z powodu Drake’a – ciągnęła. – Znacznie, znacznie bardziej, oczywiście. Nie uwierzyłbyś, jak się zmienił. Jest innym człowiekiem. Przez całą drogę do domu śpiewał.

– Myślisz, że wszystko się ułoży?

– Teraz tak uważam. Poznałam Morwennę. Myślę, że jeśli ludzie się kochają tak jak oni, powinni się pobrać, niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość. Nawet jeśli za kilka lat wszystko się popsuje, nic im nie odbierze tego czasu. Kto kocha, żyje, a kto nie kocha, nie żyje.

– Tak – odpowiedział Ross.

– Drake jest bardzo... prawy – ciągnęła po minucie Demelza. – Dziś pojechaliśmy do Bodmin i w drodze powrotnej postanowił wstąpić do matki Morwenny, by poprosić ją o pozwolenie. Usiłowałam go od tego odwieść, ale się uparł. Właśnie dlatego wróciliśmy tak późno.

– Udzieliła pozwolenia?

– Szkoda, że nie znam właściwego słowa, by ją opisać. Jest pretensjonalna?

– Moim zdaniem to dość prawdopodobne.

– Oczywiście na początku była zrozpaczona. „Moja mała Morwenna marnuje sobie życie...”. Ale, Ross, ja również postanowiłam zachować się pretensjonalnie ze względu na Drake’a. Zauważyłam, że Drake, choć jest skromnie ubrany i mówi jak człowiek z ludu, nie jest zwykłym kowalem. Oznajmiłam, że jego szwagier jest właścicielem kopalni, posłem do Izby Gmin oraz współnikiem nowo powstałego Banku Kornwalijskiego w Truro. Wtedy nieco się opanowała.

– Właściwe słowo to obłuda – prychnął Ross.

– Nie, Ross, wcale nie. Wszystko dobrze się skończyło. Matka Morwenny

otarła łzy i powiedziała, że nie ma sił odprowadzać nas do drzwi. Drake bezczelnie ją pocałował, a później pocałował dwie ładne siostry Morwenny, które nas odprowadziły. Może na swój sposób było to korzystne.

– Zdaje się, że widziałem dziś w Truro trzecią siostrę – odparł Ross. – Wygląda bardzo dziwnie. Brzydkie ubranie i brzydki chód, a mimo to zwraca na siebie uwagę.

– Morwenna też potrafi zwracać uwagę – rzekła Demelza. – W końcu zwróciła uwagę Ossiego.

– Co przyniosło wszystkim nieszczęście... Ale Morwenna robi to nieświadomie... Trzecia siostra jest zupełnie inna, na pewno. Zimno ci?

– Nie.

– Demelzo... przywiozłem ci drobny upominek.

– Naprawdę? Mogę zobaczyć?

– Dam ci go jutro albo w czasie ślubu.

– Dlaczego muszę czekać?

– Zamierzałem zachować go na święta. Później postanowiłem dać ci go dziś wieczorem. Jeszcze później przypomniałem sobie inne okazje, gdy wręczałem ci prezenty, i przyszło mi do głowy, że to zbyt prymitywny sposób na wkupienie się w twoje łaski...

– Uważasz, że musisz próbować się wkupić w moje łaski?

– Cóż... to, co się stało w Londynie, nie było dobre.

– Nie powinieneś zatem najpierw mi wybaczyć? – spytała.

– Może. Może chodzi o to samo. Tak czy inaczej, upominek to zbyt prosty sposób, by coś naprawić. Niewielki wydatek, a potem wszystko zostaje zapomniane. To niedobre.

Na krótko okolicę oświetlił księżyc i Demelza spojrzała na obłoki płynące na niebie.

– Zostawiłam cię samego – powiedziała. – Zostawiłam w chwili, gdy nie

powinnam tego robić, gdy ciągle groziło ci niebezpieczeństwo.

– Może była to jedyna rzecz, którą mogłaś zrobić.

– Tak mi się wtedy wydawało, ale później, po powrocie do domu, zmieniłam zdanie. Nie postąpiłam dobrze.

– W przeszłości, gdy wiele nas dzieliło, czasem o tym rozmawialiśmy. Mówiliśmy, sprzecaliśmy się i końcu dochodziliśmy do jakiegoś rozwiązania, które okazywało się możliwe do przyjęcia. Kiedy indziej milczeliśmy. Zamienialiśmy tylko kilka słów, wyrażając żal lub zrozumienie. I to też działało. Nie jestem pewny, jaki jest teraz właściwy sposób. Czasami mam wrażenie, że rozmowy, wyjaśnienia tworzą kolejne nieporozumienia, a nie oczyszczają atmosferę. A jednak nie możemy żyć tak, jakby nic się nie stało.

– Tak, myślę, że nie możemy, Ross.

– Co mogę powiedzieć, by wszystko naprawić?

– Niewiele. Może tak jest najmądrzej. A co ja mam powiedzieć?

– Cóż, nie wiem. Już wcześniej dawaliśmy sobie powody do urazy. Tym razem nie jest gorzej, na swój sposób nawet lepiej. A jednak to głęboko rani.

– Głęboko rani.

Dotarli do istoty problemu.

– Teraz to ja jestem głównym winowajcą, może jedynym – powiedział Ross. – W każdym razie nie mam nic na swoją obronę.

– Och, Ross, to nie...

– Może człowiek mierzy stopień swojej zdolności wybaczenia stopniem swojej miłości? Czasami brakowało mi miłości. Czy tobie też jej teraz brakuje?

– Nie – odpowiedziała. – Nigdy mi jej nie zabraknie. Nie brakuje mi miłości, Ross, lecz zrozumienia.

– Zrozumienie pochodzi z głowy, miłość z serca. Co zawsze wydawało ci się ważniejsze?

– To nie takie proste.

– Wiem – przyznał cicho. – Powinienem to wiedzieć.

Chmury płynęły tak szybko, że księżyc zdawał się skakać po niebie.

– Może oboje za bardzo się przejmujemy – powiedziała Demelza.

– To wielki błąd ze strony ludzi, którzy są małżeństwem od czternastu lat.

Ale myślę, że skoro możemy się do tego przyznać, zbliżamy się do porozumienia.

– Czy przejmowanie się nie oznacza myślenia o drugim człowieku? – spytała. – Może każde z nas poświęcało temu zbyt mało uwagi?

– Innymi słowy, nasza miłość była egoistyczna...

– Nie tak bardzo. Ale czasami...

– Musimy być wobec siebie bardziej tolerancyjni... Tylko jak to osiągnąć bez obojętności? Czy to nie gorsze rozwiązanie?

– Tak – odrzekła po chwili.

– Więc jak brzmi twoja odpowiedź?

– Moja odpowiedź?

– Twoje rozwiązanie.

– Może po prostu musimy dalej żyć. Dalej się uczyć, Ross.

– I kochać – dodał Ross.

– To najważniejsze.

Rozdział czternasty

I

Drake przybył do Nampary o siódmej. Podał godzinę ślubu i poszedł zobaczyć się z Samuelem. Demelza pojechała do Caroline i spytała, czy mogłaby pożyczyć suknię ślubną dla Morwenny, ponieważ Caroline była takiego samego wzrostu. Zawiozła ją do kuźni Pally'ego.

Morwenna miała figurę podobną do Rowelli. Z pozoru wydawała się szczupłą, lecz suknia Caroline nie chciała się zapiąć. Poprzednio zdarzyło się to samo, ale wiedziała o tym tylko Morwenna. Cztery lata temu przez kilka dni szyły, by dopasować na Morwennę suknię ślubną Elizabeth. Teraz kolejny ślub, w jeszcze większym pośpiechu, ten sam kościół, ten sam duchowny – tylko pan młody się zmienił. Trzeba panować nad nerwami. Kłótnia Morwenny z Warlegganem, do której doszło wczoraj wieczorem – wstrętne, złośliwe insynuacje na temat Drake'a – miała skutek przeciwny do zaplanowanego przez George'a. Broniła Drake'a – oddałaby za niego życie – i dzięki temu lepiej zrozumiała własne serce i własny umysł. Małżeństwo – to małżeństwo – wydawało jej się ażylem, możliwością odzyskania spokoju. Wczorajszy spór usunął z jej serca wątpliwości.

Drake okazał się subtelniejszy, niż przypuszczała Demelza, i starał się nie narzucać Morwennie, nie okazywać nadmiernej czułości. Nigdy nie pytał, co się wydarzyło w Trenwith. Przez cały ranek pracował i o dziesiątej ugotował lekki posiłek. Później spojrzął na wysokie kłębiaste chmury wiszące nad

morzem i doszedł do wniosku, że do wieczora nie spadnie deszcz. Tak im mijał czas. W końcu udało się dopasować kremową sukienkę z grogramu z kilkoma czerwonymi wstążkami. Drake włożył nowy surdut. Tuż po jedenastej wszyscy pojechali do kościoła. Czekał na nich Ross z dwojgiem dzieci i panią Kemp, która miała trzymać je w ryzach, a także Samuel, jego towarzysz Peter Hoskin, Jud i Prudie – niezaproszeni – oraz Caroline – była to niespodzianka – oraz trzy lub cztery osoby, które usłyszały o ślubie i przyszły do kościoła.

O jedenastej dwadzieścia pięć do świątyni wszedł wielebny pastor Odgers w towarzystwie żony, po czym rozpoczęła się ceremonia. Skończyła się bardzo szybko, zawarto nierozzerwalny związek małżeński. Para młoda podpisała się w księdze ślubów, a po kilku minutach wszyscy stanęli na przykościelnym cmentarzu wśród starych nagrobków pochylonych w różne strony i przypominających połamane zęby. Wypisane na nich nazwiska już dawno znikły, zatarte przez wichury, a ludzie pochowani w ziemi rozpadli się w proch i ulegli zapomnieniu.

Demelza, nosząca na piersi nową miniaturę, zaprosiła Drake'a i Morwennę do Nampary na herbatę i ciastka, choć wiedziała, że odmówią. Ross pocałował Morwennę, później zrobiła to Demelza, Caroline i Samuel. Drake cmoknął Demelzę i brata, a Caroline Demelzę – Rossa zostawiła na koniec. Później wymieniano uściski dłoni, po których Drake Carne i Morwenna Carne odjechali na kucach do niedalekiego domu.

– A zatem załatwione – powiedziała Demelza, przytrzymując kapelusz, by nie zerwał go wiatr. – Załatwione, Samie. Właśnie tego pragnęli najbardziej na świecie, odkąd po raz pierwszy się zobaczyli.

– Z woli Boga powinni żyć obok siebie i rozkrzewiać w sobie piękno duszy – odparł Samuel.

Demelza obserwowała dwie zmniejszające się sylwetki, które mijały

bramy Trenwith. Za dziesięć minut znajdą się w domu, szczęśliwi, że zostali sami. Będą pić herbatę, rozmawiać – a może milczeć – pragnąc być razem, żyć ze sobą, mając do siebie zaufanie. Spojrzała na Samuela, który osłaniał dłonią oczy i patrzył na odjeżdżających nowożeńców. Goście się rozchodzili. Pastor Odgers i jego żona, pożegnawszy się unieżeniem z Rossem, wracali do swojej chaty. Caroline rozmawiała z Rossem. Jeremy usuwał mech z jednego z nagrobków i próbował odczytać napis. Clowance skakała z kamienia na kamień. Pani Kemp rozmawiała ze znajomą. Niebo pokrywały smugi, jak gdyby zamieciono je miotłą: kłębiaste chmury odpłynęły nad morze, które ryczało, jakby zamierzało je pożreć.

Clowance stanęła na kamieniu w pobliżu Juda i Prudie, którzy zbierali się do odejścia.

– Uważaj, jak skaczesz, panienko! Jeśli źle postawisz nogę, z ziemi wyskoczy wielgachny szkielet i ugryzie cię w palec!

– Wielki wół! – prychnęła Prudie. – Nie zwracaj na niego uwagi, kochanie. Stawaj, gdzie chcesz, nikt ci nie zrobi krzywdy.

Ruszyli naprzód, kłócąc się ze sobą, a Clowance spoglądała za nimi, trzymając kciuk w buzi. Kiedy się oddalili, ostrożnie zeszła na skraj ścieżki i pośpieszyła do matki.

Demelza zaprowadziła córkę do Rossa.

– Gdzie jest Dwight? – zwróciła się do Caroline. – Miałam nadzieję, że wypijecie z nami herbatę.

Caroline zmarszczyła brwi.

– Mówiłam Rossowi. Dwight miał ze mną przyjechać, ale tuż po dziesiątej wezwano go do Trenwith i więcej go nie widziałam.

– Może chodzi o jedno ze staruszków – zauważyła Demelza. – Doktor Choake ma taką podagrę, że ledwo się rusza...

– Nie, chodziło o Elizabeth – wyjaśniła Caroline.

Zapadło krótkie milczenie.

– Powiedzieli, co się stało?

– Nie...

Ross wyjął zegarek.

– Nie ma go już od dwóch godzin.

– Może zaczęła rodzić – odezwała się Demelza.

– Zastanawiałam się nad tym – rzekła Caroline. – Mam nadzieję, że nie, bo dziecko urodziłoby się za wcześnie... Rozumiem, że Valentine był wcześniakiem.

Znów zapadła cisza.

– Tak – odparł Ross.

II

Około ósmej rano George znalazł Elizabeth leżącą na podłodze sypialni. Zemdlała i upadła, ale się nie zraniła. Zaniósł ją do łóżka i chciał natychmiast wezwać lekarza, lecz zapewniła, że nic jej nie jest. George zgodził się tylko dlatego, że nie lubił Enysa, a Choake nie mógł się ruszać.

Jednak półtorej godziny później zaczęła się uskarżać na ból pleców i George natychmiast posłał służącego po Dwighta, który przyjechał, zbadał Elizabeth i orzekł, że rozpoczęła się akcja porodowa. Służący George'a pogalopował po doktora Behennę.

Tym razem doktor Behenna znacznie się spóźnił. Skurcze były częste i gwałtowne, trwały prawie bez przerwy, towarzyszył im ostry ból. O pierwszej Elizabeth urodziła dziewczynkę ważącą dwa kilogramy i trzydzieści dekagramów. Była maleńka, miała pomarszczoną, czerwoną twarzyczkę i zamiast płaczu wydawała z siebie tylko ciche kwilenie przypominające odgłosy wydawane przez nowo narodzone kocięta. Była łyssa,

miała cieniutkie paznokcie, lecz wydawała się zdrowa. Marzenie Elizabeth o córce się spełniło.

W Trenwith nie było fachowej położnej, toteż Dwightowi asystowały Ellen Prowse, Polly Odgers i niechlujna Lucy Pipe. Jednak wszystko poszło dobrze, nie było komplikacji i po zakończeniu porodu Dwight zszedł na dół, by poinformować dumnego ojca o efektach swojej pracy.

Od wczesnego ranka George'em targały sprzeczne uczucia, wątpliwości i lęki, a kiedy Dwight oznajmił, że ma córkę i że matka oraz dziecko czują się dobrze, podszedł do stolika i nalał sobie kolejny kieliszek mocnej brandy. Zadzwięczała karafka. Raz w życiu wypił za dużo.

– Czy mogę panu zaproponować kieliszek, doktorze... eee... doktorze Enys?

– Dziękuję, nie. – Po chwili Dwight zmienił zdanie. Zależało mu na dobrosąsiedzkich stosunkach z Warlegganami. – Cóż, tak, brandy, ale z wodą.

Wypili.

– Moja żona dobrze się czuje? – spytał George, prostując się na fotelu.

– Tak. Urodzenie wcześniaka przychodzi matce nieco łatwiej, ponieważ dziecko jest mniejsze. Skurcze były wyjątkowo gwałtowne i jeśli to rezultat upadku, w ciągu następnych kilku tygodni powinna zachowywać wyjątkową ostrożność. Doradzałbym zaangażowanie mamki.

– Tak, tak. A dziecko?

– W tej chwili wymaga starannej opieki. Nie ma powodów przypuszczać, że nie będzie zdrowe, lecz wcześniaki są zawsze bardziej narażone na ryzyko. Podejrzewam, że ma pan własnego lekarza...

– Posłano po doktora Behenę.

– W takim razie jestem pewien, że zaleci odpowiednią kurację i opiekę.

– Kiedy mogę zobaczyć żonę i córkę?

– Podałem pani Warleggan środek nasenny, który będzie działał do

wieczora, i zostawiłem drugą dawkę pani Odgers na wypadek, gdyby okazała się potrzebna. Może pan wejść teraz, jeśli pan chce, ale proszę nie męczyć żony.

George się zawahał.

– Teściowie właśnie zasiadają do obiadu. Gdyby miał pan ochotę do nich dołączyć...

– Nie, dziękuję. Pora, bym wrócił do domu. Spędziłem u państwa cztery godziny i moja żona będzie się zastanawiać, co się ze mną dzieje.

– Czy w tej chwili moja żona jest bezpieczna bez opieki lekarskiej? – spytał George.

– O tak. Przyjadę znowu o dziewiątej wieczorem, gdyby miał pan takie życzenie. Przypuszczam jednak, że doktor Behenna dotrze do Trenwith przede mną.

– Jeśli wyruszył szybko po otrzymaniu wezwania, powinien tu być w ciągu godziny. Dziękuję za pana szybką i skuteczną pomoc.

Kiedy doktor Enys opuścił dwór, George zastanawiał się, czy iść do jadalni i powiedzieć teściom, że znowu zostali dziadkami. Doszedł jednak do wniosku, że chociaż wiedzą, że ich córka rodzi, nie spodziewają się tak szybkiego rozwiązania. Później może do nich wysłać Lucy Pipe. Przede wszystkim chciał zobaczyć Elizabeth.

Odstawił kieliszek, podszedł do lustra, poprawił halsztuk i wygładził włosy. Otarł chusteczką pot z czoła. Wyglądał znośnie. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżył, przez cały dzień dręczył go straszliwy niepokój, a teraz czuł niewiarygodną ulgę. Nie powinien przeżywać takiej huśtawki emocjonalnej, stawał się przez to bezbronny, czuł wstyd.

Podszedł do drzwi i zapukał. Do sypialni wpuściła go Polly Odgers.

Elizabeth była bardzo blada, lecz wydawała się mniej wyczerpana niż po długim porodzie Valentine'a. Pozycja leżąca jak zawsze podkreślała jej kruche

piękno. Jej zwodnicza delikatność robiła wtedy największe wrażenie. Na poduszce rozsypały się złote włosy; kiedy zobaczyła George'a, wyjęła chusteczkę, by otrzeć suche wargi. W kołysce obok kominka poruszała się i wierzgała mała istota.

– Ach, to ty, George... – szepnęła Elizabeth.

– Zostaw nas, Polly – powiedział Warleggan.

– Tak, sir.

Kiedy służąca wyszła, usiadł ciężko na fotelu i patrzył z napięciem na żonę.

– A zatem... wszystko skończyło się dobrze.

– Tak. Wszystko skończyło się dobrze.

– Czujesz ból?

– Nie. Doktor Enys bardzo mi pomógł.

– To się zdarzyło po raz drugi. Tak jak poprzednio. I tak samo szybko.

– Tak. Tylko że wtedy urodziłam w ósmym miesiącu, a teraz w siódmym.

– Upadasz – powiedział oskarżycielskim tonem. – Zawsze upadasz.

– Mdleję. To moja szczególna cecha. Pamiętasz, zemdlałam również w tym roku po zajściu w ciążę.

– Elizabeth, ja...

Obserwowała, jak z wysiłkiem szuka właściwych słów, lecz nie próbowała mu pomóc.

– Elizabeth, złość ciotki Agathy...

Elizabeth ze znużeniem machnęła dłonią.

– Zapomnijmy o tym.

– Jej złość, jej złość... Po jej śmierci... Jak wczoraj powiedziałaś, jej złość wpłynęła na połowę mojego życia.

– I połowę mojego, choć nie znałam przyczyny.

– Jestem z natury skryty i zrównowagony. Trudno mi otworzyć serce przed inną osobą. W takich sytuacjach podejrzenia narastają. Uległem podejrzeniom

i zazdrości.

– A ja nie mogłam się przed nimi bronić.

– Tak... wiem. Ale powinnaś rozumieć, że ja również cierpiałem. – Zgarbił plecy i spojrzał ponuro na żonę. – Wieczorem dwa lata temu mówiłem prawdę. Miłość i zazdrość to dwie strony medalu. Tylko święty może się cieszyć miłością i nie czuć zazdrości. I miałem powody do podejrzeń...

– Powody?

– Tak mi się zdawało. Wszystko za sprawą przekleństwa starej kobiety. Teraz wreszcie zrozumiałem, że się myliłem. Zaszkoziło to naszemu małżeństwu. Mam nadzieję, że można je naprawić.

Elizabeth milczała, rozkoszując się brakiem bólu i cierpienia. Laudanum łagodnie zamazywało ostre kontury rzeczywistości. George przysunął fotel do łóżka i wziął ją za rękę. Było to z jego strony niezwykle zachowanie. W istocie rzeczy nie pamiętała czegoś takiego. Twardy człowiek złagodniał.

– Ty musisz zdecydować – powiedziała cicho, choć oczywiście wiedziała, jaka będzie decyzja.

– Wobec tego mamy przed sobą całe życie – rzekł z nową nutą pewności. – Teraz, gdy my... teraz, gdy mogę o tym zapomnieć. Mogę żałować, że kiedykolwiek o tym myślałem, ale tak było. Nie mogę – nikt nie może – cofnąć czasu. Elizabeth, muszę przyznać, że się myliłem. Może teraz... od dziś... możesz mi wybaczyć część przykrości... zapomnieć o niemiłych chwilach.

Uścisnęła mu rękę.

– Idź i popatrz na swoją córkę.

Wstał i podszedł do kołyski. W cieniu, tuż poza kręgiem światła rzucanego przez ogień, widać było czerwoną twarzyczkę z błękitnymi bezrzęsymi oczami, z malutkimi ustami, które otwierały się i zamykały. Wyciągnął palec i zacisnęła się na nim miętka różowa rączka wielkości orzecha laskowego. Zauważył, że dziewczynka jest znacznie mniejsza od Valentine'a w chwili narodzin. Ale

Valentine przyszedł na świat w ósmym miesiącu.

Stał przez chwilę, kołysząc się na piętach, nie wskutek spożycia alkoholu, tylko z powodu przepełniającej go satysfakcji. Był wzruszony. Jakaś fundamentalna część jego natury nie lubiła napięcia emocjonalnego związanego z małżeństwem i ojcostwem. Wolałby przez cały dzień zajmować się cyframi i handlem, podobnie jak stryj Cary: nie uczestniczyłby wtedy w straszliwych konfliktach, bitwach emocjonalnych, które prześladowały go w życiu osobistym.

Jednak z ich powodu jego życie było głębsze, a kiedy, tak jak teraz, w efekcie pojawiała się zadowolenie...

– Jak ją nazwiemy?

Elizabeth otworzyła oczy.

– Ursula – odpowiedziała bez wahania.

– Ursula?

– Tak. Nazwałeś syna Valentine, więc myślę, że teraz moja kolej. Moja matka chrzestna, jedna z ciotek, nosiła imię Ursula. Wuj zmarł, gdy miała trzydzieści lat, a później przez trzydzieści osiem lat pozostała wdową.

– Ursula – powiedział George, jakby smakował to słowo językiem. – Nie mam zastrzeżeń. Czy twoja matka chrzestna miała jakieś szczególne cechy?

– Myślę, że wprowadziła do rodziny Chynowethów pierwiastek intelektualny. Oczywiście, jeśli uważasz, że jest to w ogóle możliwe. Przyjaźniła się z Mary Wollstonecraft i zachęcała ją do pisania, a poza tym tłumaczyła książki z greki.

– Ursula Warleggan. Tak, nie mam nic przeciwko temu. Valentine Warleggan. Ursula Warleggan. Będą sławnymi ludźmi.

Elizabeth czuła senność, lecz ze szczególnym zadowoleniem odnotowała, że wypowiedział imiona obojga dzieci. W duchu błogosławiła doktora Anselma, że to sprawił.

George rozumiał, że powinien odejść. Musiał jeszcze coś powiedzieć.

– Elizabeth.

– Tak?

– Wczoraj wróciłem w konkretnym celu. Chciałem cię o czymś poinformować.

– Mam nadzieję, że to dobre nowiny.

– Tak, dobre. Pamiętasz, że rankiem w przeddzień naszego wyjazdu z Londynu odwiedziłem Pitta.

– Wiedziałam, że się do niego wybierasz... Ale później nic mi nie mówiłeś.

George odchrząknął i obrócił monety w kieszonce od zegarka.

– Nie. Cóż, nie chciałem ci mówić. Znasz moje motywy. Ufam, że to się nie powtórzy. Mamy obowiązek zadbać, by to się nigdy nie powtórzyło... Teraz muszę ci powiedzieć, że moja rozmowa z premierem okazała się bardzo miła i bardzo użyteczna. Obiecałem mu swoje całkowite poparcie, on zaś łaskawie przyjął moje zapewnienie o lojalności.

– Cieszę się.

– Działo się to przed trzema tygodniami. Wczoraj rano otrzymałem list od Johna Robinsona. Napisał, że Pitt zgodził się na moją prośbę i że z przyjemnością zarekomenduje Jego Królewskiej Mości, by nadał mi w przyszłym roku tytuł szlachecki.

Dziewczynka leżąca w kołysce cicho westchnęła. Był to jej pierwszy komentarz na temat nowego, dziwnego świata, w którym się znalazła.

Elizabeth szeroko otworzyła oczy, piękne szarobłękitne oczy, które zawsze fascynowały Warleggana.

– Och, George, tak się cieszę...

Szeroko się uśmiechnął, co zdarzało się rzadko.

– Podejrzewam, że zostaniesz lady Warleggan.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Była to Lucy Pipe.

– Przepraszam, sir, na dole jest doktor Behenna. Czy ma wejść na górę?

– Nie, niech czeka na parterze. Najpierw pani musi odpocząć. – Służąca szybko cofnęła głowę, a George powiedział: – Musisz odpocząć, kochanie. – W jego głosie było więcej ciepła niż kiedykolwiek przedtem.

Powieki Elizabeth opadły.

– Tak...

– Niech się pani dobrze wyspi, lady Warleggan – rzekł George. Pochylił się i pocałował żonę.

– Dziękuję, sir... sir George.

III

Doktor Behenna był nieco wytrącony z równowagi, gdy po długiej, męczącej podróży dowiedział się, że poród szczęśliwie się zakończył i że matka oraz dziecko czują się dobrze. Jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi to, że nie pozwolono mu zobaczyć położnicy. W większości domów bezceremonialnie poszedłby prosto do sypialni, ale we dworze Warlegganów, nowobogackich, którzy stale podkreślali swoją ważność, musiał postępować ostrożniej.

Kiedy pan Warleggan wreszcie raczył zejść na parter, okazał się nieubłagany. Jego małżonka urodziła zdrową córkę i śpi. Czuwa przy niej panna Odgers, która w razie potrzeby wezwie doktora. George zdawał sobie sprawę, że Behenna nie jest człowiekiem, który byłby w stanie po cichu wejść na palcach do sypialni, więc na razie powinien czekać na dole.

Aby go ułagodzić, George zaprowadził go do jadalni, gdzie drzemali nad brandy i porto starzy Chynowethowie. Kucharkom polecono, by przygotowały późny obiad dla dwóch zgłodniałych mężczyzn.

Naturalnie pani Chynoweth była uszczęśliwiona, że ma wnuczkę,

i podobnie jak doktor Behenna czuła się urażona, że nie pozwolono jej natychmiast iść na górę. Pan Chynoweth wypił za dużo, by się cieszyć. Po chwili położył głowę na stole i chrapał przez resztę posiłku. Stół był duży, więc George i Behenna zjedli posiłek na drugim końcu.

George nigdy nie był zbyt rozmowny, a Behenna w dalszym ciągu czuł się nieco urażony. W jadalni rozlegał się tylko arystokratyczny, lecz głuchy i niewyraźny głos babki – Joan Chynoweth z domu Le Grice, o czym nie omieszkała wspomnieć, jednego z najstarszych, najwybitniejszych rodów Anglii.

– Bzdury! – mruknął Jonathan Chynoweth, który mimo pijackiego stuporu zrozumiał uwagę żony. – Bar... bardzo przeciętna rodzina... Przybyła z Normandii zaledwie kilka stuleci temu. Bardzo przeciętna...

Jego żona rozpoczęła długie rozważania, jak nazwać dziewczynkę. George jadł w milczeniu i przypomniał sobie, że poprzednim razem, po narodzinach Valentine'a, prowadzono podobną rozmowę o imieniu syna. Wtedy przy stole siedzieli również ojciec George'a oraz stara, złowroga wiedźma Agatha Poldark, zgarbiona w fotelu i wtrącająca od czasu do czasu złośliwe uwagi.

George nie był człowiekiem przesądnym, lecz przypominał sobie zabobonny strach, jaki odczuwała jego matka przed staruchą: w dawnych wiekach ciotkę Agathę z pewnością spalono by na stosie albo pławiono w rzece jako czarownicę. Zasługiwała na to, bo żaden demoniczny sukkub nie narobiłby większych szkód. Nawet bronchit ojca zaczął się w jej obecności, gdy pewnego wieczoru z kominka buchnął dym, jakby złe duchy zmieniły ciąg powietrza w kominie. George miał żal do siebie, że zwracał uwagę na słowa złośliwej staruchy: postępował jak przeklęty głupiec. W dniu narodzin Valentine'a powiedziała, że przyszedł na świat w chwili zaćmienia księżyca, więc czekają go nieszczęścia.

Naturalnie nienawidziła George'a od samego początku – nawet przed tym,

zanim ją zauważył i również znenawidził. Przeżyła cztery pokolenia Poldarków i stała się symbolem rodziny. Najbardziej na świecie nie znosiła nędznego parweniusza, którego zaproszono do Trenwith jako kolegę szkolnego Francisa, a który później systematycznie stawał się coraz ważniejszą postacią. Obserwowała z odrazą, jak stroi się w piórka – najpierw omotał Francisa siecią długów, a następnie został właścicielem posiadłości. Agatha nie mogła znieść widoku narastającego zadowolenia George'a.

Chociaż przyjemność odczuwana przez Warleggana stopniowo spowszedniała – podobnie jak wszystkie powtarzające się przyjemności – w dalszym ciągu czuł satysfakcję, gdy wchodził do wspaniałego dworu z epoki Tudorów, rozglądał się i przypominał sobie czasy, gdy odwiedzał ten dom jako nieokrzesany, prostacki, nieobeznany ze światowymi manierami młodzieniec. Poldarkowie, całkowicie pewni swojego statusu i majątku, należeli wtedy do znacznie wyższej klasy społecznej. Charles William, ojciec Francisa, gruby i majestatyczny w cynobrowej kamizelce, który pierdział, miewał humory i traktował George'a przyjaźnie, lecz protekcyjnie. Pani Johns, owdowiała siostra Charlesa Williama, jej syn i synowa. Pastor Alfred Johns i jego żona oraz starsza siostra Francisa, Verity. Poza tym Ross, brat stryjeczny Francisa, smagły, milczący, wyniosły, którego George poznał w szkole i już wtedy czuł do niego antypatię. I jeszcze jeden członek rodziny, który nigdy się nie pojawiał, ojciec Rossa: uczestniczył w tylu awanturach, że w domu nigdy nie wymieniano jego imienia. Patronowała im wszystkim ciotka Agatha, w połowie nestorka rodziny, w połowie zaniedbana stara panna, ucieleśniająca ducha rodu, której składali hołd wszyscy jego członkowie.

Teraz wszyscy odeszli. Verity wyjechała do Falmouth, rodzina Alfreda Johnsa do Plymouth, Ross przebywał w Namparze, reszta zmarła. A George, nieokrzesany, niedouczony młokos, stał się właścicielem gniazda rodowego Poldarków. Miał w Kornwalii wiele posiadłości, lecz najbardziej cenił

właśnie Trenwith.

– Ursula... – powiedział, głośno myśląc.

– Co? Kto? – spytała pani Chynoweth. – Co powiedziałaś?

– Takie imię jej nadamy.

– Dziecku? Mojej wnuczce?

– Pragnie tego Elizabeth. Imię mi się podoba.

– Ursula – rzekł Jonathan, unosząc się o kilka centymetrów. – Ursula, mała niedźwiedzica. Bardzo dobrze. Uważam to za świetny pomysł. – Oparł głowę o fotel i zasnął.

Pani Chynoweth otarła zdrowe oko.

– Ursula. Właśnie tak miała na imię babka Morwenny. Była matką chrzestną Elizabeth. Niedawno zmarła.

George zeszywniał, lecz nie odpowiedział.

– Niezbyt ją lubiłam – ciągnęła pani Chynoweth. – Za... za bardzo się przejmowała prawami kobiet. Mój ojciec powiedział kiedyś... powiedział kiedyś: „Jeśli kobieta jest intelektualistką, powinna to ukrywać i nosić ładną suknię”. Była intelektualistką i nie nosiła ładnych sukni...

– Czy mógłbym prosić o sos musztardowy? – odezwał się doktor Behenna.

– Dlaczego „mała niedźwiedzica”? – George zwrócił się do Jonathana, ale teść pochrapywał.

– Zdaje się, że właśnie to znaczy imię Ursula – zauważył doktor Behenna. – Czy mam rozumieć, że proponuje mi pan nocleg, panie Warleggan?

– Mała niedźwiedzica – rzekł George. – Cóż, nie mam nic przeciwko temu. Ursula Warleggan brzmi bardzo dobrze. – Spojrzał chłodno na lekarza. – Co pan powiedział? Tak, naturalnie. Może pan u nas przenocować. Nie ma pan ochoty jechać konno po ciemku, prawda?

Behenna skłonił głowę w równie chłodny sposób.

– Bardzo się cieszę, panie Warleggan, ale jak dotąd nie pozwolono mi

zobaczyć pacjentki, więc zastanawiam się, czy w ogóle chce pan korzystać z moich usług.

– Na Boga, człowieku, dziecko urodziło się niespełna trzy godziny temu! – odparł niecierpliwie George. – Doktor Enys podał mojej żonie środek nasenny, Elizabeth i dziecko śpią. Może pan ich zobaczyć, kiedy się obudzą! Do tego czasu powinni wypoczywać. Nakazuje to najzwyczajniejszy zdrowy rozsądek.

– Tak – odpowiedział zrzędliwie Behenna. – Istotnie.

– Nawet ja nie mogłam ich zobaczyć – wtrąciła pani Chynoweth. – A babka ma przecież swoje prawa. Ale o wszystkim decyduje drogi pan Warleggan... Decydujesz o większości spraw, George, i, na moją duszę, właśnie tak należy prowadzić dom...

George pomyślał, że w domu jego teściowej zawsze było inaczej, ponieważ to ona kierowała mężem. A jednak w Trenwith właściwie rozumiała pozycję zięcia w rodzinie. Gdyby nie George, państwo Chynowethowie już dawno zmarliby w swoim dawnym domu Cusgarne. Tutaj mieszkali w komfortowych warunkach, nie mieli żadnych obowiązków, karmiono ich i obsługiwano. Miało to trwać do ich śmierci. Pani Chynoweth nigdy nie ignorowała praktycznych aspektów sytuacji.

Mimo to doskonale wiedział, że jego teściowa była kiedyś przerażona, że jej piękna, młoda córka, przypominająca porcelanową figurkę, może się zniżyć do zawarcia małżeńska z plebejuszem Warlegganem.

Czasy się zmieniły, podobnie poglądy pani Chynoweth.

Elizabeth obudziła się dopiero po kolacji, nieco wypoczęta, i pozwolono ją zobaczyć wszystkim, którzy na to czekali. Oglądano i podziwiano Ursulę. Doktor Behenna starał się, by badanie trwało jak najkrócej, i był usatysfakcjonowany wynikiem. O północy wszyscy udali się na spoczynek. O trzeciej nad ranem Ellen Prowse obudziła doktora Behennę i powiedziała,

že pani ma silne bóle ramion i nóg.

Rozdział piętnasty

I

George posłał po Dwighta dopiero w czwartek rano. Caroline, w dobrosąsiedzkim nastroju, wkładała kapelusz, by odwiedzić Elizabeth i obejrzeć nowo narodzone dziecko, gdy nagle nadszedł służący Warlegganów. W tej sytuacji zdjęła kapelusz i Dwight pojechał sam.

Doktor Behenna stał w sieni obok George'a, lecz nie rozmawiali ze sobą. George był blady po nieprzespanej nocy.

– Pani Warleggan od trzydziestu sześciu godzin ma straszliwe bóle. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan iść na górę i ocenić, czy może jej pomóc.

Dwight spojrział na Behennę, który rzekł sztywno:

– Przedwczesny poród wywołał ostre zapalenie trzewi, co objawia się gwałtownymi skurczami. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, lecz pan Warleggan uważał, że powinniśmy się z panem skonsultować, skoro odebrał pan poród.

Dwight skinął głową.

– Co pan zalecił?

– Lekkie puszczenie krwi. Napar z liści *Atropa belladonna*. Węglan potasu i amoniak. Niewielkie lewatywy, by zmniejszyć napięcie trzewi. – W głosie Behenny brzmiała irytacja, ponieważ zwykle nie zdradzał rywalom szczegółów stosowanych przez siebie kuracji. Dwight był zaskoczony, że kolega mówi tak otwarcie.

Z jednego z pokojów wyszła, kuśtykając, stara kobieta i ruszyła przez sień. Dwight z trudem rozpoznał panią Chynoweth.

– Mógłby pan mnie zaprowadzić do pacjentki, sir? – zwrócił się do Behenny.

Znalazszy się w sypialni, Dwight popatrzył ze zgrozą na Elizabeth. Postarzała się o dziesięć lat, na jej wychudzonej twarzy malował się ból. Kiedy wszedł do pokoju, pociągnął lekko nosem. Później zbliżył się do łóżka.

– Pani Warleggan... Bardzo źle pani wygląda. Musimy szybko panią wyleczyć.

– Naturalnie, że panią wyleczymy! – Behenna stał tuż za plecami Dwighta. Gardził kolegami, którzy mówią pacjentom, że są w złym stanie. – Za kilka dni będzie pani zdrowa jak rydz!

– Proszę powiedzieć, co pani dolega. Czy coś panią boli?

Elizabeth zwilżyła wargi, by odpowiedzieć, lecz nie mogła. Popatrzyła na Dwighta. Młody lekarz pochylił głowę, zbliżając ją do jej ust.

– Moje... moje stopy. Całe moje ciało... boli. Nigdy nie byłam taka chora... nigdy nie czułam takiego bólu... – Zauważył, że ma opuchnięty język pokryty ciemnoczerwonym krwistym nalotem.

– Podał pan pacjentce laudanum? – zwrócił się do Behenny.

– Tak, trochę. Ale na tym etapie należy przede wszystkim zwiększyć elastyczność żył i usunąć materię gnilną wypełniającą układ krwionośny.

– Tak mi zimno... – szepnęła Elizabeth.

Dwight zerknął na ogień płonący na kominku. Obok siedziała Lucy Pipe, delikatnie poruszając kołyską. Dotknął dłonią czoła Elizabeth i zbadał puls, który był bardzo szybki. Palce jednej ręki były sine i opuchnięte.

– Chciałbym panią zbadać, pani Warleggan, gdyby nie miała pani nic przeciwko temu – powiedział. – Postaram się nie sprawić pani bólu.

Delikatnie odsunął kołdrę i lekko dotknął brzucha pacjentki. Elizabeth

skrzywiła się i jęknęła. Później zdjął kołdrę z nóg i przyjrzał się stopom. Dotknął prawej, po czym popatrzył na lewą. Następnie przesunął czubki palców aż do kolan.

Wyprostował się i przykrył Elizabeth. Wiedział już, dlaczego Behenna tak szczerze opowiada o szczegółach kuracji. Okazała się ona nieskuteczna.

Z kołyski dobiegł cichy płacz.

– Proszę zabrać stąd dziecko! – rzucił ostro.

– Och... – odezwała się Elizabeth, nagle bardziej przytomna. – Och, dlaczego? Dlaczego?

– Potrzebuje pani absolutnej ciszy i spokoju – rzekł łagodnie. – Nie powinny pani denerwować nawet najłżejsze dźwięki.

Do sypialni wszedł George i spoglądał na żonę ze zmarszczonymi brwiami. Wyglądał jak człowiek, który obawia się, że przegrywa w grze, której reguł nie zna.

– No i co? – spytał.

Dwight przygryzł wargę.

– Najpierw przepiszę mocniejsze lekarstwo, by uśmierzyć ból, pani Warleggan. Doktor Behenna ma rację, gdy twierdzi, że to choroba związana z układem krwionośnym. Spróbujemy razem panią wyleczyć.

– Jaką kurację pan proponuje? – spytał George.

– Powinniśmy postępować stopniowo, panie Warleggan – odparł Dwight. – Najpierw złagodzimy przykre dolegliwości. Później pozwólmy pacjentce odpocząć. Natychmiast podam jej silnie działający wywar z maku, a potem musimy ją rozgrzać. Ale bardzo powoli. Odczuwa pani pragnienie?

– Cały... cały czas.

– Następnie lemoniada, ile tylko zdoła wypić. Cegły w stopach łóżka i delikatne masowanie rąk. Cegły powinny być ciepłe, nie gorące; należy je zmieniać co godzinę. Przede wszystkim powinniśmy przywrócić normalną

temperaturę ciała. To wyjątkowo ważne. Proszę, by w kominku rozpalono duży ogień i lekko uchylono okno. Zostanie pan w Trenwith, doktorze Behenna?

– Mam pacjentów w mieście, ale mogą poczekać.

Dwight uśmiechnął się do Elizabeth.

– Proszę okazać cierpliwość, madame, postaramy się jak najszybciej pomóc. – Odwrócił się. – Potem trzeba czekać, panie Warleggan. W tej chwili nie można zrobić nic więcej. Doktorze Behenna, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów na osobności?

Behenna odchrząknął i skinął głową. Dwaj lekarze przeszli do garderoby Elizabeth. Wisiały w niej ładne różowe kotary, a na stołach leżały eleganckie koronkowe serwety.

– Przyjmuję, że nie uważa pan tego naprawdę za zapalenie trzewi? – spytał Dwight.

Behenna odchrząknął.

– Wyjątkowa wrażliwość nerwów sugeruje ostry stan zapalny wywołany podagrą, który mógł doprowadzić do obserwowanych przez nas objawów.

– Widać, że nigdy nie przebywał pan w obozie jenieckim, doktorze – rzekł Dwight.

– Co ma pan na myśli?

Dwight znów się zawahał. Bał się wypowiedzieć słowa, które miał na końcu języka.

– Cóż, sprawa wydaje się oczywista. Nie czuje pan żadnego zapachu?

– Muszę się zgodzić, że pojawił się nieprzyjemny odór, którego nie zauważyłem przed południem. Ale to...

– Tak, właśnie to. Choć tylko Bóg wie, co doprowadziło do tego stanu.

– Sugeruje pan, sir, że to niepożądany skutek mojej kuracji?

– Niczego nie sugeruję...

– Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że gdybym to ja odbierał poród,

nic takiego by się nie stało, sir!

Dwight spojrzał na Behennę.

– Obaj jesteśmy lekarzami, doktorze. Wierzę, że w równym stopniu zależy nam na ratowaniu ludzkiego życia. Nasze kuracje mogą się bardzo różnić, lecz mamy identyczny cel. Uważam, że nie można kwestionować naszej uczciwości. Dlatego twierdzę, że odbierając nieskomplikowany poród albo stosując proste środki medyczne, nie mógłbym wywołać objawów choroby, na którą zdaje się w tej chwili cierpieć pani Warleggan.

Behenna spacerował po garderobie.

– Podzielam tę opinię.

– Skurcz arterii uniemożliwiający dopływ krwi – rzekł Dwight. – Moim zdaniem tak wygląda sytuacja. Najbardziej niebezpieczne jest zatrzymanie dopływu krwi do nóg. Nie widzę żadnej przyczyny! Poród, jak powiedziałem, miał normalny przebieg. Był przedwczesny, ale jedynym niezwykłym objawem były szybkie, gwałtowne skurcze macicy. Uznałem, że to szczególna cecha pacjentki: w zeszłym tygodniu odebrałem poród, który trwał zaledwie pięćdziesiąt pięć minut od pierwszych bólów. Uznałem, że przyczyną jest upadek pani Warleggan, że nic nie wskazuje na komplikacje. Teraz to... Przyczyna jest niejasna, lecz objawy wydają się oczywiste.

– Wyciąga pan zbyt daleko idące wnioski – rzekł Behenna. Zerknął na Enysa.

– Modlę się, by okazało się to nieprawdą, proszę mi wierzyć. Wkrótce się przekonamy.

– Ufam, że nie zamierza pan informować pana Warleggana o swoich podejrzeniach.

– W żadnym razie. W tej chwili mam nadzieję, że chociaż nie podziela pan mojej diagnozy, nie kwestionuje pan zaordynowanej kuracji?

– Nie... Nie może zaszkodzić.

II

Ross spędził cały piątek trzynastego w Truro, uczestnicząc w drugim zgromadzeniu udziałowców Banku Kornwalijskiego jako jeden ze współników i gwarantów. Nie wspomiano o pojedynku, choć wszyscy musieli o nim wiedzieć z prostego powodu – nikt nie pytał o sztywność prawej ręki Rossa. Mógł już nią poruszać, lecz w dalszym ciągu z trudem się podpisywał.

Większość poruszanych kwestii była dla niego kompletnie niezrozumiała, chociaż uprzejmie słuchał. Był bardziej użyteczny, kiedy dyskutowano o polityce. Wprawdzie lord de Dunstanville z pewnością miał w Londynie wielu innych zaufanych, ale tylko Ross zasiadał w Izbie Gmin i mógł czasem uzupełnić jakieś informacje.

Po zakończeniu zgromadzenia zjadł kolację i przenocował u Harrisa Pascoe w Calenick, gdzie w tej chwili bankier mieszkał wraz z siostrą. Stara siedziba banku Pascoe miała zostać sprzedana lub zburzona i Harris szukał mniejszego domu bliżej centrum Truro, skąd mógłby codziennie udawać się na piechotę do kantoru Banku Kornwalijskiego. Dobrze się przystosował do nowej sytuacji i chociaż stracił prestiż związany z samodzielnym prowadzeniem interesu, nie musiał się niczego lękać. Powiedział Rossowi w swój zwykły szyderczy sposób, że nie jest to złe zajęcie dla człowieka w jego wieku i o jego charakterze.

Ross wyjechał w sobotę rano i wrócił do Nampary w południe. Był to najciemniejszy dzień roku i zimy, bo chociaż nie padał deszcz, niebo pokrywały chmury. Świt i zmierzch były tylko słowami oznaczającymi niewielkie zmiany widoczności.

Kiedy dotarł do domu, dowiedział się od Demelzy, że Elizabeth jest ciężko chora. Wczoraj przywiozła tę wiadomość Caroline i tego ranka Demelza pojechała do Killewarren, by spytać, co się dzieje.

– To wszystko, co mogłam zrobić – powiedziała. – Gdybyśmy byli

normalnymi sąsiadami...

– Mówiła, że stan Elizabeth się poprawia?

– Nie. Dwight był wtedy w Trenwith.

– Dziecko żyje?

– O tak, i dobrze się czuje. Wcześniak, ale zdrowy.

Spojrzeni sobie w oczy i nie powiedzieli nic więcej.

W czasie obiadu uwagę Rossa i Demelzy jak zwykle absorbowały dzieci oraz pani Kemp, która stała się kimś w rodzaju rezydentki dworu w Namparze. Rozmawiano na różne tematy. Clowance, dawniej milkliwa, w tej chwili rywalizowała z Jeremym w umiejętności podtrzymywania konwersacji i oboje bez przerwy gadali, nie zwracając uwagi, czy ktoś ich słucha.

Ross jadł niewiele i w połowie posiłku rzekł półgłosem do Demelzy:

– Chyba muszę jechać.

Skinęła głową.

– Moim zdaniem powinieneś. Boję się o ciebie.

– Dam sobie radę.

– Gdybyś spotkał w Trenwith Toma Harry'ego. Masz osłabioną rękę...

– Nie zatrzyma mnie, gdy jadę konno. W takiej chwili George musi mnie przyjąć.

– Nie byłabym... nie byłabym taka pewna, Ross.

– To prawda. – Przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Warlegganem. – Mogę tylko próbować.

– Powinnam ci towarzyszyć?

– Nie... Jeśli mnie obrazi, jakoś to przełknę, ale gdyby obraził ciebie, nie wytrzymałbym.

– Weź ze sobą Gimletta.

– Nie przestraszyłby nawet muchy. Tholly Tregirls byłby dobry. Niestety nie mogę go wyciągać z szynku, by mi towarzyszył w czasie sąsiedzkiej

wizyty.

– Zwariowanej wizyty – zauważyła Demelza.

– Skoro tak uważasz... Chyba już pojedę, póki jest jeszcze choć trochę jasno.

– Zapalę świece.

Ross wstał i poszedł po pelerynę i kapelusz. Demelza zadała mu kilkanaście pytań. Pocałował ją przed wyjściem, czego zwykle nie robił w środku dnia.

– Nie siedź tam za długo, bo będę się martwiła – powiedziała. – Najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo.

Uśmiechnął się.

– Bezpieczeństwo... – powtórzył.

Wyszedłszy na dwór, spojrzął na morze, które prawie się uspokoiło. Przypominało brezentowe płótno z postrzępionymi białymi brzegami poruszonymi przez podmuchy wiatru. Na ciemnym niebie latały mewy.

Kiedy dotarł do bramy Trenwith, we dworze paliło się kilka świec. Pomyślał, że niewiele domów tak szybko ulega nastrojom jak Trenwith. Kiedy był tutaj w letni wieczór półtora roku wcześniej, wszystko pulsowało życiem i wesołością, a teraz dwór wydawał się nieruchomy i zimny jak w porze Bożego Narodzenia, gdy odwiedził ciotkę Agatę.

Nie zauważył gajowych. Zsiadł z konia i zastukał do drzwi. Prawie natychmiast otworzył je nieznany Rossowi służący.

– Jest pan... och...

– Przeszedłem spytać o zdrowie pani Warleggan – odparł Ross. – Pan Warleggan jest w domu?

– Pani Warleggan... eee...

– Nazywam się Poldark.

– Och... – Wydawało się, że mężczyzna zamarł.

– Co się dzieje? – rozległ się głos w głębi sieni. Był to George. Jego twarz kryła się w cieniu. Mówił lodowatym tonem.

– Przychodzę w pokojowych zamiarach, George – rzekł Ross. – Chcę po prostu spytać o zdrowie Elizabeth. Ufam, że czuje się lepiej.

W domu rozlegały się hałasy, lecz trudno było je zidentyfikować.

– Wyrzuc tego człowieka – rozkazał George.

– Przyszedłem spytać, jak się czuje Elizabeth – ciągnął Ross. – To wszystko. Uważam, że w czasie choroby trzeba odłożyć na bok stare spory, nawet najbardziej zaciekle.

– Wyrzuc tego człowieka – powtórzył George.

Drzwi zaczęły się zamykać. Ross zablokował je nogą i napał na nie zdrowym ramieniem. Służący poleciał do tyłu i wpadł na stół. Ross wszedł do środka. W wielkiej sieni paliła się tylko jedna świeca. W stalowoszarym świetle dnia przypominała mrugające żółte oko.

Ross zamknął za sobą drzwi.

– Na litość boską, George! Czy naprawdę musimy być tacy małostkowi, by rzucać się na siebie jak parszywe psy nawet w czasie choroby?! Powiedz mi, że Elizabeth czuje się lepiej. Powiedz, że nic się nie zmieniło. Powiedz, co mówią lekarze, a potem odjadę! Bardzo chętnie stąd odejdę! Nie mam tu żadnych spraw, tylko wieloletnie związki z tym domem i jego mieszkańcami. Jestem spowinowacony z Elizabeth i dobrze jej życzę...

– Niech cię piekło pochłonie. Ciebie, twoją rodzinę i twoją krew! – zawołał George. – Na wieki wieków! – Zakrztusił się i urwał, jakby sam był chory.

Ross czekał, ale Warleggan milczał. Służący doszedł do siebie i ustawiał na miejscu przewrócony stół.

– Nie odejdę, dopóki się nie dowiem, jak się czuje – powiedział Ross.

– Elizabeth? – odparł George. – Elizabeth, powiadasz? Elizabeth nie żyje.

III

W ciszy, jaka zapadła, służący bezszelestnie opuścił sien.

Ogromna sala przypominała kościół. Była chłodna, od ścian odbijało się echo. Światło z wielkiego okna padało na wielki stół, wygasły kominek. Płonęła tylko jedna świeca.

– To... nie możesz... – powiedział Ross. Zaczerpnął tchu. – Elizabeth nie mogła...

– Dwie godziny temu – rzekł beznamiętnie George. – Trzymałem ją za rękę, gdy umierała. Nie sprawia ci to przyjemności?

Ross rozpoznał teraz głos słyszany wcześniej. Był to płacz kobiety, prawie skowyt przypominający dawny lament celtycki. Nikt nie rozpoznałby głosu pani Chynoweth, która od kilku lat mówiła cicho i lekko się jąkała.

– Elizabeth jest... Nie mogę... uwierzyć... George, to nie jakiś...

– Żart? – przerwał Warleggan. – Owszem, od czasu do czasu żartuję, ale nie na taki trywialny temat jak śmierć żony.

Ross stał, jakby nie potrafił wykonać skoordynowanego ruchu. Oblizywał wargi i spoglądał na Warleggana.

– Idź, bydlaku! – krzyknął George. – Idź i ją obejrzyj! Zobacz, do czego doprowadziliśmy!

Z salonu zimowego wyszedł mężczyzna. Innego dnia Ross rozpoznałby go jako doktora Behenę.

– Panie Warleggan, proszę się nie denerwować. Nie mogliśmy nic zrobić, a teraz to już koniec...

George się odwrócił.

– Jest tu kapitan Poldark. Kapitan Poldark, poseł do Izby Gmin. Nie wierzy, że moja żona, której od dawna pożądał, nie żyje. Myśli, że żartuję. Zaproponowałem, żeby poszedł na górę i ją zobaczył.

– Panie Warleggan, gdyby wolno mi było zasugerować...

– Gdzie ona jest?

George spojrział na Rossa.

– W różowej sypialni z oknami na dziedziniec. Dobrze się orientujesz w rozkładzie dworu, bo zawsze uważałeś, że do ciebie należy. Idź i przekonaj się na własne oczy. Nie ma tam nikogo. Nikt nie chce z nią siedzieć.

– Kapitanie Poldark... – zaczął Behenna, lecz Ross zmierzał już w stronę schodów.

Szedł na górę, potykając się od czasu do czasu. We dworze było ciemno, na końcu długiego korytarza paliła się samotna świeca. Minął sypialnię Verity, potem sypialnię Francisa, na końcu sypialnię ciotki Agathy. Drogę blokowały mu cienie. Potknął się o starą komodę. Skrzypiały podłogi. Minął sypialnię, w której nocował kiedyś z Demelzą i w której się kochali. Pięć stopni w górę. Spadła z nich Elizabeth przed urodzeniem Valentine'a.

Podszedł do drzwi. Nie potrafił ich otworzyć. Właśnie w tym pokoju rozmawiał z Elizabeth przed siedmioma laty – spotkanie, które doprowadziło do tylu komplikacji. Nagle poczuł, że ma ochotę się przeżegnać, choć nie wierzył w Boga i nie był katolikiem.

Otworzył drzwi i poczuł straszliwy smród.

Elizabeth leżała w łóżku, płonęły dwie świece. W kominku w dalszym ciągu pełgał ogień.

Zasłony były zaciągnięte, okno lekko uchylono. Wieczorny wiatr poruszał różową kotarą. Na stoliku przy łóżku stała klepsydra, miska, wysoka, ozdobna butelka do karmienia chorych, obok leżały dwie cytryny. Na toaletce zauważył naszyjnik z granatów należący do Elizabeth, słoje z trzema pijawkami, nożyczki, flaszkę z wodą i łyżeczkę. Przed kominkiem leżały jej pantofle ranne, na ogniu syczał czajnik.

Ross wsparł się na klamce. Czuł, że zbiera mu się na wymioty. Elizabeth nie poruszyła się, by go powitać.

Znów zebrało mu się na wymioty, wyjął chusteczkę, zasłonił nos i usta. Spoglądał na swoją pierwszą miłość. Płomyki świec zadrgały w przeciągu wiejącym od drzwi.

Podszedł powoli do łóżka. Śmierć usunęła z twarzy Elizabeth wszystkie ślady bólu, zmęczenia i gorączki. Skóra była żółta. Bładą, patrycjuszowską twarz otaczały włosy, nieuczesane, lecz dziwnie schludne. Twarz, pozbawiona wyrazu, zachowała dawne słodkie piękno, które podziwiała tak wielu mężczyzn. Można by pomyśleć, że za chwilę otworzy oczy i uśmiechnie się na powitanie. Ale skóra była żółta.

Pod kołdrą, ledwo przykryte, leżało przerażające, zgniłe ciało. Rozkład z każdą minutą posuwał się w stronę głowy. Jak daleko dotarł? Elizabeth zgnęła za życia, jej pogrzeb był o wiele dni opóźniony.

Rossowi zbierało się na wymioty. Przełknął żółć wypełniającą usta, odjął chusteczkę od ust i pocałował Elizabeth. Jej wargi przypominały miękkie, zimny kit.

Znów uniósł chusteczkę, zakreśliło mu się w głowie i o mało nie upadł. Oparł się ciężko o fotel, wszystko się kołysało. Odwrócił się i uciekł. Trzask drzwi za jego plecami zabrzmiał pusto, jakby zamykał grobowiec, odcinając zwłoki Elizabeth od wszystkiego, co ciągle żyje.

Chwiał się na nogach. Ruszył korytarzem, zszedł po schodach, nie patrząc na George'a, który stał i spoglądał na niego. Opuścił dom, odnalazł konia, oparł głowę o jego szyję. Nie był w stanie go dotrzeć.

IV

– Proszę powiedzieć, ile jestem panu winny – powiedział Warleggan. – Zapłacę.

– W stosownym czasie. Zajmę się tym w stosownym czasie.

– Proszę powiedzieć, kiedy przyprowadzić ze stajni pańskiego konia.

– Ponieważ zapadła noc, wolałbym u państwa przenocować – odrzekł sztywno Behenna. – Poza tym uważam, że przed odjazdem powinienem jeszcze raz zbadać pańską córkę.

– Coś jej dolega?

– Bynajmniej. Ale nie jestem pewien, czy mamka nie jest trochę niezdarna. Te wiejskie dziewczyny...

– Nie mogliśmy szybko znaleźć nikogo bardziej odpowiedniego.

– Och, rozumiem. Dałem pani Chynoweth mocny wywar z maku. Powinna zasnąć. Kobiety są na piętrze?

– Kobiety są na piętrze.

– Moim zdaniem należy jak najszybciej zalutować trumnę.

– Jestem pewien, że uważają tak samo.

Gdzieś w pobliskim pokoju Valentine sprzeczał się z boną. Na razie wiedział tylko, że mama źle się czuje.

George chodził po zimnym, mrocznym, cichym dworze. To, co go spotkało, kłóciło się z jego wszystkimi dotychczasowymi doświadczeniami. W ciągu czterdziestu lat doznał niewielu niepowodzeń, ich sprawcami byli ludzie i mógł odrobić straty. Większość udało się z czasem odrobić. Godził się z afrontami, porażkami, analizował ich przyczyny i konsekwencje, po czym aranżował przyszłe wydarzenia w taki sposób, by przewyciężyć lub obejść przeciwności. Naturalnie od czasu do czasu George i jego rodzice mieli jakieś dolegliwości, wszyscy rozumieli, że kiedyś się zestarzeją i umrą. Ale w ciągu czterdziestu lat nikogo nie stracił – z pewnością nikogo ważnego.

Trudno było mu się pogodzić z całkowitą klęską, nie potrafił jej znieść. Marzył o poślubieniu Elizabeth od chwili, gdy skończył dwadzieścia lat. Długo znajdowała się poza zasięgiem, należała do sfery fantazji. Mimo to ją zdobył, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wbrew wszelkim szansom.

Był to jego największy triumf. Od tamtej pory, choć dręczyły go podejrzenia i zazdrość, które psuły ich wspólne życie, złościł się na kobietę stanowiącą część jego własnego świata, na swoją własność. Kiedy z rzadka zazdrość doprowadzała do gwałtownych kłótni, w ostatnim momencie się cofał z powodu groźby, że Elizabeth go opuści. Mógł być z nią nieszczęśliwy i bardzo pragnąć, by ona również była nieszczęśliwa, lecz nigdy nie wyobrażał sobie życia bez Elizabeth.

Właśnie dla niej pracował – dostarczał jej przyjemności, robił afronty, obserwował, krytykował, zasięgał rady, a niekiedy nawet obrażał. Popisywał się nią przed ludźmi, kupował prezenty, ale przede wszystkim próbował jej zaimponować. Nikomu innemu. Teraz, kiedy złość ciotki Agathy straciła swoją niszczącą moc, kiedy jad zwietrzał, kiedy mogli żyć jak prawdziwi przyjaciele, kiedy urodziła im się córka, drugie dziecko, kiedy życie mogło zacząć się na nowo, kiedy – co szczególnie ważne – George był bliski zdobycia najwyższego wyróżnienia, tytułu szlacheckiego. George Warleggan, wnuk kowala – uszlachcony – sir George i lady Warleggan... Chodziliby na przyjęcia... wszyscy by patrzyli... Jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Kornwalii, właściciel okręgu wyborczego, szlachcic i oparta na jego ramieniu jasnowłosa, wiotka, arystokratyczna Elizabeth, lady Warleggan... Nagle to wszystko mu odebrano.

Było to nie do zniesienia. Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym się znalazł – był to jeden z pokoi gościnnych. Sam nie wiedział, czego tu szuka. Pokój przylegał do dawnej sypialni ciotki Agathy. Szybko tam przeszedł. Przekląła go, przekląła – przez cały czas wisiała nad nim klątwa złośliwej staruchy, a teraz, gdy miał się od niej uwolnić, znów go przekląła, zniszczyła mu życie.

Pokój był umeblowany prawie tak samo jak w chwili śmierci ciotki Agathy – właśnie na tym łóżku umarła. Wściekle kopnął toaletkę, łamiąc jedną z nóg.

Przewrócił ją, aż pękło lustro. Po podłodze potoczyły się flaszeczki z kosmetykami. Otworzył drzwi szafy i pociągnął. Przewróciła się z donośnym hukiem, łamiąc krzesło i drewniany stół. Przyniesiony przez niego lichtarzyk ze świecą podskoczył na półce i o mało nie spadł na podłogę.

Nad Trenwith ciążyło przekleństwo. Chętnie spaliłby ten dwór. Wystarczyłoby przyłożyć świecę do kotary i rogu kapy na łóżku. Wszędzie jest mnóstwo suchego drewna, które wkrótce by się zapaliło: godny stos pogrzebowy dla Elizabeth i przeklętych, po trzykroć potępionych Poldarków, jacy tu kiedykolwiek mieszkali.

Chociaż George był wściekły, niszczenie rzeczy mających wartość materialną nie leżało w jego naturze, tym bardziej że dwór w Trenwith stał się teraz jego własnością. Rozejrzał się po sypialni. Rękami wciąż drżącymi ze złości zerwał ze ścian dwa obrazy należące niegdyś do Agathy i cisnął je na podłogę. Pomyślał, że jutro w nocy – może nawet tej nocy – pójdzie do kościoła w Sawle i zniszczy jej grób. Kaze dwóm służącym rozbić nagrobek, wykopać zgniłego trupa staruchy i rozrzucić szczątki po cmentarzu, by rozdziobały je kruki. Zrobi wszystko, by zemścić się za niemożliwą do pomszczenia stratę, która go spotkała.

Trzęsącymi się rękami wziął świecę i wyszedł z sypialni. Na dłonie i podłogę kapały krople wosku. Stał na korytarzu, nie mogąc pohamować wściekłości, lecz nie wiedział, na czym ją wyładować. Mógłby jeszcze raz iść do Elizabeth, ale rozumiał, że lepiej zaczekać, aż dwie kobiety ułożą ją w trumnie, a pokój zostanie odkażony chlorowanym wapnem. Nie był pewny, czy nawet wtedy zdoła wejść do środka.

Opuściła go. Naprawdę opuściła. Nie mógł w to uwierzyć.

Nie potrafił znieść myśli o powrocie na parter, gdzie mógłby spotkać nieudolnego konowała Behennę albo, co gorsza, sklerotycznego, otępiałego ojca Elizabeth. Gdyby go zobaczył, krzyknąłby: „Dlaczego ty żyjesz?! Do

czego jesteś mi potrzebny?! Dlaczego nie umrzesz razem ze swoją żalosną żoną?!”.

W drzwiach stanęła służąca i popatrzyła na Warleggana. Była to Polly Odgers.

– Przepraszam, sir. Nie wiedziałam, czy coś się nie stało... To znaczy coś jeszcze gorszego. Usłyszałam hałasy, huk. Nie wiedziałam, co to takiego.

– To nic – odpowiedział przez zaciśnięte zęby. – To nic...

– Ach... Dziękuję, sir. Proszę mi wybaczyć. – Zamierzała odejść.

– Obudziłaś dziecko?

– O nie, sir, mała Ursula bardzo lubi spać. I stale jest głodna! Wydaje mi się, że w ciągu czterech dni urosła!

Wszedł za nią do pokoju dziecięcego. Pani Simons, młoda mamka, dygnęła na widok dziedzica.

Popatrzył na dziewczynkę. Ursula Warleggan. Elizabeth go opuściła. Tylko to mu zostało. Zostawiła córkę, Ursulę.

Przez długi czas stał bez ruchu, obserwowany przez dwie młode kobiety, które starały się nie zwracać na siebie uwagi.

Trzymał umierającą Elizabeth za rękę. Kiedy Behenna powiedział, że nie ma żadnej nadziei, wszedł do ohydnie śmierdzącego pokoju, usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Jedna dłoń była brzydko opuchnięta, druga blada i smukła jak zawsze. Myślał, że żona jest nieprzytomna, ale gdy jej dotknął, palce się poruszyły. Była to lewa ręka, ta z obrączką, symbolem jego dumy i zwycięstwa, którą niespełna siedem lat wcześniej włożył na palec Elizabeth w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej w Truro. Z jaką dumą i triumfem. A teraz umarła.

Pod koniec raz odzyskała przytomność i usiłowała się do niego uśmiechnąć spierzchniętymi, bladymi ustami. Później uśmiech znikł i na twarzy Elizabeth pojawiła się trwoga.

– George... – szepnęła. – Nic nie widzę! Boję się mroku...

Ścisnął mocniej jej dłoń, jakby mógł w ten sposób zatrzymać ją na świecie, obronić przed potwornościami ujrzanymi w chwili śmierci.

Myślał o tym, spoglądając na córkę. Nie był filozofem ani jasnowidzem, ale gdyby miał takie cechy, mógłby się dziwić, że jego jasnowłosa, krucha, piękna żona urodziła troje dzieci i żadne z nich nie jest do niej podobne. Choć Elizabeth odznaczała się dobrym zdrowiem, siły żywotne starego rodu Chynowethów stopniowo się wyczerpały, co sprawiło, że jej dzieci zupełnie nie przypominały matki – dominowały cechy trzech ojców. Geoffrey Charles był podobny do Francisa, Valentine do mężczyzny, który niedawno opuścił Trenwith, a mała Ursula miała wyrosnąć na silną kobietę o mocnej szyi, upartą jak kowal.

Niemowlę poruszyło się we śnie, maleńkie, kruche. „Opiekuj się dziećmi” – szepnęła Elizabeth. Bardzo dobrze, bardzo dobrze, będzie się opiekował, ale jaki to ma sens? Potrzebował Elizabeth: osoby, dla której pracował, kamienia węgielnego. Wszystkie jego wysiłki, intrygi, plany, interesy, negocjacje, zdobycze... Bez niej nie ma to sensu. Mógłby kopnąć kołyskę Ursuli jak toaletkę w sypialni Agathy, przewrócić z kruchą zawartością, ponieważ złośliwy los zniszczył całe jego życie, zrujnował je, wypełnił pustką. Obwiniął los, nie wiedząc, że powinien winić samego siebie.

Polly Odgers pochyliła się i odsunęła róg kocyka od ust dziewczynki.

– Kochanie... – szepnęła.

– Ursula, mała niedźwiedzica – mruknął George.

– Słucham?

– Nic.

Po raz pierwszy w życiu musiał wyjąć chusteczkę, by otrzeć oczy.

Rozdział szesnasty

I

Ross wracał do domu, idąc obok konia. Wstrząs i trwoga odebrały mu wszystkie siły, włókł się krok za krokiem wraz z Sheridanem, instynktownie podążając w stronę Nampary.

Przeszedł przez wioskę Grambler, minął kościół w Sawle i znalazł się na wrzosowisku. Szumiał wiatr.

Ross znał tę drogę najlepiej na świecie. Biegał nią między chatami jako dzieciak i podrostek, mnóstwo razy jeździł tędy konno i chodził. Tej nocy prowadził Sheridan.

Minęło go kilku wieśniaków, którzy życzyli mu dobrej nocy. Był to kornwalijski zwyczaj, nie tylko przyjazne pozdrowienie, lecz często także chęć rozpoznania osoby idącej w ciemności. Tym razem Ross nie odpowiadał. Czuł przerażenie. Wiele widział jako żołnierz, ale teraz było to coś innego. Nigdy nie zapomni widoku gnijącej Elizabeth, która ciągle wyglądała tak pięknie. Tak się kończy miłość, tak się kończy piękno. Czerw... Chryste Panie!

Zadrzał i splunął. Czuł mdłości na wspomnienie gangreny, która zabiła Elizabeth.

Dotarł do domu modlitwy koło Wheal Maiden. W środku paliło się światło. Prawdopodobnie był tam Samuel. Może kilku wiernych członków zgromadzenia modli się lub słucha Biblii? Może powinien wejść, uklęknąć w kącie, poprosić o łaskę i modlić się o pokorę? Właśnie tego brakuje

ludziom. Pokory i perspektywy. Tylko że to drugie jest niebezpieczne. Zawsze można dostrzec koniec.

W pobliżu coś się poruszyło.

– To ty, Ross?

– Demelza? – zdziwił się. – Co tu robisz?

– Postanowiłam przyjść... czekałam na ciebie. Dlaczego idziesz pieszo?

– Wolałem... wolałem się nie śpieszyć.

– Wiem, co się stało – powiedziała. – Caroline wysłała Mynersa z wiadomością.

– Dobrze, że wiesz.

Odwrócił się i ruszył naprzód.

– Bardzo mi przykro – dodała.

– Nie rozmawiajmy o tym – powiedział.

Podążyli w dół doliny. Kiedy dotarli do Nampary, Demelza weszła do domu i wyprosiła dzieci z salonu. Ross usiadł przy kominku i wypił przyniesioną przez nią brandy. Pomogła mu zdjąć buty.

– Wolisz być sam?

– Nie, jeśli masz ochotę zostać.

Demelza poprosiła dzieci, by zachowywały się cicho w kuchni, przyniosła robótkę i usiadła po drugiej stronie kominka. Ross przez blisko godzinę sączył brandy. Demelza wypła dwa małe kieliszki. W końcu spojrzał na nią.

– Przepraszam – rzekł.

– Masz ochotę na kolację?

– Nie, nie mógłbym nic przełknąć. Ale ty coś zjedz. Dzieci są w jadalni?

– Nie wiem. Nie jestem głodna.

– Dzisiejszy dzień był ciemny – powiedział. – Czasem myślę, że w niektóre grudniowe dni ludzi ogarnia wyjątkowe przygnębienie. Dziś był właśnie taki dzień.

- Nie bez powodu. Czy ona...
- Wolałbym o tym nie rozmawiać.

Siedzieli razem przy kominku przez następną godzinę. Ross już nie pił. Zapadł w drzemkę z głową opartą o fotel. Demelza wyszła, by powiedzieć dobranoc dzieciom, a później ukroiła sobie kawałek chleba i sera.

Kiedy wróciła do salonu, Ross powiedział:

- Chyba pójdę na spacer.
- O tej porze?
- Tak... może mi ulży. Nie czekaj na mnie.
- Nie chcesz, żebym z tobą poszła?
- Wybieram się na dłuższy spacer.
- Pamiętaj, żeby wrócić – powiedziała.

Kiedy Ross wyszedł na dwór, wschodził księżyc w trzeciej kwadrze, niewidzialny, zasłonięty chmurami, a mimo to oświetlający drogę. Ross zszedł na plażę Hendrawna. Trwał odpływ. Stopy Rossa zapadały się w piasku, który chrzęścił jak ziemia skuta lodem. Wokół nóg tańczył jego cień przypominający widmo.

Podążał tą samą drogą, którą kilka miesięcy wcześniej szedł udręczony Drake. Przy świętym źródle opuścił plażę i wspinał się po kamiennych stopniach, aż dotarł do starej ścieżki używanej przed wiekami przez pielgrzymów. W górę i w dół, wokół wydm. Niżej szumiało morze. Minął Czarny Klif i Ellenglaze, okrążył zatokę Hoblyn i zszedł w znajdującą się za nią dolinę. Na tym pustkowiu można było z rzadka spotkać jedynie Cyganów albo któregoś z okolicznych dzierżawców. Wiatr niósł obłoki piasku, wokół rosły tylko kępy wysokiej trawy wydmowej, kolcolisty i wrzosi. Ani jednego drzewa. Poprzednio był tu w czasach młodości. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek odwiedził to miejsce po powrocie z Ameryki przed szesnastu laty. Nie było tu po co przychodzić, chyba że w chwilach takich jak ta, gdy

próbuję się uciec przed samym sobą.

Kilka razy usiadł, nie po to, by odpocząć, lecz by zebrać myśli, a wkrótce potem znowu wstawał i szedł dalej. Czasem nocne niebo trochę się rozjaśniało i pojawiał się księżyc otoczony chmurami, niewyraźny i niewielki. Kontury klifów stały się wyraźniejsze, przypominały oblicza wychudzonych starców. W małych, ciemnych zatoczkach gniły na skałach wodorosty wydzielające trupi odór.

Po kilku godzinach zawrócił i ruszył w długą drogę powrotną. Znużone ciało musiało teraz przejąć kontrolę nad znużonym umysłem. Przystosował myśli do wysiłku fizycznego. Kiedy w końcu znów znalazł się na plaży Hendrawna, ruszył szybciej, by wyprzedzić nadchodzący przypływ. Minął klify u stóp Wheal Leisure, gdy woda sięgała mu do kolan.

O brzasku zobaczył Namparę. Świt wstawał powoli, miało się wrażenie, że ktoś odsłania zasłony w ciemnym pokoju. Siąpiła mżawka. Dotarł do znajomej furtki ogrodu, minął wysoki krzak bzu i wszedł do domu. Podążył cicho do salonu. Nogi miał zziębnięte od morskiej wody i liczył na to, że kominek jest wciąż ciepły.

W dalszym ciągu płonął na nim ogień, choć już przygasł. Kiedy Ross przed nim przykucnął, ktoś poruszył się w fotelu. Wzdrygnął się, po czym zobaczył Demelzę.

– Mówiłem ci, że nie powinnaś na mnie czekać – powiedział.

– Dlaczego? – spytała.

Milczeli przez chwilę. Ross wrzucił do kominka trochę węgla, a potem rozniecił ogień za pomocą miecha.

– Zimno ci? – odezwał się.

– Tak. A tobie?

Skinął głową i poszedł rozsunąć zasłony. W słabym świetle zobaczył, że Demelza się nie rozebrała, tylko otuliła ramiona kocem i przykryła nim kolana.

– Zrobię ci śniadanie.

Pokręcił głową.

– Ty coś zjedz.

– Nie, nie, nie jestem głodna. – Demelza się poruszyła. – Przemokłeś.

– Nieważne. Za chwilę się przebiorę. – Nalał sobie kieliszek brandy, by pozbyć się z ust smaku przetrawionego alkoholu. zaproponował brandy żonie, lecz odmówiła.

– Chodziłeś przez całą noc?

– Tak. Myślę, że te buty są już do niczego. – Zdjął je i ukucnął przy ogniu. Obserwowała jego twarz oświetloną ciepłym blaskiem płomieni. Wypił brandy, poczuł palenie w gardle. Skrzywił się i zadygotał. – Spałaś?

– Drzemałam.

– Ale czekałaś?

– Czekałam.

Oparł się o drugi fotel.

– Koniec stulecia. Wydaje się to... odpowiednie. Za kilka tygodni zacznie się rok tysiąc osiemsetny.

– Wiem.

– Z pewnych przyczyn to dla mnie coś więcej niż koniec stulecia. Wydaje mi się to końcem świata, jaki znam.

– Z powodu śmierci Elizabeth?

Zachnął się.

– Niezupełnie. Ale także.

– Chciałbyś o tym porozmawiać?

– Nie teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zapadło milczenie.

– Koniec stulecia to nie koniec naszego życia, Ross.

– Och... ogarnęła mnie wyjątkowa melancholia. Za miesiąc lub dwa

wszystko się zmieni. Za jakiś czas dojdę do siebie.

– Nie ma pośpiechu.

– Może zawsze trzeba się śpieszyć?

Dorzucił do kominka trochę węgla i w pokoju pojawił się obłok dymu.

– Idź spać, nim dzieci się obudzą – powiedziała Demelza.

– Nie. Chcę z tobą pomówić. O tym, o czym myślę. Nie tak dawno straciłaś kogoś, kogo... kogo kochałaś. To bardzo boli.

– Tak – odpowiedziała. – To bardzo boli.

– A jednak... – Sięgnął po brandy, ale odstawił kieliszek na gzyms kominka, nie wypiwszy ani kropli. – Chociaż kiedyś kochałem Elizabeth, najbardziej bolało mnie dziś w nocy wspomnienie dawnej miłości. W tym miesiącu lub w przyszłym zacznę czterdziesty rok życia. Zawsze trzeba się śpieszyć. Pamięć i lęk przed utratą miłości sprawiają największy ból.

– Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

– W pewien sposób mój smutek jest egoistyczny. Może właśnie o tym mówi Samuel w swoich kazaniach? Nie można osiągnąć dobroci, nie panując nad egoizmem.

– Chciałbyś zapanować nad swoim egoizmem?

– Nie chodzi o to, co się chce, tylko o to, co powinno się zrobić.

– Egoizm... – powiedziała Demelza. – Czy egoizm nie jest czymś naturalnym? Skoro cenimy dobre rzeczy, które nas spotykają, powinniśmy z nich korzystać, prawda? Tak mi się zdaje.

Ross popatrzył na ciemne włosy Demelzy opadające niedbale na ramiona i na kanarkową jedwabną suknię. Niespokojnie poruszała dłońmi, a pierś unosiła się miarowo w oddechu. W jej oczach płonęła żywa inteligencja.

– Smutno mi z powodu tego, co widziałem zeszłego wieczoru – powiedział.

– Serce mi się kraje, że cały urok i piękno Elizabeth przepadły. Choć przede wszystkim czuję lęk.

– Lęk, Ross? Przed czym?

– Chyba się boję, że cię stracę.

– Nie ma na to szans.

– Nie że cię stracę z powodu innego mężczyzny, chociaż już raz się to zdarzyło. Chodzi mi o to, że stracę cię fizycznie, jako osobę, przyjaciółkę, kobietę, która towarzyszy mi przez całe moje życie.

Demelzę ogarnęło wzruszenie.

– Nie ma na to szans, Ross – powtórzyła. – Chyba że mnie wygnasz.

– To nie prawdopodobieństwo, tylko pewność – odparł. – Widząc taką Elizabeth... Kończy się stulecie, kończy się epoka...

– To tylko data.

– Nie, nie tylko. Nie dla nas. Dla wszystkich, ale szczególnie dla nas. To apogeum. Stoimy na szczycie i patrzymy w dół.

– Patrzymy w przeszłość, oczywiście.

– W przyszłość, lecz zarazem w dół. Czy zdajesz sobie sprawę, że przyjdzie czas, że musi przyjść czas, kiedy nigdy więcej nie usłyszę twojego głosu, a ty mojego? Może jestem sentymentalny, ale wydaje mi się to okropne, niewyobrażalne, niemożliwe do zniesienia...

Demelza nagle wstała z fotela, uklękła przed kominkiem, wzięła miechy i zaczęła podsycać ogień. Chciała ukryć łzy, które pojawiły się na jej rzęsach. Zrozumiała, że Ross dotarł do granicy mroku, że zмага się z ciemnością i że tylko ona może podać mu dłoń.

– Ross, nie powinieneś się bać. To do ciebie nie pasuje. To sprzeczne z twoją naturą.

– Może z wiekiem ludzka natura się zmienia?

– Tak nie wolno.

Obserwował ją.

– Ty nigdy się nie boisz?

– Boję się, o tak. Gdybym pozwoliła sobie na myślenie, może stała bym się bała. Nie można normalnie żyć, myśląc o takich rzeczach. Jestem w Namparze. Ty też. Dzieci są na piętrze. To wszystko, co się liczy w tej chwili, teraz. W moich żyłach krąży krew. W twoich również. Nasze serca biją. Oczy widzą. Uszy słyszą. Czujemy zapach i dotyk, rozmawiamy.

Odwróciła się i przykucnęła obok Rossa na dywan, on zaś otoczył ją ramieniem i patrzył niewidzącym wzrokiem w mrok.

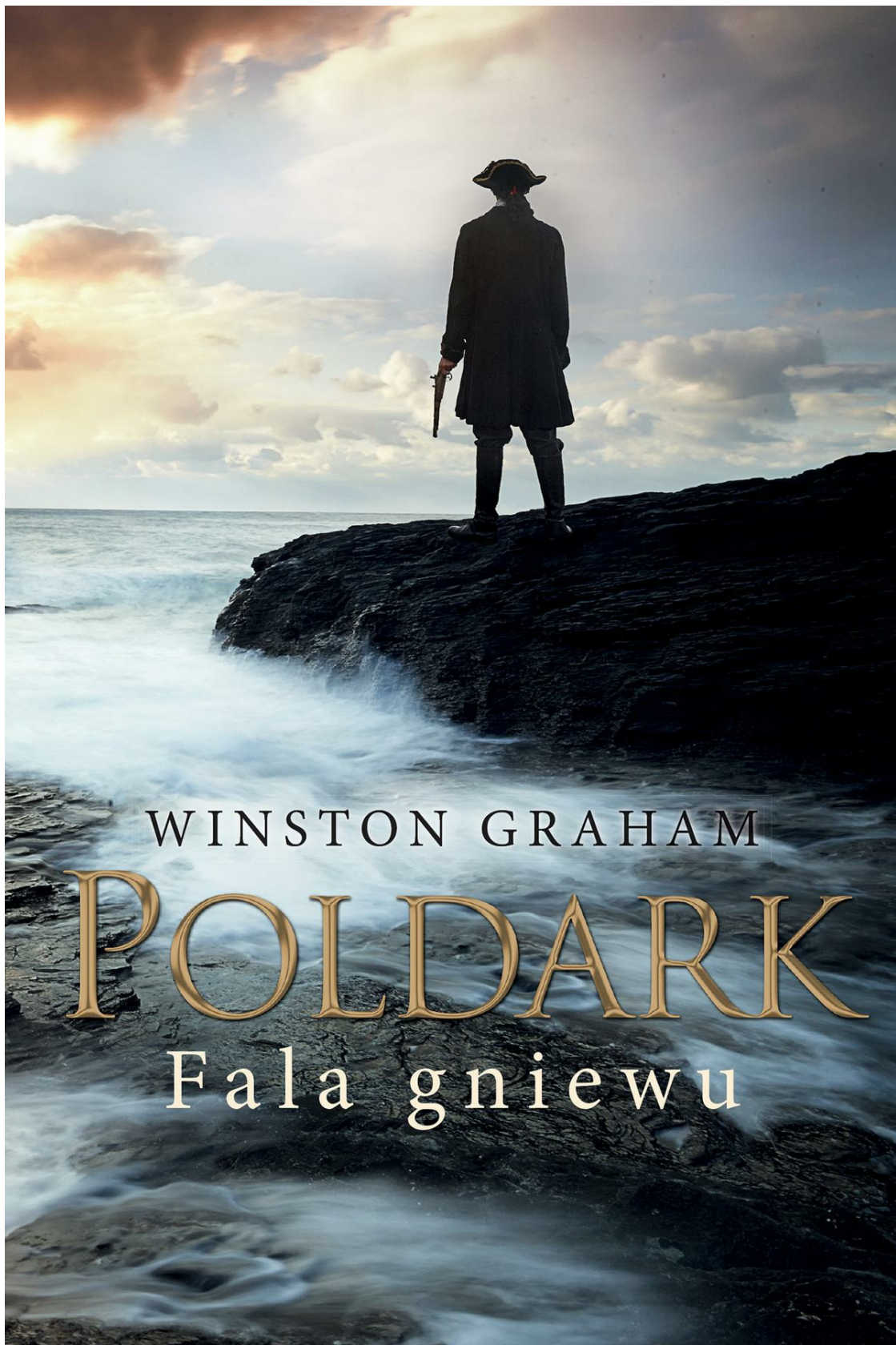
– Jesteśmy razem – powiedziała. – Czy to nic nie znaczy?

– Nawet po tym, co się stało w Londynie?

– To nie może się nigdy powtórzyć.

– Tak – odparł. – To nie może się nigdy powtórzyć.

– Oczywiście zawsze nadejdzie kres – ciągnęła. – To naturalne. Wszyscy to przeżywają od początku świata. Nazywasz to... jak powiedziałaś? Nazywasz to czymś niemożliwym do zniesienia. To rzeczywiście nie do zniesienia! Dlatego nie wolno o tym myśleć. Trzeba zapomnieć. To coś, co na pewno się wydarzy, ale nie wolno o tym pamiętać. Nie można... nie należy... lękać się czegoś, co nieuniknione. W tej chwili wiemy tylko, że żyjemy, Ross! Naprawdę żyjemy. Żyjemy. Przeszłość minęła, odeszła. Przyszłość jeszcze nie istnieje. Nadejdzie jutro! W tej chwili jest tylko teraźniejszość. Nie możemy prosić o więcej. Nie ma niczego więcej, o co można prosić.



WINSTON GRAHAM

POLDARK

Fala gniewu